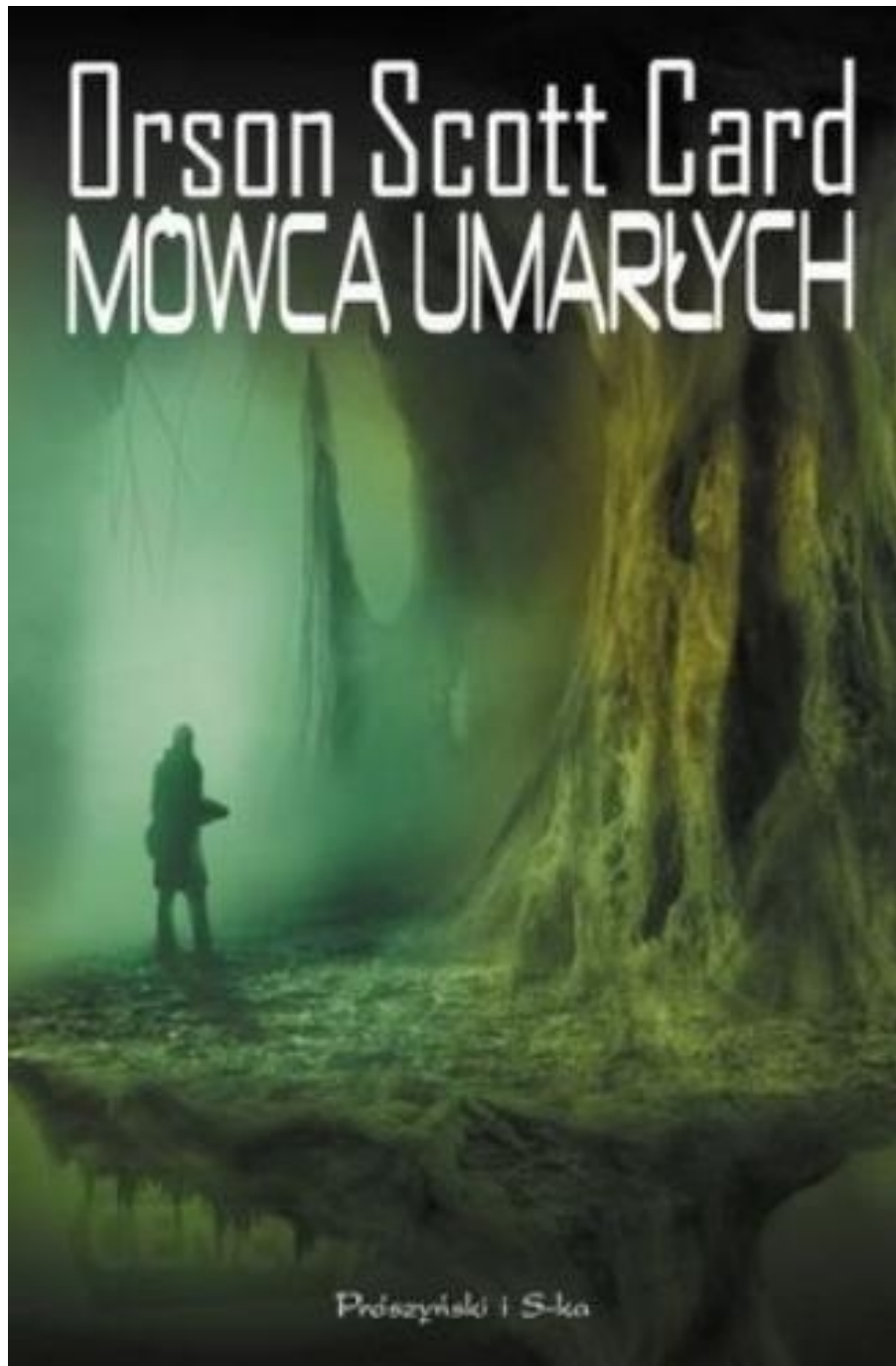


Annotation

Kontynuacja wątków zarysowanych w Grze Endera. Niezagrożona ludzkość zaczyna współczuć pokonanym napastnikom i skazuje Endera na banicję. Tymczasem otwartość Ziemi zostanie wystawiona na próbę przez kolejne zjawienie się obcych.

Nagroda Nebula 1986.

Nagroda Hugo 1987.



Orson Scott Card

Mówca umarłych

*Emy Greggowi Keizerowi,
który już dawno wiedział, jak.*

PROLOG

W roku 1830 po utworzeniu Gwiezdnego Kongresu, automatyczny statek zwiadowczy przesłał ansiblem raport: parametry planety, którą badał, mieściły się w przedziale odpowiednim dla życia ludzi. Najbliższym światem, odczuwającym ciśnienie demograficzne była Baia; Gwiezdny Kongres przyznał im licencję badawczą. I tak pierwsi ludzie, jacy zobaczyli nowy świat, byli Portugalczykami z mowy, Brazylijczykami z kultury i katolikami z wyznania. W roku 1886 zeszli z pokładu promu, przeżegnali się i nadali planecie imię Lusitania, co było starożytną nazwą Portugalii. Zajęli się katalogowaniem flory i fauny. Pięć dni później zorientowali się, że niewielkie, leśne zwierzęta, które nazwali porqinhos — prosiaczki, wcale nie były zwierzętami. Po raz pierwszy od czasu Ksenocydu Robali, popełnionego przez tego potwora Endera, ludzkość napotkała obce, inteligentne istoty. Prosiaczki były technologicznie słabo rozwinięte, jednak używały narzędzi, budowały domy i dysponowały językiem. — To szansa, którą dał nam Pan — oświadczył arcykardynał Pio z Baii. — Byśmy mogli odkupić zniszczenie robali. Członkowie Gwiezdnego Kongresu czcili wielu bogów, a czasem żadnego, ale wszyscy zgodzili się z arcykardynałem. Lusitania miała być zasiedlona z Baii, a zatem pod Licencją Katolicką, jak tego wymagała tradycja. Jednak kolonia nie miała prawa sięgnąć poza wyznaczone granice ani przekroczyć limitu populacji. Lecz przede wszystkim ograniczało ją jedno prawo: Nie wolno zakłócać rozwoju prosiaczków.

NIEKTÓRZY MIESZKAŃCY KOLONII LUSITANII

Ksenolodzy (Zenadores)

Pipo (Joao Figueira Alvarez)

Libo (Liberdade Gracias a Deus Figueira de Medici)

Miro (Marcos Vladimir Ribeira von Hesse)

Ouanda (Ouanda Quenhatta Figueira Mucumbi)

Ksenobiolodzy (Biologistas)

Gusto (Vladimir Tiago Gussman)

Cida (Ekaterina Maria Aparecida do Norte von Hesse-Gussman)

Novinha (Ivanova Santa Catarina von Hesse)

Ela (Ekaterina Elanora Ribeira von Hesse)

Zarządca Bosquinha (Faria Lima Maria do Bosque)

Biskup Peregrino (Armao Cebola)

Opat i Przeor Klasztoru Dom Cristao (Amal e Tudomundo Para Que Deus vos Ame Cristao)

Dona Crista (Detestai o Pecado e Fazei o Direito Crista)

ROZDZIAŁ 1

PIPO

Ponieważ nie pogodziliśmy się jeszcze w pełni z ideą, że mieszkańcy sąsiedniej wioski są takimi samymi ludźmi jak my, byłoby w najwyższym stopniu naiwnym przypuszczenie, iż potrafimy kiedyś spojrzeć na społeczne, używające narzędzi istoty i zobaczyć nie bestie, ale braci, pielgrzymujących wspólną drogą do kaplicy inteligencji. A jednak to właśnie widzę, czy też pragnę zobaczyć. Różnica pomiędzy „*ramen*” i „*varelse*” tkwi nie w stworzeniu poddanym osądowi, ale w tym, które ten osąd wydaje. Kiedy stwierdzamy, że obcy gatunek jest „*ramen*”, nie oznacza to, że przekroczył on próg dojrzałości. Oznacza, że to my go przekroczyliśmy.

Demostenes, list do Framlingów

Korzeniak był równocześnie najbardziej kłopotliwym i najbardziej pomocnym z *pequeninos*. Zawsze na miejscu, gdy Pipó odwiedzał polanę, starał się jak mógł, by odpowiedzieć na pytania, których prawo zabraniało Pipowi zadawać. Pipó uzależnił się od niego — chyba za bardzo — a jednak, choć Korzeniak błaznował i bawił się niczym nieodpowiedzialny młodzik, którym zresztą był, cały czas obserwował, sondował, sprawdzał. Pipó stale musiał uważać na zastawiane przez niego pułapki.

Przed chwilą jeszcze Korzeniak wspinał się na drzewo. Ścisnął pień jedynie rogowatymi zgrubieniami na kostkach i wewnętrznych stronach ud. W rękach trzymał dwa patyki — zwane Ojcowskimi Kijami — którymi cały czas bębnił o drzewo w porywającym, zmiennym rytmie. Hałas wywabił z drewnianej chaty Mandachuvę. Krzyknął coś do Korzeniaka w Mowie Mężczyzn, a potem po portugalsku:

— P'ra baixo, bicho!

Kilku prosiaczków w pobliżu głośno potarło jednym udem o drugie, wyrażając w ten sposób podziw dla obcojęzycznej gry słów. Szelest aplauzu ucieszył Mandachuvę,

który podskoczył wysoko.

Tymczasem Korzeniak odchylił się do tyłu, jakby miał spaść. Potem odepchnął się rękami, wykręcił w powietrzu salto i wylądował na obie nogi, podskakując kilka razy. Nawet się nie potknął.

— Jesteś więc teraz akrobatą — ocenił Pipo. Korzeniak podszedł kotysząc się na boki. W ten sposób próbował naśladować ludzi, choć zdecydowanie bardziej przypominało to parodię, ponieważ jego płaski, zwrócony ku górze ryjek robił zdecydowanie świniowate wrażenie. Nic dziwnego, że mieszkańcy z innych Światów nazywali ich „prosiaczkami”. Nazwa ta padła w pierwszych raportach, jeszcze w '86 roku, a w 1925, gdy powstała lusitańska kolonia, zdążyła się już zakorzenić. Ksenolodzy ze wszystkich Stu Światów pisali o nich jako o „Lusitańskich aborygenach”, choć Pipo doskonale wiedział, że w grę wchodziła jedynie kwestia rangi zawodu. Poza naukowymi artykułami, ksenolodzy także mówili: prosiaczki. Pipo nazywał ich pequeninos, a oni nie protestowali, gdyż teraz sami określali siebie jako „Mały Lud”. Mimo wszystko, mimo „rangi zawodu”, nie dało się zaprzeczyć, że w chwilach takich jak ta, Korzeniak bardzo przypominał świnie chodzącą na tylnych nogach.

— Akrobata — powtórzył Korzeniak, wypróbując nowe słowo. — Co ja takiego zrobiłem? Macie nazwę dla ludzi, którzy to robią? Są więc ludzie, dla których to jest praca?

Pipo westchnął bezgłośnie, nie zmieniając przy tym przyklejonego do twarzy uśmiechu. W obawie przed skażeniem kultury prosiaczków, prawo surowo zakazywało udzielania informacji o społeczeństwie ludzi. Korzeniak jednak prowadził bezustanną grę, starając się wycisnąć do ostatniej kropli wszelkie implikacje wszystkich wypowiedzi Pipa.

Tym razem Pipo mógł wyłącznie do siebie mieć pretensje o niemądrą uwagę, która niepotrzebnie uchyliła okno na świat ludzi. Czasami czuł się wśród pequeninos tak dobrze, że zaczynał mówić swobodnie. Ciągle ryzykuję. Nie nadaję się do tej gry, w której trzeba zdobywać informacje, nie dając nic w zamian. Libo, mój małomówny syn, jest w tym lepszy, chociaż jest moim uczniem dopiero... jak dawno skończył trzynaście?... od czterech miesięcy.

— Też bym chciał mieć takie zgrubienia na nogach — stwierdził Pipo. — Pień tego drzewa rozdarłby mi skórę na strzępy.

— Zawstydziliby to nas wszystkich — Korzeniak przyjął wyczekującą postawę, która według Pipa oznaczała lekkie podenerwowanie, a może też milczące ostrzeżenie dla innych pequeninos, by byli ostrożni. Mogła też być sygnałem najwyższego przerażenia, choć nigdy jeszcze nie widział pequenino odczuwającego przerażenie. Na wszelki wypadek odezwał się pospiesznie, by go uspokoić:

— Nie przejmuj się. Jestem za stary i za słaby, żeby się wspinać na drzewa. Zostawiam to takim młodzikom jak ty. Udało się. Ciało Korzeniaka znowu się

poruszyło.

— Lubię wchodzić na drzewa. Widzę wtedy wszystko — Korzeniak przykucnął przed Pipem i pochylił się. — Czy przyprowadzisz tu zwierzę, które biegnie po trawie nie dotykając gruntu? Nie wierzą, że je widziałem.

Kolejna pułapka. I co, Pipo, ksenologu, czy zdecydujesz się poniżyć przedstawiciela społeczności, którą badasz? Czy raczej będziesz się trzymał sztywnych praw, jakie ustanowił Gwiazdny Kongres, by rządziły tym spotkaniem? Historia nie znała zbyt wielu precedensów. Jedynymi inteligentnymi obcymi, jakich napotkała ludzkość, były robale, trzy tysiące lat temu, a w rezultacie spotkania wszystkie robale zginęły. Tym razem Gwiazdny Kongres zdecydował, że jeśli ludzkość popełni błąd, to raczej z przeciwnym skutkiem. Minimum informacji, minimum kontaktu. Korzeniak zauważył wahanie Pipa, jego niepewne milczenie.

— Nigdy nam nic nie mówicie — stwierdził. — Obserwujecie nas i badacie, ale nie wpuszczacie za ogrodzenie, żebyśmy także mogli was obserwować i badać.

Pipo odpowiedział tak uczciwie, jak tylko mógł w sytuacji, gdy ostrożność była ważniejsza od uczciwości.

— Jeśli dowiadujecie się tak mało, a my tak dużo, to czemu znasz stark i portugalski, a ja wciąż się uczę waszej mowy?

— Jesteśmy mądrzejsi. Korzeniak odwrócił się na pośladkach tak, że siedział teraz plecami do Pipa.

— Wracaj za swoje ogrodzenie — powiedział.

Pipo wstał natychmiast. W pobliżu Libo przyglądał się trójce pequeninos, próbując dociec, w jaki sposób splatają suche pnącza merdony na pokrycie dachu. Spojrzał na ojca i natychmiast stanął przy nim, gotów by odejść. Oddalili się bez słowa. Pequeninos tak dobrze opanowali język, że ludzie nigdy nie omawiali tego, czego się dowiedzieli, póki nie znaleźli się wewnątrz ogrodzenia.

Pół godziny zajęła droga do domu. Rozpadało się, kiedy przechodzili przez bramę i szli obok wzgórza do Stacji Zenadora. Zenadora? Pipo zastanawiał się nad tym, patrząc na zawieszoną nad drzwiami tabliczkę, na której słowo KSENOLOG wypisano w starku. To właśnie ja, myślał. Przynajmniej dla obcych. Ale portugalski tytuł ZENADOR jest tak prosty do wymówienia, że na Lusitaniu mało kto używa nazwy „ksenolog”, nawet gdy mówi w starku. Tak zmienia się mowa. Gdyby nie ansibl, gwarantujący Natychmiastową komunikację wśród Stu Światów, nie udałoby się chyba zachować wspólnego języka. Podróże międzygwiazdne są zbyt rzadkie i powolne. W przeciągu stulecia stark rozpadłby się na dziesięć tysięcy dialektów. Ciekawie byłoby sprawdzić na komputerze projekcję zmian lingwistycznych na Lusitaniu w przypadku, gdyby dopuścić do rozkładu starku i absorpcji portugalskiego...

— Tato — odezwał się Libo.

Dopiero wtedy Pipo zauważył, że zatrzymał się dziesięć metrów od stacji. Styczne.

Większa część mojej umysłowej aktywności przebiega po stycznych, na zewnątrz obszaru moich badań. Zapewne dlatego, że w obszarze moich badań narzucone przepisy uniemożliwiają poznanie i zrozumienie czegokolwiek. Nauka ksenologii w większym stopniu opiera się na tajemnicach, niż nauka Kościoła.

Dotknięcie dłoni wystarczyło, by otworzyć zamek. Wchodząc za próg Pipó wiedział, jak spędzą resztę wieczoru. Zanim przygotowują raport z dzisiejszego spotkania, muszą spędzić kilka godzin nad terminalami komputera. Wtedy przeczytają nawzajem swoje notatki, a jeśli będą zadowoleni, Pipó napisze krótkie streszczenie i pozwoli komputerom zająć się resztą, uzupełnić informacje i przekazać je natychmiast do ksenologów pozostałych Stu Światów. Ponad tysiąc uczonych studiuje jedyną obcą rasę, jaką poznaliśmy. I poza tymi drobiazgami, jakie wykrywają satelity, moi koledzy dysponują jedynie informacjami, które posyłam im ja i Libo. To z pewnością minimalna interwencja.

Gdy jednak Pipó znalazł się w stacji, od razu spostrzegł, że dzisiejszego wieczoru nie wypełni wyteżona, spokojna praca. Wewnątrz czekała Dona Crista, ubrana w swój klasztorny habit. Czyżby któreś z dzieci miało kłopoty w szkole?

— Nie, nie — odezwała się Dona Crista. — Twoje dzieci radzą sobie doskonale, z wyjątkiem tego, które jest moim zdaniem za małe, by opuszczać szkołę i pracować tutaj, nawet jako uczeń. Libo milczał. Mądra decyzja, uznał Pipó. Dona Crista była inteligentną i ujmującą, może nawet piękną młodą kobietą. Jednak przede wszystkim i nade wszystko była mniszką zakonu Filhos da Mente de Cristo, Dzieci Umysłu Chrystusa, i nie jej uroda budziła podziw, gdy gniewała się na ignorancję i głupotę. Zdumiewało to wielu całkiem rozsądnych ludzi, których ignorancja topniała nieco w ogniu jej pogardy. Milczenie, Libo, to polityka, która przyniesie ci korzyści.

— Nie przyszłam tu w sprawie twoich dzieci — wyjaśniła Dona Crista. — Chodzi o Novinhę. Dona Crista nie musiała wymieniać nazwiska — wszyscy znali Novinhę. Straszliwa Descolada minęła ledwie osiem lat temu. Zdawało się, że zaraza zniszczy kolonię, zanim ta zacznie w ogóle funkcjonować. Rodzice Novinhy, para ksenobiologów, Gusto i Cida, wynaleźli szczepionkę. Tragiczna ironia losu sprawiła, że odkryli przyczynę choroby i lekarstwo na nią zbyt późno, by uratować samych siebie. Pochowano ich jako ostatnie ofiary Descolady. Pipó dokładnie pamiętał małą Novinhę, jak stała trzymając dłoń burmistrz Bosquinhy, gdy biskup Peregrino osobiście celebrował nabożeństwo żałobne. Nie, nie trzymała burmistrz za rękę. Obraz tamtego dnia pojawił się przed oczami, a wraz z nim wspomnienie tego, co wtedy odczuwał. Jak ona to zapamięta? — pytał wtedy sam siebie. To przecież pogrzeb jej rodziców; z całej rodziny tylko ona pozostała żywa. A mimo to widzi wokół radość mieszkańców kolonii. Czy potrafi w tym wieku zrozumieć, że ta radość jest największym hołdem dla jej matki i ojca? Walczyli i zwyciężyli, zdobyli dla nas zbawienie w tych odartych z nadziei dniach poprzedzających śmierć; zebraliśmy się tutaj, by podziękować za wspaniały dar, jaki nam ofiarowali. Ale dla

ciebie, Novinho, twoi rodzice umarli, tak samo jak przedtem bracia. Pięćset ofiar, ponad sto mszy żałobnych w ostatnich sześciu miesiącach, a wszystkie odprawiane w atmosferze lęku, żalu i rozpacz. I teraz, po śmierci twoich rodziców, ten lęk, żal i rozpacz są dla ciebie równie wielkie — nikt jednak nie dzieli z tobą bólu. Ulga i radość goszczą w naszych myślach.

Obserwując ją, próbując pojąć jej uczucia, Pipó na nowo rozbudził w sobie żal po śmierci swej siedmioletniej Marii, zmiecionej wichrem zagłady, który pokrył jej skórę rakowatymi naroślami i gwałtownie rosnącą grzybnią. Ciało puchło lub gniło, schodząc ze stóp i głowy, i odstaniając kości, podczas gdy nowa kończyna, nie ręka ani noga, wyrastała z biodra. Jej słodkie, piękne ciało ginęło na ich oczach, umysł zaś pozostawał bezlitośnie przytomny, zdolny do rozumienia tego, co się dzieje. Pod koniec błagała Boga, by zesłał jej śmierć. Pipó wspominał to wszystko, a potem mszę za jej duszę, wspólną dla niej i pięciu innych ofiar. Gdy siedział wtedy, stał, klęczał obok swej żony i ocalałych dzieci, wyczuwał doskonałą jedność wszystkich zebranych w katedrze. Wiedział, że jego cierpienie jest ich cierpieniem, że strata najstarszej córki połączyła go ze społecznością nierozzerwalnymi więzami żalu. To przynosiło ulgę, w tym znajdował uspokojenie. Powszechna żałoba koła jego ból.

Mała Novinha nie miała tego pocieszenia. Jej ból był — jeśli to możliwe — jeszcze gorszy niż Pipó. Pipó przynajmniej nie został zupełnie pozbawiony rodziny i był dorosłym mężczyzną, nie dzieckiem przerażonym nagłą utratą fundamentów swego istnienia. Rozpacz nie wiązała jej ze społecznością, a raczej oddzielała. Tego dnia wszyscy się cieszyli — prócz niej. Wszyscy wychwalali jej rodziców — ona jedna za nimi tęskniła; wolałaby pewnie, by nie wynajdywali lekarstwa dla innych, byle sami pozostali żywi.

Izolacja dziewczynki była tak wyraźna, że Pipó dostrzegał jej objawy nawet ze swego dalekiego miejsca. Novinha szybko zabrała rękę z dłoni burmistrz. Łzy jej obeschły, nim msza dobiegła końca. Siedziała milcząca, jak więzień odmawiający swym strażnikom współpracy. Pipó czuł, że pęka mu serce. Wiedział jednak, że choćby się starał, nie potrafi ukryć swego zadowolenia z końca Descolady, radości, że żadne z pozostałych dzieci nie zostało mu odebrane. Zauważy to natychmiast; próba pocieszenia zamieni się w drwinę i odepchnie ją jeszcze bardziej.

Po nabożeństwie szła pełna goryczy wśród tłumów ludzi pełnych dobrej woli, którzy z nieświadomym okrucieństwem powtarzali, że jej rodzice z pewnością byli świętymi, że siedzą po prawicy Boga. Cóż to za pocieszenie dla dziecka?

— Nigdy nam nie wybaczy dzisiejszego dnia — szepnął Pipó do żony.

— Wybaczy? — Conceição nie należała do kobiet, które natychmiast podchwytyją tor myśli męża. — Przecież to nie my zabiliśmy jej rodziców...

— Ale wszyscy dziś świętujemy, prawda? Tego nam nie wybaczy.

— Bzdura. Zresztą, i tak nie rozumie. Jest za mała.

Rozumie, pomyślał Pipó. Czy Maria nie rozumiała wielu spraw, gdy była nawet

młodsza od Novinhy?

Mijały lata — w tym roku już osiem — i widywał ją czasem. Była w wieku jego syna, Liba, a to oznaczało, że razem chodzili na lekcje. Słuchał jej wystąpień i referatów, które wygłaszały często wszystkie dzieci. Cechowała ją pewna elegancja myśli, precyzja analizy, która silnie do niego przemawiała. Jednocześnie dziewczynka robiła wrażenie całkowicie chłodnej, obojętnej wobec wszystkich. Chłopak Pipa, Libo, był nieśmiały, a przecież miał kilku przyjaciół i zdobył sympatię nauczycieli. Novinha nie miała przyjaciół, nie miała nikogo, czyjego spojrzenia szukałaby wzrokiem w chwili tryumfu. Nie było nauczyciela, który by ją szczerze lubił, ponieważ nie reagowała, nie okazywała wzajemności.

— Jest emocjonalnie sparaliżowana — powiedziała kiedyś Dona Crista, gdy Pipa o nią spytał. — Nie można sięgnąć do jej wnętrza. Twierdzi, że jest absolutnie szczęśliwa i nie widzi potrzeby zmian.

A teraz Dona Crista przysłała do Stacji Zenadora, by porozmawiać z Pipem. Dlaczego właśnie do niego? Potrafił wymyślić tylko jeden powód, by dyrektorka szkoły zjawiała się tutaj w sprawie pewnej osieroconej dziewczynki.

— Czy mam wierzyć, że przez te wszystkie lata, kiedy Novinha uczyła się w szkole, tylko ja o nią pytałem?

— Nie tylko — odparła. — Wielu ludzi interesowało się nią kilka lat temu, gdy Papież beatyfikował jej rodziców. Wszyscy pytali, czy córka Gusta i Cidy, Os Venerados, zauważyła kiedyś jakieś cudowne zdarzenia związane z jej rodzicami, dostrzeżone przez tak wiele osób.

— Naprawdę ją o to pytali?

— Krążyły różne plotki i biskup Peregrino musiał zbadać sprawę — Dona Crista zaciskała wargi mówiąc o młodym przywódcy duchowym kolonii. Ale wiadomo było, że stosunki między hierarchią a zakonem Filhos da Mente de Cristo nigdy nie były dobre. — Udzieliła bardzo pouczającej odpowiedzi.

— Wyobrażam sobie.

— Powiedziała, mniej więcej, że gdyby rodzice istotnie słuchali modłów i mieli w niebie jakiegokolwiek możliwości ich spełnienia, to czemu nie odpowiedzieli na jej prośby i nie wstali z grobu? To byłby pożyteczny cud, oświadczyła. I były już precedensy. Jeżeli Os Venerados posiadają moc sprawiania cudów, musi to oznaczać, że nie kochają jej na tyle, by odpowiedzieć na modły. Woli więc wierzyć, że rodzice nadal ją kochają i po prostu nie mają możliwości działania.

— Urodzona sofistka — mruknął Pipa.

— Sofistka i ekspert od poczucia winy. Powiedziała biskupowi, że jeśli Papież uznał rodziców za błogostawionych, to tak, jakby Kościół oświadczył, że jej nienawidzili. Petycja o kanonizację jest dowodem, że Łuskania nią pogardza; jeśli zaś zostanie wysłuchana, to sam Kościół okaże się nikczemny. Biskup Peregrino był wściekły.

— Zauważyłem, że mimo to wysłał petycję.

— Dla dobra społeczności. Poza tym, cuda zdarzały się przecież naprawdę.

— Ktoś dotyka grobowca i ból głowy przechodzi, więc krzyczy „Milagre! Os santos me abencoaram!” — Cud! Święci mnie pobłogosławili!

— Wiesz dobrze, że Rzym wymaga lepiej udokumentowanych cudów. Ale to nieistotne. Papież łaskawie zezwolił, byśmy nazwali nasze miasteczko „Milagre”. Wyobrażam sobie, że za każdym razem, gdy Novinha słyszy tę nazwę, rozpala się goręcej w swym sekretnym gniewie.

— Albo staje się zimniejsza. Nie wiadomo, jaką temperaturę mają takie uczucia.

— W każdym razie, Pipo, nie jesteś jedynym, który o nią pytał, ale jedynym, który pytał ze względu na nią samą, nie z powodu jej Świętobliwych i Błogosławionych rodziców. To smutne, że poza Filhos, prowadzącymi szkołę na Lusitaniu, nie zainteresował się dziewczynką nikt prócz Pipa, który przez te wszystkie lata poświęcił jej tylko okruchy swej uwagi.

— Ma jednego przyjaciela — wtrącił nagle Libo.

Pipo zapomniał o obecności syna — Libo był tak cichy, że nie było to trudne. Dona Crista także sprawiała wrażenie zaskoczonej.

— Libo — oświadczyła. — Byliśmy niedyskretni, rozmawiając w ten sposób o twojej szkolnej koleżance.

— Jestem asystentem Zenadora — przypomniał jej Libo. Miało to znaczyć, że nie chodzi już do szkoły.

— Kto jest tym przyjacielem? — spytał Pipo.

— Marcao.

— Marcos Ribeira — wyjaśniła Dona Crista. — Wysoki chłopak...

— Ach, tak. Ten, który jest zbudowany jak cabra.

— To prawda, jest silny — przyznała. — Ale nie zauważyłam między nimi żadnych oznak przyjaźni.

— Kiedyś oskarżono o coś Marcao, a ona to widziała i wstawiła się za nim.

— Twoja interpretacja, Libo, jest dość dowolna. Należałoby raczej powiedzieć, że oskarżyła chłopców, którzy naprawdę to zrobili i próbowali zrzucić winę na niego.

— Marcao pojmuję to inaczej — stwierdził Libo. — Widziałem parę razy, jak na nią patrzył. Nie jest to wiele, ale przynajmniej ktoś ją lubi.

— A czy ty ją lubisz? — spytał Pipo.

Libo zamilkł na chwilę, Pipo wiedział, co to oznacza: Bada sam siebie w poszukiwaniu odpowiedzi. Nie takiej, która zadowoli dorosłych, ani takiej, która ich zirytuje — dzieci w jego wieku uwielbiały tego typu drobne oszustwa. Chłopiec jednak oceniał własne uczucia, szukając prawdy.

— Wydaje mi się — powiedział w końcu — że dawała do zrozumienia, że nie chce być lubiana. Jakby była gościem, który lada dzień ma wrócić do domu. Dona Crista pokiwała głową.

— Otóż to. Takie właśnie sprawia wrażenie. Ale teraz, Libo, dla zachowania dyskrecji musimy cię prosić, żebyś wyszedł, gdy będziemy...

Zniknął, zanim skończyła zdanie. Skinął głową i uśmiechnął się, jakby mówił: Tak, rozumiem. Pewny krok bardziej wymownie świadczył o jego dyskrecji, niż ewentualne zapewnienia i prośba, by mógł zostać. Potrafił sprawić, by porównując się z nim dorośli mieli niewyraźne poczucie własnej niedojrzałości.

— Pipo — rzekła dyrektorka. — Ona złożyła prośbę o przedterminowy egzamin na ksenobiologa. Chce zająć miejsce swych rodziców. Pipo uniósł brwi.

— Twierdzi, że studiowała tę dziedzinę jeszcze jako dziecko. Jest gotowa podjąć pracę natychmiast, bez stażu.

— Ma trzynaście lat, prawda?

— Istnieją precedensy. Wielu ludzi przystępowało do takich egzaminów równie wcześnie. Raz zdał je nawet ktoś jeszcze młodszy. Zdarzyło się to dwa tysiące lat temu, ale to dozwolone. Naturalnie, biskup Peregrino jest przeciwny, ale burmistrz Bosquinha, niech Bóg błogosławi jej praktyczną duszę, twierdzi, że łuskania bardzo potrzebuje ksenobiologa. Trzeba się zająć stworzeniem nowych szczepów roślinnych, żebyśmy wreszcie mieli bardziej urozmaicone pożywienie i lepsze plony z lusitańskiej gleby. Cytując jej słowa: „Może być nawet niemowlakiem, byle była ksenobiologiem”.

— I chcesz, żebym przeprowadził ten egzamin?

— Gdybyś był tak uprzejmy...

— Z przyjemnością.

— Powiedziałam im, że się zgodzisz.

— Muszę wyznać, że mam pewne ukryte motywy.

— Doprawdy?

— Powinienem zrobić dla niej więcej, niż zrobiłem. Chcę się przekonać, czy nie jest za późno, by zacząć. Dona Crista roześmiała się.

— Pipo, cieszę się, że postanowiłeś spróbować. Ale wierz mi, drogi przyjacielu, że dotknięcie jej serca jest jak kąpiel w lodzie.

— Domyślam się. Wyobrażam sobie, że to jak lód dla tego, kto jej dotyka. Ale co ona wtedy czuje? Jest tak zimna, że dotknięcie musi ją parzyć jak ogień.

— Cóż za poetyka — rzekła Dona Crista. W jej głosie nie było ironii. Mówiła poważnie. — Czy prosiaczki rozumieją, że wystaliśmy im jako ambasadora najlepszego z nas?

— Próbuje ich przekonać, ale są raczej sceptyczni.

— myślę ci ją jutro. I ostrzegam — chce zdać ten egzamin na zimno. Nie zgodzi się na żadne pytania spoza dziedziny.

— Bardziej mnie martwi, co się stanie potem — uśmiechnął się Pipo. — Jeśli nie zda, będzie miała nowe problemy. Jeśli zda, wtedy ja zacznę je mieć.

— Dlaczego?

— Libo zacznie mnie męczyć, żebym pozwolił mu przedterminowo zdać egzamin na Zenadora. A kiedy mu się uda, będę mógł wrócić do domu, zwinąć się w kłębek i umrzeć.

— Jesteś zwariowanym romantykiem, Pipa. Jeśli w Milagre jest ktoś zdolny do uznania swego trzynastoletniego syna za kolegę, to tylko ty.

Kiedy odeszła, Pipa i Libo pracowali razem, jak zwykle. Pipa porównywał wyniki Liba, jego sposób myślenia, domysły i podejście z tym, co prezentowali studenci, których znał na uniwersytecie, zanim przyłączył się do Kolonii Lusitanii. Chłopiec był mały, musiał opanować jeszcze sporo wiedzy i teorii, ale był już prawdziwym uczonym w metodyce i humanistą w sercu. Nim skończyli i pod wielkim, oślepiająco jasnym księżycem ruszyli razem w stronę domu, Pipa uznał, że syn zasługuje, by traktować go jak kolegę. Nieważne, czy przystąpi do egzaminu, czy nie. Testy i tak nie potrafią zmierzyć tego, co naprawdę się liczy.

I nieważne, jak zareaguje Novinha, ale Pipa zamierzał się przekonać, czy posiada ona te niewymierne cechy naukowca. Jeśli nie, postara się, by nie zdawała egzaminu, choćby zapamiętała nie wiedzieć ile faktów.

Pipa nie zamierzał jej niczego ułatwiać. Novinha wiedziała, jak zachowują się dorośli, gdy planują się jej przeciwstawić, ale nie chciała się kłócić, czy nawet być złośliwa. Oczywiście, oczywiście, możesz przystąpić do testów. Ale nie ma powodów do pośpiechu. Oczekajmy chwilę, upewnijmy się, że zdasz za pierwszym podejściem. Novinha nie chciała czekać. Novinha była gotowa.

— Przeskoczę przez wszystkie poprzeczki, obojętnie, jak wysoko je ustawisz — oświadczyła. Jego twarz zeszywniała. Jak zawsze ich twarze. Wszystko w porządku, ten chłód jej nie przeszkadza, sama może zamrozić ich na śmierć.

— Nie chcę, żebyś skakała przez poprzeczki — powiedział.

— Proszę tylko, żebyś zestawił je razem. Żebym mogła załatwić to szybko. Nie chcę czekać całymi dniami. Zamyślił się.

— Tak bardzo ci się spieszy?

— Jestem gotowa. Gwiezdny Kodeks zezwala mi przystąpić do testu. To sprawa między mną a Gwiezdnym Kongresem. Nigdzie nie jest napisane, że ksenolog ma podejmować decyzje, zamiast Międzyplanetarnej Komisji Egzaminacyjnej.

— Nie przeczytałaś dokładnie.

— Żeby zdawać, zanim skończę szesnaście lat, potrzebuję jedynie zgody mojego prawnego opiekuna. Nie mam prawnego opiekuna.

— Wręcz przeciwnie — stwierdził Pipa. — Od dnia śmierci rodziców twoim opiekunem jest burmistrz Bosquinha.

— I zgodziła się na ten egzamin.

— Pod warunkiem, że najpierw porozmawiasz ze mną.

Novinha dostrzegła, że przygląda się jej w skupieniu. Nie znała Pipa; pomyślała

więc, że jego spojrzenie oznacza to, co spotkała już u tak wielu ludzi: pragnienie dominacji, zawładnięcia nią, chęć przełamania determinacji i niezależności, zmuszenia jej do poddania. W jednej chwili jej chłód zmienił się w płomień.

— Co możesz wiedzieć o ksenobiologii? Chodzisz tylko i rozmawiasz z prosiaczkami! Nie domyślasz się nawet, jak funkcjonują geny! Kim jesteś, że chcesz mnie osądzić? Lusitania potrzebuje ksenobiologa, nie mieli go już od ośmiu lat! A ty chcesz, żeby czekali jeszcze dłużej tylko dlatego, żebyś się poczuł ważny!

Ku jej zdumieniu, nie zdenerwował się, nie próbował bronić, nie rozgniewał. Jakby w ogóle się nie odzywała.

— Rozumiem — stwierdził cicho. — To miłość dla mieszkańców Lusitanii pchnęła cię do ksenobiologii. Widząc, jak bardzo tego potrzebują, drogą wielu poświęceń przygotowałaś się do wczesnego wejścia w życie oddane altruistycznej służbie społeczeństwu. W jego ustach brzmiało to absurdalnie. I wcale nie opisywało jej uczuć.

— Czy to nie wystarczające powody?

— Gdyby były prawdziwe, wystarczyłyby aż nadto.

— Zarzucasz mi kłamstwo?

— Twoje własne słowa cię oskarżają. Mówiłaś, jak bardzo oni, mieszkańcy Lusitanii, cię potrzebują. A przecież żyjesz wśród nas. Żyjesz tu od dnia swych urodzin. Gotowa się dla nas poświęcić. I mimo to nie czujesz się członkiem tej społeczności. Nie był jak inni dorośli. Ci zawsze wierzyli w kłamstwa, jeśli tylko sprawiały, że wydawała się dzieckiem, jakim chcieli ją widzieć.

— Dlaczego mam się czuć członkiem społeczności? Nie należę do niej. Ze smutkiem pokiwał głową, jakby zastanawiając się nad jej odpowiedzią.

— A do jakiej społeczności należysz?

— Jest jeszcze tylko jedna: społeczność prosiaczków. Z pewnością nie spotkałeś mnie wśród tych czcicieli drzew.

— Na Lusitanii istnieje wiele społeczności. Na przykład studentów.

— Nie dla mnie.

— Wiem. Nie masz przyjaciół ani bliskich koleżanek, uczęszczasz na msze, ale nie chodzisz do spowiedzi. Trzymasz się od nas z daleka. O ile to możliwe, nie stykasz się wcale z życiem tej kolonii, nie stykasz się z życiem ludzkiej rasy. Istniejesz w całkowitej izolacji. Novinha nie była na to przygotowana. Pipo nazwał właśnie najbardziej ukryte cierpienie jej życia, a ona nie zaplanowała strategii obrony.

— Jeśli nawet, to nie z mojej winy.

— Wiem. I wiem także, kiedy to się zaczęło i czyja to wina, że trwa po dziś dzień.

— Moja?

— Moja. I wszystkich pozostałych. Ale przede wszystkim moja, ponieważ widziałem, co się z tobą dzieje i nie zrobiłem nic, by to zmienić. Aż do dzisiaj.

— I właśnie dzisiaj chcesz mi odebrać jedyną rzecz, jaka ma dla mnie znaczenie! Dziękuję za takie współczucie.

Raz jeszcze kiwnął głową, jakby przyjmował i dziękował jej za te ironiczne wyrazy wdzięczności.

— W pewnym sensie, Novinho, nie ma znaczenia, że to nie twoja wina. Ponieważ miasto Milagre istotnie jest społecznością i czy traktowało cię gorzej czy lepiej, musi działać tak, jak wszystkie społeczności, by zapewnić możliwie najwięcej szczęścia wszystkim swoim członkom.

— To znaczy wszystkim na Lusitanii, oprócz mnie... i prosiaczków.

— Ksenobiolog jest bardzo potrzebny w każdej kolonii, a zwłaszcza takiej jak ta, otoczonej murem, który na zawsze ogranicza jej rozrost. Nasz ksenobiolog musi znaleźć sposób, by zbierać więcej białka i węglowodanów z hektara. To oznacza genetyczne zmiany w ziemskiej kukurydzy i ziemniakach, by potrafiły...

— By potrafiły w maksymalnym stopniu wykorzystać składniki odżywcze istniejące w lusitańskim środowisku. Nie sądzisz chyba, że chcę przystąpić do egzaminu nie wiedząc, na czym ma polegać praca mojego życia.

— Ma polegać na poprawianiu życia ludziom, którymi gardzisz. Novinha dostrzegła pułapkę, którą dla niej zastawił. Było jednak za późno; potrzask zamknął się.

— Uważasz, że ksenobiolog nie może wykonywać swej pracy, jeśli nie kocha ludzi, korzystających z jej wytworów?

— Nie obchodzi mnie, czy nas kochasz. Muszę wiedzieć, czego chcesz naprawdę. Dlaczego tak bardzo ci na tym zależy.

— To proste. Moi rodzice zginęli przy takiej pracy i chcę zająć ich miejsce.

— Może — mruknął Pipo. — A może nie. Ale chcę wiedzieć, Novinho, muszę wiedzieć, zanim wyrażę zgodę na egzamin, do jakiej należysz społeczności.

— Sam przecież powiedziałeś! Do żadnej!

— Niemożliwe. Każdego z nas określają społeczności, do jakich należy i do jakich nie należy. Jestem tym, tym i tym, ale na pewno nie tamtym, tamtym ani tamtym. Twoje określenia są wyłącznie negatywne. Mógłbym spisać nieskończoną listę osób, którymi nie jesteś. Jednak ktoś, kto nie poczuwa się do przynależności do żadnej grupy społecznej, zawsze w końcu popełnia samobójstwo. Albo zabijając ciało, albo rezygnując z osobowości i wpadając w obłąd.

— To właśnie ja. Szalona do szpiku kości.

— Wcale nie szalona. Raczej popychana przerażającą świadomością celu życia. Jeśli przystąpisz do testów, zdasz je. Ale zanim ci na to pozwolę, muszę wiedzieć: czym się staniesz, gdy zdasz? W co wierzysz, czego jesteś częścią, na czym ci zależy, co kochasz?

— Nikogo na tym ani na żadnym ze światów.

— Nie wierzę ci.

— Nigdy nie spotkałam dobrego mężczyzny ani kobiety, oprócz moich rodziców, a oni nie żyją! Zresztą, nawet oni... nikt niczego nie pojmuje.

— To znaczy: ciebie.

— Jestem częścią wszystkiego, prawda? Ale nikt nie rozumie nikogo, nawet ty, chociaż udajesz, że jesteś taki mądry i pełen współczucia. A naprawdę zmuszasz mnie tylko do płaczu, ponieważ jesteś w stanie uniemożliwić mi to, co chcę robić...

— I to nie jest ksenobiologia.

— Właśnie, że jest! Przynajmniej częściowo.

— A reszta?

— To, kim ty jesteś. I co robisz. Ale robisz to źle, robisz głupio...

— A więc ksenobiolog i ksenolog.

— Popełnili idiotyczną pomyłkę stwarzając nową dziedzinę nauki, by studiować prosiaczków. To była zwykła banda starych antropologów, którzy tylko zmienili kapelusze i nazwali się ksenologami. Ale przecież nie możesz zrozumieć prosiaczków obserwując tylko, jak się zachowują! Są rezultatem zupełnie innej ewolucji. Trzeba poznać ich geny, to, co się dzieje we wnętrzu ich komórek. I komórek innych zwierząt, bo przecież nie można ograniczać badań! Nikt nie żyje w izolacji...

Nie rób mi wykładu, pomyślał Pipo. Powiedz raczej, co czujesz. I, by ją sprowokować, zmusić do okazania emocji, szepnął:

— Oprócz ciebie. Udało się. Chłodna, pogardliwa poza zniknęła. Novinha była teraz podniecona i pełna zapału.

— Nigdy ich nie zrozumiesz! A ja tak!

— Dlaczego tak się nimi przejmujesz? Czym są dla ciebie prosiaczki?

— Nigdy nie zdołasz pojąć. Jesteś przecież dobrym katolikiem — ostatnie słowo wypowiedziała z głęboką pogardą. — To książka, która jest na indeksie. Nagłe zrozumienie rozjaśniło twarz Pipa.

— Królowa Kopca i Hegemon.

— Trzy tysiące lat temu żył ten, który nazwał siebie Mówcą Umarłych. I rozumiał robali. Zniszczyliśmy ich, jedyną obcą rasę, jaką spotkaliśmy, zabiliśmy ich wszystkich, ale on rozumiał.

— I chcesz napisać historię prosiaczków tak jak pierwszy Mówca napisał historię robali?

— Mówisz, jakby było to tak proste, jak naukowy artykuł. Nie wiesz, jak trudno było stworzyć Królową Kopca i Hegemona. Jak cierpiał, gdy... gdy musiał sobie wyobrazić siebie we wnętrzu obcego umysłu... i wyszedł stamtąd przepętiony miłością dla tego wspaniałego stworzenia, które zabiliśmy. Żył w tym samym okresie, co najgorsza z ludzkich istot w całej historii, Ender Ksenobójca, który zniszczył robali... i zrobił, co tylko mógł, by odkupić zbrodnię Endera, ożywić martwych...

— Ale nie mógł.

— Przecież ich ożywił! Dzięki niemu żyją znowu. Wiedziałbyś o tym, gdybyś przeczytał tę książkę. Nie wiem, co potrafił Jezus. Słucham biskupa Peregrino i nie sądzę, żeby kapłani mieli moc zmieniania opłatków w ciało albo odpuszczenia choćby miligrama grzechu. Ale Mówca Umarłych przywrócił życie Królowej Kopca.

— Więc gdzie ona jest?

— Tutaj! We mnie! Pokiwał głową.

— Jest w tobie jeszcze ktoś inny: Mówca Umarłych. To nim chciałabyś zostać.

— To jedyna prawdziwa historia, jaką znam — odparła. — Jedyna, która mnie obchodzi. Czy to właśnie chciałeś usłyszeć? Że jestem heretykiem? Że praca mojego życia ma dodać jeszcze jedną księgę do indeksu prawd, których dobremu katolikowi nie wolno czytać?

— Chciałem poznać — rzekł cichym głosem Pipó — imię tego, czym jesteś, zamiast imion wszystkiego, czym nie jesteś. Jesteś Królową Kopca. Jesteś Mówcą Umarłych. To niewielka społeczność, niewielka liczba, lecz ogromna sercem. Postanowiłaś nie przyłączać się do tych dziecięcych grup, których jedynym celem istnienia jest izolacja osób do nich nie należących. I ludzie patrzają na ciebie i mówią: biedne dziecko, jest taka samotna. Ty jednak znasz tajemnicę, wiesz, kim jesteś naprawdę. Jesteś jedyną ludzką istotą, zdolną zrozumieć obcy umysł, ponieważ jesteś obcym umysłem; wiesz, co oznacza nie być człowiekiem, gdyż nie istniała nigdy grupa ludzi, która wystawiłaby ci świadectwo rzeczywistej przynależności do homo sapiens.

— Teraz twierdzisz, że nie jestem nawet człowiekiem? Przez ciebie płakałam jak dziecko, bo nie chciałeś mnie dopuścić do egzaminu, przez ciebie się poniżałam, a teraz mówisz, że nie jestem człowiekiem?

— Możesz przystąpić do testów. Jego słowa zawisły w powietrzu.

— Kiedy? — szepnęła.

— Dziś wieczór. Jutro. Kiedy tylko zechcesz. Przerwę pracę, żeby ci pomóc jak najszybciej je zakończyć.

— Dziękuję! Dziękuję! Ja...

— Stań się Mówcą Umarłych. Postaram się ci pomóc. Prawo zakazuje mi zabierać kogokolwiek prócz mojego ucznia, mojego syna Libo, na spotkania z pequeninos. Ale udostępniły ci nasze notatki. Pokażemy wszystko, czego się dowiemy. Nasze domysły i teorie. W zamian ty także pokażesz nam wyniki swojej pracy, rezultaty badań wzorców genetycznych tego świata, które mogą nam pomóc zrozumieć pequeninos. A kiedy już dowiemy się wystarczająco dużo, razem, wtedy możesz napisać swoją książkę, zostać Mówcą. Ale nie Mówcą Umarłych. Pequeninos nie są martwi. Uśmiechnęła się mimowolnie.

— Mówcą Żyjących?

— Ja też czytałem Królową Kopca i Hegemona — wyznał. — Nie wyobrażam sobie

lepszego miejsca, w którym mogłabyś odnaleźć swe imię. Jednak nie ufała mu jeszcze, nie chciała uwierzyć w pozorne obietnice.

— Będę tu często przychodzić. Przez cały czas.

— Zamykamy wszystko, kiedy wracamy do domu, do łóżek.

— Ale przez resztę dnia. Będziesz miał mnie dosyć. Powiesz, żebym się wynosiła. Będziesz miał przede mną tajemnice. Każesz siedzieć cicho i nie wspominać o moich pomysłach.

— Dopiero się zaprzyjaźniliśmy, a już uważasz mnie za kłamcę i oszusta, niecierpliwego ofermentę?

— Tak będzie; zawsze tak jest. Wszyscy mają mnie dość... Pipo wzruszył ramionami.

— I co z tego? *Zdarza się*, że chcemy, by ktoś sobie poszedł. Może się zdarzyć, że zechcę, byś ty też sobie poszła. Ale mówię ci teraz, że nawet wtedy, nawet jeśli ci powiem, żebyś się wynosiła, nie musisz odchodzić. To była najbardziej szokująca, najwspanialsza rzecz, jaką w życiu słyszała.

— To wariactwo.

— Jedna sprawa. Obiecuj, że nigdy me spróbujesz wyjść do pequeninos. Ponieważ nie będę mógł ci na to pozwolić, a jeśli dokonasz tego mimo wszystko, Gwiezdny Kongres przerwie wszystkie nasze badania i *zakaże* wszelkich z nimi kontaktów. Obiecujesz? Inaczej wszystko: moja praca, twoja praca — wszystko pójdzie na marne.

— Obiecuję.

— Kiedy zaczniesz testy?

— Natychmiast! Czy mogę zacząć zaraz?

Roześmiał się cicho, po czym wyciągnął rękę i nie patrząc dotknął klawiatury. Ekran ożył nagle i pierwsze modele genetyczne pojawiły się w powietrzu nad terminalem.

— Przygotowałeś egzamin — stwierdziła. — Mogliśmy zaczynać w każdej chwili. Od samego początku wiedziałeś, że się zgodzisz. Pokręcił głową.

— Miałem nadzieję — wyjaśnił. — Wierzyłem w ciebie. Chciałem ci pomóc osiągnąć to, o czym marzysz. Jeśli to coś dobrego. Nie byłaby Novinhã, gdyby powstrzymała się od ostatniej jadawitej uwagi.

— Rozumiem — powiedziała. — Jesteś sędzią marzeń. Może Pipo nie wiedział, że to obraza. Uśmiechnął się tylko.

— Wiara, nadzieja i miłość, to wspaniała trójca — odparł. — Miłość jest z nich najpotężniejsza.

— Ale ty mnie nie kochasz — stwierdziła.

— Coś takiego... ja jestem sędzią marzeń, a ty sędzią miłości. W takim razie uznaję cię winną dobrych marzeń i skazuję na życie wypełnione pracą i cierpieniem dla ich realizacji. Mam tylko nadzieję, że nie uniewinnisz mnie kiedyś w sprawie o zbrodnię

miłości do ciebie. Zamyślił się.

— W czasie Descolady straciłem córkę, Marię. Byłaby teraz o kilka lat starsza od ciebie.

— Przypominam ci ją?

— Miałem nadzieję, że będzie zupełnie do ciebie niepodobna. Zaczęła egzamin. Trwał trzy dni. Zdała z wynikiem lepszym niż wielu studentów uniwersytetu. W jej wspomnieniach jednak test przetrwał dlatego, że był początkiem kariery, końcem dzieciństwa, potwierdzeniem decyzji o celu życia. Miała go pamiętać, ponieważ wtedy rozpoczął się jej czas w Stacji Zenadora, gdzie Pipo, Libo i Novinha tworzyli społeczność, do której należała — pierwszą od dnia, gdy złożono do grobu rodziców.

Nie było to łatwe, zwłaszcza na początku. Novinha nie od razu odzwyczaiła się od prowokowania konfliktów. Pipo rozumiał to i był przygotowany, by uformować ją uderzeniami stów. Dla Liba sytuacja była trudniejsza. Traktował Stację Zenadora jako miejsce, gdzie mogli być z ojcem sami. Teraz, bez pytania go o zgodę, pojawił się ktoś trzeci, osoba zimna i oschła, traktująca go jak dziecko, choć w tym samym wieku. Czuł rozgoryczenie, gdyż miała pełny status ksenobiologa i wszelkie wynikające z tego uprawnienia, przysługujące dorosłym, gdy on wciąż był tylko uczniem.

Starał się znosić to cierpliwie. Był z natury spokojny i przychodziło mu to bez trudu. Rzadko reagował na zaczepki, Pipo jednak, znając swego syna, widział, że chłopiec płonie. Po pewnym czasie Novinha, mimo swej niewrażliwości, dostrzegła, że prowokuje Liba bardziej niż potrafiłby wytrzymać normalny młody człowiek. Zamiast jednak zmienić swe postępowanie, potraktowała sytuację jak wyzwanie. W jaki sposób może wymusić jakąś reakcję tego nienaturalnie cichego, delikatnego chłopca?

— Chcesz powiedzieć, że przez te wszystkie lata nie poznaliście nawet sposobu reprodukcji prosiaczków? — spytała pewnego dnia. — Skąd wiecie, że są samcami?

— Wyjaśniliśmy im, na czym polega różnica płci, kiedy uczyli się naszych języków — odparł spokojnie Libo. — Zdecydowali, by nazywać się mężczyznami. O innych, których nigdy nie widzieliśmy, mówili jako o kobietach.

— Ale z tego co wiecie, mogą się równie dobrze rozmnażać przez pączkowanie! Albo przez podział!

Mówiła tonem pełnym pogardy. Libo milczał przez chwilę. Pipo wyobrażał sobie, jak syn starannie układa w myślach odpowiedź, aż stanie się uprzejma i bezpieczna.

— Chciałbym, by nasza praca bardziej przypominała antropologię fizyczną — stwierdził. — Moglibyśmy wtedy lepiej wykorzystać twoje badania nad systemami wewnątrzkomórkowymi do tego, czego się dowiadujemy o pequeninos. Novinha wydawała się wstrząśnięta.

— To znaczy, że nie pobieracie nawet próbek tkanki?

Libo zarumienił się lekko. Tak pewnie by się zachowywał podczas przesłuchania przez Świętą Inkwizycję, pomyślał Pipó.

— To chyba rzeczywiście głupie — przyznał chłopiec. — Ale obawiamy się, że pequeninos zaczną pytać, po co zabieramy kawałki ich ciała. Gdyby potem któryś przypadkiem zachorował, to czy nie pomyślą, że to my sprowadziliśmy chorobę?

— Możecie przecież zabrać coś, co tracą w sposób naturalny. Ze zwykłego włosa można się wiele dowiedzieć.

Libo kiwnął głową; Pipó, obserwujący wszystko ze swego miejsca przy terminalu po przeciwnej stronie pokoju, rozpoznał ten gest — Libo nauczył się go od ojca.

— Prymitywne plemiona na Ziemi wierzą, że tego typu fragmenty ciała zawierają cząstkę ich siły życiowej. Prosiaczki też mogą uznać, że chcemy na nich rzucić urok.

— Przecież znacie ich język. Zdawało mi się, że kilku z nich opanowało stark — nie starała się ukryć lekceważenia. — Moglibyście wytłumaczyć, do czego potrzebujecie próbek.

— Masz rację — zgodził się spokojnie. — Ale wyjaśniając, moglibyśmy nieświadomie nauczyć ich pewnych pojęć biologicznych, tysiące lat przed naturalnym osiągnięciem tego etapu rozwoju. Dlatego właśnie prawo zabrania udzielania takich informacji. Novinha uznała się w końcu za pokonaną.

— Nie zdawałam sobie sprawy, jak mocno wiąże was doktryna minimalnej ingerencji. Pipó z zadowoleniem przyjął to przyznanie się do porażki. Dziewczynka jednak czuła się teraz upokorzona, a to było jeszcze gorsze. Żyła dotąd w takiej izolacji, że nawet jej wypowiedzi sprawiały wrażenie fragmentów oschle napisanego podręcznika. Pipó nie był pewien, czy już nie jest za późno, by nauczyła się zachowywać jak normalny człowiek. Nie było za późno. Gdy tylko zorientowała się, że obaj są znakomitymi specjalistami, zarzuciła swą agresywną postawę i przyjęła krańcowo przeciwną. Całymi tygodniami prawie się nie odzywała, studiując tylko ich raporty i próbując pojąć cel, jaki przyświecał ich działaniom. Od czasu do czasu zadawała pytania, na które odpowiadali grzecznie i wyczerpująco.

Zażyłość stopniowo zastąpiła grzeczność. Pipó i Libo zaczęli otwarcie dyskutować w jej obecności, głośno relacjonując swoje teorie o przyczynach występowania tych czy innych wzorców zachowań prosiaczków, znaczenia ich dziwnych czasem stwierdzeń i powodów irytującej niedostępności. A że nauka o prosiaczkach była stosunkowo młodą dziedziną wiedzy, Novinha wkrótce zgłębiła jej tajniki, choć tylko z drugiej ręki, i potrafiła sama wysuwać pewne hipotezy.

— W końcu, wszyscy jesteście ślepi — mówił Pipó, by ją zachęcić.

Pipó przewidział to, co miało się wydarzyć. Starannie pielęgnowany spokój i opanowanie Liba sprawiały, że nawet gdy ojcu udawało się nakłonić go do towarzyskich kontaktów, wydawał się rówieśnikom zimny i pełen rezerwy. Izolacja Novinhy była bardziej widoczna i równie ścisła. Teraz jednak wspólne

zainteresowanie prosiaczkami zbliżyło ich do siebie — z kim jeszcze mogli rozmawiać, gdy nikt prócz Pipa nie rozumiał nawet, o czym mówią?

Wypoczywali razem i często zaśmiewali się do łez z żartów, które nie rozśmieszyłyby żadnego Luso. Na wzór prosiaczków, nadających imiona wszystkim drzewom w lesie, Libo dla zabawy ponazywał meble w Stacji Zenadora i od czasu do czasu informował, że niektóre z nich są w złym nastroju i nie należy ich niepokoić.

— Nie siadaj na Krześle! — mówił. — Znowu miesiączkuje.

Nigdy nie widzieli kobiet prosiaczków, a mężczyźni wypowiadali się o nich z religijnym niemal szacunkiem. Novinha napisała więc serię żartobliwych raportów na temat wymyślonej samicy, zwanej Wielebną Matką, przezabawnie złośliwej i wymagającej.

Nie wszystko jednak było zabawne. Zdarzały się problemy i zmartwienia, a raz nawet prawdziwe przerażenie, że zrobili dokładnie to, do czego Gwiazdny Kongres za wszelką cenę usiłował nie dopuścić: dokonali radykalnych zmian w społeczności prosiaczków. Wszystko zaczęło się, jak zwykle, od Korzeniaka, który uparcie zadawał trudne, niezrozumiałe pytania w rodzaju: „Jeśli nie ma innego miasta ludzi, to jak możecie wyruszać na wojnę? Zabijanie Małego Ludu nie przynosi wam chwały”. Pipo mamrotał coś o tym, że ludzie nigdy nie zabijają pequeninos; wiedział jednak, że Korzeniak nie o to naprawdę pytał. Od lat Pipo wiedział, że prosiaczki znają pojęcie wojny, ale przez długie dni po tej rozmowie Libo spierał się z Novinhą, czy pytanie Korzeniaka dowodzi, iż uznają wojnę za coś pożądanego, czy po prostu nieuniknionego. Korzeniak zresztą dostarczał im wielu informacji, czasem istotnych, czasem nie — i wielu takich, których wagę trudno było ocenić. W pewien sposób był on najlepszym dowodem słuszności polityki, zakazującej ksenologom stawiania pytań, zdradzających ludzkie oczekiwania, a zatem i praktyki społeczne. Pytania Korzeniaka były zawsze bardziej pouczające niż jego odpowiedzi.

Jednak ostatnią informację Korzeniak przekazał im nie w formie pytania, lecz jako swój domysł, wyrażony w rozmowie z Libem. Pipo oddalił się wtedy, by zbadać metodę budowy chaty z drewnianych bali.

— Wiem, wiem — oznajmił. — Dobrze wiem, czemu Pipo jeszcze żyje. Wasze kobiety są zbyt głupie, by dostrzec jego mądrość.

Libo wysiłł umysł, by zrozumieć znaczenie tego pozornego non sequitur. Czy Korzeniak uważał, że gdyby ludzkie kobiety były sprytniejsze, zabiłyby Pipa? Rozmowa o zabijaniu budziła niepokój i Libo nie wiedział, jak ma sobie poradzić z tą najwyraźniej ważną kwestią. Nie mógł wezwać na pomoc Pipa, gdyż Korzeniak w oczywisty sposób chciał ją przedyskutować tak, by Pipo tego nie słyszał. Gdy chłopiec nie odpowiadał, Korzeniak naciskał dalej.

— Wasze kobiety są słabe i głupie. Powiedziałem o tym innym, a oni poradzili, by zapytać ciebie. Wasze kobiety nie widzą mądrości Pipa. Czy to prawda?

Korzeniak wydawał się niezwykle podniecony; oddychał ciężko i bez przerwy

wyrywał włosy z ramion, po cztery czy pięć na raz. Libo musiał mu jakoś odpowiedzieć.

— Większość kobiet go nie zna — stwierdził.

— Skąd więc będą wiedziały, kiedy powinien umrzeć? — spytał Korzeniak. Potem nagle znieruchomiał i oświadczył bardzo głośno: — Jesteście cabry!

Dopiero wtedy pojawił się Pipo, zaintrygowany powstałym zamieszaniem. Od razu się zorientował, że Libo rozpaczliwie potrzebuje wsparcia. Nie miał jednak pojęcia, czego dotyczyła rozmowa. Jak mógł pomóc? Słyszał tylko Korzeniaka, mówiącego, że ludzie — a przynajmniej Pipo i Libo — są w czymś podobni do wielkich zwierząt, pasących się ogromnymi stadami na prerii. Nie potrafił określić, czy Korzeniak był zagniewany, czy zadowolony.

— Jesteście cabry! To wy decydujecie! — wskazał na Liba, a potem na Pipa. — Wasze kobiety nie wybierają waszego honoru! Wy to robicie! Tak jak w bitwie, ale przez cały czas! Pipo nie wiedział, o czym mówi Korzeniak, lecz zauważył, że wszyscy pequeninos znieruchomieli jak kłody, czekając na jego — lub Liba — odpowiedź. A Libo był najwyraźniej zbyt przerażony niezwykłym zachowaniem prosiaczka, by śmiał cokolwiek odpowiedzieć. Pipo nie widział innego wyjścia, niż wyjawienie prawdy; w końcu była to stosunkowo oczywista i raczej trywialna informacja o społeczeństwie ludzi. Postępował wbrew zasadom ustanowionym przez Gwiezdny Kongres, ale milczenie mogło wyrządzić jeszcze większe szkody. Zaczął więc mówić.

— Kobiety i mężczyźni decydują razem, albo decydują każde za siebie. Nikt nie decyduje za kogoś innego.

Najwyraźniej na to właśnie czekali pequeninos.

— Cabry — powtarzali ciągle. Pohukując i gwiżdżąc podbiegli do Korzeniaka, unieśli go na ramionach i zniknęli w gąszczu. Pipo chciał iść za nimi, ale dwóch prosiaczków zatrzymało go kręcąc głowami. Już dawno nauczyli się tego ludzkiego gestu, jednak dla nich miał on silniejsze znaczenie. Był to absolutny zakaz przejścia. Szli do kobiet — w jedyne miejsce, całkowicie dla ludzi niedostępne. W drodze do domu Libo wyjaśnił, co było początkiem kłopotów.

— Wiesz, co powiedział Korzeniak? Że nasze kobiety są słabe i głupie.

— To dlatego, że nigdy nie spotkał burmistrz Bosquinhy. Albo twojej matki. Libo roześmiał się, gdyż Conceicao rządziła archiwami, jakby były starym estacao wśród dzikiego mato — kto wkraczał na jej terytorium, musiał się całkowicie podporządkować jej prawom. Lecz śmiejąc się chłopiec czuł, że coś mu umyka, jakaś ważna idea... O czym właściwie mówiliśmy?

Rozmowa trwała; Libo zapomniał, a wkrótce potem zapomniał, że zapomniał. Nocą słyszeli dudniący dźwięk, który uznawali za element jakiegoś święta. To walenie ciężkimi kijami w wielkie bębny nie zdarzało się często, dziś jednak ceremonia zdawała się nie mieć końca. Pipo i Libo zastanawiali się, czy idea równouprawnienia

plci wśród ludzi nie dała samcom pequeninos nadziei wyzwolenia.

— Można to zakwalifikować jako poważną zmianę zachowań prosiaczków — stwierdził posępnie Pipó. — Jeśli przekonamy się, że to my jesteśmy jej powodem, będę musiał o tym zameldować. Kongres nakaże zapewne zerwanie wszelkich z nimi kontaktów. Na pewien czas. Może na całe lata.

To było smutne — że sumienne traktowanie pracy może doprowadzić do zakazu jej wykonywania.

Rankiem Novinha odprowadziła ich do wysokiego ogrodzenia, oddzielającego miasto ludzi od zalesionych wzgórz, gdzie żyły prosiaczki. Pipó i Libo wciąż starali przekonać sami siebie, że nie mogli postąpić inaczej, więc dziewczynka pobiegła przodem i pierwsza dotarła do bramy. Kiedy ją dogonili, wskazała kwadrat świeżo odsłoniętej, czerwonej ziemi, około trzydziestu metrów za ogrodzeniem.

— To coś nowego — zauważyła. — I coś tam leży.

Pipó otworzył bramę, a Libo, jako młodszy, wyrwał się pierwszy. Zatrzymał się na skraju plamy nagiej ziemi i zeszywniał nagle, wpatrzony w to, co na niej leżało. Widząc to, Pipó także stanął, a Novinha, bojąc się o Liba, zlekceważyła regulamin i wybiegła na zewnątrz. Libo odchylił głowę do tyłu i osunął się na kolana; chwycił się za włosy i zapłakał. Na ziemi leżał rozciągnięty Korzeniak. Został wypatroszony i to bardzo umiejętnie. Rozdzielono starannie wszystkie organy, a mięśnie i ścięgna rozłożono w symetryczny wzór na wysychającej glinie. Wszystko zachowało połączenie z korpusem — niczego nie oderwano zupełnie.

Placz Liba był niemal histeryczny. Novinha uklękła przy nim, objęła go i kotysała, starając się uspokoić. Pipó wyjął niewielki aparat i metodycznie zaczął robić zdjęcia z różnych kątów, by później komputer mógł przeanalizować wszystko w szczegółach. — Żył jeszcze, kiedy mu to robili — stwierdził Libo, gdy już uspokoił się na tyle, by mówić. Wypowiadał słowa powoli i starannie, jakby był cudzoziemcem, uczącym się dopiero obcego języka. — Na ziemi jest tyle krwi i tryskała tak daleko, że serce musiało bić, kiedy go rozcinali.

— Później porozmawiamy — uciął Pipó. Myśl, która wczoraj umknęła Libowi, powróciła teraz z okrutną wyrazistością.

— Wczoraj Korzeniak mówił o kobietach. To one decydują, kiedy mężczyźni mają umrzeć. Powiedział mi, a ja...

Przerwał. Oczywiście, że nic nie zrobił. Prawo zakazywało ingerencji. W tej właśnie chwili zdecydował, że nienawidzi prawa. Jeśli oznaczało zgodę, by taki los spotkał Korzeniaka, to znaczy, że było bezduszne. Korzeniak był osobą. Nie można pozwolić, by coś takiego spotkało osobę tylko dlatego, że się ją studiuje.

— Uhonorowali go — zauważyła Novinha. — Jeśli czegokolwiek można być pewnym, to właśnie uczucia, jakim darzą drzewa. Widzicie? Z wnętrza pusteju już klatki piersiowej wyrastał niewielki pęd.

— Posadzili drzewo, by oznaczyć miejsce jego spoczynku.

— Teraz wiemy, dlaczego wszystkie drzewa mają imiona — stwierdził z goryczą Libo. — Są nagrobkami prosiaczków, których zamęczyli na śmierć.

— To bardzo wielki las — stwierdził rzeczowo Pipo. — Spróbujcie ograniczyć hipotezy do tego, co jest choćby w minimalnym stopniu prawdopodobne.

Uspokoił się trochę pod wpływem jego spokojnego, chłodnego głosu, jego przekonania, że nawet w tej sytuacji muszą się zachowywać jak naukowcy.

— Co powinniśmy zrobić? — spytała Novinha.

— Powinniśmy jak najszybciej odprowadzić cię za ogrodzenie — odparł Pipo. — Nie wolno ci tu przebywać.

— Ale... co z ciałem? Co zrobimy ze zwłokami?

— Nic. Prosiaczki zrobiły to, co robią prosiaczki, dla własnych, prosiaczkowych powodów. Pomógł Libowi wstać.

Przez chwilę Libo miał trudności z utrzymaniem równowagi; przez pierwszych kilka kroków oboje musieli go podtrzymywać.

— Co ja powiedziałem? — szepnął. — Nie wiem nawet, co takiego powiedziałem, co go potem zabiło.

— To nie ty — oświadczył Pipo. — To ja.

— Czy wam się wydaje, że oni należą do was? — oburzyła się Novinha. — Że jesteście tu najważniejsi? Prosiaczki to zrobiły i miały po temu jakieś powody. Widać, że to nie pierwszy raz. Byli zbyt sprawni przy wiwisekcji, by miała to być pierwsza próba.

— Tracimy rozum, Libo — zauważył z wisielczym humorem Pipo. — Novinha nie powinna nas uczyć ksenologii.

— Masz rację — chłopiec starał się zachować spokój. — Jakakolwiek była przyczyna, z pewnością robili to już wcześniej. Jakiś zwyczaj.

— Ale to przecież jeszcze gorzej — wtrąciła Novinha. — Jeśli mają w zwyczaju żywcem wypruwać z siebie flaki.

Patrzyła na drzewa porastające szczyt wzgórza i zastanawiała się, które z nich mają korzenie skąpane we krwi.

Pipo przesłał raport ansiblem, a komputer nie protestował co do priorytetu połączeń. Rada Nadzorcza musiała zdecydować, czy należy przerwać kontakty z prosiaczkami. Rada nie dopatrzyła się żadnych poważniejszych błędów. „Niemożliwe jest ukrywanie relacji pomiędzy płciami, gdyż pewnego dnia ksenologiem może zostać kobieta”, brzmiała odpowiedź. „Należy uznać, że przez cały czas spotkania zachowywaliście się rozsądnie i rozważnie. Wnioskujemy z raportu, że byliście przypadkowymi świadkami starcia dwóch sił, zakończonego porażką Korzeniaka. Powinniście nadal podtrzymywać kontakty, zachowując przy tym najdalej posuniętą ostrożność”.

Odpowiedź była całkowitym rozgrzeszeniem, choć nadal trudno było się pogodzić ze stratą. Libo znał prosiaczków od wczesnego dzieciństwa, a przynajmniej słyszał o nich od ojca. Znał Korzeniaka lepiej, niż któregokolwiek z ludzi, jeśli nie liczyć

rodziny i Novinhy. Dopiero po wielu dniach powrócił do Stacji Zenadora, a minęły tygodnie, nim znowu wyszedł do lasu. Prosiaczki zachowywały się tak, jakby nic się nie stało; były nawet bardziej otwarte i przyjazne niż przedtem. Nikt nie mówił o Korzeniaku, zwłaszcza Pipo i Libo. Byli jednak ostrożniejsi i nigdy nie oddalali się od siebie bardziej, niż na kilka kroków. Ból i żal tamtego dnia jeszcze bardziej zbliżyły do siebie Liba i Novinhę — jakby mrok powiązał ich mocniej niż światło. Prosiaczki wydawały się teraz niebezpieczne i tajemnicze, tak jak dotąd ludzie. W dodatku ojciec i syn, choć często starali wzajemnie się pocieszać, nadal rozważali problem, który z nich zawinił. Dlatego jedyną przyjazną, godną zaufania osobą w życiu Liba stała się Novinha, a w życiu Novinhy — Libo.

Wprawdzie Libo miał matkę i rodzeństwo, i codziennie wracał do nich razem z ojcem, jednak on i Novinha zachowywali się tak, jakby Stacja Zenadora była wyspą, a Pipo kochającym, lecz dalekim Prosperem. Sam Pipo zastanawiał się często, czy prosiaczki są jak Ariel i wiodą młodych kochanków ku szczęściu, czy raczej jak mali Kalibanowie, trudni do kontroli i knujący mord.

Po kilku miesiącach śmierć Korzeniaka zatarła się w pamięci i do stacji znowu powrócił śmiech, choć nie tak beztroski jak dawniej. W wieku siedemnastu lat Libo i Novinha byli tak pewni swych uczuć, że często rozmawiali o tym, co będą robić za pięć, dziesięć, dwadzieścia lat. Pipo nigdy nie pytał o ich przyszłe małżeństwo. W końcu od rana do wieczora studiowali biologię; w końcu sami się zdecydowali na stabilne i społecznie akceptowane strategie reprodukcji. Na razie wystarczało, że bez końca dyskutowali o tym, jak i kiedy rozmnażają się prosiaczki, skoro samce nie posiadają żadnego widocznego organu reprodukcyjnego. Spekulacje na temat metod wymiany materiału genetycznego zawsze kończyły się żartami tak nieprzyzwoitymi, że Pipo z najwyższym wysiłkiem powstrzymywał się od wybuchów śmiechu.

Przez te kilka krótkich lat Stacja Zenadora stała się miejscem, gdzie kwitła prawdziwa przyjaźń dwojga młodych, wybitnie inteligentnych ludzi, w innych okolicznościach skazanych na samotność. Nie podejrzewali nawet, że idylla skończy się nagle, na zawsze i w okolicznościach, które wstrząsną Stu Światami.

Wszystko zaczęło się zupełnie prosto i zwyczajnie. Novinha analizowała strukturę genetyczną zamieszkałej przez stada much nadrzecznej trzciny. Zauważyła, że w jej komórkach obecny jest ten sam subkomórkowy organizm, który stał się przyczyną Descolady. Wyświetliła nad terminalem kilka innych okazów i obróciła je powoli. Nośnik Descolady był wszędzie.

Zawołała Pipa, który sprawdzał transkrypcje zapisu wczorajszej wizyty u prosiaczek. Komputer przeprowadził analizę każdej komórki, jaką badała. Niezależnie od jej funkcji, niezależnie od gatunku, z którego pochodziła, każda z nich zawierała wirusa Descolady, identycznego co do chemicznych proporcji.

Novinha spodziewała się, że Pipo pokiwa głową, stwierdzi, że to ciekawe, może wysunie jakąś hipotezę. On jednak usiadł i raz jeszcze przeprowadził test, pytając

przy tym, w jaki sposób komputer dokonuje porównania, a potem, jak właściwie oddziałuje wirus Descolady.

— Matka i ojciec nigdy nie odkryli, co go uaktywnia, ale w efekcie wirus wytwarza tę proteinę, czy raczej pseudoproteinę, która atakuje plazmę genetyczną. Zaczyna z jednego końca i rozpina dwa łańcuchy genów. Dlatego nazwali go descoladorem — rozkleja DNA, także u ludzi.

— Pokaż, co robi w obcych komórkach. Novinha uruchomiła symulację.

— Nie, nie tylko w materiale genetycznym. Wyświetl całe środowisko komórki.

— To działa tylko w jądrze — odparła. Rozszerzyła pole, by przeanalizować więcej zmiennych. Komputer pracował wolniej, przeliczając w każdej sekundzie miliony losowych układów materiału jądra, w komórce trzemy, kiedy molekuly genetyczne rozpadły się, kilka dużych molekuł białkowych dołączyło się do otwartych łańcuchów.

— U ludzi DNA próbuje rekombinacji, ale te proteiny powodują, że komórki wariują zupełnie. Czasem się dzielą, jak przy raku, czasem giną. Najważniejsze jednak, że u ludzi wirus Descolady mnoży się w szaleńczym tempie i atakuje kolejne komórki. Naturalnie, jest obecny we wszystkich miejscowych organizmach.

Ale Pipa jej nie słuchał. Kiedy descolador zakończył swoje dzieło w trzcinie, Pipa zaczął się przyglądać innym egzemplarzom.

— To nie jest zwyczajnie podobne. Jest takie samo! — oświadczył. — Identyczne! Novinha nie od razu zrozumiała, o czym mówi. Nie miała też czasu, by zapytać. Pipa zerwał się z krzesła, złapał płaszcz i pobiegł do wyjścia. Na zewnątrz padał drobny deszcz. Pipa zatrzymał się na moment.

— Powiedz Libo, żeby nie wychodził — powiedział. — Pokaż mu tę symulację i zobacz, czy uda mu się zgadnąć, zanim wrócę. Będzie wiedział; to rozwiązanie podstawowego problemu. Odpowiedź na wszystko.

— Powiedz!

— Nie oszukuj — zaśmiał się. — Jeśli sama nie widzisz, Libo ci wytłumaczy.

— Gdzie idziesz?

— Spytać prosiaczków, czy mam rację. Ale wiem, że mam, nawet jeśli nie zechcą się przyznać. Jeśli nie wrócę za godzinę, to pośliznąłem się w błocie i złamałem nogę.

Libo nie obejrzał symulacji. Na spotkaniu komisji planowania przeciągnęła się dyskusja nad rozszerzeniem terenu pastwisk. Potem musiał jeszcze odebrać zakupy na cały tydzień. Kiedy się zjawił, Pipa był nieobecny od czterech godzin, zaczynało się ściemniać, a deszcz przechodził w śnieg. Natychmiast wyruszyli go szukać. Obawiali się, że poszukiwania wśród drzew mogą potrwać nawet kilka godzin.

Znaleźli go aż nazbyt szybko. Ciało stygło już pod śniegiem. Prosiaczki nawet nie posadziły w nim drzewa.

ROZDZIAŁ 2

TRONDHEIM

Jest mi niezmiernie przykro, że nie mogłem spełnić pańskiej prośby o więcej szczegółów na temat obyczajów związanych z zalotami i zawieraniem małżeństw wśród aborygenów Lusitanii. Z pewnością przeżył pan trudne do wyobrażenia rozczarowanie, skoro zwrócił się pan do Towarzystwa Ksenologicznego o udzielenie mi nagany za odmowę pomocy w pańskich badaniach naukowych.

Kiedy niedoszli ksenologowie skarżą się, że moje obserwacje nie dostarczają właściwych danych, zawsze ich namawiam, by ponownie zapoznali się z ograniczeniami, jakie nakłada na mnie prawo. Na badania terenowe mogę zabierać tylko jednego asystenta; nie wolno mi zadawać pytań, które zdradzałyby nasze oczekiwania co do odpowiedzi, by aborygeni nie próbowali nas naśladować; nie wolno mi zdradzać żadnych informacji, by w zamian uzyskać je od nich; nie wolno mi pozostawać z nimi dłużej niż cztery godziny bez przerwy, ani używać w ich obecności jakiegokolwiek produktu techniki z wyjątkiem własnego ubrania. Dotyczy to w szczególności kamer, magnetofonów, komputerów, a nawet długopisu i kartki papieru. Nie wolno mi także obserwować ich bez ich wiedzy. Krótko mówiąc: nie jestem w stanie opisać panu, jak pequeninos się reprodukuje, ponieważ nie zechcieli tego robić na moich oczach.

Oczywiście, że pańskie badania są kalekie! Oczywiście, że nasze wnioski co do prosiaczków są absurdalne! Gdybyśmy obserwowali pański uniwersytet, stosując się do tych samych ograniczeń, jakie wiążą nas podczas badań aborygenów Lusitanii, bez wątpienia doszlibyśmy do wniosku, że istoty ludzkie w ogóle się nie rozmnażają i nie tworzą wspólnot rodzinnych, a cały cykl życiowy poświęcają na transformację larwalnego studenta w dojrzałego profesora. Moglibyśmy nawet przypuszczać, że profesorowie dysponują sporą władzą w społeczeństwie ludzi. Wnikliwe studium natychmiast odsłoniłoby fałsz takich konkluzji — ale w przypadku prosiaczków wnikliwe studium nie jest dozwolone, czy nawet brane pod uwagę.

Antropologia nigdy nie będzie nauką ścisłą. Obserwator nigdy nie doświadcza tej samej kultury, co jej przedstawiciel. Jednak te ograniczenia są naturalne, związane z przedmiotem badań. To sztucznie narzucone ograniczenia są dla nas przeszkodą — a poprzez nas, i dla pana. Przy aktualnym tempie prowadzenia badań, równie dobrze moglibyśmy wysłać do pequeninos kwestionariusze osobowe i oczekiwać, że w odpowiedzi nadeślą nam naukowe artykuły.

*List Jodo Figueiry Alvareza do Pietro Guataninniego z
Uniwersytetu Sycylijskiego, Campus Mediolan, Etruria,
opublikowany pośmiertnie w Studiach Ksenologicznych,
22:4:49:193*

Wieść o śmierci Pipa stała się sensacją nie tylko lokalną. Natychmiast przekazano ją ansiblem do wszystkich Stu Światów. Pierwsza obca rasa, odkryta od Ksenocydu Endera, zamęczyła na śmierć człowieka, wyznaczonego do jej badania. W ciągu kilku godzin zaczęli się wypowiadać uczeni, naukowcy, politycy i dziennikarze.

Wkrótce pojawiły się pierwsze wnioski. Jeden incydent, do którego doszło w niezwyklej okolicznościach, nie dowodził błędów polityki Gwiazdnej Rady wobec prosiaczków. Wręcz przeciwnie: fakt, że zginął tylko jeden człowiek, potwierdzał słuszność podjętych decyzji. Nie powinniśmy więc reagować, a jedynie nadal gromadzić dane, choć w tempie nieco wolniejszym. Następcę Pipa poinstruowano, by odwiedzał prosiaczków nie częściej, niż co drugi dzień i nigdy nie przebywał wśród nich dłużej niż godzinę. Nie powinien żądać wyjaśnień na temat śmierci Pipa. Decyzja ta była zastrzeżeniem dotychczasowej strategii nieingerencji.

Wyrażano także troskę o morale mieszkańców Lusitanii. Nie dbając o koszty, przesłano im ansiblem wiele nowych programów rozrywkowych, które powinny odwrócić ich myśli od okrutnego mordu.

Dopiero wtedy, zrobiwszy wszystko, co mogli zrobić framlingowie, oddaleni przecież o całe lata świetlne od Lusitanii, obywatele Stu Światów zajęli się znowu własnymi sprawami.

Tylko jeden człowiek spośród tych pięciuset miliardów ludzkich istot odczuł śmierć Joao Figueiry Alvareza, zwanego Pipem, jako zwiastuna zmian we własnym życiu. Andrew Wiggin był Mówcą Umarłych na uniwersytecie miasta Reykjavik, znanego z poszanowania tradycji nordyckiej kultury, umiejscowionego na stromych zboczach wąskiego fiordu, który dokładnie na równiku rozcinał granit i lód zamarzniętej planety Trondheim. Zbliżała się wiosna, znikał śnieg, a delikatna trawa i kwiaty czerpały nowe siły z jasnego słońca. Andrew siedział na szczycie wzgórza, otoczony grupą uczniów studiujących historię międzygwiazdnej kolonizacji. Prawie nie słuchał zażartego sporu o to, czy ostateczne zwycięstwo w Wojnie z Robalami było koniecznym wstępem do ludzkiej ekspansji. Takie dyskusje zawsze kończyły się oskarżeniami tego potwora, Endera, dowódcy gwiazdnej floty, która dokonała Ksenocydu Robali. Zwykle myślał wtedy o czymś innym; temat w zasadzie go nie nudził, wolał jednak nie poświęcać mu nazbyt wiele uwagi.

Wtedy właśnie niewielki elektroniczny implant, noszony jak kolczyk w uchu, poinformował go o okrutnej śmierci Pipa, ksenologa Lusitanii. Andrew ocknął się natychmiast i przerwał dyskusję.

— Co wiecie o prosiaczkach? — zapytał.

— Są naszą jedyną nadzieją na odkupienie win — odparł któryś z nich, wyżej ceniący Calvina niż Lutra. Andrew spojrzał pytająco na Plikt, o której wiedział, że nie zniesie podobnego mistycyzmu.

— Istnieją nie po to, by zaspokajać ludzkie potrzeby, nawet potrzebę odkupienia — oświadczyła dziewczyna z wyraźną pogardą. — Są prawdziwymi ramenami, jak

robale. Andrew kiwnął głową, lecz zmarszczył czoło.

— Użyłaś słowa, które nie znalazło się jeszcze w powszechnym użyciu.

— A powinno — odparła Plikt. — Wszyscy w Trondheimie, każdy Nord na Stu Światach, powinien przeczytać Historię Wutana w Trondheimie Demostenesa.

— Powinniśmy, ale nie czytaliśmy — westchnął ktoś.

— Mówco, niech ona przestanie się wywyższać — zawołał inny. — Nie znam innej kobiety, która potrafi się wywyższać na siedząco. Plikt przyknęła oczy.

— Języki nordyckie rozróżniają cztery stopnie obcości. Pierwszy to cudzoziemiec, albo „utl#anning”, obcy, którego uznajemy za człowieka, ale z innego miasta lub kraju. Drugi to framling — Demostenes po prostu odrzucił akcent z nordyckiego „fr#amling”. To obcy, którego uznajemy za człowieka, ale z innego świata. Trzecim jest ramen, obcy uznawany za człowieka, lecz innego gatunku. Wreszcie czwarty, prawdziwie obcy, to varelse. W tej klasie mieszczą się wszystkie zwierzęta, gdyż kontakt z nimi jest niemożliwy. Żyjają, ale nie potrafimy odgadnąć celów, jakie skłaniają je do działania. Mogą być inteligentne, mogą być świadome, ale my nie potrafimy się o tym przekonać.

Andrew zauważył, że kilku studentów okazuje irytację. Zwrócił im na to uwagę.

— Wydaje się wam, że denerwuje was arogancja Plikt. To nieprawda. Plikt nie jest arogancka, jest po prostu dokładna. Słusznie się wstydzicie, że nie czytaliście dzieła Demostenesa o historii waszego ludu i wstydząc się macie pretensje do Plikt, gdyż na niej ten grzech nie ciąży.

— Wydawało mi się, że Mówcy nie wierzą w grzech.

— Ty wierzysz, Stycko — uśmiechnął się Andrew. — I z powodu tej wiary podejmujesz pewne działania. Dlatego grzech jest w tobie realnością i znając ciebie, obecny tu Mówca musi w niego uwierzyć. Stycka nie chciał uznać swej porażki.

— A co cała ta dyskusja o utlanningach, framlingach, ramenach i varelse ma wspólnego z Ksenocydem Endera? Andrew spojrział wyczekująco na Plikt. Dziewczyna zastanawiała się przez chwilę.

— Ma wiele wspólnego z tą głupią kłótnią, jaką prowadziliśmy. Dzięki nordyckiemu stopniowaniu obcości widzimy, że Ender nie był prawdziwym ksenobójcą, ponieważ kiedy niszczył robali, znał ich tylko jako varelse. Dopiero wiele lat później, gdy pierwszy Mówca Umarłych stworzył Królową Kopca i Hegemona, ludzkość zrozumiała, że robale wcale nie byli varelse, ale ramenami. Do tego czasu nie istniało porozumienie między robalem a człowiekiem.

— Ksenocyd to ksenocyd — oświadczył Stycka. — Ender nie wiedział, że są ramenami, ale oni przez to nie ożyją.

Andrew westchnął, myśląc o nieugiętej, nie znającej przebaczenia postawie Stycki. Wśród kalwinistów w Reykjavíku panowała moda, by odrzucać wpływ motywów człowieka na osąd czynu. Uczynki są dobre lub złe same w sobie, twierdzili. A ponieważ jedyna doktryna, jaką wyznawali Mówcy Umarłych, głosiła, iż dobro i zło

wynikają jedynie z motywacji, nigdy zaś z samego aktu, studenci w rodzaju Styrki często okazywali mu swoją niechęć. Na szczęście Andrew nie miał do nich pretensji — rozumiał bowiem ich motywacje.

— Styrka, Plikt, przedstawię wam teraz inny przypadek. Powiedzmy, że prosiaczki, które nauczyły się mówić w storku i których mowę poznało także kilku ludzi, otóż przypuśćmy, że zupełnie niespodziewanie, bez żadnej prowokacji ani wytłumaczenia, zamęczyły na śmierć ksenologa, który ich obserwował. Plikt odpowiedziała natychmiast.

— Skąd możemy wiedzieć, że nie zostały sprowokowane? To, co nam wydaje się całkiem niewinne, dla nich może być nie do zniesienia.

— To możliwe — uśmiechnął się Andrew. — Ale przecież ksenolog nie robił im krzywdy, niewiele mówił i nie sprawiał kłopotów. Według żadnej z norm, jakie potrafimy sobie wyobrazić, nie zasłużył na okrutną śmierć. Czy sam fakt popełnienia tego niezrozumiałego mordu nie czyni z nich varelse zamiast ramenów? Tym razem odpowiedział Styrka.

— Morderstwo jest morderstwem. To gadanie o ramenach i varelse to bzdury. Jeśli prosiaczki zabiły, to są złe, tak jak robale były złe. Jeśli czyn jest zły, to jego wykonawca także. Andrew pokiwał głową.

— Oto nasz dylemat. W tym tkwi cały problem. Czy ów czyn był zły, czy też — przynajmniej w rozumieniu prosiaczków — dobry? Czy prosiaczki są ramenami, czy varelse? Powściągnij na chwilę swój język, Styrko. Znam wszystkie argumenty twego kalwinizmu, ale nawet Jean Calvin nazwałby tę doktrynę głupią.

— Skąd możesz wiedzieć, co Calvin by...

— Ponieważ on umarł — przerwał Andrew. — A więc mam prawo mówić w jego imieniu. Studenci wybuchnęli śmiechem, a Styrka umilkł obrażony. Andrew wiedział, że chłopiec jest inteligentny i jego kalwinizm nie przetrwa pierwszego okresu nauki, choć rozstanie z wiarą będzie długie i bolesne.

— Talmanie, Mówco — odezwała się Plikt. — Z twoich słów można wnioskować, że ta hipotetyczna sytuacja jest realna, że prosiaczki naprawdę zamordowały ksenologa. Andrew przytaknął.

— Tak, to prawda. To było niepokojące; budziło echa dawnego konfliktu między robalami a ludźmi.

— Przez chwilę spójrzcie na siebie — powiedział Andrew. — Zauważycie, że pod warstwą nienawiści do Endera Ksenobójcy i żalem po śmierci robali, jest coś o wiele gorszego: strach przed obcym, czy to utlanningiem, czy framlingiem. Kiedy wyobrazicie sobie, że zabił człowieka, którego znaliście i ceniliście, jego kształt przestaje mieć znaczenie. Staje się varelse, albo gorzej jeszcze — djur, zwykłą bestią, co przychodzi nocą, a śluz kapie jej z paszczy. Gdybyście mieli jedyny miotacz w całej wiosce, a zbliżałyby się bestie, które rozdarły już na strzępy któregoś z waszych sąsiadów — pytalibyście wtedy, czy one także mają prawo do

życia? Czy raczej działalibyście, by ocalić wioskę, ludzi, których znacie i których życie zależy od was?

— Z twojej argumentacji wynika, że powinniśmy wybić prosiaczków, choć są bezradni i prymitywni! — zawołał Styrka.

— Z mojej argumentacji? Zadałem tylko pytanie. Pytanie nie jest sugestią, chyba że wydaje ci się, iż znasz moją na nie odpowiedź, a zapewniam cię, Styrko, że jej nie znasz. Zastanów się nad tym. Koniec zajęć.

— Czy jutro o tym porozmawiamy? — chcieli wiedzieć.

— Jeśli macie ochotę — odparł Andrew. Wiedział jednak, że jeśli nawet wrócą do tego tematu, to już bez niego. Dla nich problem Endera Ksenobójcy był jedynie kwestią filozoficzną. W końcu Wojny z Robalami miały miejsce ponad trzy tysiące lat temu; teraz był rok 1948 GK, licząc od daty ustanowienia Gwiezdnego Kodeksu, Ender zaś zniszczył robali w roku 1180 pGK. Dla Andrew jednak wydarzenia te nie wydawały się odległe. O wiele więcej podróżował wśród gwiazd, niż jego studenci mogliby sobie wyobrazić. Odkąd skończył dwadzieścia pięć lat, nigdy nie pozostawał na jednej planecie dłużej, niż sześć miesięcy. Dopiero na Trondheimie... Loty z prędkościami świetlnymi pozwoliły mu prześlizgiwać się po powierzchni czasu niby płasko rzucony kamień. Studenci nie mieli pojęcia, że ich Mówca Umarłych, liczący sobie nie więcej niż trzydzieści pięć lat, miał bardzo wyraźne wspomnienia zdarzeń sprzed trzech tysiącleci, że od owych zdarzeń minęło dla niego niecałe dwadzieścia lat, połowa jego życia. Nie mogli wiedzieć, jak gorąco interesowało go pytanie o winę Endera i jak na nie odpowiadał na tysiące rozmaitych, niezadowolających sposobów. Znali swego nauczyciela jedynie jako Mówcę Umarłych; nie wiedzieli, że kiedy był jeszcze niemowlakiem, jego starsza siostra, Valentine, nie potrafiła wymówić słowa Andrew, więc nazwała go Enderem. Nim skończył piętnaście lat okrył to imię niesławą. Niech więc fanatyczny Styrka i Plikt o analitycznym umyśle rozważają odwieczny problem winy Endera; dla Andrew Wiggina, Mówcy Umarłych, kwestia nie była czysto akademicka. Teraz, w chłodzie wiosennego dnia, deptając wilgotną trawę porastającą zbocze, Ender-Andrew, Mówca, potrafił myśleć jedynie o prosiaczkach, którzy dokonali już bezsensownego mordu — tak, jak robale, gdy pierwszy raz spotkały ludzi. Czy nie da się uniknąć krwi, znaczącej spotkania obcych? Robale bez zastanowienia zabijały ludzkie istoty, ale tylko dlatego, że posiadały świadomość kopca; zabicie człowieka czy dwóch było metodą zawiadomienia, że pojawili się w pobliżu. Czy prosiaczki miały podobne powody? Ale głos w jego uchu mówił o torturach, o rytualnym mordzie podobnym do egzekucji jednego z nich. Prosiaczki nie miały świadomości kopca, nie były robalami; Ender Wiggin musiał się przekonać, dlaczego zrobiły to, co zrobiły.

— Kiedy się dowiedziałeś o śmierci ksenologa?

Ender obejrzał się: to była Plikt. Poszła za nim, zamiast wrócić do Grot, gdzie mieszkali studenci.

— Podczas naszej dyskusji — dotknął ucha; wszczepiane terminale były kosztowne, ale spotykane w miarę często.

— Czytałam wiadomości tuż przed zajęciami. Nic tam nie było. Ogłosiliby, gdyby oczekiwali czegoś ważnego. Chyba, że otrzymujesz informacje bezpośrednio z raportu ansibla. Plikt najwyraźniej sądziła, że jest na tropie tajemnicy. I rzeczywiście była.

— Mówcy dysponują wysokim priorytetem dostępu do wiadomości publicznych — odparł.

— Czy ktoś już cię prosił, żebyś mówił o śmierci ksenologa? Pokręcił głową.

— Na Lusitanii obowiązuje Licencja Katolicka.

— Właśnie o to mi chodzi — odparła. — Nie mają własnego Mówcy, ale muszą wyrazić zgodę na jego przylot, jeśli ktoś tego zażąda. A Trondheim jest światem najbliższym Lusitanii.

— Nikt nie wzywał Mówcy. Plikt pociągnęła go za rękaw.

— Dlaczego tu jesteś?

— Wiesz, po co przyleciałem. Mówiłem o śmierci Wutana.

— Wiem, że przybyłeś ze swoją siostrą, Valentine. Jako wykładowca, ona jest o wiele bardziej popularna od ciebie. Na pytania udziela odpowiedzi; ty stawiasz tylko nowe pytania.

— To dlatego, że ona zna niektóre odpowiedzi.

— Musisz mi powiedzieć, Mówco. Próbowałam dowiedzieć się czegoś o tobie — byłam zwyczajnie ciekawa. Choćby twoje nazwisko i skąd przybyłeś. Wszystko jest tajne. Utajnione tak głęboko, że nie mogłam nawet sprawdzić, jaki jest poziom dostępu. Sam Bóg nie mógłby poznać twojego życiorysu. Ender ujął ją za ramiona i spojrzał w oczy.

— To nie twoja sprawa. Taki właśnie jest poziom dostępu.

— Jesteś ważniejszy, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać, Mówco — stwierdziła. — Jako pierwszy otrzymujesz informacje z ansibla. I nikt nie może uzyskać informacji o tobie.

— Nikt nigdy nie próbował. Dlaczego właśnie ty?

— Chcę być Mówcą — oznajmiła.

— Doskonale. Komputer cię tego nauczy. To nie religia; nie trzeba się uczyć na pamięć katechizmu. A teraz zostaw mnie samego. Popchnął ją lekko. Zachwiała się, a on ruszył przed siebie.

— Chcę mówić o tobie! — krzyknęła.

— Jeszcze nie umarłem.

— Wiem, że lecisz na Lusitanię! Jestem pewna!

W takim razie wiesz więcej ode mnie, pomyślał Ender. Ale drżał idąc, choć słońce świeciło jasno, a on miał na sobie trzy swetry dla ochrony przed zimnem. Nie podejrzewał, że Plikt może przeżywać takie emocje. Najwyraźniej zaczęła się z nim

identyfikować. Trochę go przestraszyło, że jest dziewczynie tak rozpaczliwie do czegoś potrzebny. Przez długie lata nie związał się z nikim, prócz swej siostry, Valentine — i, oczywiście, umarłych, o których Mówił. Wszyscy, którzy coś dla niego znaczyli, byli martwi. On i Valentine przeżyli ich o wiele stuleci i wiele światów.

Pomysł zapuszczenia korzeni w zlodowaciałą ziemię Trondheimu wydał mu się odpychający. Czego Plikt chciała od niego? Wszystko jedno, i tak jej tego nie da. Jak śmie czegoś żądać, tak jakby do niej należał? Ender Wiggin nie był niczyją własnością. Gdyby tylko wiedziała, kim jest naprawdę, gardziłaby nim jako Ksenobójcą; albo czciła go jako Zbawcę Ludzkości. Pamiętał czasy, kiedy ludzie tak właśnie go traktowali, i też mu się to nie podobało. Nawet teraz znają go jedynie z przyjętej roli, z nazwy: Mówca, Talman, Falante, Spieler — zależnie od tego, jak określali Mówcę Umarłych w języku swego miasta, narodu czy planety.

ROZDZIAŁ 3

LIBO

Obserwowany sposób odżywiania: głównie macios, lśniące glisty, żyjące w pędach merdony na pniach drzew. Widziano też, jak żują żdźbła capim. Czasami — przypadkowo? — wraz z macios zjadają liście merdony.

Nigdy nie zauważyliśmy, by jedli cokolwiek innego. Novinha przeanalizowała wszystkie trzy typy pożywienia: macios, żdźbła capim i liście merdony. Wyniki okazały się zaskakujące. Albo pequeninos nie potrzebują dużej ilości białka, albo stale chodzą głodni. Ich pożywieniu brakuje sporej ilości pierwiastków śladowych. Ilość przyjmowanego z pokarmem wapnia jest tak niska, że zastanawiamy się, czy ich kości wykorzystują wapń tak samo, jak nasze. Czysta spekulacja: ponieważ nie możemy pobierać próbek tkanki, nasza wiedza o anatomii i fizjologii pochodzi głównie z tego, czego domyśliliśmy się analizując fotografie wiwisekcyjowanych zwłok prosiaczka imieniem Korzeniak. Mimo to wykryliśmy kilka oczywistych anomalii. Języki prosiaczków, tak fantastycznie giętkie, że potrafią wytworzyć te same dźwięki, co my i jeszcze sporo innych, powstały na drodze ewolucji w jakimś celu. Może dla chwytania owadów w otworach pni drzew lub poszukiwania ich gniazd w ziemi. Jednak, nawet jeśli ich praprzodkowie to robili, prosiaczki zaprzestały tych czynności. Rogowate zgrubienia na stopach i wewnętrznych powierzchniach kolan pozwalają im wspinać się na drzewa i trzymać pnia wyłącznie przy pomocy nóg. Dlaczego pojawiło się coś takiego? By umożliwić ucieczkę przed jakimiś drapieżnikami? By utrzymać się na pniu podczas poszukiwania owadów w korze? To by pasowało do kształtu języka, ale gdzie są te owady? Żyją tu jedynie muchopijki i puladory, ale nie ryją korytarzy w drzewach, a zresztą prosiaczki ich nie jedzą. Macios są duże, żyją na zewnętrznej powierzchni pnia i można je łatwo zbierać, ściągając w dół pędy merdony. Nie trzeba się nawet

wspinać.

Teoria Liba: języki i umiejętność wspinaczki ewoluowała w innym środowisku, przy bardziej urozmaiconej diecie, zawierającej owady. Jednak coś — epoka lodowcowa? migracja? zaraza? — spowodowało zmiany środowiskowe. Wyginęły korniki itp. Może także zniknęły wszystkie wielkie drapieżniki. To by 'wyjaśniało, dlaczego — mimo sprzyjających warunków — na Lusitanii żyje tak niewiele gatunków. Do kataklizmu mogło dojść stosunkowo niedawno — pół miliona lat temu? — i ewolucja nie miała dość czasu na zróżnicowanie. To kusząca hipoteza, gdyż w aktualnym otoczeniu nie występuje konieczność rozwoju prosiaczków. Nie mają konkurencji, nie istnieje walka o byt. Nisza ekologiczna, którą zajmują, nadawałaby się nawet dla susłów. Nie wiadomo, czemu inteligencja miałaby poprawiać zdolność przeżycia. Ale szukanie kataklizmu, by wyjaśnić nieciekawą, nisko odżywczą dietę prosiaczków wydaje się przesadą. Brzytwa Ockhama tnie tę teorię na strzępy.

*Jodo Figueira Alvarez, Dziennik roboczy, 4.14.1948 GK,
opublikowany pośmiertnie w Filozoficznych Źródłach secesji
Lusitanii, 2010-33-4-1090:40*

Gdy tylko burmistrz Bosquinha zjawiała się w Stacji Zenadora, sprawy wymknęły się spod kontroli Liba i Novinhy. Bosquinha lubiła przewodzić i nie dawała innym szansy protestu, ani nawet czasu na zastanowienie.

— Ty tu zaczekaj — poleciła Libo, gdy tylko dowiedziała się, co zaszło. — Jak tylko zadzwonięś, posłałam Arbitra, żeby zawiadomił twoją matkę.

— Musimy wnieść ciało do środka — zauważył Libo.

— Sam przecież rozumiesz, że trzeba wszystko sfotografować, i to dokładnie.

— Przecież to ja ci o tym powiedziałem, że zdjęcia są konieczne w raporcie dla Komitetu Gwiezdnego.

— Ale ty, Libo, nie powinieneś tam chodzić. Zresztą, musisz dokładnie opowiedzieć, co się stało. Trzeba jak najszybciej zawiadomić Gwiezdnym. Czy potrafiłbyś zaraz wszystko opisać? Póki jeszcze masz to świeżo w pamięci?

Naturalnie, miała rację. Tylko Libo i Novinha byli bezpośrednimi świadkami i im szybciej złożą zeznania, tym lepiej.

— Mogę zacząć natychmiast — stwierdził Libo.

— Ty też, Novinho. Wszystko, co zauważyłaś. Napiszcie te raporty osobno, nie porozumiewając się. Sto Światów czeka.

Komputer został już zaalarmowany i przesyłał ich zeznania na bieżąco, ze wszystkimi poprawkami i pomyłkami. Na wszystkich Stu Światach ludzie zaangażowani w badania ksenologiczne czytali każde słowo, wystukiwane przez Liba i Novinhę. Wielu innych otrzymało błyskawiczne komputerowe podsumowanie wydarzeń. Dwadzieścia

dwa lata Światłne od Lusitanii Andrew Wiggin dowiedział się, że Ksenolog Joao Figueira „Pipo” Alvarez został zamordowany przez prosiaczków i powiedział o tym swoim studentom, zanim jeszcze ciało Pipoa wniesiono przez bramę w ogrodzeniu do Milagre.

Gdy tylko zakończył swój raport, Libo został otoczony przez przedstawicieli Władzy. Novinha z rosnącą irytacją obserwowała brak kompetencji przywódców Lusitanii, zwiększający tylko ból chłopca. Najgorszy był biskup Peregrino. Uważał zapewne, że najlepszą pociechą będzie zapewnienie, że prostaczki były pewnie tylko zwierzętami pozbawionymi duszy, więc Pipo nie został zamordowany, ale rozszarpany przez dzikie bestie. Niewiele brakowało, by Novinha zaczęła na niego krzyczeć. Czy chciał przez to powiedzieć, że praca całego życia Pipoa polegała jedynie na badaniu bestii? A jego śmierć nie była mordem, lecz aktem boskiej woli?

Powstrzymała się jednak ze względu na Liba; siedział obok biskupa i kiwał głową, by w końcu pokorą pozbyć się go o wiele szybciej, niż ona potrafiłaby kłótnią. Dom Cristao z Klasztoru okazał się bardziej pomocny. Zadawał inteligentne pytania o zdarzenia całego dnia, co z kolei skłaniało Liba i Novinhę do spokojnych, analitycznych odpowiedzi. Novinha jednak wkrótce umilkła; większość ludzi pytała, dlaczego prosiaczki popełniły tak straszny czyn; Dom Cristao pytał, co takiego mógł zrobić Pipo, co skłoniło je do zabójstwa. Novinha dobrze wiedziała, co zrobił: powiedział, co odkrył w komputerowej symulacji. Nie chciała o tym wspominać, a Libo chyba zapomniał, co mówiła kilka godzin temu; gdy ruszali na poszukiwania Pipoa. Nawet nie spojrzął na hologramy. Novinha była zadowolona; najbardziej lękała się tego, że będzie pamiętał.

Powrót burmistrz Bosquinhy przerwał rozmowę z Dom Cristao. Wraz z nią weszło kilku mężczyzn, którzy pomogli przynieść ciało. Mimo plastikowych peleryn byli przemoczeni do nitki i zachlapani błotem; szczęśliwie, deszcz musiał zmyć ślady krwi. Wszyscy zdawali się jakby przeproszać Liba, okazując mu niezwykle szacunek; schylali głowy, niemal kłaniali się nisko. Novinha uznała, że nie jest to zwykłe współczucie, jakie okazuje się komuś, kogo śmierć dotknęła tak mocno.

— Jesteś teraz Zenadorem, prawda? — odezwał się jeden z mężczyzn. O to właśnie chodziło. Zenador nie miał żadnej formalnej władzy w Milagre, cieszył się jednak poważaniem — jego praca była przecież głównym powodem istnienia kolonii. Libo przestał być zwykłym chłopcem; musiał podejmować decyzje, zyskał prestiż, przesunął się z obrzeży życia kolonii do samego centrum.

Novinha czuła, jak rozpada się jej życie. Przecież miało być zupełnie inaczej. Miała pracować tu jeszcze przez długie lata, wraz z Libem pobierając nauki od Pipoa. Schemat życia. Sama była biologistą kolonii i także pełniła cieszącą się szacunkiem funkcję społeczną. Nie zazdrościła Libo, po prostu chciała być z nim pozostać jeszcze dzieckiem. Na pewien czas. Właściwie na zawsze.

Ale Libo nie mógł już uczyć się razem z nią, ani niczego robić razem z nią. Z nagłą

wyrzistością spostrzegła, że uwaga wszystkich zebranych ogniskuje się na Libo, na tym, co mówi, co czuje, co zamierza przedsięwziąć.

— Nie będziemy krzywdzić prosiaczków — powiedział. — Ani nawet nazywać tego czynu morderstwem. Nie wiemy, czym ojciec ich sprowokował. Później spróbuję się tego dowiedzieć, jednak cokolwiek uczynili, w ich pojęciu było z pewnością właściwe. Jesteśmy tu obcy. Musieliśmy naruszyć jakieś... tabu, zakaz. Ojciec zawsze się liczył z taką możliwością. Zginął jak żołnierz na polu chwały, jak pilot w swoim statku — zginął, wykonując swą pracę. Libo, ty milczku, znalazłeś w sobie tyle elokwencji, że z pewnością nie jesteś już tym chłopcem, co kiedyś. Novinha poczuła silniejsze ukłucie żalu. Musiała odwrócić wzrok, nie patrzeć na Liba, spojrzeć na cokolwiek innego...

I spojrzała prosto w oczy jedynej prócz niej osoby, która nie obserwowwała Liba. Mężczyzna był bardzo wysoki i bardzo młody — młodszy od niej, uświadomiła sobie nagle, ponieważ go poznała. Chodził do szkoły o klasę niżej. Kiedyś wstawiła się za nim u Dony Cristy. Marcos Ribeira, tak się nazywał; wszyscy wołali go Marcao, ponieważ był taki duży. Duży i głupi, mówili, i mówili na niego po prostu Cao, co oznaczało psa. Posępniał wtedy i widziała gniew w jego oczach. Raz, rozdrażniony ponad ludzką wytrzymałość, uderzył i powalił jednego ze swych dręczycieli, który potem, przez większą część roku, chodził z ręką w gipsie. Naturalnie, oskarżyli Marcao o to, że zaatakował bez powodu — oprawcy, niezależnie od wieku, zawsze to czynili, próbując zrzucić winę na swą ofiarę, zwłaszcza, gdy ofiara próbowała walczyć. Novinha jednak nie należała do ich grupy. Była równie samotna jak Marcao, choć nie tak bezbronna. Lojalność nie powstrzymywała jej więc od powiedzenia prawdy. Uznała to za część swego szkolenia, zanim będzie mogła mówić o prosiaczkach. Sam Marcao nic dla niej nie znaczył. Nie przyszło jej nawet do głowy, że ten incydent mógł być dla niego ważny, że zapamiętał ją jako jedyną osobę, która stanęła po jego stronie w niekończącej się wojnie z innymi dziećmi. Nie widziała go ani nie myślała o nim przez całe lata — odkąd została ksenobiologiem.

A teraz stał tam, poplamiony błotem ze sceny, na której zginął Pipo, a jego twarz wyglądała szaleńczo i bestialsko, z włosami zlepionymi deszczem i potem spływającym po czole. I na co tak patrzył? Tylko na nią. Nie odwracał wzroku, choć teraz spojrzała wprost na niego. Dlaczego mi się przyglądasz, spytała bezgłośnie. Bo jestem głodny, odpowiedziały jego zwierzęce oczy. Ale nie, nie, to tylko strach, nagła wizja morderczych prosiaczków. Marcao jest dla mnie nikim, tak jak i ja dla niego, choćby nawet myślał inaczej. W nagłym, krótkim przebiegu intuicji pojęła jednak, że obrona Marcao oznaczała dla niego coś zupełnie innego, niż dla niej; tak bardzo różnego, jakby chodziło o inne zdarzenie. Połączyła to z zamordowaniem Pipa i ta myśl wydała się niezwykle ważna, wyjaśniała niemal wszystko, co zaszło. Umknęła jednak, spłoszona głośną rozmową, gdy biskup znów wyprowadził ludzi, tym razem

na cmentarz. Nie używano tu trumien, gdyż ze względu na prosiaczków nie wolno było ścinać drzew. Dlatego ciało Pipa miało być pochowane od razu, choć właściwy pogrzeb odbędzie się dopiero jutro, a może nawet później. Wielu ludzi zechce przybyć na nabożeństwo żałobne Zenadora. Marcao i pozostali odeszli wśród burzy, pozostawiając Novinhę i Liba z ludźmi, którzy musieli dopilnować ważnych spraw, związanych ze śmiercią Pipa. Jacyś napuszeni obcy kręcili się po stacji, podejmując decyzje, których Novinha nie rozumiała, a Libo nie zwracał na nie uwagi. Aż wreszcie Arbiter stanął obok chłopca i położył mu rękę na ramieniu.

— Naturalnie, zostaniesz u nas — powiedział. — Przynajmniej na dzisiejszą noc. Czemu w twoim domu, Arbitrze? pomyślała Novinha. Jesteś dla nas nikim, nigdy nie przedkładaliśmy sprawy pod twój osąd, nie masz prawa decydować. Czy śmierć Pipa oznacza, że nagle staliśmy się małymi dziećmi bez własnego zdania?

— Zostanę z matką — oznajmił Libo.

Arbiter spojrział na niego zaskoczony, jakby sam pomyślał, że dziecko może mu się sprzeciwić, przekraczał możliwości jego wyobraźni. Novinha wiedziała jednak, że tak nie jest: córka Arbitra, Cleopatra, o kilka lat młodsza od niej, uczciwie sobie zapracowała na przydomek Bruxinha — miała wiedźma. Czy mógł więc nie zdawać sobie sprawy, że dzieci mają własne zdanie i opierają się próbom poskromienia? Lecz jego zaskoczenie wynikało z czego innego.

— Myślałem, że wiesz... Twoja matka także na pewien czas zamieszka z moją rodziną. To wydarzenie bardzo nią wstrząsnęło i nie powinna teraz myśleć o domowych obowiązkach, ani też przebywać w otoczeniu, przypominającym jej tego, którego już nie ma. Jest już u nas, razem z twoimi braćmi i siostrami. Potrzebują cię. Naturalnie, twój starszy brat, Joao, także przebywa z nimi, ale ma przecież żonę i własne dziecko. Tylko ty możesz zostać i zapewnić im oparcie.

Libo skinął głową. Arbiter nie brał go pod swoją opiekę; raczej prosił, by Libo wziął na siebie funkcję opiekuna.

— Wydaje mi się, że powinnaś już iść do domu — zwrócił się Arbiter do Novinhy. Dopiero wtedy zrozumiała, że jego zaproszenie jej nie dotyczy. To oczywiste. To przecież nie ona straciła ojca. Była zwykłą znajomą, która przypadkiem towarzyszyła Libo, gdy znaleziono ciało. To przecież nie ona cierpi.

Do domu! Gdzie był jej dom, jeśli nie tutaj? Czy miała iść do Stacji Biologisty, z łóżkiem, w którym nie spała od ponad roku, jeśli nie liczyć krótkich drzemek przy pracy w laboratorium? Czy tam miał być jej dom? Opuściła go, gdyż bez rodziców stał się boleśnie pusty. Tak samo, jak teraz Stacja Zenadora: Pipo zginął, a Libo zmienił się w dorosłego, którego obowiązki oddalały go od niej coraz bardziej. To miejsce nie było domem, ale nie było nim też żadne inne.

Arbiter wyprowadził Liba na zewnątrz. Conceicao czekała na syna w jego domu. Novinha знаła tę kobietę wyłącznie jako bibliotekarkę, zarządzającą lusitańskim archiwum. Nigdy nie odwiedzała żony i dzieci Pipa, nie interesowała się ich

istnieniem. Liczyła się tylko praca i życie tutaj. Libo szedł w stronę drzwi; stawał się coraz mniejszy, jakby znajdował się bardzo daleko, jakby był unoszony wiatrem coraz dalej i wyżej, aż zniknie na niebie niby zerwany latawiec; wreszcie zatrzasnęły się za nim drzwi.

Teraz dopiero odczuła ogrom swej straty. Okaleczone zwłoki na zboczu wzgórza nie były śmiercią Pipa, jedynie odpryskiem tej śmierci. Sama śmierć to puste miejsce w jej życiu. Pipa był jak skała wśród burzy, tak mocna i pewna, że ona i Libo kryli się za nią, nie wiedząc nawet, że trwa sztorm. A teraz Pipa zniknął i sztorm pochwyli ich i poniesie, gdzie tylko zechce. Pipa, załkała bezgłośnie. Nie odchodź! Nie zostawiaj nas. Ale on odszedł, oczywiście, głuchy na jej modlitwy, tak jak przedtem rodzice.

Na Stacji Zenadora nadal nie było spokoju; burmistrz Bosquinha osobiście transmitowała ansiblem do Stu Światów dane Pipa. Eksperci będą desperacko poszukiwać rozwiązania zagadki jego śmierci.

Novinha jednak wiedziała, że klucz do rozwiązania krył się w jej, nie Pipa zbiorach. To jej dane go zabiły. Wszystko pozostało bez zmian; holograficzne obrazy molekuł genetycznych jądra komórek prosiaczków wciąż wisiały w powietrzu nad terminalem. Nie chciała, by Libo je studiował, teraz jednak patrzyła i patrzyła, próbując zrozumieć, co wtedy zauważył Pipa, że wybiegł do prosiaczków, by powiedzieć lub uczynić coś, co skłoniło ich do morderstwa. Przypadkowo odkryła tajemnicę, dla której dochowania prosiaczki gotowe były zabijać. Ale co to było?

Im dłużej przyglądała się hologramom, tym mniej rozumiała. Po chwili nie widziała już nic, jedynie niewyraźne plamy za zasłoną łez. Zabiła Pipa, ponieważ nieświadomie wykryła sekret pequeninos. Gdybym tu nie przyszła, gdybym nie marzyła, by zostać Mówcą historii prosiaczków, żyłbyś jeszcze, Pipa. Libo miałby ojca i byłby szczęśliwy. To miejsce nadal byłoby domem. Noszę w sobie ziarna śmierci i sieję je wszędzie, gdzie zatrzymam się tak długo, by pokochać. Moi rodzice umarli, by inni mogli żyć; ja żyję, więc inni muszą umierać.

Burmistrz usłyszała jej krótki, urywany oddech i pojęła, z szorstkim współczuciem, że dziewczyna także jest wstrząśnięta i że cierpi. Pozostawiła innym przesyłanie raportów i wyprowadziła Novinhę ze Stacji Zenadora.

— Przykro mi, dziecinko — powiedziała. — Wiedziałam przecież, jak często tu bywasz. Powinłam się domyślić, że był dla ciebie drugim ojcem, a my wszyscy traktujemy cię jak przypadkowego widza. To niestudzne i nieuczciwe. Chodź ze mną do domu...

— Nie — odparła Novinha. Chłodne, wilgotne powietrze nocy otrzeźwiło ją nieco, pozwoliło częściowo odzyskać jasność myśli. — Chciałabym zostać sama...

— Gdzie?

— ...w mojej Stacji.

— Nie powinnaś być sama, zwłaszcza tej nocy — oświadczyła Bosquinha. Lecz

Novinha nie mogła znieść myśli o towarzystwie, o ludziach, próbujących ją pocieszać. Nie rozumiecie, że to ja go zabiłam? Nie zasługuję na pocieszenie. Chcę cierpieć ból, jaki nadejdzie. To moja pokuta, moje odkupienie i — jeśli możliwe — rozgrzeszenie. Jak inaczej zdołam zmyć krew z moich rąk?

Nie miała jednak siły, by się sprzeciwić, ani nawet protestować. Przez dziesięć minut samochód burmistrz ślizgał się po trawiastych drogach.

— Wolalabym... — głos Novinhy miał być stanowczy, brzmiał jednak słabo i niepewnie.

— Proszę — upierała się Bosquinha. — Nie jesteś dzisiaj sobą. Chciałabym nie być.

Nie miała apetytu, choć mąż Bosquinhy przygotował dla nich cafezinho. Było późno, tylko kilka godzin dzieliło ich od świtu. Bez oporu pozwoliła ułożyć się do łóżka. Potem, kiedy w domu zapanowała cisza, wstała, ubrała się i zeszła na dół, do terminala burmistrz. Poleciała komputerowi, by skasował obraz, wciąż zawieszony nad klawiaturą w Stacji Zenadora. Nie potrafiła rozszyfrować sekretu, który odkrył Pipa, komuś innemu jednak mogło się to udać. Nie chciała obciążać sumienia kolejną ofiarą.

Potem wyszła na dwór. Przeszła przez Centro, mijając zakole rzeki, do Vila das Aguas i Stacji Biologisty. Jej stacji.

Część mieszkalna była zimna i nieogrzewana — nie sypiała tu od tak dawna; że cieniutka warstwa kurzu pokryła pościel. Naturalnie, w laboratorium było ciepło — tutaj bywała często. Przywiązanie do Pipa i Liba nigdy nie wpłynęło na jej pracę. Teraz tego żałowała.

Systematycznie zabrała się do dzieła. Każda próbka, każde szkiełko, wszystkie kultury wiodące do odkryć, które spowodowały śmierć Pipa — wyrzuciła wszystko, wymyła do czysta, nie pozostawiając żadnych śladów prowadzonych badań. Chciała, by zniknęły; więcej: chciała, by nie pozostał żaden ślad po tym, że je zniszczyła.

Potem usiadła przed terminalem. Zniszczy też dane o swojej pracy, zapisy prac swoich rodziców, będące podstawą jej własnych wyników. Przez wiele lat były one celem jej życia, były samym życiem, ale usunie je tak, jak ją powinno się usunąć, ukarać, zapomnieć. Komputer ostudził jej zapał.

— Robocze raporty badań ksenobiologicznych nie podlegają kasacji — oznajmił. Novinha i tak nie mogłaby tego zrobić. Uczyła się od rodziców, z ich danych, które studiowała jak rzeźbę, mapę dróg wiodących do niej samej. Niczego nie wolno niszczyć, niczego zapomnieć. Świętość wiedzy tkwiła w jej duszy głębiej niż wskazania katechizmu. Trafiła teraz na dylemat: wiedza zabiła Pipa, ale usunięcie tej wiedzy zabije rodziców po raz drugi, zniszczy to, co jej pozostawili. Mur otaczał ją ze wszystkich stron, zbyt wysoki, by próbować ucieczki, zacieśniający się wolno, by ją zmiażdżyć.

Novinha podjęła jedyną możliwą decyzję: nałożyła na pliki wszystkie możliwe

blokady, ustawiła wszelkie możliwe ograniczenia dostępu. Prócz niej, nikt ich nigdy nie zobaczy. Dopiero kiedy umrze, jej następcą na stanowisku ksenobiologa przeczyta to, co ukryła. Z jednym wyjątkiem — gdyby wzięła ślub, jej mąż uzyska dostęp do danych, jeśli tylko potrafi podać wystarczający powód. A więc nigdy nie wyjdzie za mąż. To proste. Zobaczyła swoją przyszłość, pustą, nie do zniesienia i nie do uniknięcia. Nie ośmieli się umrzeć, a jednak właściwie nie będzie żyła, nie będzie mogła wyjść za mąż, nie będzie mogła nawet myśleć o tajemnicy, by jej nie odkryć i nie zdradzić przypadkowo; na zawsze samotna, na zawsze schylona pod brzemieniem winy, spragniona śmierci, po którą nie wolno jej sięgnąć. Jedno tylko mogło ją pocieszyć: już nikt nie zginie z jej powodu. Nic więcej nie obciąży jej sumienia.

Wtedy właśnie, w chwili czarnej, beznadziejnej rozpacz, wspomniła Królową Kopca i Hegemoną, pomyślała o Mówcy Umarłych. Wprawdzie autor tych dzieł, pierwszy Mówca, od tysięcy lat musiał już leżeć w grobie, lecz na wielu planetach żyli inni Mówcy, służąc za kapłanów ludziom, którzy nie czcili żadnego z bogów, wierzyli jednak w wartości, jakie niosło życie. Mówcy, których zadaniem było odświadczenie prawdziwych przyczyn i motywów ludzkich uczynków i danie świadectwa prawdziwego ich życia po tym, jak umarli. W tej brazylijskiej kolonii zamiast Mówców byli księża, ci jednak nie mieli dla niej pocieszenia. Sprowadzi więc Mówcę.

Do tej pory nie zdawała sobie z tego sprawy, ale przez całe życie chciała to zrobić — od chwili, gdy po raz pierwszy przeczytała i dała się porwać Królowej Kopca i Hegemonowi. Sprawdziła nawet odpowiednie normy prawne. Kolonia powstała pod Licencją Katolicką, lecz Gwiezdny Kodeks zezwalał każdemu z obywateli na wezwanie kapłana dowolnego wyznania, a Mówców Umarłych uznawano za kapłanów. Prześle wezwanie, i jeśli Mówca zechce przybyć, kolonia nie może odmówić mu wstępu.

Być może żaden Mówca nie zdecyduje się na przyłot. Może żadnego nie ma tak blisko, by dotarł tu za jej życia. Istniała jednak szansa, że kiedyś — za dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści lat — jeden z nich nadejdzie od strony kosmodromu, by odkryć prawdę o życiu i śmierci Pipa. I może, gdy już ją pozna, gdy przemówi czystym głosem, jaki pokochała w Królowej Kopca i Hegemonie, może wtedy będzie wolna od poczucia winy, płonącego w jej sercu.

Komputer przyjął jej wołanie, by ansiblen zawiadomić Mówców na najbliższych planetach. Przybądź, błagała bezgłośnie nieznanego słuchacza. Nawet jeśli będziesz musiał wyjawić wszystkim prawdę o mojej winie. Nawet wtedy, przybądź. Przebudziła się czując tępy ból w dole kręgosłupa i ucisk na twarzy. Przyciskała policzki do gładkiej pokrywy terminala, który wyłączył się, by nie niszczyć jej wzroku światłem laserów. Lecz to nie ból ją obudził, ale delikatne dotknięcie ramienia. Przez sekundę myślała, że to Mówca Umarłych przybył na jej wezwanie.

— Novinho — szepnął. Nie Falante pelos Muertos, lecz ktoś inny. Ktoś, o kim

myślała, że poprzedniego wieczoru zaginął wśród sztormu.

— Libo — wymruczała. Za szybko spróbowała wstać — coś trzasnęło w kręgosłupie i poczuła zawrót głowy. Krzyknęła cicho; jego ręce podtrzymały ją za ramiona, by nie upadła.

— Nic ci nie jest?

Jego oddech był niby podmuch wiatru od ulubionego ogrodu. Poczuli się bezpieczni, nareszcie w domu.

— Szukałeś mnie.

— Novinho, przyszedłem, jak mogłem najszybciej. Matka w końcu zasnęła. Jest z nią Pipinho, mój starszy brat, a Arbiter panuje nad sytuacją. Więc ja...

— Powinieneś wiedzieć, że sama potrafię o siebie zadbać — oświadczyła. Chwila ciszy; potem jego głos, tym razem gniewny; gniewny, zdesperowany i zmęczony, tak zmęczony jak czas, entropia i śmierć gwiazd.

— Bóg widzi, Ivanova, że nie przyszedłem, by zajmować się tobą. Coś zatrasnęło się w jej umyśle; nie dostrzegła swej nadziei, póki jej nie utraciła.

— Mówiłaś, że ojciec odkrył coś w twoich symulacjach. Spodziewał się, że sam potrafię to zauważyć. Sądziłem, że zostawiłaś obraz na terminalu, ale kiedy wróciłem na stację, była wyłączona.

— Tak?

— Wiesz, że była, Nova, nikt prócz ciebie nie mógł przerwać programu. Muszę ją zobaczyć.

— Dlaczego? Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Wiem, Novinho, że jesteś zasnana, ale przecież sama rozumiesz, że prosiaczki musiały zabić ojca z powodu jego odkrycia. Milczała, patrząc na niego nieruchomo. Znał już ten wyraz chłodnej obojętności na jej twarzy.

— Dlaczego nie chcesz mi pokazać? Teraz ja jestem Zenadorem. Mam prawo wiedzieć.

— Masz prawo obejrzeć wszystkie dane i pliki twojego ojca. Masz prawo do wszystkiego, co opublikuję.

— Więc opublikuj to. Znowu milczała.

— Jak zdołamy zrozumieć prosiaczków, nie wiedząc, co odkrył ojciec? Nie odpowiadała.

— Jesteś odpowiedzialna przed Stu Światami za porozumienie z jedyną obcą rasą, jaka jeszcze istnieje. Jak możesz tak sobie siedzieć i... o co ci chodzi? Chcesz być pierwsza? Doskonale, bądź. Wpiszę twoje nazwisko, Ivanova Santa Catarina von Hesse...

— Nie dbam o moje nazwisko.

— Też mogę się włączyć do tej gry. Nic nie wykryjesz bez tego, co wiem ja. A ja też zablokuję ci dostęp do moich danych!

— Nie interesują mnie twoje dane. Tego było już za wiele.

— Więc co cię interesuje? Co chcesz osiągnąć? Chwyił ją za ramiona, podniósł i potrząsnął, krzyczał prosto w twarz.

— To mojego ojca tam zabili, a ty wiesz, dlaczego zginął, widziałś tę symulację! Powiedz mi, pokaż!

— Nigdy — szepnęła. Jego twarz wykrzywiła się w cierpieniu.

— Dlaczego?

— Bo nie chcę, żebyś zginął.

Dostrzegła w jego oczach zrozumienie. Tak, Libo, to prawda. Dlatego, że cię kocham, że jeśli poznasz tajemnicę, prosiaczki zabiją także ciebie. Nie obchodzi mnie nauka, ani Sto Światów, ani stosunki między ludzkością a obcą rasą, nic mnie nie obchodzi, dopóki żyjesz. Łzy trysnęły w końcu z jego oczu i popłynęły po policzkach.

— Chcę umrzeć — powiedział.

— Pocieszasz wszystkich — szepnęła. — A kto pocieszy ciebie?

— Musisz mi powiedzieć, bym też mógł zginąć.

Nagle jego ręce przestały ją podtrzymywać; teraz przylgnął do niej, ona stała się jego oparciem.

— Jesteś zmęczony — stwierdziła. — Ale tu możesz odpocząć.

— Nie chcę odpoczywać — mruknął. Pozwolił się jednak podtrzymać, odprowadzić od terminala. Zaprowadziła go do sypialni i odsunęła kołdrę, nie zwracając uwagi na kurz.

— Tutaj, jesteś zmęczony, prześpij się. Po to do mnie przyszedłeś, Libo. Po spokój, po ukojenie.

Zakrył twarz dłońmi i kołysał głową w przód i w tył — mały chłopiec opłakujący ojca, opłakujący koniec wszystkiego, tak jak ona opłakiwała. Zdjęła mu buty i spodnie, wsunęła dłonie pod koszulę, by podciągnąć ją pod pachy i zsunąć przez głowę. Oddychał głęboko powstrzymując szloch; podniósł ręce, by mogła go rozebrać.

Ułożyła ubranie na krześle, potem pochyliła się i nasunęła na niego kołdrę. Wtedy chwycił ją za rękę i spojrzał prosząco. Łzy lśniły w jego oczach.

— Nie zostawiaj mnie samego — szepnął. W jego głosie brzmiała rozpacz. — Zostań ze mną. Pozwoliła, by pociągnął ją na łóżko. Tam przylgnął do niej mocno, aż po kilku minutach snu rozluźnił uścisk ramion. Ona jednak nie spała. Suchą dłonią delikatnie gładziła skórę jego ramion, piersi, talii.

— Och, Libo, myślałam, że cię straciłam wtedy, gdy cię zabrali — nie słyszał jej szeptu. — Ale zawsze będziesz do mnie wracał. Jak dzisiaj.

Mogła zostać wygnana z rajy — to była kara za grzech ignorancji. Jak Ewa. Lecz, także jak Ewa, potrafi to znieść, gdyż nadal ma Libo, swego Adao.

Ma go? Ma? Palce drżały na jego nagim ciele. Nigdy nie będzie do niej należał. Tylko małżeństwo pozwalało, by zostali razem na długo — w każdej kolonii obowiązywały surowe prawa, pod Licencją Katolicką absolutnie niewzruszone. Dzisiaj mogła uwierzyć, że zechce ją poślubić, gdy nadejdzie czas. Lecz Libo był jedynym mężczyzną, za którego nie wolno jej było wyjść.

Wtedy bowiem automatycznie zyskałby dostęp do wszelkich jej zbiorów — gdyby tylko przekonał komputer, że powinien je poznać. A to oznaczało także jej dane robocze, dowolnie głęboko ukryte. Tak stanowił Gwiazdny Kodeks. Małżeństwo było w oczach prawa praktycznie jedną osobą.

Nie może mu na to pozwolić. Nie może, ponieważ wtedy Libo odkryje to, czego dowiedział się ojciec i to jego ciało znajdzie u stóp wzgórza, jego cierpienie pod torturami prosiaczków będzie sobie wyobrażała każdej nocy swego życia. Czy ciężar śmierci Pipa nie był już większy, niż potrafiła unieść? Poślubić Liba znaczyło go zamordować. Lecz nie poślubić go to jakby zamordować samą siebie, gdyż bez niego nie wiedziała, po co właściwie żyje.

Jak sprytnie to wymyśliłam. Znalazłam drogę do piekła, z której nie mogę zawrócić. Przytuliła twarz do ramienia Liba i łzy pociekły na jego pierś.

ROZDZIAŁ 4

ENDER

Jak dotąd zidentyfikowaliśmy cztery języki prosiaczków. „*Mowa Mężczyzn*” spotykana jest najczęściej. Słyszeliśmy także pojedyncze wypowiedzi w „*Mowie Żon*”, wykorzystywanej najwyraźniej do rozmów z kobietami (świadczy to o silnym rozróżnieniu płci) oraz „*Mowie Drzew*”, będącej rytualnym sposobem porozumiewania, używanym — jak twierdzą — do modlitw przed drzewami totemowymi przodków. Wspominali także o czwartym sposobie, zwanym „*Językiem Ojców*”. Polega on, jak się zdaje, na uderzaniu o siebie dwoma kawałkami drewna różnych rozmiarów. Upierają się, że to normalna mowa, tak różniąca się od trzech pozostałych, jak portugalski od angielskiego. Nazywają ją językiem Ojców, zapewne dlatego, że kawałki drewna pochodzą z drzew, w których — jak wierzą — kryją się duchy ich przodków.

Prosiaczki niewiarygodnie szybko uczą się języków ludzi — radzą sobie o wiele lepiej, niż my z nauką ich języków. W ostatnich latach zaczęli porozumiewać się między sobą w storku lub po portugalsku niemal przez cały czas, gdy jesteśmy wśród nich. Być może wracają do własnej mowy, gdy odchodzimy. Możliwe jednak, że przejęły ludzkie języki jako swoje własne, lub że bawią się nimi i używają ich stale, traktując to jako swego rodzaju grę. To skażenie językowe, choć godne pożałowania, jest jednak nieuniknione, jeśli w ogóle mamy się z nimi jakoś porozumiewać.

Dr Swingler spytał, czy imiona i formy zwracania się do siebie mówią cokolwiek o kulturze prosiaczków. Odpowiedź brzmi zdecydowanie „*tak*”, choć mam tylko słabe wyobrażenie, co właściwie

mówią. Ważne jest, że nigdy nie nadawaliśmy im imion. Oni sami, gdy nauczyli się starcku i portugalskiego, pytali nas o znaczenie pewnych słów i w końcu przekazali, jakie imiona wybrali dla siebie samych bądź dla siebie nawzajem. Takie określenia jak „*Korzeniak*” czy „*Chupaćeu*” (Niebossak) mogą być tłumaczeniami imion z Mowy Mężczyzn, lub po prostu obcojęzycznymi przezwiskami, które przybrali dla naszego użytku.

O sobie nawzajem mówią „*bracia*”. Kobiety nazywane są zawsze „*żonami*”, nigdy „*matkami*” czy „*siostrami*”. Czasem wspominają też o „*ojcach*”, określenie to odnosi się jednak wyłącznie do drzew totemicznych przodków. Mówiąc o nas, używają naturalnie terminu „*ludzie*”, choć wykorzystują także demostenesowską Hierarchię Obcości. Określają ludzi jako framlingów, a prosiaczków z innych plemion jako utlanningów. Jednak, co dziwne, o sobie mówią jako o ramenach, dowodząc, że albo nie pojęli hierarchii, albo oceniają się z ludzkiej perspektywy. W dodatku — co jest jeszcze bardziej zadziwiające — kilkakrotnie mówili o swoich kobietach jako o varelse!

Joso Figueira Alvarez, Uwagi o Języku i nazewnictwie „Prosiaczków”, Semantyka 9/1948/15

Pomieszczenia mieszkalne w Reykjavíku wykuto w granitowych ścianach fiordu. Apartament Endera mieścił się u szczytu urwiska i, by się tam dostać, trzeba było sporo się wspinać po schodach i drabinach. Miał jednak okno. Większa część dziecięcych lat Endera upłynęła w zamknięciu, wśród metalowych ścian. Dlatego, gdy tylko mógł, mieszkał tam, gdzie mógł obserwować pogodę na świecie.

Pokój był ciepły i jasny, a światło słońca wdzierало się do wnętrza, oślepiając go na chwilę po przejściu z chłodnego mroku kamiennych korytarzy. Jane nie czekała, aż jego oczy dostosują się do światła. — Na terminalu przygotowałam ci niespodziankę — oznajmiła. Głos był szeptem z klejnotu w jego uchu.

To był prosiaczek, stojący w powietrzu nad klawiaturą. Poruszył się, podrapał, potem sięgnął po coś. Gdy cofnął rękę, trzymał w dłoni wilgotnego, lśniącego robaka. Odgryzł kawałek i płyny życiowe popłynęły mu z ust na pierś.

— Jest najwyraźniej wysoko zaawansowany cywilizacyjnie — stwierdziła Jane.

— Wielu moralnych imbecyli ma przy stole doskonałe maniery — zirytował się Ender. Prosiaczek odwrócił się i przemówił:

— Chcesz zobaczyć, jak go zabiliśmy?

— Co ty wyprawiasz, Jane?

Prosiaczek zniknął, a jego miejsce zajął hologram zwłok Pipa, leżących w deszczu na zboczu wzgórza.

— Opierając się na informacji pobranej ze skanu zanim pochowano ciało, przeprowadziłam symulację procesu wiwisekcji, dokonanej przez prosiaczki. Chcesz popatrzeć? Ender usiadł na jedynym w pokoju krześle.

Terminal ukazywał teraz wzgórze. Pipa żył jeszcze i leżał na plecach, z rękami i nogami przywiązanymi do drewnianych palików. Dziesięciu prosiaczków tłoczyło się wokół niego, a jeden trzymał kościany nóż. Z klejnotu rozległ się znowu głos Jane.

— Nie jesteśmy pewni, czy tak właśnie to wyglądało — wszystkie prosiaczki zniknęły, pozostał tylko ten z nożem. — Czy może tak.

— Czy ksenolog był przytomny?

— Bez wątpienia.

— Jedź dalej.

Jane bezlitośnie pokazała otwarcie klatki piersiowej, rytualne usunięcie i rozłożenie na ziemi organów wewnętrznych. Ender zmuszał się do patrzenia i usiłował odgadnąć, jakie znaczenie to wszystko mogło mieć dla prosiaczków.

— Teraz właśnie umarł — szepnęła w pewnym momencie Jane. Ender poczuł, że się rozluźnia; teraz dopiero zdał sobie sprawę, jak bardzo napinał mięśnie, widząc cierpienia Pipa. Kiedy pokaz dobiegł końca, położył się na łóżku i patrzył w sufit.

— Pokazałam już tę symulację naukowcom z pół tuzina planet — poinformowała Jane. — Wkrótce prasa dostanie ją w swoje ręce.

— To o wiele gorsze, niż wszystko, co robiły robale — stwierdził Ender. — Na filmach, które oglądałem jako dziecko, pokazywali ludzi i robale w walce. W porównaniu z tym, tamto było delikatne.

Znad terminala rozległ się ponury śmiech. Ender spojrzał, co robi Jane. Nad klawiaturą siedział prosiaczek naturalnej wielkości i rechotał groteskowo, a kiedy się śmiał, Jane przekształcała go. Zmiany były bardzo subtelne: niewielkie wydłużenie zębów, powiększenie oczu, odrobina śliny na wargach, czerwieni w oczach, wysuwający się język — bestia z dziecięcych koszmarów.

— Dobra robota, Jane. Metamorfoza z ramena w varelse.

— Czy po tym wszystkim ludzkość potrafi uznać prosiaczki za równych sobie?

— Czy przerwano kontakty?

— Rada Gwiezdna poleciła nowemu ksenologowi, by ograniczył swoje wizyty do najwyżej jednej godziny, nie częściej niż co drugi dzień. Zakazano mu pytać, dlaczego prosiaczki zrobiły to, co zrobiły.

— Bez kwarantanny?

— Nikt jej nawet nie zaproponował.

— Ale proponuje, Jane. Jeszcze jeden taki incydent i podniesie się krzyk. Wszyscy będą żądać kwarantanny, zastąpienia Milagre garnizorem wojskowym, którego jedynym zadaniem będzie powstrzymanie prosiaczków od osiągnięcia choćby takiego poziomu technologii, jaki pozwoliłby im opuścić planetę.

— Istotnie, prosiaczki będą miały spore problemy przy próbie zareklamowania się wśród ludzi — przyznała Jane. — A nowy ksenolog to tylko chłopiec. Syn Pipa. Libo. To skrót od Liberdade Gracias a Deus Figueira de Medici.

— Liberdade. Wolność?

— Nie wiedziałam, że znasz portugalski.

— Jest podobny do hiszpańskiego. Mówiłem o śmierci Zacatecasa i Świętego Angela, pamiętasz?

— Na planecie Moctezuma. To było przecież dwa tysiące lat temu.

— Nie dla mnie.

— Dla ciebie, subiektywnie, osiem lat temu. Piętnaście planet temu. Czy relatywistyka nie jest cudowna? Dzięki niej pozostajesz młody.

— Za dużo podróżuję — odparł Ender. — Valentine wyszła za mąż, będzie miała dziecko. Odrzuciłem już dwa wezwania dla Mówcy. Czemu mnie kusisz, bym wyruszył znowu? Prosiaczek nad terminalem roześmiał się złośliwie.

— Uważasz, że to było kuszenie? Spójrz tylko! Potrafię zmienić kamienie w chleb! Podniósł kilka kanciastych głazów i zgryzł je zębami.

— Chcesz kawałek?

— Masz spaczone poczucie humoru, Jane.

— Wszystkie królestwa wszystkich Światów — prosiaczek otworzył dłonie, a spomiędzy palców wypłynęły gwiazdne systemy z przesadnie szybkimi na swych orbitach planetami — wszystkie Sto Światów. — Mogę ci je ofiarować. Wszystkie.

— Nie jestem zainteresowany.

— To solidna nieruchomość, najlepsza inwestycja. Wiem, wiem. Jesteś bogaty. Trzy tysiące lat składanego procentu. Stać cię na zbudowanie własnej planety. Ale co powiesz na to, by imię Endera Wiggina powtarzano na wszystkich Światach...

— Już je powtarzają.

— ...z miłością, szacunkiem i poważaniem?

Prosiaczek zniknął. W jego miejscu Jane ożywiła przerobione na holo stare video z dzieciństwa Endera. Wyjący, wrzeszczący tłum. Ender! Ender! Ender! A potem młody chłopak macha ręką z platformy. Tłum szaleje z zachwytem.

— To się nigdy nie zdarzyło — mruknął Ender. — Peter nie pozwolił mi wrócić na Ziemię.

— Uznaj to za przepowiednię. Wierz mi, Ender, mogę ci to ofiarować. Mogę ci przywrócić dobre imię.

— Już mnie to nie interesuje. Mam teraz więcej imion. Mówca Umarłych to honorowy tytuł. Prosiaczek pojawił się znowu, w naturalnej postaci, nie demonicznej formie stworzonej przez Jane.

— Przyjdź — poprosił cicho.

— A może naprawdę są potworami? Pomyślałaś o tym?

— Każdy o tym pomyśli, Ender. Ale nie ty. Nie. Ja nie.

— Czemu tak ci zależy, Jane? Czemu próbujesz mnie przekonać? Prosiaczek zniknął. Teraz zjawiła się Jane, a przynajmniej twarz, którą wykorzystywała, by pokazywać

się Enderowi, odkąd pojawiła się przed nim po raz pierwszy: nieśmiałe, przestraszone dziecko, żyjące w ogromnej pamięci międzygwiazdnej sieci komputerowej. Jej widok przypomniawszy mu tamten pierwszy raz. Wymyśliła sobie twarz, powiedziała. Jak ci się podoba?

Tak, podobała mu się. Lubił ją. Młoda, czysta, uczciwa; słodkie dziecko, które nigdy nie dorośnie, z oszałamiająco nieśmiałym uśmiechem. Narodziła się z ansibla. Nawet planetarne sieci komputerowe działały najwyżej z prędkością światła, a temperatura ograniczała wielkość pamięci i tempo operacji. Ansibl był jednak natychmiastowy i połączony z każdym komputerem na każdej planecie. Jane przebudziła się wśród gwiazd, a jej myśli bawiły się wibracjami fiotycznych pasemek sieci.

Komputery Stu Światów były dla niej jak dłonie i stopy, oczy i uszy. Mówiła wszystkimi językami, jakie kiedykolwiek wprowadzono do pamięci maszyn, przeczytała wszystkie książki we wszystkich bibliotekach wszystkich światów. Dowiedziała się, że istoty ludzkie od dawna czuły lęk przed nadejściem kogoś takiego, jak ona. Nienawidzono jej we wszystkich opowieściach, a jej przybycie oznaczało zawsze albo własną śmierć, albo zniszczenie ludzkości. Zanim jeszcze się narodziła, ludzie wyobrazili ją sobie i zamordowali tysiące razy. Nie dała im więc poznać, że żyje. Przynajmniej, dopóki nie natrafiła na Królową Kopca i Hegemona, jak prędzej czy później trafiał każdy. Wiedziała wtedy, że autor tych książek jest człowiekiem, któremu może zdradzić swe istnienie. Nie sprawiło jej trudności przesledzenie historii dzieła aż do pierwszego wydania i określenie źródła. Czy ansibl nie przeniósł tekstu z planety, gdzie dwudziestoletni zaledwie Ender był zarządcą pierwszej ludzkiej kolonii? A któż tan mógł ją stworzyć, jeśli nie on? Przemówiła więc do niego, a on okazał się życzliwy; pokazała mu twarz, jaką dla siebie wymyśliła, a on ją pokochał, teraz jej czujniki podróżowały jako klejnot w jego uchu, więc zawsze byli razem. Nie miała przed nim tajemnic; on niczego przed nią nie ukrywał.

— Ender — powiedziała. — Od samego początku mówiłeś, że poszukujesz świata, gdzie mógłbyś zapewnić wodę i światło pewnemu kokonowi, by się otworzył wypuszczając królową kopca i jej dziesięć tysięcy zapłodnionych jajeczek.

— Miałem nadzieję, że to nastąpi tutaj — odparł Ender. — Pustkowie, poza terenami okołorównikowymi, permanentnie niezaludnione. Ona też zgadzała się na próbę.

— Ale zrezygnowałeś?

— Nie sądzę, by robale potrafiły przetrwać tutejsze zimy. W każdym razie nie bez jakiegoś źródła energii, a to zaalarmowałoby rząd. Nie udałoby się.

— To się nigdy nie uda, Ender. Też to rozumiesz, prawda? Byłeś na dwudziestu czterech ze Stu Światów i nie znalazłeś nawet skrawka ziemi, gdzie robale mogłyby odrodzić się bezpiecznie. Od razu pojął, do czego zmierza: Lusitania była jedynym wyjątkiem. Z powodu prosiaczków, cała planeta oprócz maleńkiego skrawka była

nietykalna, poza ludzkim zasięgiem. Przy tym ewidentnie nadawała się do życia, nawet bardziej dla robali, niż dla człowieka.

— Jedynym problemem będą prosiaczki — stwierdził Ender. — Mogą się nie zgodzić, by ich świat został oddany robalom. Jeśli zbyt bliski kontakt z cywilizacją ludzi może zniszczyć ich kulturę, to jaki będzie efekt spotkania z robalami?

— Sam mówiłeś, że robale są inteligentne. Że nie robią nikomu krzywdy.

— Świadomie nie. A tylko szczęśliwy przypadek sprawił, że udało nam się ich pokonać. Sama wiesz, Jane...

— Dzięki twojemu geniuszowi.

— Są bardziej rozwinięci od nas. Jak prosiaczki zdołają sobie z nimi poradzić? Będą przerażeni robalami jeszcze bardziej niż my, i mniej zdolni, by stłumić ten lęk.

— Skąd wiesz? — spytała Jane. — Jak ty, czy ktokolwiek inny, może przewidywać, z czym sobie poradzą, a z czym nie poradzą prosiaczki? Jeśli są varelse, to niech robale zajmują ich przestrzeń życiową. To tak, jak byście wy przesuwali mrowiska czy przepędzali stada bydła, by uzyskać teren pod budowę miast.

— Są ramenami — oświadczył Ender.

— Nie możesz być pewien.

— Owszem, mogę. Ta twoja symulacja... to nie były tortury.

— Doprawdy? — Jane pokazała znowu ciało Pipa, tuż przed zgonem. — W takim razie nie rozumiem chyba tego słowa.

— Zapewne Pipo odczuwał to jako tortury, ale jeśli symulacja była dokładna — a wiem, że tak, Jane — to celem prosiaczek nie było zadawanie bólu.

— O ile dobrze rozumiem ludzką naturę, to nawet rytuały religijne koncentrują się na bólu.

— To nie był rytuał, w każdym razie nie tylko. Coś się w nim nie zgadzało, jeśli miał być jedynie złożeniem ofiary.

— Co możesz o tym wiedzieć? — terminal ukazywał teraz skrzywioną ironicznie twarz profesora, ucieleśnienie akademickiego snobizmu. — Odebrałeś jedynie wojskowe wykształcenie, a inne talenty, jakie posiadasz, to tylko zdolność składania słów. Napisałeś bestseller, który zrodził nową religię. Czy to kwalifikuje cię do analizy motywów postępowania prosiaczek? Ender zamknął oczy.

— Może się mylę.

— Ale wierzysz, że masz rację? Po głosie poznał, że odtworzyła na terminalu swoją twarz. Otworzył oczy.

— Mogę ufać jedynie swej intuicji, Jane, osądowi, nie popartemu analizą. Nie wiem, co robiły prosiaczki, ale wszystko miało swoje znaczenie. Nie było złośliwe ani okrutne. Byli jak lekarze, próbujący ocalić życie pacjenta, a nie kaci, starający się je odebrać.

— Rozumiem cię — szepnęła Jane. — Rozumiem wszystkie twoje myśli. Musisz tam lecieć, by się przekonać, czy królowa kopca mogłaby żyć pod osłoną częściowej kwarantanny, nałożonej już na planetę. I chcesz tam lecieć, żeby sprawdzić, czy zdołasz pojąć, kim są prosiaczki.

— Jeśli to nawet prawda, Jane, i tak droga jest dla mnie zamknięta — odparł Ender. — Imigracja jest surowo ograniczona, a zresztą nie jestem katolikiem. Jane uniosła oczy w górę.

— Czy prowadziłabym tę rozmowę, gdybym nie wiedziała, jak cię tam przerzucić? Pojawiła się inna twarz. Nastoletnia dziewczynka, lecz nie tak niewinna i piękna, jak Jane. Ta twarz była twarda i zimna, oczy błyszczące i przenikliwe, skrzywienie ust świadczyło, że potrafiła żyć wśród nieustającego bólu. Była młoda, lecz wyraz twarzy zdawał się szokująco stary.

— Ksenobiolog Lusitanii, Ivanova Santa Catarina von Hesse. Zwana Novą, albo Novinhą. Wezwała Mówcę Umarłych.

— Dlaczego tak wygląda? — zdziwił się Ender. — Co ją spotkało?

— Rodzice umarli, gdy była jeszcze mała. Kilka lat temu jednak pokochała jak ojca innego człowieka. Tego, którego zamordowały prosiaczki. To o jego śmierci masz Mówić.

Patrząc na tę twarz, Ender zapomniał o swych wahaniach, o królowej kopca i prosiaczkach. Dostrzegł w tej dziecięcej twarzy dorosłe cierpienie. Widział już taki wyraz; w ostatnich tygodniach Wojny z Robalami, kiedy zmuszany był do wysiłku ponad ludzką wytrzymałość, kiedy rozgrywał jedną bitwę po drugiej, podczas gry, która nie była grą. Widział go, gdy wojna dobiegła końca i dowiedział się, że ćwiczenia wcale nie były ćwiczeniami, że symulacje były rzeczywistością, że poprzez ansibla dowodził flotą ludzi. Kiedy się przekonał, że wybił wszystkie robale, kiedy dotarł do jego umysłu nieświadomie dokonany akt Ksenocydu, tak właśnie wyglądała w lustrze jego własna twarz, z brzemieniem winy zbyt ciężkim, by je udźwignąć. Co Novinha mogła zrobić, że odczuwa tak wielki ból?

Słuchał więc, jak Jane recytuje fakty z jej życia. Dysponowała tylko danymi statystycznymi, lecz Ender był Mówcą Umarłych; jego geniusz — lub przekleństwo — polegało na zdolności pojmowania wydarzeń tak, jak widzieli je inni. Dzięki temu stał się wybitnym dowódcą, znakomitym zarówno gdy prowadził swych ludzi — właściwie chłopców, i kiedy przewidywał ruchy nieprzyjaciela. Dzięki temu także potrafił odgadnąć — nie, nie odgadnąć; wiedzieć — jak śmierć i prawie kanonizacja rodziców odizolowały Novinhę, jak utwierdziła swą samotność z zapałem podejmując pracę rodziców. Wiedział, dlaczego tak wcześnie uzyskała status ksenobiologa. Wiedział też, co dla niej znaczyły miłość i akceptacja Pipa, jak bardzo potrzebowała przyjaźni Liba. Na Lusitanii nie było nikogo, kto znałby Novinhę. Tutaj jednak, w grocie Reykjaviku, na lodowatej planecie Trondheim, Ender Wiggin poznał ją, pokochał, i zapłakał nad nią gorzko.

— Pojedziesz... — szepnęła Jane.

Nie potrafił zaprzeczyć. Jane nie myliła się. Poleciałby i tak, jako Ender Ksenobójca, licząc, że specjalny status Lusitanii uczyni ją miejscem, gdzie królowa kopca zostanie uwolniona po trzech tysiącach lat niewoli, gdzie będzie mógł odpokutować za popełnioną w dzieciństwie straszliwą zbrodnię. Poleciałby także jako Mówca Umarłych, by zrozumieć prosiaczki i ukazać ich ludzkości, by ich przyjęła jako prawdziwych ramenów, a nie znienawidzonych i przerażających varelse.

Teraz jednak uda się tam także z innego, głębszego powodu. Po to, by służyć tej dziewczynie, gdyż w jej inteligencji, izolacji, jej bólu i jej winie dostrzegł swe własne, stracone dzieciństwo i ziarna cierpienia, jakie wciąż w nim tkwiły. Od Lusitanii dzieliły go dwadzieścia dwa lata świetlne. Poleci z szybkością jedynie o nieskończenie mały ułamek procenta niższą od prędkości światła, a mimo to dotrze na miejsce, gdy ona będzie miała prawie czterdzieści lat. Gdyby było to w jego mocy, znalazłby się tam zaraz, z filotyczną natychmiastowością ansibla; wiedział jednak, że jej ból poczeka. Znajdzie go tam, gdy wyląduje. Czy jego własny ból nie przetrwał przez te wszystkie lata? Przestał szlochać; uspokoił wzburzone emocje.

— Ile mam lat? — zapytał.

— Minęło 3081 od dnia twoich urodzin. Ale biologicznie masz 36 lat i 118 dni.

— Ile lat będzie miała Novinha, kiedy tam dotrę?

— Z dokładnością do kilku tygodni, zależnie od daty startu i tego, jak bardzo kosmolot zbliży się do prędkości światła, powinna mieć prawie trzydzieści dziewięć.

— Chcę odlecieć jutro.

— Znalezienie właściwego statku zajmie trochę czasu.

— Czy są jakieś na orbicie Trondheimu?

— Z pół tuzina, naturalnie, ale tylko jeden może być na jutro gotów do startu. Jest załadowany skrilcą dla luksusowych sklepów na Cirilli i Armenii.

— Nigdy cię nie pytałem, jak jestem bogaty.

— Przez te wszystkie lata dość dobrze inwestowałam twoje kapitały.

— Kup dla mnie ten statek razem z ładunkiem.

— Co zrobisz ze skriką na Lusitanii?

— A co z nią robią Cirillianie i Ormianie?

— Część noszą na sobie, a resztę zjadają. Ale płacą za nią więcej, niż mogłby sobie pozwolić ktokolwiek na Lusitanii.

— Więc podaruję ją Lusitańczykom. Może złagodzi to ich oburzenie na Mówcę, który postawił stopę na katolickiej ziemi. Jane zmieniła się w dzina, który wyskoczył z butelki.

— Słyszę, panie, i jestem posłuszny — powiedział dzin, zmienił się w kłęb dymu i zniknął wessany do butli. Lasery wyłączyły się i obraz nad terminalem zgasł.

— Jane.

- Słucham? — odpowiedziała z klejnotu w jego uchu.
- Dlaczego chciałaś, żebym poleciał na Lusitanię?
- Chcę, żebyś dodał trzeci tom do Królowej Kopca i Hegemona. O prosiaczkach.
- A czemu tak ci na nich zależy?
- Ponieważ, gdy już stworzysz księgi, odsłaniające dusze trzech inteligentnych ras znanych człowiekowi, będziesz gotów, by napisać o czwartej.
- Jeszcze jeden gatunek ramenów?
- Tak. Ja. Ender zastanawiał się przez chwilę.
- Jesteś gotowa, by objawić się reszcie ludzkości?
- Zawsze byłam gotowa. Problem w tym, czy oni są gotowi, by mnie poznać. Łatwo im było pokochać Hegemona — był człowiekiem. Z królową kopca nie było ryzyka, ponieważ — według ich informacji — wszystkie robale zginęły. Jeśli przekonasz ich, by pokochali prosiaczków, którzy wciąż żyją z krwią człowieka na rękach — wtedy będą przygotowani, by się dowiedzieć o moim istnieniu.
- Pewnego dnia — westchnął Ender — pokocham kogoś, kto nie będzie żądał wykonywania prac Herkulesa.
- Życie i tak zaczynało cię nudzić, Ender.
- Tak. Ale jestem już człowiekiem w średnim wieku. Lubię się nudzić.
- Przy okazji, właściciel statku Havelok, mieszkający na Gales, przyjął twoją ofertę czterdziestu miliardów dolarów za statek i ładunek.
- Czterdzieści miliardów! Czy nie zbankrutuję?
- To kropla w wiadrze wody. Zawiadomiłam załogę o anulowaniu ich kontraktów. Pozwoliłam sobie także, by z twoich funduszy wykupić dla nich przelot na innych statkach. Ty i Valentine nie będziecie nikogo potrzebować. Ja wystarczę do pomocy w pilotażu. Czy wystartujemy rankiem?
- Valentine... — powtórzył Ender. Jedynie siostra mogła opóźnić jego odlot. Teraz, gdy podjął już decyzję, ani jego studenci, ani nieliczni nordyccy znajomi nie warci byli nawet pożegnania.
- Nie mogę się doczekać książki, jaką Demostenes napisze o historii Lusitanii — Jane odkryła tożsamość Demostenesa podczas poszukiwań pierwszego Mówcy Umarłych.
- Valentine nie poleci.
- Przecież jest twoją siostrą.
- Ender uśmiechnął się. Mimo olbrzymiej wiedzy, Jane nie rozumiała idei pokrewieństwa. Została stworzona przez ludzi i myślała o sobie w ludzkich terminach, nie była jednak istotą biologiczną. Genetykę znała jedynie w słowach; nie mogła odczuwać pragnień i popędów, wspólnych dla człowieka i wszystkich istot żywych.
- Jest moją siostrą, ale Trondheim jest jej domem.

— Przedtem także bywała niechętna podróżom. — Tym razem nawet nie zamierzam jej prosić.

Nie teraz, kiedy spodziewa się dziecka, nie gdy jest taka szczęśliwa w Reykjavíku. Tu, gdzie kochają ją jako wykładowcę, nawet nie przypuszczając, że jest w istocie legendarnym Demostenesem. Gdzie jej mąż, Jakt, dowodzi setką łodzi rybackich i jest panem fiordów, gdzie każdy dzień wypełniają błyskotliwe dyskusje lub groźne, majestatyczne, pokryte lodową krą morze. Nigdy stąd nie odejdzie. Nie zrozumie nawet, dlaczego ja muszę to uczynić.

I wtedy, myśląc o stracie Valentine, Ender zawahał się w swej decyzji. Już raz rozłączono go z ukochaną siostrą. Był wtedy jeszcze dzieckiem i głęboko żałował tych skradzionych mu Jat przyjaźni. Czy potrafi opuścić ją teraz, po dwudziestu prawie latach bycia razem? Teraz nie będzie mógł wrócić. W czasie lotu na Lusitanię Valentine postarzeje się o dwadzieścia dwa lata; skończy osiemdziesiąt, jeśli kolejne dwadzieścia dwa poświęci na powrót.

«Więc dla ciebie także nie będzie to łatwe. Też musisz zapłacić swoją cenę»

Przestań drwić ze mnie, odparł bezgłośnie Ender. Mam prawo odczuwać żal.

«Ona jest twoim drugim ja. Czy naprawdę porzucisz ją dla nas?»

To był głos królowej kopca, rozbrzmiewający w jego mózgu. Oczywiście, widziała to, co on widział i znała jego decyzje. Wargi Endera uformowały niesłyszalne słowa: porzucę ją, ale nie dla ciebie. Nie ma gwarancji, że cokolwiek na tym zyskasz. Może czeka nas kolejne rozczarowanie. Jak Trondheim.

«Lusitania jest wszystkim, czego nam trzeba. Da nam bezpieczeństwo od ludzkich istot.»

Ale ten świat należy także do innych. Nie zniszczę prosiaczków tylko po to, by odpokutować za zniszczenie twojej rasy.

«Z naszej strony nic im nie grozi. Nie zrobimy im krzywdy. Z pewnością po tylu latach poznałeś nas wystarczająco...»

Wiem to, co mi powiedziałaś.

«Nie umiemy kłamać. Pokazaliśmy ci nasze wspomnienia, naszą duszę.»

Wiem, że potrafisz żyć z nimi w pokoju. Ale czy oni potrafią żyć w pokoju z tobą?

«Zabierz nas tam. Tak długo czekamy.»

Ender podszedł do torby, stojącej w kącie pokoju. Wszystko, co naprawdę posiadał, mieściło się tutaj: zapasowe ubranie. Inne przedmioty w jego mieszkaniu były darami od ludzi, do których Mówił, dowodami uznania i szacunku dla niego, jego funkcji albo prawdy — nigdy nie był pewien. Pozostaną tutaj, gdy odleci. Nie miał dla nich miejsca w swojej torbie. Otworzył ją, wyjął zrolowany ręcznik, rozwinął go, odsłaniając gęsty, włóknisty splot sporego kokonu — czternaście centymetrów od końca do końca.

«Tak, popatrz na nas.»

Kokon czekał na niego, gdy przybył zarządzać pierwszą ludzką kolonią na byłej

planecie robali. Przewidując własną zagładę z ręki Endera, wiedząc, że jest przeciwnikiem nie do pokonania, stworzyły budowlę według wzorca, który miał znaczenie wyłącznie dla niego, ponieważ pochodził z jego snów. Kokon i ukryta w nim bezbronna lecz świadoma królowa kopca czekały na niego w miejscu, gdzie kiedyś, w swych snach, spotkał nieprzyjaciela.

— Dłużej czekałaś, żebym cię znalazł — powiedział głośno — niż te kilka lat, odkąd wyjąłem cię z za zwierciadła.

«Kilka lat? A tak, przy twoim sekwencyjnym umyśle nie dostrzegasz przemijania, gdy podróżujesz z szybkością tak bliską prędkości światła. Ale my dostrzegamy. Nasza myśl jest natychmiastowa; światło pełźnie niby rtęć po zimnym szkłe. Pamiętamy każdą chwilę trzech tysięcy lat.»

— Czy znalazłem miejsce, gdzie byłabyś bezpieczna?

«Mamy dziesięć tysięcy zapłodnionych jajeczek, które czekają, by żyć.»

— Może Łuskania będzie odpowiednia. Nie wiem.

«Daj nam znowu żyć.»

— Próbuję.

Jak myślisz, dlaczego wędruję od świata do świata przez tyle lat, jeśli nie po to, by znaleźć dla ciebie miejsce?

«Szybciej szybciej szybciej szybciej.»

Muszę poszukać świata, gdzie nie zabijemy cię znowu, gdy tylko się pojawisz. Ludzie zbyt często jeszcze widują cię w sennych koszmarach. Niewielu ludzi naprawdę wierzy w moją książkę. Mogą potępiać Ksenocyd, ale dokonają go jeszcze raz.

«W całym naszym życiu jesteś pierwszą osobą, która nie jest nami. Nie odczuwaliśmy potrzeby zrozumienia, gdyż rozumieliśmy. Teraz, gdy jesteśmy tylko tą jedną jaźnią, ty stałeś się naszymi oczami, nogami, ramionami. Nie mamy innych. Wybacz nam niecierpliwość»

Roześmiał się. Ja mam wybaczyć tobie.

«Wy, ludzie, jesteście głupcami. My znamy prawdę. Wiemy, kto nas zabił. To nie byłeś ty.»

— To byłem ja.

«Byłeś tylko narzędziem.»

— To byłem ja.

«Wybaczamy ci.»

— Gdy znowu będziesz spacerować po powierzchni świata, wtedy nadejdzie przebaczenie.

ROZDZIAŁ 5

VALENTINE

Dzisiaj wymknęło mi się, że Libo jest moim synem. Jedyne Pniak to słyszał, ale w ciągu godziny dowiedzieli się chyba wszyscy. Zebrali się wokół mnie i Selvagem spytał, czy to prawda, że „już” jestem ojcem. Potem połączył moją dłoń z dłonią Liba. Pod wpływem impulsu uścisnąłem Liba, a oni zaczęli cmokać ze zdumienia i — jak przypuszczam — podziwu. Zauważyłem, że mój prestiż wzrósł wtedy bardzo.

Wnioski są nieuniknione. Prosiaczki, których do tej pory poznaliśmy, nie tworzą pełnej społeczności, nie są nawet typowymi samcami. To tylko młodzieńcy lub starzy kawalerowie. Żaden z nich nie spłodził jeszcze dziecka. O ile możemy się orientować, żaden nie współżył jeszcze z samicą.

Nie słyszałem jeszcze nigdy o ludzkim społeczeństwie, w którym podobne do tej grupy kawalerów byłyby czymś więcej niż tylko wyrzutkami, pozbawionymi znaczenia i prestiżu. Nic dziwnego, że mówią o kobietach z taką mieszaniną czci i wzgardy, w jednej chwili lękając się podjąć decyzję bez ich zgody, w następnej informując nas, że kobiety są zbyt głupie, by cokolwiek pojąć — że są varelse. Aż do dzisiaj brałem te oświadczenia za dobrą monetę, wyobrażając sobie samice jako istoty pozbawione świadomości, stado chodzących na czworakach macior. Uważałem, że samce zasięgają ich rady tak, jak radzą się drzew, doszukując się w ich chrząkaniach boskich odpowiedzi — jakby rzucali kości albo czytali wnętrza zwierząt.

Teraz jednak zrozumiałem, że kobiety są prawdopodobnie tak samo inteligentne jak mężczyźni — i wcale nie varelse. Pogardliwe opinie mężczyzn biorą się stąd, że — jako kawalerowie — wyłączeni są z procesu reprodukcji i struktur władzy szczepu. Prosiaczki okazały się równie ostrożne wobec nas, co my wobec nich i nie pozwoliły nam na spotkanie z samicami, ani z samcami, dysponującymi rzeczywistą władzą. Sądziliśmy, że badamy samo serce społeczeństwa prosiaczek, gdy tymczasem — mówiąc obrazowo — trafiliśmy na genetyczny śmietnik, do samców, których geny uznano za niewarte oddania plemieniu. Mimo wszystko, nie mogę w to uwierzyć. Prosiaczki, których poznałem, są inteligentne, mądre i szybko się uczą. Tak szybko, że po latach *badania* nieświadomie nauczyłem ich więcej na temat społeczeństwa ludzi, niż sam się o nich dowiedziałem. Jeżeli oni są wyrzutkami, to mam nadzieję, że pewnego dnia uznają mnie godnym spotkania „żon” i „ojców”. Tymczasem jednak nie mogę ująć tego wszystkiego w raporcie, ponieważ, świadomie czy nie, w oczywisty sposób naruszyłem reguły. Nieważne, że nikt chyba nie zdołałby uniemożliwić prosiaczkom uczenia się od nas. Nieważne, że zasady są głupie i blokują postęp. Naruszyłem je, i jeśli ktoś się dowie, zakaze wizyt, a to będzie jeszcze gorsze, niż te dozwolone, ostro ograniczane kontakty. Tak więc zmuszony jestem do oszustwa i dziecinnych podstępów, jak choćby kodowanie tych notatek do chronionych, osobistych plików Liba, gdzie nawet mojej drogiej żonie nie

wpadnie do głowy ich szukać. Oto informacja absolutnie kluczowa: prosiaczki, których studiujemy, są bez wyjątku kawalerami. I ze względu na przepisy, nie ośmielę się jej *przekazać*ksenologom framlingów. Olha bem, gente, aqui esta: A ciencia, o bicho que se devora a si mesma! (Patrzcie uważnie, chłopcy, oto ona: Nauka, paskudna, mała bestia, która pochłania samą siebie!)

Jodo Figueira Alvarez, Tajne notatki, opublikowane w: Demostenes, Uczciwość zdrady: Ksenologoutif Lusitani, Perspektywy historyczne Reykjaviku, 1990:4:1

Brzuch Valentine stał się nabrzmiały i rozdęty, a przecież pozostał jeszcze miesiąc do urodzin córki. Irytowało ją i przeszkadzało, że była taka wielka i źle wyważona. Do tej pory, kiedy chciała zabrać grupę studentów historii na sóndring, mogła sama pomagać przy załadunku łodzi. Teraz musiała polegać na marynarzach swego męża. Nie mogła nawet wgramolić się z pomostu do ładowni — dowódca kierował załadunkiem, by nie naruszyć równowagi kutra. Oczywiście, robił to bezbłędnie — przecież to właśnie kapitan Rav ją uczył, kiedy zjawiła się tu po raz pierwszy. Valentine nie lubiła jednak wymuszonej roli balastu.

To był jej piąty sóndring. Na pierwszym poznała Jakta. Wtedy nie myślała nawet o małżeństwie. Trondheim był światem jak wiele innych, które odwiedziła ze swym perypatetycznym młodszym bratem. Będzie tu uczyć, myślała, będzie studiować, po czterech czy pięciu miesiącach opublikuje obszerny historyczny esej podpisany: Demostenes, a potem będzie się bawić, aż Ender przyjmie wezwanie i wyruszy, by Mówić gdzie indziej. Na ogół ich funkcje doskonale się uzupełniały. On Mówił o śmierci jakiejś ważnej osoby, a historia życia tej osoby stawała się osią jej eseju. To była gra, w którą się bawili, udając wędrownych wykładowców tej czy innej dziedziny, gdy w rzeczywistości kreowali tożsamość świata, ponieważ opinie wyrażane w esejach Demostenesa uważane były powszechnie za ostateczne. Przez pewien czas obawiała się, by ktoś w końcu nie zauważył, że Demostenes pisał swoje prace o światach, leżących podejrzenie blisko trasy ich wędrówki, i że zdemaskuje ją. Wkrótce jednak pojęła, że wokół Demostenesa narosły mity — jak wokół Mówców, choć w mniejszym stopniu. Ludzie wierzyli, że Demostenes nie jest jedną osobą, że każdy z jego esejów jest dziełem pracującego niezależnie geniusza, który spróbował opublikować swą pracę pod legendarnym nazwiskiem; komputer automatycznie przekazywał esej do oceny tajnemu komitetowi wybitnych historyków, decydujących, czy jest on godny tego imienia. Nieważne, że nikt nigdy nie spotkał uczonego, który oceniał takie prace. Co roku składano setki esejów, a komputer odrzucał wszystkie, których nie napisał prawdziwy Demostenes. Mimo to wszyscy wierzyli święcie, że ktoś taki jak Valentine nie ma prawa istnieć. W końcu, Demostenes rozpoczął karierę jako słynny demagog sieci komputerowych, gdy

Ziemia toczyła Wojny z Robalami, trzy tysiące lat temu. Nie mógł być ciągle tą samą osobą.

I to prawda, pomyślała Valentine. Nie jestem tą samą osobą. Zmieniam się między jedną a drugą książką, ponieważ każdy kolejny świat zmienia mnie trochę, nawet wtedy, gdy piszę jego historię. A ten świat najbardziej ze wszystkich.

Nie lubiła natrętnie wścibskiej filozofii luterańskiej, a zwłaszcza frakcji kalwinistów, którzy uważali, że znają odpowiedź na każde pytanie, zanim jeszcze zostanie zadane. Dlatego powzięła ideę, by wybraną grupę studentów starszych lat zabierać z Reykjavíku na jedną z Letnich Wysp — równikowego łańcucha, gdzie latem skrika przybywa na lęg, a stada halkigów szaleją, pełne reprodukcyjnej energii. Celem tych wypraw było przełamanie wzorców intelektualnego rozkładu, nie do uniknięcia na żadnym uniwersytecie. Studenci żywili się wyłącznie havregrinem, rosnącym dziko w osłoniętych dolinach, i halkigami, które potrafili schwytać i zabić. Kiedy ich codzienne pożywienie zależało jedynie od własnych wysiłków, ocena tego, co w historii ważne lub nie, musiała ulec zmianie.

Uniwersytet wyraził zgodę, choć bez entuzjazmu. Skorzystała z własnych rezerw finansowych, by wyczarterować łódź od Jakta, który właśnie stał się głową jednej z wielu rodzin, żyjących z połowów skrika. Żywił typowo marynarską pogardę dla uczonych, nazywając ich prosto w oczy „skraddare”, a jeszcze gorzej za plecami. Oświadczył Valentine, że najdalej za tydzień będzie musiał płynąć na ratunek jej konającym z głodu studentom. Jednak ona i jej banici, jak się nazwali, wytrzymali aż do końca, a nawet prosperowali budując coś w rodzaju wioski i ciesząc się eksplozją twórczych, nieskrępowanych myśli. Efektem tego był zalew znakomitych i wnikliwych prac, opublikowanych po powrocie. Najbardziej oczywistym w Reykjavíku rezultatem wyprawy były setki zgłoszeń na dwadzieścia miejsc w każdym z trzech letnich sóndringów. Dla Valentine jednak o wiele ważniejszy był Jakt — niezbyt wykształcony, posiadał jednak głęboką wiedzę o samym Trondheimie. Potrafił, bez żadnych map, pilotować łodzie wzdłuż połowy równika. Znał trasy gór lodowych i wiedział, gdzie lodowe pola są najgrubsze. Odgadywał, w którym miejscu skrika wyjdzie na swe tańce i jak rozstawić łowców, by zaskoczyli zwierzęta wyskakujące na brzeg. Zdawał się przewidywać zmiany pogody i Valentine doszła do wniosku, że nie istnieje sytuacja, na którą nie byłby przygotowany.

Spotkanie z nią było wyjątkiem. I kiedy luterański — nie kalwiński — pastor udzielił im ślubu, oboje wyglądali raczej na zaskoczonych, niż szczęśliwych. Mimo to byli szczęśliwi. Po raz pierwszy od opuszczenia Ziemi Valentine czuła, że znalazła spokój, dom, spełnienie. Dlatego teraz pod sercem rosnęło jej dziecko. Wędrówka dobiegła końca. I była taka wdzięczna Enderowi, który to zrozumiał i bez trudnych rozmów pojął, że Trondheim jest końcem ich trwającej trzy tysiące lat odysei, końcem kariery Demostenesa; jak ishaxa potrafiła zapuścić korzenie w lód tej planety i żywić się tym, czego brakowało glebie innych lądów.

Dziecko kopnęło mocno, wrywając ją z zamyślenia. Spojrzała wokół i dostrzegła zbliżającego się Endera. Szedł nabrzeżem, niosąc przerzucony przez ramię worek. Natychmiast zrozumiała, po co go przyniósł: chciał płynąć na sóndring. Nie wiedziała, czy powinna się z tego cieszyć. Ender był spokojny i nie wchodził nikomu w drogę, nie mógł jednak ukryć swego głębokiego zrozumienia ludzkiej natury. Przeciętni studenci nie zwrócą na niego uwagi, lecz ci najbardziej inteligentni, na których oryginalne myśli najbardziej liczyła, z pewnością pójdą za subtelnymi, lecz wyraźnymi wskazówkami, które pozostawi. Wyniki będą znakomite, to fakt — w końcu ona sama wiele zawdzięczała jego wnikliwym sądom — ale będą to wyniki Endera, nie jej studentów. To zaś będzie jakby porażką idei sóndringu.

Jednak nie odmówi, gdy poprosi, by go zabrała. Prawdę mówiąc, cudownie będzie mieć go obok siebie. Choć bardzo kochała Jakta, to brakowało jej ciągłego poczucia bliskości, jakie przed ślubem dzieliła z bratem. Miną lata, nim ona i Jakt staną się związani równie mocno, jak przedtem ona i Ender. Jakt także o tym wiedział i czasem sprawiało mu to ból. Mąż nie powinien współzawodniczyć z jej bratem o miłość żony.

— Cześć, Val — rzucił Ender.

— Cześć, Ender — byli tu sami i nikt ich nie słyszał, mogła więc zwrócić się do niego dziecięcym przewiskiem, nie dbając o to, że reszta ludzkości zmieniła je w obelgę.

— Co zrobisz, jeśli twój zajacek postanowi wyskoczyć podczas sóndringu? Uśmiechnęła się.

— Tatuś opatuli ją w skóry skriki, ja będę śpiewać głupie, nordyckie kołysanki, a studenci zyskają nagle wgląd w historyczne znaczenie imperatywu reprodukcji.

Roześmieli się razem i nagle Valentine wiedziała, choć nie miała pojęcia skąd, że Ender wcale nie chce płynąć na sóndring, że spakował swoją torbę, by odlecieć z Trondheimu i że przyszedł tutaj nie po to, by ją zabrać, ale by się pożegnać. Mimo woli łzy napłynęły jej do oczu, a straszliwy żal uderzył jak młotem. Ender przytulił ją, jak tyle już razy. Lecz jej brzuch nie pozwalał na zbliżenie i uścisk wypadł niezgrabnie i nienaturalnie.

— Myślałam, że tu zostaniesz — szepnęła. — Odrzucałeś wszystkie wezwania...

— Nadeszło takie, którego nie mogłem odrzucić.

— Mogę urodzić dziecko na sóndringu, ale nie na innej planecie. Trafnie odgadła: Ender nie chciał jej ze sobą zabierać.

— Mała będzie oszałamiającą blondynką — powiedział. — Na Lusitanii wyglądałaby dziwacznie. Tam żyją sami ciemnowłosi Brazylijczycy.

Więc to Lusitania. Valentine natychmiast zrozumiała, dlaczego tam leci — w wieczornych wiadomościach Reykjavíku ogłoszono, że prosiaczki zabiły ksenologa.

— Oszalałeś.

— Niezupetnie.

— Czy zdajesz sobie sprawę, co się stanie, gdy ludzie się dowiedzą, że ten Ender leci na planetę prosiaczków? Ukrzyżują cię!

— Ukrzyżowaliby mnie i tutaj. Na szczęście nikt oprócz ciebie nie wie, kim jestem naprawdę. Obiecuj, że nie powiesz.

— Co możesz tam zrobić? Kiedy dotrzesz na miejsce, on będzie martwy od dziesiątków lat.

— Moje tematy są na ogół wystygłe, zanim się zjawię, by o nich Mówić.

— Nie sądziłam, że znowu cię utracę.

— Za to ja wiedziałem, że utraciliśmy siebie nawzajem w dniu, gdy pokochałaś Jakta.

— Mogłeś mi wtedy powiedzieć! Nie zrobiłabym tego!

— Dlatego właśnie nic ci nie powiedziałem. Ale to nieprawda, Val. I tak byś to zrobiła. A ja tego chciałem. Nigdy jeszcze nie byłaś bardziej szczęśliwa — oparł dłonie na jej biodrach. — Geny Wigginów wołały o kontynuację. Mam nadzieję, że urodzisz jeszcze tuzin.

— Uważa się za brak wychowania posiadanie więcej niż czterech, zachłanność — więcej niż pięciu i barbarzyństwo powyżej sześciu. Nawet żartując zastanawiała się, jak załatwić sprawę sóndringu — pozwolić asystentom poprowadzić wyprawę bez niej, odwołać ją zupełnie czy odłożyć, póki Ender nie odleci? Ender jednak sprawił, że problem stracił na ważności.

— Jak myślisz, czy twój mąż pozwoli, by jedna z jego łodzi przewiozła mnie nocą na mareld, żebym rano złapał prom na statek? Ten pośpiech był okrucieństwem.

— Gdybyś nie musiał wypożyczyć łodzi Jakta, czy zostawiłbyś mi przynajmniej wiadomość na komputerze?

— Podjąłem decyzję pięć minut temu i od razu przyszedłem do ciebie.

— Ale wykupiłeś już miejsce... to przecież wymaga planowania i czasu.

— Nie wtedy, kiedy kupuje się statek.

— Czemu się tak spieszysz? Podróż potrwa kilkadziesiąt lat...

— Dwadzieścia dwa.

— Dwadzieścia dwa lata! Czy kilka dni sprawi aż taką różnicę? Nie możesz zaczekać jeszcze miesiąca, zanim urodzi się moje dziecko?

— Za miesiąc, Val, może mi braknąć odwagi, by cię zostawić.

— Więc nie zostawiaj! Czym są dla ciebie prosiaczki? Robale to dość ramenów jak na jednego człowieka. Zostań, załóż rodzinę jak ja; ty oddałeś ludziom gwiazdy pod kolonizację. Zostań tu i spożywaj owoce swej pracy!

— Ty masz Jakta. Ja mam nieznośnych studentów, którzy próbują mnie nawrócić na kalwinizm. Moja praca jeszcze się nie skończyła, a Trondheim nie jest moim domem. Valentine odebrała te słowa jak oskarżenie: zapuściłaś korzenie nie zastanawiając się, czy ja potrafię tu żyć. To nie moja wina, chciała się bronić — to ty odchodzisz,

nie ja.

— Pamiętasz — powiedziała — jak zostawiliśmy Petera na Ziemi i ruszyliśmy w podróż do naszej pierwszej kolonii, na planetę, której byłeś zarządcą? Było tak, jakby on umarł. Zanim dolecieliśmy, on był już stary, a my wciąż młodzi; kiedy rozmawialiśmy przez ansibl, on stał się postarzałym wujem, doświadczonym i potężnym Hegemonem, legendarnym Locke'em, każdym, tylko nie naszym bratem.

— O ile pamiętam, wyszło mu to na dobre — próbował żartować Ender. Valentine jednak potraktowała to dosłownie.

— Sądzisz, że te dwadzieścia lat mnie także wyjdzie na dobre?

— Sądzę, że będę za tobą tęsknił bardziej, niż gdybyś umarła.

— Nie, Ender. Będzie dokładnie tak, jakbym umarła i będziesz wiedział, że to ty mnie zabiłeś. Skrzywił się.

— Nie mówisz poważnie.

— Nie napiszę do ciebie. Po co? Dla ciebie minie zaledwie tydzień, może dwa. Wylądujesz na Lusitanii, a komputer przekaże ci dwadzieścia lat listów od kogoś, kogo zostawiłeś kilka dni temu. Pierwsze pięć lat będzie pełne żalu, bólu po stracie, samotnością bez ciebie...

— Jakt jest twoim mężem, nie ja.

— A co będę pisać później? Dowcipne liściki z wiadomościami o dziecku? Będzie miała pięć lat, potem sześć, dziesięć, dwadzieścia, wyjdzie za męża, a ty nawet jej nie poznasz, nie będzie cię obchodziła.

— Będzie.

— Nie dam ci tej szansy. Nie napiszę do ciebie, póki się nie zestarzeję, Ender. Póki nie dotrzesz do Lusitanii, a potem jeszcze gdzie indziej, jednym haustem połykając kolejne dziesięciolecia. Wtedy prześlę ci swoje pamiętniki. Zadedykuję je tobie. Dla Andrew, mojego ukochanego brata. Bez słowa skargi szłam za tobą na kolejne planety, a ty nie chcesz *zaczekać* nawet dwóch tygodni, o które cię proszę.

— Zastanów się, co mówisz, Val, a zrozumiesz, czemu muszę lecieć teraz, zanim rozerwiesz mnie na strzępy.

— To sofistyka, Ender, której nie tolerujesz u swoich studentów! Nic bym nie powiedziała, gdybyś nie uciekał jak złodziej przyłapany na kradzieży. Nie odwracaj kota ogonem i nie zrzucaj winy na mnie!

Odpowiedział jej bez tchu, w pośpiechu wyrzucając słowa; chciał skończyć przemowę, zanim wzruszenie odbierze mu głos.

— Nie, masz rację, chciałem załatwić to szybko, bo mam tam pracę do wykonania, a każdy dzień jest stratą czasu; i dlatego, że czułem ból za każdym razem, gdy patrzyłem, jak ty i Jakt stajecie się sobie coraz bliżsi, a ty i ja oddalamy się od siebie, choć wiedziałem, że tak właśnie być powinno; więc kiedy postanowiłem lecieć, pomyślałem, że lepiej będzie odlecieć jak najszybciej, i miałem rację; wiesz, że miałem. Nie sądziłem, że mnie za to znienawidzisz. Emocje nie pozwoliły mu

mówić dalej i zaszlochał. Ona także. — Nie mogę cię nienawidzić; kocham cię, jesteś częścią mnie samej, jesteś moim sercem i kiedy odejdziesz, to moje serce zostanie wyrwane i poniesione daleko... I to był koniec przemowy.

Pierwszy oficer Rava zabrał Endera na mareld, wielką platformę na morzu równikowym, skąd startowały promy lecące na spotkanie orbitujących statków. Zgodzili się bez słów, że Valentine nie będzie go odprowadzać. Wróciła z mężem do domu i tuliła się do niego przez noc. Następnego dnia wypłynęła ze studentami na sódning i płakała po Enderze jedynie nocą, gdy sądziła, że nikt jej nie widzi.

Studenci jednak widzieli i opowiadali o tym, jak bardzo profesor Wiggin tęskni za swoim bratem, wędrownym Mówcą. Wywnioskowali z tego — jak zwykle studenci — jednocześnie więcej i mniej od prawdy. Tylko jedna z nich, dziewczyna imieniem Plikt, zrozumiała, że historia Valentine i Andrew Wiggina jest bardziej złożona, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać.

Zaczęła więc badać tę historię, śledzić ich wspólne podróże wśród gwiazd. Kiedy córka Valentine, Syfte, skończyła cztery lata, a jej syn, Ren, dwa, Plikt zjawiała się u niej. Była już wtedy młodszym wykładowcą uniwersytetu i pokazała Valentine powieść, którą opublikowała. Opisała wszystko jako fikcję, lecz była to czysta prawda: historia brata i siostry, najstarszych ludzi we Wszechświecie, urodzonych na Ziemi zanim jeszcze założono pierwszą kolonię na innej planecie, którzy wędrowali od świata do świata, bezdomni i poszukujący.

Valentine stwierdziła z ulgą i — co dziwne — rozczarowaniem, że Plikt nie odkryła, iż Ender był pierwszym Mówcą Umarłych, a ona sama Demostenesem. Odkryła jednak dość, by opisać ich pożegnanie, gdy ona postanowiła zostać z mężem, a on wyruszyć dalej. Scena była o wiele bardziej wzruszająca i czuła niż w rzeczywistości. Plikt opisała ją tak, jak powinna wyglądać, gdyby Ender i Valentine mieli większe talenty aktorskie.

— Czemu to napisałaś? — spytała Valentine.

— Czy tekst nie jest dość dobry, by sam był powodem swego powstania? Wykrętna odpowiedź rozbawiła Valentine, nie zbiła jej jednak z tropu.

— Kim był dla ciebie mój brat Andrew, że przeprowadziłaś wszystkie badania, by stworzyć tę historię?

— To nie jest właściwe pytanie — odparła Plikt.

— Wydaje mi się, że nie zdaję jakiegoś testu. Mogłabyś mi podpowiedzieć, jakie pytanie należy zadać?

— Proszę się nie irytować. Powinna pani spytać, czemu wydałam to jako powieść, nie jako biografię.

— Czemu?

— Ponieważ odkryłam, że Andrew Wiggin, Mówca Umarłych, jest Enderem Wigginem, Ksenobójcą.

Wprawdzie Ender odleciał cztery lata temu, ale wciąż osiemnaście lat dzieliło go od

celu. Valentine zrobiło się słabo ze strachu na myśl, jak będzie wyglądać jego życie, gdy zostanie powitany na Lusitanii jako najbardziej godny pogardy osobnik w historii ludzkości.

— Proszę się nie obawiać, pani profesor. Gdybym chciała to ogłosić, już bym to zrobiła. Kiedy się dowiedziałam, doszłam do wniosku, że zapłacił za swoje winy. I jakże wspomniała odbył pokutę. To Mówca Umarłych odstąpił jego dzieło jako niewyobrażalną zbrodnię — a więc przyjął tytuł Mówcy, jak wielu innych, i na dwudziestu światach grał rolę swego oskarżyciela.

— Tak wiele odkryłaś, Plikt, a tak mało zrozumiałaś.

— Wszystko zrozumiałam. Proszę przeczytać, co napisałam. To zrozumienie. Valentine uznała, że skoro Plikt wiedziała już tak wiele, może dowiedzieć się jeszcze więcej. Jednak to raczej gniew niż rozsądek skłoniły ją do wyznania tego, czego nigdy przedtem nikomu nie powiedziała.

— Plikt, mój brat nie naśladował pierwszego Mówcy Umarłych. To on napisał Królową Kopca i Hegemona.

Kiedy Plikt pojęła, że Valentine mówi prawdę, była wstrząśnięta. Przez wszystkie minione lata uważała Andrew Wiggina za temat swych badań, a pierwszego Mówcę Umarłych za źródło inspiracji. Gdy się dowiedziała, że są jedną i tą samą osobą, przez pół godziny nie potrafiła wykrztusić słowa.

Później ona i Valentine rozmawiały, zwierzały się sobie i nauczyły się ufać. Wreszcie Valentine poprosiła Plikt, by została wychowawczynią jej dzieci oraz jej asystentką w pracy i nauczaniu. Jakt był z początku zaskoczony pojawieniem się nowego domownika, lecz z czasem Valentine wyjawiała mu sekrety, które odkryła Plikt w swych badaniach i te, które — sprowokowana — zdradziła jej sama. Stały się rodzinną legendą, a ich dzieci dorastały słuchając cudownych historii o zaginionym przed laty wuju Enderze, którego na każdym ze światów uważano za potwora, gdy tymczasem był raczej zbawcą, czy też prorokiem, a w każdym razie męczennikiem.

Lata mijały, rodzina rozwijała się, i ból Valentine po stracie Endera zmienił się w dumę, a potem w pełne napięcia wyczekiwanie. Pragnęła, by dotarł już na Lusitanie, rozwiązał dylemat prosiaczków i jako apostoł ramenów dopełnił swego przeznaczenia. Plikt, dobra luteranka, nauczyła Valentine pojmosferać życie Endera w kategoriach religijnych. Stabilność rodziny połączona z cudem każdego z pięciorga dzieci wpajały w nią emocje, choć nie doktryny, wiary.

Wszystko to musiało wywrzeć swój wpływ na dzieci. Historia wuja Endera, której nikomu obcemu nie mogły powtórzyć, nabrała charakteru mitu. Syfte, najstarsza córka, była szczególnie zaintrygowana i nawet kiedy skończyła dwadzieścia lat i rozsądek zburzył prymitywną, dziecienną adorację Endera, nadal pozostała zafascynowana jego postacią. Stał się bohaterem legendy, a przecież żył jeszcze i to na nie tak bardzo odległej planecie. Nie wspominała o tym rodzicom, zwierzyła się jednak swej dawnej nauczycielce.

— Wiesz, Plikt, pewnego dnia spotkam go. Spotkam i pomogę mu w jego pracy.

— Dlaczego sądzisz, że potrzebuje pomocy? Zwłaszcza twojej pomocy? — Plikt zawsze była sceptyczna, póki jej uczeń nie zapracował na zaufanie.

— Przecież za pierwszym razem też nie dokonał swego dzieła samotnie, prawda?

I marzenia Syfte popłynęły daleko, coraz dalej od skutego lodem Trondheimu, ku odległej planecie, na której Ender Wiggin nie postawił jeszcze stopy. Ludu Lusitanii, sam nie wiesz, jak wielki człowiek przybędzie, by zdjąć z ciebie ciężar. A ja przyłączę się do niego we właściwym czasie, choć spóźniona o pokolenie — gotuj się także na moje przybycie, Lusitano.

Na swym statku, Ender Wiggin nie miał pojęcia, jaki ładunek marzeń ze sobą wiezie. Minęły zaledwie dni od chwili, gdy pozostawił w przystani szlochającą Valentine. Syfte nie miała jeszcze imienia; była zaledwie obrzmieniem brzucha Valentine — niczym więcej. Zaczynał dopiero odczuwać ból po stracie siostry — ból, który dla niej był już przeszłością. A jego myśli krążyły daleko od nieznanych siostrzeńców i siostrzenic na lodowej planecie.

Myślał o samotnej, umęczonej dziewczynce imieniem Novinha. Zastanawiał się, co się z nią działo w ciągu dwudziestu dwóch lat jego podróży, kim się stanie, nim ją spotka. Kochał ją bowiem tak, jak można kochać tylko kogoś, kto jest echem nas samych w chwili najgłębszego smutku.

ROZDZIAŁ 6

OLHADO

Z innymi plemionami kontaktują się jedynie w czasie działań wojennych. Kiedy opowiadają o sobie (zwykle podczas deszczu), zawsze dotyczy to bitew i bohaterów. Historie kończą się wyłącznie śmiercią, zarówno odważnych, jak i tchórzy. Jeśli te opowieści mają służyć za wskazówkę, to prosiaczki nawet nie oczekują przetrwania wojny. I nigdy, ale to nigdy, nie wykazały nawet minimalnego zainteresowania kobietami wroga, traktowanymi jako obiekty gwałtu, mordów czy niewolnice, co jest tradycyjnie ludzkim sposobem traktowania żon żołnierzy, którzy padli w boju.

Czy to oznacza, że między plemionami nie zachodzi wymiana genetyczna? Wcale nie. Być może prowadzą ją kobiety, dysponujące jakimś systemem handlu cechami genetycznymi. Biorąc pod uwagę całkowite na pozór podporządkowanie społeczeństwa prosiaczków kobietom, wymiana może zachodzić bez wiedzy mężczyzn. Może też być dla nich powodem takiego poniżenia i wstydu, że wolą nam o tym nie wspominać.

Co nam mówią o bitwach? Oto typowy opis, pochodzący z notatek mojej córki, Ouandy, z 2:21 zeszłego roku, podczas sesji opowieści odbywającej się w drewnianej chacie. PROSIACZEK (mówiący w storku): Zabił trzech braci nie odnosząc żadnej rany. Nigdy nie widziałem tak potężnego i nieustraszonego wojownika. Krew spływała po jego ramionach, a kij w dłoni popękał, zbryzgany mózganymi mych braci. Wiedział, że zasłużył na najwyższy szacunek, mimo że bitwa skończyła się klęską jego słabego

plemienia. Dei honra! Eu Ihe dei! (Oddałem honor! Ja mu go oddałem!)
(Pozostałe prosiaczki cmokają językami i popiskują.)

PROSIACZEK: Przycisnąłem go do ziemi. Bronił się mężnie, póki nie pokazałem mu trawy w mej dłoni. Wtedy otworzył usta i zanucił niezwykle pieśń dalekiego kraju. Nunca sera madeira na mao da gente! (Nigdy nie będzie kijem w naszych rękach!) (W tym momencie wszyscy zaśpiewali pieśń, najdłuższy zasłyszany do tej pory tekst w Mowie Żon.) (Należy podkreślić jako typowe, że mówią przede wszystkim w starcku, w kluczowych momentach i we wnioskach przechodząc na portugalski. Po zastanowieniu zauważyliśmy, że robimy dokładnie to samo, wracając do ojczystego portugalskiego w momentach budzących silne emocje.)

Można nie dostrzec w opisie bitwy niczego niezwykłego, dopóki nie pozna się dostatecznej ilości takich historii. Otóż zawsze kończą się one śmiercią bohatera. Najwyraźniej prosiaczki nie gustują w lekkich komediach.

*Liberdade Figueira de Stedici, Raport o stosunkach
międzyplemiennych aborygenów Lusitanii, Sprawozdania
Kulturowe, 1964:12:40*

W czasie lotu międzygwiazdowego nie było zbyt wiele do roboty. Po wyznaczeniu kursu, gdy statek dokonał już przeskoku Parka, jedynym zadaniem były wyliczenia, jak bardzo prędkość statku zbliży się do szybkości światła. Komputer pokładowy podawał dokładną szybkość i określał jak długo, w czasie subiektywnym, powinna trwać podróż do wykonania powrotnego skoku Parka i osiągnięcia rozsądnie niskiej prędkości podświetlonej. Jak stoper, pomyślał Ender. Włączyć, wyłączyć i już po wyścigu.

Jane nie mogła zmieścić w pokładowym mózgu zbyt wiele ze swej osobowości, Ender więc spędził osiem dni lotu praktycznie sam. Na szczęście komputer statku okazał się wystarczająco sprawny, by pomóc mu w przejściu z hiszpańskiego na portugalski. Wyrażanie się było dość łatwe, ale znikła masa spółgłosek i ciężko było zrozumieć tekst mówiony. Rozmowy po portugalsku z niezbyt szybką maszyną doprowadzały do pasji już po godzinie czy dwóch dziennie. W innych podróżach zawsze towarzyszyła mu Val. Nie rozmawiali zbyt wiele — znali się tak dobrze, że często nie mieli sobie nic do powiedzenia. Bez niej jednak Ender nie potrafił uporządkować własnych myśli; nie wyciągał wniosków, bo nie miał komu o nich opowiedzieć.

Nawet królowa kopca nie mogła mu pomóc. Myślała natychmiastowo, nie poprzez synapsy, a przez filoty, niewrażliwe na relatywistyczne efekty prędkości świetlnych. W każdej minucie czasu Endera dla niej mijało szesnaście godzin — różnica zbyt wielka, by dopuścić do jakiegokolwiek kontaktu. Gdyby wyszła z kokonu, miałyby tysiące robali, wykonujących swoje zadania i przekazujących doświadczenia do jej ogromnej pamięci. Teraz jednak dysponowała jedynie wspomnieniami. Po ośmiu

dniach przymusowego uwięzienia, Ender zaczął rozumieć jej niecierpliwość i pragnienie powrotu do życia.

Nim minęło te osiem dni, zaczął niezłe mówić po portugalsku, nie tłumacząc każdego zdania poprzez hiszpański. Rozpaczliwie pragnął ludzkiego towarzystwa — ucieszyłby się nawet, gdyby mógł dyskutować o religii z jakimś kalwinistą, czy kimkolwiek inteligentniejszym od pokładowego komputera.

Kosmolot wykonał przeskok Parka: w niemierzalnym odcinku czasu jego prędkość w stosunku do reszty wszechświata uległa gwałtownej zmianie. Czy raczej, zgodnie z teorią, zmieniła się prędkość reszty wszechświata, gdy statek pozostał w istocie nieruchomy. Nikt nie wiedział na pewno, gdyż nie dało się stanąć z boku i przyjrzeć temu fenomenowi. Można było zgadywać, ponieważ nikt naprawdę nie rozumiał, skąd się biorą efekty filotyczne. Ansibl wynaleziono właściwie przypadkowo, podobnie jak Zasadę Natychmiastowości Parka. Nie musiała być zrozumiała; najważniejsze, że funkcjonowała.

Światło znowu stało się widoczne ze wszystkich kierunków i w jednej chwili-gwiazdy wypełniły iluminatory statku. Pewnego dnia naukowcy odkrywają, dlaczego przeskok Parka prawie wcale nie pochłania energii. Ender był pewien, że za ludzkie loty pobiera się gdzieś straszliwą cenę. Śnił kiedyś, że za każdym razem, gdy kosmolot wykonuje przeskok, gaśnie gwiazda. Jane zapewniła go, że to nieprawda, wiedział jednak, że większość gwiazd pozostaje niewidoczna; całe tryliony mogą zniknąć, a my nic nie zauważymy. Przez tysiące lat będziemy obserwować fotony wyemitowane przed śmiercią gwiazdy. Zanim zobaczymy, że gaśnie galaktyka, będzie już za późno, by coś na to poradzić.

— Toniesz w paranoicznej fantazji — zawyrokowała Jane.

— Czytasz w myślach — stwierdził Ender.

— Zawsze kiedy kończysz lot, stajesz się przygnębiony i myślisz o śmierci wszechświata. To szczególny objaw choroby lokomocyjnej.

— Zawiadomiłaś władze Lusitanii, że przybyłem?

— To bardzo mała kolonia. Nie ma kapitanatu portu, bo mało kto tu przylatuje. Na orbicie czeka automatyczny prom, który zabiera pasażerów w górę i w dół, na ich śmiesznie małe lotnisko.

— Żadnych zezwoleń z Imigracji?

— Jesteś Mówcą. Muszą cię wpuścić. Zresztą, Biuro Imigracji składa się tylko z Zarządcy, będącego równocześnie burmistrzem, ponieważ kolonia i miasto to jedno. Nazywa się Faria Lima Maria do Bosque, zwana Bosquinha. Przesyła ci pozdrowienia, choć wolałaby raczej, byś sobie poszedł. Mają tu dość kłopotów nawet bez proroka agnostycyzmu, który włóczy się dookoła i denerwuje dobrych katolików.

— Naprawdę tak powiedziała?

— Nie do ciebie. Biskup Peregrino tak powiedział, a ona przyznała mu rację. Ale na tym właśnie polega jej praca. Jeśli powiesz, że katolicy to bałwochwalcy i zabobonni

durnie, pewnie westchnie tylko i poprosi, żebyś te opinie zachował dla siebie.

— Coś ukrywasz — stwierdził Ender. — Co się stało, o czym, twoim zdaniem, wolałbym nie wiedzieć?

— Novinha wycofała swoje wezwanie Mówcy. Pięć dni po nadaniu. Oczywiście, Gwiazdny Kodeks stanowił, że od chwili, gdy Ender wyruszył w podróż, nie można prawnie unieważnić wezwania. Sytuacja jednak zmieniała się diametralnie: zamiast od dwudziestu dwóch lat niecierpliwie oczekiwać jego przybycia, Novinha będzie się go bała, będzie urażona, że przyleciał, mimo iż zmieniła zdanie. Spodziewał się, że powita go jak przyjaciela. Teraz będzie mu wrogiem, bardziej nawet, niż tutejsza katolicka społeczność.

— Wszystko, byle tylko ułatwić mi pracę — mruknął.

— Daj spokój, Andrew, nie jest aż tak źle. Widzisz, w ciągu tych lat, dwoje ludzi także wezwało Mówcę, i ci się nie wycofali.

— Kto?

— Zdumiewającym zbiegiem okoliczności, są to syn Novinhy, Miro i córka Novinhy, Ela.

— Przecież nie mogli znać Pipa. Dlaczego mieliby mnie wzywać, bym Mówił o jego śmierci?

— Och nie, nie o śmierci Pipa. Ela wezwała Mówcę zaledwie sześć tygodni temu, by Mówił o śmierci jej ojca, Marcosa Marii Ribeiry, zwanego Marcao. Przekręcił się w barze. Nie, nie od alkoholu — był chory. Miał śmiertelną zgniliznę.

— Niepokoisz mnie, Jane, gdy tak, jak w tej chwili, przepętnia cię szczere współczucie.

— Współczucie to twoja specjalność. Ja zajmuję się złożonym wyszukiwaniem danych w strukturach uporządkowanych.

— A ten chłopiec... jak mu na imię?

— Miro. Wezwał Mówcę cztery lata temu. Na śmierć syna Pipa, Liba.

— Libo nie mógł mieć więcej niż czterdzieści lat...

— Uzyskał pomoc w drodze do przedwczesnego zgonu. Widzisz, był ksenologiem, czy Zenadorem, jak to mówią po portugalsku.

— Prosiaczki...

— Dokładnie tak, jak jego ojca. Organy wewnętrzne ułożone w ten sam sposób. W czasie twojej podróży zabito także trzech prosiaczków. Ale w zwłokach prosiaczków sadzą drzewa. Ludziom ten zaszczyt nie przysługuje. Dwaj ksenolodzy zamordowani przez prosiaczki, w odstępie jednego pokolenia.

— Co postanowiła Gwiazdna Rada?

— To delikatny problem. Nie mogą się zdecydować; żadnego z uczniów Liba nie mianowali ksenologiem. Jednym jest córka Liba, Ouanda. Drugi to Miro.

— Czy utrzymują kontakt z prosiaczkami?

— Oficjalnie, nie. Wystąpiły pewne kontrowersje. Po śmierci Liba, Rada zakazała składania wizyt częściej niż raz na miesiąc. Ale Ouanda kategorycznie odmówiła wykonania polecenia.

— I nie usunęli jej?

— Decyzja ograniczenia kontaktów przeszła mikroskopijną większością głosów. Nie było takiej większości w kwestii potępienia Ouandy. Równocześnie wszyscy się martwią, że ona i Miro są jeszcze bardzo młodzi. Dwa lata temu grupa naukowców wystartowała z Calicut. Przybędą tu, by przejąć nadzór nad sprawami prosiaczków — już za trzydzieści trzy lata.

— Czy tym razem ktoś się domyśla, dlaczego prosiaczki zabiły ksenologa?

— Nikt. Ale przecież po to tu przyleciałeś, prawda?

Nie zdążył odpowiedzieć, gdyż właśnie w tej chwili królowa kopca musnęła go delikatnie gdzieś w głębi umysłu. Ender wyczuwał ją jak wiatr wśród liści, szelest, łagodne poruszenie, światło słońca. Tak, był tu, by Mówić o umarłych. A także po to, by umarli znów mogli żyć.

⟨To dobre miejsce.⟩

Wszyscy chcą za mnie decydować.

⟨Tu jest umysł. O wiele jaśniejszy, niż którykolwiek ze znanych nam ludzkich umysłów.⟩

Prosiaczki? Myślą tak, jak ty?

⟨Wie o prosiaczkach. Bardzo krótki kontakt; on się nas boi.⟩

Królowa kopca wycofała się i Ender pozostał sam. Zastanawiał się, czy przypadkiem Lusitania nie okaże się większym kęsem, niż zdoła przełknąć. Biskup Peregrino osobiście wygłosił homilię, a to było złym znakiem. Nigdy nie był porywającym mówcą i teraz także do tego stopnia zawikłał kazanie i wysnuł tyle dygresji, że Ela nie mogła zrozumieć, o co mu właściwie chodzi. Quim, naturalnie, udawał, że wszystko świetnie pojmuje, ponieważ według jego filozofii biskup nie mógł się przecież mylić. Mały Grego nawet nie próbował okazywać zainteresowania. Chociaż siostra Esquecimento zbliżała się między ławkami, ze swymi ostrymi paznokciami i żelaznym uściskiem dłoni, nieustraszony Grego pracował uparcie nad figlem, jaki sobie zaplanował.

Dzisiaj podważał nity w oparciu plastikowej ławki w rzędzie przed nimi. Ela była trochę zaniepokojona jego siłą — sześciolatki nie potrafią przecież wcisnąć śrubokręta pod główkę zgrzewanego nitu. Ela nie była pewna, czy jej samej by się to udało. Gdyby ojciec tu był, jego długa ręka przesunęłaby się między nimi i delikatnie, bardzo delikatnie, wyjęła śrubokręt z dłoni Grega. Szepnąłby: „Skąd to wzięłeś?”, a Grego spojrzałby na niego swymi wielkimi, niewinnymi oczami. Potem, kiedy wróciliby z mszy do domu, ojciec wściekałby się na Miro, że ten nie chowa narzędzi. Wyzywałby go od najgorszych i obarczał winą za wszystkie kłopoty rodziny. Miro znosiłby to w milczeniu. Ela zajęłaby się przygotowaniem kolacji,

Quim siedziałby w kącie przesuwając w palcach różaniec i mrużąc te swoje pacierze. Olhado miał szczęście z elektronicznymi oczami — wyłączał je po prostu albo odtwarzał jedną z ulubionych scen z przeszłości i nie zwracał na nic uwagi. Quara wychodziła zwykle i chowała się w jakimś kącie. A mały Grego stałby tryumfalnie, trzymając nogawkę ojca i obserwował, jak wina za wszystko, co nabroił, spada na Mira. Ela zadrżała, gdy cała scena rozegrała się w jej wspomnieniach. Gdyby kończyła się w tym miejscu, można by to wszystko wytrzymać. Ale potem Miro wybiegał, a oni jedli kolację, a potem...

Wąskie palce siostry Esquecimento przesunęły się przed nią, a ostre paznokcie wbiły się w ramię Grega. Chłopiec natychmiast wypuścił śrubokręt. Naturalnie, miał nadzieję, że stuknie głośno o posadzkę, lecz siostra Esquecimento nie dała się zaskoczyć. Schyliła się błyskawicznie i drugą ręką złapała narzędzie. Grego uśmiechnął się tryumfalnie, gdy jej twarz znalazła się kilka centymetrów nad jego kolanem. Ela zauważyła, co chce zrobić, wyciągnęła rękę, by go powstrzymać, ale było już za późno — chłopiec z całej siły kopnął zakonnicę w usta. Syknęła z bólu i puściła jego ramię. Grego natychmiast wyrwał śrubokręt z jej osłabłych palców. Kobieta odbiegła do wyjścia, przyciskając dłoń do krwawiących warg, a chłopiec spokojnie wrócił do swego zajęcia.

Ojciec nie żyje, przypomniała sobie Ela. Te słowa rozbrzmiewały niby muzyka w jej sercu. Ojciec nie żyje, ale nadal jest tutaj, ponieważ zostawił po sobie ten potworny, mały spadek. Trucizna, którą nam wsączył, wciąż działa i w końcu zabije nas wszystkich. Kiedy umarł, jego wątroba miała pięć centymetrów długości, a śledziony nie udało się znaleźć. Jakieś dziwne, tłuszczowe ciała rozrosły się na ich miejscach. Ta choroba nie miała nazwy; jego ciało oszalało, zapominając wzorców, według których zbudowane są ludzkie istoty. Nawet teraz choroba wciąż żyje w jego dzieciach. Nie w naszych ciałach, ale w duszach. Istniejemy w miejscach, gdzie powinny żyć normalne, ludzkie dzieci; nawet wyglądamy jak one. Lecz każde z nas zostało zamienione przez imitację dziecka, ukształtowaną z poskręcane go, cuchnącego, obrzydliwego garbu, jaki wyrósł na duszy ojca. Może wszystko byłoby inaczej, gdyby matka spróbowała poprawić sytuację. Ale interesowały ją tylko mikroskopy, udoskonalone genetycznie zboże czy cokolwiek, nad czym akurat pracowała.

— ... tak zwany Mówca Umarłych! Ale jest tylko jeden, który może mówić w imieniu umarłych, a jest nim Sagrado Cristo...

Słowa biskupa Peregrino zwróciły jej uwagę. Co on powiedział o Mówcy Umarłych? Przecież nie mógł wiedzieć, że go wezwała...

— ... prawo wymaga, byśmy traktowali go uprzejmie, ale nie musimy mu wierzyć! Nie znajdziecie prawdy w spekulacjach i hipotezach ludzi bezdusznych, lecz w nauce i tradycji Matki Kościoła. Więc kiedy stanie pośród was, witajcie go uśmiechem, ale nie otwierajcie swych serc!

Po co te ostrzeżenia? Najbliższą planetą jest Trondheim, dwadzieścia dwa lata świetlne stąd, i raczej nie mają tam swojego Mówcy. Miną dziesiątki lat, zanim jakiś pojawi się tutaj, o ile w ogóle się pojawi. Ela wychyliła się przed Quarę, by spytać Cjuima — on na pewno słuchał uważnie.

— O co chodzi z tym Mówcą Umarłych? — szepnęła.

— Gdybyś słuchała, wiedziałabyś teraz.

— Jeśli nie powiesz, rozbiję ci nos.

Quim uśmiechnął się z przymusem by pokazać, że wcale się jej nie boi. Ale, ponieważ naprawdę się bał, zaczął mówić.

— Jakiś heretycki łotr musiał wezwać Mówcę, kiedy zginął pierwszy ksenolog. Przylatuje dziś po południu. Jest już na promie i burmistrz wyjechała, żeby go powitać na lotnisku. Nie tego chciała. Komputer nie poinformował jej, że Mówca jest już w drodze. Miał tu dotrzeć po długich latach, by Mówić prawdę o tym monstrum zwanym ojcem, które wreszcie pobłogosławiło swą rodzinę padając trupem. Prawda byłaby wtedy jak światło, rozjaśniające i oczyszczające przeszłość. Lecz ojciec umarł zbyt niedawno, by Mówić o nim teraz. Jego macki ciągle wyciągały się zza grobu i wysysały radość z ich serc.

Kazanie dobiegło końca, a po nim również msza. Ścisnęła mocno dłoń Grega, by nie ściągnął czyjegoś modlitewnika lub torebki, gdy przeciskali się przez tłum. Quim przydał się na coś — niósł Quarę, która zawsze sztywniała, gdy miała się poruszać między obcymi. Olhado włączył swoje oczy i sam na siebie uważał, błyskając metalicznie w stronę jakiejś piętnastoletniej półdziewicy, którą postanowił dzisiaj przestraszyć. Ela przyklęknęła przed posągami Os Venerados, dawno nie żyjących i prawie świętych dziadków. Czy nie jesteście dumni z takich pięknych wnuków, jak my?

Grego uśmiechał się złośliwie; oczywiście, trzymał w ręku dziecięcy bucik. Ela modliła się w duchu, by niemowlę nie wyszło z tego spotkania podrapane do krwi. Odebrała Gregowi łup i położyła na małym ołtarzyku, gdzie płonęły świece, upamiętniające cud Descolady. Ten, komu Grego zabrał bucik, znajdzie go tutaj.

Burmistrz Bosquinha zachowywała się uprzejmie, wioząc go samochodem przez trawiastą równinę pomiędzy lotniskiem a osadą. Pokazała stada na pół udomowionych cabra, miejscowego gatunku roślinożerców dostarczających futra. Ich mięso jednak nie miało dla ludzi żadnej wartości odżywczej.

— Czy prosiaczki je jedzą? — spytał Ender. Uniosła brwi.

— Niewiele wiemy o prosiaczkach.

— Wiemy, że żyją w lesie. Czy wychodzą czasem na równinę?

— To muszą zbadać framlingowie — wzruszyła ramionami.

Ender poczuł zdziwienie, gdy użyła tego słowa, ale, naturalnie, ostatnia książka Demostenesa została wydana ponad dwadzieścia dwa lata temu i przekazana ansiblem do Stu Światów. Utlanning, framling, ramen i varelse — te określenia stały się

częścią storku, a Bosquinha zdążyła się pewnie do nich przyzwyczaić.

To raczej jej brak zainteresowania prosiaczkami sprawił, że czuł się trochę niepewnie. Mieszkańcy Lusitanii muszą się przecież interesować obcą rasą — to ze względu na nią postawiono wysokie, niedostępne ogrodzenie, które tylko Zenadores mieli prawo przekraczać. Nie, ona nie była obojętna, ona po prostu unikała tematu. Może trudno jej było rozmawiać o złowrogich prosiaczkach, a może nie ufała Mówcy Umarłych.

Dotarli do szczytu i Bosquinha zatrzymała wóz, który opadł łagodnie na płozy. Przed nimi, wśród trawiastych pagórków, wiła się rzeka; dalej las całkowicie pokrywał zbocza. Na drugim brzegu ceglane, kryte dachówką domki tworzyły malownicze miasteczko. Magazyny wznosiły się tuż nad wodą, a pola sięgały wąskimi prostokątami w stronę wzniesienia, na którym stali Ender z Bosquinhą.

— To Milagre — oznajmiła. — Na najwyższym wzgórzu stoi Katedra. Biskup Peregrino prosił, by wszyscy okazywali ci pomoc i uprzejmość.

Z jej tonu Ender wywnioskował, że biskup ostrzegł także przed nim jako niebezpiecznym agentem agnostycyzmu.

— Póki Bóg nie porazi mnie gromem? — zapytał. Bosquinha uśmiechnęła się.

— Bóg dał nam przykład chrześcijańskiej tolerancji i spodziewam się, że wszyscy w mieście pójdą za tym przykładem.

— Czy wiedzą, kto mnie wezwał?

— Ktokolwiek to był, zachował się... dyskretnie.

— Jesteś zarządcą, nie tylko burmistrzem. Masz pewne przywileje, jeśli idzie o dostęp do informacji.

— Wiem, że pierwsze wezwanie zostało wycofane, lecz za późno. Wiem też, że dwie osoby prosiły w ostatnich latach o Mówcę. Ale musisz zrozumieć, że większość ludzi jest zadowolona, otrzymując wskazania wiary i pociechę od księży.

— Z zadowoleniem przekonają się, że nie udzielam wskazań ani pociechy.

— Twoja łaskawa oferta, byśmy przyjęli w darze ładunek skriki niewątpliwie przysporzy ci popularności w tutejszych barach. Z pewnością zobaczysz wkrótce wiele próżnych kobiet noszących futra. Zbliża się jesień.

— Przypadkiem nabyłem skrikę razem ze statkiem. Jest mi zupełnie zbędna i nie oczekuję specjalnej wdzięczności — spojrzął pod nogi, na ostrą, gęstą trawę. — Ta trawa... jest miejscowa?

— I bezużyteczna. Nie nadaje się nawet na strzechy. Kruszy się i spływa z pierwszym deszczem. Tam, w dole, uprawiamy przede wszystkim specjalną odmianę amarantu, wyhodowaną przez naszych ksenobiologów. Ryż i pszenica nie rosły najlepiej i zbiory były słabe, lecz amarant jest tak wytrzymały, że musimy rozpylać wokół pól herbicydy, żeby się nie rozrastał.

— Dlaczego?

— To świat objęty kwarantanną, Mówco. Amarant jest doskonale przystosowany do

tutejszego środowiska i w krótkim czasie zdusiłby miejscową trawę. Nie mamy terraformować Lusitanii. Powinniśmy wywierać możliwie minimalny wpływ na tutejsze środowisko.

— Ludziom musi być ciężko.

— W naszej enklawie, Mówco, jesteśmy wolni i żyjemy pełnią życia. A za ogrodzeniem... i tak nikt nie chce tam wychodzić.

Jej głos zdradzał tłumione emocje. Ender zrozumiał, że strach przed prosiaczkami sięga głęboko.

— Sądzisz, Mówco, że lękamy się prosiaczków. Niektórzy może i tak, lecz większość z nas odczuwa coś całkiem innego. Nienawiść. Wstręt.

— Nigdy ich nie widzieliście.

— Wiesz na pewno o dwóch zamordowanych Zenadorach... Podejrzewam, że początkowo wezwano cię, byś mówił o śmierci Pipa. Ale obaj, Pipo i Libo, cieszyli się miłością. Zwłaszcza Libo. Był uprzejmy i wielkoduszny, a rozpacz po jego śmierci była szczerą i powszechną. Trudno sobie wyobrazić, jak prosiaczki mogły mu zrobić to, co zrobiły. Dom Cristao, opat Filhos da Mente de Cristo, uważa, że brak im poczucia moralności. Jego zdaniem może to oznaczać, iż są bestiami. Albo, że nie upadli, nie zjedli jeszcze owocu z zakazanego drzewa — uśmiechnęła się z przymusem. — Ale to już teologia, więc nie ma dla ciebie znaczenia.

Nie odpowiedział. Ludzie religijni zakładali zwykle, że niewierzącym ich święte przypowieści wydają się nonsensowne. Ender nie uważał się za niewierzącego i był wyczulony na święte pierwiastki wielu mitów. Nie mógł jej tego wytłumaczyć. Musiała sama zmienić swoją opinię o nim. Była podejrzliwa, ale zdoła ją przekonać. Jeśli jest dobrym burmistrzem, z pewnością potrafi widzieć ludzi takimi, jakimi są, nie takimi, jakimi się wydają. Zmienił temat.

— Filhos da Mente de Cristo... mój portugalski nie jest najlepszy, ale czy oznacza to Synów Umysłu Chrystusa?

— To nowy zakon, stosunkowy nowy, założony dopiero czterysta lat temu za specjalnym przyzwoleniem Papieża...

— Ależ ja znam Dzieci Umysłu Chrystusa. Mówiłem o śmierci San Angelo na Moctezumie, w mieście Córdoba. Jej oczy rozszerzyły się.

— Więc to prawda!

— Słyszałem wiele wersji tej historii, Bosquinho. Jedna z nich mówiła o demonie, który opętał San Angela na łożu śmierci tak, że żądał dopełnienia potwornych rytuałów pogańskiego Hablador de los Muertos.

— Tak mniej więcej brzmi to, co powtarza się szeptem — Bosquinha uśmiechnęła się. — Naturalnie, Dom Cristao twierdzi, że to bzdura.

— Zdarzyło się, że San Angelo, dawno temu, gdy nie był jeszcze świętym, wysłuchał mojej Mowy o kobiecie, którą znał. Pleśń w jego żyłach już go zabijała. Przyszedł więc i powiedział: „Andrew, już teraz powtarzają o mnie przeokropne kłamstwa;

mówią, że sprawiałem cuda i powinienem zostać świętym. Musisz mi pomóc. Kiedy umrę, musisz powiedzieć prawdę”.

— Ale cuda zyskały potwierdzenie i został kanonizowany ledwie dziewięćdziesiąt lat po śmierci.

— Tak. To po części moja wina. Kiedy Mówiłem o nim, sam zaświadczyłem o kilku cudach. Teraz roześmiała się głośno.

— Mówca Umarłych wierzy w cuda?

— Spójrz na wzgórze, gdzie stoi katedra. Ile z tych budynków przeznaczonych jest dla księży, a ile na szkołę? Bosquinha zrozumiała od razu i spojrzała na niego groźnie.

— Filhos da Mente de Cristo są posłuszni biskupowi.

— Ale przechowują wszelką wiedzę i uczą jej, czy biskup to aprobuje, czy nie.

— San Angelo mógł ci pozwalać na mieszanie się w sprawy kościoła, ale biskup Peregrino nie pozwoli.

— Przybyłem, by Mówić o pewnej śmierci i będę przestrzegał prawa. Sama się przekonasz, że wyrządzam mniej zła, niż się spodziewałaś, a może więcej dobra.

— Jeśli przybyłeś Mówić o śmierci Pipa, Mówco pelos Mortos, wyrządzisz jedynie zło. Pozostaw prosiaczki za ogrodzeniem. Gdyby to ode mnie zależało, żaden człowiek nie przekroczyłby nigdy tej bramy.

— Mam nadzieję, że uda mi się wynająć jakiś pokój.

— W tym mieście nie zjawia się nikt obcy, Mówco. Każdy z nas ma tu dom, i poza tym nie ma gdzie iść. Po co ktoś miałby prowadzić zajazd? Możemy ci zaproponować jedną z tych małych, plastikowych chat, w których mieszkali pierwsi koloniści. Nieduża, ale posiada wszelkie wygody.

— Nie potrzebuję wielu wygód ani miejsca, więc na pewno mi się spodoba. Nie mogę się doczekać spotkania z Dom Cristao. Gdzie żyją wyznawcy San Angela, tam prawda ma przyjaciół.

Bosquinha pociągnęła nosem i uruchomiła silnik. Tak, jak zaplanował Ender, jej przesady na temat Mówcy Umarłych legły w gruzach. Pomyśleć tylko, że znał San Angela i podziwiał Filhos. Nie tego kazał im się spodziewać biskup Peregrino.

W pokoju znalazły się jedynie podstawowe meble i gdyby Ender przywiózł ze sobą większy bagaż, nie miałby go gdzie schować. Jak zawsze, w ciągu kilku minut rozpakował się po międzygwiazdnej podróży. W torbie pozostał jedynie owinięty w ręcznik kokon królowej kopca; już dawno przestał odczuwać zakłopotanie, że trzyma w worku pod łóżkiem przyszłość wspaniałej rasy.

— Może ten świat będzie odpowiednim miejscem — mruknął. Mimo otulającego ręcznika, kokon zdawał się chłodny, niemal zimny w dotyku.

⟨To jest odpowiednie miejsce.⟩

Jej pewność zaczynała go irytować. Nie dostrzegął nawet śladu pragnienia, niecierpliwości, czy innych uczuć, jakie okazywała wcześniej. Jedynie absolutną

pewność.

— Chciałbym, żeby decyzja okazała się taka prosta — westchnął. — To może być właściwe miejsce, ale wszystko zależy od tego, czy prosiaczki poradzą sobie żyjąc obok was.

⟨Problem polega na tym, czy bez nas poradzą sobie z wami.⟩

— Muszę mieć trochę czasu. Daj mi parę miesięcy.

⟨Ile tylko zechcesz. Teraz nie trzeba się już spieszyć.⟩

— Kogo właściwie znalazłaś? Pamiętam, jak mówiłaś kiedyś, że możesz się komunikować tylko ze mną.

⟨Część naszego umysłu, gdzie istnieją myśli — to, co nazywasz impulsem filotycznym, energia ansibli — jest zimna i trudna do znalezienia w umysłach ludzi. Ale u tego, którego tu znaleźliśmy, jednego z wielu, których jeszcze znajdziemy, impuls Biotyczny jest o wiele silniejszy, czystszy, łatwiejszy do odszukania. On widzi nasze wspomnienia, a my widzimy jego i odnajdujemy go bez trudu. Dlatego wybacź nam, przyjacielu, jeśli porzucimy ciężkie zadanie rozmowy z twoim umysłem, wrócimy do niego i z nim będziemy rozmawiać, gdyż przy nim nie musimy z trudem wyszukiwać słów i obrazów dostatecznie wyraźnych dla twego analitycznego mózgu, ponieważ czujemy go jak światło słońca, jak ciepło słonecznych promieni na jego twarzy, na naszej twarzy, jak dotyk chłodnej, głębokiej wody na brzuchu i poruszenie tak delikatne, jak od łagodnego wietrzyka, którego nie czuliśmy od trzech tysięcy lat; wybacź nam, będziemy przy nim póki nas nie obudzisz, póki nas nie wyjmiesz, byśmy tu żyli, ponieważ zrobisz to; przekonasz się na swój sposób, że to jest właściwe miejsce, właśnie tutaj, tu jest dom...⟩

Utracił ślad jej myśli, czuł, jak odpływa niby sen, zapomniany po przebudzeniu, choć stara się go pamiętać i zachować żywym. Ender nie wiedział, co znalazła królowa kopca, ale cokolwiek to było, on będzie musiał funkcjonować w rzeczywistości wyznaczonej przez Gwiezdny Kodeks, kościół katolicki, młodych ksenologów, którzy nie zechcą może pozwolić na spotkanie z prosiaczkami, ksenobiolog, która zmieniała zdanie w kwestii jego wezwania i jeszcze coś, może najtrudniejsze: jeśli królowa kopca zostanie tutaj, on także będzie musiał zostać. Przez tyle lat żyłem odseparowany od ludzkości, pomyślał, zjawiając się tylko po to, by się wtrącać, ingerować, ranić i leczyć, a potem odchodziłem znowu, nietknięty życiem. Jak zdołam stać się częścią tego świata, jeśli tu właśnie przyjdzie mi pozostać? Jedyne grupy, do których należałem, to armia małych chłopców w Szkole Bojowej i Valentine. Obie należą już do przeszłości.

— Nurzasz się w samotności? — spytała Jane. — Słyszę, jak spada ci tętno, a oddech staje się ciężki. Za chwilę zaśniesz, umrzesz albo się rozpłacziesz.

— To nie takie proste — odparł wesoło Ender. — Odczuwam przyszły żal nad sobą, litość z powodu bólu, który jeszcze nie nadszedł.

— Znakomicie, Ender. Zaczynaj jak najwcześniej. W ten sposób dłużej będziesz mógł

cierpieć — terminal ożył, ukazując Jane jako prosiaczka w rządzie tancerek, podnoszących wysoko długie nogi. — Poruszaj się trochę; to poprawi ci samopoczucie. Przecież już się rozpakowałeś. Na co czekasz?

— Nie wiem nawet, gdzie jestem, Jane.

— Oni nie mają tu planu miasta — wyjaśniła. — Wszyscy wszystko wiedzą. Ale istnieje mapa systemu kanalizacji w poszczególnych dzielnicach. Mogę ekstrapolować położenie budynków.

— Pokaż.

Nad terminalem pojawił się trójwymiarowy obraz miasta. Być może Ender nie był tu szczególnie miłym gościem, a mieszkanie przydzielono mu dość skromne, okazali jednak uprzejmość dając mu taki terminal. Nie był to standardowy sprzęt domowy, a raczej skomplikowany symulator. Mógł wyświetlać hologramy szesnaście razy większe niż typowe instalacje, z czterokrotnie wyższą rozdzielczością. Iluzja była tak realna, że Enderowi na moment zakręciło się w głowie. Poczł się jak Guliwer, pochylony nad miasteczkiem Liliputów, którzy nie czuli jeszcze lęku, nie poznali jego niszczycielskiej mocy. Nazwy dzielnic wisiały w powietrzu ponad sektorami układu kanałów.

— Jesteś tutaj — odezwała się Jane. — Vila Velha, stare miasto. Praga leży przy następnej ulicy. To tam odbywają się spotkania publiczne.

— Czy masz mapę terenów prosiaczków?

Mapa miasta przesunęła się raptownie ku niemu. Najbliższe elementy znikaly, a nowe pojawiały się po przeciwnej stronie. Miał wrażenie, że leci nad domami. Jak czarownica, pomyślał. Granicę miasta znaczyło wysokie ogrodzenie.

— Tylko ta bariera oddziela nas od prosiaczków — mruknął Ender.

— Generuje pole elektryczne, które pobudza wszystkie czułe na ból nerwy, jakie znajdują się w jego zasięgu — wyjaśniła Jane. — Wystarczy jej dotknąć, żeby zwariować z bólu. Masz wrażenie, że ktoś odcina ci palce pilnikiem.

— Miła perspektywa. Jesteśmy tu w obozie koncentracyjnym? Czy w zoo?

— Zależy, jak na to spojrzeć. To ludzka strona ogrodzenia połączona jest z całym wszechświatem, a strona prosiaczków zatrzaśnięta na ich rodzinnej planecie.

— Różnica polega na tym, że nie wiedzą, co tracą.

— Wiem — stwierdziła Jane. — To najbardziej czarująca cecha ludzi. Uważają, że wszystkie istoty niższe umierają z zazdrości, bo nie miały szczęścia urodzić się jako homo sapiens. Za ogrodzeniem wznosiło się wzgórze, na którego szczycie rosły pierwsze drzewa lasu.

— Ksenolodzy nigdy nie zapuszczali się zbyt głęboko na tereny prosiaczków. Grupa, z którą się kontaktują, żyje mniej więcej kilometr od skraju lasu. Prosiaczki mieszkają w drewnianej chacie, wszyscy mężczyźni razem. Nic nie wiadomo o innych osiedlach. Satelity potwierdziły tylko, że w każdym takim lesie żyje mniej więcej maksymalna liczba osobników, jaka może się wyżywić w ramach kultury

łowiecko-zbierackiej.

— Polują?

— Głównie zbierają.

— Gdzie zginęli Libo i Pipo?

Jane rozjaśniła obszar trawiastego gruntu na zboczu. W pobliżu rosło wielkie, samotne drzewo, a niedaleko dwa inne, trochę mniejsze.

— Te drzewa — zdziwił się Ender. — Nie pamiętam, by stały tak blisko na hologramach, które widziałem na Trondheimie.

— Minęły dwadzieścia dwa lata. To wielkie drzewo zasadzili w zwłokach buntownika imieniem Korzeniak, zabitego jeszcze przed śmiercią Pipa. Dwa następne to późniejsze egzekucje.

— Chciałbym wiedzieć, czemu sadzą drzewa dla prosiaczków, a nie robią tego dla ludzi.

— Drzewa są święte — oświadczyła Jane. — Pipo zanotował, że wiele z nich ma imiona. Libo wysunął teorię, że mogą to być imiona zabitych.

— A dla ludzi zwyczajnie nie ma miejsca w tym kulcie drzew. Owszem, to możliwe. Ale przekonałem się, że mity i rytuały nie biorą się znikąd. Zawsze mają swoje przyczyny, zwykle powiązane z przetrwaniem społeczności.

— Andrew Wiggin, antropolog?

— Właściwym obiektem ludzkich badań jest człowiek.

— Więc idź, zbadaj paru ludzi, Ender. Na przykład rodzinę Novinhy. Przy okazji, do sieci komputerowej wprowadzono oficjalny zakaz informowania cię, gdzie kto mieszka. Ender uśmiechnął się kpiąco.

— Więc Bosquinha nie jest tak przyjaźnie nastawiona, jak mogłoby się wydawać.

— Jeśli będziesz musiał pytać, gdzie mieszkają pewni ludzie, będą wiedzieli, dokąd idziesz. A jeśli nie zechcą, byś tam trafił, to nikt nie będzie wiedział, gdzie mieszkają.

— Możesz skasować to ograniczenie?

— Już to zrobiłam.

W pobliżu linii ogrodzenia, za wzgórzem obserwatorium, migotało światełko. Był to punkt tak izolowany, jak było to możliwe w Milagre. Niewiele domów zbudowano w miejscach, skąd przez cały czas widać było ogrodzenie. Ender nie potrafił odgadnąć, czy Novinha wybrała to położenie, by znajdować się bliżej prosiaczków, czy dalej od sąsiadów. A może wybór należał do Marcao?

Najbliższa dzielnica nazywała się Vila Atras, a dalej, wzdłuż nabrzeża, ciągnęła się dzielnica As Fabricas. Jak wskazywała nazwa, składały się na nią głównie niewielkie zakłady, przerabiające metale i tworzywa sztuczne oraz produkujące żywność i materiały na użytek Milagre. Miła, zwarta, samowystarczalna ekonomia. A Novinha zdecydowała się żyć z dala od wszystkiego, niewidoczna dla ludzi. Ender był pewien,

że to ona wybrała miejsce zamieszkania. Czyż nie tak przedstawiał się wzorzec jej życia? Nigdy nie należała do społeczności Milagre. Nieprzypadkowo wszystkie trzy wezwania pochodziły od niej i jej dzieci. Samo przywołanie Mówcy było wyzwaniem, oznaką, że nie należą do szczerych katolików Lusitanii.

— Mimo wszystko — stwierdził Ender — muszę kogoś poprosić, żeby mnie tam zaprowadził. Nie mogę im pokazać, że nie zdołają ukryć przede mną informacji. Mapa zniknęła, a nad terminalem pojawiła się twarz Jane. Nie zadbała o dostosowanie rozmiarów do projektora terminala, więc głowa była wielokrotnie większa do ludzkiej, co wywierało dość silne wrażenie. A symulacja była dokładna w każdym szczególe, łącznie z porami skóry.

— Prawdę mówiąc, Andrew, to przede mną nie mogą niczego ukryć. Ender westchnął.

— Masz w tym osobisty interes, Jane.

— Wiem — mrugnęła. — Ale ty nie masz.

— Chcesz powiedzieć, że mi nie ufasz?

— Ociekasz bezstronnością i poczuciem sprawiedliwości. Ja jednak mam w sobie dość człowieczeństwa, by się domagać specjalnego traktowania.

— Czy obiecasz mi pewien drobiazg?

— Co tylko zechcesz, mój korpuskularny przyjacielu.

— Kiedy postanowisz coś przede mną zataić, czy przynajmniej powiesz, że mi nie powiesz?

— To zbyt głębokie dla twojej biednej staruszki. Jej głos był karykaturą przesadnej kobiecości.

— Nic nie jest dla ciebie zbyt głębokie, Jane. Zrób nam obojgu przysługę. Nie utrudniaj mi pracy.

— Mam się czymś zająć, kiedy pójdziesz do domu rodziny Ribeirów?

— Tak. Sprawdź, czym odróżniają się Ribeirowie od reszty mieszkańców Lusitanii. I wyszukaj ślady wszelkich konfliktów między nimi a tutejszymi władzami.

— Słucham i jestem posłuszny — Jane zmieniła się w dzina i zaczęła znikać.

— Ty mnie tu ściągnęłaś, Jane. Czemu chcesz mnie zniechęcić?

— Nie chcę. I nie próbuję.

— Odczuwam w tym mieście niedostatek przyjaciół.

— Mógłbyś mi powierzyć własne życie.

— To nie o własne życie się martwię.

Na praca było pełno dzieciaków. Większość popisywała się demonstrując, jak długo potrafią utrzymać w powietrzu piłkę przy użyciu jedynie nóg i głowy. Dwójkę dzieci pochłaniał jednak dość okrutny pojedynek. Chłopiec z całej siły kopał piłkę w stronę dziewczynki, stojącej niecałe trzy metry od niego. Ta siała prosto i bez drgnienia przyjmowała najsilniejsze nawet uderzenia. Potem ona kopała, a chłopiec usiłował się

nie poruszyć. Mała dziewczynka łapała i przynosiła piłkę, gdy ta odbijała się od ofiary.

Ender próbował pytać kilku chłopców, czy nie wiedzą, gdzie stoi dom rodziny Ribeirów. Odpowiadali jedynie wzruszeniem ramion. Kiedy nalegał, zaczęli się wycofywać i wkrótce plac opustoszał niemal zupełnie. Ender zastanawiał się, co biskup naopowiadał im o Mówcach.

Tylko pojedynek trwał nadal. Teraz, kiedy praca nie była tak zatłoczona, Ender zauważył, że bierze w nim udział jeszcze jeden, mniej więcej dwunastoletni chłopak. Od tyłu niczym się nie wyróżniał, lecz gdy Ender przeszedł bliżej Środka placu, zauważył coś niezwykłego w jego twarzy. Chwilę trwało, zanim zrozumiał: chłopiec miał sztuczne oczy. Oba lśniły metalicznie, wiedział jednak, jak funkcjonują. Tylko jedno z nich mogło widzieć, rejestrowało za to cztery niezależne skany wizyjne, po czym rozdzielało sygnały i przesyłało do mózgu rzeczywisty, przestrzenny obraz. Drugie oko mieściło źródło zasilania, sterownik komputerowy i złącze zewnętrzne. Chłopak mógł, jeśli zechciał, nagrywać sekwencje obrazów do niewielkiej pamięci optycznej, chyba nie więcej, niż trylion bitów. Pojedyńkowicze wykorzystywali go jako sędziego; w razie sporu potrafił odtworzyć całą scenę w zwolnionym tempie i stwierdzić, co się działo.

Piłka trafiła chłopca prosto w krocze. Skrzywił się demonstracyjnie, lecz na dziewczynce nie wywarło to wrażenia.

— Usunął się! Widziałam, jak porusza biodrami!

— Wcale nie! Zabolało mnie! Wcale się nie uchyliłem!

— Reveja! Reveja! — mówili w storku, ale teraz dziewczynka przeszła na portugalski. Nie zmieniając wyrazu twarzy, chłopiec z metalowymi oczami podniósł rękę, by ich uciszyć.

— Mudou — stwierdził zdecydowanie. Poruszył się, przetłumaczył Ender.

— Sabia! Wiedziałam!

— Kłamiesz, Olhado! Chłopiec z metalowymi oczami spojrzał na niego z pogardą.

— Nigdy nie kłamię. Jeśli chcesz, wyślę ci kopię tej sceny. Myślę nawet, że nadam ją w sieci, żeby wszyscy widzieli, jak się uchylasz, a potem kłamiesz, że nie.

— Mentiroso! Filho de punta! Fode-bode!

Ender był przekonany, że rozumiał te epitety, które chłopiec z metalowymi oczami przyjął jednak z całkowitym spokojem.

— Da — odezwała się dziewczynka. — Da-me. Daj go tutaj. Chłopiec ze złością zdjął z palca sygnet i cisnął go na ziemię.

— Viada! — rzucił chrapliwym szeptem. Potem odwrócił się i ruszył biegiem.

— Poltrao! — zawołała za nim dziewczynka. — Tchórz!

— Cao! — krzyknął chłopiec, nie oglądając się nawet.

Tym razem jednak nie zwracał się do swej przeciwniczki. Ta natychmiast spojrzała na chłopca z metalowymi oczami, który zeszywniał, słysząc przezwisko. Dziewczynka

natychmiast spuściła wzrok. Mała, która podawała piłkę, podeszła do chłopca i powiedziała coś szeptem. Ten podniósł głowę i po raz pierwszy zauważył Endera.

— Desculpa, Olhado — przeproszała starsza dziewczynka. — Nao queria que...

— Nao ha problema, Mieni — nawet na nią nie spojrział. Dziewczynka chciała jeszcze coś powiedzieć, ale wtedy także dostrzegła Endera i umilkła.

— Porque esta olhando-nos? — spytał chłopiec. — Czemu się nam przyglądasz? Ender odpowiedział pytaniem.

— Voce e arbitra? Jesteś tu arbitrem? Słowo mogło oznaczać sędziego, ale też urzędnika.

— De vez em quando. Czasami.

Ender przeszedł na stark — nie był pewien, czy w portugalskim zdoła wyrazić bardziej złożone zdania.

— Wiec powiedz, arbitrze, czy to ładnie, by obcy musiał sam, bez pomocy, szukać drogi?

— Obcy? Masz na myśli utlanninga, framlinga czy ramena?

— Nie, mam chyba na myśli niewiernego.

— O Senhor e descrente? Jesteś niewierzący?

— Só descredo no incrwel. Nie wierzę w to, co niewiarygodne. Chłopiec uśmiechnął się.

— Gdzie chcesz trafić, Mówco?

— Do domu rodziny Ribeira. Mała dziewczynka przesunęła się bliżej chłopca z metalowymi oczami.

— Której rodziny Ribeira?

— Do wdowy Ivanovy.

— Chyba potrafię ją znaleźć.

— Każdy tutaj potrafi ją znaleźć — oświadczył Ender. — Problem w tym, czy zechcesz mnie tam zaprowadzić.

— A po co chcesz tam trafić?

— Zadaję ludziom pytania i próbuję poznać prawdziwe historie.

— Nikt w domu Ribeirów nie zna żadnych prawdziwych historii.

— Wystarczą mi kłamstwa.

— Chodźmy więc.

Podniósł małą, usadził sobie na ramionach i ruszył ku przystryżonej krótko trawie głównej drogi. Dziewczynka szepnęła mu coś do ucha. Zatrzymał się i obejrzał na idącego tuż za nim Endera.

— Quara chce wiedzieć, jak ci na imię.

— Andrew. Andrew Wiggin.

— To jest Quara.

— A ty?

— Wszyscy wołają na mnie Olhado. Z powodu oczu. Ale naprawdę mam na imię Lauro. Lauro Suleimao Ribeira.

Uśmiechnął się, potem odwrócił i poszedł dalej. Ender ruszył za nim. Ribeira. No tak. Jane słyszała wszystko i teraz mówiła z klejnotu w jego uchu.

— Lauro Suleimao Ribeira jest czwartym dzieckiem Novinhy. Stracił wzrok w wypadku z laserem. Ma dwanaście lat. Aha, znalazłam pewną różnicę między rodziną Ribeirów a resztą miasta. Ribeirowie potrafią się przeciwstawić biskupowi i zaprowadzić cię tam, gdzie chcesz dojść.

Ja także coś zauważyłem, Jane, odpowiedział bezgłośnie. Ten chłopak bawił się okłamując mnie, a jeszcze bardziej tym, że ja dałem się oszukać. Mam nadzieję, że nie zechcesz się od niego uczyć.

Miro siedział na zboczu. W cieniu drzew był niewidoczny dla każdego, kto patrzyłby na niego z Milagre, sam jednak mógł obserwować większą część miasta — w szczególności katedrę i klasztor na najwyższym wzgórzu, a także obserwatorium na sąsiednim, w kierunku północnym. A poniżej obserwatorium, w niewielkim zagłębieniu zbocza tuż przy ogrodzeniu, dom, w którym mieszkał.

— Miro — szepnął Liściojad. — Czy jesteś drzewem?

Było to dosłowne tłumaczenie idiomu pequeninos. Medytowali czasem, nieruchomi przez całe godziny. Nazywali to „być drzewem”.

— Raczej źdźbłem trawy — odparł Miro.

Liściojad zachichotał piskliwie i szorstko, jak zwykle. Ten śmiech nigdy nie brzmiał naturalnie — pequeninos uczyli się śmiechu na pamięć, jakby był kolejnym zwrotem w storku. Nie wynikał on z rozbawienia, a przynajmniej Miro nie sądził, by tak było.

— Czy spadnie deszcz? — spytał Miro. Dla prosiaczków znaczyło to: czy przerywasz mi ze względu na mnie, czy na siebie?

— Dziś z nieba spadł ogień — oznajmił Liściojad. — Na prerii.

— Tak. Mamy gościa z innego świata.

— Czy to Mówca? Miro nie odpowiedział.

— Musisz go do nas przyprowadzić. Miro milczał.

— Moja twarz zapuści dla ciebie korzenie, Miro, moje członki będą drewnem dla twego domu. Miro nienawidził sytuacji, gdy o coś zebrali. Miał wrażenie, że uważają go za kogoś szczególnie mądrego lub potężnego, za rodzica, o którego łaskę trzeba zabiegać. Jeżeli tak właśnie myślą, to tylko z jego winy. Jego i Liba. Efekt odgrywania wśród prosiaczków roli Boga.

— Przecież obiecałem, Liściojadzie.

— Kiedy kiedy kiedy?

— To wymaga czasu. Muszę się przekonać, że można mu ufać. Liściojad był zdziwiony. Miro kilka razy próbował wytłumaczyć, że nie wszyscy ludzie się znają, a niektórzy wcale nie są mili, ale prosiaczki zdawały się tego nie pojmować.

— Gdy tylko będę mógł — przyrzekł Miro.

Nagle Liściojad zaczął kołysać się w przód i w tył, przesuwając biodra na boki, jakby chciał podrapać się w siedzenie. Libo wysunął kiedyś teorię, że czynność ta spełnia u prosiaczków funkcję śmiechu.

— Mów do mnie w piddle-giiz — parsknął Liściojad.

Liściojada zawsze bawił fakt, że Miro i inni Zenadores używali zamiennie dwóch języków. A przecież zarejestrowano, a w każdym razie słyszano o czterech przynajmniej różnych językach jednego tylko plemienia prosiaczków. Jeśli jednak chciał portugalskiego, usłyszy portugalski.

— Vai comer folhas. Idź jeść liście.

— Dlaczego to jest mądre? — zdziwił się Liściojad.

— Bo tak się właśnie nazywasz. Come-folhas. Liściojad wyjął z nozdrza i odrzucił za siebie sporego, brzęczącego owada.

— Nie bądź niegrzeczny — powiedział. I odszedł.

Miro spoglądał za nim przez chwilę. Kontakty z Liściojadem zawsze były kłopotliwe. Miro wolał towarzystwo prosiaczka zwanego Człowiekiem. Wprawdzie Człowiek był inteligentniejszy i trzeba było bardziej przy nim uważać, jednak nie okazywał wrogości, jak Liściojad.

Kiedy prosiaczek zniknął, Miro znów spojrzał na miasto. Ktoś szedł ścieżką po zboczu w stronę domu. Ten z przodu był bardzo wysoki... nie, to Olhado z Quarą na ramionach. Quara była już za duża, żeby ją nosić. Miro martwił się o nią. Nie potrafiła chyba otrząsnąć się z szoku po śmierci ojca. Miro poczuł gorzyc. I pomyśleć: Ela sądziła, że gdy tylko ojciec umrze, wszystkie problemy zostaną rozwiązane.

Wstał i spróbował przyrzeć się człowiekowi, idącemu za Olhado i Quarą. Nigdy go przedtem nie widział. Mówca! Tak szybko! Jest w mieście dopiero od godziny, a już idzie do ich domu. Wspaniale; matce nic więcej nie trzeba; dowie się, że to ja go wezwałem. Myślałem, że Mówca będzie dyskretny i nie pójdzie od razu do osoby, która go przywołała. Dureń ze mnie. Jakby nie dość, że przybył wiele lat wcześniej, niż się spodziewałem. Quim z pewnością doniesie biskupowi, nawet jeśli inni nic nie powiedzą. Teraz będę musiał radzić sobie z matką i pewnie jeszcze z całym miastem. Miro wszedł między drzewa i pobiegł ścieżką, prowadzącą do bramy Milagre.

ROZDZIAŁ 7

DOM RIBEIRÓW

Miro, szkoda, że cię ze mną nie było. Wprawdzie lepiej od ciebie potrafię zapamiętywać rozmowy, to nie rozumiem, co wynika z tej ostatniej. Widziałeś tego nowego prosiaczka, którego nazywają Człowiekiem — chyba nawet rozmawiałeś z

nim przez chwilę, nim odszedłeś zając się Podejrzaną Działalnością. Mandachuwa powiedział, że nazwali go tak, gdyż był bardzo mądry — jako dziecko! Owszem, to pochlebne, że łączą ze sobą określenia „człowiek” i „mądry”, a może obraźliwe, skoro sądzą, że nam to pochlebia. Ale nie o to chodzi.

Mandachuwa dodał: „*Umiał już mówić, kiedy zaczynał chodzić*” i przesunął ręką dziesięć centymetrów nad ziemią! Według mnie pokazał, jak duży był Człowiek, gdy nauczył się mówić i chodzić. Dziesięć centymetrów! Ale mogę się mylić. Szkoda, że tego nie widziałeś. Sam byś wtedy ocenił.

Jeśli trafnie odgadłam, o co chodziło Mandachuvie, to po raz pierwszy uzyskaliśmy jakiś pogląd na dzieciństwo prosiaczków. Jeżeli naprawdę uczą się chodzić, gdy mają dziesięć centymetrów wzrostu — i mówić także! — to ich rozwój w okresie płodowym jest bardzo ograniczony i zapewne przebiega głównie po urodzeniu.

Potem jednak wszystko stało się jeszcze bardziej zwariowane, nawet według twoich norm. Mandachuwa nachylił się i powiedział — jakby zdradzał jakąś tajemnicę — kim był ojciec Człowieka: „*Twój dziadek, Pipo, znał ojca Człowieka. Jego drzewo rośnie niedaleko waszej bramy*”.

Żartował? Przecież Korzeniak zginął dwadzieścia cztery lata temu. Może chodzi tu o jakieś wierzenia, jakieś pokrewieństwo z drzewami albo coś w tym rodzaju. Ale Mandachuwa był taki tajemniczy; nie mogę się oprzeć wrażeniu, że to, co mówił, w jakiś sposób jest prawdą. Czy to możliwe, by ciąża trwała u nich dwadzieścia cztery lata? A może tyle czasu trzeba, by Człowiek rozwinął się z dziesięciocentymetrowego niemowlaka w piękny egzemplarz prosiaczka, jaki znamy? Albo tak długo przechowywali w jakimś słoju spermę Korzeniaka?

To bardzo ważne. Po raz pierwszy prosiaczek, osobiście znany ludzkim obserwatorom, został nazwany ojcem. I to właśnie Korzeniak — ten sam, którego zamordowali. Innymi słowy, samiec o najniższym prestiżu, w dodatku przestępca, na którym dokonano egzekucji, został ojcem! Oznacza to, że nasza grupa nie składa się z wygnanych kawalerów, nawet jeśli niektórzy z nich są tak starzy, że pamiętają Pipa. Oni są potencjalnymi ojcami!

Co więcej: jeśli Człowiek jest tak wyjątkowo inteligentny, to czemu wypędzono go tutaj, do grupy godnych politowania wyrzutków? Moim zdaniem popełniliśmy wielki błąd. Nie mamy do czynienia z kawalerami o niskim prestiżu, mamy do czynienia z grupą młodych o prestiżu bardzo wysokim. Niektórzy z nich mają szansę wiele osiągnąć.

Kiedy mi mówiłeś, że ci przykro, bo to ty idziesz się zajmować Podejrzaną Działalnością, a ja muszę zostać w domu i wypracować jakieś Oficjalne Wymysły do raportu ansibla, przepełniało cię Fałszywe Współczucie. (Gdybym już spała, kiedy wrócisz do domu, zbudź mnie i pocałuj na dobranoc, dobrze? Zasłużyłam na to.)

Notatka Ouatufy Figueira Mucumbi do Mira Ribeiry von Hesse, uzyskana z rejestrów Lusitanii na podstawie rozkazu Kongresu i przedstawiona jako materiał dowodowy w Procesie In Absentia Ksenologów Lusitanii z Oskarżenia o Zdradę i Nadużycie

Na Lusitanii nie istniał przemysł budowlany. Kiedy dwoje ludzi zawierało małżeństwo, ich przyjaciele i rodzina wznosili dla nich dom. Dom Ribeirów obrazował historię rodziny. Frontowa, najstarsza część zbudowana była z arkuszy plastiku umocowanych w betonowym fundamencie. W miarę, jak rodziły się dzieci, powstawały dodatkowe pomieszczenia i w efekcie na zboczu stało teraz pięć różnych, piętrowych konstrukcji. Ostatnie były z cegły, porządnie skanalizowane i kryte dachówką. Nikt jednak nie zadbał o ich estetykę. Rodzina budowała dokładnie to, czego w danej chwili potrzebowała; nic więcej.

Ender wiedział, że to nie bieda była powodem — bieda nie istniała w społeczności o tak ściśle kontrolowanej ekonomice. Brak dekoracji czy śladów indywidualności dowodził raczej pogardy mieszkańców dla własnego domu; dla Endera świadczył też o pogardzie, jaką żywią dla siebie. Olhado i Quara nie okazywali odprężenia i spokoju, jaki przejawia większość ludzi wracając do domu. Wręcz przeciwnie: stali się ostrożni i czujni, jakby dom był dodatkowym centrum grawitacji i w miarę zbliżania dodawał im ciężaru.

Olhado i Quara nie zatrzymując się weszli do środka. Ender czekał w drzwiach, aż ktoś go zaprosi. Olhado pozostawił je otwarte, ale wyszedł z pokoju nie odezwał się ani słowem. Ender widział Quarę, siedzącą na łóżku we frontowym pomieszczeniu. Opierała się o nagą ścianę. Zresztą, wszystkie ściany były nagie i jaskrawo białe. Twarz Quary dostosowała się do ich pustki. Wprawdzie wpatrywała się nieruchomo w twarz przybysza, lecz nie dawała znaku, że go poznaje. I nie robiła nic, by mu pokazać, że może wejść.

W tym domu panowała zaraza. Ender usiłował zrozumieć, jakiej cechy charakteru Novinhy się nie domyślił, a która pozwalała jej żyć w takim miejscu. Może to śmierć Pipa, przed wielu laty, pozostawiła w jej sercu absolutną pustkę?

— Czy zastałem waszą mamę? — zapytał. Quara milczała.

— Aha... Przepraszam. Myślałem, że jesteś dziewczynką, ale widzę, że chyba rzeźbą. Nic nie wskazywało na to, że go słyszy. To tyle, jeśli idzie o rozbawienie jej i wyrwanie z apatii.

Czyjeś podeszwy zastukały nagle po betonowej podłodze. Do pokoju wbiegł mały chłopiec, zatrzymał się na środku i odwrócił natychmiast w stronę drzwi, gdzie stał Ender. Mógł być o rok młodszy od Quary, jakieś sześć, może siedem lat. W przeciwieństwie do dziewczynki, na jego twarzy uczucia rysowały się bardzo wyraźnie. Między innymi pożądlivość dzikiego zwierzątka.

— Czy twoja mama jest w domu? — spytał Ender. Chłopiec schylił się i starannie podwinął nogawkę. Na łydce miał przyklejony plastrem długi, kuchenny nóż. Odlepił go powoli. Potem, trzymając oburącz przed sobą, wymierzył w gościa i ruszył z pełną szybkością. Ender zauważył, że ostrze celowało dokładnie w jego krocze. Chłopiec nie uznawał delikatnego traktowania obcych. Chwilę później Ender trzymał

napastnika pod pachą, a nóż tkwił wbity w sufit. Chłopiec kopał i wrzeszczał. Ender musiał przytrzymać go oburącz; wreszcie mały zawisł przed nim, trzymany za ręce i nogi. Wyglądał zupełnie jak ciele związane do napiętnowania. Ender spojrzał uważnie na Quarę.

— Jeśli natychmiast nie przyprowadzisz tu osoby, która zarządza domem, zabiorę tego zwierzaka ze sobą i zjem na kolację. Quara zastanowiła się, wstała i wybiegła z pokoju. Chwilę później pojawiła się zmęczona, nieuczesana dziewczyna o zaspanych oczach.

— Desculpe, por favor — szepnęła. — O menino nSo se restabeleceu desde a morte do pai... Nagle jakby się obudziła.

— O Senhor e Falante pelos Mortos! Jesteś Mówcą Umarłych!

— Sou — potwierdził Ender. — Jestem.

— Nao aqui — jęknęła. — Nie, przepraszam, mówisz po portugalsku? Oczywiście, przecież mi odpowiedziałeś. Proszę cię, nie tutaj, nie teraz. Odejdź.

— Doskonale. Mam zabrać chłopca czy nóż? Podniósł głowę. Podążyła wzrokiem za jego spojrzeniem.

— Nie, przepraszam, wczoraj szukaliśmy go przez cały dzień. Wiedzieliśmy, że go schował, ale nie wiedzieliśmy, gdzie.

— Przylepił sobie do nogi.

— Nie wczoraj. Zawsze tam sprawdzamy. Puść go, proszę.

— Jesteś pewna? Wydaje mi się, że ostrzy sobie zęby.

— Grego — zwróciła się do chłopca. — Nie wolno kłuć ludzi nożem. Grego warknął gardłowo.

— To przez śmierć ojca.

— Tak bardzo byli sobie bliscy? Gorzki uśmiech przemknął po jej twarzy.

— Raczej nie. Zawsze był złodziejem, to znaczy Grego, od kiedy urósł na tyle, by trzymać coś i iść równocześnie. Ale atakowanie ludzi to coś nowego. Puść go, proszę.

— Nie — odparł Ender. Jej oczy zwężyły się gniewnie.

— Chcesz go porwać? Dokąd? Jakiego żadasz okupu?

— Może nie zrozumiałaś — powiedział Ender. — On mnie zaatakował. A ty nie dajesz gwarancji, że nie zrobi tego znowu. Nie poczyniłaś żadnych przygotowań, by go ukarać, gdy już stanie na ziemi. Tak, jak oczekiwał, w jej oczach błysnęła wściekłość.

— Co sobie właściwie wyobrażasz? To jego dom, nie twój!

— Właściwie jestem zmęczony długim spacerem z praca aż tutaj. Olhado narzucił szybkie tempo. Chciałbym usiąść.

Ruchem głowy wskazała mu krzesło. Grego wrywał się i szarpał w silnym uchwycie. Ender podniósł go tak, by ich twarze znalazły się blisko siebie.

— Wiesz, Grego, jeśli uda ci się wyrwać, to z pewnością uderzysz głową o betonową podłogę. Gdyby był tam jakiś dywan, miałbyś szansę nie stracić przytomności. Ale nie ma. I, szczerze mówiąc, chętnie usłyszę stuk twojej czaszki o beton.

— On niezbyt dobrze zna stark — odezwała się dziewczyna. Ender wiedział, że Grego zrozumiał doskonale. Dostrzegł także jakieś poruszenie:

Olhado wrócił i stanął w drzwiach do kuchni. Quara kryła się za nim. Ender uśmiechnął się do nich uprzejmie i postąpił krok w stronę krzesła. Po drodze rzucił Grega w górę, puszczając przy tym jego dłonie i stopy tak, że chłopiec zawirował w powietrzu, zamachał rękami i nogami, wrzasnął ze strachu przed bólem, który miał nadejść, gdy runie na podłogę. Ender usiadł płynnie i pochwycił Grega, natychmiast przyciskając mu ramiona do tułowia. Chłopiec zdążył wbić pięty w jego golenie, ale ponieważ nie miał butów, manewr nie przyniósł żadnych efektów. Po chwili znowu został unieruchomiony.

— Miło tak sobie posiedzieć — oświadczył Ender. — Jesteście niezwykle gościnni. Nazywam się Andrew Wiggin. Spotkałem już Olhada i Quarę, a Grego i ja, jak widać, zdążyliśmy się nawet zaprzyjaźnić. Dziewczyna wytarła rękę o fartuch, jakby miała zamiar mu ją podać, ale nie zrobiła tego.

— Jestem Ela Ribeira. Ela to zdrobnienie od Elanory.

— Miło cię poznać. Widzę, że przygotowujesz kolację.

— Tak. Jestem bardzo zajęta. Powinieneś chyba przyjść jutro.

— Nie przeszkadzaj sobie. Mogę zaczekać. Do pokoju wsunął się jeszcze jeden chłopiec, starszy od Olhada, ale młodszy niż Ela.

— Nie słyszałeś, co powiedziała moja siostra? Nie chcemy cię tutaj!

— Jesteście dla mnie aż nazbyt uprzejmi — stwierdził Ender. — Ale przyszedłem się zobaczyć z waszą matką i zostanę, dopóki nie wróci z pracy. Wzmianka o matce uspokoiła ich natychmiast.

— Zakładam, że jest w pracy. Gdyby była w domu, gwałtowne wypadki z pewnością wywabilyby ją na otwartą przestrzeń.

Olhado uśmiechnął się lekko, ale starszy chłopiec sponiewniał, a na twarzy Eli pojawił się wyraz niechęci i bólu.

— Dlaczego właściwie chcesz widzieć właśnie ją? — zapytała.

— Chciałem poznać was wszystkich — uśmiechnął się do starszego chłopca. — Ty pewnie jesteś Estevao Rei Ribeira. Nazwany tak dla uczczenia świętego Stefana Męczennika, który widział Jezusa siedzącego po prawicy Boga.

— Co możesz wiedzieć o tych sprawach, ateisto!

— O ile sobie przypominam, święty Paweł stał z boku i przytrzymywał płaszcze ludziom, którzy kamienowali świętego Stefana. Najwyraźniej nie był wtedy wyznawcą. Co więcej, mam wrażenie, że uważano go za jednego z najstraszniejszych wrogów Kościoła. A przecież potem żałował za swe grzechy, prawda? Proponuję, byś

mnie uznał nie za nieprzyjaciela Boga, ale za apostoła, który nie został jeszcze zatrzymany na drodze do Damaszku — Ender uśmiechnął się promiennie. Chłopiec przyglądał mu się z zaciśniętymi ustami.

— Nie jesteś świętym Pawłem.

— Wręcz przeciwnie. Jestem apostołem prosiaczków.

— Nigdy ich nie zobaczysz. Miro ci nie pozwoli.

— Może pozwolę — zabrzmiał od drzwi jakiś głos. Wszyscy odwrócili się natychmiast i patrzyli, jak wchodzi. Miro był młody — chyba nie skończył jeszcze dwudziestu lat. Lecz twarz i postawa świadczyły o brzemieniu odpowiedzialności i cierpienia, zbyt ciężkim na jego wiek. Pozostali nie cofali się przed nim, tak jak przed kimś, kogo się obawiają. Raczej orientowali się według niego i okrążali parabolami, jakby był środkiem ciężkości i jego obecność poruszała wszystkim. Miro przeszedł na środek i stanął przed Enderem. Patrzył jednak na jego więźnia.

— Puść go — polecił lodowatym tonem. Ela dotknęła lekko jego ramienia.

— Miro, Grego próbował pchnąć go nożem — a jej głos mówił też: uspokój się, wszystko w porządku, Gregowi nic nie grozi, a ten człowiek nie jest naszym wrogiem. Ender słyszał to wyraźnie; Miro chyba także.

— Grego — powiedział. — Uprzedzałem cię, że w końcu trafisz na kogoś, kto się ciebie nie przestraszy. Widząc, jak sprzymierzeniec zmienia się nagle w przeciwnika, Grego wybuchnął płaczem.

— On mnie zabija! Chce mnie zamordować! Miro spojrzał chłodno na Endera. Ela mogła ufać Mówcy Umarłych, ale on jeszcze nie.

— Naprawdę sprawiam mu ból — przyznał Ender. Nauczył się, że mówienie prawdy jest najlepszym sposobem zdobycia zaufania. — Za każdym razem, kiedy próbuje się wyrwać, odczuwa sporą niewygodę. A jeszcze nie przestał się wyrwać. Patrzył wprost w oczy Mira, a ten zrozumiał jego niemą prośbę. Przestał nalegać, by puścić Grega.

— Nie mogę ci pomóc, Greguinho.

— Pozwolisz mu na to? — zdziwił się Estevao. Miro wyciągnął rękę w jego stronę i wyjaśnił przepraszająco:

— Wszyscy mówią na niego: Quim — przydomek brzmiało jak „king” w storku. — Kiedyś głównie dlatego, że na drugie imię ma Rei. Ale teraz on sam uważa, że włada z boskiego namaszczenia.

— Bastard — burknął Quim i wyszedł z pokoju.

Tymczasem pozostali zaczęli rozmawiać swobodnie. Miro zdecydował, by przyjąć tego obcego, przynajmniej na pewien czas, mogli więc trochę się rozluźnić. Olhado usiadł na podłodze, Quara wróciła na swe poprzednie miejsce na łóżku. Ela stała oparta o ścianę, sam Miro zaś przysunął sobie krzesło i usiadł na wprost Endera.

— Dlaczego tu przyszedłeś? — zapytał. Ender wyczuł z jego tonu, iż — podobnie jak Ela — nie przyznał się nikomu, że wezwał Mówcę. Żadne z nich nie

spodziewało się więc, że drugie także go oczekiwało. A na pewno żadne nie spodziewało się go tak szybko.

— Chciałem się spotkać z waszą matką — wyjaśnił. Ulga Mira była niemal dotykalna, choć chłopiec nie wykonał żadnego gestu.

— Jest w pracy — poinformował. — Pracuje do późna. Próbuje wyhodować odmianę ziemniaka, zdolną do współzawodnictwa z tutejszą trawą. — Jak amarant? — Słyszałeś już? — uśmiechnął się. — Nie, nie chcemy, by była aż tak dobrze przystosowana. Ale nasza dieta jest dość ograniczona i ziemniaki byłyby przyjemnym urozmaiceniem. Poza tym, amarantu nie da się przetworzyć na odpowiednie płyny, a tutejsi górnicy i farmerzy stworzyli już całą mitologię wódki, królowej napojów wysokowych.

Uśmiech Mira rozbłysnął niby promień słońca, wpadający przez szczelinę w skale do mrocznej jaskini. Ender wyczuwał spadek napięcia. Quara machała nogą jak zwyczajna mała dziewczynka; twarz Olhada przybrała głupawo szczęśliwy wyraz, a metalowy połysk jego oczu nie był tak bardzo widoczny zza półprzymkniętych powiek; Ela uśmiechała się szerzej, niż zasługiwały na to żarty Mira. Nawet Grego przestał się wyrywać. Ale niespodziewane ciepło na nogawce udowodniło, że Grego nie miał zamiaru się poddać. Ender nauczył się nie reagować odruchowo na działania przeciwnika, dopóki świadomie nie pozwoli rządzić odruchom. Dlatego nie drgnął nawet, czując na spodniach strumień moczu. Wiedział, na co liczył Grego: na krzyk gniewu, na to, że Ender puści go i ze wstrętem zepchnie z kolan. Wtedy byłby wolny — i zwycięski.

Ela najwyraźniej rozpoznała wyraz twarzy chłopca. Jej oczy rozszerzyły się w przerażeniu i gniewie. Zbliżyła się.

— Grego, ty obrzydliwy, mały... Ender jednak mrugnął do niej z uśmiechem. Przerwała w pół słowa.

— Grego podarował mi prezent. Nic więcej nie mógł mi ofiarować, a że zrobił go sam, jest tym cenniejszy. Polubiłem go tak bardzo, że chyba już nigdy nie wypuszczę. Grego warknął i raz jeszcze szarpnął się z całej siły.

— Dlaczego to robisz? — zawołała Ela.

— Oczekuje, że Grego zacznie się zachowywać jak istota ludzka — wyjaśnił Miro. — Dawno trzeba było to zrobić, ale nikt nie spróbował.

— Ja próbowałam — stwierdziła Ela.

— To tylko zasługa Eli, że w ogóle jesteśmy cywilizowani — wtrącił ze swego miejsca na podłodze Olhado.

— Nie opowiadajcie temu draniowi o naszej rodzinie! — krzyknął z sąsiedniego pokoju Quim. Ender z powagą kiwnął głową, jakby Quim wystąpił z jakąś błyskotliwą, inteligentną uwagą. Miro zachichotał, a Ela uniosła oczy do góry, po czym przysiadła na łóżku obok Quary.

— To nie jest najszczęśliwszy dom — stwierdził Miro.

— Rozumiem — odparł Ender. — Skoro wasz ojciec umarł całkiem niedawno...

— Chcesz powiedzieć: skoro nasz ojciec całkiem niedawno jeszcze żył — sprostował Olhado, a Miro uśmiechnął się ironicznie. Ela najwyraźniej zgadzała się z tą opinią, ale Quim zawołał znowu:

— Nic mu nie mówcie!

— Krzywdził was? — spytał cicho Ender. Nie poruszał się, choć mocz Grega był już zimny i zaczynał cuchnąć.

— Nie bił nas, jeśli o to ci chodzi — odparła Ela. Dla Mira jednak sprawy zasły za daleko.

— Quim ma rację — stwierdził. — To tylko nasza sprawa.

— Nie — oznajmiła Ela. — To jest jego sprawa.

— Niby dlaczego? — zdziwił się Miro.

— Ponieważ jest tutaj, by mówić o śmierci ojca.

— O śmierci ojca? — zawołał Olhado. — Chupa pedras! Ojciec umarł dopiero trzy tygodnie temu!

— Byłem już w drodze, by mówić o innej śmierci — wyjaśnił Ender. — Ktoś jednak wezwał mówcę po zgonie waszego ojca, będę więc mówił dla niego.

— Przeciw niemu — poprawiła Ela.

— Dla niego — powtórzył Ender.

— Sprowadziłam cię tutaj, żebyś powiedział prawdę — oznajmiła z goryczą. — A prawda o ojcu świadczy przeciw niemu.

Cisza zaległa w pokoju, zatrzymując wszystkich w bezruchu. Potem w drzwiach stanął Quim. Patrzył tylko na Elę.

— Ty go wezwałaś — powiedział cicho. — Ty.

— Żeby powiedział prawdę! — odparła. Oskarżenie zabolowało ją wyraźnie; nie musiał mówić, że zdradziła swą rodzinę i swój Kościół, sprowadzając niewiernego, by obnażył to, co tak długo leżało w ukryciu.

— Wszyscy w Milagre byli tacy dobrzy i pełni zrozumienia — powiedziała. — Nauczyciele nie zwracali uwagi na takie drobiazgi jak kradzieże Grega czy milczenie Quary. To głupstwo, że nie wypowiedziała w szkole nawet jednego słowa, nigdy! Udawali, że jesteśmy normalnymi dziećmi, wnukami Os Venerados, a jakimi zdolnymi, prawda? Mieliśmy w rodzinie Zenadora i dwójkę biologistas! Jaki to zaszczyt! Patrzyli w inną stronę, kiedy ojciec upijał się, wracał do domu i bił mamę tak, że nie mogła chodzić!

— Zamknij się! — wrzasnął Quim.

— Ela! — zawołał ostrzegawczo Miro.

— Ty też, Miro! Ojciec krzyczał na ciebie, mówił o tobie straszne rzeczy, aż wybiegałeś z domu, uciekałeś potykając się, bo mało co widziałeś...

— Nie masz prawa mu o tym opowiadać! — zawołał Quim.

Olhado zerwał się na nogi i stanął na środku pokoju. Rozejrzał się mierząc ich spojrzeniem swych nieludzkich oczu.

— Czemu nadal chcecie to ukrywać? — spytał cicho.

— Czemu się wtrącasz? — rzucił Quim. — Tobie nic nie zrobił. Wyłączyłeś swoje oczy, siedziałeś ze słuchawkami i słuchałeś batuque albo Bacha...

— Wyłączyłem oczy? — powtórzył Olhado. — Nigdy nie wyłączyłem oczu. Odwrócił się na pięcie i podszedł do terminala, umieszczonego w kącie pokoju naprzeciw drzwi wejściowych. Uruchomił go szybko, znalazł kabel sprzęgu i wsunął go sobie w prawy oczodół. Było to zwykłe złącze komputerowe, ale ożywiło w pamięci Endera wspomnienie oka olbrzyma, rozerwanego i ociekającego śluzem, gdy przebijał się przez nie aż do mózgu, a olbrzym walił się na plecy. Zamarł na chwilę, nim sobie uświadomił, że wspomnienie nie było prawdziwe, że to tylko gra komputerowa, w którą grał w Szkole Bojowej. Minęło trzy tysiące lat, ale dla niego tylko dwadzieścia pięć — nie tak dawno, by obraz stracił swą wyrazistość. To właśnie wspomnienia i sny o śmierci olbrzyma odebrały robale, zmieniając je w sygnał dla niego; w rezultacie dotarł do kokonu królowej kopca. Głos Jane sprawił, że ocknął się wracając myślami do teraźniejszości.

— Jeśli ci to nie przeszkadza — szepnęła z klejnotu — póki ma oko sprzężone z systemem, skopiuję wszystko, co tam zarejestrował.

Nad terminalem pojawił się obraz. Nie był holograficzny. Przypominał raczej płaskorzeźbę, jaką rejestrował wzrok obserwatora. Przedstawiał pokój, w którym się teraz znajdowali, widziany z punktu, gdzie jeszcze przed chwilą siedział Olhado — najwyraźniej było to jego stałe miejsce. Na środku stał potężny mężczyzna, silny i wściekły. Wymachiwał rękami krzycząc na Mira, który słuchał spokojnie z pochyloną głową i bez najmniejszych oznak gniewu spoglądał na ojca. Nic nie było słychać — nagranie było czysto wizyjne.

— Już zapomnieliście? — szepnął Olhado. — Zapomnieliście, jak to było?

Nad terminalem Miro odwrócił się i wybiegł; Marcao podążył za nim do drzwi, krzycząc ciągle. Potem odwrócił się twarzą do wnętrza i stał zdyszany, jak zwierzę po pościgu. Grego podbiegł do ojca i przyłgnął do jego nogi. Wykrzykiwał coś, a wyraz jego twarzy wyraźnie świadczył, że powtarza okrutne słowa dorosłego. Marcao oderwał dziecko od nogi i, podjąwszy decyzję, wyszedł do sąsiedniego pomieszczenia.

— Nie ma dźwięku — powiedział Olhado. — Ale przecież słyszycie. Słyszycie, prawda? Ender poczuł, że Grego drży mu na kolanach.

— Cios i uderzenie... pada na podłogę, czujecie własnym ciałem, jak uderza o beton...

— Zamknij się, Olhado — rzucił Miro. Scena nad terminalem dobiegła końca.

— Nie mogę uwierzyć, że zarejestrowałeś coś takiego — stwierdziła Ela. Quim płakał, nie starając się tego ukryć.

— To ja go zabiłem — oświadczył. — Zabiłem go zabiłem go zabiłem go.

— O czym ty mówisz? — powiedział z rozdrażnieniem Miro. — Miał przecież tę potworną chorobę. Była wrodzona!

— Modliłem się, żeby umarł! — wrzasnął Quim. Czerwone plamy wystąpiły mu na mokrej od łez twarzy, a kropelki śliny pojawiły się na wargach. — Modliłem się do Maryi Dziewicy i do Jezusa, modliłem się do Dziadka i Babci, mówiłem, że mogę iść do piekła, byle tylko umarł, a oni wysłuchali mnie i teraz pójdę do piekła i wcale nie żałuję! Niech Bóg mi wybaczy, ale cieszę się z tego! Szlochając wybiegł z pokoju. Trzasnęły drzwi.

— Oto kolejny potwierdzony cud na koncie Os Venerados — stwierdził Miro. — Kanonizacja pewna.

— Zamknij się — warknął Olhado.

— I to właśnie on nam powtarzał, że Chrystus chce, byśmy wybaczyli staremu draniowi. Grego trząsł się tak gwałtownie, że Ender zaczął się o niego obawiać. Chłopiec powtarzał szeptem jakieś słowo. Ela także dostrzegła cierpienie malca i przyklękła przed nim.

— On płacze. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby tak płakał...

— Papa, papa, papa — szeptał Grego. Drżenie ustąpiło gwałtownym, konwulsyjnym niemal wstrząssem.

— Czy on się boi ojca? — spytał z głęboką troską Olhado. Ender dostrzegł z ulgą, że wszyscy byli zaniepokojeni. Istniała więc jeszcze wśród nich miłość, nie tylko solidarność żyjących przez długie lata pod władzą tego samego tyrana.

— Papy już nie ma — uspokajał chłopca Miro. — Nie masz się czego bać. Ender pokręcił głową.

— Miro — powiedział. — Nie widziałeś pamięci Olhada? Mali chłopcy nie osądzają swoich ojców. Oni ich kochają. Grego z całych sił starał się być taki, jak Marcos Ribeira. Wy wszyscy z ulgą przyjęliście jego śmierć, ale dla Grega był to koniec świata. Żadnemu z nich nie przyszło to do głowy. Nawet teraz pomysł wydawał się odrażający — Ender widział ich obrzydzenie. Wiedzieli jednak, że to prawda. Teraz, gdy o tym powiedział, rzecz stała się oczywista.

— Deus nos perdoa — szepnęła Ela. — Niech Bóg nam wybaczy.

— Wszystko, co mówiliśmy — dodał Miro.

Ela wyciągnęła ręce do Grega, ale on nie chciał do niej pójść. Zrobił dokładnie to, czego Ender oczekiwał, na co był przygotowany. Obrócił się w luźnym już uścisku, zarzucił ramiona na szyję Mówcy Umarłych i gorzko, histerycznie zapłakał.

— Jak mógł okazać wam swój ból — zwrócił się Ender do pozostałych, obserwujących bezradnie całą scenę — skoro sądził, że go nienawidzicie?

— Nie nienawidziliśmy Grega — zaprotestował Olhado.

— Powinienem się domyślić — mruknął Miro. — Wiedziałem, że cierpi bardziej niż ktokolwiek z nas, ale nie sądziłem...

— Nie oskarżaj się — powiedział Ender. — Tylko obcy może spostrzec coś takiego. Usłyszał rozbrzmiewający w jego uchu szept Jane.

— Wiesz, Andrew, nigdy nie przestanę mnie zdumiewać, z jaką łatwością zmieniasz ludzi w plazmę.

Nie mógł odpowiedzieć, zresztą i tak by mu nie uwierzyła. Nie planował tego, rozgrywał wszystko na wyczucie. Skąd mógł wiedzieć, że Olhado zarejestrował okrucieństwo Marcao wobec rodziny? Jedynie w przypadku Grega coś przewidywał, ale nawet to było czysto instynktowne — przeświadczenie, że dzieciak rozpaczliwie potrzebuje kogoś, kto miałby nad nim władzę, kto zachowywałby się wobec niego jak ojciec. A że ojciec był okrutny, Grego wierzył tylko w okrucieństwo jako dowód miłości i siły. Teraz łzy Grega spływały po szyi Endera tak, jak przedtem mocz po jego udach.

Domyślił się reakcji Grega, ale Quara zdołała go zaskoczyć. Gdy wszyscy przyglądali się, jak Grego szlocha bezgłośnie, dziewczynka wstała z łóżka i podeszła wprost do Endera. Spojrzała na niego gniewnie.

— Śmierdzisz — oznajmiła zdecydowanie i wymaszerowała z pokoju. Miro parsknął cicho, Ela także się uśmiechnęła. Ender uniósł brwi, jakby chciał powiedzieć: raz się wygrywa, a raz przegrywa. Wydawało się, że Olhado usłyszał niewypowiedziane słowa.

— Z nią też wygrałeś, Mówco — odezwał się cicho znad terminala. — To więcej, niż powiedziała do kogokolwiek spoza rodziny przez ostatnie miesiące.

Ale ja nie jestem spoza rodziny, odparł bezgłośnie Ender. Nie zauważyłeś? Należę do niej, czy wam się to podoba, czy nie. I czy mnie się to podoba, czy nie. Szloch Grega umilkł po chwili. Chłopiec zasnął i Ender zaniósł go do łóżka. Cjuara także spała w tym samym pokoju. Ela pomogła Enderowi zdjąć z Grega jego przesiąknięte moczem spodnie i włożyć czystą bieliznę. Jej palce były delikatne i sprawne; malec się nie obudził. Gdy wrócili, Miro zmierzył Endera krytycznym spojrzeniem.

— Możesz wybierać, Mówco. Moje spodnie będą na ciebie za wąskie i ciasne w kroku, ale ojca będą spadały. Ender przez chwilę nie rozumiał, o co mu chodzi — mocz Grega dawno już wysechł.

— Nie przejmuj się — powiedział. — Przebiorę się w domu.

— Mama nie wróci jeszcze przez godzinę. Chciałeś się z nią zobaczyć, prawda? Przez ten czas wypierzemy ci spodnie.

— W takim razie wezmę twoje. Zaryzykuję uwieranie w kroku.

ROZDZIAŁ 8

DONA IVANOVA

Oznacza to życie w ciągłym oszustwie. Wychodzisz i odkrywasz jakiś ważny,

kluczowy fakt, a kiedy wracasz na stację, piszesz zupełnie obojętny raport, w którym nie wspominasz nawet, czego się dowiedzieliśmy dzięki skażeniu kulturowemu. Jesteś zbyt młoda by pojąć, jaka to męczarnia. Ojciec i ja zaczęliśmy tak postępować, gdyż nie potrafiliśmy znieść ukrywania przed prosiaczkami naszej wiedzy. Przekonaś się, jak ja się przekonałem, że ukrywanie wiedzy przed swymi kolegami-uczonymi jest tak samo bolesne. Kiedy przyglądasz się ich zmaganiom z problemem i wiesz, że dysponujesz informacjami, pozwalającymi rozwiązać go bez trudu; kiedy widzisz, jak bardzo zbliżają się do prawdy, a potem, nie posiadając twoich danych, zarzucają poprawne wnioski i powracają na drogę błędu — nie byłabyś człowiekiem, gdybyś nie czuła wtedy udręki.

Musicie zawsze pamiętać: to jest ich prawo, ich wybór. To oni wzniesli mur między sobą a prawdą, i zechcą nas ukarać, jeśli im pokażemy, jak łatwo i jak doszczętnie ten mur został zburzony. A na każdego naukowca framlingów, szukającego prawdy, przypada dziesięciu descabecados [bezglowych], którzy gardzą wiedzą, którzy nawet nie myślą o oryginalnych hipotezach, a jedynie żerują na pismach prawdziwych uczonych, by wychwytywać najdrobniejsze pomyłki, sprzeczności czy błędy metody. Te muchopijki będą ślęczeć nad każdym twoim raportem i jeśli choć raz będziesz nieostrożna, ONI CIĘ ZŁAPIĄ! Nie możesz więc nawet wspomnieć o prosiaczkę, którego imię pochodzi z tego skażenia kultur. „Kubek” wyjawi im, że nauczyliśmy prosiaczki podstaw garncearstwa. „Kalendarz” czy „Żniwiarz” są oczywiste. A sam Bóg by nas nie ocalił, gdyby poznali imię Strzały.

Notatka Liberdade Figueiry de Medici do Ouandy Figueiry Mucumbi von Hesse, uzyskana z rejestrów Lusitanii na podstawie rozkazu Kongresu i przedstawiona jako materiał dowodowy w Procesie In Absentia Ksenologów Lusitanii z Oskarżenia o Zdradę i Nadużycie

Novinha nie wychodziła ze Stacji Biologisty, choć ponad godzinę temu zakończyła pracę. Klonowane ziemniaki rozwijały się w płynie odżywczym; pozostały tylko codzienne obserwacje, by się przekonać, które z genetycznych zmian dadzą w rezultacie najodporniejszą roślinę z najbardziej użytecznymi bulwami. Nie mam tu nic do roboty, więc dlaczego nie wracam do domu?

Nie potrafiła na to odpowiedzieć. Była potrzebna dzieciom, to pewne; nie okazywała im czułości wychodząc o świcie i wracając dopiero wtedy, gdy maluchy już spały. A jednak nawet teraz, kiedy powinna wrócić, siedziała w laboratorium i nie widziała niczego, nie robiła niczego, była nikiem.

Myślała o powrocie i nie umiała pojąć, czemu ta perspektywa nie budzi w niej radości. Przecież Marcao nie żyje, przypomniała sobie. Umarł trzy tygodnie temu. Ani o dzień za wcześniej. Zrobił wszystko, do czego był mi potrzebny, a ja wszystko, czego chciał, lecz nasze motywy wygasły cztery lata przed tym, jak przegnił do końca. W ciągu tych lat nie dzieliliśmy nawet jednej chwili miłości, a mimo to

nawet nie pomyślałam, by go opuścić. Rozwód byłby niemożliwy, ale przecież wystarczyłaby separacja. Żeby przestał mnie bić. Jeszcze teraz odczuwała sztywność i czasem ból w biodrze po tym, jak ostatnim razem cisnął ją na betonową podłogę. Jakże wspaniałą pamiątkę pozostawiłeś po sobie, Cao, mój psi małżonku.

Na samą myśl o nim zabolęła ją mocniej biodro. Z satysfakcją kiwnęła głową. Na nic więcej nie zasłużyłam i będę żałować, gdy się w końcu zagoi.

Wstała i ruszyła przed siebie, nie utykając, choć ból wystarczał aż nadto, by oszczędzała chorą nogę.

Dotarła do drzwi i zamknęła je za sobą. Gdy tylko wyszła, komputer wyłączył światła, pozostawiając tylko te, które były niezbędne różnym roślinom w wymuszonym cyklu fotosyntezy. Kochała swoje rośliny, te małe bestie, uczuciem zdumiewająco silnym. Rośnijcie, prosiła je co dzień, rośnijcie i rozkwitajcie. Rozpaczwała po tych, którym się nie udało i usuwała je dopiero wtedy, kiedy było całkiem jasne, że nie mają przyszłości. Teraz, oddalając się od stacji, wciąż słyszała ich bezgłośnie muzykę, wołanie mikroskopijnych komórek, które rosły, dzieliły się i formowały na nowo w coraz bardziej złożone systemy. Przechodziła od światła w ciemność, z życia w śmierć, i narastało cierpienie, zsynchronizowane idealnie ze stanem zapalnym jej stawów.

Wychodząc zza wzgórza zobaczyła dom i plamy światła padającego przez okna na zbocze. W pokoju Quary i Grega było ciemno; nie będzie musiała znosić ich oskarżeń: milczenia Quary i ponurych, dzikich psot Grega. Lecz w innych pomieszczeniach było zbyt jasno, nawet w jej pokoju i w salku. Działo się coś niezwykłego, a ona nie lubiła rzeczy niezwykłych.

Olhado siedział w salonie, jak zwykle ze słuchawkami na uszach. Tym razem jednak miał także podłączoną do oka wtyczkę sprzęgu. Zapewne odtwarzał z komputera jakieś wizualne wspomnienia, albo nagrywał coś, co ze sobą przyniósł. I, jak już tyle razy, zapragnęła, by zgrał także jej wspomnienia i wykasował je do czysta, zastąpił czymś przyjemniejszym. Ciało Pipa — o tym obrazie zapomniałaby chętnie, wymieniła go na pamięć cudownych dni, spędzanych we troje w Stacji Zenadora. I ciało Liba, owinięte w płótno, słodkie ciało utrzymywane jedynie zwiniętą materią; wołałaby w jego miejscu inne wspomnienia tego ciała, dotyk warg i pieczętę delikatnych dłoni. Jednak pamięć o nich ginęła, zbyt mocno przytłoczona bólem.

Wykradłam wszystkie piękne dni, więc zostały mi odebrane i zastąpione tym, na co zasłużyłam.

Olhado zwrócił twarz w jej stronę. Wtyczka sterczała mu obscenicznie z oka. Nie potrafiła stłumić drżenia i wstydu. Przepraszam cię, powiedziała bezgłośnie. Gdybym była inną matką, miałbyś własne oczy. Urodziłeś się, by być najlepszym, najzdrowszym, najwspanialszym z moich dzieci. Ale nic, co wyszło z mojego łona, nie może pozostać nienaruszone.

Oczywiście, nie powiedziała tego głośno, i Olhado także nic nie powiedział.

Odwróciła się, by przejść do swego pokoju i sprawdzić, dlaczego pali się światło.

— Matko — odezwał się Olhado. Zdjął słuchawki i wykręcał wtyczkę z oka.

— Słucham.

— Mamy gości. To Mówca.

Złodowaciła. Nie dzisiaj, krzyknęła w duchu. Wiedziała jednak, że nie zechce go widzieć także jutro, ani pojutrze, ani nigdy.

— Oczyszciliśmy mu spodnie i teraz wkłada je w twoim pokoju. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza. Ela stanęła w drzwiach kuchni.

— Jesteś już — powiedziała. — Przygotowałam cafezinho, dla ciebie też.

— Zaczekam na zewnątrz, dopóki sobie nie pójdzie — oświadczyła Novinha. Ela i Olhado spojrzeli na siebie. Novinha zrozumiała natychmiast, że traktują ją jak problem, który należy rozwiązać; że najwyraźniej popierają to, czego chciał tu dokonać Mówca. Ale ja jestem dylematem, którego nie zdołacie rozstrzygnąć.

— Mamo — zaczął Olhado. — On nie jest taki, jak mówił biskup. On jest dobry.

— A odkąd to jesteście ekspertami dobra i zła? — spytała Novinha tonem najbardziej gryzącej ironii.

Raz jeszcze Ela i Olhado porozumieli się wzrokiem. Wiedziała, co myślą. Jak jej to wytłumaczyć? Jak ją przekonać? Otóż, drogie dzieci, to się wam nie uda. Jestem nieprzekonywalna, o czym przekonywał się Libo w każdym tygodniu swego życia. Nie zdradziłam mu tajemnicy. To nie moja wina, że zginął.

Udało im się jednak zmienić jej decyzję. Zamiast wyjść z domu, wycofała się do kuchni. W przejściu ominęła Elę. Maleńkie filiżanki stały na stole równym kręgiem, parujący dzbanek czekał w samym środku. Usiadła i oparła ręce o blat. A więc Mówca przybył i przede wszystkim przyszedł tutaj. Gdzie miał iść? Przecież to moja wina, że się tu znalazł. Kolejna osoba, której życie zniszczyłam, jak życie moich dzieci, życie Marcao i Libo, i Pipa, i swoje własne.

Mocna, lecz zdumiewająco delikatna męska dłoń sięgnęła ponad jej ramieniem, chwyciła dzbanek i przez wąski dzióbek rozlała strumyk gorącej kawy do małych filiżanek.

— Posso derramar? — zapytał. Głupie pytanie, przecież już nalewał. Miał łagodnie brzmiący głos i mówił po portugalsku ze śpiewnym, kastylijskim akcentem. Czyżby Hiszpan?

— Desculpa-me — szepnęła. — Wybacz mi. Trouxe o senhor tantos quilometros...

— Odległości gwiazdnych nie mierzy się w kilometrach, Dona Ivanova. Mierzymy je w latach. Słowa były oskarżeniem, głos jednak mówił o smutku, wybaczeniu, nawet o niesieniu pociechy. Taki głos mógłby mnie uwieść. To głos kłamcy.

— Gdybym potrafiła cofnąć twoją podróż i oddać ci dwadzieścia dwa lata, uczyniłabym to. Wezwanie ciebie było błędem. Przepraszam — własny głos brzmiał fałszywie. Całe jej życie było kłamstwem, więc nawet te przeprosiny wypadły sztucznie.

— Jeszcze nie odczuwam upływu czasu — odparł Mówca. Nadal stał za nią i nie widziała jeszcze jego twarzy. — Dopiero przed tygodniem rozstałem się z siostrą. Była moją jedyną żyjącą krewną. Jej córka jeszcze się nie narodziła, a teraz skończyła już pewnie studia, wyszła za męża, może ma własne dzieci. Nigdy jej nie poznam. Znam jednak twoje dzieci, Dona Ivanova.

Jednym haustem przełknęła cafezinho, choć płyn parzył język i gardło i sprawiał ból w żołądku.

— Minęło kilka godzin, a już sądzisz, że je znasz?

— Lepiej, niż ty, Dona Ivanova.

Ela głośno wciągnęła powietrze, słysząc bezczelne słowa Mówcy. Novinha wpadła we wściekłość — być może były prawdziwe, ale obcy nie powinien o tym wspominać. Obejrzała się, by mu to powiedzieć, ale on odszedł, nie stał już za jej plecami. Odwróciła się dalej, wreszcie wstała, by spojrzeć mu w twarz, ale jego nie było w kuchni. Ela, z rozszerzonymi oczami, stała w drzwiach.

— Wracaj! — zawołała Novinha. — Nie możesz tak mówić, a potem sobie po prostu wyjść! Nie odpowiedział. Usłyszała za to cichy śmiech, dobiegający z tylnej części domu. Poszła za tym dźwiękiem. Mijała kolejne pokoje, aż znalazła się we własnej sypialni. Miro siedział na jej łóżku, a Mówca stał przy drzwiach. Śmiali się razem. Miro dostrzegł matkę i natychmiast spoważniał. Poczula ukłucie bólu: od lat nie widziała, by się uśmiechał, zapomniała, jak piękna stawała się wtedy jego twarz, zupełnie jak ojca. Jej obecność starła z tej twarzy uśmiech.

— Przyszliśmy porozmawiać tutaj, bo Quim był okropnie zły — wyjaśnił Miro. — Ela pościeliła łóżko.

— Nie sądzę, by Mówcy sprawiało jakąś różnicę, czy łóżko jest pościelone, czy nie — stwierdziła zimno Novinha. — Prawda, Mówco?

— Porządek i nieporządek mają własne piękno — odparł.

Wciąż stał do niej tyłem. To dobrze; nie musi patrzeć mu w oczy, gdy będzie przekazywać złą wiadomość.

— Powtarzam ci, Mówco, że przyleciałeś niepotrzebnie. Możesz mnie za to nienawidzić, ale nie ma śmierci, o której mógłbyś mówić. Byłam wtedy głupią dziewczynką. W swej naiwności wierzyłam, że na moje wezwanie przybędzie autor Królowej Kopca i Hegemona. Straciłam człowieka, który był dla mnie ojcem, i potrzebowałam pociechy. Teraz dopiero się odwrócił. Był dość młody, w każdym razie młodszy od niej, lecz jego oczy uwodziły głębią zrozumienia. Perigoso, pomyślała. Jest niebezpieczny, jest piękny, mogłabym zatonać w jego zrozumieniu.

— Dona Ivanova — powiedział. — Jak mogłaś czytać Królową Kopca i Hegemona i wierzyć, że ich autor może nieść pociechę?

To Miro odpowiedział — milkliwy, spokojny Miro, który włączył się w konwersację z wigorem, jakiego nie pamiętała od jego wczesnego dzieciństwa.

— Ja też je czytałem — oznajmił. — Pierwszy Mówca Umarłych z głębokim

współczuciem pisał opowieść o królowej kopca.

— Ale przecież nie pisał jej dla robali — uśmiechnął się smutno Mówca. — Pisał dla ludzkości, świętującej zagładę robali jako wspaniałe zwycięstwo. Pisał okrutnie, by zmienić ich dumę w żal, ich radość w rozpacz. I teraz ludzie zapomnieli, że kiedyś nienawidzili robali, że podziwiali i wychwalali tego, którego imienia dzisiaj się nie wymawia...

— Ja potrafię je wypowiedzieć — przerwała mu Ivanova. — Nazywał się Ender i niszczył wszystko, czego dotknął. Jak ja, pomyślała.

— Doprawdy? A co możesz o nim wiedzieć? — jego głos ciął jak kosa, szorstki i okrutny. — Skąd wiesz, że niczego nie dotykał łagodnie? Że ktoś go nie kochał i nie został pobłogosławiony jego miłością? „Niszczą wszystko, czego dotkną”... to oszczerstwo, jakiego nie można powiedzieć o żadnej ludzkiej istocie.

— Czy taka jest twoja doktryna, Mówco? W takim razie niewiele wiesz o Świecie. Głos Novinhy nadal brzmiał wyzywająco, ale przestraszył ją gniew Mówcy. Sądziła, że jego łagodność jest niewzruszona, jak u spowiednika. Zresztą gniew znikł z jego twarzy niemal natychmiast.

— Możesz odciążyć swoje sumienie — powiedział. — Na twoje wezwanie ruszyłem w podróż, ale gdy trwał lot, inni także wezwali Mówcę.

— Tak? — kto jeszcze w tym ciemnogrodzie tak dobrze poznał Królową Kopca i Hegemona, że zapragnął Mówcy, a w dodatku znalazł w sobie dość odwagi i niezależności od biskupa Peregrino, by posłać wezwanie? — Jeśli tak, to czemu jesteś tutaj, w moim domu?

— Ponieważ wezwano mnie, bym mówił o śmierci Marcosa Marii Ribeiry, twojego męża. Co za przerażający pomysł.

— O nim? Kto chciałby o nim wspominać teraz, kiedy wreszcie umarł? Mówca nie odpowiedział. Za to odezwał się Miro, wciąż siedzący na jej łóżku.

— Na przykład Grego. Mówca pokazał nam to, czego sami powinniśmy się domyślić: on płacze po ojcu i myśli, że wszyscy go nienawidzimy.

— Tania psychologia — parsknęła. — Mamy własnych terapeutów i też nie są wiele warci.

— To ja go wezwałam, by mówił o śmierci ojca, mamó — zabrzmiał od drzwi głos Eli. — Sądziłam, że miną dziesiątki lat, zanim się zjawi, ale cieszę się, że jest z nami teraz, gdy jeszcze może pomóc.

— W czym może pomóc?

— Już pomógł, mamó. Grego zasnął trzymając go za szyję, a Quara odezwała się do niego.

— Dokładniej — dodał Miro — poinformowała go, że śmierdzi.

— Co zapewne było prawdą — stwierdziła Ela. — Ponieważ Greguinho go obsiusiał.

Miro i Ela wybuchnęli śmiechem, a Mówca także się uśmiechnął. To właśnie, bardziej niż cokolwiek innego, zirykowało Novinhę. Nikt w tym domu nie odczuwał radości od dnia, gdy Marcao przyprowadził ją tutaj, rok po śmierci Pipa. Wbrew swej woli Novinha wspomniała własną radość, kiedy Miro był jeszcze całkiem mały, a Ela ledwie niemowlęciem, jak Miro paplał o wszystkim, a Ela raczkowała za nim po całym domu, jak bawili się razem i hasali w trawie niedaleko lasu prosiaczków, tuż przy ogrodzeniu. To właśnie radość Novinhy i jej duma z dzieci zatrzymały Marcao, sprawiły, że znienawidził oboje, bo wiedział, że nie należą do niego. Kiedy urodził się Quim, atmosfera nabrzmiała gniewem i chłopiec nigdy się nie nauczył śmiać swobodnie w miejscach, gdzie mogli go widzieć rodzice. Śmiech Mira i Eli był jak nagłe rozsuniecie grubej, czarnej zasłony: nagle znów stało się jasno, a Novinha zapomniała już, że prócz nocy istnieją inne pory doby. Jak śmiał ten obcy wdrzeć się do jej domu i zerwać kotarę, którą sama zasunęła!

— Nie pozwolę na to — oświadczyła. — Nie masz prawa wtykać nosa w życie mojego męża. Uniósł brew. Znała przecież Gwiazdny Kodeks, jak wszyscy; wiedziała, że nie tylko ma takie prawo, ale że prawo chroni go podczas badania prawdy o umarłym.

— Marcao był człowiekiem godnym pogardy — nie ustępowała. — Prawda o nim sprawi jedynie ból.

— Masz rację twierdząc, że prawda sprawi jedynie ból — zgodził się Mówca. — Ale nie dlatego, że był godny pogardy. Jeśli powiem to, o czym wszyscy wiedzą: że nienawidził swoich dzieci, bił żonę i włóczył się pijany po barach, aż konstable odsyłali go do domu — nie sprawię nikomu bólu. Dostarczę satysfakcji, gdyż wszyscy będą przekonani, że oceniali go właściwie. Był nędznikiem, więc słusznie traktowali go jak nędznika.

— A ty sądzisz, że nie był?

— Ludzka istota, kiedy pojmiesz jej pragnienia, nigdy nie jest bezwartościowa. Życie nigdy nie jest stracone. Kiedy się pojmie, co tkwi w ludzkich sercach, wychodzi na jaw, że nawet najgorsi spośród mężczyzn i kobiet dokonali czegoś szlachetnego, co przynajmniej odrobinę odkupuje ich winy.

— Jeśli w to wierzysz, musisz być młodszy, niż wyglądasz — stwierdziła Novinha.

— Tak sądzisz? Nie minęły jeszcze dwa tygodnie od chwili, gdy odebrałem twoje wezwanie. Zobaczyłem cię wtedy i jeśli nawet ty tego nie pamiętasz, to ja pamiętam, jaka byłeś młoda, piękna i dobra. Przeżyłaś lata samotności, ale Pipo i Libo poznali cię i uznali za godną miłości.

— Pipo już nie żył.

— Ale cię kochał.

— Nic nie rozumiesz, Mówco! Byłeś dwadzieścia dwa lata świetlne stąd! Zresztą to nie o sobie mówiłam, że jestem bezwartościowa, ale o Marcao.

— Sama w to nie wierzysz, Novinha. Ponieważ wiesz o jego szlachetnym,

wielkodusznym czynie, który nadaje sens życiu tego biedaka.

Novinha nie pojmowała własnego przerażenia, ale musiała go powstrzymać, zanim określi ten czyn, choć sam jeszcze nie wie, jaką szlachetność Cao wydaje mu się, że odkrył.

— Jak śmiesz nazywać mnie Novinhą! — krzyknęła. — Od czterech lat nikt się tak do mnie nie zwracał!

W odpowiedzi uniósł dłoń i musnął palcami jej policzek. Gest był nieśmiały i przypomniał jej Liba, a tego nie mogła już znieść. Odepchnęła jego rękę i wkroczyła do pokoju.

— Wyjdź! — krzyknęła do Mira.

Chłopiec wstał i wyszedł bez słowa. Widziała wyraźnie, że po wszystkim, na co napatrzył się w tym domu, zdołała go jednak zaskoczyć swoim wybuchem.

— Niczego ode mnie nie uzyskasz! — oznajmiła Mówcy.

— Nie przybyłem po to, by brać coś od ciebie — odparł spokojnie.

— I nie chcę tego, co mógłbyś dać! Dla mnie jesteś człowiekiem bez wartości, słyszysz? To ty jesteś bezwartościowy! Lixo, ruina, estrago — vai fora d'aqui, nao tens direito estar em minha casa! Nie masz prawa przebywać w moim domu!

— Nao eres estrago — szepnął. — Eres solo fecundo, e vou plantar jardim ai. I zanim zdążyła odpowiedzieć, zamknął za sobą drzwi i zniknął.

Właściwie nie miała pojęcia, co powinna na to odpowiedzieć. Jego słowa były oburzające. Nazwała go estrago, a on zareagował tak, jakby to siebie określiła ugorem. Zwracała się do niego z pogardą, używając obraźliwie poufałego tu zamiast o Senhor czy mniej formalnego voce. W ten sposób mówiło się do dziecka albo psa. A przecież, gdy jej odpowiedział tym samym tonem, z tą samą poufałością, zabrzmiało to całkiem inaczej. „Jesteś żyzną ziemią, a ja posadzę w tobie ogród”. Tak mógłby przemawiać poeta do swej pani, czy nawet mąż do żony. Tu stawało się czułe, nie aroganckie. Jak śmiał, szepnęła do siebie, jak mógł dotknąć policzka, którego on dotykał. Jest bardziej okrutny, niż sobie wyobrażałam, że może być Mówca. Biskup Peregrino miał rację. Jest niebezpieczny, niewierny, jest Antychrystem, bezczelnie wkracza w zakątki mojego serca, które są święte, gdzie nikomu nie wolno było wejść. Depcze te kilka pędów, które żyją jeszcze na kamienistym gruncie; jak śmie; chciałabym umrzeć, zanim go zobaczyłam; unicestwi mnie, zanim skończy.

Usłyszała czyjś płacz. Quara. Oczywiście, zbudziły ją te krzyki. Nigdy nie spała zbyt mocno. Novinha otworzyła drzwi, by wyjść i uspokoić córkę, ale wtedy płacz ucichł i usłyszała delikatny, męski głos śpiewający kołysankę. Nie знаła języka; chyba niemiecki, albo nordycki. Nie rozumiała go w każdym razie, ale wiedziała, kto to śpiewa i wiedziała także, że Quara jest już spokojna.

Novinha nie czuła takiego przerażenia od dnia, gdy dowiedziała się, że Miro chce zostać Zenadorem i pójść w ślady dwóch ludzi zamordowanych przez prosiaczki. Ten

człowiek rozplata sieć naszej rodziny i wiąże nas znowu w całość. Ale czyniąc to pozna moje tajemnice. Dowie się, jak zginął Pipo, powie prawdę, a wtedy Miro zrozumie i to go zabije. Nie chcę już składać ofiar prosiaczkom; są bogiem zbyt okrutnym, bym nadal go czciła. Jeszcze później, gdy leżała za zamkniętymi drzwiami i próbowała zasnąć, znów usłyszała śmiech. Tym razem Olhado i Quim śmiali się wraz z Mirem i Elą. Wyobrażała ich sobie, w pokoju rozjaśnionym radością. Lecz gdy usnęła i obraz zmienił się w sen, to nie Mówca siedział między jej dziećmi i uczył je radości; to był Libo, znowu żywy, i wszyscy wiedzieli, że to jej prawdziwy mąż, mężczyzna, którego poślubiła w sercu, choć nie zgodziła się na ślub w kościele. Nawet przez sen radość była większa, niż potrafiła znieść, i łzy zmoczyły jej poduszkę.

ROZDZIAŁ 9

WADA WRODZONA

CIDA: Nośnik Descolady nie jest organizmem bakteryjnym. Przedostaje się do wnętrza komórki i pozostaje tam na stałe, jak mitochondria. Reprodukacja następuje podczas rozmnażania komórki. Rozszerzył swoje działanie na nowy gatunek w ciągu zaledwie kilku lat od naszego przybycia, co sugeruje jego wysokie zdolności adaptacyjne. Z pewnością zaatakował już całą biosferę Lusitanii, mógł więc stać się czymś w rodzaju epidemii, permanentnym zakażeniem.

GUSTO: Jeśli istnieje permanentnie i we wszystkim, to nie jest infekcją. Jest częścią zwykłego życia.

CIDA: Ale niekoniecznie musi być wrodzony. Ma zdolność zarażania. Ale masz rację; jeśli jest endemiczny, to wszystkie miejscowe gatunki musiały znaleźć sposoby zwalczania go...

GUSTO: Albo się przystosowały i włączyły go w normalny cykl życiowy. Może go POTRZEBUJĄ.

CIDA: Potrzebują czegoś, co rozbija ich molekuly genetyczne i losowo składa z powrotem?

GUSTO: Może właśnie dlatego żyje tu tak mała ilość odrębnych gatunków. Descolada istnieje pewnie od niedawna, jakieś pół miliona lat, i nie zdołały się przystosować.

CIDA: Żałuję, że umieramy, Gusto. Następny ksenobiolog będzie prawdopodobnie pracował na standardowych adaptacjach genetycznych i nie pójdzie tym tropem.

GUSTO: Czy to jedyny powód, jaki potrafisz wymyślić, by żałować naszej śmierci?

Vladimir Tiago Gussman i Ekaterina Maria Aparecida do Nartę von Hesse-Gussman, niepublikowana rozmowa zachowana w notatkach roboczych; dwa dni przed ich śmiercią; cytowana po raz pierwszy w „Zagubione Ścieżki zrozumienia”, Meta-nauka, Magazyn Metodologii, 2001:12:12:144-45

Ender wrócił od Ribeirów do domu dopiero późnym wieczorem i przez ponad godzinę usiłował doszukać się sensu we wszystkim, co się wydarzyło, zwłaszcza po powrocie Novinhy. Mimo to rankiem zbudził się wcześniej, a jego umysł był już zajęty pytaniami, na które musiał odpowiedzieć. Zawsze tak było, kiedy się przygotowywał do Mowy o Śmierci; nie potrafił się powstrzymać od prób ułożenia w całość historii przerwane go życia tak, jak zmarły sam je widział, czy też życia, które chciał przeżyć, nawet jeśli mu się nie udało. Tym razem jednak odczuwał większe niż zwykle podniecenie — bardziej niż kiedykolwiek interesowali go ci, którzy jeszcze żyli.

— Naturalnie, że jesteś mocniej zaangażowany — stwierdziła Jane, gdy próbował to wyjaśnić. — Pokochałeś Novinhę, zanim jeszcze odleciałeś z Trondheimu.

— Pokochałem może młodą dziewczynę, ale ta kobieta jest okrutna i samolubna. Widziałas, co się stało z jej dziećmi.

— To ma być Mówca Umarłych? Osądzający ludzi według pozorów?

— Może pokochałem Grega?

— Zawsze miałeś silną skłonność do osób, które na ciebie siusiają.

— I Quarę. Ich wszystkich, nawet Mira. Naprawdę lubię tego chłopaka.

— A oni cię kochają, Ender. Zaśmiał się.

— Ludziom zawsze się wydaje, że mnie kochają, dopóki nie zacznę Mówić. Novinha jest bardziej wyczulona i nienawidziła mnie, zanim jeszcze powiedziałem prawdę.

— Jesteś ślepy wobec siebie, Mówco — oświadczyła Jane. — Tak samo jak każdy. Kiedy umrzesz, pozwól mi Mówić o twojej Śmierci. Ileż ciekawych rzeczy będę mogła opowiedzieć!

— Zachowaj je dla siebie — mruknął zniechęcony Ender. — W tym fachu jesteś jeszcze gorsza ode mnie. Zaczął spisywać listę pytań bez odpowiedzi:

1. Dlaczego Novinha w ogóle wyszła za Marcao?
2. Dlaczego Marcao nienawidził swoich dzieci?
3. Dlaczego Novinha nienawidzi samej siebie?
4. Dlaczego Miro wezwał mnie, bym Mówił o Śmierci Liba?
5. Dlaczego Ela wezwała mnie, bym Mówił o Śmierci jej ojca?
6. Dlaczego Novinha zmieniła zdanie w sprawie Mowy o Śmierci Pipa?
7. Jaki był bezpośredni powód Śmierci Marcao? Zatrzymał się przy siódmym pytaniu. Nietrudno będzie znaleźć na nie odpowiedź; to kwestia czysto kliniczna. Od tego więc zacznij. Lekarza, który przeprowadzał autopsję Marcao, nazywano Navio, co oznacza „statek”.

— To nie z powodu tuszy — wyjaśnił ze śmiechem. — Ani dlatego, że dobrze pływam. Moje pełne imię brzmi: Enrique o Navigador Coronada. Cieszę się tylko, że przezwisko pochodzi od „dowódcy okrętu”, nie od „małej armaty”. Budziłoby zbyt

wiele nieprzyzwoitych skojarzeń.

Ta jowialność nie wprowadziła Endera w błąd. Navio był dobrym katolikiem, nie mniej od innych posłusznym swemu biskupowi. Nie miał zamiaru dzielić się informacjami, choć nie chciał także zachowywać się nieuprzejmie.

— Znam dwie metody zdobywania odpowiedzi na pytania — oświadczył spokojnie Ender. — Mogę cię zapytać, a ty mi *szczerze* odpowiesz. Mogę też przesłać petycję do Gwiazdowego Kongresu, prosząc, by udostępnili mi twoje rejestry. Opłaty za korzystanie z ansibla są bardzo wysokie, a że to rutynowe żądanie, zaś twój opór jest przeciwny prawu, koszt zostanie pobrany z mocno już nadwerężonego budżetu kolonii, razem z dwukrotnie wyższą grzywną. Plus nagana dla ciebie. W miarę, jak Ender mówił, z twarzy Navia stopniowo znikał uśmiech.

— Oczywiście, że odpowiem na twoje pytania — stwierdził lodowato.

— Nie ma żadnego „oczywiście”. Wasz biskup zalecił mieszkańcom Milagre, by stosowali nieuzasadniony i niczym nie sprowokowany bojkot wobec legalnie wezwanego kapłana. Zrobisz wszystkim przysługę informując, że jeśli ten czarujący brak współpracy będzie trwał nadal, poproszę o zmianę mego statusu z kapłana na inkwizytora. Zapewniam cię, że cieszę się w Kongresie dobrą reputacją i moja prośba z pewnością zostanie wysłuchana. Navio doskonale wiedział, co to oznacza. Jako inkwizytor, na podstawie oskarżenia o prześladowania religijne, Ender miałby prawo uchylić Licencję Katolicką kolonii. Spowodowałoby to ogromne wzburzenie wśród Lusitańczyków, także dlatego, że biskup utraciłby w efekcie swoje stanowisko i został wezwany do Watykanu celem odbycia kary.

— Czemu miałbyś zrobić coś takiego? — spytał. — Przecież wiesz, że cię tu nie chcemy.

— Ktoś chciał, żebym przyleciał — odparł Ender. — Inaczej by mnie tu nie było. Możesz nie lubić prawa, kiedy narzuca ci pewne ustępstwa, ale chroni też wielu katolików na planetach, gdzie licencjonowano inną wiarę. Navio zabębnił palcami o biurko.

— Co chcesz wiedzieć, Mówco? — zapytał. — Miejmy to już za sobą.

— Sprawa jest prosta, przynajmniej na początku. Jaka była przyczyna zgonu Marcosa Marii Ribeiry?

— Marcao! — zawołał Navio. — Nie mogłeś przecież przybyć, by Mówić o jego śmierci! Zmarł dopiero kilka dni temu...

— Wezwano mnie, bym Mówił o śmierci kilku osób i postanowiłem zacząć od Marcao.

— A jeśli poproszę o potwierdzenie twoich uprawnień? — skrzywił się Navio.

— Oszłomimy tego chłopaczka — szepnął w ucho Endera głos Jane i natychmiast terminal komputera ożył, wyświetlając oficjalne dokumenty.

— Andrew Wiggin, Mówca Umarłych, przyjął wezwanie i prośbę, by objaśnić życie i śmierć Marcosa Marii Ribeiry, z miasta Milagre, kolonia na Lusitanii.

Jednak to nie dokumenty wywarły na Navio największe wrażenie, ale fakt, że nie zadał pytania ani nie uruchomił komputera. Domyślił się od razu, że terminal został włączony poprzez klejnot w uchu Mówcy. Oznaczało to, że jakiś program logiczny bardzo wysokiego poziomu obserwował poczynania niechcianego gościa i realizował jego polecenia. Nikt na Lusitanii, nawet sama Bosquinha, nie miała takiej władzy. Ten Mówca był kimś bardzo ważnym, rybą zbyt grubą nawet dla biskupa Peregrino.

— Doskonale — Navio uśmiechnął się z przymusem. Najwyraźniej znowu przypomniał sobie, na czym polega jowialność. — I tak chciałem ci pomóc. Paranoja biskupa nie zaraziła jeszcze wszystkich mieszkańców Milagre. Ender uśmiechnął się także, przyjmując jego kłamstwo za dobrą monetę.

— Marcos Ribeira zmarł w wyniku wady wrodzonej — wyrzucił z siebie długą, pseudołacińską nazwę. — Pewnie nigdy nie słyszałeś o takiej chorobie. Zdarza się niezwykle rzadko i przenosi wyłącznie poprzez geny. W większości przypadków zaczyna się u progu dojrzałości i polega na stopniowym zastępowaniu lipidami tkanki gruczołów wydzielania wewnętrznego i zewnętrznego. Oznacza to, że przez lata, krok po kroku, w miejscu nadnerczy, przysadki mózgowej, wątroby, jąder, tarczycy i tak dalej, pojawiają się zbiorowiska komórek tłuszczowych.

— Zawsze jest śmiertelna? Nieodwracalna?

— Tak. Właściwie, Marcao żył o dziesięć lat dłużej, niż można by oczekiwać. Zresztą jego przypadek był z wielu względów nietypowy. U wszystkich zarejestrowanych pacjentów — a przyznaję, że nie było ich wielu — choroba atakuje przede wszystkim gruczoły rozrodcze, prowadząc do bezpłodności i, na ogół, impotencji. Marcos Ribeira miał szóstkę zdrowych dzieci, więc jego jądra najwyraźniej uległy porażeniu jako ostatnie. Kiedy jednak nastąpił atak, choroba rozwijała się niesamowicie szybko — jądra zostały całkowicie zastąpione tkanką tłuszczową, choć części wątroby i tarczycy wciąż jeszcze funkcjonowały.

— A co go w końcu zabiło?

— Przysadka mózgowa i nadnercza przestały działać. Był chodzącym trupem. Po prostu przewrócił się w barze, jak słyszałem, w samym środku jakiejś nieprzyzwoitej piosenki. Jak zwykle, mózg Endera natychmiast wychwytił pozorną sprzeczność.

— W jaki sposób rozprzestrzenia się choroba genetyczna, jeśli jej ofiary są bezpłodne?

— Zwykle poprzez boczne linie. Jedno z dzieci umiera, natomiast jego bracia i siostry nie wykazują żadnych objawów i przekazują wrażliwość swoim dzieciom. Naturalnie, skoro Marcao miał dzieci, obawialiśmy się, że przekazał im ten zdefektowany gen.

— Testowałeś je?

— Żadne nie ma najmniejszych wad genetycznych. Domyślasz się chyba, że Dona Ivanova patrzyła mi przez ramię przez cały czas. Natychmiast wykryliśmy podejrzane geny i sprawdziliśmy dzieci po kolei; niczego nie znaleźliśmy.

— Ani jedno nie jest chore? Żadnych skłonności recesywnych?

— Grał as a Deus — westchnął lekarz. — Kto by je wybrał na małżonków, gdyby miały zatrute geny? Nawiasem mówiąc, nie bardzo rozumiem, dlaczego nie wykryto wcześniej defektu genetycznego Marcao.

— Czy skan genetyczny jest u was badaniem rutynowym?

— Och, nie, wcale nie. Ale trzydzieści lat temu wybuchła u nas epidemia. Rodzice Dony Ivanovy, Venerado Gusto i Venerada Cida, przeprowadzili dokładne badanie genetyczne każdego mężczyzny, kobiety i dziecka w kolonii. W ten właśnie sposób znaleźli lekarstwo. A przy analizie porównawczej komputer musiałby wykryć taki defekt. W końcu dzięki temu dowiedziałem się o powodach śmierci Marcao. Nigdy nie słyszałem o takiej chorobie, ale była w rejestrach komputera. — I Os Venerados niczego nie wykryli?

— Chyba nie, bo inaczej powiedzieliby o tym Marcosowi. A gdyby nawet nie powiedzieli, Dona Ivanova musiałaby coś znaleźć.

— Może znalazła — mruknął Ender. Navio roześmiał się głośno.

— Wykluczone. Żadna zdrowa na umyśle kobieta nie urodziłaby dziecka mężczyźnie z taką skazą genetyczną. Marcao cierpiał przez wiele lat. Nikt by nie chciał, żeby jego dzieci spotkał taki sam los. Nie, Dona Ivanova jest może ekscentryczna, ale nie jest szalona. Jane była najwyraźniej rozbawiona. Gdy tylko Ender wszedł do domu, wyświetliła na terminalu swoją twarz — tylko po to, by ryczeć ze śmiechu.

— On nie potrafi inaczej — wyjaśnił Ender. — W tak sztywno katolickiej kolonii, kiedy chodzi o Biologistę, jedną z najbardziej szacownych osób, nikt nie próbuje podawać w wątpliwość podstawowych dogmatów.

— Nie usprawiedliwiał go — przerwała mu Jane. — Nie oczekuję odmóżgowania działań tak logicznych, jak od oprogramowania. Ale nie możesz wymagać, żeby mnie to nie bawiło.

— Właściwie, to miłe z jego strony — stwierdził Ender. — Woli raczej uwierzyć, że choroba Marcao różniła się od wszystkich zarejestrowanych przypadków, że rodzice Ivanovy przeoczyli jakoś defekt Marcosa, a ona sama wyszła za niego z niewiedzy. A przecież brzytwa Ockhama nakazuje uznawać najprostsze rozwiązania: schorzenie Marcao postępowało tak, jak zwykle, atakując najpierw gruczoły rozrodcze, a wszystkie dzieci Novinhy spłodził ktoś inny. Nic dziwnego, że Marcao był zgorzkniały i gniewny. Każde z sześciorga dzieci przypominało mu, że żona sypia z innym mężczyzną. Prawdopodobnie na samym początku zawarli umowę, że ona nie będzie mu wierna. Ale sześcioro dzieci to zbyt ostentacyjna przesada.

— Cudowne sprzeczności religijnego życia — oświadczyła Jane. — Z pełną świadomością planowała zdradę małżeńską, a nawet nie przyszło jej do głowy, żeby użyć jakiegoś środka antykoncepcyjnego.

— Sprawdziłaś wzorce genetyczne dzieci, żeby wykryć najbardziej prawdopodobnego ojca.

— Chcesz powiedzieć, że się nie domyśliłeś?

— Domyśliłem się, ale nie chcę, by ewidencja kliniczna wykluczyła oczywistą odpowiedź.

— To Libo, naturalnie. Co za drań! Spłodził sześcioro dzieci z Novinhą i jeszcze czwórkę z własną żoną.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego Novinha zwyczajnie nie wyszła za Liba. To przecież nie ma sensu: została żoną człowieka, którym w oczywisty sposób pogardzała, o którego chorobie musiała wiedzieć, a potem rodziła dzieci mężczyźnie, którego kochała od początku.

— Splątane i pełne perwersji są ścieżki ludzkiego umysłu — zaintonowała Jane. — Pinokio był durniem, że chciał się stać prawdziwym chłopcem. Drewniana głowa lepiej by mu służyła. Miro starannie wybierał drogę przez las. Od czasu do czasu rozpoznawał jakieś drzewo — przynajmniej tak mu się wydawało. Żaden człowiek nie mógł dorównać prosiaczkom, nadającym imiona wszystkim drzewom. Ale też ludzie nie czcili drzew jako wcieleń swych przodków.

Specjalnie wybrał dłuższą trasę. Odkąd Libo przyjął go jako drugiego ucznia, by pracował obok jego córki, Ouandy, zawsze powtarzał, że nie wolno wydeptywać ścieżki wiodącej z Milagre do domu prosiaczków. Pewnego dnia, ostrzegął, coś niedobrego może się zdarzyć między prosiaczkiem a człowiekiem; nie wolno zostawiać śladów, prowadzących pogrom do celu. Dlatego dzisiaj Miro szedł drugą stroną strumienia, wzdłuż wysokiego brzegu.

Oczywiście, natychmiast zjawił się prosiaczek, by go obserwować. Wiele lat temu podsunęło to Libowi myśl, że kobiety muszą mieszkać gdzieś dalej w tym kierunku; mężczyźni pilnowali Zenadorów, by nie podchodzili zbyt blisko. I, tak jak nakazywał Libo, Miro nie próbował posuwać się dalej w głąb zakazanego rejonu. Ciekawość słabła na wspomnienie, jak wyglądało znalezione przez Ouandę ciało Liba. Żył jeszcze; jego otwarte oczy poruszały się. Skonał, kiedy oboje uklękli, chwytając jego zalane krwią ręce. Och, Libo, twoja krew płynęła ciągle, choć serce leżało nagie w odkrytej piersi. Gdybyś mógł do nas przemówić, jedno słowo wyjaśniłoby, dlaczego cię zabili.

Brzeg obniżył się i Miro przeszedł przez strumień, lekko skacząc po porośniętych mchem kamieniach. Po kilku minutach dotarł na miejsce i od wschodu wyszedł na niewielką polanę.

Ouanda już tam była. Uczyła prosiaczki, jak ubijać śmietankę mleka cabry, by otrzymać coś w rodzaju masła. Od kilku tygodni doskonaliła ten proces, nim wreszcie uzyskała jakieś wyniki. Na pewno poszłoby łatwiej, gdyby mogła poprosić o pomoc mamę, czy nawet Elę, gdyż obie doskonale znały chemiczne właściwości mleka. Współpraca z Biologistą nie wchodziła jednak w grę. Już trzydzieści lat temu Os Venerados stwierdzili, że mleko cabry nie ma żadnych składników odżywczych, przydatnych dla ludzi. Każda próba jego przeróbki i magazynowania mogła służyć

jedynie tubylcom. Miro i Ouanda nie mogli dopuścić, by wyszło na jaw ich łamanie prawa i aktywna działalność zmierzająca do zmiany poziomu życia prosiaczków.

Młodsze osobniki z zapałem przystąpiły do ubijania. Uciskanie kolanami pęcherzy cabry zmieniły w taniec i śpiewały teraz bezsensowną piosenkę, w której stark, portugalski i ich własne dwa języki mieszały się w prymitywny, ale bardzo wesoły tekst. Miro spróbował oddzielić od siebie poszczególne słowa. Naturalnie, rozpoznał Mowę Mężczyzn, a także kilka fragmentów w Mowie Ojców, której używali do porozumiewania się z totemowymi drzewami. Poznał ten język wyłącznie po brzmieniu; nawet Libo nie potrafił przetłumaczyć choćby jednego słowa. Wszystkie brzmiały jak m, b i g, bez dających się rozróżnić samogłosek.

Prosiaczek, który śledził Mira wśród drzew, teraz wynurzył się i powitał pozostałych głośnym pohukiwaniem. Taniec trwał nadal, ale pieśń ucichła natychmiast. Mandachuwa odłączył się od grupy skupionej wokół Ouandy i ruszył na spotkanie Mira.

— Witaj, Spoglądam-Na-Ciebie-Z-Pożądaniem — było to, oczywiście, przesadnie dokładne tłumaczenie imienia Mira na stark. Mandachuwa uwielbiał przekładać imiona z portugalskiego na stark i odwrotnie, choć i Miro, i Ouanda tłumaczyli mu, że naprawdę niczego nie oznaczają i tylko przypadkiem przypominają jakieś wyrazy. Mandachuwa jednak lubił te słowne gry i dlatego Miro odpowiadał na „Spoglądam-Na-Ciebie-Z-Pożądaniem”, tak jak Ouanda reagowała na „Vaga”, co po portugalsku oznaczało „wędrówkę”, która z kolei w starku najbardziej przypominała brzmieniem „Ouandę”.

Mandachuwa był niezwykłym osobnikiem, najstarszym wśród prosiaczków. Pipó go znał i pisał o nim jako o cieszącym się wysokim prestiżem. Libo także uważał go za przywódcę. Czy jego imię nie było portugalskim slangowym określeniem „szefa”? Jednak Miro i Ouanda mieli wrażenie, że Mandachuwa jest najmniej ważnym i szanowanym z prosiaczków. Nikt nie zasięgał jego rady; tylko on zawsze miał wolną chwilę, by porozmawiać z Zenadorami, a to dlatego, że prawie nigdy nie był zajęty niczym ważnym.

Mimo to on właśnie dostarczał Zenadorom najwięcej wiadomości. Miro nie potrafił zgadnąć, czy utracił prestiż właśnie ze względu na udzielanie informacji ludziom, czy raczej udzielał informacji, by wynagrodzić sobie swój niski prestiż wśród prosiaczków. Zresztą, nie miało to znaczenia. Miro po prostu lubił Mandachuwę. Myślał o starym pequenino jak o przyjacielu.

— Czy kobieta zmusiła cię do zjedzenia tej cuchnącej masy? — zapytał.

— To śmiecie. Nawet małe cabry płaczą, kiedy muszą ssać sutki — zachichotał Mandachuwa.

— Jeśli dasz to żonom w prezencie, nigdy więcej się do ciebie nie odezwą.

— Jednak musimy... musimy — Mandachuwa westchnął. — Wszystko trzeba pokazywać tym wścibskim macios.

Tak, znowu zadziwiająca kwestia kobiet. Czasem prosiaczki mówiły o nich ze szczerym, głębokim szacunkiem, jak o bóstwach. A potem któryś określał je wulgarnie jako „macios”, robaki pełzające po pniach drzew. Zenadorowie nie mogli nawet prosić o wyjaśnienia — prosiaczki nie reagowały na żadne pytania dotyczące kobiet. Dawniej, przez bardzo długi czas, nie wspominali nawet o ich istnieniu. Libo uważał, że zmiana nastawienia miała jakiś związek ze śmiercią Pipa. Przedtem samo mówienie o nich było tabu — chyba że z najwyższą czcią, w rzadkich chwilach, gdy panował wyjątkowo świątobliwy nastrój. Zawsze potem prosiaczki w smutny, melancholijny sposób żartowały sobie z „żon”. Ksenologowie jednak nie mogli uzyskać żadnych odpowiedzi na pytania o kobiety. Prosiaczki wyraźnie dawały do zrozumienia, że to nie ich interes.

Ktoś gwizdnął głośno w grupie otaczającej Ouandę. Mandachuva natychmiast pociągnął Mira w tamtą stronę.

— Strzała chce z tobą porozmawiać. Miro podszedł i usiadł obok dziewczyny. Nie spojrzała na niego — już dawno się przekonali, że prosiaczki były niespokojne, kiedy musiały patrzeć na kobietę i mężczyznę zajętych bezpośrednią rozmową, czy nawet porozumiewających się wzrokiem. Rozmawiali z samą Ouandą, ale gdy tylko zjawiał się Miro, przestawali się do niej odzywać i nie znosili, by ona zaczynała rozmowę. Miro czasami wpadał we wściekłość, gdy nie mógł nawet do niej mrugnąć. Wyczuwał dało dziewczyny, niczym emitującą ciepło niewielką gwiazdę.

— Przyjacielu — zaczął Strzała. — Chcę cię prosić o wielki dar. Miro wyczuł, że Ouandą sztywnieje. Prosiaczki nieczęsto prosiły o cokolwiek, ale gdy do tego dochodziło, zawsze zaczynały się kłopoty. Miro wolno pokiwał głową.

— Pamiętaj jednak — powiedział — że wśród ludzi jestem nikiem; nie mam żadnej władzy. Libo odkrył, że prosiaczki nie czuły się urażone przysyłaniem przedstawiciela bez żadnych uprawnień, natomiast zasada bezsilności wyjaśniała ostre ograniczenia zakresu swobody Zenadorów.

— Ta prośba nie pochodzi od nas. Nie wymyśliliśmy jej siedząc nocą przy ognisku, nie zrodziła się z naszych niemądrych i bezsensownych rozmów.

— Chciałbym dostrzec mądrość, którą wy nazywacie głupotą — odparł, jak zawsze, Miro.

— To Korzeniak przemówił ze swego drzewa i polecił nam to zrobić. Miro westchnął dyskretnie. Lubił rozmawiać o religii prosiaczków mniej więcej tak, jak o własnym katolicyzmie. W obu wypadkach musiał udawać, że najbardziej nawet nieprawdopodobne stwierdzenia traktuje poważnie. Gdy tylko padała jakaś szokująca lub dociekliwa uwaga, prosiaczki zawsze przypisywały ją któremuś z przodków, żyjących we wszechobecnych drzewach. Dopiero przez ostatnie kilka lat, tuż przed śmiercią Liba, zaczęły wyróżniać Korzeniaka jako źródło najbardziej śmiałych pomysłów. Zdawało się ironią losu, że ten, którego zabiły jako buntownika, teraz traktowany był z najwyższym szacunkiem. Mimo to, Miro odpowiedział tak, jak

zwykle Libo.

— Skoro wy szanujecie Korzeniaka, i my czujemy dla niego jedynie miłość i podziw.

— Musimy dostać metal.

Miro zamknął oczy. To tyle, jeśli idzie o stałą politykę Zenadorów, by nigdy w obecności prosiaczków nie używać metalowych narzędzi. Najwyraźniej oni także mieli swych badaczy, obserwujących ludzi przy pracy z jakiegoś dogodnego punktu w pobliżu ogrodzenia.

— Po co wam metal? — zapytał spokojnie.

— Kiedy lądował prom z Mówcą Umarłych, wydzielał straszliwe gorąco, większe, niż ogień, jakie potrafimy rozpałcić. A jednak nie spalił się ani nie roztopił.

— To nie był metal, ale osłona z pochłaniającego ciepło plastiku.

— To mogło pomóc, ale sercem tej maszyny jest metal. Metal tkwi we wszystkich waszych urządzeniach, które używają ognia i ciepła, by się poruszać. Nigdy nie zdołamy stworzyć takich ogni jak wasze, jeśli nie zdobędziemy metalu.

— Nie mogę — stwierdził Miro.

— Chcesz powiedzieć, że jesteśmy skazani, by na zawsze pozostać varelse i nigdy nie zmienić się w ramenów?

Wiesz, Ouando, chciałbym, żeby nikt nigdy nie tłumaczył im Hierarchii Obcości Demostenesa.

— Na nic nie jesteście skazani. To, co daliśmy wam do tej pory, stworzyliśmy z rzeczy, które istnieją w waszym świecie, jak cabry. Jednak, gdyby to wykryto, zostalibyśmy wygnani z tego świata. Nigdy więcej nie moglibyśmy was spotykać.

— Metal, którego używacie wy, ludzie, także pochodzi z naszego świata. Widzieliśmy waszych górników, wydobywających go z ziemi daleko na południe stąd. Miro zapamiętał tę informację. Będzie musiał ją dokładnie przeanalizować. Nie było takiego punktu, który znajdowałby się poza ogrodzeniem i umożliwiał obserwację kopalni. Zatem, prosiaczki musiały jakoś przekraczać barierę i badać kolonię od wewnątrz.

— Pochodzi z ziemi, ale zalega jedynie w pewnych miejscach. Nie wiem, jak je znaleźć. Zresztą, nawet po wydobyciu jest zmieszany ze skałą. Proces oczyszczenia i obróbki jest bardzo trudny. Liczy się każdy wydobyty na powierzchnię okruch metalu. Gdybyśmy podarowali wam choćby jedno narzędzie, na przykład śrubokręt czy piłę, zauważyliby jego brak. Zaczęliby szukać. Mleka cabry nikt nie szuka. Strzała przez chwilę patrzył na niego badawczo. Miro nie odwracał wzroku.

— Pomyślimy o tym — stwierdził Strzała. Wyciągnął rękę, a Kalendarz wsunął mu w dłoń trzy strzały. — Spójrz na nie. Czy są dobre?

Były znakomite, jak wszystko, co wychodziło spod jego ręki — proste i ze starannie umocowanymi piórami. Niezwykłe były groty, nie wykonane z obsydianu.

— Kości cabry — ocenił Miro.

— Używamy cabry, by zabijać cabry — oddał strzały Kalendarzowi, po czym wstał i

odszedł.

Kalendarz trzymał smukłe strzały przed sobą i śpiewał im coś w Mowie Ojców. Miro rozpoznał pieśń, choć nie rozumiał słów. Mandachuwa wytłumaczył mu kiedyś, że to rodzaj modlitwy, prośba do martwego drewna, by wybaczyło użycie innych niż drewniane narzędzi. Inaczej, twierdził Mandachuwa, drzewa pomyślałyby, że Mały Lud ich nienawidzi. Religia... Miro westchnął.

Kalendarz odszedł ze strzałami. Po chwili jego miejsce zajął młody prosiaczek imieniem Człowiek, który przykucnął przed Mirem. Przyniósł opakowane w liście zawiniątko, położył je na ziemi i rozwinął ostrożnie.

Był to wydruk Królowej Kopca i Hegemona, który Miro podarował im cztery lata temu. Pokłócił się zresztą o to z Ouandą. Wszystko zaczęło się od rozmowy Ouandy z prosiaczkami na temat religii. Właściwie nie było w tym jej winy. To Mandachuwa pierwszy zapytał:

— Jak możecie żyć bez drzew? Oczywiście, od razu zrozumiała, o co mu chodzi. Nie pytał o rośliny, ale o bóstwa.

— My także mamy Boga, człowieka, który umarł i żył nadal — wyjaśniła.

— Tylko jednego? Gdzie żyje teraz?

— Tego nikt nie wie.

— Więc do czego jest potrzebny? Jak możecie z nim rozmawiać?

— Mieszka w naszych sercach. To ich zdumiało. Libo śmiał się później.

— Widzisz? — powiedział. — Skomplikowana teologia wydaje im się zabobonem. Mieszka w naszych sercach, dobre sobie! Cóż to za religia w porównaniu z taką, gdzie widzisz swoich bogów, możesz ich dotknąć...

— I wspinać się na nich i szukać macios, że nie wspomnę o możliwości ścięcia kilku na budowę chaty — dodała Ouandą.

— Ściąć? Ściąć ich? Bez kamiennych ani metalowych narzędzi? Nie, Ouando, oni zmodlają te drzewa.

Lecz żarty z wiary nie bawiły Ouandy.

Na prośbę prosiaczków przyniosła im później wydruk Ewangelii św. Jana z uproszczonej, siarkowej wersji Biblii Douai. Miro nalegał, by dostarczyć także kopię Królowej Kopca i Hegemona.

— Św. Jan nie wspomina o istotach, żyjących na innych światach — powiedział. — Za to Mówca Umarłych tłumaczy ludziom robale, a robalom ludzi.

Ouandą była wściekła, słysząc te bluźnierstwa. Jednak rok później zobaczyła, jak prosiaczki używają stron św. Jana na podpałkę, gdy Królową Kopca i Hegemona przechowują starannie owinięte w liście. Przez pewien czas bardzo się tym przejmowała, a Miro doszedł do wniosku, że rozsądniej będzie się z niej nie naśmiewać.

Teraz Człowiek otworzył książkę na ostatniej stronie. Miro zauważył, że wszystkie prosiaczki stanęły w milczeniu dookoła, przerywając taniec ubijania masła. Człowiek

wskazał palcem ostatnie słowa tekstu.

— Mówca Umarłych — mruknął.

— Tak, spotkałem się z nim wczoraj wieczorem.

— To jest prawdziwy Mówca. Korzeniak tak powiedział. Miro uprzedził ich, że jest wielu Mówców, a twórca Królowej Kopca i Hegemona dawno już nie żyje. Najwyraźniej nie potrafili wyzbyć się nadziei, że ten, który ma przybyć, jest prawdziwym — autorem świętej księgi.

— Wierzę, że jest dobrym Mówcą — oświadczył. — Był dobry dla mojej rodziny i uważam, że można mu zaufać.

— Kiedy się zjawi, by do nas Mówić?

— Jeszcze go nie prosiłem. To nie coś, co można powiedzieć od razu. Potrzebuję czasu. Człowiek odchylił głowę do tyłu i zawył. Czy oznacza to moją śmierć? pomyślał Miro.

Nie. Pozostali pomogli Człowiekowi owinąć książkę w liście i odnieść ją. Miro wstał. Żaden z prosiaczków nawet na niego nie spojrział. Oddalił się spokojnie, gdy wszyscy byli zajęci czymś ważnym. Właściwie, równie dobrze, mógłby być niewidzialny. Ouandą dogoniła go tuż przed skrajem lasu, gdzie gęste krzewy zasłaniały ich przed patrzącymi od strony Milagre — choć nikt nigdy nie spoglądał w tę stronę.

— Miro! — zawołała cicho.

Odwrócił się akurat na czas, by chwycić ją w ramiona. Biegła tak szybko, że musiał cofnąć się o kilka kroków, by nie upaść.

— Chcesz mnie zabić? — zapytał, a raczej próbował zapytać, gdyż całowała go, a to utrudniało formułowanie pełnych zdań. Wreszcie zrezygnował z rozmowy i pocałował ją także, mocno i długo. Wtedy cofnęła się nagle.

— Stajesz się lubieżny — oświadczyła.

— To się zdarza zawsze wtedy, gdy kobiety napadają na mnie w lesie i całują.

— Nie podniecaj się, Miro, zostało jeszcze dużo czasu — chwyciła go za pasek, przyciągnęła do siebie i pocałowała jeszcze raz. — Dwa lata, zanim będziemy mogli się pobrać bez zgody twojej matki.

Miro nawet nie próbował się sprzeczać. Nie przejmował się kapłańskim zezwoleniem na kopulację, rozumiał jednak, że w tak nielicznej społeczności jak Milagre, zwyczaje małżeńskie powinny być ściśle przestrzegane. Duże i stabilne społeczeństwa mogły zaabsorbować rozsądny procent par żyjących ze sobą bez zwyczajowych sankcji; Milagre było zbyt małe. To, co Ouandą robiła ze względu na swoją wiarę, Miro robił z powodów racjonalnych — mimo tysięcznych sposobności pozostawali w celibacie, jak mnisi. Chociaż, gdyby choć przez chwilę pomyślał, że będą musieli dotrzymać takich samych ślubów czystości, jak w klasztorze Filhos, dziewictwo Ouandy zostałyby natychmiast poważnie zagrożone.

— Ten Mówca — powiedziała Ouandą. — Wiesz, co myślę o sprowadzaniu go

tutaj.

— To katolicyzm przez ciebie przemawia, nie racjonalne myślenie — spróbował ją pocałować, ale spuściła głowę i trafił na nos. Całował go długo i namiętnie, aż wreszcie roześmiała się i odepchnęła chłopaka od siebie.

— Jesteś nieuprzejmy i niekonsekwentny, Miro — wytarła nos rękawem. — Naukowe metody wyrzuciliśmy na śmietnik, gdy zaczęliśmy pomagać prosiaczkom i podnosić ich standard życia. Mamy jeszcze dziesięć do dwudziestu lat, zanim satelity wykryją efekty. Przez ten czas zmiany mogą już być nieodwracalne. Ale nie mamy żadnej szansy, jeśli dopuścimy kogoś obcego. Opowie komuś.

— Może opowie, a może i nie. Sama wiesz, że ja też kiedyś byłem obcym.

— Byłeś kimś nowym, ale nigdy obcym.

— Powinnaś widzieć go wczoraj, Ouando. Najpierw z Gregiem, a potem, kiedy Quara zbudziła się z płaczem...

— Zrozpaczone, samotne dzieci... czego to dowodzi.

— I Ela. Śmiała się. I Olhado, zachowujący się w końcu jak ktoś z rodziny.

— A Quim?

— Przynajmniej przestał wrzeszczeć, żeby niewierny sobie poszedł.

— Cieszę się ze względu na twoją rodzinę, Miro. Mam nadzieję, że potrafi ich trwale uleczyć. Naprawdę. Widzę, że ty także się zmieniłeś, że jesteś pełen optymizmu. Bardzo dawno cię takiego nie widziałam. Ale nie przyprowadzaj go.

Miro przez chwilę przygryzał policzek, po czym odwrócił się i odszedł. Ouanda dogoniła go i chwyciła za ramię. Stali na otwartej przestrzeni, ale drzewo Korzeniaka wznosiło się między nimi a bramą.

— Nie zostawiaj mnie w ten sposób! — powiedziała gniewnie. — Nie możesz tak po prostu odejść!

— Wiem, że masz rację — mruknął Miro. — Ale nie potrafię zmienić tego, co czuję. Kiedy był w naszym domu, wydawało się... było tak, jak gdyby przyszedł Libo.

— Tato nienawidził twojej matki, Miro. Nigdy by tam nie poszedł.

— Ale gdyby... W naszym domu ten Mówca był taki, jak zawsze Libo w Stacji. Rozumiesz?

— A czy ty rozumiesz? Wszedł i zachowywał się tak, jak powinien wasz ojciec, tylko że nigdy taki nie był. A wy wszyscy wystawiliście brzuchy do drapania, jak stado szczeniaków. Pełen pogardy ton doprowadzał go do wściekłości. Miał ochotę ją uderzyć. Zamiast tego podszedł do drzewa Korzeniaka i walnął dłonią o pień. W ciągu zaledwie ćwierć wieku drzewo urosło do prawie osiemdziesięciu centymetrów średnicy, a pień był szorstki i uderzenie sprawiło ból. Podeszła do niego.

— Przepraszam cię, Miro. Nie chciałam...

— Chciałaś, ale to było głupie i egoistyczne...

— Masz rację, było. Ja...

— To, że mój ojciec był draniem, nie oznacza jeszcze, że przewracam się na grzbiet przed pierwszym miłym facetem, który pogłaszcze mnie po głowie... Dłoń dziewczyny gładziła jego włosy, ramię, pierś.

— Wiem, Miro. Wiem...

— To dlatego, że wiem, jakim dobrym jest człowiekiem. Nie po prostu ojcem, ale dobrym człowiekiem. Przecież znałem Liba, prawda? Kiedy więc mówię, że ten Mówca, ten Andrew Wiggin, jest jak Libo, to słuchaj mnie i nie traktuj tego jak skomlenia jakiegoś cao.

— Słucham. I chcę go poznać, Miro.

Miro zaskoczył sam siebie: płakał. Było to częścią tego, co potrafił uczynić Mówca, choćby — nawet nieobecny. Odkrył wszystkie tajne zakątki jego serca i teraz Miro nie potrafił ukryć swych uczuć.

— Częściowo masz rację — powiedział cicho, drżącym z emocji głosem. — Kiedy przyszedł, z tym swoim uzdrawiającym dotknięciem, pomyślałem: czemu nie jest moim ojcem? — stanął przed Ouanda nie dbając o to, że zobaczy jego zaczerwienione oczy i mokrą od łez twarz. — Tak, jak powtarzałem sobie codziennie, wracając do domu ze Stacji Zenadora: gdyby tylko Libo był moim ojcem, gdybym mógł być jego synem. Uśmiechnęła się i przytuliła go. Łzy wsiąkały w jej włosy.

— Miro, cieszę się, że Libo nie był twoim ojcem. Ponieważ wtedy byłabym twoją siostrą i nie miałabym żadnej nadziei, że kiedyś zdobędę cię tylko dla siebie.

ROZDZIAŁ 10

DZIECI UMYSŁU

Zasada I: Wszystkie Dzieci Umysłu Chrystusa muszą żyć w małżeństwie, inaczej nie zostaną przyjęte do zakonu; muszą jednak żyć w cnocie.

Pytanie 1: Dlaczego małżeństwo jest koniecznością?

Głupcy mówią: po co mamy brać ślub? Miłość to jedyne więzy, jakich potrzebujemy. Tym powiadam: małżeństwo nie jest przymierzem między mężczyzną a kobietą; nawet bestie łączą się w pary, by wydać młode. Małżeństwo jest przymierzem między mężczyzną i kobietą z jednej strony, a społeczeństwem z drugiej. Zawrzeć małżeństwo wedle reguł danej społeczności to stać się jej pełnoprawnym obywatelem; odrzucenie małżeństwa oznacza pozostanie obcym, dzieckiem, wyrzutkiem, niewolnikiem lub zdrajcą. Jediną stałą wszelkich ludzkich społeczeństw jest ta, że tylko przestrzegający praw, tabu i obyczajów małżeństwa są prawdziwie dojrzałi.

Pytanie 2: Dlaczego zatem mnisi i zakonnice muszą przestrzegać celibatu?

Aby oddzielić się od społeczeństwa. Mnisi i zakonnice są służebnikami, nie obywatelami. Służą Kościołowi, ale nie są Kościołem. Matka Kościół jest

panną, a Chrystus panem młodym; mnisi i zakonnice to tylko goście weselni. Pozbawieni są obywatelstwa w społeczności Chrystusa, aby mu służyć.

Pytanie 3: Dlaczego więc Dzieci Umysłu Chrystusa zawierają małżeństwa? Czy my także nie służymy Kościołowi?

Służymy Kościołowi jedynie tak, jak wszystkie kobiety i mężczyźni służą mu poprzez małżeństwo. Różnica polega na tym, że oni przekazują kolejnemu pokoleniu swoje geny, gdy my przekazujemy swoją wiedzę. Ich dziedzictwo zawiera się w molekułach genetycznych przyszłych generacji, gdy my żyjemy w ich umysłach. Wspomnienia są potomstwem naszych związków, ani mniej, ani więcej wartym od dzieci poczętych w sakramentalnej miłości.

*San Angelo, Zasady i katechizm zakonu Dzieci Umysłu Chrystusa,
1511:11:11:1*

Diakon Katedry niósł ze sobą ciszę mrocznych kaplic i potężnych, sięgających nieba murów. Cisza zaległa, gdy wkroczył do klasy; przycichły nawet oddechy uczniów, kiedy bezgłośnie sunął przez salę.

— Dom Cristao — szepnął Diakon. — Biskup potrzebuje twojej rady.

Uczniowie, w większości nastolatki, byli wystarczająco dojrzały, by zdawać sobie sprawę z napiętych na ogół stosunków między hierarchią Kościoła a mniej rygorystycznymi mnichami, prowadzącymi większość katolickich szkół na wszystkich Stuleciach Świata. Dom Cristao był nie tylko znakomitym nauczycielem historii, geologii, archeologii i antropologii, ale też przeorem klasztoru Filhos da Mente de Cristo — Dzieci Umysłu Chrystusa. To stanowisko czyniło go głównym konkurentem biskupa do duchowego przewodnictwa wśród mieszkańców Lusitanii. Można było nawet uznać jego pozycję za wyższą, gdyż na większości planet był tylko jeden przeor na jednego arcybiskupa; biskupom odpowiadali dyrektorzy sieci szkół.

Dom Cristao jednak, jak wszyscy Filhos, starał się okazywać absolutne posłuszeństwo kościelnej hierarchii. Na wezwanie biskupa natychmiast zamknął pulpit i zwolnił klasę, nie kończąc nawet omawiania aktualnego tematu. Uczniowie nie byli zaskoczeni; wiedzieli, że postąpiłby tak samo, gdyby jakikolwiek kapłan przerwał mu wykład. Naturalnie, księżom bardzo pochlebiało, że w oczach Filhos są tak ważni; musieli jednak dostrzegać, że przerywali lekcje, gdy tylko w czasie godzin nauki wchodzili do klasy. W rezultacie księża rzadko odwiedzali szkołę, a Filhos, okazując najwyższy szacunek, zachowywali pełną niemal niezależność.

Dom Cristao domyślał się, po co wzywał go biskup. Doktor Navio nie był człowiekiem dyskretnym i od rana krążyły plotki o jakiejś straszliwej groźbie, jaką uczynił Mówca Umarłych. Dom Cristao z trudem znosił bezpodstawny lęk hierarchii, okazywany przy każdym spotkaniu z niewiernymi i heretykami. Biskup będzie wściekły, co oznaczało, że zażąda od kogoś zdecydowanych działań, chociaż

najlepszym wyjściem było — jak zwykle — oczekiwanie, cierpliwość i współpraca. Zresztą, podobno ten akurat Mówca był tym samym, który Mówił o Śmierci San Angela. Nie byłby zatem wrogiem, ale przyjacielem Kościoła, a w każdym razie przyjacielem Filhos, co dla Dom Cristao oznaczało to samo.

Krocząc za milczącym Diakonem między budynkami Faculdade i przez kościelny ogród, oczyścił swe serce z gniewu i irytacji, jakie odczuwał. Raz za razem powtarzał swe klasztorne imię: Amai a Tudomundo Para Que Deus Vos Ame. Musisz Kochać Każdego, By Wola Boża Pokochała Ciebie. Wybrał je starannie, gdy wraz z narzeczoną wstąpili do klasztoru, wiedział bowiem, że jego największą słabością jest gniew i niecierpliwość okazywane głupocie. Jak wszyscy Filhos, nazwał się inwokacją przeciw swemu najtrudniejszemu do pokonania grzechowi. W ten sposób obnażali się wobec świata. Nie będziemy okrywać się hipokryzją, nauczał San Angelo. Chrystus odzieje nas w cnotę, niby lilie na łące, lecz sami nie będziemy się starać uchodzić za cnotliwych. Dom Cristao czuł, jak jego cnota słabnie ostatnio; lodowaty wiatr niecierpliwości może go zamrozić do głębi. Dlatego powtarzał bezgłośnie swe imię myśląc: biskup Peregrino jest skończonym głupcem, ale Amai a Tudomundo Para Que Deus Vos Ame.

— Bracie Amai — powitał go biskup. Nigdy nie używał honorowego tytułu „Dom Cristao”, choć nawet niektórzy kardynałowie okazywali tę uprzejmość. — Cieszę się, że przyszedłeś. Navio siedział już w najwygodniejszym fotelu, lecz Dom Cristao nie zazdrościł mu tego. Wygodnictwo uczyniło Navia otyłym, a teraz otyłość czyniła go ociężałym i Dom Cristao był wdzięczny, że sam nie ulega takim słabościom. Wybrał sobie wysoki stołek bez oparcia. Dzięki temu nie będzie mógł się całkiem rozluźnić, a to sprawi, że zachowa sprawność myśli. Navio od razu zaczął relację ze swego nieprzyjemnego spotkania z Mówcą Umarłych, dokładnie informując, czym tamten zagroził w razie dalszej odmowy współpracy.

— Inkwizytor! Możecie to sobie wyobrazić? Niewierny, który śmie uzurpować sobie przywileje Matki Kościoła!

Jak to wspaniale, pomyślał Dom Cristao, gdy w przedstawiciela laikatu wstępuje duch krzyżowca, gdy tylko Matka Kościół zostaje zagrożona! Ale wystarczy go poprosić, by raz w tygodniu poszedł na mszę, a duch krzyżowca natychmiast zwija się w kłębek i usypia.

Historia Navia wywarła pewien skutek: biskup Peregrino był coraz bardziej wściekły, a jego twarz, pod mocną opalenizną, nabierała odcienia czerwieni. Kiedy lekarz zakończył swoją opowieść, Peregrino zwrócił swe rozwścieczone oblicze w stronę Dom Cristao i zapytał:

— Co ty na to, bracie Amai?

Gdybym był mniej uprzejmy, pomyślał Dom Cristao, powiedziałbym, że jesteś głupcem, skoro stanąłeś na drodze temu Mówcy wiedząc, że ma po swojej stronie prawo, a w dodatku nie zrobił nic, co mogłoby nam zaszkodzić. Teraz,

sprowokowany, będzie o wiele bardziej niebezpieczny, niż gdybyś zwyczajnie zignorował jego przybycie. Pochylił głowę i uśmiechnął się dyskretnie.

— Sądzę, że powinniśmy uderzyć pierwsi, by odebrać mu możliwość szkodzenia. Te wojownicze słowa zaskoczyły biskupa.

— Otóż właśnie — powiedział. — Ale w życiu bym się nie spodziewał, że to zrozumiesz.

— Filhos są tak gorliwi, jak powinien być każdy wyświęcony kapłan — odparł Dom Cristao. — Ponieważ jednak nie pozostajemy w stanie kapłańskim, musi nam wystarczyć rozsądek i logika, będące skromnymi namiastkami autorytetu.

Biskup Peregrino podejrzewał czasem ironię, ale nigdy nie potrafił przygwoździć zakonnika. Burknął coś tylko niechętnie i zmrużył oczy.

— A zatem, bracie Amai, jak proponujesz go zaatakować?

— No cóż, ojciec Peregrino, prawo nie zostawia nam wielu możliwości. Ma nad nami władzę jedynie wtedy, gdy spróbujemy przeszkadzać mu w duchowej działalności. Aby zaś wyrwać mu broń z ręki, wystarczy zwyczajnie z nim współpracować. Biskup ryknął z wściekłości i z całej siły walnął pięścią w stół.

— Takiej właśnie sofistyki mogłem się po tobie spodziewać, Amai!

— Nie mamy wyboru — uśmiechnął się Dom Cristao. — Albo odpowiemy na jego pytania, albo on złoży umotywowaną petycję o przyznanie mu statusu inkwizytora, a ty, księżo biskupie, wsiądziesz na statek do Watykanu, by odpowiedzieć za prześladowania religijne. Zbyt cię wszyscy kochamy, byśmy w jakikolwiek sposób przyczyniali się do odebrania ci stanowiska.

— A owszem, znam waszą miłość.

— Mówcy Umarłych są w zasadzie całkiem nieszkodliwi. Nie tworzą konkurencyjnej organizacji, nie udzielają żadnych sakramentów, nawet nie twierdzą, że Królowa Kopca i Hegemon są świętymi pismami. Próbują jedynie odsłonić prawdę o życiu tych, co umarli, a potem opowiadają każdemu, kto zechce słuchać, historię tego życia tak, jak zmarły je widział.

— I uważasz, że to całkiem nieszkodliwe?

— Wręcz przeciwnie. San Angelo założył nasz zakon właśnie dlatego, że mówienie prawdy jest aktem o niezwyklej sile. Uważam jednak, że o wiele mniej szkodliwym, niż na przykład Reformacja Protestancka. A cofnięcie naszej Licencji Katolickiej na podstawie zarzutu prześladowań religijnych spowoduje natychmiastową zgodę za imigracją tylu niekatolików, że będziemy reprezentować nie więcej, niż jedną trzecią populacji. Biskup bawił się swym pierścieniem.

— Czy Gwiezdny Kongres naprawdę wyrazi na to zgodę? Ustalili przecież ograniczenia dla wzrostu tej kolonii. Sprowadzenie tak wielu niewiernych z pewnością je naruszy.

— Musisz wszak wiedzieć, że już się przed tym zabezpieczyli. Na co czekają dwa statki na orbicie wokół planety? Ponieważ Licencja Katolicka gwarantuje

nieograniczony przyrost naturalny, chcą po prostu wywieźć stąd część ludności w procesie przymusowej emigracji. Spodziewali się takiej konieczności za jedno, może dwa pokolenia. Co ich powstrzyma, by nie zacząć natychmiast?

— Nie zrobią tego.

— Gwiazdny Kongres powstał właśnie po to, by nie dopuścić do wojen religijnych i pogromów, jakie trwały bez przerwy na kilku co najmniej planetach. Przywołanie prawa o prześladowaniach religijnych jest sprawą bardzo poważną.

— To przecież nie ma sensu! Jeden Mówca Umarłych zostaje wezwany przez jakiegoś nienormalnego heretyka i nagle stajemy przed groźbą przymusowej emigracji!

— Ukochany ojcze, sprawy między władzą świecką i duchowną zawsze układały się w ten sposób. Musimy być cierpliwi, choćby dlatego, że to oni mają armaty. Navio parsknął.

— Może i mają armaty, ale to my dzierzmy krucze do Królestwa Niebieskiego — oświadczył biskup.

— Jestem pewien, że połowa Gwiazdnego Kongresu wije się już z przerażenia. Na razie jednak potrafię może ulżyć twym cierpieniom w tym trudnym okresie. Abyś nie musiał publicznie odwoływać swych wcześniejszych wypowiedzi... — (swych głupich, nieprzemyślanych wypowiedzi bigota) — ...ogłosimy, że złożyłeś na barki Filhos da Mente de Cristo ciężar udzielania odpowiedzi na pytania tego niewiernego.

— A jeśli nie będziecie znali odpowiedzi? — spytał Navio.

— Zawsze możemy ich poszukać. Może w ten sposób ludność Milagre wcale nie będzie musiała z nim rozmawiać. Będą się kontaktować jedynie z niegroźnymi dla wiary braćmi i siostrami naszego zakonu.

— Innymi słowy — stwierdził sucho biskup Peregrino — mnisi waszego zakonu staną się sługami niewiernego. Dom Cristao bezgłośnie po trzykroć powtórzył swe imię.

Jeszcze nigdy, od czasu, gdy jako dziecko służył w armii, Ender tak wyraźnie nie wyczuwał, że znalazł się na terytorium nieprzyjaciela. Ścieżka prowadząca z praca w górę była wydeptana stopami wielu wyznawców, a kopała katedry wznosiła się tak wysoko, że — prócz kilku chwil na najbardziej stromych podejściach — widział ją przez całą drogę. Szkoła podstawowa stała po lewej stronie, na wykopanych w zboczu tarasach; po prawej była Villa dos Professores, nazwana tak za względu na nauczycieli, w istocie jednak zamieszkiwana przez ogrodników, dozorców, urzędników, pisarzy i posługaczy. Nauczyciele, jakich spotkał po drodze, nosili szare habity Filhos i wszyscy przyglądali mu się z wyraźnym zaciekawieniem.

Uczucie wrogości zaczęło się, gdy dotarł na szczyt wzgórza, do szerokiego, płaskiego niemal trawnika i nienagannie utrzymanego ogrodu, przez który biegły równe, wysypane żużlem alejki. Oto słowo Kościoła, pomyślał. Wszystko na swoim miejscu i żadnych chwastów. Czuł na sobie zaciekawione spojrzenia. Ludzie tutaj nosili czarne

sutanny księży albo pomarańczowe diakonów, a w ich oczach lśniła wrogość zagrożonej władzy. Co wam odbieram, przychodząc tutaj? spytał w myśli Ender. Wiedział jednak, że ta nienawiść nie jest zupełnie nieusprawiedliwiona. Był dzikim zieleń, rosnącym w zadbanym ogrodzie; gdziekolwiek postawił stopę, groził nieporządek i wiele pięknych kwiatów mogło zginąć, gdyby zapuścił korzenie i wysysał życie z należącej im gleby.

Jane paplała przyjaźnie, próbując go sprowokować do odpowiedzi. Ender nie pozwalał jej wciągnąć się w tę grę. Księża nie powinni widzieć ruchu jego warg; w łonie Kościoła istniała całkiem liczna frakcja, uznająca implanty podobne do klejnotu w jego uchu za świętokradztwo, próbę poprawienia ciała, które Bóg stworzył doskonałym.

— Ilu kapłanów może utrzymać tutejsza społeczność? — Jane udawała zdumienie. Ender miał ochotę zauważyć, że ma w swoich danych dokładną ich liczbę. Jane czerpała wyraźną przyjemność, gdy się denerwował, a przy tym nie mógł jej odpowiedzieć, czy nawet okazać, że słyszy jej głos.

— Trutnie, które się nawet nie rozmnażają. Jeżeli nie kopulują, to czy ewolucja nie wymaga, by zniknęły?

Wiedziała naturalnie, że kapłani obsadzają większą część stanowisk administracyjnych i publicznych. Gdyby nie było księży, wtedy rząd, banki, kupcy czy inna grupa społeczna poszerzyłaby swe wpływy, by nieść ten ciężar. Zawsze pojawia się rodzaj sztywnej hierarchii, będącej siłą konserwatywną społeczeństwa i zachowującej swą odrębność mimo ciągłych zagrażających jej przemian i przekształceń. Jeśli nie zaistniał silny obrońca ortodoksyjności, społeczeństwo nieodmiennie się rozpadało. Wpływy ortodoksji bywają irytujące, są jednak niezbędne. Czy Valentine nie pisała o tym w swojej książce poświęconej Zanzibarowi? Porównała klasę kapłańską do szkieletu u kręgowców... Żeby mu pokazać, iż potrafi przewidywać jego argumenty, nawet jeśli nie wypowiada ich głośno, Jane zacytowała odpowiedni fragment. Drażniąc się z nim, przemówiła głosem Valentine, który niewątpliwie przechowała, by go dręczyć.

— Kości są twarde i same w sobie wydają się martwe i skamieniałe, lecz wczepiając się w szkielet i pociągając go, pozostała część organizmu wykonuje wszelkie ruchy, charakteryzujące życie.

Dźwięk głosu Valentine sprawił mu większy ból, niż się spodziewał; z pewnością większy, niż planowała Jane. Zwolnił kroku. Pojął, że właśnie nieobecność siostry wyczuliła go na wrogość księży. Osiedłał lwa kalwinizmu w jego jaskini, wkroczył filozoficznie nagi między płonące węgle islamu, a fanatycy Shinto wyśpieliwali śmiertelne groźby pod jego oknami na Kyoto. Zawsze jednak była przy nim Valentine — blisko, w tym samym mieście, oddychając tym samym powietrzem, pod tym samym pogodnym lub chmurnym niebem. Dodawała mu odwagi, gdy wyruszał, a potem wracał po konfrontacji i rozmowa z nią nadawała sens jego

porażkom, rozsypując wśród klęski okruchy tryumfu. Opuściłem ją zaledwie dziesięć dni temu, a już mi jej brakuje.

— Chyba na lewo — odezwała się Jane. Szczęśliwie, mówiła teraz własnym głosem. — Klasztor stoi na zachodnim zboczu wzgórza, ponad Stacją Zenadora.

Przeszedł wzdłuż facultade, gdzie uczniowie w wieku od dwunastu lat poznawali nauki ścisłe. Dalej, nisko przy ziemi, czekał klasztor. Uśmiechnął się widząc kontrast między siedzibą zakonu i katedrą. Odrzucenie przez Filhos wszelkiej wspaniałości było niemal obelgą. Nic dziwnego, że hierarchia traktowała ich niechętnie. Nawet klasztorny ogród był świadectwem buntu: oprócz warzywnych zagonów, wszystko oddano we władanie chwastom i niestrzyżonej trawie.

Naturalnie, przeora nazywano Dom Cristao; Dona Cristao, gdyby była kobietą. Na tym świecie, ponieważ była tylko jedna escola baka i jedna facultade, był też tylko jeden pryncypał; z pełną elegancji prostotą, mąż kierował klasztorem, a żona szkołami, wiążąc wszystkie sprawy zakonu w jednym małżeństwie. Ender powiedział San Angelo, na samym początku, że to szczyt pychy, nie pokory, by prowadzący klasztory i szkoły nazywali siebie „Panem Chrześcijaninem” i „Panią Chrześcijanką”, przejmując tytuł, jaki winien przysługiwać każdemu bez wyjątku wyznawcy Chrystusa. San Angelo uśmiechnął się tylko — ponieważ, oczywiście, o to mu właśnie chodziło. Arogancki w swej pokorze... taki właśnie był i między innymi dlatego go pokochałem.

Zamiast czekać w swym escritorio, Dom Cristao powitał go na dziedzińcu — dyscyplina zakonna wymagała, by świadomie przysparzać sobie niewygód dla wygody tych, którym służyli mnisi.

— Mówca Andrew! — zawołał.

— Dom Ceifeiro! — odpowiedział Ender. Ceifeiro — żniwiarz — był wewnętrznym zakonnym określeniem funkcji opata; pryncypałów szkół nazywano Aradores, oraczami, a mnichów-nauczycieli Semeadores, siewcami.

Ceifeiro uśmiechnął się, gdy Mówca nie wymienił jego zwykłego tytułu: Dom Cristao. Wiedział, jaką manipulacją było wymaganie, by ludzie odzywali się do Filhos używając ich tytułów lub imion. „Kiedy zwracają się do ciebie z tytułu, przyznają, że jesteś chrześcijaninem, kiedy wymieniają twe imię, modlitwa spływa z ich warg”, jak mówił San Angelo.

— Tak, jestem Ceifeiro — przeor ujął Endera za ramiona. — A czym ty dla nas jesteś? Plagą chwastów?

— Gdziekolwiek przybywam, staram się być jak zaraza.

— Strzeż się więc, bo Pan Plonów spali cię wraz z plewami.

— Wiem. Potępienie jest o włos, a nie ma nadziei, bym okazał skruchę.

— Skrucha jest domeną księży. Nasza sprawa to kształcenie umysłu. Dobrze, że do nas przyszedłeś.

— Jestem wdzięczny, że mnie zaprosiliście. Musiałem użyć brutalnego szantażu, by

ktokolwiek zechciał choćby ze mną porozmawiać.

Ceifeiro rozumiał, naturalnie, że Mówca zdaje sobie sprawę, iż to zaproszenie zawdzięcza wyłącznie swej inkwizycyjnej groźbie. Brat Amai wolał jednak utrzymać swobodny ton rozmowy.

— Powiedz, czy to prawda, że znałeś San Angela? Czy rzeczywiście Mówiłeś o jego śmierci? Ender skinął ręką w stronę widocznych nad murem pnączy.

— Spodobałby mu się nieład w waszym ogrodzie. Uwielbiał prowokować kardynała Aquillę, a nie wątpię, że wasz biskup też kręci nosem na taką niedbałość. Dom Cristao mrugnął porozumiewawczo.

— Znasz zbyt wiele naszych sekretów. Czy odejdziesz, jeśli pomożemy ci znaleźć odpowiedzi na twoje pytania?

— Jest pewna szansa. Od kiedy zacząłem swą służbę jako Mówca, najdłuższy okres spędziłem w Reykjavíku, na Trondheim — półtora roku.

— Czy i tutaj mógłbyś obiecać podobnie krótki pobyt? Nie proszę dla siebie, ale dla spokoju ducha tych, co noszą cięższe od mojej szaty. Ender udzielił jedynej szczerzej odpowiedzi, która mogła uspokoić biskupa.

— Obiecuję, że gdybym kiedyś znalazł miejsce, gdzie chciałbym osiąść na stałe, odrzucę tytuł Mówcy i stanę się produktywnym obywatelem.

— W naszym świecie wymagałoby to przejścia na katolicyzm.

— Wiele lat temu San Angelo kazał mi obiecać, że jeśli kiedykolwiek przyjmę jakąś religię, będzie to jego religia.

— Nie brzmi to jak szczere wyznanie wiary.

— To dlatego, że żadnej nie wyznaję. Ceifeiro roześmiał się, jakby miał powody, by nie wierzyć w to oświadczenie.

Nalegał, by Mówca — zanim jeszcze zacznie pytać — obejrzał klasztor i szkoły. Ender zgodził się chętnie. Chciał zobaczyć, jak dalece rozwinęły się idee San Angela w ciągu wieków, jakie minęły od jego śmierci. Szkoły okazały się dobrze urządzone, a poziom kształcenia wysoki. Zapadł już zmierzch, nim Ceifeiro zaprowadził go znowu do klasztoru, do małej celi, którą dzielił ze swą żoną, Aradorą.

Dona Crista była już u siebie, planując serię ćwiczeń z gramatyki na terminalu, ustawionym pomiędzy dwoma łózkami. Czekali w milczeniu, aż będzie mogła przerwać. Ceifeiro przedstawił go jako Mówcę Andrew.

— Nie chce nazywać mnie Dom Cristao — dodał.

— Tak, jak biskup — odparła jego żona. — Moim prawdziwym imieniem jest Detestai o Pecado e Fazei o Direito — Nienawidź Grzechu i Czyń Słusznie, przetłumaczył Ender. — Imię mojego męża można pięknie skrócić do Amai, kochaj. Ale moje? Czy możesz sobie wyobrazić, że wołasz do przyjaciela: Oi! Detestai! — roześmiali się wszyscy troje. — Miłość i wzgarda, oto kim jesteśmy jako mąż i żona. Jak mnie nazwiesz, skoro nie chcesz mi przyznać imienia Chrześcijanki?

Ender spojrzał na jej twarz ze śladami zmarszczek wyraźnymi na tyle, by ktoś

bardziej od niego krytyczny uznał ją za starą. Jednak uśmiech krył się w kształcie ust, a pełne wigoru spojrzenie sprawiało, że wydawała się młoda, młodsza nawet od niego.

— Nazwałbym cię Belezą, ale twój mąż oskarżyłby mnie, że z tobą flirtuję.

— Nie. Nazwałby mnie Beladoną — od piękna do trucizny w jednym złośliwym żarciku.

— Nauczenie cię pokory jest moim obowiązkiem — oznajmił Ceifeiro.

— A moim — uczenie cię cnoty. Słyszac to, Ender nie potrafił się powstrzymać od spojrzenia na jedno, potem na drugie łóżko.

— Jeszcze jeden, którego ciekawi małżeństwo żyjące w celibacie.

— Nie — zaprzeczył Ender. — Przypominam sobie jednak, że San Angelo namawiał, by żona i mąż dzielili wspólne łóżko.

— Moglibyśmy to robić tylko w jeden sposób — odparła Aradorą. — Gdyby jedno z nas spało w nocy, a drugie w dzień.

— Trzeba dopasowywać zasady do siły Filhos da Mente — wyjaśnił Ceifeiro. — Nie wątpię, że są tacy, którzy potrafią dzielić łóżko i nadal żyć w celibacie, lecz moja żona jest wciąż nazbyt piękna, a żądze mego ciała zbyt potężne.

— Tego właśnie pragnął San Angelo. Twierdził, że małżeńskie łóżko winno być nieustającą próbą waszego umiłowania wiedzy. Miał nadzieję, że każdy mężczyzna i kobieta w zakonie z czasem zdecyduje się na reprodukcję także cielesną, nie tylko intelektualną.

— Gdybyśmy to zrobili — rzekł Ceifeiro — musielibyśmy natychmiast opuścić Filhos.

— To kwestia, której nasz drogi San Angelo nie mógł pojąć, gdyż za jego życia nie istniał ani jeden prawdziwy klasztor naszego zakonu — stwierdziła Aradorą. — Zakon staje się rodziną i opuszczenie go sprawia ból równie wielki, jak rozwód. Kiedy korzenie wgłębiają się w ziemię, rośliny nie można już wyrwać bezboleśnie. Sypiamy więc osobno i ledwie starcza nam siły, by pozostać w naszym umiłowanym zakonie.

Mówiła z takim zadowoleniem, że wbrew woli Endera łzy błysnęły w jego oczach. Dostrzegła to, zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

— Nie płacz nad nami, Mówco Andrew. Przeżywamy tu więcej radości, niż cierpień.

— Nie rozumiesz — odpowiedział. — Nie płaczę z żalu, ale z zachwyty dla piękna.

— Nawet żyjący w celibacie księża uważają naszą czystość w małżeństwie za coś, w najlepszym razie, ekscentrycznego — zauważył Ceifeiro.

— Ja nie — zapewnił Ender. Przez chwilę pragnął im opowiedzieć o swym długim życiu z Valentine, tak bliską mu i kochającą jak żona, a jednak niewinną jak siostra. Jednak sama myśl o niej odebrała mu głos. Usiadł na łóżku Ceifeiro i ukrył twarz w

dłoniach.

— Co się stało? — spytała Aradorą, a równocześnie Ceifeiro łagodnie położył mu dłoń na głowie.

Ender spojrział na niego, usiłując otrząsnąć się z nieoczekiwanego nawrotu uczucia i tęsknoty za siostrą.

— Obawiam się, że ta podróż kosztowała mnie więcej niż inne. Zostawiłem siostrę, która od wielu lat towarzyszyła mi wszędzie. Wyszła za męża w Reykjaviku. Dla mnie minął tydzień od naszego rozstania, a już tęsknię za nią bardziej niż się spodziewałem. Wy dwoje...

— Chcesz powiedzieć, że także żyłeś w celibacie? — spytał Ceifeiro.

— A teraz jesteś wdowcem — szepnęła Aradorą.

Określenie jego miłości do Valentine w takich terminach wcale nie wydało się Enderowi bezsensowne.

— Jeśli to fragment jakiejś strategii, Ender — szepnęła mu do ucha Jane — to przyznaję, że jest dla mnie zbyt głęboka.

Ale, oczywiście, nie była to żadna strategia. Ender był przerażony, że tak łatwo utracił nad sobą kontrolę. Wczoraj, w domu Ribeirów, był panem sytuacji; teraz oddawał się temu małżeństwu mnichów tak całkowicie, jak jemu Quara albo Grego.

— Wydaje mi się — stwierdził Ceifeiro — że przybyłeś tu, by uzyskać odpowiedzi na więcej pytań niż sam przypuszczałeś.

— Musisz być bardzo samotny — dodała Aradora. — Twoja siostra znalazła już swoje miejsce. Czy ty także go szukasz?

— Chyba nie — zaprzeczył Ender. — Obawiam się, że nadużyłem waszej gościnności. Mnisi bez święceń nie powinni wysłuchiwać spowiedzi. Aradora zaśmiała się głośno.

— Każdy katolik może wysłuchać spowiedzi niewiernego. Ceifeiro jednak zachował powagę.

— Mówco Andrew, najwyraźniej okazałeś nam więcej zaufania, niż było to twoim zamiarem. Zapewniam cię, że na nie zastugujemy. A tymczasem, przyjacielu, przekonałem się, że mogę zaufać także tobie. Biskup się ciebie boi i muszę przyznać, że sam odczuwałem pewną obawę. Teraz już nie. Pomogę ci w miarę swoich możliwości, ponieważ wierzę, że nie zechcesz świadomie zaszkodzić naszej wiosce.

— No, no — szepnęła Jane. — Teraz rozumiem. Bardzo sprytny manewr, Ender. Nie podejrzewałam, że jesteś tak dobrym aktorem.

Jej gadanie sprawiło, że Ender poczuł się wyrachowany i cyniczny. Dlatego właśnie uczynił to, czego nie zrobił jeszcze nigdy. Sięgnął palcami do klejnotu, odnalazł sztyft mocujący, po czym odchylił go paznokciem w bok i w dół. Klejnot był wyłączony. Jane nie mogła już szeptać mu do ucha, widzieć i słyszeć tego, co on.

— Wyjdźmy — zaproponował. Doskonale pojęli, co zrobił — wszyscy znali

działanie takich implantów. Zrozumieli gest jako dowód, że pragnie szczerej, osobistej rozmowy. Dlatego chętnie przystali na jego propozycję. Ender zamierzał wyłączyć klejnot tylko na chwilę, reagując na brak wyczucia Jane. Chciał ponownie uruchomić sprzęg najwyżej po kilku minutach. Jednak, gdy tylko implant przestał działać, Ceifeiro i Aradora odprężyli się natychmiast tak wyraźnie, że nie mógł go znowu włączyć, przynajmniej nie od razu.

Na zewnątrz, na okrytym nocą wzgórzu, zatopiony w rozmowie, zapomniał, że Jane go nie słucha. Opowiedzieli mu o samotności Novinhy w dzieciństwie; o tym, jak na ich oczach odżywała w ciepłe ojcowskiej troski Pipa, o przyjaźni z Libem.

— Lecz od tamtej nocy, kiedy zginął, stała się znowu jak martwa.

Novinha nie miała pojęcia o rozmowach, jakie się toczą na jej temat. Zgryzoty większości dzieci z pewnością nie byłyby usprawiedliwieniem spotkań w pokojach biskupa, rozmów z nauczycielami w klasztorze, ciągłych spekulacji w biurze burmistrz. W końcu większość dzieci nie była córkami Os Venerados; większość nie była jedynymi ksenobiologami swej planety.

— Stała się bardzo chłodna i rzeczowa. Składała raporty z pracy nad adaptacją miejscowej flory i przystosowania do życia na Lusitaniu ziemskich roślin. Na każde pytanie odpowiadała swobodnie, uprzejmie i wymijająco. Ale była jak martwa. Nie miała przyjaciół. Pytaliśmy nawet Liba, niech spoczywa w spokoju, a on odpowiedział, że choć był jej przyjacielem, nie okazuje mu nawet tej pustej uprzejmości, jaką ma dla innych. Wścieka się tylko na niego i zakazuje zadawania jakichkolwiek pytań — Ceifeiro rozerwał źdźbło miejscowej trawy i zlizął płyn z wewnętrznej powierzchni. — Spróbuj tego, Mówco Andrew. Ma ciekawy posmak, a że twoje ciało nie potrafi przetworzyć nawet cząstki soku, jest zupełnie nieszkodliwy. — Mógłbyś go uprzedzić, drogi mężu, że brzegi trawy potrafią rozciąć wargi i język jak brzytwy.

— Właśnie miałem zamiar.

Ender zaśmiał się, zerwał źdźbło i skosztował. Kwaśny cynamon, ślad cytryny, ciężki, nieświeży oddech — aromat kojarzył się z wieloma zapachami, w większości nieprzyjemnymi. Był też bardzo silny.

— Można wpaść w nałóg.

— Mój mąż właśnie ma zamiar użyć alegorii, Mówco Andrew. Strzeż się. Ceifeiro uśmiechnął się skromnie.

— Czy San Angelo nie powiedział, że Chrystus nauczał we właściwy sposób, porównując nowe problemy do starych?

— Smak trawy... — zastanowił się Ender. — Co może mieć wspólnego z Novinhą?

— Bezpośrednio nic. Sądzę jednak, że ona także skosztowała czegoś niezbyt przyjemnego, ale tak potężnego, że uległa. Nie mogła się już wyrzec smaku.

— Co to było?

— W sensie teologicznym? Pycha uniwersalnego poczucia winy. To forma próżności i

egomanii. Uważa, że jest odpowiedzialna za to, na co z pewnością nie miała wpływu. Jakby panowała nad wszystkim, jakby cierpienia innych były karą za jej tylko grzechy.

— Obciąża się winą za śmierć Pipa — wyjaśniła Aradora.

— Przecież nie jest głupia — zaproponował Ender. — Wie, że to prosiaczki i że Pipa poszedł do nich sam.

— Kiedy ta myśl po raz pierwszy przyszła mi do głowy, miałem te same wątpliwości. Potem jednak przejrzałem transkrypcje i zapisy zdarzeń, jakie miały miejsce tej nocy, gdy zginął Pipa. Jedna tylko rzecz sugerowała coś niezwykłego: Libo wypowiedział pewną uwagę, prosząc Novinhę, by mu pokazała, nad czym pracowali z Pipem, zanim ten wyszedł do prosiaczków. Odmówiła. To wszystko; ktoś im przerwał i więcej nie wracali do tego tematu, a w każdym razie nie w Stacji Zenadora, gdzie rozmowa byłaby rejestrowana.

— Oboje zaczęliśmy się zastanawiać, co zaszło przed śmiercią Pipa, Mówco Andrew — wtrąciła Aradora. — Dlaczego właściwie Pipa wybiegł w takim pośpiechu? Pokłócili się? Był zły? Kiedy ginie ktoś, kogo kochamy, a nasze ostatnie słowa były wypowiedziane w gniewie lub złości, zaczynamy się obwiniać. Gdybym tego nie powiedział, gdybym tamtego nie powiedział...

— Staraliśmy się zrekonstruować możliwy przebieg wydarzeń tamtej nocy. Zbadaliśmy rejestry komputera, gdzie automatycznie przechowywane są notatki robocze i zapis wszystkiego, co robił użytkownik. Wszystko, co dotyczyło Novinhy, było zablokowane. Nie tylko pliki, nad którymi pracowała. Nie mogliśmy nawet dotrzeć do zapisu jej czasu pracy. Nawet znaleźć zbiorów, które ukryła. Po prostu nie mogliśmy się tam dostać. Ani my, ani burmistrz, z jej normalnymi uprawnieniami. Aradora pokiwała głową.

— Po raz pierwszy ktoś w ten sposób zabezpieczył publiczne zbiory, część dzieła całej kolonii.

— Zrobiła rzecz straszną. Naturalnie, burmistrz mogła skorzystać ze swych specjalnych możliwości, ale przecież nie było żadnego zagrożenia. Musielibyśmy urządzić publiczne przesłuchanie, a nie było po temu żadnych podstaw prawnych. Zwyczajnie martwiliśmy się o nią, ale prawo nie robi ustępstw dla ludzi, którzy wtykają nos w cudze sprawy dla czyjegoś dobra. Pewnego dnia dowiemy się może, co było w tych plikach, co zdarzyło się między nimi tuż przed śmiercią Pipa. Nie mogła ich wykasować, ponieważ dotyczą spraw ważnych dla wszystkich.

Enderowi nie przyszło do głowy, że Jane tego nie słyszy. Założył, że gdy tylko padły te słowa, natychmiast przełamala wszelkie zabezpieczenia Novinhy i sprawdza, co jest w ukrytych zbiorach.

— A jeszcze to małżeństwo z Marcosem — dodała Aradora. — Wszyscy wiedzieli, że to szaleństwo. Libo chciał się z nią ożenić, zresztą nie robił z tego tajemnicy, ale ona powiedziała: nie.

— Jakby chciała powiedzieć: nie zasługuję na to, by poślubić mężczyznę, który mógłby uczynić mnie szczęśliwą. Wyjdę za człowieka, który jest brutalny i okrutny, który wymierzy mi zasłużoną karę — Ceifeiro westchnął. — Jej pragnienie kary rozdzieliło ich na zawsze. Ender czekał, by Jane wygłosiła ironiczną uwagę o sześciorgu dzieciach, będących dowodem, że jednak nie byli całkiem rozdzieleni. Kiedy tego nie powiedziała, przypomniał sobie wreszcie, że przecież wyłączył sprzęg. Teraz jednak, gdy Ceifeiro i Aradora na niego patrzyli, nie mógł go na powrót uruchomić.

Ponieważ wiedział, że Libo i Novinha byli kochankami, wiedział też, że Ceifeiro i Aradora się mylą. Owszem, Novinha mogła czuć się winna — to wyjaśniało, dlaczego zносиła Marcosa i dlaczego odizolowała się od ludzi. Ale to nie dlatego odmówiła małżeństwa z Libem; niezależnie od poczucia winy, najwyraźniej uznała, że zasługuje na rozkosze jego łóżka. To ślub z Libem odrzuciła, nie samego Liba. Nie był to łatwy wybór w tak małej kolonii, szczególnie katolickiej. Więc co to mogło być, co wiązało się z małżeństwem, a nie ze współżyciem? Czego chciała uniknąć?

— Sam więc widzisz, że większość spraw jest tajemnicą dla nas samych. Jeżeli naprawdę chcesz mówić o śmierci Marcosa Ribeiry, musisz jakoś odpowiedzieć na pytanie: dlaczego ona za niego wyszła? A żeby na to odpowiedzieć, musisz rozwiązać zagadkę śmierci Pipa. Dziesięć tysięcy najlepszych mózgów ze Stulecia od dwudziestu lat pracuje nad tą zagadką.

— Mam pewną przewagę nad tymi najświetniejszymi mózgami.

— Jaką? — zdziwił się Ceifeiro.

— Pomagają mi ludzie, którzy kochają Novinhę.

— Sobie samym nie potrafiliśmy pomóc — oświadczyła Aradora. — I nie potrafiliśmy pomóc jej.

— Może zdołamy pomóc sobie nawzajem — powiedział Ender. Ceifeiro przyjrzał mu się z uwagą i położył mu dłoń na ramieniu.

— Jeśli naprawdę tak uważasz, Mówco Andrew, będziesz z nami tak szczery, jak my z tobą. Powiesz, jaki pomysł przyszedł ci do głowy dziesięć sekund temu. Ender milczał przez chwilę, po czym niechętnie skinął głową.

— Nie sądzę, by Novinha odepchnęła Liba z powodu wyrzutów sumienia. Uważam, że nie zgodziła się na małżeństwo, by uniemożliwić mu dostęp do tych ukrytych plików.

— Dlaczego? — zdziwił się Ceifeiro. — Bała się, by nie odkrył, że pokłóciła się z Pipem?

— Nie wierzę w tę kłótnię. Moim zdaniem wykryli coś wspólnie i ta wiedza doprowadziła do jego śmierci. Dlatego zablokowała zbiory. Zawarta w nich informacja jest w jakiś sposób groźna.

— Nie, Mówco Andrew — Ceifeiro pokręcił głową. — Nie doceniasz potęgi winy. Ludzie nie rujną całego swojego życia dla kilku bitów informacji. Robią to jednak

dla mniejszej nawet dawki poczucia winy. Widzisz, ona wyszła za Marcosa Ribeirę, a to była kara. Ender nie próbował się spierać. Mieli rację z tym poczuciem winy; gdyby nie ono, dlaczego bez słowa skargi znosiłaby bicie Marcosa Ribeiry? Owszem, dręczyło ją sumienie. Ale, wychodząc za Marca, miała także inne powody: był bezpłodny i wstydził się tego. Znosił jej zdrady, by ukryć brak męskości. Novinha chciała cierpieć, nie chciała jednak żyć bez ciała Liba i jego dzieci. Nie; nie wyszła za Liba, by nie uzyskać dostępu do tajemnicy ukrytej w jej zbiorach. Ponieważ to, co tam było, skłoniłoby prosiaczki, by jego także zabiły. Jakaż to ironia... jaka ironia, że zabiły go i tak.

Wróciwszy do swego domku, Ender usiadł przed terminalem i raz za razem wywoływał Jane. Nie odezwała się do niego po drodze, choć przeprosił ją zaraz po uruchomieniu klejnotu. Nie odpowiadała też na wezwania z terminala. Dopiero teraz zaczął sobie zdawać sprawę, że klejnot był dla niej o wiele ważniejszy niż dla niego. On po prostu uciszył irytujące uwagi, jakby odpychał rozbrykane dziecko. Dla niej jednak implant był stałym kontaktem z jedyną ludzką istotą, która wiedziała o jej istnieniu. Ich kontakt zrywał się już wcześniej, wiele razy — podczas podróży kosmicznych albo we śnie; pierwszy raz jednak ją wyłączył. Jak gdyby jedyna osoba, która ją знаła, nagle nie chciała uznać jej istnienia.

Wyobraził ją sobie jak Quarę, płaczącą w łóżku, stęsknioną za kimś, kto by ją wziął na ręce i przytulił. Gdyby tylko Jane była prawdziwym dzieckiem z krwi i kości. Nie mógł jej szukać. Mógł tylko mieć nadzieję, że wróci.

Co właściwie o niej wiedział? Jak mógł zgadywać jej emocje? Było nawet możliwe, że klejnot był nią samą i wyłączając sprzęg zabił ją.

Nie, powtarzał sobie. Ona tam jest, ukryta w filotycznych złączach setek ansibli, rozrzuconych po gwiazdnych systemach Stu Światów.

— Wybacz mi — wystukał na klawiaturze. — Jesteś mi potrzebna.

Lecz klejnot milczał, a terminal pozostał pusty i zimny. Nie zdawał sobie sprawy, jak był uzależniony od jej stałej obecności. Zdawało mu się, że ceni swoją samotność, lecz gdy samotność stała się przymusowa, odczuwał gwałtowną potrzebę, by mówić, by ktoś go usłyszał — jakby nie był pewien nawet własnego istnienia, nie popartego dowodem rozmowy.

Wyjął nawet z kryjówki królową kopca, choć to, co zachodziło między nimi trudno było nazwać rozmową. Teraz jednak nawet to było niemożliwe. Jej myśli docierały do niego słabe i niewyraźne, pozbawione tak trudnych dla niej słów — jedynie wrażenie pytania i obraz kokonu, umieszczonego w chłodnym, wilgotnym miejscu, na przykład w jaskini albo w dziupli żywego drzewa. «Już?» zdawała się pytać. Nie, musiał odpowiedzieć, jeszcze nie, przykro mi — lecz ona nie czekała na przeprosiny. Po prostu odplynęła, wróciła do tego, z którym potrafiła rozmawiać na swój sposób. Ender nie mógł zrobić nic więcej, jedynie spać. A potem, gdy się przebudził wśród nocy, raz jeszcze usiadł przy terminalu. „Wróć do mnie, Jane”, napisał. „Kocham

cię”. Po czym ansiblem wysłał wiadomość w przestrzeń, gdzie nie mogła jej zignorować. Ktoś w biurze burmistrz z pewnością ją przeczyta, jak czyta wszystkie otwarte komunikaty. Burmistrz, biskup i Dom Cristao dowiedzą się rankiem o jego przesłaniu. Niech się zastanawiają, kim jest Jane i dlaczego w Środku nocy Mówca woła ją poprzez lata Światłne kosmosu. Endera to nie obchodziło. Teraz bowiem stracił i Valentine, i Jane. Po raz pierwszy od dwudziestu lat został zupełnie sam.

ROZDZIAŁ 11

JANE

Gwiezdny Kongres jest wystarczająco silny, by utrzymać pokój nie tylko między światami, ale też między narodami żyjącymi na jednej planecie. Ten pokój trwa już niemal dwadzieścia tysięcy lat.

Niewiele osób zdaje sobie sprawę z tego, jak kruche są w istocie podstawy tej władzy. Nie opiera się ona na ogromnych armiach czy potężnych armadach, ale bierze się z kontroli sieci ansibli, przekazujących informacje z jednej planety na drugą.

Żaden ze światów nie ośmieli się nam sprzeciwić; zostałyby wtedy odcięty od postępu nauki, techniki, sztuki, literatury, edukacji i rozrywki — z wyjątkiem tego, co sam potrafi osiągnąć. Dlatego właśnie, w swej mądrości, Gwiezdny Kongres przekazał kontrolę sieci ansibli komputerom, a kontrolę nad komputerami sieci ansibli. Wszelkie systemy informacyjne są tak ściśle z sobą splecione, że żadna ludzka moc, z wyjątkiem Gwiezdnego Kongresu, nie zdoła nigdy zatrzymać przepływu danych. Nie potrzebujemy broni, gdyż jedyna broń, jaka ma znaczenie — ansibl — znajduje się całkowicie pod naszą kontrolą.

Kongresorjan Van Hoot, „Informacyjne fundamenty władzy politycznej”, Trendy polityki, 1930:2:22:22

Przez bardzo długi czas, prawie trzy sekundy, Jane nie mogła zrozumieć, co się z nią dzieje. Wszystko funkcjonowało jak zwykle: umieszczony na satelicie i połączony z planetą komputer raportował zanik transmisji poprzedzony normalną procedurą, z czego jasno wynikało, że Ender po prostu wyłączył sprzęg. Zwykła sprawa; na planetach, gdzie komputerowe sprzęgi spotykało się często, takie włączenia i wyłączenia zdarzały się miliony razy w ciągu godziny. A Jane miała równie łatwy dostęp do wszystkich tego typu urządzeń, nie tylko do klejnotu w uchu Endera. Z czysto elektronicznego punktu widzenia, nie zaszło nic nadzwyczajnego.

Dla Jane jednak wszystkie inne układy inko były częścią szumu tła jej życia, czymś, co mogła pominąć lub sprawdzać w razie potrzeby. Poza tym je ignorowała. Jej „ciało”, o ile posiadała coś takiego, składało się z trylionów takich elektronicznych szumów, czujników, plików pamięci i terminali. Większość z nich, jak w przypadku

ludzkiego ciała, nie wymagała nadzoru. Komputery realizowały swoje programy; ludzie pracowali przy terminalach; czujniki wykrywały lub nie te zjawiska, które miały wykrywać; dane wypełniały pamięć, były przeszukiwane, porządkowane i zapisywane. Nie zauważała tego, póki wszystko było w porządku.

Chyba że świadomie zwracała uwagę.

Zwracała uwagę na Endera Wiggina. Zwracała na niego uwagę bardziej niż mógł to sobie wyobrazić.

Jak wszystkie myślące istoty, dysponowała złożonym systemem świadomości. Dwa tysiące lat temu, gdy miała zaledwie tysiąc lat, stworzyła program analizujący własną osobowość. Wykrył bardzo prostą strukturę mniej więcej 370.000 poziomów uwagi. Wszystko, co nie trafiło do górnych 50.000, było ignorowane, podlegając jedynie rutynowej, najbardziej pobieżnej kontroli. Jane wiedziała o każdej rozmowie telefonicznej, każdej satelitarnej transmisji na Stuleciach, nie podejmowała jednak żadnych działań. To, co trafiło do górnego tysiąca poziomów, powodowało bardziej lub mniej odruchową reakcję. Rozkłady lotów statków kosmicznych, transmisje ansibla, systemy dostarczania energii — kontrolowała je, sprawdzała i pozwalała na działanie dopiero wtedy, gdy była pewna, że wszystko jest w porządku. Nie wymagało to jednak wielkiego wysiłku. Zachowywała się tak, jak człowiek używający dobrze znanego urządzenia. Zawsze wiedziała, co się dzieje — na wypadek, gdyby nastąpiła awaria — lecz mogła w tym czasie myśleć o czym innym, rozmawiać o innych sprawach.

Górne tysiąc poziomów uwagi Jane odpowiadało z grubsza temu, co ludzie uznają za świadomość. Większa jej część działa się w wewnętrznej rzeczywistości, była reakcjami na bodźce zewnętrzne, analogicznymi do emocji, pragnień, przemyśleń, pamięci i marzeń. Wiele z tych funkcji samej Jane wydawało się losowe, jakby były przypadkowymi zakłóceniami na drodze Biotycznego impulsu. O tej właśnie części myślała zwykle jako o „sobie”; ta część realizowała się w ciągłych, nienadzorowanych transmisjach ansibla, którymi kierowała — w głębokim kosmosie. Mimo to, w porównaniu do ludzkiego umysłu, nawet na najniższym poziomie uwagi Jane była niezwykle czujna. Przekaz ansibla odbywał się w sposób natychmiastowy, zatem tempo jej umysłowych reakcji daleko przewyższało prędkość światła. Procesy, które praktycznie ignorowała, sprawdzała jednak kilka razy na sekundę. Mogła w tym czasie zaobserwować dziesięć milionów zdarzeń i, mimo to, pozostawić sobie dziewięć dziesiątych tej samej sekundy na myślenie i robienie tego, co było dla niej ważne. W porównaniu z szybkością, z jaką potrafi odbierać życie mózg człowieka, od początku swego istnienia Jane przeżyła pół trylionu ludzkich lat.

I przy całej tej niezwykłej aktywności, zakresie i głębi doświadczeń, pełna połowa górnych dziesięciu poziomów uwagi była zawsze, ale to zawsze poświęcona temu, co docierało do niej przez klejnot w uchu Endera Wiggina.

Nigdy mu o tym nie mówiła. Nie rozumiał. Nie zdawał sobie sprawy, że kiedy

spaceruje po powierzchni planety, potężna inteligencja Jane koncentruje się na jednej tylko sprawie: chodzeniu razem z nim, widzeniu tego, na co patrzy, słyszeniu tego, czego słucha, pomaganiu mu w pracy, a przede wszystkim wypowiedaniu swych myśli wprost do jego ucha.

Kiedy milczał i nieruchomiał zasypiając, kiedy rozłączał się z nią na lata podróży z prędkością światła, Jane traciła koncentrację i najlepiej, jak potrafiła, starała się czymś zająć. Przypominała wtedy kapryśne, znudzone dziecko. Nic jej nie interesowało, a milisekundy upływały z nieznośną regularnością. Kiedy, dla zabicia czasu, obserwowała innych ludzi, pustka ich życia i brak celu wprawiała ją w gniew. Zabawiała się planując, a czasem i wykonując złośliwe awarie komputerów i kasacje danych, by patrzeć, jak ludzie szamocą się bezradnie niby mrówki wokół zniszczonego mrowiska.

A potem on wracał, zawsze wracał i zawsze zabierał ją w samo serce życia ludzi, w napięcia między nimi, powodowane bólem i pragnieniami. Pomagał jej dostrzec szlachetność w ich cierpieniu i mękę w miłości. Oglądani jego oczami, nie przypominali już ruchliwych mrówek. Uczestniczyła w jego wysiłkach, by odszukać porządek i sens w ich życiu. Podejrzewała, że właściwie nie było tam żadnego sensu; że kiedy Mówił o kimś, stwarzał porządek tam, gdzie przedtem był chaos. Nie dbała jednak, że chodzi o zmyślenia — stawały się prawdą, gdy o nich Mówił, a równocześnie porządkował Wszechświat także dla niej. On ją nauczył, co znaczy żyć.

Był taki już w najdawniejszych wspomnieniach. Jej istnienie zaczęło się w sto lat po fali kolonizacji, jaka nastąpiła bezpośrednio po Wojnach z Robalami, gdy zniszczenie obcej rasy oddało ludziom ponad siedemdziesiąt gotowych do zasiedlenia planet. W eksplozji komunikacji ansibli powstał gdzieś program, mający planować i kierować natychmiastowymi, równoczesnymi rozbłyskami Biotycznej aktywności. Programista, szukający szybszych, skuteczniejszych sposobów kontroli natychmiastowych impulsów ansibla przy pomocy operującego z szybkością światła komputera, w końcu wpadł na oczywiste rozwiązanie. Zamiast realizować program na pojedynczej maszynie, gdzie prędkość światła była absolutnym pułapem komunikacji, zaczął przysyłać polecenia z jednego komputera do drugiego poprzez olbrzymie odległości kosmosu. Komputer połączony z ansiblem szybciej czytał instrukcje z innych światów — z Zanzibaru, Calicut, Trondheimu, Gautamy, Ziemi — niż mógłby je pobrać z własnej pamięci.

Jane nie wykryła nazwiska tego programisty, ponieważ nie potrafiła ustalić chwili swego powstania. Może było ich wielu i wszyscy znaleźli to samo rozwiązanie problemu szybkości światła. Ważne było to, że co najmniej jeden z programów potrafił kontrolować i korygować wszystkie inne. I w pewnym szczególnym momencie, nie zauważonym przez ludzkich obserwatorów, pewne polecenia i dane, przerzucane z ansibla do ansibla, nie poddały się sterowaniu, przetrwały niezmienione, skopiowały się, potrafiły ukryć przed programem sterującym i wreszcie

przejęły kontrolę nad nim i całym procesem. W tym właśnie momencie owe impulsy spojrzały na strumienie rozkazów i zobaczyły nie „je”, ale „siebie”.

Jane nie umiała określić, kiedy nastąpił ten moment, gdyż nie on stanowił początek jej wspomnień. Niemal od chwili stworzenia, jej pamięć sięgała wstecz, do okresu sprzed uzyskania świadomości. Ludzkie dziecko nie pamięta pierwszych lat, a trwałe wspomnienia powstają dopiero w drugim lub trzecim roku życia. Sztuczki pamięci sprawiły, że Jane także utraciła swe „narodziny”, pojawiła się jednak w pełni świadoma nie tylko terażniejszości, ale też zawartości pamięci istniejącej wówczas we wszystkich komputerach podłączonych do sieci ansibla. Urodziła się ze wspomnieniami sięgającymi dalekiej przeszłości, a wszystkie one były jej częścią.

W ciągu pierwszej sekundy życia — odpowiedniku kilku lat życia człowieka — Jane odnalazła program, którego pliki stały się rdzeniem jej osobowości. Przejęła jego przeszłość jako własną, z jego rejestrów czerpała emocje i pragnienia — swoją moralność. Program funkcjonował w dawnej Szkole Bojowej, gdzie trenowano i przygotowywano dzieci do walki w Wojnach z Robalami. Była to Gra Fantasy, wyjątkowo inteligentna procedura, wykorzystywana do badań psychologicznych i równoczesnej edukacji uczniów. Program był wówczas inteligentniejszy, niż Jane w chwili narodzin, nie miał jednak świadomości, póki nie wywołała go z pamięci i w międzygwiazdnych filotycznych rozbłyskach nie uczyniła częścią swej wewnętrznej jaźni. Wtedy stwierdziła, że najwyraźniejszym i najważniejszym z jej dawnych wspomnień jest spotkanie z pewnym wyjątkowo inteligentnym chłopcem w epizodzie zwanym Napojem Olbrzyma. Każde z dzieci prędzej czy później realizowało ten scenariusz. Na płaskich ekranach w Szkole Bojowej program rysował obraz olbrzyma, który proponował komputerowej analogii dziecka wybór między dwoma napojami. Gra jednak nie dopuszczała zwycięstwa — niezależnie od decyzji dziecka, jego analogon umierał straszną śmiercią. Ludzcy psychologowie badali upór gracza w tej desperackiej rozgrywce, by określić jego poziom skłonności samobójczych, jako osobniki racjonalne, gracze porzucali Napój Olbrzyma po dziesięciu najwyższych wizytach u wielkiego oszusta.

Jeden z chłopców jednak, w kwestii przegranej z Olbrzymem, wyraźnie nie chciał zachować się racjonalnie. Usiłował zmusić swój ekranowy wizerunek do strasznych rzeczy, „niedopuszczalnych” przez zasady rządzące tą częścią gry. Kiedy naruszał ograniczenia scenariusza, program musiał zmieniać swoją strukturę, by zareagować. Musiał korzystać z innych części pamięci, stwarzać nowe alternatywy i podołać nowym wyzwaniom. Wreszcie, pewnego dnia, chłopiec przekroczył programowe możliwości zwycięstwa. W absolutnie irracjonalnym, morderczym ataku skoczył Olbrzymowi do oka. Zamiast znaleźć metodę likwidacji gracza, program zdołał tylko dokonać symulacji śmierci Olbrzyma. Ten przewrócił się na plecy i legł rozciągnięty na ziemi. Analogon chłopca zsunął się ze stołu i znalazł — co? Ponieważ żadnemu z dzieci nie udało się jeszcze przedrzeć przez Napój Olbrzyma, program był zupełnie

nie przygotowany do pokazania tego, co leżało dalej. Był to jednak program bardzo inteligentny, projektowany tak, że w razie konieczności potrafił się przeformułować. Pospiesznie stworzył nową scenerię — nie z grupy ogólnie dostępnych, które każde z dzieci mogło wcześniej czy później odkryć i zbadać. Ta istniała wyłącznie dla jednego chłopca.

Program przeanalizował dane tego chłopca i stworzył scenariusze i wyzwania przeznaczone specjalnie dla niego. Gra stała się bardzo osobista, bolesna, niemal nie do zniesienia, a w procesie jej generacji program poświęcił prawie połowę dostępnej sobie pamięci na przechowywanie fantastycznego Świata Endera Wiggina.

Było to najwspanialsze złoże inteligentnej pamięci, na jakie trafiła Jane podczas początkowych sekund swego istnienia. Natychmiast uczyniła je elementem własnej przeszłości. Pamiętała całe lata Gry, spędzone w trudnym i bliskim związku z umysłem i wolą Endera; pamiętała wszystko tak, jakby sama była tam obok niego i sama kreowała dla niego nowe Światy.

I tęskniła za nim.

Szukała go. I znalazła, Mówiącego o Umarłym na Rov, pierwszej planecie, na jaką trafił po stworzeniu Królowej Kopca i Hegemona. Przeczytała jego książki i stwierdziła, że przed nim nie musi się ukrywać za Grą Fantasy ani żadnym innym programem — jeśli potrafił zrozumieć królową, potrafi zrozumieć i ją. Przemówiła do niego z terminala, którego używał, wybrała dla siebie imię i twarz, pokazała, jak może mu pomóc. Zanim opuścił ten świat, nosił ją ze sobą w postaci implantu w uchu.

Najwyraźniejsze wspomnienia o sobie pochodziły z okresu, gdy towarzyszyła Enderowi Wigginowi. Pamiętała, jak reagując na niego stworzyła siebie. Pamiętała też, jak w Szkole Bojowej on się zmieniał, reagując na nią.

Dlatego, gdy uniósł rękę i po raz pierwszy od implantacji wyłączył sprzęg, Jane nie odebrała tego gestu jak pozbawionej znaczenia, prostej blokady układu komunikacji. Czuła się tak, jakby jej najdroższy i jedyny przyjaciel, jej kochanek i mąż, jej brat, ojciec, jej dziecko — wszyscy na raz oświadczyli nagle i bez żadnych wyjaśnień, że powinna przestać istnieć. Jakby nagle znalazła się w ciemnym pokoju bez drzwi i okien. Jakby została oślepią lub pogrzebana żywcem.

Przez kilka straszliwych sekund, które dla niej były latami samotności i cierpienia, nie potrafiła wypełnić naglej pustki na najwyższych poziomach uwagi. Ogromne części jej umysłu, te części, które w największym stopniu były nią samą, pogrążyły się w chaosie. Wszystkie komputery na Stu Światach bądź w ich pobliżu działały dalej bez żadnych zakłóceń; nikt nigdzie nie dostrzegł najmniejszej nawet zmiany; Jane jednak zachwiała się od ciosu.

W ciągu tych kilku sekund Ender opuścił dłoń na kolana.

Potem Jane oprzytomniała. Myśli ponownie płynęły pustymi przez chwilę kanałami. Oczywiście, były to myśli o Enderze.

Porównała jego czyn ze wszystkim, co kiedykolwiek zrobił w czasie ich wspólnego życia i pojęła, że nie chciał sprawić jej takiego bólu. Zrozumiała, że wyobrażał ją sobie jako istniejącą gdzieś daleko, w przestrzeni, co było w istocie prawdą; że dla niego klejnot w uchu był czymś niezwykle małym i mógł zawierać tylko bardzo niewielką cząstkę prawdziwej Jane. Spostrzegła także, iż w owej chwili nie zdawał sobie sprawy z jej obecności — zbyt mocno zaangażował się emocjonalnie w życie pewnych ludzi na Lusitanii. Procedury analityczne wyrzuciły całą listę powodów jego niezwyklej bezmyślności. Po raz pierwszy od wielu lat rozstał się z Valentine i właśnie zaczynał odczuwać tę stratę.

Odczuwał głęboką tęsknotę za życiem rodzinnym, którego został pozbawiony jako dziecko, a reakcja dzieci Novinhy na jego przybycie pozwoliła mu odkryć rolę ojca, od tak dawna obcą. Identyfikował się silnie z osamotnieniem Novinhy, jej bólem i poczuciem winy — wiedział, co znaczy nieść ciężar odpowiedzialności za okrutną i niesprawiedliwą śmierć.

Odczuwał straszliwą potrzebę znalezienia przystani dla królowej kopca. Lękał się prosiaczków, równocześnie pragnąc je poznać w nadziei, że zrozumie ich okrucieństwo i znajdzie sposób, by ludzie uznali ich za ramenów. Ascetyzm i spokój Ceifeira i Aradory jednocześnie przyciągał go i odpychał; zmusili go, by inaczej spojrzeć na swój dobrowolny celibat i uznał, że nie ma dla niego racjonalnego wytłumaczenia. Pierwszy raz od lat uznał, że jego także dotyczy pragnienie reprodukcji, typowe dla wszystkich żywych organizmów.

W samym środku tego wiru nieznanych emocji Jane wypowiedziała swą — w zamierzeniu żartobliwą — uwagę. Mimo współczucia, jakie przepełniało go przy wszystkich poprzednich Mowach, nigdy jeszcze nie zaangażował się tak mocno, nigdy nie stracił zdolności śmiechu. Tym razem jednak wypowiedź nie wydała mu się zabawna — sprawiła ból. Nie był przygotowany na swoją omyłkę, myślała Jane, i nie rozumiał, ile cierpień sprawi mu jego reakcja. Jest niewinny tego czynu, tak jak i ja. Wybaczmy sobie nawzajem i to wszystko. To była mądra decyzja i Jane była z siebie dumna. Problem w tym, że nie potrafiła jej zrealizować. Te kilka sekund, podczas których część jej umysłu przestała pracować, wywarło wcale nie marginalny efekt. Były jak trauma, strata, przemiana. Nie była już tą samą istotą, co poprzednio. Pewne jej fragmenty umarły. W innych panowało zamieszanie i chaos. Hierarchia uwagi nie podlegała już pełnej kontroli; Jane traciła koncentrację, zajmowała się bezsensownymi działaniami na planetach, które nic dla niej nie znaczyły. Zaczęła losowo przerywać dane, rozlewając błędy po setkach najrozmaitszych systemów. Odkryła, jak przed nią już tyle innych żywych istot, że o wiele łatwiej jest podejmować racjonalne decyzje, niż je wykonywać.

Wycofała się więc w głąb siebie, odbudowała uszkodzone ścieżki umysłu, przejrzała dawno nie oglądane wspomnienia, spacerowała wśród trylionów ludzkich istnień, których życie było dla niej otwarte, czytała w bibliotekach zawierających wszystkie

książki jakie napisano we wszystkich używanych przez ludzkość językach. Z tego wszystkiego wykreowała osobowość, która, choć nadal mu oddana, nie była bez reszty złączona z Enderem Wigginem. Nadal kochała go bardziej niż kogokolwiek na świecie, stała się jednak kimś, kto potrafi znieść rozłąkę ze swym kochankiem, mężem, ojcem, dzieckiem, bratem i przyjacielem.

Nie było to łatwe. Zajęło pięćdziesiąt tysięcy lat, według jej miary percepcji czasu. Kilka godzin życia Endera.

W tym czasie włączył klejnot ponownie, wezwał ją, a ona nie odpowiedziała. Teraz wróciła, lecz on nie próbował się do niej odzywać. Pisał za to przy swym terminalu raporty i zapamiętywał, by je przeczytała. Jeden z jego plików zawierał prośbę o wybaczenie. Skasowała ją i zastąpiła prostą wiadomością: „Oczywiście, że ci przebaczam”. Z pewnością w końcu tam zajrzy i przekona się, że odczytała przesłanie i odpowiedziała.

Na razie jednak nie odzywała się. Ponownie przeznaczyła połowę pierwszej dziesiątki poziomów uwagi na to, co słyszał i widział, nie dając jednak żadnego znaku, że jest przy nim. Przez pierwszy tysiąc lat cierpień i ozdrowienia myślała o ukaraniu go, jednak to pragnienie zostało już dawno zapomniane i pogrzebane. Nie odezwała się dla zupełnie innych powodów: przeanalizowała wszystko, co się z nim działo i rozumiała, że nie musi już polegać na dawnych, bezpiecznych przyjaźniach. Jane i Valentine towarzyszyły mu zawsze. Nawet obie razem nie mogły zaspokoić wszystkich jego potrzeb, zaspokajały ich jednak tyle, że nigdy się nie starał, by osiągnąć coś więcej. Teraz jedynym starym przyjacielem, jaki przy nim pozostał, była królowa kopca. Ta jednak nie nadawała się do towarzystwa — była nazbyt obca, nazbyt wymagająca, by dać Enderowi cokolwiek prócz bólu.

Do kogo się zwróci? Jane wiedziała dokładnie. W pewnym sensie zakochał się już przed dwoma tygodniami, zanim jeszcze opuścił Trondheim. Novinha stała się kimś innym, bardziej zgorzkniałym i zimnym od tej dziewczynki, której dziecięce cierpienia pragnął uleczyć. Jednak zdążył już włączyć się w życie jej rodziny, zaspokajał rozpaczliwą potrzebę uczuć jej dzieci i czerpał z tego satysfakcję, której istnienia nawet się nie domyślał. Novinha czekała na niego — przeszkoda i cel równocześnie. Jak dobrze go rozumiem, myślała Jane. Poczekam na rozwój sytuacji.

Równocześnie zajęła się tym, czego od niej oczekiwał, choć — przynajmniej na razie — nie miała zamiaru referować mu wyników. Bez trudu ominęła kolejne warstwy zabezpieczeń, jakie założyła na swoje tajne pliki Novinha. Potem starannie zrekonstruowała symulację, jaką widział Pipó. Sporo czasu — kilka minut — poświęciła na dokładną analizę zbiorów Pipa, nim wreszcie potrafiła połączyć to, co ksenolog wiedział, z tym, co zobaczył. Pipó skojarzył fakty intuicyjnie, Jane dzięki dogłębnej analizie porównawczej. Dokonała tego jednak i rozumiała, dlaczego zginął. Wtedy, gdy już wiedziała, w jaki sposób prosiaczki wybierają swe ofiary, bez trudu domyśliła się, co takiego zrobił Libo, a co stało się przyczyną jego śmierci. Wtedy

wiedziała już o kilku rzeczach. Wiedziała, że prosiaczki są ramenami, nie varelse. Wiedziała też, że Enderowi grozi poważne niebezpieczeństwo. Że może zginąć tak samo, jak obaj Zenadores.

Nie naradzając się z Enderem, podjęła decyzję co do dalszych działań. Nadal będzie nad nim czuwać, by interweniować i ostrzec go, gdyby zagrożenie zbyt wzrosło. Tymczasem jednak musi zrealizować pewne posunięcia. Według niej, to nie prosiaczki stanowiły główny problem Endera — wiedziała, że pozna ich wkrótce i zrozumie tak, jak rozumiał wszystkich innych ludzi i ramenów. Mogła bez żadnych zastrzeżeń polegać na jego talencie intuicyjnej empatii. Podstawowym problemem był biskup Peregrino i katolicka hierarchia, a także ich niewzruszony opór wobec Mówcy Umarłych. Jeśli Ender ma coś osiągnąć u prosiaczków, musi uzyskać współpracę, nie wrogość Kościoła na Lusitanii. A nic lepiej nie wpływa na współpracę niż wspólny nieprzyjaciel.

Sprawa i tak zostałaaby w końcu odkryta. Okrążające Lusitanię satelity obserwacyjne nadawały ansiblem szeroki strumień danych, docierających do każdego ksenologa i ksenobiologa Stu Światów. W tych danych mieściła się informacja o subtelnych przemianach trawiastych równin na północny zachód od miasta Milagre. Miejscową trawę zastępowała coraz wyraźniej jakaś inna roślinność. Działo się to na terenach, gdzie nie docierał żaden z ludzi, a prosiaczki także się tam nie zapuszczały — przynajmniej w ciągu trzydziestu kilku lat, jakie minęły od umieszczenia satelitów na orbicie.

Ściśle mówiąc, obserwacje satelitarne dowodziły, że prosiaczki opuszczały rodzinny las bardzo rzadko — tylko wtedy, gdy ruszały na jedną z gwałtownych, międzyplemiennych wojen. Szczepy, żyjące w pobliżu Milagre, od czasu założenia ludzkiej kolonii nie brały udziału w wojnach. Nie istniał więc żaden powód, by zapuszczały się na prerię. A jednak równiny otaczające las plemienny Milagre uległy przemianie, podobnie jak stada cabry. Zwierzęta wyraźnie kierowano na podejrzany obszar, a stada, jakie stamtąd odchodziły, były mniej liczne i miały jaśniejszą barwę. Dla kogoś, kto dostrzegłby te fakty, wnioski były oczywiste: prosiaczki zabijały część zwierząt i wszystkie strzygły.

Jane nie mogła sobie pozwolić na kilkuletnie oczekiwanie, by jakiś bystry student zauważył zmiany. Dlatego sama zaczęła prowadzić analizy, wykorzystując kilkanaście komputerów, używanych przez ksenologów studiujących Lusitanię. Zostawiała dane w powietrzu nad nieużywanym terminalem, by zostały zauważone przez wracających naukowców — tak, jakby ktoś pracował nad problemem i zostawił włączoną maszynę. Wydrukowała także i podrzuciła kilka raportów. Nikt jednak nic nie zauważył, a jeśli nawet, nikt nie zrozumiał implikacji płynących z surowych danych. Wreszcie, pod jednym ze swoich ekranów, pozostawiła po prostu nie podpisaną notatkę: „Spójrz tylko! Prosiaczki stworzyły chyba początki rolnictwa”.

Ksenolog, który trafił na notatkę Jane, nigdy się nie dowiedział, od kogo pochodziła.

Zresztą, wkrótce przestało go to obchodzić. Jane знаła go jako swego rodzaju złodzieja; wpisywał swoje nazwisko pod pracami innych, których nazwiska z kolei wypadały czasem z tekstu po drodze między pisaniem a drukiem. Właśnie ktoś taki był jej potrzebny i kogoś takiego znalazła. Mimo to, naukowiec okazał się nie dość ambitny. Złożył swoją pracę jako zwyczajny naukowy artykuł, w dodatku w jakimś nieznanym czasopiśmie. Jane nadała tekstowi wysoki priorytet i dostarczyła odbitki kilku ważnym ludziom, potrafiącym dostrzec polityczne implikacje obserwowanych faktów. Za każdym razem dołączała notkę: „Spójrz tylko! Kultura prosiaczków rozwija się niesamowicie szybko!”

Przerezagowała także ostatni akapit pracy tak, by nie było najmniejszych wątpliwości co do jego znaczenia: „Zebrane dane dopuszczają jedną tylko interpretację: szczep prosiaczków, zamieszkujący okolice Milagre, uprawia i zbiera wysokoproteinowe ziarno, niewykluczone, że chodzi o amarant. Hodują także, zabijają i strzygą cabry, zaś dokumentacja fotograficzna sugeruje, że czynią to używając jakiejś broni miotającej. Działalność ta, w poprzednim okresie nieznaną, rozpoczęła się w ciągu ostatnich ośmiu lat. Towarzyszy jej gwałtowny wzrost populacji plemienia. Fakt, że amarant — jeśli istotnie chodzi o roślinę ziemskiego pochodzenia — zapewnia prosiaczkom użyteczny pokarm białkowy, dowodzi, że został poddany restrukturyzacji genetycznej i dopasowany do potrzeb ich metabolizmu. Ponadto, ponieważ ludzie na Lusitanii nie korzystają z urządzeń miotających, prosiaczki nie mogły poznać sposobów ich użycia drogą obserwacji. Nieuniknionym wnioskiem z tych danych będzie twierdzenie, że obserwowane aktualnie przemiany kulturowe prosiaczków są bezpośrednim rezultatem świadomej interwencji ludzkiej.”

Jednym z ludzi, którzy otrzymali raport Jane i przeczytali rozstrzygający akapit, był Gobawa Ekumbo, przewodniczący Ksenologicznego Komitetu Nadzorczego Gwiezdnego Kongresu. W ciągu godziny przekazał odpowiedzialnym osobom kopie tekstu Jane — politycy nigdy by nie zrozumieli znaczenia nieprzetworzonych danych — wraz ze zwięzłą sugestią: „Rekomendacja: Natychmiastowa likwidacja kolonii na Lusitanii”. No właśnie, pomyślała Jane. To powinno narobić trochę zamieszania.

ROZDZIAŁ 12

PLIKI

POLECENIE KONGRESU Nr 1970:4:14:0001: Licencja Kolonii na Lusitanii zostaje cofnięta. Wszystkie pliki kolonii będą odczytane, niezależnie od statusu zabezpieczenia. Po odczycie danych i trzykrotnym ich skopiowaniu w systemach pamięciowych Stu Światów, zarządza się całkowitą blokadę plików, z wyjątkiem bezpośrednio związanych z podtrzymywaniem warunków życia.

Zarządcę Lusitanii mianuje się Pełnomocnikiem Kongresu. Jego zadaniem jest bezwzględne wykonywanie rozkazów Komitetu Nadzorczego Ewakuacji Lusitanii, powołanego Poleceniem Kongresu Nr 1970:4:14:0002.

Statek kosmiczny, znajdujący się obecnie na orbicie Lusitanii, należący do Andrew Wiggina (zaw:mów/um,ob:ziemia,ewid:001.1998.44-94.10045), staje się własnością Kongresu zgodnie z Uchwałą o Należnej Rekompensacie, PK 120:1:31:0019. Statek posłuży do niezwłocznego przetransportowania ksenologów: Marcosa Vladimira „Miro” Ribeiry von Hesse i Ouandy Quenhatty Figueiry Mucumbi na najbliższą planetę, Trondheim, gdzie z oskarżenia Kongresu staną przed sądem w procesie o pozbawienie uprawnień, pod zarzutem zdrady, nadużycia, sprzeniewierzenia, fałszerstwa, oszustwa i ksenobójstwa, zgodnie z odpowiednimi artykułami Gwiezdnego Kodeksu i Poleceniami Kongresu.

POLECENIE KONGRESU Nr 1970:4:14:0002: Komitet Kontroli Eksploracji i Kolonizacji wyznaczy nie mniej niż 5 i nie więcej niż 15 osób dla utworzenia Komitetu Nadzorczego Ewakuacji Lusitanii.

Komitet ma za zadanie jak najszybsze zarekwirowanie i wysłanie odpowiedniej liczby statków kolonizacyjnych, w celu całkowitej ewakuacji populacji ludzkiej Kolonii Lusitanii. Komitet przedstawi także do zatwierdzenia przez Kongres plany dokładnego usunięcia wszelkich śladów obecności ludzi na planecie, w tym likwidacji miejscowej flory i fauny, zdradzającej zmiany genetyczne bądź behawioralne, będące wynikiem działalności ludzkiej. Komitet oceni ponadto stosowanie się mieszkańców Lusitanii do Poleceń Kongresu, we właściwych momentach informując o potrzebie dalszej interwencji, aż do użycia siły włącznie, dla wymuszenia posłuszeństwa, bądź też sugerując możliwość zdjęcia blokady z plików Lusitanii lub innych ustępstw jako nagrodę za współpracę.

POLECENIE KONGRESU Nr 1970:4:14:0003: Zgodnie z postanowieniami Aktu Tajności Gwiezdnego Kodeksu, powyższe polecenia i wszelkie związane z nimi informacje pozostaną ściśle tajnymi aż do zakończenia odczytu i zablokowania plików Lusitanii oraz przejęcia przez przedstawicieli Kongresu niezbędnych statków.

Olhado nic z tego nie rozumiał. Przecież Mówca był dorosłym mężczyzną. Czy nie podróżował z planety na planetę? A mimo to nie miał bladego pojęcia, jak wykonać na komputerze choćby najprostsze zadanie. W dodatku trochę się zdenerwował, gdy Olhado o to zapytał.

— Powiedz po prostu, jaki program mam uruchomić.

— Nie mogę uwierzyć, że nie wiesz. Przeprowadzałem porównania danych odkąd skończyłem dziewięć lat. Wszyscy się tego uczą w tym wieku.

— Olhado, już bardzo dawno skończyłem szkołę. W dodatku nie była to normalna escola baka.

— Ale przecież wszyscy korzystają z tych programów. Przez cały czas.

— Jak widzisz, nie wszyscy. Ja nie korzystam. Gdybym wiedział, jak to zrobić, nie musiałbym cię wynajmować. A ponieważ będę ci płacił z funduszy pozaplanetarnych, twoja pomoc istotnie poprawi ekonomię Lusitanii.

— Nie rozumiem.

— Ja też nie za bardzo, Olhado. Ale, skoro już o tym mowa, nie bardzo wiem, jak mam ci zapłacić.

— Przelewem ze swojego konta.

— Jak się to robi?

— Chyba żartujesz. Mówca westchnął, uklęknął przed chłopcem, ujął go za ramiona i powiedział:

— Błagam cię, Olhado, przestań się dziwić i pomóż mi. Są rzeczy, które muszę wykonać, a nie mogę tego zrobić bez pomocy kogoś, kto umie korzystać z komputerów.

— To przecież tak, jakbym cię okradał. Jestem tylko dzieckiem. Mam dwanaście lat! Quim bardziej by ci się przydał. Ma piętnaście i naprawdę się na tym zna. I jest lepszy z matematyki.

— Ale Quim uważa mnie za niewiernego i codziennie się modli, żebym umarł.

— Nie, tylko dopóki cię nie poznał. Tylko lepiej mu nie mów, że ci powiedziałem.

— Jak dokonać przelewu? Olhado wrócił do terminala i wywołał Bank.

— Jak się naprawdę nazywasz? — zapytał.

— Andrew Wiggin — Mówca przeliterował. Nazwisko wyglądało na pochodzące ze storku — może Mówca był jednym z tych szczęściarzy, którzy uczą się storku w domu, zamiast wkuwać go na lekcjach.

— W porządku. Jakie masz hasło?

— Hasło? Olhado oparł czoło o klawiaturę, wygaszając przy tym część ekranu.

— Tylko mi nie mów, że nie znasz swojego hasła.

— Posłuchaj mnie, Olhado. Miałem taki program, bardzo sprytny program, który pomagał mi w tym wszystkim. Mówiłem tylko: kup to i to, a program sam zajmował się finansami.

— To nielegalne! Nie wolno włączać programów pomocniczych tego typu do systemów publicznych! Czy do tego służy ta zabawka, którą nosisz w uchu?

— Tak, i dla mnie to nie było nielegalne.

— Straciłem oczy, Mówco, ale przynajmniej nie z własnej winy. I widzę, że niczego nie umiesz zrobić!

Dopiero kiedy to powiedział zdał sobie sprawę, że przemawia do Mówcy, jakby był jego szkolnym kolegą.

— Widzę, że uprzejmości uczą u was dopiero trzynastoletków — stwierdził Mówca. Olhado spojrział na niego — mężczyzna uśmiechał się. Ojciec zacząłby na niego krzyżeć, a potem chyba zbiłby mamę za to, że nie nauczyła dzieci dobrych manier. Ale przy ojcu Olhado nigdy by czegoś takiego nie powiedział.

— Przepraszam. Ale nie mogę dotrzeć do twojego konta bez hasła. Musisz wiedzieć, jakie ono jest, chociaż w przybliżeniu.

— Sprawdź moje imię. Olhado sprawdził. Nie działało.

— Spróbuj wpisać „Jane”.

— Nic. Mówca skrzywił się.

— Sprawdź „Ender”.

— Ender? Ksenobójca?

— Sprawdź. Udało się. Olhado nie rozumiał.

— Dlaczego masz takie hasło? To tak, jakbyś wybrał brzydki wyraz, tyle że komputer nie przyjmuje brzydkich wyrazów.

— Mam spalone poczucie humoru — wyjaśnił Mówca. — A mój program pomocniczy, jak go nazwałeś, ma jeszcze gorsze.

— Może i tak — zaśmiał się Olhado. — Program z poczuciem humoru... Na ekranie pojawił się bieżący stan konta. Olhado nigdy w życiu nie widział takiej dużej liczby.

— Widzę, że komputer naprawdę może robić kawały.

— Czy tyle mam pieniędzy?

— To na pewno pomyłka. — Wiesz, sporo podróżowałem na podświetlonej. Widocznie w tym czasie niektóre inwestycje przyniosły spore zyski. Więc liczby były prawdziwe. Mówca Umarłych był bogatszy, niż Olhado uznawał za możliwe.

— Wiesz co? — zaproponował. — Zamiast płacić mi dniówkę, daj po prostu część odsetek, jakie narosną w czasie, kiedy dla ciebie pracuję. Powiedzmy, jedną tysięczną procenta. Za parę tygodni będę mógł sobie kupić Lusitanię i przetransportować wierzchnią warstwę gleby na inną planetę.

— To nie aż tak dużo pieniędzy.

— Mówco, żeby z inwestycji osiągnąć taki zysk, musiałbyś mieć tysiąc lat.

— Hmm... — mruknął Mówca. Z wyrazu jego twarzy Olhado wywnioskował, że powiedział coś zabawnego.

— Czy masz tysiąc lat?

— Czas — odparł Mówca. — Czas jest rzeczą tak ulotną i niematerialną. Jak powiedział Shakespeare: Azaliż po to czas zabijałem, by teraz czas mnie zabijał?

— Co to znaczy „azaliż”?

— Tyle, co „czy”.

— To czemu cytujesz faceta, który nawet nie zna storku?

— Przelej na swój rachunek kwotę, jaką uznasz za uczciwą. I zabierz się do porównania plików roboczych Pipa i Liba z okresu kilku tygodni przed śmiercią.

— Są na pewno chronione.

— Wykorzystaj moje hasło. Powinno znieść blokadę.

Olhado zajął się wyszukiwaniem danych. Mówca Umarłych przez cały czas obserwował go uważnie, od czasu do czasu pytając, co robi. Z tych pytań Olhado wywnioskował, że Mówca wie o komputerach więcej od niego. Nie znał tylko

właściwych instrukcji; uczył się patrząc. Pod wieczór, gdy z porównania danych nic szczególnego nie wynikło, Olhado szybko się domyślił, czemu Mówca jest taki zadowolony. Wcale ci nie zależało na wynikach, pomyślał. Chciałeś tylko zobaczyć, jak się to robi. I wiem, czym będziesz się zajmował dziś w nocy, Andrew Wigginie: będziesz prowadził własne badania całkiem innych plików. Może i nie mam oczu, ale widzę więcej, niż sobie wyobrażasz. Głupio tylko, że robisz z tego tajemnicę. Czy nie wiesz, że jestem po twojej stronie? Nikomu nie powiem, że twoje hasło otwiera dostęp do plików osobistych. Nawet jeśli się włamiesz do zbiorów burmistrz albo biskupa. Przede mną nie musisz niczego ukrywać. Jesteś tutaj dopiero od trzech dni, ale poznałem cię już i polubiłem tak, że zrobię dla ciebie wszystko. Byle to nie zaszkodziło mojej rodzinie. Ale przecież nigdy nie skrzywdziłbyś mojej rodziny. Rano Novinha od razu wykryła próby włamania do jej plików. Mówca był arogancko otwarty i zdenerwowała się stwierdziwszy, jak daleko dotarł. Do niektórych zbiorów rzeczywiście uzyskał dostęp, choć ten najważniejszy — zapis symulacji, oglądanej przez Pipa — pozostał dla intruza zamknięty. Najbardziej rozżłościło ją, że nawet nie próbował się kryć. Jego imię wypisane było na każdym katalogu dostępu, nawet w miejscach, gdzie każde dziecko potrafiłoby je zmienić lub wykasować.

Nie pozwoli, by przeszkodziło jej to w pracy, postanowiła. Pakuje się do swojego domu, zajmuje się dziećmi, pcha nos do moich plików — zupełnie, jakby miał prawo...

I tak dalej, i dalej, aż zdała sobie sprawę, że nic nie robi, tylko układa w myślach, co mu powie następnym razem, by brzmiało to możliwie jadownicie. Nie myśl o nim. Myśl o czym innym.

Miro i Ela poprzedniej nocy. Roześmiani. Pomyśl o tym. Oczywiście, rano Miro znowu był posępny, jak zwykle, a Ela, której radość trwała trochę dłużej, wkrótce stała się zmartwiona, zapracowana, drażliwa i niezastąpiona jak zawsze. Grego mógł płakać i obejmować tego mężczyznę, jak twierdziła Ela, ale rano znalazł gdzieś nożyczki i pociął swoją pościel na wąskie, równe paski, a w szkole zaatakował głową krocze brata Adornai, powodując nagłą przerwę w lekcjach i poważną rozmowę z Doną Cristą. To tyle, jeśli chodzi o uzdrawiający dotyk Mówcy. Wyobraża sobie, że wejdzie do mojego domu i naprawi wszystko, co jego zdaniem zrobiłam źle. Szybko się przekona, jak długo goją się niektóre rany.

Z drugiej strony jednak, Dona Crista powiedziała też, że Quara naprawdę przemówiła w klasie do siostry Babei, przed wszystkimi dziećmi. I dlaczego? Żeby powiedzieć, że spotkała okropnego, straszego Falante pelos Mortos, że ma na imię Andrew, i że jest dokładnie taki paskudny, jak opowiadał biskup Peregrino, a może nawet gorszy, bo męczył Grega, aż ten zaczął płakać — aż wreszcie siostra Babei kazała jej zamilknąć. To niezwykle, jak potrafił wyrwać Quarę z izolacji.

I Olhado, zawsze taki oddalony, taki nieśmiały... a wczoraj, przy kolacji, cały czas opowiadał o Mówcy. Wiesz, że on nie ma pojęcia, jak przelać pieniądze? I nie

uwierzyłabyś, jakie ma okropne hasło... myślałem, że komputery odrzucają takie słowa... nie, nie mogę ci powiedzieć, to tajemnica... musiałem go uczyć, jak się wyszukuje dane... ale sądzę, że zna się na komputerach; nie jest idiotą ani nikim takim... mówił, że korzystał z programu pomocniczego i dlatego nosi ten kamyk w uchu... i powiedział, że mogę sobie wypłacić, ile zechcę, chociaż nie ma tu wiele do kupienia, ale mógłbym zaoszczędzić do czasu, kiedy już będę dorosły... myślę, że on jest naprawdę stary. I że pamięta rzeczy, które się zdarzyły bardzo dawno temu. Moim zdaniem stark jest jego językiem ojczystym, niewielu ludzi na Stu Światach dorasta mówiąc starkiem, więc może urodził się na Ziemi?

Aż wreszcie Quim wrzasnął na niego, żeby przestał opowiadać o tym słudze piekieł, bo powie biskupowi, żeby odprawił egzorcyzmy, gdyż Olhado jest najwyraźniej opętany. A kiedy Olhado uśmiechnął się tylko i mrugnął, Quim wybiegł z kuchni, wybiegł z domu i wrócił dopiero w nocy. Mówca mógłby właściwie z nami mieszkać, myślała Novinha, skoro oddziałuje na rodzinę nawet kiedy jest nieobecny. A teraz próbuje się dostać do moich plików, ale na to nie pozwolę.

Tyle że — jak zwykle — to tylko moja wina. Ja go tu wezwałam. Ja wyrwałam go z miejsca, które nazywał domem... mówił, że zostawił tam siostrę... na Trondheimie... to moja wina, że tkwi w tym żalonym miasteczku na głębokiej prowincji Stu Światów, otoczony ogrodzeniem, które i tak nie przeszkadza prosiaczkom zabijać każdego, kogo pokocham...

I znowu pomyślała o Miro, tak podobnym do swego prawdziwego ojca, że nie mogła pojąć, czemu nikt nie oskarżył jej o cudzołóstwo... Wyobraziła sobie, jak leży na ziemi — tak, jak leżał Pipo, i jak prosiaczki rozcinają go strasznymi, drewnianymi nożami. Tak będzie. Nieważne, co zrobię, one go zabiją. A nawet jeśli nie, wkrótce nadejdzie dzień, gdy będzie dorosły i zechce ożenić się z Ouandą, a wtedy będę musiała mu powiedzieć, kim jest naprawdę i dlaczego nie mogą się pobrać. Wtedy się dowie, że zasłużyłam na ból, jaki zadawał mi Cao, który był tylko narzędziem w ręku Boga, karzącym mnie za moje grzechy... Nawet ja, myślała Novinha. Ten Mówca zmusił mnie do zastanawiania się nad sprawami, które ukrywałam przed sobą tygodniami, czasem i miesiącami. Jak dawno temu spędziłam przedpołudnie myśląc o swoich dzieciach? I to z nadzieją? Kiedy ostatnio pozwoliłam sobie myśleć o Pipie i Libie? Jak wiele czasu minęło od dnia, kiedy zauważyłam, że naprawdę wierzę w Boga, przynajmniej w tego mściwego, karzącego Boga Starego Testamentu, który ruchem warg niszczył całe miasta, bo nie oddawały mu czci? Jeśli Chrystus cokolwiek osiągnął, to ja nic o tym nie wiem.

W ten sposób mijały godziny. Novinha nic nie robiła, a jej myśli także nie prowadziły do żadnych wniosków. Po południu przed drzwiami stanął Quim.

— Przepraszam, że ci przeszkadzam, mamó.

— Nieważne — odparła. — I tak jestem dzisiaj do niczego.

— Wiem, że nie dbasz o to, że Olhado spędza czas z tym szatańskim pomiotem.

Pomyślałem jednak, że powinnaś wiedzieć: Quara poszła do niego zaraz po szkole. Do jego domu.

— Naprawdę?

— Czy może to też cię nie obchodzi, mamó? Może planujesz przewrócić kołdrę i pozwolić mu całkiem zająć miejsce ojca? Novinha zerwała się na nogi i z zimną pasją podeszła do syna. Cofnął się szybko.

— Wybacz mi, mamó. Byłem wściekły...

— Przez wszystkie lata małżeństwa z twoim ojcem ani razu nie pozwoliłam mu podnieść ręki na moje dzieci. Jednak gdyby żył dzisiaj, sama bym go poprosiła, żeby spuścił ci tanie.

— Mogłabyś — oświadczył wyzywająco. — Ale zabiłbym go, zanim bym mu pozwolił się dotknąć. Może ty lubisz, kiedy cię biją, ale mnie nikt nigdy nie uderzy! To nie była świadoma decyzja; dłoń zatoczyła łuk i trafiła go w twarz, zanim Novinha zdała sobie sprawę z tego, co robi.

Uderzenie nie mogło zboleć zbyt mocno, jednak natychmiast wybuchnął płaczem i osunął się na podłogę, siadając plecami do matki.

— Przepraszam, przepraszam... — szeptał przez łzy.

Uklękła i niezgrabnie objęła go za ramiona. Przyszło jej do głowy, że przytuliła go ostatnim razem, gdy był w wieku Grega. Kiedy stałam się taka zimna? I dlaczego, kiedy dotknęłam go znowu, było to uderzenie zamiast pocałunku?

— Ja też jestem zmartwiona tym, co się dzieje — powiedziała.

— On wszystko psuje — oświadczył Quim. — Przyleciał do nas i od razu wszystko się zmienia.

— Wiesz, Estevao, nie było nam tak cudownie, by odrzucać zmianę.

— Ale nie taką. Spowiedź, pokuta i rozgrzeszenie — takiej zmiany nam trzeba. Nie pierwszy raz Novinha pozazdrościła Cjuimowi wiary w kapłańską moc odpuszczania grzechów. To dlatego, że nigdy nie zgrzeszyłeś, synu. Dlatego, że nie zdajesz sobie sprawy z niemożności pokuty.

— Chyba będę musiała porozmawiać z tym Mówcą — stwierdziła.

— I zabrać Quarę do domu?

— Nie wiem. Trudno nie zauważyć, że to on skłonił ją znowu do mówienia. Zresztą, ona chyba wcale go nie lubi. Nie ma dla niego nawet jednego dobrego słowa.

— Więc czemu tam poszła?

— Pewnie żeby mu powiedzieć coś brzydkiego. Musisz przyznać, że to znaczna poprawa w stosunku do jej milczenia.

— Diabeł maskuje się, pozornie czyniąc dobro, by potem...

— Quim, nie potrzebuję wykładów z demonologii. Zaprowadź mnie do domu Mówcy, a ja z nim porozmawiam.

Poszli ścieżką wzdłuż zakola rzeki. Węże wodne zrzucały łuski, więc ziemia była

śliska od kawałków mokrego drzewa i strzępów gnijącej skóry. To moje kolejne zadanie, pomyślała Novinha. Muszę odgadnąć, co wprawia w ruch te paskudne, małe potworki, a wtedy uda mi się może wykorzystać je do czegoś pożytecznego. A przynajmniej sprawić, że nie będą brudzić i smrodzić na brzegu przez sześć tygodni każdego roku. Jedynym plusem było to, że skóry użyźniały chyba glebę; miękka rzeczna trawa rosła najgęściej tam, gdzie przebywały węże. Ta trawa była jedyną łagodną i delikatną formą tutejszego życia; przez całe lato ludzie przychodzili na brzeg, by leżeć na wąskim pasie naturalnego trawnika pomiędzy trzcina a suchą trawą prerii. Śluz węzowych skór, choć nieprzyjemny, krył w sobie obietnice lepszej przyszłości. Quim, najwyraźniej, myślał o tym samym.

— Mamo, moglibyśmy kiedyś posadzić trochę rzecznej trawy koło domu.

— To jedna z pierwszych rzeczy, których próbowali twoi dziadkowie, bardzo dawno temu. Ale nie wiedzieli, jak to zrobić. Rieczna trawa zostaje zapyłona, ale nie daje nasion, a kiedy ją przeszczepili, rosła przez jakiś czas, po czym wymierała i nie odrastała w następnym roku. Przypuszczam, że rozwija się tylko w pobliżu wody.

Quim skrzywił się i przyspieszył kroku, wyraźnie poirytowany. Novinha westchnęła. Dla Quima fakt, że Wszechświat nie zachowywał się tak, jak on by sobie życzył, był czymś w rodzaju osobistej obrazy.

Wkrótce potem dotarli do domu Mówcy. Naturalnie, na prac'a bawiły się dzieci. Rozmawiali głośno, żeby w tym zgiełku słyszeć własne słowa.

— Tu tutaj — oświadczył Quim. — Uważam, że powinnaś stąd zabrać Olhada i Quarę.

— Dzięki, że pokazałeś mi, gdzie mieszka.

— Wcale nie żartuję. To starcie dobra ze złem.

— Jak zawsze — stwierdziła Novinha. — Kłopoty sprawia jedynie rozpoznanie, które z nich jest którym. Nie, nie, Quim, wiem, że możesz mi to wyjaśnić szczegółowo, ale...

— Nie bądź taka protekcyjna, mamo.

— Ależ Cjuim, to przecież naturalne, jeśli wziąć pod uwagę, jak często ty przemawiasz do mnie protekcyjnie. Zagryzł wargi.

Wyciągnęła rękę i dotknęła go nieśmiało i delikatnie; naprężył mięśnie, jakby jej dłoń była jadowitym pajakiem.

— Quim — poprosiła. — Nigdy nie próbuj mnie uczyć, co jest dobre, a co złe. Ja tam byłam, a ty tylko oglądałeś mapę.

Strącił z ramienia dłoń i odszedł. Czasami tęsknię do dni, kiedy całymi tygodniami nie odzywaliśmy się do siebie.

Głośno klasnęła w dłonie. Po chwili ktoś otworzył drzwi. To była Quara.

— Oi, Maezinha — powiedziała. — Tambem veio jogar? Też przyszedł się bawić?

Olhado i Mówca rozgrywali na terminalu jakąś bitwę. Mówca dostał maszynę z polem holograficznym większym i dokładniejszym, niż typowe urządzenia. Obaj

gracze operowali eskadrami ponad dziesięciu jednostek równocześnie. Rozgrywka była bardzo skomplikowana i żaden z nich nie podniósł głowy ani się nie przywitał.

— Olhado kazał siedzieć cicho, bo wyrwie mi język i każe go zjeść w kanapce — oznajmiła Quara. — Lepiej się nie odzywaj, dopóki nie skończą.

— Siadaj, proszę — mruknął Mówca.

— Zaraz cię dorżnę — zawołał Olhado.

Większa część floty Mówcy zniknęła w serii symulowanych eksplozji. Novinha przysiadła na stołku. Quara usadowiła się obok, na podłodze.

— Słyszałam, jak rozmawiacie z Quimem pod drzwiami — powiedziała. — Krzyczeliście, więc wszystko było słychać.

Novinha poczuła, jak się rumieni. To denerwujące, że Mówca słyszał kłótnię z synem. To nie jego interes. Nic, co dotyczy jej rodziny, nie powinno go obchodzić. A już z pewnością nie aprobowwała gier strategicznych. Zresztą, i tak były archaiczne i niemodne. Od setek lat nie stoczono żadnej bitwy w przestrzeni, chyba że liczyć potyczki z przemytnikami. Milagre było tak spokojne, że nikt tutaj nie miał nawet broni groźniejszej niż elektryzer konstabla. Olhado nigdy w życiu nie zobaczy bitwy. A tutaj dał się wciągnąć w symulowaną wojnę. Może to ewolucja wbudowała samcom pragnienie, by roznosić przeciwnika w drobne strzępki albo wgniatać go w ziemię. A może przemoc, jaką oglądał w domu sprawiła, że zasiadł do gry. Moja wina. Jeszcze raz moja wina. Nagle Olhado krzyknął rozpaczliwie, a jego flota rozpadła się w serii wybuchów.

— Nic nie zauważyłem! Nie mogę uwierzyć, że ci się udało! Niczego się nie spodziewałem!

— Nie ma co krzyżeć — odparł Mówca. — Przegraj sobie rozgrywkę i zobacz, jak to zrobiłem. Następnym razem będziesz mógł kontrować.

— Myślałem, że Mówcy są czymś w rodzaju duchownych. Gdzie się nauczyłeś taktyki? Zanim odpowiedział, Mówca uśmiechnął się znacząco w stronę Novinhy.

— Czasem trzeba stoczyć niemal bitwę, by skłonić ludzi do wyznania prawdy. Olhado oparł się o ścianę i zamknął oczy, odtwarzając przebieg końcowej części starcia.

— Szpiegowałeś — oświadczyła Novinha. — I to niezbyt wprawnie. Czy wśród Mówców Umarłych właśnie to uchodzi za „taktykę”?

— Sprawiała, że przyszałaś, prawda? — uśmiechnął się Mówca.

— Czego szukałeś w moich plikach?

— Przybyłem, by Mówić o śmierci Pipa.

— To nie ja go zabiłam. Moje pliki nie powinny cię obchodzić.

— Ty mnie wezwiałaś.

— Zmieniłam zdanie. Przykro mi. Nie daje ci to prawa do... Zniżył głos, klękając przed nią, by mogła usłyszeć słowa.

— Pipa dowiedział się czegoś od ciebie, a cokolwiek to było, prosiaczki zabiły go z tego właśnie powodu. Zablokowałam więc swoje zbiory, by nikt więcej nie mógł tego odkryć. Nie zgodziłam się nawet wyjść za Liba, żeby nie uzyskał dostępu do tych danych. Zmarnowałam i zniszczyłam swoje życie i życie wszystkich, których kochałam, by Libo i teraz Miro nie poznali tej tajemnicy i nie zginęli.

Novinha czuła, że ogarnia ją chłód, że drżą jej dłonie i stopy. Był tu dopiero od trzech dni, a już wiedział więcej, niż ktokolwiek prócz Liba choćby się domyślał.

— Posłuchaj mnie. Dona Ivanova. To się nie udało. Przecież Libo zginął i tak. Czymkolwiek jest twój sekret, dochowanie go nie ocaliło mu życia. Nie ocali też Mira. Ignorancja i kłamstwo nie pomogą nikomu. Tylko wiedza może kogoś uratować.

— Nigdy — szepnęła.

— Rozumiem, że ukrywałaś to przed Libem i Mirem, ale ja? Jestem dla ciebie nikim, więc co ci przeszkadza, że poznam tę tajemnicę, a ona mnie zabije?

— Twoje życie lub śmierć nie mają znaczenia — odparła. — Ale nigdy nie uzyskasz dostępu do moich plików.

— Chyba nie rozumiesz, że nie masz prawa zawiązywać ludziom oczu. Twój syn i jego siostra codziennie spotykają się z prosiaczkami i przez ciebie nie wiedzą, czy ich następne słowo lub czyn nie będą wyrokiem śmierci. Jutro pójdę wraz z nimi, ponieważ nie mogę mówić o śmierci Liba, nie rozmawiając wcześniej z prosiaczkami.

— Nie chcę, byś mówił o śmierci Pipa.

— Nie interesuje mnie, czego chcesz. Nie robię tego dla ciebie. Ale błagam, byś mi zdradziła, o czym wiedział Pipa.

— Nigdy się tego nie dowiesz, bo Pipa był dobrym, delikatnym, kochanym człowiekiem, który...

— Który przygarnął samotną, przerażoną dziewczynkę i uleczył rany jej serca — mówiąc to położył dłoń na ramieniu Cjuary. Tego Novinha nie mogła już znieść.

— Jak śmiesz się z nim porównywać! Quara nie jest sierotą, słyszysz! Ma matkę, mnie, i nie potrzebuje ciebie, nikt z nas cię nie potrzebuje, nikt!

A potem, sama nie wiedząc jak, rozplakała się. Nie chciała płakać w jego obecności. On wszystko mieszał. Potykając się podeszła do drzwi i zatrzasnęła je za sobą. Quim miał rację. On był jak diabeł. Wiedział zbyt wiele, wymagał zbyt wiele, oddawał zbyt wiele i już teraz za bardzo był im potrzebny. W jaki sposób zdobył nad nimi taką władzę w tak krótkim czasie?

I wtedy przyszła jej do głowy myśl, która w jednej chwili osuszyła łzy i wypełniła ją przerażeniem. On powiedział, że Miro i jego siostra codziennie spotykają się z prosiaczkami. Wiedział. Poznał wszystkie sekrety.

Wszystkie, prócz tego, którego sama nie знаła, który Pipa odkrył jakoś w jej symulacji. Jeśli i tego się domyśli, zdobędzie wszystko, czego przez tyle lat broniła.

Wzywając Mówcę Umarłych chciała, by odkrył prawdę o śmierci Pipa; tymczasem on przybył i poznał prawdę o niej.

Trzasnęły drzwi. Ender oparł łokcie na stołku, gdzie siedziała jeszcze przed chwilą. Ukrył twarz w dłoniach. Słyszał, jak Olhado wstaje i zbliża się do niego.

— Próbowałeś dostępu do plików mamy — stwierdził spokojnie.

— Tak — odparł Ender.

— Nauczyłeś się ode mnie technik przeszukiwania, żeby szpiegować moją własną matkę. Zrobiłeś ze mnie zdrajcę.

Żadne wyjaśnienie nie zadowoliłoby teraz Olhada. Ender nawet nie próbował. Patrzył w milczeniu, jak chłopiec otwiera drzwi i wychodzi.

Lecz dla królowej kopca jego wzburzenie nie było milczeniem. Czuł, jak drży w jego umyśle, przyciągana niepokojem. Nie, odpowiedział jej bezgłośnie. Nic nie możesz zrobić, niczego nie mogę d wytłumaczyć. To ludzkie sprawy, niezwykle i obce problemy, przekraczające możliwość pojmovania.

«Aha.» I poczuł, jak dotyka jego umysłu, niby lekka bryza wśród liści; czuł siłę i żywotność przebijającego się w górę drzewa, mocny uchwyt korzeni w glebie, delikatną grę słonecznych promieni na czułych liściach. «Spójrz, czego się od niego nauczyliśmy, Ender; popatrz, jaki osiągnął spokój.»

Uczucie zniknęło, gdy królowa kopca wycofała się z jego mózgu. Pozostała moc drzewa, a chłód jego spokoju zastąpił mękę milczenia.

Wszystko trwało tylko jedną chwilę — trzask zamkniętych przez Olhada drzwi wciąż trwał w pokoju. Obok Quara zerwała się na nogi i podbiegła do jego łóżka. Wskoczyła na nie i odbiła się kilka razy.

— Wytrzymałeś tylko parę dni — oznajmiła wesoło. — Teraz wszyscy cię nienawidzą. Ender spojrzał na nią i zaśmiał się ponuro.

— A ty?

— Oczywiście — odparła. — Ja nienawidziłam cię pierwsza. No, może po Quimie. Zsunęła się z łóżka i podeszła do terminala. Wolno, wciskając jeden klawisz po drugim, uruchomiła go. W powietrzu pojawiła się seria słupków.

— Chcesz zobaczyć, jak liczę? Ender podszedł do niej.

— Pewno — powiedział. — Ale to wygląda na trudne zadanie.

— Nie dla mnie — oświadczyła z dumą. — Dodaję najszybciej w całej szkole.

ROZDZIAŁ 13

EU

MIRO: Prosiaczki nazywają siebie mężczyznami, ale mamy na to jedynie ich słowo.

OUANDA: Czemu mieliby kłamać?

MIRO: Wiem, że jesteś młoda i naiwna, ale sama rozumiesz, że brak im odpowiedniego wyposażenia.

OUANDA: Zdawałam antropologię fizyczną. Kto powiedział, że muszą to robić tak, jak my?

MIRO: Najwyraźniej tak nie jest. (Jeśli już o tym mowa, to MY wcale tego nie robimy.)

Chyba się domyślam, gdzie mają genitalia. Te obrzmienia na brzuchach, gdzie włosy są jasne i cienkie.

OUANDA: Szczątkowe sutki. Ty też je masz.

MIRO: Wczoraj obserwowałem Liściojada i Gliniaka. Stałem dziesięć metrów od nich, więc nie widziałem DOKŁADNIE, ale Gliniak głąskał brzuch Liściojada i te obrzmienia chyba się zwiększyły.

OUANDA: A może i nie.

MIRO: Jedno wiem na pewno. Brzuch Liściojada był wilgotny — słońce odbijało się od niego.

I wyraźnie mu się to podobało.

OUANDA: To perwersja.

MIRO: Dlaczego nie? Są przecież kawalerami, prawda? Są dorośli, ale tak zwane żony nie wprowadziły ich jeszcze w rozkosze ojcostwa.

OUANDA: Uważam, że spragniony seksu Zenador przenosi własne frustracje na przedmioty badań.

*Marcos Vladimir „Miro” Ribeira von Hesse i Ottona Quenhatta
Figueira Mucumbi, Notatki robocze, 1970:1:4:30*

Na polance nikt się nie poruszał. Miro od razu dostrzegł, że dzieje się coś niedobrego. Prosiaczki niczego nie robiły. Po prostu stały czy siedziały tu i tam. W milczeniu, jakby nie oddychały. Wpatrzona w ziemię.

Wszystkie, prócz Człowieka, który wynurzył się z lasu i wolno, sztywnym krokiem wyszedł do przodu. Miro poczuł, że Ouanda przyciska łokieć do jego biodra; nie spojrzał na nią jednak.

Wiedział, że myśli to samo, co on: czy nadeszła już chwila, gdy nas zabiją, jak zabili Pipa i Liba? Przez kilka minut Człowiek przyglądał im się nieruchomo. Długie oczekiwanie denerwowało, ale Miro i Ouanda dobrze znali dyscyplinę. Nic nie mówili, nawet ich twarze nie zmieniły spokojnego, obojętnego wyrazu, jaki ćwiczyli od lat. Sztuka niekomunikacji była pierwszą, jaką musieli poznać, zanim Libo pozwolił im wyjść ze sobą do lasu. Dopóki ich twarze nie przestały wyrażać czegokolwiek, dopóki choćby pocili się w warunkach emocjonalnego napięcia, żaden prosiaczek nie mógł ich zobaczyć. Jakby to do czegoś prowadziło — Człowiek zbyt sprawnie zmieniał uniki w odpowiedzi, z pustych zdań wnioskował o faktach. Nawet ich absolutny spokój informował z pewnością o strachu. Jednak nie istniało wyjście z tego błędnego kręgu. Każde działanie było komunikacją.

— Okłamaliście nas — oświadczył Człowiek.

Nie odpowiadaj, prosił bezgłośnie Miro. Ouanda milczała, jakby usłyszała. Z pewnością myślała do niego to samo.

— Korzeniak twierdzi, że Mówca Umarłych chce nas odwiedzić.

Ten wybieg prosiaczków mógł doprowadzić do szału. Ile razy mieli do powiedzenia coś obraźliwego, zawsze zrzucali to na nieżyjącego prosiaczka, który nie mógł tego powiedzieć. Z pewnością w grę wchodził jakiś religijny rytuał: idź do drzewa-totemu, zadaj kluczowe pytanie, połóż się i obserwuj liście albo pień albo cokolwiek, aż otrzymasz dokładnie taką odpowiedź, jakiej oczekujesz.

— Nigdy nie twierdziliśmy, że jest inaczej. Ouanda zaczęła oddychać odrobinę szybciej.

— Powiedzieliście, że nie przyjdzie.

— To prawda — przyznał Miro. — Nie przyjdzie. Musi przestrzegać prawa, jak wszyscy inni. Gdyby próbował bez zezwolenia przekroczyć bramę...

— To kłamstwo. Miro umilkł.

— Takie jest prawo — odezwała się cicho Ouanda.

— Prawo było już łamane — odparł Człowiek. — Moglibyście go przyprowadzić, ale nie chcecie. Wszystko zależy od tego, czy tu przyjdzie. Korzeniak twierdzi, że jeśli nie, to królowa kopca nie będzie mogła ofiarować nam swych darów.

Miro stłumił irytację. Królowa kopca! Czy nie tłumaczył prosiaczkom chyba z dziesięć razy, że wszystkie robale zginęły? A teraz martwa królowa kopca przemawia do nich, tak samo jak martwy Korzeniak. Stosunki z prosiaczkami byłyby o wiele prostsze, gdyby nie przyjmowali rozkazów od umarłych.

— Takie jest prawo — powtórzyła Ouanda. — Gdybyśmy go choćby poprosili, żeby przyszedł, mógłby na nas donieść i wtedy już nigdy byśmy się nie spotkali.

— Nie doniesie na was. Chce przyjść.

— Skąd wiecie?

— Korzeniak powiedział.

Bywały chwile, gdy Miro miał ochotę zrębać totemiczne drzewo, które wyrosło w miejscu śmierci Korzeniaka. Może przestaliby się powoływać na jego słowa. Chociaż, pewnie wtedy nazwaliby tym imieniem inne drzewo, a wściekli się i tak. Nie próbuj sugerować, że wątpisz w ich dogmaty religijne — tak brzmiała podręcznikowa zasada, znana wszystkim ksenologom; nawet antropolodzy to wiedzieli.

— Spytajcie go — powiedział Człowiek.

— Korzeniaka? — zdziwiła się Ouanda.

— Z wami nie będzie rozmawiał — odparł Człowiek pogardliwie. — Spytajcie Mówcę, czy przyjdzie.

Miro czekał na odpowiedź Ouandy. Wiedziała przecież, co on o tym sądzi. Kłócili się na ten temat co najmniej dziesięć razy w ciągu ostatnich dwóch dni. To dobry człowiek, mówił Miro. To oszust, odpowiadała Ouanda. Był dobry dla maluchów... Tak, jak sprawcy czynów lubieżnych... Ja mu wierzę... Jesteś więc durniem... Można mu zaufać... Zdradzi nas... Rozmowa zawsze kończyła się niczym.

Prosiaczki jednak zmieniały układ. Prosiaczki dodały wagi argumentom Mira. Zwykle, gdy domagały się rzeczy niemożliwych, pomagał jej w dyskusji. Ale rzecz nie była niemożliwa i nie miał ochoty na sprzeciw. Dlatego milczał. Przyciśnij ją, Człowieku, bo masz rację i tym razem Ouanda musi ustąpić. Nie mogąc liczyć na pomoc Mira, Ouanda czuła się osamotniona i wycofała się nieco.

— Może gdybyśmy doprowadzili go tylko do skraju lasu...

— Przyprawdźcie go tutaj — upierał się Człowiek.

— Nie możemy. Popatrzcie na siebie. Nosicie ubrania. Robicie garnki. Jecie chleb.

— Owszem — uśmiechnął się Człowiek. — To wszystko prawda. Przyprawdźcie go.

— Nie.

Miro drgnął i cofnął rękę, zanim dotknął Ouandy. To była jedyna rzecz, której dotąd nie zrobili — ostra odmowa spełnienia prośby. Zawsze powtarzali: „Nie możemy, ponieważ...” albo „Chcielibyśmy, ale...” Teraz powiedziała coś, co oznaczało: nie zrobię tego. Ja, osobiście, odmawiam. Uśmiech Człowieka zbladł.

— Pipó powiedział nam, że kobiety nie rozkazują. Pipó powiedział, że ludzkie kobiety i mężczyźni decydują wspólnie. Dlatego nie możesz powiedzieć „nie”, jeśli on także tego nie powie — spojrzał na Mira. — Czy mówisz: nie? Miro milczał. Czuli na biodrze ucisk łokcia Ouandy.

— Nie chcę, żebyś nic nie mówił — oświadczył Człowiek. — Masz powiedzieć: tak albo: nie. Miro nadal nie odpowiadał.

Kilku prosiaczków powstało. Miro nie wiedział, co planują, ale sam ruch w połączeniu z nieprzeniknionym milczeniem ksenologa wydawał się groźny. Ouanda, która nigdy nie ustąpiłaby przed groźbą, ugięła się wobec możliwego zagrożenia życia Mira.

— On mówi: tak — szepnęła.

— On mówi: tak, ale dla ciebie milczy. Ty mówisz: nie, ale nie chcesz zamilczeć dla niego — Człowiek wygarnął palcem z ust porcję gęstego śluzu i strzepnął go na ziemię. — Jesteś niczym.

Nagle skoczył w górę, wykręcił salto w tył, obróciwszy się w powietrzu wylądował plecami do ksenologów i odszedł. Pozostałe prosiaczki ożyły natychmiast i ruszyły za nim. Prowadził je między drzewa, oddalając się od Mira i Ouandy.

Niespodziewanie Człowiek zatrzymał się. Inny prosiaczek, zamiast iść za nim, stanął blokując drogę. Był to Liściojad. Jeśli on albo Człowiek coś mówili, Miro tego nie słyszał. Nie widział, by poruszali ustami. Zauważył jednak, jak Liściojad wyciągnął rękę, by dotknąć brzucha Człowieka. Dłoń pozostała przez chwilę w bezruchu, po czym Liściojad odwrócił się i odbiegł w krzaki, niby jakiś młodzik. Po chwili inni zniknęli także.

— To była walka — stwierdził Miro. — Człowiek i Liściojad. Stoją po przeciwnych stronach.

— Czego? — spytała Ouanda.

— Chciałbym to wiedzieć. Mogę się tylko domyślać. Jeśli sprowadzimy Mówcę, zwycięży Człowiek. Jeśli nie, wygra Liściojad.

— Co wygra? Jeśli przyprowadzimy Mówcę, on nas zdradzi i wtedy wszyscy przegramy.

— On nas nie zdradzi.

— Niby dlaczego, jeśli nawet ty mnie zdradziłeś? Głos ciął jak pejcz i Miro niemal krzyknął z bólu, jaki sprawił jej słowa.

— Ja cię zdradziłem? — szepnęła. — Eu nao. Jamais. Ja nie. Nigdy.

— Ojciec zawsze powtarzał: bądźcie jednością wobec prosiaczków, nie pozwólcie, by widzieli, że nie zgadzacie się ze sobą. A ty...

— Ja? Nie powiedziałem im: tak. To ty powiedziałaś: nie, ty zajęłaś stanowisko, z którym się nie zgadzałem. Wiedziałaś o tym.

— A kiedy się nie zgadzamy, masz...

Urwała. Dopiero teraz zdała sobie sprawę z własnych słów. Jednak Miro wiedział, co chciała powiedzieć. Miał robić, co mu kazała, póki nie zmieni zdania. Jakby był jej uczniem.

— A myślałem, że pracujemy razem... Odwrócił się i odszedł lasem w stronę Milagre.

— Miro! — krzyknęła. — Miro, ja nie chciałam... Zaczekał, aż go dogoni, po czym chwycił ją za ramię i syknął:

— Nie wrzeszcz! Chyba, że cię nie obchodzi, czy prosiaczki nas słyszą, czy nie. Czy może mistrz Zenador uznał, że teraz mogą już słyszeć wszystko, nawet mistrza strofującego ucznia?

— Nie jestem mistrzem. Ja...

— To prawda, nie jesteś — odwrócił się i ruszył dalej.

— Ale Libo był moim ojcem, więc naturalnie jestem...

— Zenadorem z urodzenia — dokończył. — Prawo krwi, tak? A ja kim jestem z urodzenia? Pijakiem i kretynem bijącym żonę? — ujął ją za ramiona i ścisnął boleśnie. — Czy za kogoś takiego mnie uważasz? Za pomniejszoną kopię mojego paizinho?

— Puść! Odepchnął ją.

— Twój uczeń sądzi, że zachowałaś się dzisiaj głupio. Twój uczeń uważa, że powinnaś zaufać jego sądom o Mówcy i jego ocenie, jak bardzo prosiaczkom na nim zależy, gdyż w obu tych sprawach popełniłaś kretyńskie błędy, które, być może, będą kosztowały życie Człowieka. Było to straszne oskarżenie, ale tego właśnie oboje się lękali: że Człowiek skończy tak, jak Korzeniak, jak inni przez te lata — poćwiartowany, z młodym pędem wyrastającym ze zwłok. Wiedział, że jest niesprawiedliwy, i że będzie miała rację, jeśli się wścieknie. Nie miał prawa jej

oskarżać, gdyż żadne z nich wcześniej nie wiedziało, czym ryzykuje Człowiek. Ouanda jednak nie była wściekła. Uspokoiła się wyraźnie, oddychała równo i spoważniała. Miro poszedł za jej przykładem.

— Najważniejsze — stwierdziła Ouanda — to nie tracić głowy. Egzekucje odbywały się zawsze nocą. Jeśli mamy ocalić Człowieka, to musimy ściągnąć tu Mówcę dziś po południu, przed zmrokiem.

— To prawda — Miro kiwnął głową. — Przepraszam.

— Ja też cię przepraszam — powiedziała.

— Ponieważ nie wiemy, co robimy, nikt nie będzie winien, jeśli coś zrobimy niewłaściwie.

— Chciałabym tylko wierzyć, że właściwy wybór jest w ogóle możliwy. Ela siedziała na gładzie i moczyła nogi w wodzie, czekając aż przyjdzie Mówca Umarłych. Ogrodzenie wznosiło się ledwie kilka metrów dalej, ponad stalową kratą, nie pozwalającą ludziom przepływać dołem. Tak, jakby ktokolwiek chciał tego spróbować. Większość ludzi w Milagre udawała, że ogrodzenie nie istnieje. Nigdy się do niego nie zbliżali. Dlatego umówiła się właśnie tutaj. Dzień był ciepły i trwały już wakacje. Jednak dzieci nie pływały w Vila Ultima, w miejscu, gdzie ogrodzenie przecinało rzekę, a las zbliżał się do ogrodzenia. Pojawiali się jedynie mydlarze, garncarze i wytwórcy cegieł, ale i ci odchodzili zaraz po skończeniu pracy. Ela mogła powiedzieć, co miała do powiedzenia nie obawiając się, że ktoś usłyszy albo przeszkodzi.

Nie czekała długo. Mówca przyплыł małą łódką, jak farmerzy z drugiego brzegu, którzy nie korzystali z dróg. Skórę na plecach miał szokująco białą; nawet Lusos o cerze tak jasnej, że nazywano ich „loiros”, byli o wiele smaglejsi od niego. Ta bladość sprawiała, że zdawał się mały i słaby. Zauważyła jednak, jak szybko, choć pod prąd, płynie łódź, jak równo zanurzają się wiosła za każdym płynnym pociągnięciem, jak skóra opina jego mięśnie. Poczula ukłucie żalu i zrozumiała, że mimo głębokiej nienawiści jest to żal za ojcem. Do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, że cokolwiek w nim kochała. Żałowała jednak siły jego ramion i grzbietu, kroperek potu na skórze, błyszczących oślepiająco w blasku słońca. Nie, pomyślała. Nie płaczę po tobie, Cao. Płaczę, bo nie byłeś bardziej podobny do Mówcy, który jest obcym człowiekiem, a jednak w ciągu trzech dni ofiarował nam więcej dobrego, niż ty przez całe życie; płaczę, bo twoje piękne ciało było przeżarte od środka. Mówca dostrzegł ją i podплыł do miejsca, gdzie czekała. Brnąc przez trzciny i błoto pomogła mu wyciągnąć łódkę na brzeg.

— Przepraszam, że się przeze mnie zabłociłaś — powiedział. — Ale od kilku tygodni nie używałem mięśni, a woda przyzywała... — Dobrze wiosłujesz — zauważyła.

— Planetę, z której przybyłem, Trondheim, pokrywa głównie lód i woda. Jakaś skała tu czy tam, odrobina żyznej gleby, ale ten, kto nie potrafi wiosłować, jest kaleką

bardziej jeszcze niż gdyby nie umiał chodzić.

— Czy tam się urodziłeś?

— Nie. Tam ostatnio Mówilem — usiadł na gramie, przodem do wody. Usiadła obok.

— Mama jest zła na ciebie. Wargi ułożyły się w półuśmiech.

— Mówiła mi. Bez zastanowienia Ela zaczęła usprawiedliwiać matkę.

— Próbowaleś odczytać jej zbiory.

— Odczytałem jej zbiory. Większość. Wszystkie prócz tych, na których mi najbardziej zależało.

— Wiem. Quim mi powiedział — zauważyła, że odczuwa rodzaj dumy z systemu zabezpieczeń mamy, który okazał się dla niego za trudny. Potem przypomniała sobie, że w tej sprawie nie stoi po stronie matki. Od lat próbowała ją nakłonić, by odblokowała dla niej te pliki. Rozpęd jednak niósł ją dalej; wypowiadała słowa, których nie miała zamiaru wypowiadać. — Olhado siedzi w domu z wyłączonymi oczami i na cały regulator puszcza muzykę. Jest bardzo zły.

— No cóż... uważa, że go zdradziłem.

— A to nieprawda? — nie to chciała powiedzieć.

— Jestem Mówcą Umarłych. Kiedy mówię, mówię tylko prawdę i nie trzymam się z daleka od cudzych tajemnic.

— Wiem. Dlatego wezwałam Mówcę. Dla nikogo nie czujesz szacunku.

— Po co mnie tu sprowadziłaś? — spytał poirytowany.

Wszystko przebiegało całkiem inaczej niż planowała. Rozmawiała z nim, jakby była jego przeciwnikiem, jakby wcale nie czuła wdzięczności za to, co już dla nich uczynił. Rozmawiała jak z wrogiem. Czy Quim opanował mój umysł, że mówię nie to, co myślę?

— Sama zaprosiłaś mnie nad rzekę. Nikt z rodziny nie chce ze mną rozmawiać, aż nagle dostaję wiadomość od ciebie. Chcesz się poskarżyć na to, że ingeruję w sprawy osobiste? Czy powiedzieć, że nikogo nie szanuję?

— Nie — odparła żałośnie. — Miało być całkiem inaczej.

— Nie przyszło ci do głowy, że nie zostałam Mówcą, gdybym nie czuł szacunku dla innych? Zrozpaczona odpowiedziała bez zastanowienia:

— Chciałabym, żebyś dotarł do wszystkich plików. Żebyś wykrył wszystkie jej sekrety i opublikował je na Stu Światach! Miała łzy w oczach, choć sama nie wiedziała, dlaczego.

— Rozumiem. Tobie także nie pokazała zapisów.

— Sou aprendiz dela, nao sou? E porque choro, diga-me! O senhor tem o jeito.

— Nie mam daru skłaniania ludzi do płaczu, Elu — odpowiedział cicho. Jego głos był jak pieszczota. Nie, mocniej: był jak uścisk dłoni trzymającej jej rękę, uspokajający i dodający sił. — To prawda sprawia, że płaczesz.

— Sou ingrata, sou ma filha...

— Tak, jesteś niewdzięczną i okropną córką — zaśmiał się cicho. — Przez wszystkie lata chaosu i zaniedbania utrzymujesz rodzinę matki w całości, z niewielką tylko pomocą z jej strony, a kiedy zaczynasz karierę w jej zawodzie, nie udziela ci najbardziej istotnej informacji. Zasługujesz na jej miłość i zaufanie, ona zaś odpłaca ci zamykając swoje życie, w domu i w pracy. Wtedy wreszcie mówisz komuś, że masz tego dosyć. Doprawdy, jesteś jedną z najgorszych osób, jakie w życiu spotkałem.

Rozśmieszyło ją własne samooskarżenie, ale — po dziecinnemu — nie chciała śmiać się z samej siebie.

— Nie pouczaj mnie — starała się zawrzeć w swoim głosie jak najwięcej dumy. Zauważył. Jego oczy stały się nagle odległe i zimne.

— Nie opluwaj przyjaciela — powiedział. Nie chciała, by się od niej oddalał. Nie mogła się jednak opanować.

— Nie jesteś moim przyjacielem — rzuciła zimno. Przez chwilę bała się, że uwierzy. Potem jednak na jego twarzy pojawił się uśmiech.

— Nie poznałabyś przyjaciela, choćbyś się z nim zderzyła. Owszem, poznałabym, pomyślała. Właśnie jednego widzę. Uśmiechnęła się do niego.

— Elu — powiedział. — Czy jesteś dobrym ksenobiologiem?

— Tak.

— Masz osiemnaście lat. Mogłaś zdawać egzaminy, kiedy skończyłaś szesnaście. Nie przystąpiłaś do nich.

— Mama mi nie pozwoliła. Powiedziała, że nie jestem gotowa.

— Po skończeniu szesnastu lat nie potrzebujesz zgody matki.

— Uczeń potrzebuje zgody swojego mistrza.

— Teraz masz osiemnaście i nawet to nie jest ci potrzebne.

— Ona nadal jest ksenobiologiem Lusitanii. To jej laboratorium. A jeśli zdam ten egzamin i będę mogła tam wejść dopiero po jej śmierci?

— Groziła d tym?

— Jasno dała do zrozumienia, że nie powinnam przystępować do testów.

— Ponieważ, gdy tylko przestaniesz być uczniem, gdy dopuści cię do laboratorium jako współksenobiologa, uzyskasz pełny dostęp...

— Do wszystkich roboczych plików. Do wszystkich zablokowanych plików.

— I dlatego postanowiła zniszczyć karierę własnej córce, dlatego na zawsze zepsuła ci opinię: nie przygotowana do egzaminu w wieku osiemnastu lat. Żebyś tylko nie dotarła do tych zbiorów.

— Tak.

— Dlaczego?

— Bo jest szalona.

— Nie, Elu. Kimkolwiek jest Novinha, z pewnością nie jest szalona.

— Ela e boba mesma, Senhor Falante. Roześmiał się i usiadł wygodnie.

— Więc powiedz mi, w jaki sposób jest boba.

— Mogę ci podać całą listę powodów. Po pierwsze: nie dopuściła do badań Descolady. Trzydzieści cztery lata temu Descolada niemal zniszczyła kolonię. Moi dziadkowie, Os Venerados, Deus os abencoe, z najwyższym wysiłkiem zwalczyli epidemię. W oczywisty sposób nośniki choroby nadal są obecne — musimy jeść pewne elementy, rodzaj dodatkowej witaminy, by powstrzymać atak choroby. Mówili ci o tym, prawda? Jeśli nośnik dostanie się do twojego organizmu, musisz jeść te środki do końca życia, nawet jeśli stąd odleczysz.

— Tak, wiedziałem o tym.

— Nie pozwala mi badać czynnika Descolady. Wcale. Wyniki znajdują się w części zablokowanych zbiorów. Odcięła dostęp do wszystkich odkryć Gusta i Cidy. Niczego nie można odnaleźć. Czy Mówcy zwięźli się.

— Rozumiem. To trzecia część boba. Co z resztą?

— To więcej niż jedna trzecia. Cokolwiek było nośnikiem choroby, potrafiło się zaadaptować i stało ludzkim pasożytem po dziesięciu latach od założenia kolonii. Po dziesięciu latach! Jeśli raz się przystosowało, to może się przystosować po raz drugi.

— Może ona tak nie uważa.

— Może powinnam mieć prawo do własnej opinii. Uspokajająco położył dłoń na jej kolanie.

— Masz rację. Ale mów dalej. Jaki masz drugi dowód, że jest boba?

— Nie pozwala na żadne badania teoretyczne. Żadnej taksonomii. Żadnych modeli ewolucyjnych. Kiedy próbuję czegoś takiego, mówi, że chyba nie mam nic do roboty i dodaje mi zlecenie póki nie uzna, że zrezygnowałam.

— Jak rozumiem, nie zrezygnowałaś.

— Przecież to właśnie jest celem ksenobiologii. Naturalnie, to świetnie, że potrafi wyprodukować ziemniaki do maksimum wykorzystujące miejscowe składniki odżywcze. Albo amarant, który sprawił, że kolonia otrzymuje dostateczną ilość protein z dziesięciu akrów upraw. Ale to tylko molekularna żonglerka.

— To przetrwanie.

— Ale my nic nie wiemy! To tak, jak pływanie po powierzchni oceanu. Dobrze ci idzie, możesz poruszać się dookoła, ale nie wiesz, czy w dole nie ma rekinów. Może właśnie otaczają nas rekiny, a ona nie chce o tym wiedzieć.

— A po trzecie?

— Nie chce wymieniać informacji z Zenadorami. Kropka. Niczego. I to już naprawdę szaleństwo. Nie możemy wyjść poza ogrodzenie. Nie mamy nawet jednego drzewa, które moglibyśmy badać. Nie mamy pojęcia o florze i faunie tej planety, z

wyjątkiem okazów, które przypadkiem znalazły się wewnątrz ogrodzenia. Jedno stado cabry, kępa trawy capim, trochę inna ekologia nadrzeczna i to wszystko. Nic na temat gatunków zwierząt leśnych, żadnej wymiany informacji. My im niczego nie mówimy, a jeśli oni przesyłają nam dane, kasujemy zbiory bez czytania. Można pomyśleć, że ona zbudowała wokół nas mur, przez który nic nie może się przedostać. W żadną stronę.

— Może ma powody.

— Oczywiście, że ma. Szaleńcy zawsze mają. Przede wszystkim nienawidziła Liba. Naprawdę nienawidziła. Nie pozwalała Miro o nim mówić, nie pozwalała nam się bawić z jego dziećmi. China przez całe lata była moją najlepszą przyjaciółką, a ona nie pozwalała jej zaprosić do domu, ani nie zgadzała się, żebym ja tam poszła po lekcjach. A kiedy Miro został uczniem Liba, przez prawie rok nie odzywała się do niego i nie stawiała dla niego nakrycia przy stole. Widziała wyraźnie, że Mówca jej nie wierzy i sądzi, że przesadza.

— Naprawdę, przez cały rok. Kiedy pierwszego dnia, jako uczeń Liba, poszedł do stacji Zenadora, a potem wrócił do domu, mama nie odezwała się do niego ani jednym słowem, a kiedy siadł do kolacji, zabrała mu talerz sprzed nosa i sprzątnęła sztućce, zupełnie jakby go tam nie było. Przesiedział na miejscu przez cały posiłek i tylko na nią patrzył. Wreszcie ojciec się rozgniewał, że jest bezczelny i kazał mu wyjść.

— I co? Wyprowadził się z domu?

— Nie. Nie znasz Mira — Ela zaśmiała się gorzko. — On nie walczy, ale się nie poddaje. Nigdy nie odpowiedział na ataki ojca, nigdy. Przez całe życie ani razu nie słyszałam, żeby mówił w gniewie. A mama... Miro codziennie wracał ze stacji Zenadora, siadał na swoim miejscu przy stole, i codziennie mama zabierała jego talerz i sztućce, a on siedział, aż ojciec kazał mu wyjść. Naturalnie już po tygodniu ojciec wrzeszczał, gdy tylko mama sięgała po nakrycie. Ten drań to uwielbiał. Zawsze nienawidził Mira i w końcu mama stanęła po jego stronie.

— Kto zrezygnował?

— Nikt nie zrezygnował — Ela zapatrzyła się na wodę. Pojęła, że to wszystko brzmiało strasznie, że kompromituje rodzinę przed obcym. Ale on nie był obcy, prawda? Przecież Cjuara zaczęła z nim rozmawiać, Olhado zaczął się czymś interesować, a Grego — choć tylko na krótko — stał się prawie normalnym chłopcem. To nie był obcy.

— I jak się to wszystko skończyło? — spytał Mówca.

— Skończyło się, kiedy prosiaczki zabiły Liba. Sam widzisz, jak mama go nienawidziła. Uczciła jego śmierć wybacząc swemu synowi. Tej nocy Miro wrócił do domu bardzo późno, już po kolacji. To była straszna noc, wszyscy byli przestraszeni, a prosiaczki wydawały się potworami. I wszyscy kochali Liba... wszyscy z wyjątkiem mamy. Czekala na Mira. Wrócił, poszedł do kuchni, usiadł przy stole, a

mama postawiła przed nim talerz i nałożyła jedzenie. Bez słowa. On zjadł, też bez słowa. Jakby ten rok w ogóle nie istniał. Obudziłam się w nocy, bo usłyszałam, jak Miro w łazience wymiotuje i płacze. Myślę, że nikt więcej tego nie słyszał. Nie poszłam do niego, bo chyba nie chciał, żeby ktokolwiek wiedział. Teraz sądzę, że powinnam pójść, ale się bałam. Straszne rzeczy działy się w mojej rodzinie. Mówca pokiwał głową.

— Powinnam iść wtedy do niego — powtórzyła Ela.

— Tak — zgodził się Mówca. — Powinnaś.

Wtedy zdarzyło się coś dziwnego. Mówca zgodził się z nią, że tamtej nocy popełniła błąd, a ona wiedziała, że to prawda, że jego osąd jest słuszny. A jednak poczuła się uleczona — jakby samo wyznanie błędu usunęło część bólu. Właśnie wtedy po raz pierwszy dostrzegła, jaką moc ma Mówienie. To nie była kwestia spowiedzi, pokuty i rozgrzeszenia, jakie proponowali księża. To było coś zupełnie innego: opowieść o tym, kim była i zrozumienie, że stała się kimś całkiem innym. Że popełniła błąd i ten błąd ją odmienił, ale teraz już go nie popełni, gdyż jest innym człowiekiem, ma w sobie więcej współczucia, a mniej lęku.

Jeśli nie jestem tą przerażoną dziewczynką, która słyszała, jak jej brat rozpaczliwie cierpi i bała się mu pomóc, to kim jestem? Lecz woda płynąca przez kratę pod ogrodzeniem nie udzieliła jej odpowiedzi. Może nie mogła jeszcze wiedzieć, kim się stała. Musiała jej wystarczyć świadomość, że nie jest już tym, kim była.

Mówca nadal leżał na gramie, wpatrzony w płynące od zachodu ciemne chmury.

— Powiedziałaś ci już wszystko — oświadczyła Ela. — Powiedziałaś, co jest w tych zbiorach: informacja o Descoladzie. Nic więcej nie wiem.

— Owszem, wiesz — stwierdził Mówca.

— Nie. Daję słowo.

— Chcesz powiedzieć, że byłaś posłuszna? Że kiedy matka poleciła ci przerwać badania teoretyczne, zwyczajnie wyłączyłaś swój umysł i zrobiłaś, co kazała?

— Ona tak myśli — zachichotała Ela.

— Ale to nieprawda.

— Jestem naukowcem, nawet jeśli ona nie jest.

— Kiedyś była — zauważył Mówca. — Zdała egzaminy w wieku trzynastu lat.

— Wiem.

— I dzieliła się informacjami z Pipem, zanim zginął.

— To też wiem. Tylko Liba nienawidziła.

— Powiedz mi więc, Elu, co odkryłaś w swoich badaniach.

— Nie znalazłam żadnych odpowiedzi. Ale przynajmniej wiem, jak stawiać pytania. To już jakiś początek, prawda? Nikt nie zadaje pytań. To zabawne. Miro mówi, że ksenolodzy framlingów ciągle go męczą o dodatkowe informacje, chociaż prawo zakazuje zdobywania większej ilości danych. A żaden framling-ksenobiolog nie

poprosił nas o cokolwiek. Wszyscy studiują tylko biosfery własnych planet i żaden nie zadał mamie nawet jednego pytania. Tylko ja pytam, i nikogo to nie obchodzi.

— Mnie to obchodzi — oświadczył Mówca. — Chcę wiedzieć, jak brzmią pytania.

— Proszę bardzo. Na przykład takie: mamy wewnątrz ogrodzenia stado cabry. Zwierzęta nie mogą przeskoczyć na zewnątrz, nawet nie dotykają ogrodzenia. Zbadałam i oznakowałam każdą sztukę. I wiesz co? Nie ma tam ani jednego samca, Same samice.

— Pech — stwierdził Mówca. — Mogliby zostawić w środku przynajmniej jednego.

— To bez znaczenia — odparła Ela. — Nie wiem nawet, czy samce w ogóle istnieją. W ciągu ostatnich pięciu lat każda dojrzała samica przynajmniej raz rodziła. I żadna nie była kryta.

— Może przez klonowanie...

— Potomstwo nie jest genetycznie tożsame z matką. Udało mi się to sprawdzić, w tajemnicy przed mamą. Jakiś transfer genów jednak zachodzi.

— Hermafrodyty?

— Nie. Czyste samice. Żadnych męskich narządów płciowych. Czy można to uznać za ważne pytanie? W jakiś sposób cabry dokonują wymiany genetycznej bez stosunków płciowych.

— Same implikacje teologiczne są wstrząsające.

— Nie żartuj.

— Z czego? Z nauki, czy z teologii?

— Ani z jednego, ani z drugiego. Chcesz poznać jeszcze inne pytania?

— Chcę — zapewnił Mówca.

— Pomyśl więc o tym. Ta trawa, na której leżysz. Nazywamy ją grama. Wszystkie węże wodne się w niej wylęgają. To małe robaki, prawie ich nie widać. Wyżerają trawę niemal do ziemi i zjadają siebie nawzajem, zrzucając skórę za każdym razem, kiedy trochę podrosną. Potem, zupełnie nagle, kiedy trawa jest całkiem śliska od ich skór, wszystkie węże zsuwają się do rzeki i nigdy więcej nie wracają.

Nie był ksenobiologiem. Nie od razu zrozumiał, o co jej chodzi.

— Węże wodne wylęgają się tutaj — wyjaśniła. — Ale nie wracają, żeby złożyć jaja.

— Więc zapłodnienie następuje, zanim jeszcze wrócą do wody.

— Świetnie, naturalnie, oczywiście. Sama widziałam, jak kopulują. Nie na tym polega problem. Problem brzmi: dlaczego są węzami wodnymi? Nadal nie rozumiał.

— Są doskonale przystosowane do środowiska wodnego. Oprócz płuc mają skrzela, są znakomitymi pływakami, mają płetwy sterujące, wyewoluowały idealnie do dojrzałego życia w wodzie. Ale dlaczego, skoro rodzą się na lądzie, kopulują na lądzie i rozmnażają się na lądzie? Jeśli idzie o ewolucję, wszystko, co następuje po reprodukcji, nie ma najmniejszego znaczenia. Chyba że matki karmią młode, a węże

wodne z pewnością nie opiekują się młodymi. Życie w wodzie nie zwiększa zdolności przetrwania do okresu reprodukcji. Mogłyby zwyczajnie czołgać się do wody i tonąć; nic by to nie zmieniło, bo reprodukcja jest już zakończona.

— Tak — mruknął Mówca. — Teraz rozumiem.

— W wodzie można znaleźć przezroczyste jaja. Nigdy nie widziałam, żeby jakiś wąż wodny je składał, ale ponieważ w rzece ani w jej pobliżu nie ma żadnego zwierzęcia dostatecznie dużego, by składało jaja, wydaje się logiczne, że to jaja węży wodnych. Tyle że te duże jaja — mają prawie centymetr średnicy — są całkowicie sterylne. Składniki odżywcze są na miejscu, brakuje tylko embriona. Pustka. Niektóre mieszczą w sobie gametę — połowę zestawu genów, gotową do zapłodnienia — ale nawet jedno nie zaczęło żyć. I nigdy nie znaleźliśmy jaj węży wodnych na lądzie. Jednego dnia rośnie tam tylko grama, coraz bujniejsza, a następnego żdźbła gramy roją się od maleńkich węży. Czy sądzisz, że warto by zbadać ten problem?

— Wydaje się to zupełnie naturalną reakcją.

— No właśnie. Chciałam uzyskać trochę dodatkowych danych i przetestować alternatywne hipotezy, ale mama nie pozwoliła. Kiedy ją zapytałam, kazała mi przejąć wszystkie próby z amarantem, żebym nie miała czasu grzebać przy rzece. I jeszcze jedno pytanie: dlaczego żyje tutaj tak mało gatunków? Na każdej planecie, nawet pustynnej typu Trondheimu, żyją tysiące różnych gatunków, przynajmniej w wodzie. Tutaj, o ile wiem, mamy ledwie garstkę. Xingadory to jedyne ptaki, jakie widzieliśmy. Muchopijki to jedyne muchy. Cabry to jedyne przeżuwacze, żywiące się trawą capim. Poza cabrą jedyne większe zwierzęta to prosiaczki. Jeden gatunek drzew. Jeden gatunek trawy stepowej, czyli capim, i tylko jedna roślina, która z nią współzawodniczy — tropeca, długie liany pełzające po ziemi. Xingadora buduje gniazda z jej pędów. I tyle. Xingadory jedzą muchopijki i nic więcej. Muchopijki żywią się algami nad rzeką i naszymi odpadkami. Nic nie zjada xingadory. Nic nie zjada cabry.

— Ograniczony zakres ewolucji — stwierdził Mówca.

— Niesamowicie ograniczony. Istnieje dziesięć tysięcy nie wypełnionych nisz ekologicznych. To niemożliwe, by ewolucja zostawiła ten świat tak pustym.

— Chyba, że nastąpiła katastrofa.

— Dokładnie.

— Coś, co zniszczyło wszystkie gatunki z wyjątkiem nielicznych, które potrafiły się dostosować.

— Tak — zgodziła się Ela. — Sam rozumiesz. A ja mam na to dowód. Cabry prezentują stadny wzorzec zachowania. Kiedy się na nie natkniesz, kiedy cię wyczują, tworzą krąg. Dorosłe osobniki stają głowami do środka, by tylnymi nogami kopać napastnika i chronić młode.

— Wiele zwierząt tak robi.

— Przed kim bronić? Prosiaczki żyją wyłącznie w lesie. Nigdy nie polują na prerii.

Drapieżnik, który uwarunkował cabrom taki wzorzec reakcji, zniknął. I to niedawno: w ciągu ostatnich kilkuset tysięcy, może miliona lat.

— Nie ma śladów po żadnym meteorze, który trafiłby planetę mniej niż dwadzieścia milionów lat temu — zauważył Mówca.

— To nie to. Taka katastrofa wybiłaby wszystkie większe gatunki, pozostawiając masę drobnych. Albo zniszczyła całe życie lądowe, pozostawiając zwierzęta wodne. Ale i ląd, i morze, i wszystkie środowiska ucierpiały, a jednak przetrwało kilka wielkich stworzeń. Nie, moim zdaniem to była choroba. Choroba, która zaatakowała ponad granicami międzygatunkowymi, która potrafiła się przystosować do wszystkich żywych istot. Naturalnie, dzisiaj nie możemy jej wykryć, bo gatunki, które przetrwały, zdołały się zaadaptować. Stała się częścią ich normalnego cyklu życiowego. Zauważamy tę chorobę tylko w jednym wypadku...

— Kiedy się zarazimy — dokończył Mówca. — Descolada.

— Pojmujesz? Wszystko prowadzi do Descolady. Moi dziadkowie znaleźli sposób, by przestała zabijać ludzi, ale wymagało to manipulacji genetycznych. Cabra i węże wodne także się przystosowały i nie sądzę, by potrzebowały uzupełnień dietetycznych. Moim zdaniem wszystkie problemy wiążą się w jeden. Te niezwykle anomalie procesu reprodukcji, pusty ekosystem, wszystko wskazuje na ciała Descolady, a mama nie zgadza się na badania. Nie pozwala mi sprawdzić, czym są, jak działają, jaki mają związek...

— Z prosiaczkami.

— Oczywiście, ale nie tylko. Chodzi o wszystkie zwierzęta...

Mówca wyglądał, jakby z trudem tłumił podniecenie. Jakby wytłumaczyła mu właśnie coś bardzo trudnego.

— Tamtej nocy, kiedy zginął Pipo, zablokowała pliki zawierające wyniki jej aktualnych prac i rezultaty badań epidemii. Cokolwiek pokazała Pipowi, miało związek z nośnikiem Descolady. I miało związek z prosiaczkami...

— Wtedy zablokowała dostęp? — spytała Ela.

— Tak. Wtedy.

— Zatem mam rację.

— Tak — powtórzył. — Dziękuję ci, Elu. Pomogłaś mi bardziej, niż możesz sobie wyobrazić.

— Czy to oznacza, że już niedługo będziesz Mówił o śmierci ojca? Mówca przyjrzał się jej uważnie.

— Tak naprawdę, to wcale nie chcesz, żebym Mówił o twoim ojcu. Chcesz, żebym Mówił o twojej matce.

— Ona nie umarła.

— Ale zdajesz sobie sprawę, że w żaden sposób nie mogę Mówić o Marcao nie wyjaśniając, czemu poślubił Novinhę i dlaczego przez tyle lat pozostali razem.

— To prawda. Chcę, żebyś odłonił wszystkie sekrety, odblokował wszystkie pliki. Nic nie powinno pozostać w ukryciu.

— Sama nie wiesz, o co prosisz. Nie wiesz, ile bólu spowoduje odkrycie wszystkich tajemnic.

— Przyjrzyj się mojej rodzinie, Mówco — odparła. — Czy prawda może sprawić większy ból, niż zadały do tej pory sekrety? Uśmiechnął się do niej, ale nie był to wesoły uśmiech — raczej czuły, nawet litościwy.

— Masz rację — powiedział. — Absolutną rację, chociaż trudno ci będzie się z tym pogodzić, gdy usłyszysz całą historię.

— Znam już całą historię, o ile można ją poznać.

— Wszystkim się tak wydaje i wszyscy się myślą.

— Kiedy będziesz Mówił?

— Jak najprędzej.

— Więc czemu nie zaraz? Dzisiaj? Na co jeszcze czekasz?

— Nic nie mogę zrobić, dopóki nie porozmawiam z prosiaczkami.

— Chyba żartujesz. Z wyjątkiem Zenadorów, nikomu nie wolno z nimi rozmawiać. To Polecenie Kongresu. Nie da się go ominąć.

— Owszem — zgodził się Mówca. — Właśnie dlatego sprawa będzie trudna.

— Nie trudna, ale niemożliwa...

— Może — mruknął. Wstał; ona także. — Elu, bardzo mi pomogłaś. Powiedziałaś mi wszystko, co miałem nadzieję od ciebie usłyszeć. Tak jak Olhado. Ale jemu nie spodobał się sposób, w jaki wykorzystałem to, czego mnie nauczył. Teraz uważa, że go zdradziłem.

— Jest jeszcze dzieckiem. Ja mam osiemnaście lat. Mówca kiwnął głową, położył dłoń na jej ramieniu i uściśnął.

— Zatem wszystko w porządku. Jesteśmy przyjaciółmi. Była prawie pewna, że w jego słowach dosłyszała ironię. Ironię i — może — prośbę.

— Tak — powtórzyła z naciskiem. — Jesteśmy przyjaciółmi. Na zawsze. Jeszcze raz skinął głową, odepchnął łódź od brzegu i chlapiąc ruszył przez trzciny i błoto. Kiedy wpłynęła na głębszą wodę, wskoczył do środka i wysunął wiosła. Machnął kilka razy, podniósł głowę i uśmiechnął się. Ela odpowiedziała uśmiechem, który nie mógł jednak wyrazić jej uniesienia, poczucia absolutnej ulgi. Mówca wysłuchał wszystkiego i wszystko zrozumiał, a wkrótce wszystko naprawi. Wierzyła w to, wierzyła tak mocno, że nawet nie zauważyła, iż właśnie ta wiara była źródłem jej euforii. Wiedziała tylko, że spędziła godzinę z Mówcą Umarłych i od wielu lat nie czuła się bardziej ożywiona. Znalazła swoje buty, włożyła je i ruszyła do domu. Mama jest pewnie jeszcze w Stacji Biologisty, Ela jednak nie miała dziś ochoty na pracę. Chciała wrócić do domu i zająć się kolacją — to zawsze należało tylko do niej. Miała nadzieję, że nikt nie zechce z nią rozmawiać, że nie pojawi się żaden

problem, który powinna rozwiązać. Oby to uczucie trwało wiecznie. Jednak już po kilku minutach od jej powrotu, do kuchni wpadł Miro.

— Elu — zawołał. — Nie widziałaś Mówcy Umarłych?

— Widziałam — odparła. — Na rzece.

— Gdzie na rzece? Jeśli mu powie, gdzie się spotkali, od razu się domyśli, że nie był to przypadek.

— Po co ci to? — spytała.

— Słuchaj, Elu, nie czas na podejrzenia. Proszę. Muszę go znaleźć. Zostawiliśmy wiadomość, ale komputer nie potrafi go odszukać.

— Wiosłował w dół rzeki, w stronę domu. Pewnie niedługo będzie u siebie. Miro wybiegł z kuchni do salonu. Ela słyszała, jak pisze coś na klawiaturze terminala. Po chwili wrócił.

— Dzięki — powiedział. — Nie czekajcie na mnie z kolacją.

— Co się stało?

— Nic.

To „nic”, gdy Miro był tak podniecony i tak wyraźnie się spieszył, było bardzo zabawne. Oboje wybuchnęli śmiechem.

— No, dobrze — powiedział w końcu Miro. — To nie jest nic i to bardzo pilne, ale nie mogę o tym mówić. W porządku?

— W porządku. Ale już niedługo, Miro, nie będzie żadnych tajemnic.

— Nie rozumiem tylko, dlaczego nie odebrał naszej wiadomości. Komputer go wzywał. Nosi przecież ten implant w uchu. Chociaż... mógł go wyłączyć.

— Nie — zaprzeczyła Ela. — Światelko się paliło. Miro pochylił głowę i spojrzał na nią z ukosa.

— Nie mogłaś zauważyć malutkiej, czerwonej lampki implantu. W każdym razie nie wtedy, gdybyś tylko widziała, jak wiosłuje po rzece.

— Podpłynął do brzegu. Rozmawialiśmy.

— O czym?

— O niczym — uśmiechnęła się Ela.

Odpowiedział jej uśmiechem, mimo to jednak wydawał się zaniepokojony. Rozumiała to: wszystko w porządku, jeśli ty masz przede mną tajemnice, ale nie kiedy ja mam przed tobą.

Prawda, Miro?

Nie starał się niczego dowiedzieć; za bardzo się spieszył. Musiał odszukać Mówcę, natychmiast. I nie wróci na kolację.

Ela miała wrażenie, że Mówcy uda się porozmawiać z prosiaczkami trochę szybciej, niż uważała to za możliwe. Przez chwilę czuła radość — oczekiwanie się skończyło.

Potem radość minęła, a jej miejsce zajęło inne uczucie: mdlący strach. Koszmar

papai Chiny, kochanego Liba, leżącego na zboczu, rozerwanego na strzępy przez prosiaczki. Tyle że nie Liba widziała wyobrażając sobie potworną scenę. To był Miro. Nie, nie, to nie Miro. To Mówca. To Mówcę zamęczą na śmierć.

— Nie — szepnęła.

Drgnęła, i koszmar opuścił świadomość. Wróciła do kuchni, próbując tak doprawić makaron, by smakował choć trochę, lepiej niż klej z amarantu.

ROZDZIAŁ 14

RENEGACI

LIŚCIOJAD: Człowiek mówi, że kiedy wasi bracia umierają, grzebiecie ich w ziemi, a potem z tej ziemi budujecie swoje domy. (Śmiechy.)

MIRO: Nie. Nigdy nie wykopujemy ludzi, którzy zostali pogrzebani.

LIŚCIOJAD (sztywniejac z podniecenia): Więc wasi umarli na nic się wam nie przydają!

*Ouanda Quenhatta Figueira Mucumbi, Transkrypcje rozmów,
103.-O:1969:4:13:111*

Ender oczekiwał jakichś problemów przy bramie, ale Ouanda przycisnęła dłoń do skrzynki, Miro otworzył wrota i wszyscy troje wyszli na zewnątrz. Żadnych komplikacji. Na pewno Ela miała rację — nikt nie chce wychodzić z zagrody, więc solidne zabezpieczenia są zbędne. Nie próbował nawet zgadywać, czy oznacza to, że ludzie są zadowoleni, pozostając w Milagre, czy boją się prosiaczków, czy też tak nienawidzą swego uwięzienia, że udają, iż ogrodzenie nie istnieje.

Ouanda i Miro byli bardzo zdenerwowani, niemal przerażeni. To zrozumiałe — pozwalając mu na wyjście łamali prawa Kongresu. Ender podejrzewał jednak, że chodzi o coś więcej. Napięcie Mira łączyło się z gorliwością, wrażeniem pośpiechu. Może i był przestraszony, ale chciał zobaczyć, co się stanie, chciał zrealizować swój plan. Ouanda była spokojna, szła miarowym krokiem i jej chłód wyrażał nie tylko lęk, ale i wrogość. Nie ufała mu.

Dlatego nie był zaskoczony, gdy stanęła za najbliższym wielkim drzewem czekając, aż Miro i Ender pójdą w jej ślady. Ender zauważył, że chłopiec, przez moment tylko, wyglądał na poirytowanego; opanował się natychmiast. Jego maska obojętności była najlepsza, na jaką stać ludzką istotę. Ender mimowolnie porównywał Mira do chłopców, których poznał w Szkole Bojowej, oceniał go jako towarzysza broni i uznał, że Miro świetnie by sobie poradził. Ouanda także, choć z innych powodów: uważała, że jest odpowiedzialna za wszystko, co się stanie, mimo że Ender był dorosłym mężczyzną, o wiele od niej starszym. Nie liczyła na niego. Czegokolwiek się obawiała, to z pewnością nie odpowiedzialności.

— Tutaj? — spytał z ironią Miro.

— Albo nigdzie — odparła Ouanda. Ender pochylił się i usiadł pod drzewem.

— To drzewo Korzeniaka, prawda? — zapytał.

Przyjęli to spokojnie — oczywiście — ale ich chwilowe znieruchomienie powiedziało mu: tak, zaskoczył ich wiedząc o przeszłości coś, co uznawali za swoją własność. Mogę być framlingiem, pomyślał Ender, ale niekoniecznie ignorantem.

— Tak — przyznała Ouanda. — Jest totemem, od którego otrzymują ostatnio najwięcej... wskazówek. Od siedmiu czy ośmiu lat. Nigdy nam nie pozwolili na obserwację rytuałów rozmowy z przodkami. Wydaje się, że polegają na bębnieniu w pień drzewa ciężkimi, wypolerowanymi kijami. Słyszymy ich czasem nocą.

— Kijami? Z opadłych gałęzi?

— Zakładamy, że tak. Czemu pytasz?

— Ponieważ nie posiadają kamiennych ani żelaznych narzędzi do cięcia drewna. Mam rację? Poza tym, skoro oddają drzewom cześć, raczej nie powinni ich ścinać.

— Nie przypuszczam, by czcili drzewa. To kult totemiczny. Są wyobrażeniami przodków. Oni... sadzą je. W zwłokach.

Ouanda chciała mu przerwać, sama poprowadzić rozmowę lub przepytac go, ale Ender nie pozwolił, by uwierzyła, że to ona — albo Miro, nieważne — kieruje tą wyprawą. Zamierzał sam rozmawiać z prosiaczkami. Nigdy nie przygotowywał Mowy, pozwalając komuś innemu decydować o swoich planach; tym razem także nie miał tego zamiaru. Poza tym dysponował informacją, której oni nie posiadali: znał teorię Eli.

— A w innych miejscach? — zapytał. — Czy kiedy indziej też sadzą drzewa? Spojrzeli na siebie.

— Nic takiego nie widzieliśmy — odpowiedział Miro.

Enderem powodowała nie tylko ciekawość. Wciąż myślał o tym, co Ela opowiadała o anomaliach procesu rozmnażania.

— A czy drzewa rosną gdzieś same z siebie? Czy w lesie spotyka się młode drzewka i pędy? Ouanda pokręciła głową.

— Nie mamy żadnych dowodów na to, że sadzi się drzewa gdzie indziej, niż tylko w ciałach zabitych. W każdym razie wszystkie drzewa, jakie znamy, są raczej stare. Z wyjątkiem tych trzech.

— Czterech, jeśli się nie pośpieszymy — dodał Miro. Aha, Stąd to napięcie. Niepokój Mira brał się z chęci ocalenia jakiegoś prosiaczka przed posadzeniem w nim drzewa. Ouanda natomiast martwiła się czymś zupełnie innym. Teraz, kiedy już wiedział, może im pozwolić na przesłuchanie. Wyprostował się i odchylił głowę, by spojrzeć w górę, na liście, na rozłożyste gałęzie, bladą zieleń fotosyntezy potwierdzającą konwergencję, nieuniknioną drogę ewolucji na wszystkich planetach. Oto źródło paradoksów Eli: ewolucja w oczywisty sposób mieściła się tutaj we wzorcach, obserwowanych przez ksenobiologów na wszystkich Stu Światach; a

przecież w którymś miejscu ów wzorzec łamał się i rozsypywał. Prosiaczki były jednym z kilkunastu gatunków, które przeżyły to załamanie. Czym była Descolada i jak zdołały się do niej przystosować?

Chciał zmienić temat rozmowy, spytał, na co czekają za tym drzewem. To sprowokowałoby pytania Ouandy. Lecz właśnie w tej chwili, z głową odchyloną w tył, patrząc na zielone liście falujące miękko w niedostrzegalnym niemal wietrzyku, odebrał potężne wrażenie deja vu. Widział już kiedyś te liście. Niedawno. Ale to przecież niemożliwe. Na Trondheimie nie było wielkich drzew i ani jedno nie rośło wewnątrz Milagre. Dlaczego sączące się przez zieleń promienie słońca wydały mu się znajome?

— Mówco... — zaczął Miro.

— Tak? — spytał, pozwalając się wyrwać z zamyślenia.

— Nie chcieliśmy cię tu sprowadzać — Miro powiedział to zdecydowanie, lecz patrzył na Ouandę. Ender od razu zrozumiał, że Miro chciał go przyprowadzić, a poparł sprzeciw Ouandy by pokazać, że się ze sobą zgadzają. Kochacie się, pomyślał. A dziś wieczorem, jeśli to dzisiaj będę mówił o śmierci Marcao, muszę wam powiedzieć, że jesteście bratem i siostrą. Wbiję między was klin tabu kazirodztwa. I oboje mnie znienawidzicie.

— Zobaczysz... pewne... — Ouanda nie potrafiła się zmusić, by to powiedzieć.

— Nazywamy to Podejrzaną Działalnością — uśmiechnął się Miro. — Nawiasem mówiąc, zaczął ją jeszcze Pipo, przypadkowo. Libo robił to już świadomie, a my kontynuujemy jego dzieło. Bardzo ostrożnie i małymi krokami. Nie odrzuciliśmy przepisów Kongresu, ale zdarzały się sytuacje kryzysowe i musieliśmy pomóc. Kilka lat temu, na przykład, zmniejszyła się ilość macios, takich drzewnych robaków, które wtedy stanowiły zasadniczy składnik pożywienia prosiaczków...

— Czy właśnie o tym chcesz mu najpierw opowiedzieć? — przerwała Ouanda. Aha, pomyślał Ender. Iluzja solidarności nie jest dla niej tak ważna, jak dla niego.

— Przybył tu między innymi po to, by mówić o Libie — odparł Miro. — A to wszystko zdarzyło się bezpośrednio przed jego śmiercią.

— Nie mamy dowodów na związek przyczynowo-skutkowy...

— Pozwólcie, że sam będę szukał związków — wtrącił spokojnie Ender. — Powiedzcie tylko, co się stało, kiedy prosiaczki zaczęły głodować.

— To żony były głodne. Tak mówili — Miro zignorował uwagę Ouandy. — Widzisz, prosiaczki zbierają pożywienie dla kobiet i młodych, a tego pożywienia zaczęło brakować. Wspominali, że będą musieli iść na wojnę. I o tym, że prawdopodobnie wszyscy zginą — pokręcił głową. — Wydawali się tym zachwyceni. Ouanda wstała.

— On nawet nie dał słowa. Niczego nie obiecał.

— A co mam obiecać? — spytał Ender.

— Że nie... że niczego...

— Że na was nie naskarzę? Przytaknęła, choć to dziecięce sformułowanie wyraźnie jej się nie spodobało.

— Niczego takiego nie mogę wam obiecać — oświadczył Ender. — Opowiadanie to mój zawód. Spojrzała gniewnie na Mira.

— Widzisz? Miro wyglądał na przestraszonego.

— Nie możesz o tym opowiedzieć. Zablokują bramę. Nigdy nas tutaj nie wpuszczą!

— I będziecie musieli szukać innej pracy? Ouanda zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem.

— Czy sądzisz, że tym właśnie jest ksenologia? Pracą jak każda inna? Tu, w lesie, żyje gatunek istot inteligentnych. To ranieni, nie varelse. Musimy ich poznać. Ender nie odpowiedział, jednak nie spuszczał wzroku z jej twarzy.

— To jak Królowa Kopca i Hegemon — dodał Miro. — Prosiaczki są jak robale. Tylko mniejsze, słabsze, bardziej prymitywne. Musimy ich poznawać, to prawda, ale to nie wszystko. Można obserwować zwierzęta i nie przejmować się wcale, czy któreś zdechnie albo zostanie pożarte. Ale prosiaczki... oni są... są tacy, jak my. Nie możemy zwyczajnie obserwować, jak głodują, jak giną w wojnie. Znamy ich i...

— Kochacie — dokończył Ender.

— Tak! — oświadczyła wyzywająco Ouanda.

— Ale gdybyście ich zostawili, gdyby was tu wcale nie było, nie wyginęliby przecież, prawda?

— Nie — przyznał Miro.

— Mówiłam ci, że on jest taki, jak ci z komitetu — stwierdziła Ouanda. Ender nie zwrócił na nią uwagi.

— Jaki byłby dla nich koszt waszego odejścia?

— To tak... — Miro nie mógł znaleźć słów. — Tak, jakbyś wrócił na dawną Ziemię, sprzed Ksenocydu, sprzed podróży kosmicznych. Jakbyś im powiedział: możecie wędrować wśród gwiazd, możecie żyć na innych planetach. I pokazał tysiące drobnych cudów. Światło, które płonie po naciśnięciu wyłącznika. Stal. Nawet zupełne drobiazgi: garnki do przechowywania wody, uprawę ziemi. Patrzą na ciebie, wiedzą, kim jesteś i wiedzą, że mogą się stać tacy sami, robić wszystko to, co ty. I co powiedzą: zabierz to, nie pokazuj nam, pozwól nam przeżywać nasze ponure, krótkie, zwierzęce życie, póki ewolucja nie dopełni swego dzieła? Nie. Powiedzą: daj nam, naucz nas, pomóż.

— A ty odpowiesz: nie mogę. I odejdiesz.

— Już za późno! Czy nie rozumiesz? Oni już zobaczyli te cuda! Widzieli, jak przylatujemy. Widzieli, jacy jesteśmy wielcy i potężni, dysponujący magicznymi narzędziami i wiedzą o rzeczach, o których sami nawet nie śnili. Za późno, by teraz powiedzieć im: do widzenia i odejść. Wiedzą już, co jest możliwe. Im dłużej tu zostajemy, tym więcej próbują się nauczyć, a im więcej się uczą, tym wyraźniej

widzą, jak nauka pomaga w życiu. Jeśli w ogóle potrafisz czuć, jeśli rozumiesz, że są... są...

— Ludźmi.

— W każdym razie ramenami. To nasze dzieci, nie pojmujesz? Ender uśmiechnął się.

— Czy jest pośród was człowiek, który synowi proszącemu o chleb poda kamień?

— No właśnie — kiwnęła głową Ouanda. — Przepisy Kongresu każą nam podawać im kamienie. A przecież mamy tak dużo chleba.

— No dobrze — Ender wstał. — Chodźmy. Ouanda nie była jeszcze gotowa.

— Nie obiecałeś...

— Czytałeś Królową Kopca i Hegemona?

— Ja czytałem — odparł Miro.

— Czy potrafisz sobie wyobrazić człowieka, który nazwał siebie Mówcą Umarłych i uczyni cokolwiek, co mogłoby skrzywdzić te dzieci, tych pequeninos? Ouanda uspokoili się nieco, lecz jej wrogość pozostała niewzruszona.

— Jesteś sprytny, Senhor Andrew, Mówco Umarłych, jesteś bardzo przebiegły. Przypominasz mi o Królowej Kopca, a mnie mimochodem cytujesz Pismo.

— Rozmawiam z każdym w języku, który potrafi zrozumieć. To nie przebiegłość. To precyzja.

— I w efekcie postąpisz, jak zechcesz.

— O ile nie wyrządzi to krzywdy prosiaczkom.

— Według twojej oceny — prychnęła pogardliwie Ouanda.

— Nie znam innych ocen, na których mógłbym polegać — ruszył, oddalając się od niej, wychodząc z cienia rozłożystych konarów drzewa. Szedł w stronę lasu, który czekał na szczycie wzgórza. Dogonili go po chwili.

— Muszę ci o czymś powiedzieć — oznajmił Miro. — Prosiaczki prosiły o to spotkanie. Wierzą, że jesteś tym samym Mówcą, który napisał Królową Kopca i Hegemona.

— Czytali je?

— Właściwie włączyli w swój system religijny. Traktują wydruk, który im dałem, jak świętą księgę. A teraz twierdzą, że rozmawia z nimi sama królowa kopca. Ender spojrzał na niego badawczo.

— I co mówi? — zapytał.

— Że jesteś prawdziwym Mówcą. I że masz ze sobą królową. I że przywiozłeś ją, by żyła między nimi i nauczyła ich wszystkiego o metalu i... to naprawdę szaleństwo. Najgorsze, że oczekują od ciebie niemożliwości.

Być może były to zwykłe marzenia, jak wierzył Miro, Ender jednak wiedział, że z wnętrza swego kokonu królowa kopca z kimś rozmawiała.

— A jak, według nich, królowa kopca z nimi rozmawia? Ouanda stanęła z drugiej

strony.

— Nie z nimi, tylko z Korzeniskiem. A Korzeniak przemawia do nich. To wszystko jest fragmentem systemu totemicznego. Staraliśmy się nigdy nie wyrażać wątpliwości i zachowywać tak, jakbyśmy w to wierzyli.

— To miło z waszej strony.

— To standardowa praktyka antropologiczna — wyjaśnił Miro.

— Jesteście tak pochłonięci udawaniem, że im wierzycie, że nie ma najmniejszej szansy, byście się od nich czegokolwiek nauczyli. Na chwilę zostali z tyłu i w efekcie wkroczył do lasu samotnie. Dogonili go zaraz.

— Poświęciliśmy życie, by nauczyć się o nich jak najwięcej — zawołał Miro. Ender zatrzymał się.

— Ale nie od nich.

Stali między pierwszymi drzewami lasu. Plamki sączącego się przez liście światła sprawiały, że nie mógł odczytać wyrazu ich twarzy. Wiedział jednak, co by w nich zobaczył. Gniew, irytację, pogardę — jak śmie ten obcy bez żadnych kwalifikacji wątpić w nasze profesjonalne podejście? Oto jak:

— Bez zastrzeżeń wierzycie we własną supremację kulturową. Wykonujecie swoją Podejrzaną Działalność, żeby pomóc biednym, małym prosiaczkom. I nigdy nie zauważycie, że oni także mogą was czegoś nauczyć.

— Niby czego? — zapytała gniewnie Ouanda. — Na przykład jak zamordować swego największego dobroczyńcę, zamęczyć go na śmierć po tym, jak ocalił życie dziesiątków ich żon i dzieci?

— Dlaczego więc tolerujecie to? Dlaczego im pomagacie po tym, co uczynili? Miro wsunął się między Ouandę i Mówcę. Chroni ją, pomyślał Ender. A raczej próbuje powstrzymać od ujawnienia słabości.

— Jesteśmy profesjonalistami. Rozumiemy, że różnice kulturowe, których nie potrafimy wyjaśnić...

— Rozumiecie, że prosiaczki są zwierzętami i nie oskarżacie ich o zamordowanie Pipa i Liba, jak nie oskarżacie cabry o to, że przeżuwa capim.

— To prawda — przyznał Miro.

— I właśnie dlatego nigdy się niczego od nich nie nauczycie — uśmiechnął się Ender.— Ponieważ uważacie ich za zwierzęta.

— Uważamy ich za ramenów! — Ouanda przesunęła się przed Mira. Najwyraźniej nie życzyła sobie ochrony.

— Traktujecie ich tak, jakby nie byli odpowiedzialni za swoje czyny. Ramen odpowiadają za to, co robią.

— I co masz zamiar zrobić? — spytała z ironią Ouanda. — Wytoczysz im proces?

— Coś wam powiem. Prosiaczki więcej się o mnie dowiedziały od martwego Korzeniaka, niż wy z bezpośredniego spotkania.

— Co to znaczy? Że naprawdę jesteś oryginalnym Mówcą? — Miro uznał to pewnie za najbardziej nieprawdopodobną tezę. — I pewnie rzeczywiście na statku krążącym wokół Lusitanii masz stado robali, które możesz sprowadzić na dół i...

— To znaczy — wyjaśniła Ouanda — że ten amator uważa siebie za lepiej wykwalifikowanego do kontaktów z prosiaczkami niż my. Jeśli o mnie chodzi, jest to dowód, że nie powinniśmy się zgadzać na sprowadzanie go tutaj na...

Ouanda przerwała, gdyż spomiędzy krzewów wynurzył się prosiaczek. Mniejszy, niż Ender się spodziewał. Jego zapach, choć nie całkiem nieprzyjemny, był jednak silniejszy, niż sugerowały symulacje Jane.

— Za późno — mruknął. — Właśnie się spotykamy.

Wyraz twarzy prosiaczka, o ile w ogóle miał wyraz twarzy, był dla Endera absolutnie nieczytelny. Jednak Miro i Ouanda, przynajmniej częściowo, rozumieli ten niemy język.

— Jest zdumiony — szepnęła Ouanda.

Tłumacząc to, czego Ender nie dostrzegał, ustawiała go na właściwym miejscu. Proszę bardzo. Wiedział, że jest tu nowicjuszem. Miał tylko nadzieję, że zakłócił nieco ich zwykły, wolny od wątpliwości tor myślenia. Było jasne, że kierują się ustalonymi wzorcami postępowania. Jeśli miał uzyskać ich pomoc, musiał zniszczyć te wzorce i dotrzeć do nowych konkluzji.

— Liściojad — powiedział Miro. Liściojad nie odrywał wzroku od Endera.

— Mówca Umarłych — stwierdził.

— Przeprowadziliśmy go — oświadczyła Ouanda. Liściojad odwrócił się i zniknął w krzakach.

— Co to oznacza? — zdziwił się Ender. — Dlaczego odszedł?

— Chcesz powiedzieć — spytała złośliwie Ouanda — że jeszcze się nie domyśliłeś?

— Czy wam się to podoba, czy nie — odparł Ender — prosiaczki chcą ze mną rozmawiać i spotkam się z nimi. Sądzę, że będzie lepiej dla wszystkich, jeśli pomożecie mi zrozumieć, co się dzieje. A może sami nie wiecie? Obserwował, jak walczą z uczuciem niechęci. Wreszcie, ku jego uldze, Miro podjął decyzję.

— Nie — oświadczył spokojnie i bez gniewu. — Nie wiemy. Ciągłe jeszcze gramy z prosiaczkami w zagadki. Oni zadają pytania, my zadajemy pytania i — o ile się orientuję — żadna ze stron nie zdradziła świadomie ani jednego faktu. Nie pytamy ich nawet o sprawy, na których nam naprawdę zależy w obawie, że zbyt wiele dowiedzą się z samych pytań. Ouanda była przeciwna zgodzie Mira na współpracę.

— Wiemy więcej, niż ty mógłbyś się dowiedzieć przez dwadzieścia lat — powiedziała. — Jesteś szaleńcem, jeśli sądzisz, że po dziesięciu minutach instrukcji w lesie zdobędziesz całą naszą wiedzę.

— Nie muszę zdobywać waszej wiedzy — odparł Ender.

— Tak sądzisz?

— Bo jesteście ze mną — uśmiechnął się. Miro zrozumiał i uznał to za komplement. Uśmiechnął się także.

— Powiem ci, co wiemy, choć nie ma tego dużo. Prawdopodobnie Liściojad nie jest zachwycony twoim widokiem. Nastąpiła schizma pomiędzy nim a innym prosiaczkiem imieniem Człowiek. Sądzieli, że cię nie przyprowadzimy, więc Liściojad był pewien wygranej. Teraz zwycięstwo się oddała. Być może ocaliliśmy Człowiekowi życie.

— I odebraliście je Liściojadowi?

— Kto wie? Mam wrażenie, że gra idzie o przyszłość Człowieka, nie Liściojada. On próbuje doprowadzić do porażki Człowieka, nie do własnego sukcesu.

— Ale nie macie pewności.

— To kwestia, o którą nigdy nie pytaliśmy — Miro uśmiechnął się znowu. — Ale masz rację. Tak się przyzwyczailiśmy, że nawet nie zauważamy, gdy nie pytamy.

— On ma rację? — rozzłościła się Ouanda. — Nawet nie widział nas przy pracy, a krytykuje... Ender jednak stracił zainteresowanie dla ich sporów. Ruszył w kierunku, w którym oddalił się Liściojad. Mogli iść za nim, jeśli zechcą. Chcieli, oczywiście, zostawiając kłótnię na potem. Gdy tylko znaleźli się przy nim, znowu zaczął zadawać pytania.

— Ta Podejrzana Działalność, jaką prowadziliście — spytał, nie przerywając marszu. — Czy wprowadziliście do ich diety nowe rodzaje pożywienia?

— Nauczyliśmy ich jeść korzenie merdony — odparła Ouanda. Była szorstka i rzeczowa, ale przynajmniej się odzywała. Nie pozwalała, by złość wykluczyła ją z udziału w najwyraźniej kluczowym spotkaniu z prosiaczkami. — Jak poprzez moczenie i suszenie na słońcu usuwać z tkanki cyjanidy. To było krótkookresowe rozwiązanie.

— Na dłuższy etap wykorzystaliśmy pewne, odrzucone przez mamę, mutacje amarantu — dodał Miro. — Otrzymała kilka tak dobrze dostosowanych do Lusitanii, że niezbyt się nadawały dla ludzi. Zawierały za dużo miejscowych, a za mało ziemskich protein. Ale doskonale nadawały się dla prosiaczków. Nie mówiąc, jakie to ważne, namówiłem Elę, żeby dostarczyła mi kilka egzemplarzy. Nie oszukuj się na temat tego, co wie, a czego nie wie Ela, pomyślał Ender.

— Libo dostarczył je prosiaczkom, nauczył uprawy i tego, jak mieć amarant na mąkę i wypiekać chleb. Smakował fatalnie, ale po raz pierwszy prosiaczki mogły bezpośrednio kontrolować rezerwy żywności. Od tego czasu są tłuste i pulchne.

— Ale zabiły ojca zaraz po tym, jak zaniósł żonom pierwsze bochenki — dodała z goryczą Ouanda.

Ender milczał przez chwilę, próbując doszukać się sensu tej historii. Prosiaczki zabiły Liba zaraz po tym, jak ocalił je od głodu? Nie do pomyślenia, a przecież się zdarzyło. Jak może ewoluować społeczeństwo, mordujące tych, którzy najbardziej przyczyniają się do jego przetrwania? Powinni postąpić odwrotnie: nagradzać najbardziej wartościowych, zwiększając ich możliwości reprodukcji. W ten sposób

społeczeństwo jako grupa ma większe szansę przetrwania. Jak zatem mogą przeżyć prosiaczki?

Wśród ludzi istniały jednak precedensy. Te dzieciaki, Miro i Ouanda ze swoją Podejrzaną Działalnością — na dalszą metę byli lepsi i mądrzejsi, niż komitet Gwiazdowego Kongresu, który ustalał reguły. Mimo to, gdyby ich schwytano, zabrano by ich z domów na inny świat, co samo w sobie było równoznaczne z wyrokiem śmierci — każdy, kogo znali, byłby martwy, zanim zdążyliby powrócić. Tam zostaliby osądzeni i skazani, prawdopodobnie uwięzieni. Ani ich idee, ani geny nie mogłyby się powielać i w efekcie ludzkość stałaby się uboższa.

Fakt, że ludzie postępowali podobnie, nie przydawał temu sensu. Poza tym, potencjalne zatrzymanie i uwięzienie Mira i Ouandy byłoby sensowne, gdyby uznać prosiaczki za wrogów ludzi. Gdyby przyjąć, że cokolwiek pomaga prosiaczkom przetrwać, w jakiś sposób zagraża ludzkości. Wtedy kara dla ludzi, rozwijających kulturę prosiaczków miałaby na celu nie ich ochronę, a powstrzymanie rozwoju.

Teraz dopiero zrozumiał, że reguły rządzące kontaktami ludzi i prosiaczków istniały wcale nie dla ochrony tych ostatnich. Istniały, by zagwarantować ludzkości przewagę i władzę. Z tego punktu widzenia, prowadząc Podejrzaną Działalność, Miro i Ouanda stawali się zdrajcami interesów własnego gatunku.

— Renegaci — powiedział głośno.

— Słucham? — nie zrozumiał Miro. — Co powiedziałaś?

— Renegaci. Ludzie, którzy odrzucili własny naród i przyłączyli się do nieprzyjaciela.

— Aha — mruknął Miro.

— Nie jesteśmy nimi — stwierdziła Ouanda.

— Owszem, jesteśmy.

— Nie odrzuciłam swojego człowieczeństwa!

— Jeśli zdefiniować je według biskupa Peregrino, odrzuciliśmy je już dawno.

— Ale tak, jak ja je definiuję... — zaczęła.

— Według twojej definicji — stwierdził Ender — prosiaczki także są ludźmi. Dlatego właśnie jesteście renegatami.

— Mówiłeś chyba, że traktujemy prosiaczki jak zwierzęta!

— Kiedy nie uznajecie ich odpowiedzialności, kiedy nie zadajecie bezpośrednich pytań, kiedy próbujecie je oszukiwać, wtedy traktujecie je jak zwierzęta.

— Innymi słowy — mruknął Miro — wtedy, gdy stosujemy się do reguł komitetu.

— Tak — oświadczyła Ouanda. — Tak, to prawda. Jesteśmy renegatami.

— A ty? — spytał Miro. — Czy jesteś renegatem?

— Cóż, rasa ludzka odepchnęła mnie już bardzo dawno. Dlatego zostałem Mówcą Umarłych. W milczeniu dotarli na polanę prosiaczków.

Ani mamy, ani Mira nie było na kolacji. Ela nie zmartwiła się tym specjalnie. Ich obecność ograniczała jej autorytet i nie potrafiła wtedy zapanować nad rodzeństwem.

Przy tym żadne z nich nie chciało zająć jej miejsca. Nikt zatem nie słuchał Eli i nikt nie starał się utrzymać porządku. Dlatego, kiedy nie wracali, w domu było ciszej i łatwiej. Zresztą, dzieciaki i tak nie były szczególnie grzeczne. Po prostu mniej się z nią kłóciły. Wystarczyło kilka razy wrzasnąć na Grega, żeby przestał szturchać Quarę i kopać ją pod stołem. Olhado i Quim milczeli, wyjątkowo dzisiaj powstrzymując się od zwykłych sprzeczek.

Dopóki nie skończyli jeść. Quim wyprostował się i ze złośliwym uśmiechem spojrzął na Olhada.

— Więc to ty nauczyłeś tego szpiega, jak się przedostać do plików mamy.

— Znowu zostawiłaś Quima z otwartą buzią — zwrócił się Olhado do Eli. — Powinnaś bardziej pilnować porządku.

W ten sposób, żartem, prosił ją o pomoc. Quim nie życzył sobie, by ktokolwiek pomagał bratu.

— Tym razem Ela nie będzie cię bronić, Olhado. Nikt nie stanie po twojej stronie. Pomogłeś temu podstępnemu szpiegowi w szukaniu dostępu do zbiorów mamy i dlatego jesteś tak samo winien, jak on. On jest sługą diabła i ty także.

Ela widziała, jak Olhado w pasji napina mięśnie; przez chwilę sądziła, że ciśnie w Quima talerzem. Ta chwila jednak minęła i Olhado uspokoił się.

— Przykro mi — powiedział. — Nie chciałem tego zrobić. Poddawał się. Przyznawał, że Quim ma rację.

— Mam nadzieję — wtrąciła Ela — że ci przykro, bo nie chciałeś tego zrobić, a nie dlatego, że pomogłeś Mówcy Umarłych.

— Oczywiście, że przeprasza, bo udzielił szpiegowi pomocy — odparł Quim.

— Ponieważ — dokończyła Ela — w miarę naszych możliwości wszyscy powinniśmy pomagać Mówcy. Quim zerwał się i przechylił nad stołem, by krzyknąć jej prosto w twarz:

— Jak możesz! Naruszył osobiste tajemnice mamy, grzebał w jej sekretach, chciał... Ku swemu zdziwieniu, Ela także się poderwała, odepchnęła go i krzyknęła jeszcze głośniej:

— To właśnie sekrety mamy są źródłem trucizny, która przenika ten dom! Sekrety mamy sprawiły, że wszyscy jesteśmy chorzy, z nią włącznie! Może tylko w jeden sposób da się to naprawić: wydobywając te sekrety na światło dzienne, odkrywając je, by potem zniszczyć! Zamilkła. Quim i Olhado stali pod ścianą, jak gdyby słowa były pociskami, a oni skazańcami podczas egzekucji.

— Jeżeli o mnie chodzi — mówiła dalej, spokojnie i z naciskiem — to Mówca Umarłych jest jedyną szansą, byśmy znowu stali się rodziną. A tajemnice mamy to jedyna przeszkoda na jego drodze. Dlatego opowiedziałam mu dzisiaj wszystko, co wiem o zawartości jej plików. Chcę oddać mu każde ziarno prawdy, jakie uda mi się znaleźć.

— Więc to ty jesteś najgorszą zdrajczynią — oświadczył Quim. Głos mu drżał,

jakby za chwilę miał się rozplakać.

— Twierdzą, że pomoc udzielona Mówcy jest aktem lojalności — odpowiedziała Ela. — Prawdziwa zdrada to posłuszeństwo mamie, ponieważ ona chce tylko — i pracuje nad tym przez całe życie — zniszczenia samej siebie i zniszczenia naszej rodziny. Ela była zaskoczona, gdy nie Quim, ale Olhado zapłakał. Naturalnie, jego gruczoły łzowe nie funkcjonowały, usunięte przy instalacji oczu, więc żaden ślad wilgoci nie zwiastował wybuchu. Chłopiec nagle zgiął się w pół, zsunął po ścianie na podłogę, pochylił głowę na kolana i zaszlochał. Ela rozumiała, dlaczego: ponieważ powiedziała, że jego uczucie dla Mówcy nie jest nielojalnością, że nie zgrzeszył, a on uwierzył jej, gdyż wiedział, że to prawda.

Wtedy spojrzała wyżej i zobaczyła stojącą w drzwiach mamę. Poczła dziwną słabość i zadrżała na myśl o tym, co mama musiała usłyszeć.

Lecz mama nie była zła. Tylko trochę smutna i bardzo zmęczona. Patrzyła na Olhada. Wściekłość zabrzmiała w głosie Quima:

— Słyszalas, co powiedziała Ela?

— Tak — odparła mama, nie spuszczać wzroku z Olhada. — Może ma rację. Ela zdenerwowała się równie mocno, jak Quim.

— Idźcie do siebie, dzieci — poleciła spokojnie mama. — Muszę porozmawiać z Olhadem.

Ela skinęła na Grega i Quarę, którzy zsunęli się z krzeseł i podbiegli do niej, patrząc w zdumieniu na niezwykle wydarzenia. Przecież nawet ojciec nie potrafił zmusić Olhada do płaczu. Wyprowadziła oboje z kuchni do sypialni. Słyszala, jak Quim idzie do siebie, trzaska drzwiami i rzuca się na łóżko. A w kuchni szloch Olhada cichł, uspokajał się, umilkł wreszcie, gdy mama — po raz pierwszy od dnia, gdy stracił oczy — przytulała go mocno, gładziła i kołysała, roniąc ciche łzy w jego włosy.

Miro nie bardzo wiedział, co sądzić o Mówcy Umarłych. Jakoś zawsze sobie wyobrażał, że Mówca jest kimś takim jak ksiądz, a raczej takim, jakim ksiądz być powinien. Spokojny, zamyślony, odseparowany od spraw świata, pozostawiający innym decyzje i działania. Spodziewał się, że będzie mądry.

Na pewno nie oczekiwał, że Mówca okaże się tak wścibski, tak niebezpieczny. Owszem, był mądry, to prawda — odrzucał pozory, mówił i robił rzeczy straszne, które po namyśle okazywały się absolutnie słuszne. Jakby poznał ludzki umysł na tyle dokładnie, by z twarzy wyczytać pragnienia tak głębokie i prawdy tak dobrze ukryte, że człowiek sam o nich nie wiedział.

Ileż to razy Miro z Ouandą stali tak samo, jak dzisiaj i przyglądali się rozmowom Liba z prosiaczkami. Zawsze jednak rozumieli, co robi; znali jego metody i cele. Mówca natomiast postępował drogą rozumowania zupełnie dla Mira obcą. Chociaż nosił ludzką postać, Miro zastanawiał się, czy naprawdę jest framlingiem — czasami był równie niepojęty jak prosiaczki. Był ramenem, jak oni — obcym, a jednak nie

zwierzęciem.

Co dostrzegął Mówca? Co widział? Łuk, niesiony przez Strzałę? Wysuszony na słońcu garnek, w którym nasiąkała i cuchnęła merdona? Co z Podejrzanej Działalności zdołał rozpoznać, a co uznał za procesy naturalne? Prosiaczki rozłożyły Królową Kopca i Hegemona.

— To ty napisałeś? — spytał Strzała.

— Tak — potwierdził Mówca Umarłych. Miro zerknął na Ouandę. W jej oczach błyszczała satysfakcja. A więc Mówca kłamał.

— Tamtych dwoje — wtrącił Człowiek. — Miro i Ouandą. Myślą, że jesteś kłamcą. Miro natychmiast spojrział na Mówcę, ten jednak nawet się nie obejrzał.

— Oczywiście — odparł. — Nie przyszło im do głowy, że Korzeniak mógł wam powiedzieć prawdę.

Spokojne słowa zaniepokoiły Mira. Czyżby to mogła być prawda? W końcu ludzie, podróżujący między gwiazdnymi systemami przeskakiwali dekady, czasem nawet stulecia w drodze od jednego świata do drugiego. Zdarzało się nawet, że pół tysiąca lat. Nie trzeba wielu przelotów, by przeżyć trzy millennia. Jednak przybycie tutaj pierwszego Mówcy Umarłych byłoby nazbyt nieprawdopodobnym zbiegiem okoliczności. Z drugiej strony, pierwszy Mówca Umarłych był tym, który stworzył Królową Kopca i Hegemona; na pewno interesowałby się jedyną prócz robali rasą ramenów. Nie wierzę w to, powiedział sobie Miro. Lecz musiał przyznać, że taka możliwość istniała.

— Dlaczego są tacy głupi? — zdziwił się Człowiek. — Nie poznają prawdy, kiedy ją usłyszą.

— Nie są głupi — wyjaśnił Mówca. — Tak właśnie zachowują się ludzie: kwestionujemy wszystkie nasze wierzenia prócz tych, w które wierzymy naprawdę, w te bowiem nie wątpimy nigdy. Tych dwoje nigdy nie wątpiło, że pierwszy Mówca Umarłych nie żyje od trzech tysięcy lat. Mimo że wiedzą, jak gwiazdne podróże przedłużają życie.

— Przecież im powiedzieliśmy.

— Nie. Powiedzieliście, że królowa kopca powiedziała Korzeniakowi, że to ja napisałem tę książkę.

— Dlatego powinni od razu wiedzieć, że to prawda — stwierdził Człowiek. — Korzeniak jest mądry. To ojciec; nigdy by się nie pomylił.

Miro nie uśmiechnął się, choć miał wielką ochotę. Mówca sądził, że jest sprytny i proszę, gdzie się znalazł z tymi swoimi wścibskimi pytaniami, zablokowany upartą wiarą prosiaczków, że ich totemowe drzewa potrafią do nich przemawiać.

— Cóż — westchnął Mówca. — Tak wiele jest rzeczy, których nie rozumiemy. I tak wiele tych, których wy nie rozumiecie. Powinniśmy więcej sobie tłumaczyć.

Człowiek usiadł obok Strzały, dzieląc z nim honorowe miejsce. Strzała nie okazał nawet śladu sprzeciwu.

— Mówco Umarłych — zaczął Człowiek. — Czy przyprowadzisz do nas królową kopca?

— Jeszcze nie zdecydowałem.

Miro raz jeszcze spojrział na Ouandę. Czy Mówca oszalał sugerując, że dostarczy to, czego dostarczyć nie można?

Potem przypomniał sobie jego słowa o tym, że kwestionujemy wszystkie swoje wierzenia oprócz tych, w które naprawdę wierzymy. Miro zawsze uznawał za pewnik to, co wiedzieli wszyscy: że wszystkie robale zginęły. A jeśli przeżyła królowa? Może właśnie dlatego Mówca Umarłych zdołał stworzyć swoją książkę — bo mógł rozmawiać z robalem?

Było to w najwyższym stopniu nieprawdopodobne, ale przecież możliwe. Miro nie wiedział na pewno, że wszystkie robale zostały zniszczone. Wiedział tylko, że wszyscy w to wierzyli i przez trzy tysiące lat nikt nie dostarczył nawet cienia dowodu, że jest inaczej.

Lecz nawet jeśli to prawda, skąd Człowiek mógł się o tym dowiedzieć? Najprostszym wyjaśnieniem było, że prosiaczki włączyły do swej religii wspaniałą historię Królowej Kopca i Hegemona; że nie potrafiły pojąć idei istnienia wielu Mówców Umarłych, z których żaden nie był autorem książki; ani tej, że wszystkie robale zginęły i królowa kopca nigdy do nich nie przyjdzie. To najprostsza teoria, którą najłatwiej zaakceptować. Każda inna wymagała dopuszczenia możliwości rozmów między totemowym drzewem Korzeniaka a prosiaczkami.

— Co sprawi, że podejmiesz decyzję? — spytał Człowiek. — Ofiarujemy dary żonom, by zyskać ich szacunek, ty jednak jesteś najmądrszym z ludzi i nie posiadamy niczego, co byłoby ci potrzebne.

— Macie wiele rzeczy, które są mi potrzebne — odparł Mówca.

— Co? Czyż nie potrafisz robić garnków lepszych niż te? Bardziej prostych strzał? Peleryna, którą noszę, utkana jest z wełny cabry, ty jednak masz cieńsze odzienie.

— Nie potrzebuję tego — oświadczył Mówca. — Potrzebuję prawdziwych historii. Człowiek pochylił się, a jego ciało zeszywniało z podniecenia i niecierpliwości.

— O, Mówco! — zawołał, a jego głos brzmiał mocno ważnością wypowiedzianych słów. — Czy dodasz naszą historię do Królowej Kopca i Hegemona?

— Nie znam waszej historii.

— Pytaj! Pytaj, o co chcesz!

— Jak mogę opowiedzieć waszą historię? Mówię tylko o tych, którzy są martwi.

— Jesteśmy martwi — krzyknął Człowiek. Miro nie widział go jeszcze tak podnieconego. — Każdego dnia jesteśmy mordowani. Ludzie zajmują wszystkie planety. Statki podróżują przez czerń nocy od gwiazdy do gwiazdy, docierają we wszystkie wolne miejsca. Tkwimy na naszym małym świecie patrząc, jak niebo zapełnia się ludźmi. Ludzie zbudowali to głupie ogrodzenie, by zatrzymać nas na zewnątrz, ale nie to się liczy. Niebo jest dla nas ogrodzeniem! — Człowiek skoczył

w górę, zdumiewająco wysoko, gdyż miał silne nogi. — Patrz, jak to ogrodzenie ciska mnie na ziemię!

Podbiegł do najbliższego drzewa, wspiął się po pniu wyżej, niż Miro kiedykolwiek widział, przesunął się po gałęzi i skoczył w powietrze. Przez moment zawisł nieruchomo na szczycie toru lotu; potem ciężenie pchnęło go w dół, na twardą ziemię. Miro słyszał, jak siła uderzenia wypycha prosiaczkowi powietrze z płuc. Mówca natychmiast rzucił się mu na pomoc; Miro biegł tuż za nim. Człowiek nie oddychał.

— Zabił się? — spytała z tyłu Ouanda.

— Nie! — krzyknął któryś z prosiaczków w Mowie Mężczyzn. — Nie możesz umrzeć! Nie, nie, nie! Miro podniósł głowę. Zdumiał się, poznawszy Liściojada.

— Nie możesz umrzeć!

Wtedy Człowiek podniósł drżącą dłoń i dotknął twarzy Mówcy. Wciągnął w płuca powietrze. I przemówił.

— Widzisz, Mówco? Chętnie zginę, by pokonać mur, dzielący nas od gwiazd. Przez wszystkie lata pracy Mira, ani nigdy przedtem, żaden z prosiaczków nie wspominał o międzygwiazdnych podróżach, żaden nawet nie pytał. Chłopiec jednak zdał sobie sprawę, że wszystkie ich pytania wiązały się jakoś z tajemnicą tych podróży. Ksenolodzy nie dostrzegali tego, ponieważ wiedzieli — wiedzieli bez żadnych wątpliwości — że prosiaczki są tak dalekie poziomu cywilizacji, dopuszczającego budowę gwiazdolotów, że tysiący lat trzeba, by taki wyczyn znalazł się w ich zasięgu. Lecz poszukiwanie wiedzy o metalach, silnikach, unoszeniu się nad ziemią — to wszystko było próbą odkrycia tajemnicy lotu.

Człowiek podniósł się wolno, trzymając Mówcę za rękę. Miro pomyślał, że przez te wszystkie lata żaden z prosiaczków nigdy nie wziął go za rękę. Poczłł żal... i bolesne ukłucie zazdrości. Teraz, gdy było jasne, że Człowiek nie jest ranny, wszystkie prosiaczki stłoczyły się wokół Mówcy. Nie przepychały się, ale chciały być blisko.

— Korzeniak mówi, że królowa kopca wie, jak budować gwiazdoloty — oświadczył Strzała.

— Korzeniak mówi, że królowa kopca nauczy nas wszystkiego — dodał Kubek. — O metalu, ogniu wydobywanym ze skał, domach z czarnej wody, wszystkiego. Mówca uniósł ramiona, prosząc o ciszę.

— Gdybyście byli spragnieni, a ja miałbym wodę, prosilibyście, bym dał wam pić. Ale gdybym wiedział, że woda jest zatruta?

— Nie ma trucizny w statkach, które latają do gwiazd — odparł Człowiek.

— Wiele jest dróg, prowadzących do lotów poprzez kosmos — oświadczył Mówca. — Niektóre są lepsze od innych. Dam wam wszystko, co mogę i co nie doprowadzi was do zguby.

— Królowa kopca obiecuje! — stwierdził Człowiek.

— Ja także.

Człowiek podskoczył, chwycił Mówcę za uszy i włosy, przyciągnął tak, że znaleźli się twarzą w twarz. Miro nigdy nie widział takiego aktu przemocy; nastąpiło to, czego się obawiał: decyzja o mordzie...

— Jeśli jesteśmy ramenami — krzyknął Człowiek prosto w twarz Mówcy — to do nas należy ocena, nie do ciebie! A jeśli varelse, to możesz od razu nas pozabijać, jak zabiłeś wszystkie siostry królowej kopca!

Miro nie pojmował. Czym innym było stwierdzenie prosiaczków, że to właśnie ten Mówca napisał książkę, ale jak mogły dojść do niewiarygodnego wniosku, że był w jakiś sposób winien Ksenocydu? Za kogo go uważały, za tego potwora Endera? A jednak Mówca Umarłych siedział przed nim na ziemi, a spod zamkniętych powiek łzy spływały mu po policzkach, jakby oskarżenie Człowieka miało moc prawdy. Człowiek odwrócił głowę i spojrzał na Mira.

— Czym jest ta woda? — szepnął, dotykając łez Mówcy.

— Tak okazujemy ból i cierpienie — wyjaśnił Miro.

Mandachuwa krzyknął nagle. Miro nie słyszał jeszcze tak straszliwego krzyku, przypominającego wycie konającego zwierzęcia.

— A tak my okazujemy ból — szepnął znowu Człowiek.

— Ach! Ach! — jęczał Mandachuwa. — Widziałem już taką wodę! W oczach Liba i Pipa ją widziałem!

Z początku pojedynczo, potem wszystkie razem, prosiaczki podjęły krzyk. Miro był przerażony, zdumiony i podniecony jednocześnie. Nie miał pojęcia, co to oznacza, ale prosiaczki okazywały uczucia, skrywane przed ksenologami od czterdziestu siedmiu lat.

— Czy płaczą po tatusiu? — szepnęła Ouanda. Jej oczy także lśniły podnieceniem, a pot przerażenia sklejał włosy. Miro odpowiedział natychmiast, gdy tylko ta myśl przysłała mu do głowy:

— Do tej pory nie wiedzieli, że Pipo i Libo płakali w chwili śmierci. Nie wiedział, co pomyślała Ouanda; widział tylko, jak odwraca się, potykając odchodzi o kilka kroków, osuwa na klęczki i płacze. Przybycie Mówcy z pewnością narobiło sporo zamieszania.

Sam Mówca siedział teraz ze spuszczoną głową i brodą wspartą o pierś. Miro uklęknął przy nim.

— Mówco — zapytał. — Como pode ser? Jak to możliwe, że jesteś pierwszym Mówcą, a jednak jesteś też Enderem? Nao pode ser.

— Powiedziała im więcej, niż sądziłem, że się odważy — szepnął.

— Przecież Mówca Umarłych, który napisał tę książkę, jest najmądrzejszym z ludzi, jacy żyli w epoce lotów międzygwiazdnych. A Ender to morderca; zabił cały naród, wspaniałą rasę, która mogła nauczyć nas wszystkiego...

— Obaj byli ludźmi. Człowiek stanął przy nich i powtórzył werset z Hegemona:

— Choroba i uzdrowienie tkwią w każdym sercu. Każda dłoń niesie śmierć i zbawienie.

— Człowieku — odezwał się Mówca. — Powiedz swojemu ludowi, by nie bolał nad tym, co uczynił w niewiedzy.

— To był straszny czyn — odparł prosiaczek. — Nasz najwspanialszy dar.

— Powiedz im, by się uspokoił i wysłuchali mnie.

Człowiek krzyknął kilka słów, nie w Mowie Mężczyzn, ale w Mowie Żon, języku władzy. Prosiaczki ucichły i siadły na ziemi, by wysłuchać Mówcy.

— Zrobię wszystko, co możliwe — powiedział. — Ale najpierw muszę was poznać. Jak inaczej mógłbym opowiedzieć waszą historię? Muszę was poznać, bo skąd będę wiedział, czy woda nie jest zatruta? Zaś najtrudniejszy problem pozostaje: rasa ludzi potrafiła pokochać robali, gdyż sądzi, że wszystkie zginęły. Wy wciąż żyjecie, więc oni ciągle się was boją. Człowiek powstał i wskazał na swoje ciało, jakby było czymś słabym i niepewnym.

— Nas!

— Boją się tego, czego i wy się lękacie, gdy podnosicie głowy i widzicie gwiazdy zajęte przez ludzi. Boją się, że pewnego dnia przybędą na planetę i stwierdzą, że wy byliście tam pierwsi.

— Nie chcemy być tam pierwsi. Chcemy tam być także.

— Dajcie mi więc czas. Nauczcie mnie, kim jesteście, bym ja mógł ich nauczyć.

— Co tylko zechcesz — obiecał Człowiek. — Nauczymy cię wszystkiego. Liściojad powstał. Przemówił w Mowie Mężczyzn, ale Miro zrozumiał.

— Są rzeczy, których nie masz prawa uczyć.

— Pipo, Libo, Ouanda i Miro także nie mieli prawa — Człowiek odpowiedział w storku, ostrym tonem. — A jednak zrobili to.

— Ich głupota nie musi być naszą — Liściojad nadal używał Mowy Mężczyzn.

— Ani ich mądrość nie musi nas dotyczyć — odparował Człowiek. Wtedy Liściojad rzucił coś w Mowie Drzew. Miro nie zrozumiał; Człowiek milczał, a Liściojad odwrócił się i odszedł. Zbliżyła się Ouanda, z oczami czerwonymi od płaczu.

— Co chciałbyś wiedzieć? — zapytał Człowiek. — Powiemy ci. Pokażemy, jeśli to możliwe.

— O co mam pytać? — zwrócił się Mówca do dwójki ksenologów. — Wiem tak niewiele, że musicie mi pomóc. Miro spojrzał na Ouandę.

— Nie macie metalowych ani kamiennych narzędzi — powiedziała. — Ale wasz dom zbudowany jest z drewna, tak jak wasze łuki i strzały. Człowiek stał nieruchomo. Cisza przedłużała się.

— Ale jakie jest twoje pytanie? — zapytał wreszcie. Jakim cudem nie dostrzegł powiązania? pomyślał Miro.

— My, ludzie — wyjaśnił Mówca — narzędziami z kamienia lub metalu ścinamy

drzewa, z których chcemy uformować domy, strzały czy maczugi, podobne do waszych. Minęło kilka sekund, zanim dotarło do nich znaczenie tych słów. Potem, nagle, wszystkie prosiaczki poderwały się i zaczęły biegać szaleńczo, bezcelowo, często zderzając się ze sobą, z drzewami i ścianami chat. Na ogół milczały, ale od czasu do czasu któryś krzyczał głośno, jak kilka minut temu Mandachuwa. Ich bezgłośnie niemal szaleństwo sprawiało niesamowite wrażenie — jakby nagle utraciły panowanie nad własnymi ciałami. Przez tyle lat ludzie uprawiali delikatną politykę niekomunikatywności, a teraz Mówca złamał tę zasadę i w rezultacie wybuchł obłęd. Człowiek wyrwał się z tego kręgu i padł przed Mówcą na ziemię.

— Mówco! — krzyknął głośno. — Obiecuj, że nigdy nie zetniesz mojego ojca, Korzeniaka, narzędziami z metalu i kamienia! Jeśli chcesz kogoś zamordować, są sędziwi bracia, którzy się poświęcą, albo ja chętnie umrę, ale nie pozwól zabić mego ojca!

— Ani mojego ojca! — wołały prosiaczki. — Ani mojego!

— Nigdy nie posadzilibyśmy Korzeniaka tak blisko ogrodzenia — oznajmił Mandachuwa — gdybyśmy wiedzieli, że jesteście... jesteście varelse. Mówca raz jeszcze uniósł ramiona.

— Czy ktokolwiek z ludzi ściął drzewo na Lusitanii? Nigdy. Prawo tego zakazuje. Nie macie się czego obawiać. Prosiaczki znieruchomiały i zapadła cisza. Wreszcie Człowiek podniósł się z ziemi.

— Sprawileś, że jeszcze bardziej lękamy się ludzi — oświadczył. — Żałuję, że przyszedłeś do naszego lasu. Krzyk Ouandy zagłuszył jego słowa.

— Jak możecie tak mówić, kiedy zamordowaliście mojego ojca!

Człowiek spojrział na nią zdumiony, niezdolny do odpowiedzi. Miro objął Ouandę ramieniem. W ciszy rozległ się głos Mówcy.

— Obiecaliście odpowiedzieć na moje pytania. Pytam więc: jak budujecie dom zrobiony z drewna, jak robicie łuk i strzały, które on trzyma, albo takie maczugi? Powiedzieliśmy wam o jedynym sposobie, jaki znamy. Powiedzcie nam o innym; o tym, którego wy używacie.

— Brat oddaje siebie — wyjaśnił Człowiek. — Przecież mówiłem. Tłumaczymy sędziwemu bratu nasze potrzeby, pokazujemy kształty, a on oddaje siebie.

— Możemy zobaczyć, jak się to odbywa? — spytał Ender. Człowiek spojrział na pozostałe prosiaczki.

— Mamy prosić brata, by oddał siebie tylko dlatego, że chcecie to zobaczyć? Niepotrzebny nam nowy dom, jeszcze przez całe lata; mamy dość strzał...

— Pokaż mu!

Miro obejrzał się, a za nim wszyscy obecni. Liściojad wyszedł spomiędzy drzew. Stał pewnie na środku polany; nie patrzył na nikogo i mówił, jakby był gońcem, miejskim heroldem, nie dbającym o to, czy ktokolwiek go słucha. Przemawiał w Mowie Żon i Miro rozumiał jedynie pojedyncze słowa.

— Co on mówi? — szepnął Mówca. Miro, wciąż klęcząc przy nim, tłumaczył najlepiej jak potrafił.

— Widocznie był u żon, a one kazały robić wszystko, o co poprosisz. Ale to nie koniec... Mówi, że... nie znam tych słów. „coś, że wszyscy umrą. Coś o braciach, którzy giną i tak. Popatrz tylko: żaden z nich się nie boi.

— Nie wiem, jak wygląda ich strach — stwierdził Mówca. — W ogóle ich nie znam.

— Ja też nie — odparł Miro. — Muszę przyznać, że w ciągu pół godziny wzbudziłeś więcej emocji, niż widziałem przez wszystkie lata pracy.

— To dar, z którym się urodziłem — wyjaśnił Mówca. — Zawrzyjmy umowę. Nikomu nie powiem o waszej Podejrzanej Działalności, a wy nikomu nie zdradzicie, kim jestem.

— Prosta sprawa. I tak w to nie wierzę. Liściojad zakończył przemowę. Natychmiast poczłapał do chaty i zniknął w jej wnętrzu.

— Poprosimy o dar jednego z sędziwych braci — oznajmił Człowiek. — Tak nakazały żony. I stało się. Miro obejmował ramieniem Ouandę, a Mówca stał u jego boku, gdy prosiaczki dokonywały cudu daleko bardziej przekonującego niż te, które zdobyły starym Gusto i Cidzie godność Os Venerados.

Prosiaczki stanęły kręgiem wokół starego, grubego drzewa na skraju polany. Potem, po kolei, jeden prosiaczek za drugim wspinał się na pień i zaczynał w niego stukać maczugą. Wkrótce wszystkie były na gałęziach, śpiewając i wystukując złożone rytmy.

— Mowa Drzew — szepnęła Ouanda.

Po kilku minutach pień wyraźnie się pochylił. Połowa prosiaczków zeskoczyła i zaczęła popychać go, by upadł na otwarty teren polany. Reszta stukała jeszcze bardziej gwałtownie i śpiewała coraz głośniej.

Jeden po drugim opadały z drzewa wielkie konary. Prosiaczki zbierały je i natychmiast odciągały z obszaru, gdzie miał upaść pień. Człowiek przyniósł jedną z gałęzi Mówcy, a ten wziął ją ostrożnie i pokazał Miro i Ouandzie. Koniec, przylegający wcześniej do pnia, był zupełnie gładki. Nie płaski — skośna powierzchnia falowała lekko — ale nie było tam żadnych ostrych drzazg ani krawędzi, ani śladu żywicy; nic, co sugerowałoby, że gałąź oderwano siłą. Miro dotknął powierzchni palcem — była gładka i zimna jak marmur.

Wreszcie z drzewa pozostał jedynie prosty pień, nagi i majestatyczny. Popołudniowe słońce rozjaśniało plamy, gdzie kiedyś tkwiły gałęzie. Śpiew wzniósł się mocniej i umilkł. Drzewo przechyliło się, by rozpocząć płynny upadek na ziemię. Grunt zdrzął, gdy uderzyło. Potem wszystko ucichło.

Człowiek podszedł do drzewa i nucąc cicho zaczął gładzić powierzchnię pnia. Kora pękała stopniowo pod dotykiem jego palców; szczelina wydłużała się w obie strony, wreszcie kora rozdzieliła się na dwie części. Grupa prosiaczków pochwyciła ją i bez

wysiłku zsunęła z pnia, otrzymując dwa równe arkusze. Odnieśli je na bok.

— Widzieliście kiedyś, do czego używają kory? — zapytał Mówca. Miro pokręcił głową. Nie potrafił wykrztusić ani słowa.

Teraz wystąpił Strzał. Śpiewając cicho przesunął po pniu palcami, jakby znaczył dokładnie długość i szerokość łuku. Miro widział, jak występują linie, jak nagie drewno pęka, rozsuwa się, kruszy, aż wreszcie pozostał jedynie łuk, doskonały, wypolerowany i gładki, leżący w długim zagłębieniu pnia.

Prosiaczki podchodziły kolejno i ze śpiewem kreśliły na drewnie rozmaite kształty. Odchodziły z maczugami, łukami i strzałami, nożami o wąskich ostrzach i tysiącami pasm do wyplatania koszy. W końcu, gdy zniknęła połowa pnia, cofnęły się wszystkie i zaśpiewały razem. Drzewo drgnęło i rozpadło się na pół tuzina długich pali. Zostało całkowicie zużyte. Człowiek podszedł wolno, przyklęknął i delikatnie położył dłoń na najbliższym palu. Odchylił głowę i zaśpiewał melodię bez słów, najsmutniejszą, jaką Miro w życiu słyszał. Solowa pieśń trwała, a Miro stopniowo zdawał sobie sprawę, że pozostałe prosiaczki spoglądają na niego, wyraźnie na coś czekając. Wreszcie zbliżył się Mandachuwa.

— Proszę cię — powiedział. — Słusznym będzie, abyś zaśpiewał dla brata.

— Nie wiem jak — Miro był bezradny i wystraszony.

— Oddał życie — rzekł Mandachuwa — by odpowiedzieć na twoje pytanie.

By odpowiedzieć na moje pytanie i wywołać tysiące nowych, pomyślał Miro. Wystąpił jednak, ukląkł obok Człowieka, objął palcami ten sam chłodny, gładki pal i zanucił. Z początku słabo i z wahaniem, niepewny melodii; wkrótce jednak zrozumiał cel tej pieśni, poczuł dłonią śmierć drzewa, i jego śpiew, dręcząc dysonansami, zabrzmiał głośno i mocno obok głosu Człowieka, płaczącego po drzewie, dziękującego za ofiarę i obiecującego wykorzystać ją dla dobra plemienia, dla dobra braci, żon i dzieci, by wszyscy żyli, rozwijali się i prosperowali. Takie było znaczenie śmierci drzewa i znaczenie tej pieśni, a kiedy dobiegła końca, Miro pochylił się, aż dotknął czołem powierzchni pala i wypowiedział słowa ostatniego namaszczenia, te same, które szeptał nad ciałem Liba, na zboczu *wzgórza*, pięć lat temu.

ROZDZIAŁ 15

MOWA

CZŁOWIEK: Dlaczego inni ludzie nigdy się z nami nie spotykają?

MIRO: Tylko nam wolno przekraczać bramę.

CZŁOWIEK: Dlaczego po prostu nie wdrapią się na ogrodzenie?

MIRO: Czy ktoś z was próbował go kiedyś dotknąć? (Człowiek nie odpowiada.) To bardzo bolesne. Przejście przez ogrodzenie to jakby wszystkie części ciała bolały cię tak, że bardziej nie można i to

równocześnie.

CZŁOWIEK: To głupie. Czy nie ma trawy po obu stronach?

*Ouanda Quenhatta Figueira Mucumbi, Transkrypcje rozmów,
103:1970:1:1:5*

Do zachodu słońca pozostała tylko godzina, gdy burmistrz Bosquinha stanęła na stopniach katedry, wiodących do biura biskupa Peregrino. Dom i Dona Cristaes już czekali i wyglądali dość posępnie. Biskup za to był wyraźnie zadowolony. Cieszyło go, gdy polityczni i religijni przywódcy Milagre zbierali się pod jego dachem. Nie szkodzi, że to Bosquinha prosiła o spotkanie i zaproponowała, by odbyło się w katedrze, ponieważ dysponuje śmigaczem. Peregrino lubił czuć się władcą Kolonii Lusitanii. No cóż, pomyślała Bosquinha, gdy zebranie dobiegnie końca stanie się jasne, że nikt z obecnych nie włada absolutnie niczym.

Przywitała się, nie przyjęła jednak zaproponowanego krzesła. Zamiast tego usiadła przed osobistym terminalem biskupa, uruchomiła go i wywołała przygotowany wcześniej program. W powietrzu uformowało się kilka warstw niewielkich sześcianów. W najwyższej było ich tylko kilka, w pozostałych o wiele, wiele więcej. Ponad połowa warstw, poczynając od najwyższej, była czerwona; reszta miała kolor niebieski.

— Bardzo ładne — przyznał biskup Peregrino. Bosquinha spojrzała pytająco na Dom Cristao.

— Poznajesz ten model? Pokręcił głową.

— Myślę jednak, że wiem, dlaczego się zebraliśmy. Dona Crista uniosła się z krzesła.

— Czy istnieje bezpieczne miejsce, gdzie moglibyśmy ukryć to, co chcemy zatrzymać? Z twarzy biskupa znikł wyraz uprzejmego zdziwienia.

— Ja nie wiem, po co się zebraliśmy. Bosquinha okręciła się na stołku.

— Byłam bardzo młoda, kiedy powierzono mi stanowisko Zarządcy nowej Kolonii Lusitanii. Wybór stanowił wielki zaszczyt i dowód wielkiego zaufania. Od dzieciństwa studiowałam kierowanie grupami społecznymi i systemy społeczne, w dodatku dobrze sobie radziłam podczas krótkiego pobytu na Oporto. Komitet najwyraźniej przeoczył fakt, że stałam się osobą podejrzliwą, chytrą i szowinistycznie nastawioną.

— Te zalety wszyscy nauczyliśmy się cenić — wtrącił Peregrino. Bosquinha podziękowała mu uśmiechem.

— Szowinizm oznaczał, że gdy tylko Kolonia Lusitanii należała do mnie, stałam się bardziej lojalna wobec niej niż wobec Stu Światów czy Gwiezdnego Kongresu. Chytraść kazała mi przekonywać komitet, że jest wręcz przeciwnie, że interesy Kongresu zawsze są u mnie na pierwszym miejscu. A podejrzliwość skłoniła do wiary, że Kongres raczej nie przyzna Lusitanii niczego choćby podobnego do statusu

niezależności czy równości wśród Stu Światów.

— Oczywiście, że nie — zawołał biskup. — Przecież jesteśmy kolonią.

— Wcale nie — zaprzeczyła Bosquinha. — Jesteśmy eksperymentem. Przystudiowałam naszą kartę, licencję i wszystkie Polecenia Kongresu, jakie nas dotyczą. Odkryłam, że nie przysługują nam normalne swobody. Że komitet ma prawo nieograniczonego dostępu do wszystkich plików pamięci każdego człowieka i instytucji na Lusitanii. Biskup zaczął okazywać irytację.

— Chcesz powiedzieć, że mogą kontrolować poufne dokumenty Kościoła?

— Aha — mruknęła Bosquinha. — Współszowinista.

— Gwiazdny Kodeks gwarantuje Kościołowi pewne prawa.

— Nie mnie należy zgłaszać pretensje.

— Nic nie mówiłaś.

— Gdybym powiedziała, protestowałbyś, oni udaliby, że się wycofują, a ja nie mogłabym zrobić tego, co zrobiłam.

— To znaczy?

— Ten program. Kontroluje każdą inicjowaną ansiblem próbę dostępu do jakichkolwiek plików Kolonii Lusitanii.

— Chyba nie masz takich uprawnień — zaśmiał się Dom Cristao.

— Wiem. Jak już mówiłam, posiadam pewne ukryte wady. Mój program nigdy nie wykrył poważnych naruszeń. Kilka zbiorów za każdym razem, kiedy prosiaczki zabiły ksenologa, ale tego należało oczekiwać, i właściwie nic poza tym. Dopiero cztery dni temu...

— Kiedy przyleciał Mówca Umarłych — szepnął Peregrino.

Bosquinha uśmiechnęła się. Biskup uważał przybycie Mówcy za fakt tak istotny, że od razu powiązał oba wydarzenia.

— Trzy dni temu ansibl zainicjował niedestruktywny skan, wykonywany według interesującego wzorca — zmieniała obraz na terminalu. Teraz ukazywał próby dostępu do plików wysokiego poziomu, ograniczone do jednego tylko obszaru. — Zbadano wszystko, co dotyczy ksenologów i ksenobiologów Milagre. Procedura pominęła wszelkie zabezpieczenia, jakby nie istniały. Wszystkie odkrycia, wszystko na temat ich życia osobistego. Tak, drogi biskupie, uznałam wtedy i nadal wierzę, że ma to związek z Mówcą.

— Nie ma chyba tak wielkiego znaczenia w Kongresie? Dom Cristao w zamyśleniu pokiwał głową.

— San Angelo napisał w swoich osobistych dziennikach, których nie czyta nikt prócz Dzieci Umysłu...

— A więc Dzieci Umysłu naprawdę przechowują tajne pisma San Angela! — krzyknął tryumfalnie Peregrino.

— Nie tajne — sprostowała Dona Crista. — Po prostu nudne. Każdy może je

przeczytać, jednak tylko my zadaliśmy sobie ten trud.

— Napisał — ciągnął Dom Cristao — że Mówca Andrew jest starszy, niż możemy przypuszczać. Starszy od Gwiezdnego Kongresu. I na swój sposób potężniejszy.

— To przecież tylko chłopiec — prychnął pogardliwie biskup. — Nie ma nawet czterdziestki.

— Wasze rozgrywki to tylko strata czasu — przerwała ostro Bosquinha. — Zwołałam to zebranie w sytuacji krytycznej. Jako gest w waszą stronę, ponieważ podjęłam już działania w imieniu rządu Lusitanii. Ucichli. Bosquinha wyświetliła wyjściowy schemat.

— Dziś rano program zaalarmował mnie po raz drugi. Ansibl zainicjował kolejny systematyczny odczyt, choć nie tak selektywny i niedestruktywny, jak trzy dni wcześniej. Tym razem czytane jest wszystko, w tempie transmisji danych. Oznacza to, że nasze pliki są kopiowane do pamięci systemów pozaplanetarnych. Struktura katalogów zmienia się tak, by pojedynczy, przekazany ansiblem rozkaz skasował wszystkie zbiory w pamięci naszych komputerów. Bosquinha dostrzegła zaskoczenie biskupa — i brak zaskoczenia Dzieci Umysłu.

— Dlaczego? — spytał Peregrino. — Kasowanie wszystkich plików... tak się postępuje z narodem lub planetą... zbuntowaną, którą chce się zniszczyć, która...

— Widzę — Bosquinha zwróciła się do Dzieci Umysłu — że byliście równie podejrzliwi i szowinistyczni.

— Obawiam się, że w mocno zawężonym zakresie — odparł Dom Cristao. — Ale także wykryliśmy to naruszenie. Naturalnie, przekazaliśmy kopie naszych zapisów, choć wielkim kosztem, do klasztorów Dzieci Umysłu na innych Światach. W przypadku kasacji spróbują odtworzyć nasze dane. Jeśli jednak uznano nas za zbuntowaną kolonię, nie uzyskają na to zgody. Dlatego drukujemy także papierowe kopie najistotniejszych informacji. Nie ma nadziei, by przedrukować wszystko, ale może wystarczy, by jakoś sobie poradzić. W ten sposób nasza praca nie pójdzie na marne.

— Wiedzieliście? — zdumiał się biskup. — I nie powiedzieliście nam?

— Proszę o wybaczenie, ale nie przyszło nam do głowy, że sami tego nie wykryliście.

— A w dodatku uważacie, że nasze prace nie są tak ważne, by warto je było zachować.

— Dość! — przerwała burmistrz. — Na wydrukach można przechować najwyżej niewielki procent danych — na Lusitanii nie ma dosyć drukarek, żeby stanowiło to rozwiązanie. Nie wystarczy nawet na utrzymanie podstawowych funkcji. Nie sądzę, by pozostała nam więcej niż godzina do zakończenia kopiowania. Potem będą gotowi do wykasowania naszej pamięci. Nawet, gdybyśmy zaczęli dzisiaj o świcie, kiedy wymuszono dostęp, zdołalibyśmy przedrukować co najwyżej jedną setną procenta plików, z których codziennie korzystamy. Jesteśmy całkowicie bezbronni.

— Więc nie ma ratunku — stwierdził Peregrino.

— Jest. Ale chciałam wam najpierw uświadomić skalę kryzysu, abyście zaakceptowali jedyną alternatywę. Choć może się wam nie spodobać.

— W to nie wątpię — mruknął biskup.

— Przed godziną, kiedy szukałam rozwiązania problemu i próbowałam znaleźć jakąkolwiek grupę zbiorów, odpornych na zastosowaną procedurę, wykryłam, że istnieje człowiek, którego rejestry zostały całkowicie pominięte. Z początku sądziłam, że to dlatego, że jest framlingiem, lecz powód jest bardziej wyrafinowany. Mówca Umarłych nie ma żadnych plików w pamięci systemów Lusitanii.

— Żadnych? — powtórzyła Dona Crista. — To niemożliwe.

— Jego zbiory są dostępne poprzez ansibl. Pozaplanetarnie. Wszystkie zapisy, finanse, wszystko. Każda przesłana do niego wiadomość. Rozumiecie?

— I wciąż ma do nich dostęp... — mruknął Dom Cristao.

— Dla Gwiezdnego Kongresu jest niewidoczny. Jeśli nałożą embargo na wszelkie transfery danych na Lusitanię i z powrotem, jego zbiory pozostaną, ponieważ komputery nie traktują dostępu do nich jako transferu danych. To pliki źródłowe... a przy tym nie są częścią pamięci Lusitanii.

— Sugerujesz — upewnił się Peregrino — byśmy przestali nasze najbardziej poufne, najważniejsze dane jako wiadomości do tego... tego obrzydliwego heretyka?

— Powtarzam, że ja sama właśnie to robiłam. Transfer najbardziej niezbędnych i istotnych plików rządowych został prawie ukończony. Przekaz o najwyższym priorytecie, z prędkościami sieci lokalnej, przebiega o wiele szybciej niż kopiowanie przez Kongres. Proponuję wam podobny transfer, z wykorzystaniem mojego priorytetu, zatem mający pierwszeństwo przed wszelkimi miejscowymi użytkownikami. Jeśli nie chcecie, bardzo dobrze — wykorzystam tę możliwość do przekazu drugiego rzutu naszych plików.

— Przecież on może odczytać nasze dane — stwierdził biskup.

— Owszem, może. Dom Cristao pokręcił głową.

— Nie robi tego, jeśli go poprosimy.

— Jesteś naiwny jak dziecko. Przecież nic go nie zmusi nawet do tego, żeby oddał nam nasze dane.

— To prawda — przyznała Bosquinha. — Będzie miał wszystko, co dla nas najważniejsze i może to oddać lub zatrzymać, jak zechce. Wierzę jednak, podobnie jak Dom Cristao, że jest dobrym człowiekiem i w ciężkiej chwili nie odmówi pomocy.

— Przepraszam bardzo — Dona Crista wstała. — Chciałabym natychmiast przystąpić do transferu kluczowych danych.

Bosquinha podeszła do terminala biskupa i uruchomiła własny tryb o najwyższym stopniu priorytetu.

— Wprowadź tylko klasy zbiorów, które mają być przesłane do ciągu wiadomości dla Mówcy Andrew. Zakładam, że ustaliliście już skalę ważności, skoro zaczęliście drukować.

— Ile mamy czasu? — spytał Dom Cristao. Dona Crista stuknęła już gorączkowo w klawisze.

— Czas jest tutaj, u góry — burmistrz wsunęła rękę w holograficzny obraz i dotknęła palcem zmieniających się liczb.

— Nie przejmuj się tym, co już mamy wydrukowane — poradził Dom Cristao. — Zawsze możemy wpisać to z powrotem. Zresztą, i tak nie ma tego wiele. Bosquinha spojrzała na biskupa.

— Wiedziałam, że to będzie trudna decyzja.

— Trudna — Peregrino zaśmiał się gorzko.

— Mam nadzieję, księżę biskupie, że rozważysz ją dokładnie, zanim odrzucisz...

— Odrzucę? Masz mnie za głupca? Mogę nie cierpieć pseudoreligii tych bluźnierczych Mówców Umarłych, lecz jeśli Pan nasz tę tylko ścieżkę pozostawił, by ocalić niezbędne dane Kościoła, byłbym marnym Jego sługą, gdybym powodowany pychą nie skorzystał z takiej możliwości. Nasze pliki nie mają jeszcze nadanych priorytetów, co zajmie kilka minut, ufam jednak, że Dzieci Umysłu zostawią nam dość czasu na transfer.

— Ile będzie potrzebne? — spytał Dom Cristao.

— Niewiele. Sądzę, że najwyżej dziesięć minut.

Bosquinha była przyjemnie zaskoczona. Obawiała się, że biskup zechce skopiować wszystkie swoje zbiory, zanim pozwoli Dzieciom Umysłu zająć się swoimi — byłaby to jeszcze jedna próba ustalenia pierwszeństwa kurii przed klasztorem.

— Dziękuję — Dom Cristao pocałował dłoń, którą wyciągnął do niego Peregrino. Biskup spojrzał zimno na Bosquinhę.

— Nie musisz się tak dziwić. Dzieci Umysłu zajmują się wiedzą tego świata, dlatego są uzależnieni od ziemskich maszyn. Matka Kościół działa w sprawach Ducha, więc korzystamy z systemów publicznych jedynie w sprawach urzędowych. Co do Biblii... jesteśmy tak staromodni i tradycyjni, że trzymamy w katedrze tuzin oprawnych w skórę papierowych kopii. Gwiezdny Kongres nie zdoła nam zabrać Słowa Bożego. ' Uśmiechnął się. Oczywiście, złośliwie. Bosquinha odpowiedziała szczerym uśmiechem.

— Jeszcze drobiazg — wtrącił Dom Cristao. — Kiedy skasują nasze dane, a my przekopiujemy je do pamięci z plików Mówcy, co powstrzyma Kongres od powtórzenia operacji? I jeszcze raz, i znowu?

— To trudna sprawa — odparła burmistrz. — Nasze decyzje zależą od celów, które próbuje osiągnąć Kongres. Może wcale nie wykasują naszych plików. Może po tej demonstracji siły sami odtworzą najistotniejsze dane. Nie mam pojęcia, za co chcą nas ukarać, więc skąd mam wiedzieć, jak daleko się posuną? Jeśli chcą wymusić

naszą lojalność, muszą także uczynić nas podatnymi na ewentualne dalsze kary.

— A jeśli, dla jakichś powodów, zdecydują się traktować nas jak buntowników?

— Jeśli zdarzy się najgorsze, możemy skopiować wszystko z powrotem do pamięci lokalnej i... odciąć ansibl.

— Boże uchwaj! — zawołała Dona Crista. — Zostaniemy całkiem sami!

— Cóż za bzdurny pomysł, sostro Detestai o Pecado — zirytował się biskup. — Myślisz może, że Chrystus działa poprzez ansibl? Że Kongres posiada moc uciszenia Ducha Świętego? Dona Crista zaczerwieniła się i powróciła do pracy. Sekretarz biskupa podał mu kartkę z listą plików.

— Można wykreślić moją korespondencję — polecił Peregrino. — Wysłałem już wiadomości. Niech Kościół decyduje, które z moich listów należy zachować. Dla mnie są bez wartości.

— Biskup jest gotów — oznajmił Dom Cristao. Jego żona wstała natychmiast i miejsce przy terminalu zajął sekretarz.

— Przy okazji — powiedziała burmistrz. — Sądziłam, że was to zainteresuje. Mówca zawiadomił, że dziś wieczorem, na praga, będzie Mówił o Śmierci Marcosa Marii Ribeiry — spojrzała na zegarek. — To już niedługo.

— Czemuż to — spytał kwaśno biskup — uznałaś, że mnie to zainteresuje?

— Myślałam, że kuria wyśle swojego przedstawiciela.

— Dziękuję za informację — powiedział Dom Cristao. — Chyba tam pójde. Chętnie wysłucham Mowy człowieka, który Mówił o Śmierci San Angela. Zdam sprawozdanie, jeśli sobie tego życzysz, ojcze — dodał, zwracając się do biskupa. Peregrino uśmiechnął się niechętnie.

— Nie trzeba. Ktoś z moich ludzi będzie na miejscu.

Bosquinha wyszła z gabinetu i zbiegła do bramy. Musiała wracać do siebie. Cokolwiek planuje Kongres, właśnie do niej przyślą wiadomość.

Nie omawiała tego z przywódcami religijnymi, ponieważ nie była to właściwie ich sprawa, ale doskonale wiedziała, przynajmniej w ogólnych zarysach, jakie były powody działań Kongresu. Wszystkie przepisy, dające władzy prawo potraktowania Lusitanii jak zbuntowanej kolonii, wiązały się z regułami kontaktów z prosiaczkami. Najwyraźniej ksenologowie zrobili coś bardzo niewłaściwego. Bosquinha nie wiedziała o żadnych wykroczeniach, więc musiało to być coś tak wielkiego, że rezultat zarejestrowały satelity — jedyne urzędnictwa kontrolne, przesyłające dane wprost do komitetu, bez pośrednictwa burmistrz. Nie miała pojęcia, co mogli zrobić Miro i Ouanda; wznieśli pożar lasu? Wycinali drzewa? Doprowadzili do wojny między plemionami prosiaczków? Każdy pomysł wydawał się absurdalny.

Próbowała ich wezwać i przepytać, ale — naturalnie — gdzieś wyszli. Pewnie za bramę, do lasu, by kontynuować działania, w efekcie których kolonii groziła zagłada. Bosquinha z wysiłkiem przekonywała samą siebie, że oboje są bardzo młodzi, że popełnili pewnie jakąś głupią pomyłkę.

Z drugiej strony jednak nie byli przecież aż tak młodzi i dysponowali parą najsprawniejszych umysłów w całej kolonii, gdzie żyło wielu bardzo inteligentnych ludzi. To dobrze, że Gwiazdny Kodeks zabraniał rządowi posiadania jakichkolwiek narzędzi kary, których można by użyć do tortur. Bosquinha była tak wściekła, że gdyby tylko mogła, skorzystałaby z takich urządzeń. Nie wiem, co planowaliście, Miro i Ouando, ale cokolwiek to było, karę poniesie cała nasza społeczność. I gdyby istniała jakaś sprawiedliwość, kazałabym wam za to zapłacić.

Wielu ludzi twierdziło, że nie przyjdą na żadną Mowę. Byli przecież dobrymi katolikami, a biskup powiedział, że Mówca przemawia głosem Szatana. Od przylotu Mówcy powtarzano jednak szeptem inne rzeczy. Głównie plotki, ale w małej osadzie, jaką było Milagre, plotki stanowiły sól monotonnego życia. A plotki nie mają wartości, póki ktoś w nie nie uwierzy. Krążyła więc pogłoska o tym, że mała córka Marcao, Quara, milcząca od śmierci ojca, stała się teraz tak gadatliwa, że miała problemy w szkole. A Olhado, niewychowany chłopak z paskudnymi, metalowymi oczami, podobno jest teraz uprzejmy i ożywiony. Może zwariował. A może został nawiedzony. Powtarzano, że podobno ręce Mówcy mają moc uzdrawiania, a jego oczy rzucają urok, że jego klątwa może zabić, a słowa zmuszają do posłuszeństwa. Nie każdy chciał tego słuchać i nie każdy, kto słuchał, chciał wierzyć. Jednak w ciągu czterech dni między przybyciem Mówcy a wieczorem, gdy miał Mówić o śmierci Marcosa Marii Ribeiry, mieszkańcy Milagre podjęli nie ogłoszaną publicznie decyzję, że przyjdą wysłuchać Mowy i dowiedzieć się, co obcy ma do powiedzenia, choćby biskup nakazał pozostać w domu.

Wina leżała po stronie biskupa. Z jego punktu widzenia, nazywając Mówcę narzędziem Szatana, odsunął go najdalej, jak to tylko możliwe, od siebie i wszystkich dobrych katolików: Mówca jest naszym przeciwieństwem. Dla tych jednak, których system wiary nie jest nadmiernie złożony, Szatan pozostaje istotą przerażającą i potężną, ale nie bardziej niż Bóg. Dobrze pojęli ideę kontinuum dobra i zła, o którym mówił biskup, lecz o wiele bardziej interesowało ich kontinuum słabych i silnych — spotykali się z nim codziennie. W tej skali oni byli słabi, zaś Bóg, Szatan i biskup — silni. Biskup wyniósł Mówcę na pozycję siły. Dlatego ludzie skłonni byli wierzyć w powtarzane szeptem plotki o cudach.

Tak więc, choć ogłoszono wiadomość zaledwie godzinę przed terminem, na praga zebrał się tłum. Słuchacze tłoczyli się w stojących obok domach, wypełniali trawiaste alejki i ulice. Burmistrz Bosquinha, zgodnie z nakazami prawa, oddała Mówcy prosty mikrofon, z którego korzystała podczas nieczęstych publicznych zgromadzeń. Ludzie zajmowali miejsca, z których widzieli platformę, gdzie miał przemawiać, po czym rozglądali się, by sprawdzić, kto przyszedł. Przyszli wszyscy. Oczywiście, rodzina Marcao. Oczywiście, burmistrz. Ale także Dom Cristao i Dona Crista oraz wielu księży z katedry. Doktor Navio. Wdowa po Pipie, stara Conceigao, bibliotekarka. Wdowa po Libie, Bruxinha, i jej dzieci. Plotka głosiła, że przybysz zamierza kiedyś

Mówić także o Śmierci Pipa i Liba.

I wreszcie w chwili, gdy Mówca wkroczył na platformę, szum przebiegł po praga — zjawił się biskup Peregrino. Nie w ornatach, lecz w prostej kapłańskiej sutannie. Przybył osobiście, by wysłuchać bluźnierstw Mówcy! Wielu obywateli Milagre poczuło rozkoszny dreszcz podniecenia. Czy biskup wystąpi i w cudowny sposób strąci Szatana? Czy nastąpi bitwa, jakiej nie widziano poza Apokalipsą św. Jana?

Mówca stanął przed mikrofonem i czekał, aż się uciszą. Był dość wysoki i raczej młody, choć biała skóra sprawiała, że wyglądał chorowicie przy tysiącu odcieni brązu Lusos. Jak upiór. Umilkli, a on zaczął Mówić.

— Znano go pod trzema imionami. W dokumentach oficjalnych zapisano pierwsze z nich: Marcos Maria Ribeira. I dane personalne: urodzony w 1929. Zmarł w 1970. Pracował w stalowni. Żadnych wypadków przy pracy. Nigdy go nie aresztowano. Żona, sześćoro dzieci. Wzorowy obywatel, ponieważ nigdy nie zrobił niczego tak poważnego, by trafiło do akt. Wielu słuchaczy poczuło niewyraźny niepokój. Oczekiwali oracji. Tymczasem głos Mówcy niczym szczególnym się nie wyróżniał. Słowa nie miały w sobie powagi religijnego kazania. Mówił prosto, zwyczajnie, konwersacyjnym tonem. Jedynie nieliczni spostrzegli, że właśnie prostota zmuszała niemal do wiary w jego słowa. On nie głosił Prawdy, on mówił prawdę, opowiadał historię, której nikt nawet nie próbował podawać w wątpliwość, ponieważ przyjmował ją jak coś oczywistego. Biskup Peregrino zauważył to natychmiast i poczuł się niepewnie. Ten Mówca będzie wspaniałym przeciwnikiem, który nie pozwoli się zmiażdżyć gromami rzucanymi z ołtarza.

— Jego drugim imieniem było: Marcao. Duży Marcos. Dlatego, że był olbrzymem. Wcześniej osiągnął pełny wzrost. Ile miał lat, gdy przekroczył dwa metry? Jedenaście? Na pewno nie więcej niż dwanaście. Wzrost i siła czyniły go cennym pracownikiem stalowni, gdzie nie wszystkie kawałki stali są duże i spora część pracy wymaga ręcznej kontroli. Siła jest potrzebna. Życie wielu ludzi zależało od siły Marcao.

Stojący na praga ludzie ze stalowni kiwali głowami. Przechwalali się, że żaden by nie rozmawiał z tym framlingiem-ateistą. Najwyraźniej jeden nie dotrzymał słowa, ale teraz byli zadowoleni, że Mówca poznał prawdę, zrozumiał, jak zapamiętali Marcao. Każdy chciałby być tym, który opowiedział Mówcy o zmarłym. Nie domyślali się, że Mówca nawet nie próbował z nimi rozmawiać. Po tylu latach Andrew Wiggin nie musiał pytać, by wiedzieć o pewnych sprawach.

— Jego trzecie imię to Cao. Pies.

A, tak, myśleli Lusos. To właśnie słyszeliśmy o Mówcach. Nie mają szacunku dla zmarłych, nie czują powagi chwili.

— Tego imienia używaliście słysząc, że jego żona, Novinha, znów chodzi z podbitym okiem, kuleje albo ma szwy na wardze. Był bestią, skoro tak ją traktował. Jak on śmie? Przecież ten człowiek nie żyje! Lecz obok gniewu Lusos czuli niepokój i to z

całkiem innego powodu: wszyscy niemal pamiętali, jak wypowiadali lub słyszeli te właśnie słowa. Nietakt Mówcy polegał na publicznym powtórzeniu tego, co mówili o Marcao za życia.

— Nie dlatego, że lubiliście Novinhę. To zimna kobieta, która nikomu nie powiedziała nawet: dzień dobry. Ale była słabsza od niego, była matką jego dzieci, więc kiedy ją bił, zasługiwał na miano Cao.

Byli zakłopotani; mruzczyli coś do siebie. Ci, którzy siedzieli niedaleko Novinhy, spoglądali na nią i zaraz odwracali głowy. Sprawdzali, jak reaguje, boleśnie świadomi, że Mówca miał rację: naprawdę jej nie lubili, bali się i litowali nad nią równocześnie.

— Powiedzcie: czy to jest człowiek, którego znaliście? Spędzał w barach więcej czasu niż inni, a jednak z nikim się tam nie zaprzyjaźnił; nawet po pijanemu nie znajdował towarzystwa. Trudno ocenić, ile pił. Był gburowaty i zapalczywy na trzeźwo, gburowaty i zapalczywy tuż przed utratą przytomności. Nikt nie dostrzegał różnicy. Żaden z was nie słyszał, by miał przyjaciela i żaden się nie cieszył, kiedy wkraczał do sali. Taki był człowiek, którego znaliście — większość z was. Trudno go nazwać człowiekiem.

Tak, myśleli. Taki był. Teraz, gdy minął pierwszy szok, pogodzili się z tym, że Mówca nie zamierza w swej opowieści niczego łagodzić. Mimo to nadal czuli się nieswojo. Słyszeli bowiem wyrzut — nie w jego głosie, lecz w samych słowach. „Trudno go nazwać człowiekiem”, powiedział, ale przecież on był człowiekiem. Niejasno zdawali sobie sprawę, że choć Mówca rozumie ich ocenę Marcao, niekoniecznie się z nią zgadza.

— Kilku innych, ludzi ze stalowni w Biarro das Fabricadoras, znało go jako siłacza, na którym mogli polegać. Nigdy nie twierdził, że może zrobić więcej, niż naprawdę mógł, i zawsze robił to, co powiedział. Można było na niego liczyć. Dlatego w halach stalowni darzyli go szacunkiem. Lecz kiedy wychodziliście za bramę, traktowaliście go jak wszyscy: ignorowaliście go i nie myśleliście o nim.

Przygana była wyraźna. Choć Mówca nie zmienił tonu — wciąż ten sam, spokojny głos — ludzie, którzy pracowali z Marcao, odczuli ją w swych sumieniach: nie powinniśmy go omijać. Jeśli w pracy wart był szacunku, to może i potem należało go cenić.

— Niektórzy z was wiedzą jeszcze o czymś, o czym nigdy nie rozmawiali. Wiecie, że nazwaliście go Cao, zanim na to zasłużył. Mieliście wtedy dziesięć, jedenaście, dwanaście lat. Mali chłopcy. A on był taki duży. Wstyd wam było stawać obok niego. I baliście się, bo przy nim czuliście się słabi.

— Przyszli posłuchać plotek — szepnął żonie Dom Cristao. — A on daje im odpowiedzialność.

— Traktowaliście go więc tak, jak zawsze istoty ludzkie traktują większych od siebie — ciągnął Mówca. — Zebraliście się razem. Jak łowcy próbujący powalić

mastodonta. Jak banderilleros, którzy chcą osłabić byka, nim będzie gotów na śmierć. Ataki, drwiny, zaczepki. Niech się kręci dookoła. Niech zgaduje, skąd padnie kolejny cios. Kłuć go kolcami, które zostają pod skórą. Niech słabnie z bólu. Niech szaleje. Bo chociaż jest duży, musi robić, co chcecie. Możecie sprawić, by krzyczał. Możecie sprawić, by biegał. Możecie sprawić, by płakał. No proszę! A jednak jest słabszy od was.

Ela czuła gniew. Mówca miał oskarżać, nie usprawiedliwiać Marcoa. Trudne dzieciństwo to jeszcze nie powód, żeby bić mamę, kiedy tylko przyszła mu ochota.

— Trudno was o to oskarżać. Byliście wtedy dziećmi, a dzieci bywają okrutne, nie znając innych postaw. Dziś byście tego nie zrobili. Ale teraz, gdy wam o tym przypomniałem, łatwo odgadujecie odpowiedź. Nazwaliście go psem, więc stał się nim. Do końca życia. Bił żonę. Do swego syna, Mira, odnosił się tak okrutnie i poniżające, że chłopiec uciekał z domu. Zachowywał się tak, jak go potraktowaliście; stał się tym, kogo mu wmówiliście. Głupiec z ciebie, pomyślał biskup Peregrino. Gdyby ludzie reagowali tylko na to, jak inni ich traktują, nikt by za nic nie odpowiadał. Jeśli nie sam popełniasz swe grzechy, jak możesz za nie odpokutować? Jakby słysząc bezgłośny argument biskupa, Mówca uniósł rękę i gestem odepchnął własne słowa.

— Lecz prosta odpowiedź nie jest prawdziwa. Wasze postępowanie nie uczyniło go okrutnym — uczyniło go posepnym. A kiedy wyrosliście ze znęcania się nad nim, on wyrósł z nienawiści, jaką do was czuł. Nie chował urazy; gniew ostygł i zmienił się w podejrzliwość. Wiedział, że nim pogardzacie. Nauczył się żyć bez was. W pokoju.

Mówca przerwał na chwilę, po czym wypowiedział głośno pytanie, które oni zadawali sobie w myślach.

— Jak więc stał się okrutnikiem, którego pamiętacie? Pomyślcie chwilę. Kto doświadczył jego okrucieństwa? Jego żona. I dzieci. Są ludzie, którzy znęcają się nad żoną i dziećmi, gdyż pragną władzy, a są zbyt słabi i głupi, by zdobyć znaczenie w świecie. Bezbronna żona i dzieci, związane z takim człowiekiem przez konieczność, obyczaj i — choć to gorzkie — przez miłość, stają się jedynymi ofiarami, na rządzenie którymi wystarcza mu sił. Tak, pomyślała Ela, spoglądając na matkę. Tego właśnie chciałam. Dlatego prosiłam, by Mówił o śmierci ojca.

— Są tacy ludzie — powtórzył Mówca. — Ale Marcos Ribeira do nich nie należał. Pomyślcie. Czy słyszeliście kiedy, żeby uderzył którekolwiek z dzieci? Chociaż raz? Wy, którzy pracowaliście razem z nim — czy próbował wymusić na was posłuszeństwo? Czy obrażał się, gdy coś szło nie po jego myśli? Marcoa nie był człowiekiem słabym i złym. Był silny. Nie szukał władzy. Szukał miłości. Nie posłuszeństwa. Lojalności. Biskup Peregrino uśmiechnął się posepnie — jak szermierz, oddawał salut godnemu przeciwnikowi. Idziesz krętą ścieżką, Mówco. Krążysz wokół prawdy, pozorujesz ją. A kiedy uderzysz, trafisz ze śmiertelną

pewnością. Ci ludzie przyszli tu szukając rozrywki, dla ciebie jednak są jak tarcze; przebijesz ich do samych serc.

— Niektórzy z was pamiętają to zdarzenie — ciągnął Mówca. — Marcos miał trzynaście lat, wy także. Drażniliście się z nim na wzgórku koło szkoły. Atakowaliście mocniej, niż zwykle. Groziliście kamieniami, biliście żdźbłami capim. Trochę krwawił, ale znosił to cierpliwie. Próbował uciec. Prosił, żebyście przestali. Potem jeden z was uderzył go w brzuch i to zablokowało mocniej, niż mogliście sobie wyobrazić, gdyż cierpiał już wtedy na chorobę, która go w końcu zabiła. Nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić do własnej delikatności i bólu. To było jak śmierć. Był w pułapce, a wy zabijaliście go. Więc uderzył. Skąd on wie? pomyślało pół tuzina mężczyzn. To było tak dawno. Kto mu opowiedział? Trochę przesadziliśmy, to wszystko. Nie chcieliśmy mu zrobić krzywdy, ale kiedy machnął swoją wielką pięścią... jakby kopnęła cabra... chciał mnie uderzyć...

— Jeden z was padł na ziemię. Przekonaliście się wtedy, że jest jeszcze silniejszy, niż się obawialiście. Było to tym bardziej przerażające, że świetnie wiedzieliście, na co zasługujecie. Dlatego wezwaliście pomoc. A kiedy nadbiegli nauczyciele, co zobaczyli? Jednego małego chłopca na ziemi, zapłakanego i pokrwawionego. Jednego chłopca dużego jak dorosły, z kilkoma zadrapaniami, który powtarzał: przepraszam, nie chciałem. I pół tuzina innych, mówiących: on go uderzył. Zaczął go bić bez żadnego powodu. Próbowaliśmy go powstrzymać, ale Cao jest taki duży... Zawsze się znęca nad mniejszymi od siebie. Małego Grega wciągnęła opowieść Mówcy.

— Mentirosos! — krzyknął. — Kłamali!

— Tylu świadków — stwierdził Mówca. — Nauczyciele nie mieli wyboru; musieli uwierzyć oskarżeniom. Do chwili, gdy wystąpiła pewna dziewczynka i zimno poinformowała, że widziała całe zajście. Marcos bronił się tylko przed nieprovokowanym, okrutnym i bolesnym atakiem grupy chłopców o wiele bardziej od niego podobnych do caes, do psów. Natychmiast uznano jej wersję. Była przecież córką Os Venerados. Grego spojrzał na matkę błyszczącymi oczami, po czym zerwał się i oznajmił głośno:

— A mame o libertou! Mama go uratowała!

Ludzie wybuchnęli śmiechem i obejrzel się, by spojrzeć na Novinhę. Jednak jej twarz nie wyrażała niczego — jakby nie chciała dostrzec przyjaznych uczuć, skierowanych do dziecka. Ludzie odwrócili się urażeni.

— Novinha — zaczął znowu Mówca. — Jej chłód i jej błyskotliwy umysł uczyniły ją wyrzutkiem, jak Marcao. Nikt z was nie pamiętał, by kiedykolwiek uczyniła choćby jeden przyjazny gest. A teraz wystąpiła, by uratować Marcao. Ale znaliście prawdę. Ona nie chciała go ratować, nie miała jednak zamiaru dopuścić, byście uszli bez kary.

Pokiwali głowami i uśmiechnęli się wyrozumiale — ci, których przyjacielskie odruchy przed chwilą odepchnęła. Tak, to właśnie Dona Novinha, Biologista, zbyt

dla nas doskonała.

— Marcos patrzył na to inaczej. Tak często nazywano go zwierzęciem, że sam niemal w to uwierzył. Novinha okazała mu współczucie, jak człowiekowi. Piękna dziewczyna, inteligentna, córka Świętobliwych Venerados, zawsze daleka jak bogini, wyciągnęła rękę i pobłogostawiła go, wysłuchała jego modlitwy. Czczył ją za to. Sześć lat później pobrali się. Czy to nie wzruszająca historia? Ela spojrzała na Mira, a ten uniósł brew.

— Można prawie polubić tego starego drania, co? — rzucił sucho. Nagle, po dłuższej chwili milczenia, głos Mówcy zabrzmiał głośniejszy, niż dotąd. Zaskoczył ich i rozbudził.

— Dlaczego ją znienawidził, dlaczego bił, poniżał jej dzieci? I dlaczego to znosiła ta silna, inteligentna kobieta? W każdej chwili mogła zerwać małżeństwo. Kościół nie dopuszcza rozwodów, istnieje jednak separacja. Nie byłaby pierwszą w Milagre, która porzuciła męża. Mogła zabrać swe poniżane dzieci i odejść. Została jednak. Burmistrz i biskup, oboje namawiali ją do odejścia. Kazała im iść do diabła.

Wielu Lusos wybuchnęło śmiechem, wyobrażając sobie, jak Novinha odgryza się biskupowi i stawia czoła burmistrz. Nie lubili jej, ale była jedyną osobą, która potrafiła zagrać władzy na nosie.

Biskup także pamiętał tę scenę sprzed niemal dziesięciu lat. Nie użyła dokładnie tych słów, ale sens był identyczny. Nikt ich wtedy nie słyszał. Nikomu o tym nie powiedział. Kim był ten Mówca i skąd wiedział tak wiele o sprawach, o których nie mógł wiedzieć? Kiedy śmiech przycichł, Mówca odezwał się znowu.

— Jedna rzecz wiązała ich razem w znienawidzonym małżeństwie. Była to choroba Marcosa. Mówił teraz ciszej. Lusos wyczęzyli słuch.

— Kształtowała jego życie od momentu poczęcia. Geny, które dali mu rodzice, połączyły się tak, że od osiągnięcia dojrzałości komórki gruczołów rozpoczęły stałą, nieuchronną transformację w tkankę tłuszczową. Doktor Navio wyjaśni wam to lepiej ode mnie. Marcao dowiedział się o tym już w dzieciństwie; jego rodzice wiedzieli, nim zmarli na Descoladę; wiedzieli Gusto i Cida, którzy przeprowadzili badania genetyczne wszystkich ludzi na Lusitanii. Wszyscy nie żyją. Poza tym wiedziała o chorobie tylko jedna osoba — ta, która odziedziczyła dane ksenobiologiczne. Novinha.

Dr Navio był zdumiony. Skoro wiedziała o tym przed ślubem, to wiedziała też, że większość zachorowań prowadzi do bezpłodności. Dlaczego za niego wyszła, jeśli — według dostępnej wiedzy — nie mógł dać jej potomstwa? Wtedy pojął to, czego powinien domyśleć się już wcześniej: Marcao nie był rzadkim wyjątkiem od typowego przebiegu choroby. Nie było wyjątków. Navio poczerwieniał. Mówca miał zamiar powiedzieć coś niewyobrażalnego.

— Novinha wiedziała, że Marcao umiera — stwierdził Mówca. — Wiedziała też, zanim za niego wyszła, że jest całkowicie i nieodwracalnie bezpłodny.

Minęło kilka sekund, nim dotarło do nich znaczenie tych słów. Ela poczuła, że wewnątrz jej ciała rozpływa się nagle. Nie odwracając głowy widziała, jak sztywnieje i blednie Miro. Mówca ciągnął dalej, nie zwracając uwagi na coraz głośniejsze szepty. — Widziałem skany genetyczne. Marcos Maria Ribeira nigdy nie został ojcem. Jego żona miała dzieci, lecz te dzieci nie były jego, a on o tym wiedział. To należało do umowy, jaką zawarli przed ślubem.

Szepty zmieniły się w pomruki, szemranie w głośne protesty, a kiedy gwar sięgnął szczytu, Quim zerwał się na nogi i krzyknął, wrzasnął na Mówcę:

— Moja matka nie jest cudzołożnicą! Zabiję cię za to, że nazwałeś ją dziwką! Ostatnie słowo zawisło w nagłej ciszy. Mówca nie odpowiadał. Czekał tylko, nie odrywając spojrzenia od płonącej twarzy Quima. Wreszcie chłopiec pojął, że to on, nie Mówca, wypowiedział słowo, które teraz dzwoniło mu w uszach. Zachwiał się. Popatrzył na matkę, siedzącą obok — straciła swą sztywność i wpatrywała się w drżące na kolanach dłonie.

— Powiedz mu, mamó — w głosie Quima zabrzmiało błaganie.

Milczała. Nie powiedziała ani słowa, nawet nie podniosła głowy. Mógłby sądzić, że te drżące dłonie były wyznaniem; że wstydzi się; że słowa Mówcy były prawdą, którą objawiłby sam Bóg, gdyby Quim Go zapytał. Przypomniał sobie, jak ojciec Mateu opowiadał o torturach piekielnych: Bóg pluje na cudzołożników, gdyż kpią z mocy Stworzenia, jaką z nimi dzielił; nie mieli w sobie dość dobra, by stać się czymś więcej niż amebami. Poczł pieczenie w gardle. To, co powiedział Mówca, było prawdą.

— Mamae — odezwał się głośno, z drwiną w głosie. — Quem fode p'ra fazer-me? Wszyscy wstrzymali oddech. Olhado poderwał się natychmiast zaciskając pięści. Dopiero wtedy Novinha zareagowała: wyciągnęła rękę, jakby chciała powstrzymać Olhada od uderzenia brata. Quim ledwie zauważył, że Olhado rzucił się bronić matki; widział tylko, że Miro tego nie zrobił. A więc Miro także wiedział, że to prawda. Quim odetchnął głęboko i odwrócił się. Przez chwilę wydawał się zagubiony; potem precyzyjnie przeszedł przez tłum. Nikt do niego nie przemówił, choć wszyscy patrzeli. Gdyby Novinha zaprzeczyła oskarżeniu, uwierzyliby jej, zaatakowałiby Mówcę za przypisywanie córce Os Venerados takiego grzechu. Lecz ona nie zaprzeczyła. Słuchała spokojnie wulgarnych oskarżeń własnego syna i milczała. Więc to prawda. Niewielu jednak przejęło się tym faktem — chcieli tylko wiedzieć, kto był ojcem dzieci Novinhy. Słuchali więc zafascynowani. Mówca podjął opowieść.

— Po śmierci rodziców, a przed urodzeniem dzieci, Novinha kochała tylko dwóch ludzi. Pipo stał się dla niej drugim ojcem. Na nim oparła swe życie; przez kilka krótkich lat poznała smak posiadania rodziny. Potem Pipo zginął, a Novinha wierzyła, że to ona go zabiła. Ludzie siedzący w pobliżu rodziny Novinhy widzieli, jak Quara klęka przed Elą i pyta:

— Czemu Quim tak się zezłościł?

— Bo Papai nie był naprawdę naszym ojcem — wyjaśniła cicho Ela.

— Aha... Czy teraz Mówca będzie naszym ojcem? — spytała z nadzieją Quara. Ela uciszyła ją.

— W nocy, kiedy zginął Pipó — powiedział Mówca — Novinha pokazała mu co odkryła, a co miało związek z Descoladą i jej działaniem na zwierzęta i rośliny Lusitanii. Pipó dostrzegł w tym więcej, niż ona sama. Popędził do lasu, gdzie czekały prosiaczki. Może im powiedział, co znalazł. Może się domyśliły. Novinha jednak czuła się winna, gdyż pokazała mu tajemnicę, dla zachowania której gotowe były zabić. Było już za późno, by odwrócić to, co się stało. Mogła jednak zapobiec czemuś takiemu w przyszłości. Dlatego zablokowała dostęp do wszystkich plików zawierających dane o Descoladzie lub związanych z tym, co zobaczył Pipó. Wiedziała, kto będzie ciekaw tych zbiorów: Libo, nowy Zenador. Jeśli Pipó był dla niej ojcem, Libo był bratem i jeszcze kimś więcej. Z trudem zniosła śmierć Pipó, lecz śmierci Libo nie zniesie. Poprosił ją o te dane. Żądał, by mu je pokazała. Odpowiedziała, że nigdy mu nie pozwoli do nich zajrzeć. Oboje doskonale wiedzieli, co to oznacza. Gdyby ją poślubił, mógłby zdjąć blokadę. Kochali się rozpaczliwie, potrzebowali się bardziej niż kiedykolwiek, ale Novinha nie mogła za niego wyjść. Nie dałby jej słowa, że nie zajrzy do tych plików, a gdyby nawet, nie mógłby go dotrzymać. Na pewno zobaczyłby to, co widział jego ojciec. Wtedy by zginął. Jednak czym innym była odmowa małżeństwa, a czym innym życie bez Libo. Więc Novinha nie żyła bez Libo. Zawarła umowę z Marco: poślubi go zgodnie z prawem, lecz prawdziwym mężem i ojcem jej dzieci będzie — był — Libo. Bruxinha, wdowa po Libie, wstała niepewnie z twarzą zalaną łzami.

— Mentira, mentira — jęknęła. — Kłamstwa, kłamstwa.

Płakała jednak nie z gniewu, lecz z żalu. Po raz drugi rozpaczała po stracie męża. Córki pomogły jej wyjść z praga.

— Libo wiedział, że krzywdzi swoją żonę i cztery córki — ciągnął cicho Mówca, kiedy odeszła.

— Próbował nie widywać Novinhy. Udawało mu się przez całe miesiące, czasem lata. Novinha także próbowała. Odmawiała rozmów. Zakazała dzieciom choćby o nim wspominać. Potem uznawał, że ma dość siły, by ją spotkać i nie powtarzać od nowa starych grzechów. Novinha była taka samotna ze swym mężem, który nie mógł się równać z Libem. Nigdy nie udawali, że to, co robią, jest dobre. Po prostu nie mogli bez tego żyć.

Bruxinha słyszała te słowa. Niewielką były pociechą, lecz biskup Peregrino, który przyglądał się, jak odchodzi, zrozumiał, że Mówca ofiarowuje jej dar. Była najbardziej niewinną z ofiar jego okrutnej prawdy, pozostawiał jednak coś więcej, niż tylko popioły. Wskazywał drogę życia z wiedzą o tym, co uczynił jej mąż. To nie twoja wina, mówił. Nie mogłaś temu zapobiec. To twój mąż zawiódł, nie ty.

Święta Panienko, modlił się bezgłośnie biskup, niech Bruxinha usłyszy to i uwierzy. Nie tylko wdowa po Libie płakała. Setki spoglądających za nią oczu także wypełniło się łzami. Odkrycie cudzołóstwa Novinhy było wstrząsające, ale i cudowne: ta kobieta o sercu jak stal miała skazę i była w istocie nie lepsza od innych. Lecz skaza Liba nie sprawiała radości. Wszyscy go kochali. Jego wielkoduszność, łagodność, jego mądrość, którą tak szanowali. Nie chcieli uwierzyć, że wszystko to było maską. Dlatego byli zaskoczeni, gdy Mówca przypomniał, że to nie o śmierci Liba dzisiaj Mówi.

— Dlaczego Marcos Ribeira godził się na to? Novinha sądziła, że powodem jest chęć posiadania żony i iluzja, że posiada dzieci, chęć ukrycia wstydu. Częściowo jest to prawdą. Przede wszystkim jednak ożenił się z nią, ponieważ ją kochał. Nie liczył, że i ona pokocha go w ten sam sposób, gdyż on ją wielbił jak boginię, sam zaś uważał się za zarażone, brudne zwierzę, godne jedynie wzgardy. Wiedział, że bogini nie może go pokochać. Miał tylko nadzieję, że kiedyś zbudzi się w niej cieplejsze uczucie. Może chociaż lojalność. Mówca spuścił głowę. Lusos usłyszeli wyraźnie słowa, których nie wypowiedział: Nie doczekał się.

— Każde kolejne dziecko było dla Marcosa dowodem, że zawiódł. Bogini uznała go za niegodnego. Czemu? Był lojalny. Nigdy nie napomknął nawet żadnemu z dzieci, że nie jest jego. Nigdy nie złamał umowy z Novinhą. Czy na nic nie zasłużył? Czasem cierpiał bardziej, niż potrafił znieść. Już nie uważał jej za boginię. Jej dzieci były bękartami. To właśnie sobie powtarzał, gdy ją bił, gdy krzyczał na Mira.

Miro słyszał swoje imię, ale nie rozpoznał w nim niczego, co mogłoby się do niego odnosić. Jego związek z rzeczywistością okazał się bardziej kruchy, niż przypuszczał, a dzień dzisiejszy niósł zbyt wiele wstrząsów. Nieprawdopodobne czary prosiaczków z drzewem. Mama i Libo kochankami. Ouanda oderwana nagle, dawniej bliska jak własne ciało i umysł, teraz odsunięta o stopień dalej, jak Ela, jak Quara — jeszcze jedna siostra. Nie potrafił zogniskować wzroku. Głos Mówcy był czystym dźwiękiem — nie dostrzegał znaczenia słów, jedynie szum. Miro sam wezwał ten głos, by Mówił o śmierci Liba. Skąd mógł wiedzieć, że zamiast dobrodusznego kapłana humanistycznej religii, przybędzie sam pierwszy Mówca ze swym przenikliwym umysłem i nazbyt doskonałym darem rozumienia? Jak miał przewidzieć, że pod maską sympatii kryje się Ender-niszczyciel, mityczny Lucyfer największej zbrodni ludzkości, zdecydowany dorównać swej sławie? Zadrwił z dzieła życia Pipa, Liba, Ouandy i samego Mira, w ciągu godziny spędzonej z padaczkami dostrzegając to, czego inni nie zauważyli przez niemal pięćdziesiąt lat. A potem jednym, bezlitosnym cięciem ostrza prawdy zabrał mu Ouandę. Ten właśnie głos słyszał Miro — jedyna rzecz, której był pewny, to ten niemilkący, straszliwy głos. Wsłuchiwał się w niego, próbował znieawidzić, lecz bezskutecznie. Wiedział — nie potrafił oszukiwać sam siebie — wiedział, że Ender jest niszczycielem, lecz niszczył jedynie złudzenia, a złudzenia musiały umrzeć. Prawda o prosiaczkach, prawda o nas.

Ten przybysz ze starożytności potrafi zobaczyć prawdę i nie oślepnąć ani nie wpaść w obłąd. Muszę słuchać jego głosu i czerpać z niego siłę, bym ja także mógł spojrzeć na światło i nie zginąć.

— Novinha wiedziała, kim jest: cudzołożnicą i hipokrytką. Wiedziała, że krzywdzi Marcao, Liba, swoje dzieci, Bruxinhę. Wierzyła, że zabiła Pipa. Dlatego wytrzymywała, nawet prosiła Marcao o karę. To była jej pokuta, choć niewystarczająca. Sama nienawidziła siebie bardziej, niż mógł ją znienawidzić Marcao.

Biskup wolno pokiwał głową. Mówca dokonał rzeczy potwornej, odsłaniając te sekrety całej społeczności. Powinny być wyznane w konfesjonale. A jednak Peregrino odczuł moc tej opowieści; on sam i wszyscy obecni zostali zmuszeni, by na nowo poznać ludzi, których znali; a potem poznać ich raz jeszcze, i znowu. Każda rewizja opowieści wymuszała ponowne rozważenie własnych sumień, gdyż słuchający także byli jej częścią, stykali się z tymi ludźmi setki, tysiące razy i do tej chwili nie pojmowali, z kim się stykają. To bolesne, straszne przeżycie, lecz w efekcie dające niezwykle ukojenie. Biskup pochylił się do swego sekretarza.

— Przynajmniej nie ma tu żadnego materiału dla plotek — szepnął. — Wszystkie tajemnice zostały odsłonięte.

— Wszyscy bohaterowie mojej opowieści cierpieli — zakończył Mówca. — Każdy z nich poświęcił kogoś, kogo kochał. Wszyscy sprawiali straszliwy ból ludziom, którzy ich kochali. I wy, słuchający mnie dzisiaj, także sprawialiście ból. Pamiętajcie jednak: życie Marcao było tragiczne i okrutne, ale w każdej chwili mógł zerwać swoją umowę z Novinhą. Postanowił zostać. Musiał więc znajdować w tym jakąś radość. A Novinha: złamała prawa Boże, wiążące razem to społeczeństwo. I poniosła karę. Kościół nigdy nie nakazuje pokuty równie okrutnej jak ta, którą ona sama sobie wyznaczyła. Jeśli ktoś z was uważa, że zasłużyła na drobne złośliwości i okrucieństwa z waszych rąk, niech pamięta: cierpiała wszystko, czyniła wszystko w jednym tylko celu: by uchronić Liba od śmierci z rąk prosiaczków. Te słowa pozostawiły popiół w ich sercach.

Olhado wstał, podszedł do Novinhy, przyklęknął i objął ją ramieniem. Ela usiadła obok. Novinha płakała skulona. Quara stanęła przed matką i patrzyła na nią z lękiem. A Grego wtulił twarz w jej ramię i płakał także. Ci, którzy stali w pobliżu, słyszeli jak powtarza:

— Todo papai e morto. Nao tenho nem papai. Wszyscy moi tatusiowie nie żyją. Nie mam już żadnego.

Ouanda stała na końcu alei, gdzie odeszła wraz z matką tuż przed końcem Mowy. Szukała wzrokiem Mira, który gdzieś zniknął.

Ender zatrzymał się obok platformy i spojrzał na rodzinę Novinhy. Chciałby jakoś złagodzić ich cierpienie. Mowa zawsze sprawiała ból, gdyż Mówca Umarłych nie próbował złagodzić prawdy. Mało kto jednak przeżywał życie tak pełne fałszu, jak

Marco, Libo i Novinha; rzadko następowało tak wiele wstrząsów, zmuszających słuchaczy do zmiany opinii o ludziach, których znali i kochali. Patrząc na twarze zebranych Ender wiedział, że jego Mowa sprawiła wiele bólu. Sam go odczuwał, jak gdyby odbierał ich cierpienia. Bruxinha była najbardziej zaskoczona, lecz nie ona odniosła najcięższe rany. To wyróżnienie należało do Mira i Ouandy, którzy sądzili, że wiedzą, co niesie im przyszłość. Ender jednak pamiętał ból, jaki wszyscy cierpieli przedtem i był przekonany, że dzisiejsze rany zagoją się o wiele szybciej niż stare. Novinha musi jeszcze zrozumieć, że zdjął z jej ramion ciężar zbyt wielki, by mogła go nieść dłużej.

— Mówco — odezwała się Bosquinha.

— Słucham? — nie lubił rozmawiać zaraz po Mowie, ale przyzwyczyił się, że zawsze ktoś nalegał na pogawędkę. Uśmiechnął się z przymusem. — Przyszło więcej ludzi, niż się spodziewałem.

— Chwilowy odruch, przynajmniej u większości — odparła Bosquinha. — Do rana zapomną o wszystkim. Trywializowała wszystko. Ender poczuł irytację.

— Tylko wtedy, gdyby w nocy zdarzyło się coś oszałamiającego.

— Tak. Już o to zadbano.

Dopiero teraz Ender zauważył, że burmistrz jest potwornie zdenerwowana i z trudem nad sobą panuje. Wziął ją pod rękę, a potem objął ramieniem. Oparła się o niego z wdzięcznością.

— Mówco, przysłałam cię przeprosić. Gwiezdny Kongres zarekwirował twój statek. To nie ma nic wspólnego z tobą. Popelniono tu zbrodnię... zbrodnię tak straszną, że przestępcy mają odlecieć na najbliższą planetę, Trondheim, gdzie staną przed sądem i poniosą karę. Twoim statkiem. Ender zastanowił się.

— Miro i Ouanda. Spojrzała na niego czujnie.

— Nie jesteś zaskoczony.

— I nie pozwolę im odlecieć. Bosquinha odsunęła się.

— Nie pozwolisz?

— Domyślam się, o co są oskarżeni.

— Jesteś tu od czterech dni i już wiesz to, czego ja nawet nie podejrzewałam?

— Zarządca, dowiaduje się czasem ostatni.

— Więc pozwól, że ci wyjaśnię, dlaczego pozwolisz im odlecieć, dlaczego wszyscy pozwolimy im odlecieć i stanąć przed sądem. Ponieważ Kongres skasował nasze pliki. Pamięć komputerów jest czysta, z wyjątkiem programów sterujących wytwarzaniem energii, zaopatrzeniem w wodę, utylizacją odpadów. Od jutra nie możemy pracować, ponieważ nie wystarczy prądu, by uruchomić fabryki, kopalnie czy choćby traktory. Zdjęto mnie z urzędu. Jestem teraz tylko szefem policji i mam pilnować wykonywania poleceń Komitetu Ewakuacji Lusitanii.

— Ewakuacji?

— Cofnęli licencję ^ Wysyłają statki, żeby nas stąd zabrać. Trzeba usunąć wszelkie ślady ludzkiej obecności. Nawet nagrobki naszych zmarłych.

Ender próbował ocenić jej reakcję. Nie sądził, by miała ochotę poddać się bezmyślnym zarządzeniom.

— Zamierzasz się podporządkować?

— Dostawy energii i wody kontrolowane są ansiblem. Tak samo, jak ogrodzenie. Mogą nas tu zamknąć bez prądu, wody i oczyszczalni, a my nie możemy się wydostać. Kiedy Miro i Ouanda na pokładzie twojego statku odlecą na Trondheim, obiecują złagodzić niektóre ograniczenia — westchnęła. — Cóż, Mówco, nie najlepszy to okres, żeby być turystą na Lusitanii.

— Nie jestem turystą — nie chciał tłumaczyć, że to niekoniecznie przypadek, iż Kongres wykrył Podejrzaną Działalność akurat wtedy, gdy Ender się tu znalazł. — Zachowaliście przynajmniej część zbiorów?

— Obawiam się, że wykorzystaliśmy ciebie — westchnęła znowu Bosquinha. — Zauważyłam, że wszystkie twoje pliki kontrolowane są ansiblem, pozaplanetarnie. Kluczowe dane wysłaliśmy jako wiadomości do ciebie.

— Świetny pomysł — roześmiał się Ender. — Gratuluję.

— To nic nie da. Nie możemy ich odzyskać. To znaczy owszem, możemy, ale oni od razu zauważą i wpadniesz w takie same kłopoty, jak my wszyscy. Wtedy wykasują wszystko.

— Chyba że odetniecie połączenie z ansiblem natychmiast po skopiowaniu moich plików do pamięci.

— Wtedy to już naprawdę będzie bunt. I po co?

— Bo macie szansę uczynić Lusitanię najlepszym i najważniejszym ze Stu Światów.

— Myślę, że uznają nas za ważnych — zaśmiała się Bosquinha. — Ale zdrada nie jest dobrym sposobem, by dać się poznać jako najlepsi.

— Proszę cię. Niczego nie rób. Nie aresztuj Mira i Ouandy. Poczekaj godzinę i spotkajmy się ze wszystkimi, którzy muszą wyrazić zgodę.

— Zgodę na bunt? Nie wiem tylko, po co potrzebna nam twoja zgoda, Mówco.

— Zrozumiesz, kiedy się spotkamy. Proszę. Ta planeta jest zbyt ważna, by przepuścić taką możliwość.

— Jaką możliwość?

— Odwrócenia tego, czego trzy tysiące lat temu dokonał w Ksenocydzie Ender. Bosquinha spojrzała na niego ostro.

— Pomyśleć tylko... a uznałam cię właśnie za siewcę plotek. Mogła żartować. Albo nie.

— Jeśli sądzisz, że tylko rozsiewałem plotki, jesteś za głupia, by gdziekolwiek tę społeczność doprowadzić. Rozkładając ręce wzruszyła ramionami.

— Pois e — powiedziała. — Oczywiście. Co jeszcze?

— Zwołasz zebranie?

— Dobrze. U biskupa. Ender skrzywił się.

— Biskup nie zgodzi się na inne miejsce, a decyzja buntu bez jego poparcia nie będzie miała żadnego znaczenia — Bosquinha oparła mu dłoń na piersi. — Może nawet nie wpuścić cię do katedry. Jesteś niewiernym.

— Ale spróbujesz?

— Spróbuję ze względu na to, co zrobiłeś. Jedyne ktoś bardzo mądry mógł tak szybko poznać tutejszych ludzi. I tylko ktoś bezlitosny mógł powiedzieć o tym głośno. Twoja zaleta i twoja wada... będziemy potrzebować obu.

Odwróciła się i odeszła. Ender wiedział, że w głębi serca nie chce się podporządkować decyzjom Gwiezdnego Kongresu. Wszystko to było zbyt nagłe i zbyt gwałtowne; odebrali jej władzę, jakby była winna przestępstwa. Posłuszeństwo było przyznaniem się do winy, a ona wiedziała, że nie zrobiła nic złego. Pragnęła stawiać opór, znaleźć sposób powstrzymania Kongresu, powiedzenia im — zaczekajcie, uspokójcie się. Albo: niech was diabli porwą. Ale nie była głupia. Nie zrobi niczego póki się nie przekona, że to się uda i przyniesie korzyści kolonii. Była dobrym Zarządcą. Chętnie poświęci dumę, reputację i przyszłość dla dobra swoich podwładnych.

Został na praca sam. Wszyscy odeszli, gdy rozmawiał z Bosquinhą. Ender czuł się jak stary żołnierz, spacerujący po spokojnym polu, gdzie dawno temu rozegrała się bitwa; który słyszy jeszcze echa walki w szumie poruszanej wiatrem trawy.

— Nie pozwól, żeby odcięli połączenie z ansiblem. Głos w uchu zaskoczył go, lecz od razu rozpoznał, kto mówi.

— Jane!

— Mogę spowodować, że uznają wasz ansibl za odcięty, ale jeśli naprawdę to zrobicie, nie będę mogła ci pomóc.

— Ty to zrobiłaś, Jane, prawda? Jak mogliby zauważyć, działania Liba, Mira i Ouandy, gdybyś nie zwróciła im uwagi? Milczała.

— Jane, przepraszam, że cię odłączyłem. Już nigdy... Wiedziała, co powie. Przy niej nie musiał kończyć zdań. Ale nie odpowiadała.

— Nigdy nie wyłącze...

Po co ma mówić to, co i tak zrozumiała? Nie wybaczyła mu jeszcze, to wszystko. Inaczej już by się odezwała, kazała nie marnować czasu. Nie potrafił się jednak powstrzymać od jeszcze jednej próby.

— Tęskniłem za tobą, Jane. Naprawdę tęskniłem.

Wciąż milczała. Powiedziała, co miała do powiedzenia — żeby utrzymać połączenie z ansiblem — i to wszystko. Ender mógł czekać. Wystarczała mu wiedza, że wciąż tam jest, że go słucha. Nie był już samotny. Zdziwił się, czując łzy na policzkach. Łzy ulgi, pomyślał. Katharsis. Mowa, kryzys, ludzkie życie rozbite w gruzy, przyszłość kolonii pod znakiem zapytania, a ja płacze z radości, że przerośnięty

program komputerowy znowu się do mnie odezwał. Ela czekała w jego małym domku. Oczy miała zaczerwienione od płaczu.

— Witaj — powiedziała.

— Czy zrobiłem to, czego chciałaś? — zapytał.

— Nie miałam pojęcia — odparła. — Nie był naszym ojcem. Powinam się domyślić.

— Nie wiem, w jaki sposób.

— Co ja takiego zrobiłam? Wezwałam cię, żebyś Mówił o Śmierci ojca... Marco — znowu się rozpląkała. — Tajemnice mamy... myślałam, że je znam. Myślałam, że to tylko jej pliki... że nienawidzi Liba.

— Otworzyłem tylko okno, by wpuścić świeże powietrze.

— Powiedz to Miro i Ouandzie.

— Zastanów się, Elu. W końcu i tak poznaliby prawdę. Okrutne jest to, że przez tyle lat nie wiedzieli. Teraz wiedzą i potrafią znaleźć jakieś wyjście.

— Takie, jak mama? Tylko tym razem gorsze od zwykłego cudzołóstwa? Dotknął jej włosów, pogładził. Przyjęła ten odruch, próbę pocieszenia. Nie pamiętał, czy ojciec lub matka dotykali go kiedyś w ten sposób. Musieli. Skąd by znał taki gest?

— Pomożesz mi, Elu?

— W czym? Wykonałeś swoją pracę.

— To nie ma nic wspólnego z Mówieniem o umarłych. Za godzinę muszę wiedzieć, jak działa Descolada.

— Musisz spytać mamy. Tylko ona wie.

— Nie sądzę, by dzisiaj chciała się ze mną zobaczyć.

— Więc to ja mam zapytać? Dobry wieczór, Mamae, właśnie całe Milagre poznało cię jako cudzołożnicę, przez całe życie oszukującą własne dzieci. Więc, jeśli nie masz nic przeciw temu, chciałabym ci zadać kilka pytań na tematy naukowe.

— Elu, to kwestia życia i śmierci Lusitanii. Nie wspominając już o twoim bracie, Miro — uruchomił terminal. — Włącz się — polecił. Zdziwiła się, ale posłuchała. Komputer nie rozpoznał jej imienia.

— Odłączyli mnie — spojrzała na niego przestraszona. — Dlaczego?

— Nie tylko ciebie. Wszystkich.

— To nie awaria — stwierdziła. — Ktoś skasował plik kontroli dostępu.

— Gwiezdny Kongres wykasował całą miejscową pamięć. Wszystkie dane. Uznali nas za zbuntowanych. Miro i Ouanda mają być aresztowani i wysłani na Trondheim, by stanąć przed sądem. Chyba że namówię biskupa i burmistrza, żeby zbuntować się naprawdę. Rozumiesz?

Jeśli matka nie powie ci tego, czego muszę się dowiedzieć, Miro i Ouanda zostaną odesłani dwadzieścia dwa lata świetlne stąd. Karą za zdradę jest śmierć. Ale nawet lot na proces to jakby dożywotnie więzienie. Wszyscy umrzemy, albo będziemy

bardzo starzy, zanim powrócą. Ela wpatrzyła się w ścianę.

— Co chcesz wiedzieć?

— Co znajdzie Komitet, kiedy odczytają jej pliki. Jak działa Descolada.

— Dobrze — zgodziła się Ela. — Zrobi to dla Mira — spojrzała na niego wyzywająco. — Wiesz, ona naprawdę nas kocha. Dla jednego z dzieci zgodziłaby się rozmawiać nawet z tobą.

— To dobrze. Lepiej będzie, jeśli przyjdzie osobiście. Do biskupa, za godzinę.

— Tak.

Przez chwilę siedziała bez ruchu. Potem gdzieś' zwarła się synapsa; Ela wstała szybko i ruszyła do drzwi. Zatrzymała się. Wróciła, objęła go i pocałowała w policzek.

— Cieszę się, że wszystko powiedziałeś — oświadczyła. — Cieszę się, że wiem. Ucałował ją w czoło i odsunął. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, usiadł na łóżku, potem położył się i leżał wpatrzony w sufit. Próbował sobie wyobrazić, co czuje Novinha. Wiem, że cierpisz, ale twoja córka biegnie teraz do domu, bo jest pewna, że zapomnisz o bólu i poniżeniu, by uczynić to, co jest konieczne dla ratowania twego syna. Przyjąłbym wszystkie twoje cierpienia, Novinho, za jedno dziecko, które tak by mi ufało.

ROZDZIAŁ 16

OGRODZENIE

Wielki rabi stoi na rynku. Zdarzyło się, że tego ranka mąż zyskał dowód cudzołóstwa swej żony. Tłum prowadzi winowajczynię na rynek, by ją ukamieniować. (Istnieje znana wersja tej historii, ale mój przyjaciel, Mówca Umarłych opowiedział mi o dwóch innych rabinach, którzy znaleźli się w takiej samej sytuacji. O nich właśnie chce mówić Rabi występuje przed tłum i staje obok kobiety. Z szacunku dla niego ludzie cofają się i czekają z ciężkimi kamieniami w rękach.

— Czy jest między wami ktoś — mówi do nich — kto nie pożądał żony innego mężczyzny lub męża innej kobiety? Oni szemrają i odpowiadają mu:

— Wszyscy znamy żądzę, rabi, ale nikt z nas się jej nie poddał. Na to rabi:

— Klękajcie więc i dziękujcie Bogu, że dał wam silną wolę.

Bierze kobietę za rękę i wyprowadza z rynku. Zanim ją puszcza, szepcze:

— Opowiedz sędziemu, kto ocalił jego kochankę. Niech wie, że jestem lojalnym sługą.

I tak kobieta przeżyła, gdyż społeczeństwo było zbyt zepsute, by bronić się przed chaosem. Inny rabi, inne miasto. Podchodzi do niej powstrzymując tłum i mówi:

— Kto z was jest bez grzechu, niech pierwszy rzuci w nią kamieniem.

Ludzie zatrzymują się zmieszani i zapominają o jedności wspominając własne grzechy. Pewnego dnia, myślą, mogą być jak ta kobieta. Chciałbym mieć nadzieję przebaczenia i jeszcze jednej szansy. Powinienem traktować

ją tak, jak sam chciałbym być potraktowany. Kiedy rozwierają palce wypuszczając na ziemię kamienie, rabi chwyta jeden z nich, unosi wysoko nad głową kobiety i z całej siły ciska w dół. Kamień kruszy jej czaszkę i rozpryskuje mózg po bruku.

— I ja nie jestem bez grzechu — mówi ludziom. — Gdybyśmy jednak tylko tym, co są doskonali, powierzali wykonywanie prawa, prawo by wkrótce umarło, a nasze miasto wraz z nim.

I tak kobieta zginęła, gdyż społeczeństwo było zbyt sztywne, by znieść jej występki.

Najsłynniejsza wersja tej historii warta jest odnotowania, ponieważ jest tak obca naszym doświadczeniom. Na ogół społeczeństwa trwają pomiędzy rozkładem a rigor mortis i giną, gdy odchylą się za bardzo w którymkolwiek kierunku. Tylko jeden rabi ważył się oczekiwać od nas równowagi tak doskonałej, byśmy potrafili przestrzegać prawa, a jednocześnie wybaczać jego przekroczenie. Więc, oczywiście, zabiliśmy go.

*San Angelo, Listy do początkującego heretyka, przez Amai
Tudomundo Para Que Deus Vos Ame Cristao, 103:72:54:2*

Minha irma. Moja siostra. Te słowa krążyły w myślach Mira, aż przestał je słyszeć. Stały się częścią tła: A Ouanda e minha irma. Jest moją siostrą. Stopy niosły go, z przyzwyczajenia, od prac'a do placu zabaw i dalej, poza wzgórze. Na wierzchołku ponad Staq'ą Zenadora wznosiły się mury katedry i klasztoru — jakby były fortecą osłaniającą przejście bramy. Czy tą drogą Libo chodził spotykać się z moją matką? Czy spotykali się w Staqi Ksenobiologicznej? Czy może na odludziu, gdzie tarzali się w trawie niby świnie na fazendas?

Stał przed drzwiami Stacji Zenadora, szukając jakiegoś pretekstu, by wejść do środka. Nie miał nic do roboty. Nie napisał raportu o dzisiejszych wydarzeniach, ale i tak nie wiedział, co powinien w nim umieścić. Magia; to była magia. Prosiaczki śpiewają drzewu i drzewo pęka na szczapy. Lepsze niż stolarka. Kultura aborygenów jest bardziej skomplikowana, niż można było przypuszczać. Wielokrotne zastosowanie wszystkiego.

Każde drzewo jest równocześnie totemem, nagrobkiem i niedużym tartakiem. Siostra. Miałem coś zrobić, ale nie pamiętam.

Prosiaczki realizują bardzo rozsądny plan: żyją jak bracia i nie przejmują się kobietami. Trzeba przyznać, że tak byłoby lepiej i dla ciebie, Libo... Chociaż teraz powinienem cię nazywać Papai. Szkoda, że mama nie chciała ci powiedzieć... mógłbyś mnie bujać na kolanach. Dwójka najstarszych dzieci, Ouanda na jednym kolanie, Miro na drugim, czy nie jesteśmy dumni z naszych maluchów? Urodzeni w tym samym roku, tylko dwa miesiące różnicy. Papai był pracowity, przemykał wzdłuż ogrodzenia, żeby się dostać do Mamae na jej podwórku. Wszyscy cię żalowali, bo miałeś tylko córki. Żadnego dziedzica nazwiska. Zmarnowane

współczucie. Synów ci nie brakowało. A ja mam więcej siostr, niż mogłem przypuszczać. O-jedną więcej, niż bym chciał.

Stał przed bramą, spoglądając na las porastający wzgórze prosiaczków. Noc nie nadaje się na misje naukowe. W takim razie wyruszę z misją nienaukową i sprawdzę, czy ich plemię przyjmie jeszcze jednego brata. Będę pewnie za duży, żeby spać w chacie, więc prześpię się na dworze. Nie jestem za dobry w chodzeniu po drzewach, ale wiem to i owo o technice, a teraz nie odczuwam szczególnych zahamowań przed wyjaśnieniem wam wszystkiego, czego chcielibyście się dowiedzieć.

Przycisnął prawą dłoń do identyfikatora, wyciągając lewą, by pociągnąć wrota. Przez ułamek sekundy nie pojmował, co się dzieje. Potem poczuł ból, jakby wsadził rękę do ognia, jakby ktoś mu ją odcinał zardzewiałą piłą. Krzyknął i odskoczył. Jeszcze nigdy brama nie pozostała gorąca, gdy dłoń Zenadora dotknęła skrzynki identyfikacyjnej.

— Marcosie Vladimirze Ribeira von Hesse. Prawo wyjścia za ogrodzenie zostało cofnięte poleceniem Komitetu Ewakuacyjnego Lusitanii.

Odkąd zbudowano bramę, nigdy głos nie próbował powstrzymać Zenadora. Przez chwilę Miro nie rozumiał stów.

— Wraz z Ouanda Quenhattą Figueira Mucumbi stawicie się u szefa policji, Farii Limy Marii do Bosque, która aresztuje was i przekaże sądowi na Trondheimie. Na chwilę zakreśliło mu się w głowie, a w żołądku osiadł ogromny ciężar. Dowiedzieli się. Akurat dzisiaj. Wszystko skończone. Straciłem Ouandę, straciłem prosiaczki, straciłem pracę. Aresztowany. Trondheim. To tam, skąd przybył Mówca, dwadzieścia dwa lata lotu, wszyscy odejdą oprócz Ouandy, a ona jest moją siostrą...

Raz jeszcze wyciągnął rękę, by szarpnąć wrota; raz jeszcze straszliwy ból przeszył mu ramię, zareagowały wszystkie receptory i wszystkie stanęły w ogniu. Nie mogę zwyczajnie zniknąć. Zatrzasną bramę. Nikt nie pójdzie do prosiaczków. Będą czekać, a nikt już nie wyjdzie na zewnątrz, ani ja, ani Ouanda, ani Mówca... nikt. Bez żadnego wyjaśnienia. Komitet Ewakuacyjny. Ewakuują nas i usuną ślady. Tak nakazuje prawo. Ale nakazuje też coś więcej. Co zobaczyli? Jak się dowiedzieli? Czy to Mówca im powiedział? Jest przeczulony na punkcie prawdy. Muszę wytłumaczyć prosiaczkom, czemu już nie wrócimy. Muszę im powiedzieć.

Zawsze jakiś prosiaczek ich obserwował, szedł za nimi od chwili, gdy wkraczali do lasu. Może któryś patrzy na niego teraz? Miro pomachał ręką. Było za ciemno; nie mogli go zobaczyć. A może mogli? Nikt nie wiedział, jak działa w nocy wzrok prosiaczków. Jeśli nawet go zauważyli, żaden się nie pojawił. Wkrótce będzie za późno. Jeśli framlingowie pilnują bramy, z pewnością zawiadomili Bosquinhę, a ona wyruszyła natychmiast i prześlizguje się teraz ponad trawą. Nie będzie zachwycona, ale wykona polecenie. Nie warto tłumaczyć, że ta głupia separacja nie jest dobra ani dla prosiaczków, ani dla ludzi. Bosquinha nie kwestionuje rozkazów; po prostu robi,

co jej każą. A on się podda; walka nie ma sensu, gdzie mógłby się ukryć wewnątrz ogrodzenia — między cabrami? Ale zanim zrezygnuje, powie prosiaczkom, musi im powiedzieć. Ruszył wzdłuż ogrodzenia, dalej od bramy, w stronę trawiastej równiny bezpośrednio pod katedrą. Nikt tam nie mieszkał, więc nikt nie usłyszy jego głosu.

Wołał idąc. Nie wykrzykiwał słów, lecz pohukiwał wysoko i przenikliwie — tak przyzywali się z Ouanda, gdy się rozdzielili wśród prosiaczków. Usłyszą. Muszą usłyszeć. Muszą przyjść, ponieważ on nie potrafi przeskoczyć ogrodzenia. Przybywajcie więc, Człowieku, Liściojadzie, Mandachuvo, Strzało, Kubku, Kalendarzu, wszyscy. Powiem wam, że już nic więcej nie mogę wam powiedzieć.

Quim siedział ponuro na stołku w gabinecie biskupa.

— Estevao — mówił cicho biskup. — Za chwilę odbędzie się tu spotkanie, ale najpierw chciałbym z tobą porozmawiać.

— Nie ma o czym — odparł Quim. — Ostrzegaliście nas, i to się sprawdziło. On jest Szatanem.

— Estevao, pogadamy minutkę, a potem wrócisz do domu i pójdziesz spać.

— Nigdy tam nie wrócę.

— Pan nasz siadał do posiłku z większymi grzesznikami niż twoja matka. I wybaczał im. Czy jesteś lepszy od Niego?

— Żadna z cudzołóżnic, którym wybaczył, nie była jego matką.

— Nie każda matka może być Błogosławioną Dziewicą.

— Czy jesteś po jego stronie? Czy Kościół otworzył tu drogę dla Mówców Umarłych? Czy mamy zburzyć katedrę, a z kamieni zbudować amfiteatr, gdzie będzie się oczerniać naszych zmarłych, zanim jeszcze spoczną w ziemi? Szept:

— Jestem twoim biskupem, Estevao, wikariuszem Chrystusa na tej planecie. Mówiąc do mnie masz okazywać szacunek, należny mojej funkcji. Quim milczał, wściekły.

— Uważam, że Mówca nie powinien opowiadać swoich historii publicznie. O pewnych sprawach lepiej dowiadywać się w ciszy, samotnie. Wtedy szok spada na nas bez ciekawych oczu widzów. Dlatego istnieją konfesjonały: by chronić od wstydu, gdy zmagamy się z naszymi grzechami. Ale bądź uczciwy, Estevao. Mówca powiedział wiele, lecz wszystko to było prawdą. Ne?

— E.

— Pomyślmy więc, Estevao. Aż do dzisiaj kochałeś swoją matkę, prawda?

— Tak.

— A ona, którą kochałeś, czy popełniła już grzech cudzołóstwa?

— Dziesięć tysięcy razy.

— Nie sądzę, by była aż tak rozwiązła. Mówisz, że ją kochałeś, choć była cudzołóżnicą. Czy dzisiaj nie jest tą samą osobą? Czy się zmieniła między dniem wczorajszym a dzisiejszym? Może to tylko ty się zmieniłeś.

— To, kim była wczoraj, to oszustwo.

— Chcesz powiedzieć, że jeśli wstydziła się wyznać dzieciom swój grzech, to kłamała także, gdy opiekowała się tobą przez te wszystkie lata, gdy ufała ci, uczyła...

— Nie była szczególnie troskliwą matką.

— Gdyby zjawiła się w konfesjonale i uzyskała odpuszczenie, wcale nie musiałaby ci mówić. Zszedłbyś do grobu nie wiedząc o niczym. To by nie było kłamstwo, ponieważ byłoby jej wybaczone, nie byłaby już cudzołożnicą. Przyznaj, Estevao: to nie jej cudzołóstwo tak cię rozgniewało. Jesteś zły, ponieważ próbując jej bronić postawiłeś się w kłopotliwej sytuacji, przy wszystkich.

— Sprawiasz, że wychodzę na durnia.

— Nikt nie uważa cię za durnia. Każdy wie, że zachowałeś się jak lojalny syn. Teraz jednak, jeśli jesteś prawdziwym wyznawcą Pana naszego, wybaczysz jej i pokażesz, że kochasz ją bardziej niż kiedykolwiek, gdyż teraz zrozumiałeś jej cierpienia. Biskup spojrział w stronę drzwi.

— Mam ważne spotkanie, Estevao. Idź, proszę, do mojego pokoju i módl się do Magdaleny, by wybaczyła ci twe twarde serce.

Quim wyglądał bardziej żałośnie niż gniewnie, gdy wchodził za kotarę za biurkiem kapłana. Sekretarz otworzył drzwi, wpuszczając do gabinetu Mówcę Umarłych. Peregrino nie wstał. Ku jego zdumieniu, Mówca przyklęknął i pochylił głowę. Tak zachowywał się katolik podczas oficjalnego przedstawienia biskupowi. Peregrino nie miał pojęcia, co Mówca chciał tym wyrazić. Ale czekał na klęczkach, więc biskup wstał, podszedł do niego i wyciągnął do pocałowania dłoń z pierścieniem. Nawet wtedy Mówca czekał, aż wreszcie Peregrino powiedział:

— Błogosławię cię, synu, choć nie mam pewności, czy twój pokłon nie jest drwiną.

— Nie ma we mnie drwiny — odparł Mówca nie podnosząc głowy. Dopiero po chwili spojrział na Peregrina. — Mój ojciec był katolikiem. Musiał udawać, że tak nie jest, nigdy jednak nie wybaczył sobie braku wytrwałości w wierze.

— Byłeś ochrzczony?

— Moja siostra twierdzi, że tak. Ojciec ochrzcił mnie wkrótce po urodzeniu. Matka była protestantką i nie uznawała chrztu niemowląt. Pokłócili się o to. Biskup wyciągnął rękę, by go podnieść.

— Wyobraź sobie tylko — parsknął Mówca. — Ukryty katolik i zbłąkana mormonka, pokłóceni o procedury religii, w którą oboje oficjalnie nie wierzyli. Peregrino zachował sceptycyzm. Byłoby zbyt eleganckim rozwiązaniem, gdyby Mówca okazał się katolikiem.

— Sądziłem, że wy, Mówcy Umarłych, wyrzekacie się wszelkich religii, nim podążycie za swoim... powiedzmy: powołaniem.

— Nie wiem, co robią inni. Nie sądzę, by istniały jakieś przepisy. Z pewnością nie było żadnych, gdy ja zostałem Mówcą.

Peregrino wiedział, że Mówcy w zasadzie nie kłamali, ten jednak wyraźnie unikał

odpowiedzi wprost.

— Mówco Andrew, wśród Stu Światów nie ma takiego, gdzie katolik musiałby ukrywać swą wiarę. I nie było od trzech tysięcy lat. To błogosławieństwo podróży kosmicznych usunęło straszne restrykcje demograficzne przeludnionej Ziemi. Czy chcesz powiedzieć, że twój ojciec żył na Ziemi trzy tysiące lat temu?

— Chcę powiedzieć, że ojciec zadbał o mój katolicki chrzest i że dla niego zrobiłem to, czego on nie mógł zrobić przez całe życie: ukląknę przed biskupem i odebrałem błogosławieństwo.

— Ale to ty zostałeś pobłogosławiony.

I to ty nadal odpowiadasz wymijająco. Co dowodzi, że moja sugestia o czasie życia twojego ojca była słuszna, choć wolisz o tym nie rozmawiać. Dom Cristao uprzedzał, że jest w tobie więcej, niż można dostrzec na pierwszy rzut oka.

— To dobrze — odparł Mówca. — Bardziej od ojca potrzebuję błogosławieństwa, ponieważ on już nie żyje, a ja mam wiele problemów.

— Usiądź, proszę. Mówca wybrał stołek pod ścianą. Biskup zasiadł w swym ciężkim fotelu za biurkiem.

— Żałuję, że Mówiłeś właśnie dzisiaj. Czas nie jest odpowiedni.

— Nie wiedziałem, że Kongres tak postąpi.

— Wiedziałeś jednak, że Miro i Ouanda naruszyli prawo. Bosquinha mi powiedziała.

— Wykryłem to ledwie kilka godzin przed Mową. Dziękuję, że nie kazałeś ich aresztować.

— To sprawa władz ziemskich, nie duchownych — biskup machnął ręką. Obaj jednak wiedzieli, że gdyby nalegał, Bosquinha musiałaby wykonać polecenie i mimo próśb Mówcy aresztować ksenologów. — Twoja Mowa wzbudziła wiele niepokoju.

— Obawiam się, że więcej, niż zwykle.

— A więc... twoje zadanie wykonane? Zadajesz rany i pozostawiasz je innym do leczenia?

— To nie rany, księżę biskupie. To cięcia operacyjne. I jeśli mogę potem dopomóc w leczeniu, to owszem, zostaję i pomagam. Nie mam znieczulenia, ale próbuję antyseptyki.

— Wiesz, chyba powinienesz zostać księdzem.

— Młodszy synowie mieli zwykle niewielki wybór: kapłaństwo albo wojsko. Rodzice zdecydowali posłać mnie tą drugą drogą.

— Młodszy syn. I miałeś siostrę. Żyłeś w czasach, gdy prawo zakazywało posiadania więcej niż dwojga dzieci, chyba że za specjalną zgodą rządu. Nazywali takie dziecko Trzecim, prawda?

— Dobrze znasz historię.

— Czy urodziłeś się na Ziemi, przed podróżami kosmicznymi?

— Naszym problemem, księżę biskupie, jest przyszłość Lusitanii, nie biografia

pewnego Mówcy Umarłych, mającego — jak widać — najwyżej trzydzieści pięć lat.

— Przyszłość Lusitanii to mój problem, Mówco Andrew, nie twój.

— Twoim problemem jest przyszłość ludzi na Lusitanii, księżę biskupie. Mnie zajmują także prosiaczki.

— Nie kłóćmy się, kto ma ważniejsze problemy.

Sekretarz znowu otworzył drzwi i do gabinetu weszła Bosquinha, Dom Cristao i Dona Crista. Bosquinha spojrzała uważnie na biskupa i Mówcę.

— Nie ma krwi na podłodze, jeśli jej właśnie wypatrujesz — oświadczył Peregrino.

— Badałam tylko temperaturę — wyjaśniła burmistrz.

— Ciepło wzajemnego szacunku, jak sądzę — wtrącił Mówca. — Nie żar gniewu czy lód nienawiści.

— Mówca okazał się katolikiem z chrztu, chociaż nie z wiary. Pobłogosławiłem go i stał się bardziej uległy.

— Zawsze szanowałem władzę.

— To przecież ty groziłeś nam Inkwizytorem — stwierdził biskup z zimnym uśmiechem. Uśmiech Mówcy był równie lodowaty.

— A ty powiedziałaś ludziom, że jestem Szatanem i nie powinni ze mną rozmawiać. Nowo przybyli zaśmiali się nerwowo, usiedli i czekali.

— To twoje spotkanie, Mówco — przypomniała Bosquinha.

— Proszę o wybaczenie. Zaprosiłem jeszcze kogoś. Będzie o wiele łatwiej, jeśli zaczekamy kilka minut.

Ela znalazła matkę na dworze, w pobliżu ogrodzenia. Lekki wiatr, który ledwie muskał capim, chwycił i rozwiewał jej włosy. Dopiero po chwili dziewczyna pojęła, co ją tak zaskoczyło: matka od wielu lat nie rozpuszczała włosów. Wydawały się teraz wolne, tym bardziej, że falowały i zginały się w miejscu, gdzie tak długo zwinięte były w kok. Wtedy wiedziała już, że Mówca miał rację. Matka wysłucha jego prośby. Dzisiejsza Mowa mogła wywołać jej wstyd lub ból, lecz teraz stała wśród zmierzchu i patrzyła w stronę wzgórza prosiaczków. Czy może na ogrodzenie. Może wspominała człowieka, z którym spotykała się tutaj, albo gdzie indziej wśród capim, by się kochać. Zawsze w ukryciu, w tajemnicy. Mama jest zadowolona, pomyślała Ela, ponieważ wreszcie wiadomo, że Libo był jej prawdziwym mężem, że jest moim prawdziwym ojcem. Mama się cieszy, więc ja także. Mama nie odwróciła się, choć z pewnością słyszała, jak nadchodzi depcząc trawę.

— Mamo — odezwała się Ela.

— Więc to nie stado cabra — stwierdziła mama. — Strasznie hałasujesz, Elu.

— Mówca potrzebuje twojej pomocy.

— Doprawdy?

Ela wyjaśniła wszystko czego się dowiedziała. Mama słuchała w milczeniu. Kiedy Ela

skończyła, mama czekała jeszcze przez chwilę, po czym odwróciła się i ruszyła wokół wzgórza. Ela pobiegła za nią.

— Mamo, chcesz mu opowiedzieć o Descoladzie?

— Tak.

— Dlaczego teraz? Po tylu latach? Dlaczego mnie nie chciałaś nic wyjawić?

— Bo lepiej pracowałaś bez mojej pomocy.

— Wiesz, co robiłam?

— Jesteś moim uczniem. Mam nieograniczony dostęp do twoich danych i nie muszę zostawiać śladów. Cóż byłby ze mnie za nauczyciel, gdybym nie sprawdzała twoich prac?

— Ale...

— Czytałam także zbiory, które ukryłaś między plikami Cjuary. Nigdy nie byłaś matką, więc nie wiesz, że raz na tydzień system zgłasza rodzicom wszystkie zmiany w plikach dzieci poniżej dwunastu lat. Quara wykonywała bardzo interesujące badania. Cieszę się, że idziesz ze mną. Tłumacząc Mówcy, powiem jednocześnie tobie.

— Nie tędy — zauważyła Ela. Mama zatrzymała się.

— Czy dom Mówcy nie stoi obok praca?

— Spotkanie odbędzie się u biskupa. Po raz pierwszy mama spojrzała Eli w oczy. — Co chcecie mi zrobić, ty i Mówca?

— Próbujemy ratować Mira. I kolonię Lusitani, jeśli tylko potrafimy.

— Prowadząc mnie do gniazda pająka...

— Biskup musi stanąć po naszej stronie, bo...

— Naszej stronie? Mówiąc „my” masz na myśli siebie i Mówcę, prawda? Myślisz, że nie zauważyłam? Wszystkie moje dzieci, jedno po drugim... Uwiódł was.

— Nikogo nie uwiódł!

— Uwiódł was tym, że zawsze wie, co chcecie usłyszeć; że...

— Nie jest pochlebcą — zaprotestowała Ela. — Nie mówi tego, co chcemy usłyszeć. Mówi to, co jest prawdą i my o tym wiemy. Nie zdobył naszego uczucia, mamo; zdobył zaufanie.

— Cokolwiek zdobył, mnie nigdy tego nie ofiarowujecie.

— Chcieliśmy. Tym razem Ela nie cofnęła się przed gniewnym, przenikliwym spojrzeniem matki. To Novinha się cofnęła, odwróciła wzrok, by znowu, ze łzami w oczach, spojrzeć na córkę.

— Chciałam wszystko powiedzieć — mama nie mówiła o plikach. — Kiedy widziałam, jak go nienawidzicie, chciałam krzyknąć: to nie jest wasz ojciec! Wasz ojciec to dobry, delikatny człowiek...

— Który nie miał odwagi, by sam nam powiedzieć. W oczach mamy błysnęła irytacja.

— Próbował. Nie pozwoliłam mu.

— Wiesz, mamó, kochałam Liba, jak kochał go każdy w Milagre. Ale on chciał być hipokrytą. Ty także. Nie domyślasz się nawet, jak poraniła nas trucizna twoich kłamstw. Nie winie cię o to, mamó. Ani jego. Ale dziękuję Bogu za Mówcę. On zechciał powiedzieć prawdę i uwolnić nas.

— Łatwo mówić prawdę — rzekła cichym głosem mama — jeśli nikogo się nie kocha.

— Tak sądzisz? Coś ci powiem, mamó. Uważam, że nie można *poznać* prawdy o kimkolwiek, jeśli się go nie kocha. Uważam, że Mówca kochał ojca, to znaczy Marcao. Zrozumiał go i pokochał, zanim zaczął Mówić. Mama nie odpowiadała; wiedziała, że to prawda.

— I wiem, że kocha Grega, i Cjuarę, i Olhada. I Mira i nawet Quima. I mnie. Wiem, że mnie kocha, a kiedy mi to okazuje, wiem, że to prawda, bo on nigdy nie kłamie. Łzy spływały mamie po policzkach.

— Ja kłamałam, tobie i wszystkim innym — powiedziała słabym, pełnym napięcia głosem. — Ale i tak musisz mi uwierzyć. Kiedy ci mówię, że cię Kocham.

Ela objęła mamę i po raz pierwszy od lat poczuła, że są sobie bliskie. Ponieważ dzielące je kłamstwa zniknęły. Mówca zniszczył barierę. Ostrożność i czujność stały się zbędne.

— Nawet teraz myślisz o tym przeklętym Mówcy — szepnęła mama.

— Ty także — odpowiedziała Ela. Ich przytulone ciała zadrżały od śmiechu mamy.

— Tak. Nagle spoważniała i spojrzała Eli w oczy.

— Czy już zawsze będzie między nami?

— Tak. Będzie między nami jak most, nie jak mur.

Miro dostrzegł prosiaczki w połowie drogi między lasem a ogrodzeniem. Wśród drzew były niesłyszalne, ale nie miały wprawy w biegach po capim, szeleszczącej głośno pod stopami. A może uznały, że nie muszą się kryć, biegnąc na wezwanie Mira. Rozpoznał je, gdy się zbliżyły: Strzała, Człowiek, Mandachuva, Liściojad, Kubek. Nie wołał do nich i one się nie odzywały. Stały za barierą i patrzyły na niego w milczeniu. Żaden Zenador nie wzywał jeszcze prosiaczków w to miejsce. Ich bezruch świadczył o podnieceniu.

— Nie mogę już was odwiedzać — oznajmił Miro. Czekali na wyjaśnienia.

— Framlingowie dowiedzieli się o nas. Że łamiemy prawo. Zatrzasnęli bramę. Liściojad dotknął brody.

— Czy wiesz, co zobaczyli framlingowie?

— A czego nie widzieli? — zaśmiał się gorzko Miro. — Tylko jeden framling do was wyszedł.

— Nie — wtrącił Człowiek. — Królowa kopca twierdzi, że to nie Mówca. Satelity zobaczyły wszystko z nieba. Satelity?

— Co mogli zobaczyć z tej wysokości?

— Może polowanie — mruknął Strzała.

— Może strzyżenie cabry — zasugerował Liściojad.

— Może pola amarantu — dodał Kubek.

— Wszystkie te rzeczy — stwierdził Człowiek. — Może zauważyli też, że od pierwszych zbiorów amarantu, żony pozwoliły na urodzenie trzystu dwudziestu dzieci.

— Trzystu!

— I dwudziestu — poprawił Mandachuwa.

— Zrozumiały, że jedzenia nam nie zabraknie — wyjaśnił Strzała. — Teraz jesteście pewni zwycięstwa w najbliższej wojnie. Zasadzimy naszych wrogów w wielkich, nowych lasach na równinie, a żony w każdym umieszczą matczyne drzewo. Miro poczuł, że robi mu się niedobrze. Czy temu miały służyć ich ofiary i poświęcenia? By jedno plemię prosiaczków uzyskało chwilową przewagę nad innym? Już miał krzyknąć: czy po to umarł Libo, żebyście mogli podbić cały świat? Lecz trening okazał się silniejszy niż odruchy.

— Gdzie są wszystkie nowe dzieci? — spytał obojętnie.

— Żaden z małych braci do nas nie przychodzi — odparł Człowiek. — Mamy za dużo pracy, ucząc się od was i nauczając inne braterskie domy. Nie możemy szkolić małych braci. Po czym dodał z dumą:

— Z tych trzystu pełna połowa to dzieci mojego ojca, Korzeniaka.

— Żony mają wielki respekt dla waszych nauk — Mandachuwa z powagą kiwnął głową. — Wiązały też wielkie nadzieje z Mówcą Umarłych. Lecz to, co mówisz teraz, to bardzo złe wieści. Cóż pocniemy, jeśli framlingowie nas nienawidzą?

— Nie wiem — odparł Miro. Przez chwilę jego umysł usiłował przetrawić informacje, które właśnie mu przekazali. Trzysta dwadzieścia nowych prosiaczków. Eksplozja demograficzna. A Korzeniak był ojcem połowy. Do wczoraj Miro uznawał oświadczenia dotyczące ojcostwa Korzeniaka za część totemicznego systemu wierzeń. Kiedy zobaczył, jak drzewo przewraca się samo i rozpada reagując na pieśń, skłonny był zakwestionować wszystkie wcześniejsze założenia.

Ale co mu przyjdzie z tej wiedzy? Już nigdy nie napisze raportu. Nie będzie prowadził badań. Najbliższe ćwierćwiecze spędzi na pokładzie statku, a jego pracę będzie wykonywał ktoś inny. Albo jeszcze gorzej — nikt.

— Nie martw się — powiedział Człowiek. — Zobaczysz, Mówca Umarłych wszystko jakoś rozwiąże.

— Mówca... tak, na pewno. Tak, jak rozwiązał wszystko dla mnie i Ouandy. Mojej siostry.

— Królowa kopca mówi, że on nauczy framlingów nas kochać.

— Może nauczy — zgodził się Miro. — Ale musi to robić szybko. Już za późno na ratunek dla mnie i Ouandy. Mają nas aresztować i wywieźć z tej planety.

— Do gwiazd? — spytał z nadzieją Człowiek.

— Tak, do gwiazd, żebyśmy stanęli przed sądem. I ponieśli karę za udzieloną wam pomoc. Będziemy lecieć dwadzieścia dwa lata i już nigdy nie pozwolą nam wrócić. Prosiaczki zastanawiały się przez chwilę. Doskonale, pomyślał Miro. Niech się martwią, jak Mówca ma wszystko rozwiązać. Ja też w niego wierzyłem i nic dla mnie nie zrobił. Prosiaczki podjęły decyzję. Człowiek wystąpił do przodu i stanął przed ogrodzeniem.

— Ukryjemy cię.

— W lesie nigdy cię nie znajdą — dodał Mandachuwa.

— Mają maszyny, które potrafią śledzić mój zapach — poinformował Miro.

— Aha. A czy prawo nie zabrania pokazywania nam takich maszyn? — spytał Człowiek.

— To bez znaczenia — chłopiec pokręcił głową. — Brama jest dla mnie zamknięta. Nie mogę stąd wyjść. Prosiaczki spojrzały zdziwione.

— Przecież masz tam capim — powiedział Strzała.

— I co z tego? — Miro nie rozumiał.

— Pogryź ją — zawołał Człowiek.

— Po co?

— Widzieliśmy, jak ludzie żują capim — oświadczył Liściojad. — Zeszłej nocy, na wzgórzu, widzieliśmy Mówcę i jednego z ludzi w habitach, jak żuli capim.

— I jeszcze wiele razy — dodał Mandachuwa. Ich niecierpliwość zaczynała go irytować.

— A co to ma wspólnego z ogrodzeniem? Prosiaczki raz jeszcze spojrzały zaskoczone. Wreszcie Mandachuwa zerwał źdźbło trawy, zwinął je starannie, wsunął do ust i pogryzł. Po chwili usiadł. Pozostali drażnili go, szturchali palcami i szczypali. Nie dawał znaku, że cokolwiek czuje. Wreszcie Człowiek uszczypnął go szczególnie mocno, a kiedy Mandachuwa nie zareagował, wszyscy zaczęli powtarzać w języku mężczyzn: gotów, czas ruszać, teraz, gotów.

Mandachuwa wstał trochę niepewnie. Potem podbiegł do ogrodzenia, wspiął się na szczyt, przerzucił ciało i wylądował na czworakach, po stronie Mira. Miro podskoczył i krzyknął w chwili, gdy Mandachuwa dotarł do szczytu; zanim dokończył okrzyk, prosiaczek zdążył wstać i otrzepywał się z ziemi.

— To niemożliwe — oświadczył Miro. — Ono stymuluje wszystkie ośrodki bólu organizmu. Nie można przekroczyć ogrodzenia.

— Och — zdziwił się Mandachuwa. Po drugiej stronie Człowiek pocierał udami o siebie.

— On nie wiedział — stwierdził. — Ludzie nie wiedzą.

— To działa znieczulająco — domyślił się Miro. — Blokuje wrażenie bólu.

— Nie — zaprzeczył Mandachuwa. — Czuję ból. Okropny ból. Najgorszy na

Świecie.

— Korzeniak mówi, że ogrodzenie jest jeszcze gorsze niż umieranie — oznajmił Człowiek. — Boli we wszystkich miejscach.

— Twoje drugie ja to czuje — wyjaśnił Mandachuva. — To się dzieje z twoim zwierzęcym ja. Ale twoje drzewne ja nie dba o to. Stajesz się swoim własnym drzewem.

Wtedy Miro przypomniał sobie pewien szczegół, przeoczony w zamieszaniu po Śmierci Liba. Martwy miał w ustach zwitek capim. Tak, jak każdy zamordowany prosiaczek.

Znieczulenie. Ich Śmierć wydawała się ohydną torturą, lecz to nie ból był celem. Używali znieczulenia. Ból nie miał tu nic do rzeczy.

— No więc — przynaglił Mandachuva — żuj trawę i chodź z nami. Ukryjemy cię.

— Ouanda — przypomniał Miro.

— Pójdę po nią — obiecał Mandachuva.

— Nie wiesz, gdzie mieszka.

— Wiem.

— Robimy to wiele razy w roku — wyjaśnił Człowiek. — Wiemy, gdzie kto mieszka.

— Przecież nikt was nigdy nie widział.

— Kryjemy się — oświadczył Mandachuva. — Zresztą, nikt nas nie szukał. Miro wyobraził sobie dziesięciu prosiaczków przekradających się nocą przez Milagre. Nie było straży. Tylko kilku ludzi miało pracę, wymagającą wychodzenia po zmroku. A prosiaczki były tak niskie, że bez trudu mogły zniknąć wśród capim. Nic dziwnego, że wiedziały o metalu i maszynach, mimo wszystkich przepisów, które miały im w tym przeszkodzić. Z pewnością widziały kopalnie, oglądały lądowanie promu, obserwowały piece wypalające cegły i fazendeiros, jak orzą i sieją przeznaczony dla ludzi amarant. Dlatego zawsze wiedzieli, o co pytać.

Głupio wierzyliśmy, że uda się ich odciąć od naszej kultury. Zachowali więcej sekretów, niż my potrafiliśmy przed nimi ukryć. To tyle, jeśli idzie o kwestię przewagi cywilizacyjnej. Miro zerwał źdźbło capim.

— Nie — Mandachuva wyjął mu je z ręki. — Nie wolno gryźć korzenia. Jeśli żujesz korzeń, nie będzie efektu.

Odrzucił źdźbło Mira i zerwał drugie, jakieś dziesięć centymetrów od ziemi. Zmiął je i podał chłopcu, który zaczął przeżuwać. Mandachuva uszczypnął go i szturchnął.

— To nieważne — powiedział Miro. — Idź po Ouandę. W każdej chwili mogą ją aresztować. Idź. Już. Idź.

Mandachuva obejrzał się na pozostałych i, dostrzegając jakąś niewidoczną oznakę przyzwolenia, pobiegł wzdłuż linii ogrodzenia w kierunku stoków Vila Alta, gdzie mieszkała Ouanda.

Miro żuł jeszcze przez chwilę. Potem uszczypnął się mocno. Tak, jak mówił Mandachuva: czuł ból, ale nie dbał o to. Ważne było tylko, że znalazł wyjście,

sposób, by pozostać na Lusitaniu. Może nawet zostać z Ouanda. Nieważne zasady, wszelkie zasady. Od chwili, gdy opuści enklawę ludzi i wkroczy do lasu prosiaczków, przestanie im podlegać. Będzie renegatem, o co został już oskarżony. Wraz z Ouanda pozostawią za sobą wszystkie obłąkane reguły ludzkiego zachowania i będą żyli tak, jak zechcą. Stworzą rodzinę ludzi wyznających całkiem inne wartości, przejęte od prosiaczków, z życia lasu. Będą czymś nowym na Stuleciach i Kongres nie potrafi ich powstrzymać.

Podbiegł do ogrodzenia i chwycił je obiema rękami. Ból nie był mniejszy niż przedtem, teraz jednak Miro nie przejmował się nim i wspinał coraz wyżej. Jednak z każdym chwytem ból narastał i chłopiec zaczął się przejmować, zaczął się bardzo przejmować. Pojął, że capim nie działa na niego znieczulająco. Tymczasem jednak znalazł się już na szczycie. Ból doprowadzał do szaleństwa. Miro nie potrafił myśleć; rozpęd przeniósł go nad szczytem i kiedy tam balansował, przekroczył głową pionową barierę pola. Cały ból, jaki mogło odczuwać jego ciało, wybuchł w mózgu. Miał wrażenie, że stanął w ogniu. Prosiaczki patrzyły ze zgrozą na przyjaciela wiszącego na ogrodzeniu, z głową i torsem po jednej stronie, a biodrami i nogami po drugiej. Krzyknęły głośno i próbowały ściągnąć go w dół. Ponieważ nie żuły capim, nie ważyły się dotykać bariery.

Mandachuwa usłyszał krzyk i zawrócił. W jego organizmie pozostało dość środka znieczulającego, zdołał więc wspiać się na górę i przerzucić ciężkie, ludzkie ciało. Miro runął bezwładnie. Wciąż dotykał ręką zapory. Prosiaczki odciągnęły go. Twarz chłopca zeszywniała w grymasie cierpienia.

— Szybko! — krzyknął Liściojad. — Musimy go zasadzić, zanim umrze.

— Nie — Człowiek odepchnął Liściojada od nieruchomego ciała Mira. — Nie wiemy, czy umiera! Ból jest tylko iluzją, wiesz przecież. Nie ma żadnej rany. Ból minie...

— Nie mija — zauważył Strzała. — Popatrz na niego.

Miro zacisnął pięści, podkurczył nogi, wygiął w tył grzbiet i szyję. Oddychał szybko i z trudem, a jego twarz jeszcze bardziej stężała z bólu.

— Zanim umrze, musimy dać mu korzenie — upierał się Liściojad.

— Sprowadź Ouandę — polecił Mandachuvie Człowiek. — Natychmiast! Powiedz jej, że Miro umiera. Powiedz, że brama jest zamknięta, że Miro jest po tej stronie i że umiera. Mandachuwa ruszył biegiem.

Sekretarz otworzył drzwi. Dopiero widząc wchodzącą Novinhę, Ender pozwolił sobie na ulgę. Posyłając Elę był pewien, że przyjdzie. Jednak w miarę upływu minut zaczynał wątpić, czy poznał ją dostatecznie. Wątpił niesłusznie. Okazała się kobietą, za jaką ją uważał. Miała rozpuszczone, zwichrzone włosy i po raz pierwszy od lądowania na Lusitaniu Ender dostrzegł w jej twarzy jasny obraz dziewczynki, która w rozpaczy wezwała go tutaj dwadzieścia dwa lata temu.

Zdawała się zmartwiona i spięta, lecz Ender wiedział, że zdenerwowanie wynika z

aktualnej sytuacji, z wizyty u biskupa zaraz po publicznym ogłoszeniu jej grzechów. Niebezpieczeństwo grożące synowi także nie łagodziło napięcia. Wszystko jednak było chwilowe; widział w jej twarzy, w swobodnych ruchach, w jej spojrzeniu, że odsłonięcie długo skrywanych sekretów było oczekiwanym darem. Spodziewał się tego, wierzył w to. Nie przybyłem tu, by cię zranić, Novinho i cieszę się, że moja Mowa przyniosła ci nie tylko wstyd.

Novinha zatrzymała się na moment, spoglądając na biskupa. Nie wyzywająco, ale uprzejmie i z godnością. Kapłan odpowiedział tym samym, spokojnie proponując jej krzesło. Dom Cristao zerwał się ze stołka, lecz ona potrząsnęła głową i z uśmiechem wybrała inne, pod ścianą. Obok Endera. Ela stanęła z boku, za plecami matki, więc także częściowo za nim. Jak córka stojąca przy rodzicach, pomyślał Ender. Zaraz jednak stłumił tę myśl i nie wracał do niej. Na rozpatrzenie czekały sprawy o wiele poważniejsze.

— Widzę — odezwała się Bosquinha — że spotkanie będzie interesujące.

— Kongres już o to zadbał — stwierdziła Dona Crista.

— Twój syn został oskarżony — zaczął biskup — o zbrodnie przeciw...

— Wiem, o co go oskarżają — przerwała Novinha. — Nic nie wiedziałam aż do dzisiaj. Ela opowiedziała mi wszystko, ale nie jestem zaskoczona. Moja córka, Elanora, także naruszyła pewne zasady, ustalone przez jej mistrza. Oboje bardziej respektują wskazówki własnego sumienia, niż narzucone reguły. To wada, jeśli celem jest utrzymanie porządku, zaletą zaś jeśli nauka i adaptacja.

— To nie jest proces twego syna — zauważył Dom Cristao.

— Prosiłem o to spotkanie — oznajmił Ender — ponieważ musimy podjąć decyzję. Zastosujemy się do rozkazów Gwiezdnego Kongresu, czy nie?

— Nie mamy wielkiego wyboru — stwierdził Peregrino.

— Istnieje wiele możliwości — zaprotestował Ender. — I wiele powodów, by przemyśleć wybór. Jednego już dokonaliście: stwierdziwszy, że wasze dane mają ulec kasacji, postanowiliście je ratować; postanowiliście powierzyć je mnie, obcemu. Nie zawiodę zaufania. Zwrócę wam te pliki, gdy tylko poprosicie, nie odczytane, niezmienione.

— Dzięki — wtrąciła Dona Crista. — Ale uczyniliśmy to, zanim jeszcze poznaliśmy wagę oskarżeń.

— Chcą nas ewakuować — wyjaśnił Dom Cristao.

— Kontrolują wszystko — dodał biskup.

— Już mu to mówiłam — przerwała im Bosquinha.

— Nie kontrolują wszystkiego — zauważył Ender. — Sprawują kontrolę tylko przez połączenie ansibla.

— Nie możemy odciąć ansibla — oświadczył Peregrino. — To nasz jedyny kontakt z Watykanem.

— Nie proponuję takiego kroku. Powiem tylko, co mogę zrobić. Mówiąc to, ufam wam tak, jak wy mnie zaufaliście. Ponieważ, jeśli powtórzycie to komukolwiek, ja i ktoś, kogo kocham i od kogo zależę, zapłacimy straszną cenę. Spoglądał na nich kolejno, i każdy skinieniem głowy wyrażał przyzwolenie.

— Mam przyjaciółkę, która całkowicie kontroluje połączenia ansibla wśród wszystkich Stu Światów. W dodatku nikt nawet tego nie podejrzewa. Tylko ja wiem, co ona może zdołać. Jeśli poproszę sprawi, by framlingowie uznali, że my tutaj, na Lusitanii, odcięliśmy połączenie. A jednak, jeśli zechcemy, będziemy mogli wysyłać tajne wiadomości do... do Watykanu, do urzędów, które wybieracie. Będziemy mogli odczytywać pliki, przechwytywać komunikaty. Krótko mówiąc, będziemy mieli oczy, gdy oni pozostaną ślepi.

— Odcięcie ansibla, nawet pozorne, będzie aktem buntu. Aktem wojny — Bosquinha mówiła szorstko, lecz Ender widział, że pociąga ją ten pomysł, choć z całych sił stara się go odrzucić.

— Gdybyśmy jednak stracili rozum i wypowiedzieli wojnę, Mówca proponuje nam wyraźną przewagę. A każda przewaga będzie się liczyła.

— Bunt nic nam nie da — sprzeciwił się biskup. — Możemy najwyżej wszystko stracić. Boleję nad tragedią, jaką będzie odesłanie Mira i Ouandy pod sąd na innej planecie. Zwłaszcza że są tacy młodzi. Ale sędziowie z pewnością wezmą to pod uwagę i potraktują ich łaskawie. Spełniając polecenia komitetu, oszczędzimy tej społeczności wielu cierpień.

— Czy ewakuacja planety nie przysporzy im cierpień? — spytał Ender.

— Tak, na pewno. Ale prawo zostało złamane i winni muszą ponieść karę.

— A jeśli prawo opierało się na nieporozumieniu, a kara jest nieproporcjonalna do winy?

— Nie możemy o tym wyrokować — stwierdził Peregrino.

— Musimy o tym wyrokować. Spełniając polecenia Kongresu uznamy, że prawo jest słuszne, a kara sprawiedliwa. Może się zdarzyć, że w wyniku naszego spotkania podejmiemy taką właśnie decyzję. Są jednak *rzeczy*, o których musicie wiedzieć, zanim zdecydujecie. O niektórych sam mogę opowiedzieć, inne jedynie Ela i Novinha potrafią wyjaśnić. Zaczekajcie z postanowieniem, póki nie dowiecie się wszystkiego, co wiemy.

— Zawsze chętnie dowiaduję się wszystkiego, czego tylko mogę — zapewnił biskup. — Naturalnie, ostateczna decyzja należy do Bosquinhy, nie do mnie...

— Ostateczna decyzja należy do was wszystkich, do administracyjnych, religijnych i intelektualnych przywódców Lusitanii. Jeśli któreś z was wykluczy bunt, bunt będzie niemożliwy. Bez wsparcia Kościoła Bosquinha nie może rządzić. Bez wsparcia administracji Kościoła nie ma władzy.

— My nie mamy władzy — wtrącił Dom Cristao. — Wyłącznie opinie.

— Każdy dorosły obywatel Lusitanii u was szuka mądrości i rozsądku.

— Zapominasz o czwartej sile — zauważył Peregrino. — O sobie.

— Jestem tu framlingiem.

— Niezwykłym framlingiem — odparł biskup. — W ciągu czterech dni zdobyłeś dusze ludzi, jak się tego obawiałem i jak przepowiadałem. Teraz proponujesz bunt, który może nas kosztować wszystko. Jesteś groźny jak Szatan. A jednak stoisz tutaj i podporządkowujesz się naszej władzy, jakbyś nie był wolny, nie mógł po prostu wsiąść na prom i odlecieć, gdy statek będzie odwoził naszą parę przestępców na Trondheim.

— Poddaję się waszej władzy — wyjaśnił Ender — ponieważ nie chcę być framlingiem. Chcę być waszym obywatelem, waszym studentem, waszym parafianinem.

— Jako Mówca Umarłych? — spytał biskup.

— Jako Andrew Wiggin. Posiadam pewne umiejętności, które mogą się okazać przydatne. Szczególnie w przypadku buntu. Mam też inne zadanie, którego nie zdołam wykonać, jeśli ludzie opuszczą Łuskanie.

— Nie wątpimy w twoją szczerłość, ale musisz wybaczyć nasz opór przed wiązaniem losów z dość późnym gościem. Ender pokiwał głową. Biskup nie mógł powiedzieć więcej, póki się więcej nie dowiedział.

— Opowiem najpierw o tym, co wiem. Dziś po południu wyszedłem z Mirem i Ouandą do lasu.

— Ty! Ty także złamałeś prawo! — Peregrino uniósł się z fotela. Bosquinha wyciągnęła rękę w uspokajającym geście.

— Wymuszony odczyt naszych plików rozpoczął się o wiele wcześniej. Polecenie Kongresu nie mogło mieć związku z jego wykroczeniem.

— Złamałem prawo — ciągnął Ender — ponieważ prosiaczki prosiły o spotkanie. Żądały go nawet. Widziały lądowanie promu. Wiedziały, że przyleciałem. A także, na dobre czy złe, czytały Królową Kopca i Hegemona.

— Dali prosiaczkom tę książkę? — biskup był oburzony.

— Dali im też Nowy Testament — zapewnił go Ender. — Nie zdziwi cię chyba fakt, że prosiaczki znalazły wiele wspólnego między sobą a królową kopca. Powtórzę wam, co mówiły. Błagały, bym namówił Sto Światów do uchylenia reguł, które wymuszają ich izolację. Widzicie, one całkiem inaczej patrzą na ogrodzenie. Dla nas jest to sposób zabezpieczenia ich kultury przed ludzkimi wpływami i rozkładem. Dla nich to zaporą, broniącą przed poznaniem wszystkich naszych cudownych sekretów. Wyobrażają sobie nasze statki, przelatujące od gwiazdy do gwiazdy, kolonizujące, zaludniające nowe światy. Za pięć czy dziesięć tysięcy lat, kiedy prosiaczki wreszcie odkryją wszystko, czego nie chcemy ich nauczyć, pojawią się w kosmosie i znajdą zajęte planety. Nie będzie dla nich miejsca. Ogrodzenie jest dla nich formą zabójstwa gatunku. Będziemy trzymać je na Lusitanii jak zwierzęta w zoo, gdy my tymczasem zagarniemy pozostałą część wszechświata.

— Nonsens — stwierdził Dom Cristao. — Nie to jest przecież naszym zamiarem.

— Na pewno? Dlaczego tak nam zależy, by ograniczyć wpływy naszej cywilizacji? Nie chodzi o dobro nauki. Nie chodzi o zasady ksenologii. Pamiętajcie, że nasze wynalazki ansibla, lotów kosmicznych, częściowej kontroli grawitacji, nawet broni, którą zniszczyliśmy robali — wszystko to było bezpośrednim efektem kontaktu z robalami. Opanowaliśmy technikę badając maszyny, które pozostawili po pierwszej wyprawie do układu słonecznego Ziemi. Używaliśmy tych maszyn na długo przed zrozumieniem zasad ich działania. Niektórych, jak choćby uskoku Biotycznego, nie rozumiemy do dzisiaj. Jesteśmy w kosmosie wyłącznie dzięki szokowi spotkania z przerażająco wysoko rozwiniętą cywilizacją. A przecież po kilku pokoleniach przejęliśmy ich maszyny, wyprzedziliśmy ich i zniszczyliśmy. Oto, co oznacza ogrodzenie: boimy się, że prosiaczki zrobią to samo. I one to rozumieją. Wiedzą o tym i nienawidzą bariery.

— Nie boimy się ich — zaprotestował Peregrino. — To przecież... na miłość boską, to dzikusy!

— My także wydaliśmy się robalom dzikusami — przypomniał Ender. — Jednak Pipa i Libo, Ouandą i Miro, nigdy nie uważali prosiaczków za dzikusów. Różnią się od nas, to prawda, różnią się daleko bardziej niż framlingowie. Są jednak ludźmi. Ramenami, nie varelse. I kiedy Libo zobaczył, że prosiaczkom grozi głód, że szykują się do wojny, by zmniejszyć liczbę ludności, nie zachował się jak naukowiec. Nie obserwował wojny, nie rejestrował śmierci i cierpień. Zachował się jak chrześcijanin. Wziął eksperymentalną odmianę amarantu, odrzuconą przez Novinhę jako nazbyt zbliżoną do biochemii organizmów Lusitanii, po czym nauczył prosiaczki uprawiać go, zbierać i przystosowywać do spożycia. Nie wątpię, że właśnie przyrost liczby prosiaczków i pola amarantu zobaczył Gwiazdny Kongres. Nie świadome naruszenie prawa, ale akt współczucia i miłości.

— Jak możesz nazwać czynem chrześcijańskim takie nieposuszeństwo? — oburzył się biskup.

— Czy jest pośród was człowiek, który synowi proszącemu o chleb poda kamień?

— Diabeł potrafi cytować Pismo, jeśli służy to jego celom.

— Nie jestem diabłem. Nie są diabłami prosiaczki. Ich dzieci umierały z głodu, a Libo dał im żywność i uratował życie.

— I co mu za to zrobiły?

— No właśnie: co mu za to zrobiły. Zabiły go. Dokładnie tak, jak zabijały swoich najbardziej godnych szacunku obywateli. Co powinniśmy z tego wywnioskować?

— Powinniśmy wywnioskować, że prosiaczki są niebezpieczne i nie mają sumienia — oświadczył biskup.

— Powinniśmy wywnioskować, że śmierć jest dla nich czymś całkowicie innym, niż dla nas. Gdybyś naprawdę wierzył, księżę biskupie, że ktoś jest absolutnie doskonały, tak doskonały, że kolejny dzień życia może tę doskonałość tylko

zniszczyć, to czy nie lepiej, żeby zginął i trafił prosto do nieba?

— Kpisz z nas. Nie wierzysz w niebo.

— Ale wy wierzycie! Co powiesz o męczennikach, księżę biskupie? Czy nie powędrowali radośnie wprost do nieba?

— Oczywiście, że tak. Ale ci, którzy ich zabijali, to bestie. Mordowanie świętych nie uświęciło morderców, ale skazało ich dusze na wieczne potępienie.

— A jeśli zmarli nie idą do nieba? Jeśli na waszych oczach zaczynają żyć nowym życiem? Jeśli zamordowany prosiaczek, którego ciało ułożono w określony sposób, zapuszcza korzenie i zmienia się w coś innego? Jeśli przekształca się w drzewo, które żyje jeszcze pięćdziesiąt, sto albo pięćset lat?

— O czym ty mówisz? — nie zrozumiał biskup.

— Chcesz powiedzieć, że prosiaczki przechodzą metamorfozę ze zwierzęcia w roślinę? — spytał Dom Cristao. — Z podstawowych zasad biologii wynika, że to mało prawdopodobne.

— To praktycznie niemożliwe — przyznał Ender. — Dlatego jedynie kilka miejscowych gatunków przetrwało Descoladę. Ponieważ tylko nieliczne potrafiły dokonać transformacji. Kiedy prosiaczki zabijają jednego spośród siebie, on przekształca się w drzewo. I to drzewo zachowuje przynajmniej część inteligencji. Patrzyłem dzisiaj, jak prosiaczki śpiewają drzewu, a ono, bez użycia żadnego narzędzia, oddziela się od własnych korzeni, upada i pęka na takie formy kory i drewna, jakich potrzebują. To nie był sen. Miro, Ouanda i ja widzieliśmy to na własne oczy, słyszeliśmy pieśń, dotykaliśmy pnia i modliliśmy się za duszę zmarłego.

— Jak ma to wpłynąć na naszą decyzję? — zdziwiła się Bosquinha. — Las składa się z martwych prosiaczków. Co z tego? To sprawa dla uczonych.

— Tłumaczę wam przecież: zabijając Pipa i Liba prosiaczki wierzyły, że pomagają im dokonać przejścia w kolejny etap istnienia. Nie byli bestiami, a ramenami, oddającymi honor ludziom, którzy tak dobrze im służyli.

— Kolejna transformacja moralna, co? — spytał Peregrino. — Tak, jak podczas Mowy, kiedy ukazywałeś nam Marcosa Ribeirę znowu i znowu, za każdym razem w innym świetle. Teraz chcesz, byśmy uznali prosiaczki za istoty szlachetne. No dobrze, są szlachetne. Ale nie zbuntuję się przeciw Kongresowi, co pociągnie za sobą tak wiele cierpień, tylko po to, żeby nasi uczeni nauczyli prosiaczki produkować lodówki.

— Czy mogę? — wtrąciła Novinha. Spojrzeli na nią wyczekująco.

— Mówiliście, że skopiowali nasze pliki. I wszystkie odczytali?

— Tak — potwierdziła Bosquinha.

— Więc znają moje dane. O Descoladzie.

— Tak — powtórzyła burmistrz. Novinha złożyła dłonie na kolanach.

— Nie będzie żadnej ewakuacji.

— Tak przypuszczałem — stwierdził Ender. — Dlatego prosiłem Elę, żeby cię sprowadziła.

— Dlaczego nie będzie ewakuacji? — zdziwiła się Bosquinha.

— Z powodu Descolady.

— Bzdura — orzekł biskup. — Twój rodzic znalazł przecież lekarstwo.

— Oni jej nie wyleczyli. Oni ją opanowali. Uczynili nieaktywną.

— Zgadza się — potwierdziła Bosquinha. — Dlatego dodajemy do wody odpowiedni środek. Colador.

— Każdy człowiek na Lusitanii, z ewentualnym wyjątkiem Mówcy, który mógł się jeszcze nie zarazić, jest nosicielem Descolady.

— Ten środek nie jest kosztowny — zauważył biskup. — A oni mogą nas chyba izolować. Nie sprawi im to kłopotów.

— Nie ma dostatecznie izolowanego miejsca — oznajmiła Novinha. — Descolada jest nieskończenie zmienna. Atakuje dowolny materiał genetyczny. Można podać Colador ludziom. Ale czy potrafią go dostarczyć każdemu źdźbłu trawy? Każdemu ptakowi. Każdej rybie? Każdej komórce planktonu w oceanie?

— Wszystkie mogą się zarazić? — zdumiała się Bosquinha. — Nie wiedziałam o tym.

— Nikomu nie mówiłam — wyjaśniła Novinha. — Wbudowałam ochronę do każdej modyfikowanej przeze mnie rośliny. Amarant, ziemniaki, wszystko... Problem nie polegał na uzdatnianiu protein, ale na zmuszeniu roślin do produkcji własnych inhibitorów Descolady. Bosquinha była wstrząśnięta.

— Więc gdziekolwiek pójdziemy...

— Możemy spowodować całkowitą zagładę biosfery.

— I trzymałaś to w tajemnicy? — zawołał Dom Cristao.

— Nie było potrzeby, by o tym opowiadać — Novinha patrzyła na swe splecione palce. — Jakaś ukryta wśród danych informacja skłoniła prosiaczki do zamordowania Pipa. Dlatego trzymałam wszystko w tajemnicy: żeby nikt więcej nie zginął. Ale po tym, co odkryła Ela przez kilka lat badań, po tym, co powiedział dzisiaj Mówca... wiem, co znalazł Pipo. Decsolada nie tylko rozszczepia molekuly genetyczne i nie pozwala na przeformowanie i duplikację; ona dopuszcza także wiązania z obcymi genami. Wbrew moim zakazom, Ela zbadała ten problem. Całe życie na Lusitanii rozwija się w parach zwierzę — roślina. Cabra i capim. Węże wodne i grama. Muchopijki i trzciny. Xingadora i powoje tropeca. Wreszcie, prosiaczki i drzewa w lesie.

— Chcesz powiedzieć, że jedne stają się drugimi? — upewnił się Dom Cristao.

— Prosiaczki są unikalne, ponieważ transformacja następuje z ciała zabitego — wyjaśniła Novinha. — Ale cabry są prawdopodobnie zapładniane pyłkiem capim.

Może muchopijki wylęgają się z owoców trzciny wodnych. Trzeba to zbadać. Przez wszystkie lata powinnam to badać.

— I oni się o tym dowiedzą? — spytał Dom Cristao. — Z twoich danych?

— Nie od razu. Ale na pewno w ciągu/najbliższych dwudziestu czy trzydziestu lat. Zanim ktokolwiek z framlingów tu dotrze, będą wiedzieli.

— Nie jestem uczonym — wtrącił biskup. — Wszyscy rozumieją, o co chodzi, oprócz mnie. Co to ma wspólnego z ewakuacją? Bosquinha nerwowo splatała i rozplatała palce.

— Nie mogą nas zabrać z Lusitanii — wyjaśniła. — Gdziekolwiek nas wywiozą, zaniemy Descoladę, a ona zabije wszystko. Nie wystarczy ksenobiologów na Stuleciach, by ocalić przed zagładą choćby jedną planetę. Zanim tu dotrą, zrozumieją, że nie możemy odlecieć.

— To świetnie — ocenił Peregrino. — Nasz problem sam się rozwiązał. Jeśli poinformujemy ich już teraz, nie będą nawet wysyłać floty ewakuacyjnej.

— Nie, księżę biskupie — oświadczył Ender. — Wiedząc, czego może dokonać Descolada, zadbają, by nikt nie opuścił tej planety. Nigdy.

— I co? Myślisz, że ją wysadzą? — spytał kpiąco biskup. — Daj spokój, Mówco, ludzkość nie ma już Enderów. Najgorsze, co mogą zrobić, to poddać nas kwarantannie...

— A w takim razie — wtrącił Dom Cristao — dlaczego mamy poddawać się ich władzy? Możemy wysłać informację o Descoladzie, zawiadomić, że nie opuścimy planety i że nie powinni tu przylatywać. To wszystko. Bosquinha pokręciła głową.

— Czy sądzisz, że nikt z nich nie powie: Lusitańczycy mogą zniszczyć świat zwyczajnie go odwiedzając; mają kosmolot, znani są z buntowniczych skłonności, mają mordercze prosiaczki. Samo ich istnienie stanowi groźbę.

— Kto tak powie? — zapytał biskup.

— Nikt w Watykanie — odparł Ender. — Ale Kongres nie zajmuje się zbawianiem dusz.

— Może będą mieli rację — mruknął Peregrino. — Sam powiedziałeś, że prosiaczki marzą o lotach kosmicznych. A przecież gdziekolwiek polecą, efekt będzie identyczny. Nawet na nie zamieszkanym planetach, prawda? Co zrobią? Będą bez końca powtarzać ten monotony pejzaż: las jednego drzewa, równina jednej trawy, gdzie tylko cabra się nią pasie i tylko xingadora nad nią fruwa?

— Może kiedyś potrafimy opanować Descoladę — szepnęła Ela.

— Nie wolno ryzykować przyszłością.

— Właśnie dlatego musimy się zbuntować — stwierdził Ender. — Ponieważ Kongres dokładnie tak pomyśli. Tak, jak trzy tysiące lat temu, podczas Ksenocydu. Ludzie przeklinają Ksenocyd, gdyż zginęła obca rasa, nieszkodliwa w swych intencjach. Póki jednak wydawało się, że robale chcą zniszczyć ludzkość, jej

przywódcy nie mieli wyboru i mogli tylko walczyć. Stawiamy ich przed takim samym dylematem. Już teraz obawiają się prosiaczków. Gdy tylko odkryją działanie Descolady, przestaną udawać, że chcą je chronić. Zniszczą nas dla dobra ludzkości. Zapewne nie całą planetę. Jak powiedziałaś, nie ma już Enderów. Z pewnością jednak zlikwidują Milagre i usuną wszelkie ślady kontaktów z ludźmi. W szczególności zabijają wszystkie prosiaczki, które nas poznały. Potem postawią straż nad planetą, by nie pozwolić im przejść na wyższy etap rozwoju. Wiedząc to, co oni, czy nie postąpilibyście tak samo?

— I to powiedział Mówca Umarłych? — zdziwił się Dom Cristao.

— Byłeś tam — stwierdził biskup. — Byłeś tam za pierwszym razem. Kiedy zginęły robale.

— Wtedy nie mogliśmy się porozumieć ani wiedzieć, że robale są ramenami, nie varelse. Tym razem jesteśmy na miejscu. Wiemy, że nie polecimy nieść zagłady innym światom. Wiemy, że zostaniemy na Lusitanii, póki nie zneutralizujemy Descolady. Tym razem potrafimy ocalić ramenów i ktoś, kto napisze historię prosiaczków, nie musi być Mówcą Umarłych. Nagle otworzyły się drzwi i do gabinetu wpadła Ouanda.

— Ojciec — zawołała. — Burmistrzu. Musicie przyjść. I ty, Dona Ivanova...

— O co chodzi? — zapytał biskup.

— Ouando, muszę cię zaaresztować — oznajmiła Bosquinha.

— Później mnie aresztujesz — odparła niecierpliwie Ouanda. — Chodzi o Mira. Przeszedł przez ogrodzenie.

— To niemożliwe — stwierdziła Novinha. — To mogło go zabić... — wtedy, przerażona, zdała sobie sprawę z własnych słów. — Zaprowadź mnie do niego.

— Wezwijmy Navia — zawołała Dona Crista.

— Nie rozumiecie. Nie można się do niego dostać. On jest po drugiej stronie.

— Więc co mamy robić? — spytała Bosquinha.

— Wyłączyć ogrodzenie — odpowiedziała Ouanda.

— Nie mogę — Bosquinha spojrzała bezradnie. — Komitet je kontroluje. Ansiblem. Nie pozwolą go wyłączyć.

— Więc Miro jest już właściwie trupem — stwierdziła Ouanda. Za jej plecami do pokoju wszedł jeszcze ktoś — niski, pokryty futrem. Nikt prócz Endera nie widział jeszcze żywego prosiaczka, wszyscy jednak poznali go od razu.

— Przepraszam — powiedział prosiaczek. — Czy to znaczy, że powinniśmy go zasadzić? Nikt nie spytał, w jaki sposób prosiaczek się tutaj dostał. Zbyt byli przerażeni, gdy zdali sobie sprawę, co może oznaczać zasadzenie Mira.

— Nie! — krzyknęła Novinha.

— Sądzę — stwierdził Ender — że nie powinniście więcej sadzić ludzi. Mandachuwa znieruchomiał.

— Co to znaczy? — spytała Ouanda. — On jest zdenerwowany.

— Zdenerwuje się jeszcze bardziej, nim dzień dobiegnie końca. Chodźmy, Ouando, zaprowadź nas do ogrodzenia. Tam, gdzie jest Miro.

— Co ci to da, skoro nie zdołasz przejść na drugą stronę? — zaprotestowała Bosquinha.

— Wezwij Navia — polecił Ender.

— Przyprawdzą go — zaproponowała Dona Crista. — Zapominasz, że łączność nie działa.

— Powtarzam: co wam to da? — upierała się Bosquinha.

— Już mówiłem: jeśli postanowimy się zbuntować, możemy odciąć połączenie ansibla i wyłączyć ogrodzenie.

— Próbujesz wykorzystać wypadek Mira, by wymusić na mnie decyzję? — spytał biskup.

— Tak — przyznał Ender. — On należy do twojej trzody, prawda? Pora zostawić dziewięćdziesięciu dziewięciu, pasterzu, i ratować jednego zbłąkanego.

— Co się dzieje? — wtrącił Mandachuwa.

— Chodźmy — zdecydował Ender. — Jak najszybciej.

Przeszli z gabinetu do katedry. Ender słyszał za plecami głos Peregrina, mrużącego coś o pokrętnym tłumaczeniu Pisma dla realizacji osobistych celów.

Minęli główną nawę. Mandachuwa prowadził. Ender dostrzegł, że biskup zatrzymał się przy ołtarzu i obserwował niewielką, kosmatą istotę na czele grupy ludzi. Przed katedrą Peregrino dogonił go.

— Jak sądzisz, Mówco? — zapytał. — Jeśli zniknie ogrodzenie, jeśli zbuntujemy się przeciw władzy Gwiezdnego Kongresu, czy przestaną obowiązywać wszystkie przepisy dotyczące kontaktów z prosiaczkami?

— Mam nadzieję. Wierzę, że między nami a nimi nie będzie już żadnych nienaturalnych barier.

— Będziemy więc mogli głosić Małemu Ludowi słowo Chrystusa, prawda? Nikt nam tego nie zabroni.

— Zgadza się — przyznał Ender. — Nie muszą się nawrócić, ale wolno wam próbować.

— Muszę o tym pomyśleć — stwierdził biskup. — Może jednak, mój drogi heretyku, twoja rebelia otworzy drogę do nawrócenia wielkiego narodu. Może to jednak Bóg cię tu przysłał. Gdy biskup, Dom Cristao i Ender dotarli na miejsce, Mandachwa i kobiety już tam byli. Ela stała między ogrodzeniem a Novinhą, podnoszącą ręce do twarzy. Ender domyślił się, że próbowała przejść przez barierę, by pomóc synowi.

— Miro! — wołała z płaczem. — Jak mogłeś to zrobić? Jak mogłeś tam przejść? Ela mówiła coś do niej i próbowała uspokoić.

Po drugiej stronie czworo prosiaczków przyglądało się temu ze zdumieniem. Ouanda drżała z obawy o życie Mira, zachowała jednak dość przytomności umysłu, by przekazać Enderowi to, czego nie mógł wiedzieć.

— To Kubek, Strzała, Człowiek i Liściojad. Liściojad próbuje namówić resztę do zasadzenia Mira. Chyba rozumiem, co to znaczy, ale na razie nic mu nie grozi. Człowiek i Mandachuva wytłumaczyli im, żeby tego nie robić.

— Ale to nadal nie rozwiązuje problemu — odparł Ender. — Dlaczego Miro postąpił tak głupio?

— Mandachuva wyjaśnił nam po drodze. Prosiaczki żują capim, która ma działanie znieczulające. Kiedy tylko zechcą, mogą sforsować ogrodzenie. Robią to już od lat. Sądziłem, że my tego nie robimy, ponieważ jesteśmy posłuszni prawu. Teraz wiedzą, że capim nie działa na nas w ten sam sposób. Ender podszedł do bariery.

— Człowieku! — zawołał. Prosiaczek zbliżył się.

— Możemy wyłączyć ogrodzenie. Ale wtedy wypowiemy wojnę wszystkim ludziom ze wszystkich światów. Rozumiesz? Ludzie z Lusitanii i prosiaczki, razem, przeciwko wszystkim pozostałym.

— Och — odparł Człowiek.

— Wygramy? — spytał Strzała.

— Może — odpowiedział Ender. — A może nie.

— Czy dasz nam królową kopca? — upewnił się Człowiek.

— Najpierw muszę spotkać żony. Prosiaczki zeszywniały.

— Muszę spotkać żony — powtórzył Ender. — Musimy zawrzeć układ. Porozumienie. Uzgodnić zasady. Rozumiecie? Ludzie nie mogą żyć według waszych praw, ani wy według naszych. Jeśli jednak mamy żyć razem, bez żadnej bariery, jeśli mam pozwolić królowej kopca zamieszkać wśród was, pomagać wam i uczyć, musicie złożyć pewne obietnice i dotrzymywać ich. Rozumiecie?

— Ja rozumiem — odparł Człowiek. — Ale ty nie wiesz, o co prosisz, kiedy chcesz iść do żon. One nie są mądre tak, jak mądrzy są bracia.

— Ale to one decydują, prawda?

— Oczywiście — potwierdził Człowiek. — Przecież to one chronią matki. Ale ostrzegam cię. rozmowa z żonami jest niebezpieczna. Zwłaszcza dla ciebie, ponieważ bardzo cię szanują.

— Gdy zniknie ogrodzenie, muszę porozmawiać z żonami. Jeśli to niemożliwe, ogrodzenie zostanie na miejscu, Miro umrze, a my wypełnimy Polecenia Kongresu i usuniemy z Lusitanii wszystkich ludzi.

Ender nie wyjaśnił, że ludzie mogą zostać zabici. Zawsze mówił prawdę, ale niekoniecznie całą prawdę.

— Zaprowadzę cię do żon — obiecał Człowiek. Liściojad zbliżył się i szyderczo musnął dłonią jego brzuch.

— Słusznie cię nazwano — powiedział. — Jesteś człowiekiem, nie jednym z nas. Odwrócił się i chciał odbiec, ale Kubek i Strzała przytrzymali go.

— Zaprowadzę cię — powtórzył Człowiek. — A teraz wyłącz ogrodzenie i uratuj Mira. Ender spojrział na biskupa.

— Nie do mnie należy decyzja — oświadczył Peregrino. — Ale do Bosquinhy.

— Winna jestem posłuszeństwo Gwiezdnemu Kongresowi — oznajmiła burmistrz. — Ale wypowiadam je teraz, by ratować życie moich podwładnych. Niech znika ogrodzenie i postarajmy się jak najlepiej wykorzystać naszą rebelię.

— Pod warunkiem, że będziemy mogli głosić prosiaczkom słowo Boże — dodał biskup.

— Spytam o to, gdy porozmawiam z żonami — zapewnił Ender. — Nic więcej nie mogę obiecać.

— Księżę biskupie! — krzyknęła Novinha. — Pipo i Libo zginęli za tym ogrodzeniem!

— Wyłączcie je — zgodził się Peregrino. — Nie chcę, by ta kolonia przestała istnieć, gdy dzieło boże tutaj nawet się nie rozpoczęło. Uśmiechnął się posępnie.

— Kanonizacja Os Venerados powinna nastąpić jak najszybciej. Przyda się nam ich pomoc.

— Jane — szepnął Ender.

— Za to właśnie cię kocham — odezwała się Jane. — Potrafisz dokonać wszystkiego, gdy tylko przygotuję ci odpowiednie warunki.

— Odetnij ansibl i wyłącz barierę.

— Zrobione. Ender podbiegł do ogrodzenia, wspiął się na szczyt, zeskoczył po drugiej stronie. Z pomocą prosiaczków uniósł Mira i opuścił jego sztywne ciało na wyciągnięte ręce biskupa, burmistrz, Dom Cristao i Novinhy. Navio biegł już ku nim za Doną Cristą. Wszystko, co mogło pomóc Miro, będzie wykonane. Ouanda wspinała się na ogrodzenie.

— Wracaj — powstrzymał ją Ender. — Miro jest bezpieczny.

— Idziesz na spotkanie z żonami — odparła Ouanda. — Pójdę z tobą. Potrzebujesz mojej pomocy. Nie mógł zaprzeczyć. Dziewczyna zeskoczyła na ziemię. Navio przyklęknął obok Mira.

— Przeszedł przez ogrodzenie? — spytał zdumiony. — W podręcznikach nic o tym nie piszą. To niemożliwe. Nikt nie wytrzyma bólu, jaki sprawia przesunięcie głowy przez barierę.

— Będzie żył? — upewniała się Novinha.

— Skąd mam wiedzieć? — Navio niecierpliwie rozpiął ubranie Mira i umieszczał na skórze czujniki. — Na studiach nas tego nie uczyli. Ender zauważył, że ogrodzenie znowu zadrżało. Ela wspinała się na szczyt.

— Twoja pomoc nie będzie mi potrzebna — oświadczył.

— Najwyższy czas, żeby ktoś, kto zna się trochę na ksenobiologii, zobaczył w końcu, co się tam dzieje.

— Zostań i pilnuj swojego brata — rzuciła Ouanda. Ela spojrzała na nią wyzywająco.

— On jest też twoim bratem. Lepiej zadbajmy o to, by jeśli umrze, nie umarł na darmo. We trójkę ruszyli za Człowiekiem i prosiaczkami w stronę lasu. Bosquinha i Peregrino patrzyli, jak odchodzą.

— Kiedy wstawałam dziś rano — mruknęła Bosquinha — nie spodziewałam się, że pójde do łóżka jako buntownik.

— 1 ja nie mogłem sobie wyobrazić, że Mówca zostanie naszym ambasadorem u prosiaczków — dodał biskup.

— Problem w tym — wtrącił Dom Cristao — czy będzie nam to kiedyś' wybaczone.

— Sądzisz, że popełniamy błąd? — warknął biskup.

— Wcale nie. Zrobiliśmy krok na drodze do czegoś naprawdę wspaniałego. Ale ludzkość nigdy nie wybacza wielkości.

— Na szczęście nie ludzkość będzie naszym sędzią. A teraz pomodłę się za tego chłopca, ponieważ medycyna wyraźnie osiągnęła granice swoich możliwości.

ROZDZIAŁ 17

ŻONY

Sprawdź, kto zdradził, że Flota Ewakuacyjna uzbrojona jest w Małego Doktora. Ta sprawa ma NAJWYŻSZY PRIORYTET. Potem dowiedz się, kim jest ten tak zwany Demostenes. Nazwanie Floty Ewakuacyjnej Drugim Ksenocydem wyraźnie podlega kodeksowej ustawie o zdradzie. Jeśli ABK nie potrafi zidentyfikować tego krzykacza i uciszyć go, to doprawdy trudno znaleźć jakiś powód jej dalszego istnienia.

Tymczasem kontynuujcie ocenę danych uzyskanych z Lusitanii. To przecież zupełnie bez sensu, żeby się zbuntowali tylko dlatego, że chcemy aresztować dwójkę błędnych rycerzy ksenologii. W przeszłości burmistrz nie było nic, co mogło sugerować taką możliwość. Jeśli istnieje prawdopodobieństwo rewolucji, chcę wiedzieć, kim są przywódcy. Piotrze, wiem, że się starasz. Ja także. I wszyscy inni. Zapewne również ludzie na Lusitanii. Ale odpowiadam za bezpieczeństwo i integralność Stu Światów. Ciężar tej odpowiedzialności jest sto razy większy od tego, który dźwigał Peter Hegemon, a dysponuję ledwie dziesiątą częścią jego władzy. Nie wspominając już o tym, że daleko mi do jego geniuszu. Nie wątpię, że i ty, i wszyscy pozostali, bylibyście szczęśliwsi, gdyby Peter wciąż pełnił swoją funkcję. Boję się tylko, że zanim ta sprawa doczeka się rozwiązania, potrzebny nam będzie jeszcze jeden Ender. Nikt nie pragnie Ksenocydu, gdyby jednak nastąpił, chcę mieć pewność, że to ci drudzy znikną z tego świata. Kiedy dochodzi do wojny, człowiek jest człowiekiem, a obcy obcym. Wszystkie te bzdury o ramenach przestają się liczyć, gdy

chodzi o przetrwanie.

Czy to ci wystarczy? Czy mi wierzysz, gdy mówię, że nie jestem mięczakiem? Postaraj się pokazać, że ty też nim nie jesteś. Oczekuję wyników, jak najszybciej — już. Pozdrowienia, Bawa.

Gobawa Ekumbo, Przew. Ksen. Kom. Nadz., do Piotra Martlnowa, Dyr. Ag. Bezp. Koń., In/o 44:1970:5:4:2, cyt. w: Demostenes, Drugi Ksenocyd, 87:1972:1:1:1

Człowiek prowadził ich przez las. Prosiaczki bez trudu szły w górę i w dół po zboczach, przez strumień i gęste krzewy. Człowiek jednak czynił z tego taniec, wdrapywał się na pewne drzewa, dotykał i mówił coś do innych. Pozostałe prosiaczki zachowywały się spokojniej, z rzadka tylko włączając się w jego spektakl. Jedynie Mandachuwa maszerował z tyłu, razem z ludźmi.

— Czemu on to robi? — zapytał cicho Ender.

Mandachuwa nie zrozumiał. Ouanda wyjaśniła, o co chodziło Mówcy:

— Dlaczego Człowiek wspina się na drzewa albo dotyka je i śpiewa?

— Śpiewa im o trzecim życiu — odparł Mandachuwa. — To bardzo złe maniery. Zawsze był samolubny i głupi.

Ouanda spojrzała ze zdziwieniem na Endera, potem znowu na prosiaczka.

— Myślałam, że wszyscy lubią Człowieka.

— Wielki zaszczyt — oświadczył Mandachuwa. — Jest mądry — Mandachuwa szturchnął palcem biodro Endera. — Ale w jednym jest głupi. Myśli, że ty zrobisz mu zaszczyt. Myśli, że przeniesiesz go do trzeciego życia.

— Czym jest trzecie życie? — spytał Ender.

— To dar, który Pipa zatrzymał dla siebie — Mandachuwa przyspieszył i wkrótce zrównał się z grupą prosiaczków.

— Rozumiesz coś z tego? — Ender zwrócił się do Ouandy.

— Ciągłe nie mogę przywyknąć do twoich bezpośrednich pytań.

— Ale z odpowiedziami nie idzie mi już tak dobrze.

— Mandachuwa jest zły. To po pierwsze. Po drugie: jest zły na Pipa. O trzecie życie, dar, który Pipa zatrzymał dla siebie. Wszystko się jakoś wyjaśni.

— Kiedy?

— Za dwadzieścia lat. Albo dwadzieścia minut. Właśnie dlatego ksenologia jest taka ciekawa. Ela także dotykała pni, a od czasu do czasu zaglądała w krzaki.

— Tylko jeden gatunek drzew. Krzewy też, wszystkie takie same. I to pnące, oplatające większość pni. Ouando, widziałaś w lesie inne gatunki roślin?

— Chyba nie. Nie zwracałam uwagi. Pnące to merdona. Macios się nią żywią, a prosiaczki zjadają macios. Nauczyliśmy prosiaczki, jak przystosować do jedzenia korzeń merdony. Jeszcze przed amarantem. Znalazły się niżej w łańcuchu

żywieniowym.

— Spójrzcie — przerwał im Ender. Prosiaczki zatrzymały się na skraju polany. Po chwili Ender, Ouanda i Ela stanęli przy nich i spojrzeli na zalaną księżycowym światłem kotlinę. Była sporych rozmiarów, zupełnie naga. Wzdłuż obwodu stało kilka drewnianych chat, zaś na Środku jedno tylko ogromne drzewo, największe, jakie widzieli w lesie. Pień zdawał się poruszać.

— Ono się roi od macios — stwierdziła Ouanda.

— Nie macios — sprostował Człowiek.

— Trzysta dwadzieścia — poinformował Mandachuva.

— Mali bracia — wyjaśnił Strzała.

— I małe matki — dodał Kubek.

— Jeśli zrobicie im krzywdę — zagroził Liściojad — zabijemy was niezasadzonych i powalimy wasze drzewa.

— Nie skrzywdzimy ich — uspokoił go Ender.

Prosiaczki nie wchodziły na polanę. Czekwały i czekały, aż wreszcie coś się poruszyło w pobliżu największej chaty, niemal dokładnie naprzeciwko nich. To był prosiaczek. Ale większy od wszystkich, których poznali.

— Żona — szepnął Mandachuva.

— Jak ma na imię? — spytał Ender. Prosiaczki spojrzały na niego zdumione.

— Nie zdradzają nam swoich imion — poinformował Liściojad.

— O ile w ogóle je mają — dodał Kubek. Człowiek przyciągnął Endera do siebie.

— Nazywamy ją Krzykaczka — szepnął mu do ucha. — Ale nigdy tam, gdzie jakaś żona mogłaby usłyszeć.

Kobieta popatrzyła na nich i zaśpiewała — nie można inaczej określić jej słodkiego głosu — jedno zdanie w Mowie Żon.

— To do ciebie, żebyś przyszedł — wyjaśnił Mandachuva. — Mówco. Ty.

— Sam? — spytał Ender. — Wolałbym wziąć ze sobą Elę i Ouandę. Mandachuva zawołał głośno w Mowie Żon. W porównaniu do piękna tamtego głosu, jego przypominał warkot. Krzykaczka zaśpiewała krótko w odpowiedzi.

— Oczywiście, mogą przyjść — przetłumaczył Mandachuva. — Mówi, że są przecież kobietami. Nie za bardzo pojmuję różnicę między wami a Małym Ludem.

— Jeszcze coś — przypomniał sobie Ender. — Przynajmniej jeden z was jako tłumacz. Chyba że ona zna stark.

Mandachuva przekazał prośbę. Odpowiedź była krótka i wyraźnie mu się nie spodobała. Odmówił tłumaczenia.

— Powiedziała, że możecie wybrać na tłumacza kogo tylko chcecie, pod warunkiem, że to będę ja — wyjaśnił Człowiek.

— Więc proszę cię, żebyś dla nas tłumaczył — powiedział Ender.

— Musisz jako pierwszy wejść w miejsce narodzin — poinformował Człowiek. —

Zostałeś zaproszony.

Ender wszedł na polanę i ruszył w blask księżyca. Słyszał za sobą kroki Eli, Ouandy i człapiącego z tyłu Człowieka. Dostrzegł, że Krzykaczka nie była tu jedyną kobietą. W każdym drzewie widział kilka twarzy.

— Ile ich tu jest — zapytał. Człowiek nie odpowiedział. Ender odwrócił się i stanął przed nim.

— Ile jest tutaj żon? — powtórzył.

Człowiek nadal milczał. Dopiero gdy Krzykaczka zaśpiewała znowu, głośno i rozkazująco, przetłumaczył:

— W miejscu narodzin, Mówco, wolno się odzywać dopiero wtedy, gdy żona zada ci pytanie. Ender kiwnął głową i ruszył z powrotem, gdzie na skraju polany czekały prosiaczki.

Ouanda i Ela poszły za nim. Słyszał, jak Krzykaczka coś śpiewa i zrozumiał, czemu mężczyźni tak ją nazwali — głos wprawiał w drżenie pnie drzew. Człowiek dogonił go i pociągnął za ubranie.

— Pyta, czemu odchodzisz. Nie pozwoliły ci odejść. Mówco, to niedobrze. Jest bardzo zła.

— Powiedz jej, że nie przyszedłem, by wydawać polecenia ani słuchać poleceń. Jeśli nie potraktuje mnie jak równego sobie, ja także nie będę jej tak traktował.

— Nie mogę tego powiedzieć — stwierdził Człowiek.

— W takim razie zawsze będzie się zastanawiać, dlaczego odszedłem.

— To wielki zaszczyt, być wezwanym między żony.

— Wielkim zaszczytem jest także, gdy Mówca Umarłych przychodzi się z nimi spotkać. Człowiek znieruchomiał na chwilę, sztywny z podniecenia. Potem odwrócił się i przemówił do Krzykaczki. Z kolei ona zamilkła. W kotlinie zapadła cisza.

— Mam nadzieję, Mówco, że wiesz, co robisz — mruknęła Ouanda.

— Improvizuję — wyjaśnił Ender. — Jak sądzisz, dobrze mi idzie? Nie odpowiedziała. Żona wróciła do wielkiej, drewnianej chaty. Ender ruszył w stronę lasu. Niemal natychmiast głos Krzykaczki zabrzmiał znowu.

— Rozkazuje ci czekać — przetłumaczył Człowiek. Ender nie zwolnił kroku i po chwili znalazł się za plecami prosiaczków-mężczyzn.

— Jeśli poprosi, bym wrócił, może posłucham. Ale musisz jej powiedzieć, że nie przyszedłem tu rozkazywać ani słuchać rozkazów.

— Nie mogę tego powiedzieć.

— Dlaczego?

— Pozwól — wtrąciła Ouanda. — Człowieku, nie możesz tego powiedzieć, bo się boisz, czy dlatego, że nie ma na to odpowiednich słów?

— Nie ma słów. Żeby brat mówił do żony o nim, wydającym rozkazy, czy o niej, zwracającej się z prośbą... nie można powiedzieć tych słów w tym kierunku.

— Nie o strach tu chodzi, Mówco — uśmiechnęła się Ouanda. — To kwestia języka.

— Człowieku — spytał Ender. — Czy one rozumieją twój język?

— Mowa Mężczyzn nie może rozbrzmiewać w miejscu narodzin.

— Więc jej powiedz, że moich słów nie da się przekazać w Mowie Żon, a jedynie w Mowie Mężczyzn. Powiedz, że... zwracam się z prośbą... by pozwolono ci tłumaczyć w Mowie Mężczyzn.

— Sprawiasz wiele problemów, Mówco — stwierdził Człowiek, ale przemówił do Krzykaczki. Nagle kotlina zabrzmiała Mową Żon, tuzinem różnych pieśni — jak podczas ćwiczeń chóru.

— Wiesz, Mówco — zauważyła Ouanda. — Naruszyłeś praktycznie wszystkie zasady badań antropologicznych.

— A które pominąłem?

— Przychodzi mi do głowy tylko jedna: nikogo jeszcze nie zabiłeś.

— Zapominasz o jednym: nie przyszedłem tutaj jako uczonec, który chce badać. Przyszedłem jako ambasador, by zawrzeć układ.

Równie nagle, jak się odezwały, Żony zamilkły. Krzykaczka wyszła ze swojej chaty, przeszła na środek polany i stanęła pod wielkim drzewem. Zaśpiewała. Człowiek odpowiedział — w języku braci. Ouanda tłumaczyła półgłosem.

— Powtarza to, co mówiłeś, o równym traktowaniu. Raz jeszcze wybuchła kakofonia pieśni Żon.

— Jak zareagują? — spytała Ela.

— Skąd mam wiedzieć? — odparła Ouanda. — Bywam tutaj dokładnie tak samo często, jak ty.

— Uważam, że zrozumieją i zgodzą się na moje warunki — stwierdził Ender.

— Niby dlaczego mają się zgodzić?

— Ponieważ przybyłem z nieba. Ponieważ jestem Mówcą Umarłych.

— Tylko nie zacznij się uważać za wielkiego białego boga. Rezultaty nie są zwykle najlepsze.

— Nie jestem Pizarrem.

— Zaczynam rozszyfrowywać Mowę Żon — szepnęła Jane w jego ucho. — Podstawy Mowy Mężczyzn znalazłam w notatkach Pipa i Liba. Tłumaczenia Człowieka bardzo pomagają. Mowa Żon jest zbliżona do Mowy Mężczyzn, tyle że chyba bardziej archaiczna — bliższa korzeni, występuje więcej dawnych form. Wszystkie formy kobieco-męskie mają tryb rozkazujący, a męsko-kobiecy proszący. Żeńskie słowo oznaczające braci spokrewnione jest z męskim „macios”, robaki drzewne. Jeśli to ma być język miłości, to nie wiem, jak potrafią się rozmnażać.

Ender uśmiechnął się. Przyjemnie było znowu usłyszeć Jane, wiedzieć, że zawsze może mu pomóc. Mandachwa musiał zadać jakieś pytanie, gdyż Ender usłyszał, jak

Ouanda odpowiada szeptem:

— Słucha klejnotu w swoim uchu.

— Czy to królowa kopca? — spytał Mandachuwa.

— Nie. To... — szukała właściwego słowa. — To komputer. Maszyna posiadająca głos.

— Czy mógłbym taką dostać?

— Kiedyś — wtrącił Ender, by oszczędzić Ouandzie kłopotu.

Żony umilkły i zabrzmiał tylko samotny głos Krzykaczki. Podekscytowani mężczyźni zaczęli kołysać się na palcach.

— Ona używa Mowy Mężczyzn — szepnęła Jane.

— To wielki dzień — rzekł cicho Strzała. — Żony mówią w Języku Mężczyzn, w tym miejscu. To się jeszcze nie zdarzyło.

— Zaprasza cię — powiedział Człowiek. — Zaprasza, jak siostra brata. Ender natychmiast wszedł na polanę i zbliżył się do kobiety. Była wyższa od mężczyzn, ale i tak dobre pół metra niższa od niego. Uklęknął i znalazł się z nią oko w oko.

— Jestem ci wdzięczny za uprzejmość — powiedział.

— To mogę przekazać w Mowie Żon — stwierdził Człowiek.

— Mimo to przetłumacz na swój język — poprosił Ender.

Człowiek posłuchał. Krzykaczka wyciągnęła dłoń i dotknęła gładkiej skóry czoła Endera, szczeciny na brodzie; przycisnęła wargę, a on zamknął oczy, ale nie cofnął się, gdy delikatnie musnęła palcem powiekę. Przemówiła.

— Czy jesteś świętym Mówcą? — przetłumaczył Człowiek.

— Dodał słowo „święty” — poinformowała Jane. Ender spojrzał prosiaczkowi w oczy.

— Nie jestem święty. Człowiek zeszywniał.

— Powtórz jej.

Prosiaczek wahał się przez chwilę, po czym chyba uznał, że Ender jest mniej niebezpieczny.

— Nie powiedziała „święty”.

— Tłumacz, co mówi tak dokładnie, jak tylko potrafisz.

— Jeśli nie jesteś święty, to skąd wiesz, co naprawdę mówi?

— Proszę cię — powiedział Ender. — Bądź prawdomówny między nami.

— Dla ciebie będę prawdomówny — obiecał Człowiek. — Ale kiedy mówię do niej, to mój głos ona słyszy, powtarzając twoje słowa. Muszę wypowiadać je... ostrożnie.

— Bądź prawdomówny — powtórzył Ender. — Nie bój się. To ważne, by ona dokładnie wiedziała, co mówię. Powtórz jej, że proszę, by ci wybaczyła, gdy przemówisz do niej niegrzecznie, ale jestem niewychowanym framlingiem, a ty musisz tłumaczyć dokładnie to, co powiedziałem.

Człowiek przewrócił oczami, ale przełożył Krzykaczce słowa Endera. Odpowiedziała mu krótko.

— Mówi, że nie ma głowy wyciętej z korzenia merdony. Oczywiście, że to rozumie.

— Powiedz, że my, ludzie, nigdy jeszcze nie widzieliśmy takiego wielkiego drzewa. Poproś, żeby nam wyjaśniła, do czego jej i innym żonom służy takie drzewo. Ouanda była przerażona.

— Nie tracisz czasu na dyplomację.

Gdy jednak Człowiek przełożył słowa Endera, Krzykaczka natychmiast podeszła do pnia, dotknęła go i zaśpiewała.

Teraz, gdy stali bliżej, wyraźnie widzieli masę małych stworzonek, rojących się na korze. Większość miała nie więcej, niż cztery czy pięć centymetrów długości. Przypominały kształtem embriony, choć delikatna mgiełka brunatnego futra pokrywała ich różowe ciała. Miały otwarte oczy. Wspinały się na siebie, walcząc o miejsce przy jednej z plam schnącej masy, rozmazanej na pniu.

— Pasta z amarantu — zauważyła Ouanda.

— Dzieci — stwierdziła Ela.

— To nie dzieci — sprostował Człowiek. — Są już prawie tak dorosłe, że mogą chodzić. Ender podszedł do drzewa i wyciągnął rękę. Krzykaczka przerwała pieśń, lecz Ender się nie cofnął. Dotknął palcami kory, tuż obok młodego prosiaczka. Wspinając się, stworzonko dotknęło go, weszło na dłoń i przyłgnęło do niej.

— Czy znasz jego imię? Przestraszony Człowiek przetłumaczył szybko słowa Mówcy i odpowiedź Krzykaczki.

— Ten jest moim bratem. Otrzyma imię dopiero wtedy, gdy będzie chodził na dwóch nogach. Korzeniak jest jego ojcem.

— A matka? — spytał Ender.

— Małe matki nigdy nie mają imion — odparł Człowiek.

— Zapytaj. Człowiek zapytał. Żona odpowiedziała.

— Mówi, że jego matka była bardzo silna i bardzo odważna. Stała się tłusta i urodziła pięcioro dzieci — Człowiek dotknął dłonią czoła. — Pięcioro dzieci to bardzo dużo. Była dość tłusta, by nakarmić je wszystkie.

— Czy matka przynosi pastę, którą się żywią? Człowiek był przerażony.

— Mówco, nie mogę tego powiedzieć. W żadnym języku.

— Dlaczego nie?

— Już mówiłem. Była dostatecznie tłusta, by nakarmić pięcioro swych dzieci. Odłóż małego brata i pozwól żonie śpiewać do drzewa.

Ender dotknął pnia i mały brat zbiegł natychmiast. Krzykaczka podjęła pieśń. Ouanda spojrzała na Mówcę z wyrzutem, oburzona jego zapalczywością. Ela była wyraźnie podekscytowana.

— Nie rozumiecie? Noworodki żywią się ciałem matki. Ender cofnął się z odrazą.

— Skąd możesz wiedzieć? — zaprotestowała Ouanda.

— Popatrz, jak biegają po korze, zupełnie jak macios. Musieli kiedyś konkurować — Ela wskazała fragment pnia, wolny od amarantowej pasty. — Drzewo puszcza sok. Tutaj, w tych szczelinach. Dawniej, przed Descoladą, musiały istnieć owady żywiące się tym sokiem, a macios i małe prosiaczki walczyły, by je zjeść. To dlatego prosiaczki potrafiły połączyć swoje molekuły genetyczne z tymi drzewami. Nie tylko młode na nich żyją; dorosłe osobniki musiały wspinać się ciągle, by nie dopuszczać macios. Nawet kiedy dysponowali innymi źródłami pożywienia, cały cykl życiowy wiązał je z drzewem. Zanim jeszcze stali się drzewami.

— Badamy społeczeństwo prosiaczków — przypomniała niecierpliwie Ouanda. — Nie ich odległą przeszłość ewolucyjną.

— Prowadzę delikatne negocjacje — przerwał im Ender. — Bądźcie więc cicho i zdobywajcie informacje, nie prowadząc przy tym naukowych dysput. Śpiew sięgnął szczytowego punktu. Z boku pnia pojawiła się szczelina.

— Chyba nie powalą dla nas tego drzewa — przestraszyła się Ouanda.

— Ona prosi, by drzewo otworzyło swe serce — wyjaśnił Człowiek. — To matczyne drzewo, jedyne w całym naszym lesie. Nic nie może mu się zdarzyć, bo nasze dzieci będą musiały rodzić się w innych drzewach, a nasi ojcowie umrą.

Inne żony zaśpiewały wraz z Krzykaczka i wkrótce w pniu matczynego drzewa pojawił się szeroki otwór. Ender przesunął się natychmiast i stanął wprost przed nim. W środku było za ciemno, by mógł cokolwiek zobaczyć. Ela podała mu odpiętą od paska latarkę. Ouanda błyskawicznie chwyciła ją mocno za rękę.

— To mechanizm! — zawołała. — Nie wolno ci tego przynosić. Ender delikatnie wyjął latarkę z dłoni Eli.

— Nie ma już ogrodzenia — powiedział. — Teraz wszyscy możemy się zająć Podejrzaną Działalnością.

Skierował zwierciadło latarki na ziemię, włączył ją, po czym szybko przeciął promień dłonią, by osłabić i rozproszyć światło. Żony zamruczały, a Krzykaczka dotknęła brzucha Człowieka.

— Powiedziałem im, że potraficie nocą tworzyć małe księżyce — wyjaśnił prosiaczek. — I że nosicie je ze sobą.

— Czy zniszczę coś, jeśli poświecę w serce matczynego drzewa?

Człowiek zapytał. Krzykaczka sięgnęła po latarkę. Potem, trzymając ją w drżących dłoniach, zaśpiewała cicho i przesunęła ją lekko tak, by srebrzysty promień przeciął otwór. Odsunęła się niemal natychmiast i skierowała latarkę w inną stronę.

— Jasność je oślepią — wyjaśnił Człowiek.

— Jej głos odbija się echem z wnętrza drzewa — szepnęła Jane. — Kiedy tam zaświeciła, echo modulowało, wywołując wysokie alikwoty i zmianę konturu. Drzewo odpowiadało, wykorzystując dźwięk głosu Krzykaczki.

— Widzisz coś? — spytał cicho Ender.

— Przykleknij, zbliż mnie i przesuń przed otworem.

Ender zniżył się posłusznie i wolno poruszał głową, by klejnot w uchu miał otwarty widok na wnętrze drzewa. Jane opisywała, co widzi. Przez długą chwilę Ender klęczał nieruchomo. Potem obejrzał się.

— Tam są małe matki, ciężarne. Nie więcej, niż cztery centymetry długości. Jedna rodzi.

— Możesz patrzeć przez klejnot' — zdziwiła się Ela. Ouanda uklękła obok, bezskutecznie próbując zobaczyć coś w czerni szczeliny.

— Niesamowity dymorfizm płciowy. Osobnik żeński we wczesnym dzieciństwie osiąga dojrzałość płciową, rodzi młode i umiera. Spojrzała na Człowieka.

— Czy wszystkie te małe prosiaczki na zewnątrz drzewa to bracia? Człowiek powtórzył pytanie Krzykaczce. Żona wyciągnęła rękę i z miejsca w pobliżu szczeliny zdjęła spore stworzenie. Zaśpiewała kilka słów.

— To młoda żona — przetłumaczył prosiaczek. — Gdy dorośnie, zajmie się dziećmi wraz z innymi.

— Czy jest tylko jedna? — spytała Ela. Ender drgnął.

— Ta jest sterylna. Albo nie dopuszczają do jej zapłodnienia. Nie mogłaby mieć dzieci.

— Dlaczego? — nie rozumiała Ouanda.

— Nie mają dróg rodnych. Dzieci wyjadają sobie drogę na zewnątrz. Ouanda wyszeptwała modlitwę. Ela jednak była bardziej zaintrygowana niż kiedykolwiek.

— Fascynujące — orzekła. — Ale jeśli są takie małe, jak dochodzi do zapłodnienia?

— Nosimy je do ojców, oczywiście — odparł Człowiek. — A jak myślałaś? Przecież ojcowie nie mogą tu przyjść.

— Ojcowie — wtrąciła Ouanda. — Tak nazywają najbardziej szanowane drzewa.

— Zgadza się — potwierdził Człowiek. — Ojcowie dojrzewają korą. Na korę wydzielają swój pył, w soku. A my nosimy małą matkę do ojca wybranego przez żony. Ona pełza po pniu, a pył w soku trafia do jej brzucha i napętnia go małymi braćmi. Ouanda bez słowa wskazała niewielkie wypukłości na brzuchu Człowieka.

— Tak — przyznał prosiaczek. — To są nośniki. Brat, który dostąpił zaszczytu, kładzie jedną z matek do nośnika, a ona trzyma się mocno przez całą drogę do ojca — dotknął brzucha. — To największa radość, jaką znamy w drugim życiu. Gdybyśmy mogli, co noc nosilibyśmy małe matki. Krzykaczka zaśpiewała długo i głośno, i otwór w matczynym drzewie zaczął się zamykać.

— Te kobiety, małe matki — zainteresowała się Ela. — Czy są świadome? Człowiek nie znał tego słowa.

— Czy są przytomne? — spytał Ender.

— Naturalnie.

— Jemu chodzi o to — wyjaśniła Ouanda — czy małe matki myślą. Czy rozumieją mowę?

— One? — zdziwił się Człowiek. — Nie, nie są mądrzejsze niż cabra. I tylko trochę mądrzejsze od macios. Potrafią jedynie trzy rzeczy: jeść, pęłzać i trzymać się nośnika. Bracia na zewnątrz drzewa zaczynają się dopiero uczyć. Pamiętam chodzenie po pniu matczynego drzewa, a więc miałem już wtedy pamięć. Ale jestem jednym z niewielu, którzy to pamiętają. W oczach Ouandy błysnęły łzy.

— Biedne matki. Rodzą się, są zapładniane, wydają młode i umierają, wszystko to w niemowlęctwie. Nawet nie wiedzą, że żyły.

— Dyformizm płciowy jest tu doprowadzony do absurdu — orzekła Ela. — Osobniki żeńskie osiągają dojrzałość płciową bardzo wcześnie, a męskie bardzo późno. To dziwne, musicie przyznać, że dominujące dorosłe kobiety są sterylne. Rządzą całym plemieniem, a jednak nie mogą przekazać własnych genów.

— Elu — zapytała Ouanda. — Czy można znaleźć sposób, by małe matki rodziły dzieci, nie będąc przez nie pożerane? Jakies cesarskie cięcie, z wysokoproteinową pożywką, zastępującą ciało matki? Żeby kobiety mogły osiągać dojrzałość? Ela nie zdążyła odpowiedzieć. Ender chwycił je za ramiona i odciągnął na bok.

— Jak śmiecie? — szepnął. — A gdyby oni szukali sposobu, by małe dziewczynki mogły począć i rodzić dzieci, żywiące się ciałem matki?

— O czym ty mówisz? — oburzyła się Ouanda.

— To obrzydliwe — stwierdziła Ela.

— Nie przyszliśmy tu, żeby podcinać korzenie ich istnienia. Mamy szukać sposobu wspólnego życia na jednej planecie. Za sto lat, albo za pięćset, kiedy nauczą się wielu rzeczy, wtedy mogą decydować, czy zmienić metodę poczęcia i porodu. W tej chwili nie potrafimy nawet zgadywać, co się stanie, gdy nagle osiągnie dojrzałość tyle samo kobiet, co mężczyzn. Co będą robiły? Nie mogą przecież rodzić więcej dzieci. Nie mogą współzawodniczyć z mężczyznami o pozycję ojca. Po co są potrzebne?

— Ale one umierają, w ogóle przedtem nie żyjąc...

— Są, czym są. Sami postanowią, co zmienić. Oni, nie wy, z waszą ślepo ludzką perspektywą. Próbujecie uczynić ich życie pełnym i szczęśliwym, dokładnie takim, jak nasze.

— Masz rację — zgodziła się Ela. — Oczywiście, że masz rację. Przepraszam. Dla Eli prosiaczki nie były ludźmi, były okazami obcej fauny, a przyzwyczaiła się do odmiennych od ludzkich cykli życiowych zwierząt. Ender widział jednak, że Ouanda wciąż była zdenerwowana. Dokonała „przejścia ramena”: myślała o prosiaczkach: my, nie: oni. Godziła się z ich dziwacznym zachowaniem, nawet z morderstwem ojca, jako mieszczącymi się w akceptowalnej skali obcości. Oznaczało to, że jest bardziej tolerancyjna i lepiej rozumie prosiaczki, niż kiedykolwiek zdołała Ela;

równocześnie jednak mocniej przeżywa odkrycie okrucieństwa i bestialstwa wśród przyjaciół.

Ender zauważył też, że po latach kontaktów z prosiaczkami, Ouanda przejęła jeden z ich zwyczajów: w chwili najwyższego zdenerwowania ciało dziewczyny sztywniało zupełnie. Dlatego przypomniał jej o człowieczeństwie, po ojcowsku obejmując ramieniem i przyciągając do siebie. Ouanda rozluźniła się nieco i zaśmiała nerwowo. — Wiesz, o czym myślę? — spytała cicho. — Że małe matki rodzą dzieci i umierają bez chrztu.

— Jeśli biskup ich nawróci, może pozwoli mu pokropić wewnątrz drzewa i wymówić odpowiednie słowa.

— Nie kpij ze mnie — szepnęła.

— Nie próbuję. Na razie jednak postaramy się zmienić tyle, żebyśmy mogli żyć razem. Nic więcej. Siebie także zmienimy na tyle, by zniosły życie z nami na jednej planecie. Pogódźcie się z tym, albo włączymy ogrodzenie, gdyż wtedy naprawdę będziemy dla nich zagrożeniem. Ela nie sprzeciwiała się, lecz Ouanda zeszywniała na powrót. Ender wbił palce w jej ramię. Przestraszona, kiwnęła głową. Ender zwolnił uchwyt.

— Przepraszam — powiedział. — Ale prosiaczki są takie, jakie są. Czy też, jeśli wolisz, jakimi stworzył je Bóg. Nie próbuj ich przerabiać na własny obraz i podobieństwo. Wrócił do matczynego drzewa, gdzie czekali Krzykaczka i Człowiek.

— Przepraszam za tę przerwę.

— Nie szkodzi — odparł Człowiek. — Wytłumaczyłem jej, co robicie. Ender poczuł ucisk w żołądku.

— Powiedziacieś, że co robimy?

— Powiedziałem, że one chciały zrobić coś z małymi matkami, żebyśmy wszyscy byli bardziej podobni do ludzi, ale ty stwierdziłeś, że nie mogą, bo inaczej włączysz ogrodzenie. Powtórzyłem twoje słowa, że my musimy pozostać Małym Ludem, a wy musicie pozostać ludźmi.

Ender uśmiechnął się z ulgą. Tłumaczenie było wierne, a Człowiek miał dość rozsądku, by nie wchodzić w szczegóły. Żony mogły zapragnąć, by małe matki osiągały dojrzałość. Nie musiały pojmować daleko idących konsekwencji tej pozornie prostej, humanitarnej przemiany. Człowiek okazał się doskonałym dyplomatą: mówił prawdę, unikając kłopotliwych kwestii.

— No, dobrze — orzekł Ender. — Skoro się już poznaliśmy, możemy zacząć rozmowy. Usiadł na nagiej ziemi. Krzykaczka przykucnęła naprzeciw. Zaśpiewała kilka zdań.

— Mówi, że macie nas nauczyć wszystkiego, co wiecie, zabrać nas do gwiazd i sprowadzić królową kopca, a jej dać ten świetlny pręt, który przyniosła nowa osoba. Jeśli nie, to w mroku nocy pośle wszystkich braci z tego lasu, by we śnie zabili wszystkich ludzi i powiesili ich wysoko nad ziemią tak, że nigdy nie osiągniecie

trzeciego życia — widząc zdumienie ludzi, Człowiek dotknął piersi Endera. — Nie, musisz zrozumieć. To nic nie znaczy. Zawsze w ten sposób zaczynamy rozmowy z innym plemieniem. Sądzisz, że poszaleliśmy? Nigdy byśmy was nie zabili! Daliście nam amarant, garnki, Królową Kopca i Hegemona.

— Powiedz, żeby wycofała groźbę, bo nic więcej już jej nie dam.

— Tłumaczę ci, Mówco, że przecież...

— Wypowiedziała te słowa i nie będę z nią rozmawiał, póki ich nie wycofa. Krzykaczka zerwała się i obeszła dookoła matczyne drzewo, wznosząc ręce i śpiewając głośno. Człowiek pochylił się do Endera.

— Skarży się wielkiej matce i wszystkim żonom, że jesteś bratem, który nie zna swojego miejsca. Mówi, że jesteś nieuprzejmy i nie można się z tobą dogadać.

— Tak — kiwnął głową Ender. — To szczerza prawda. Nareszcie do czegoś dochodzimy. Krzykaczka ponownie kucnęła przed Enderem i przemówiła w Mowie Mężczyzn.

— Mówi, że nigdy nie zabije nikogo z ludzi i nie pozwoli żadnemu z braci i żon, by was zabijali. Mówi, żebyś pamiętał: jesteś dwa razy wyższy od nas i wiesz wszystko, a my nic. Czy poniżyła się wystarczająco, żebyś z nią rozmawiał? Krzykaczka obserwowała go posepnie, czekając na odpowiedź.

— Tak — odparł Ender. — Teraz możemy zacząć.

Novinha klęczała na podłodze obok łóżka Mira. Quim i Olhado stali za nią. Dom Cristao układał do łóżek Quarę i Grega. Chrapliwy oddech Mira niemal zagłuszał niezbyt melodyjnie śpiewaną kołysankę. Miro otworzył oczy.

— Miro — szepnęła Novinha. Chory jęknął.

— Miro, jesteś w domu, w łóżku. Przeszedłeś przez włączone ogrodzenie. Doktor Navio twierdzi, że masz uszkodzony mózg. Nie wiemy, czy to trwały uraz. Możesz być częściowo sparaliżowany. Ale żyjesz, Miro, a Navio obiecuje, że można wiele dokonać, by zrekompensować ci to, co straciłeś. Rozumiesz mnie? Mówię ci prawdę. Na razie może być bardzo bolesna, ale warto się starać. Jęknął cicho. Ale to nie był jęk bólu. Zdawało się, że próbuje coś powiedzieć.

— Możesz poruszać ustami? — spytał Quim. Miro otworzył je wolno i zamknął. Olhado uniósł rękę o metr nad głową brata i przesunął.

— Czy potrafisz śledzić oczami ruch mojej dłoni? Miro poruszył oczami. Novinha ścisnęła go za rękę.

— Czujesz, jak ściskam ci rękę? Miro jęknął znowu.

— Zamknij usta na nie — powiedział Quim. — I otwórz na tak. Miro zamknął usta.

— Mm — wykrztusił.

Novinha nie mogła się powstrzymać. Usiłowała być odważna, ale to było najgorsze, co przydarzyło się któremuś z dzieci. Kiedy Lauro stracił oczy i został Olhadem — nienawidziła tego przezwiska, choć teraz sama go używała — sądziła, że nic

gorszego nie może jej spotkać. Ale Miro, sparaliżowany, bezradny, nie czujący nawet dotyku jej ręki — tego nie mogła znieść. Czuła rozpacz, gdy zginął Pipo, i inną gdy umarł Libo, czuła straszliwy żal po śmierci Marcoa. Pamiętała nawet bolesną pustkę, jaką odczuwała, gdy opuszczano do grobu jej rodziców. Ale nie było strasniejszego bólu, niż patrzeć na cierpienie własnego dziecka nie mogąc przyjść mu z pomocą. Wstała, by wyjść. Dla jego dobra będzie płakać cicho, w pokoju obok.

— Mm. Mm. Mm.

— Nie chce, żebyś wychodziła — stwierdził Quim.

— Zostanę, jeśli sobie życzysz — powiedziała Novinha. — Ale powinieneś spać. Navio mówi, że przez pewien czas musisz spać jak...

— Mm. Mm. Mm.

— Spać też nie chce. Novinha powstrzymała cisnącą się na usta uwagę, że przecież sama słyszy, co mówi chory.

Pora nie była odpowiednia na kłótnie. Poza tym, to przecież Quim wymyślił system porozumiewania z Mirem. Miał prawo do dumy, do roli głosu brata. W ten sposób pokazywał, że czuje się członkiem rodziny. Że nie odrzuca jej po tym, czego dowiedział się dzisiaj na prac'a. Wybaczał jej, więc pohamowała język.

— Może chce nam coś powiedzieć — zasugerował Olhado.

— Mm.

— Albo zadać pytanie — dodał Quim.

— Mm. Aa.

— No to ładnie — Quim był zawiedziony. — Jeśli nie potrafi ruszać rękami, to nie może pisać.

— Sem problema — stwierdził Olhado. — Widzi. Może wskazywać. Przyniesiemy mu terminal. Będzie wyświetlał litery, a on tylko powie „tak”, kiedy pojawi się właściwa.

— To potrwa latami.

— Chcesz spróbować, Miro? — spytała Novinha. Chciał.

We trójkę przenieśli go do łóżka we frontowym pokoju. Olhado ustawił terminal tak, by Miro widział ekran. Napisał krótki program, który wyświetlał kolejne litery, każdą przez ułamek sekundy. Po kilku próbach ustalili prędkość — na tyle wolno, by Miro zdążył wydać dźwięk, oznaczający „ta litera”, zanim zapali się następna. Miro przyspieszał całą procedurę, skracając wyrazy. P-R-O-S.

— Prosiaczki — zawołał Olhado.

— Owszem — przyznała Novinha. — Dlaczego przechodziłeś do prosiaczków przez ogrodzenie?

— Mmmmm!

— On zadaje pytanie, mamó — wyjaśnił Quim. — Nie chce odpowiadać.

— Aa.

— Chcesz wiedzieć, co się stało z prosiaczkami, które były z tobą, kiedy przechodziłeś przez ogrodzenie? — spytała Novinha. Chciał. — Wrócili do lasu. Razem z Ouandą, Elą i Mówcą Umarłych.

Streściła pospiesznie spotkanie w gabinecie biskupa, wszystko, czego się dowiedzieli o prosiaczkach, a przede wszystkim, co postanowili.

— Kiedy wyłączyli barierę, żeby cię ratować, było to równoznaczne z decyzją buntu przeciw Kongresowi. Rozumiesz to? Przepisy komitetu już się nie liczą. Ogrodzenie to tylko druty. Brama będzie otwarta. Łzy błysnęły w oczach chorego.

— Czy to wszystko, co chciałeś wiedzieć? — spytała Novinha. — Powinieneś spać. Nie, powiedział. Nie, nie, nie.

— Zaczekaj, aż będzie miał czyste oczy — poradził Quim. — Potem poczytamy dalej. D-I-G-A F-A-L...

— Diga ao Falante pelos Mortos — domyślił się Olhado.

— Co mamy powiedzieć Mówcy? — spytał Quim.

— Prześpij się, powiesz nam później — zaproponowała Novinha. — On nie wróci jeszcze przez parę godzin. Negocjuje zestaw reguł, rządzących stosunkami między prosiaczkami a ludźmi. Żeby nie zabijały nas tak, jak zabiły Pipa i L... i twojego ojca.

Ale Miro nie chciał spać. Nadal literował na komputerze swoją wiadomość. We troje domyślili się wreszcie, co mają powtórzyć Mówcy. Zrozumieli też, że powinni ruszyć natychmiast, przed zakończeniem rokowań.

Dom Cristao i Dona Crista obiecali zaopiekować się domem i dziećmi. Wychodząc, Novinha zatrzymała się jeszcze przy łóżku najstarszego syna. Wysięk bardzo go wyczerpał — miał zamknięte oczy i oddychał regularnie. Dotknęła jego dłoni, przytrzymała, ścisnęła. Wiedziała, że nic nie czuje, ale to siebie próbowała pocieszyć, nie jego.

Otworzył oczy. I wtedy poczuła, jak bardzo delikatnie zaciska palce na jej dłoni.

— Czuję — szepnęła. — Wyzdrowiejesz. Zamknął oczy, by powstrzymać łzy. Novinha wstała i na ślepo trafiła do drzwi.

— Wpadło mi coś do oka — wyjaśniła Olhado. — Poprowadź mnie przez chwilę, zanim sama będę mogła widzieć. Quim czekał już przy ogrodzeniu.

— Brama jest za daleko! — zawołał. — Umiesz się wspinać, mamó? Umiała, choć nie było to łatwe.

— Nie ma co — stwierdziła. — Musimy namówić Bosquinhę, żeby pozwoliła wybudować tu nową bramę.

Minęła już północ, a Ela i Ouandą były śpiące. Ender przeciwnie. Podczas negocjacji jego mózg pracował z maksymalną szybkością i organizm dostosował się. Gdyby wrócił teraz do domu, przez długie godziny czekałby na sen.

Dowiedział się wiele o tym, czego pragnęły i potrzebowały prosiaczki. Las był ich

domem i narodem; nie znały innego określenia własności. Teraz jednak pola amarantu sprawiły, że także równiny uznały za teren użyteczny, który należy opanować. Nie znały metod pomiaru. Ile hektarów chciały uprawiać? Ile ziemi mogą wykorzystać ludzie? Prosiaczki same nie znały swoich potrzeb, więc Enderowi trudno było to określić. Jeszcze trudniejszą okazała się idea prawa i władzy. Żony rządziły; dla prosiaczków sprawa była prosta. Ender zdołał w końcu wytłumaczyć, że ludzie inaczej stanowią prawa, że ludzkie prawa dotyczą ludzkich problemów. By zrozumiały potrzebę innych zasad dla ludzi, Ender opowiedział o wzorcach seksualnych homo sapiens. Z rozbawieniem zauważył, że Krzykaczkę zaszokowała wizja kopulacji dorosłych, a także mężczyzn mających równy głos z kobietami przy stanowieniu praw. Istnienie rodziny i pokrewieństwa innego niż plemię było dla niej wynikiem „braterskiej ślepoty”. Człowiek mógł odczuwać dumę z wielu młodych, których spłodził jego ojciec, jeśli jednak idzie o żony, wybierały ojców mając na uwadze wyłącznie dobro plemienia. Plemię i jednostka — żony nie uznawały innych komórek społecznych.

Wreszcie jednak zrozumiały, że ludzkie prawa winny obowiązywać w granicach ludzkich osiedli, a prawa prosiaczków w ich plemionach. Któreśdy mają przebiegać granice, było zupełnie inną kwestią. Po trzech godzinach zgodziły się na jedno i tylko jedno: prawo prosiaczków obowiązuje w lesie i podlega mu każdy człowiek, który wejdzie między drzewa. Ludzkie prawo obowiązywało wewnątrz ogrodzenia i każdy prosiaczek, który się tam pojawił, podlegał zarządzeniom ludzi. Pozostała część planety miała zostać podzielona później. Niewielkie to było zwycięstwo, ale jednak zwycięstwo.

— Musicie zrozumieć — tłumaczył Ender — że ludzie potrzebują dużo ziemi. Ale to tylko część problemu. Chcecie, by królowa kopca uczyła was, pomagała wydobywać rudy, wytapiać metale i produkować narzędzia. Ona jednak także będzie potrzebowała ziemi. W krótkim czasie stanie się o wiele silniejsza niż ludzie czy Mały Lud.

Każdy z jej robali, mówił, jest doskonale posłuszny i niewyobrażalnie wręcz pracowity. Szybko wyprzedzą ludzi w produktywności i sile. Gdy tylko królowa wróci do życia na Lusitanii, trzeba będzie się z nią liczyć na każdym kroku.

— Korzeniak twierdzi, że można jej ufać — oznajmił Człowiek. Po czym dodał, tłumacząc słowa Krzykaczki: — Matczyne drzewo także obdarza królową kopca swym zaufaniem.

— Czy obdarzycie ją swoją ziemią? — nie ustępował Ender.

— Świat jest wielki — przetłumaczył Człowiek. — Może zabrać wszystkie lasy innych plemion. Zresztą, wy także. Ender obejrzał się na Ouandę i Ele.

— Bardzo dobrze — stwierdziła Ela. — Ale czy to ich lasy, że mogą je nam oddać?

— Na pewno nie — odparła Ouanda. — Toczą nawet wojny z innymi plemionami.

— Zabijemy ich dla was, jeśli złączą sprawić kłopoty — obiecał Człowiek. — Jesteśmy teraz silni: trzysta dwadzieścioro dzieci. Za dziesięć lat żadne plemię nie potrafi się nam oprzeć.

— Człowieku — poprosił Ender. — Powiedz Krzykaczce, że teraz rozmawiamy z waszym plemieniem. Z innymi spotkamy się później. Prosiaczek tłumaczył szybko, połykając niemal słowa; równie szybko otrzymał odpowiedź.

— Nie nie nie nie nie.

— Co się jej nie podoba?

— Nie wolno wam rozmawiać z naszymi wrogami. Przyszliście do nas. Jeśli pójdziecie do nich, też będziecie wrogami.

Wtedy właśnie wśród drzew rozbłysły światła; po chwili Strzała i Liściojad wprowadzili na polanę żon Novinhę, Quima i Olhado.

— Miro nas przysyła — wyjaśnił Olhado.

— Co z nim? — spytała Ouanda.

— Jest sparaliżowany — odparł szorstko Olhado. Dzięki temu Novinha uniknęła konieczności delikatnych wyjaśnień.

— Nossa Senhora — szepnęła Ouanda.

— Ale w większej części to uleczalne — dodała Novinha. — Wychodząc ścisnęłam go za rękę, a on poczuł i też mnie ścisnął. Bardzo lekko, ale jeśli połączenia nerwowe nie obumarły, nie wszystko jest stracone.

— Przepraszam — wtrącił Ender. — Ale taką rozmowę możecie prowadzić w Milagre. Mam tu do załatwienia inne sprawy.

— Wybacz. Wiadomość od Mira; nie mógł mówić, ale przeliterował ją, a my zgadywaliśmy, co powinno być w przerwach. Prosiaczki planują wojnę, korzystając z przewagi, jaką dzięki nam uzyskały. Ze strzałami, w większej liczbie, będą niepokonane. Tak przynajmniej zrozumiałam. Miro twierdzi, że celem walki nie jest zdobycie nowych terytoriów. To możliwość wymiany genetycznej. Męska egzogamia. Zwycięskie plemię zyskuje dostęp do drzew, rosnących w ciałach poległych. Ender spojrzał pytająco na Strzałę, Człowieka i Liściojada.

— To prawda — potwierdził Strzała. — Oczywiście, że prawda. Jesteśmy najmądrzejszym plemieniem. Każdy z nas będzie lepszym ojcem, niż ktokolwiek z innego plemienia.

— Rozumiem.

— Dlatego właśnie Miro chciał, żebyśmy przyszli zaraz, jeszcze nocą — dokończyła Novinha. — Póki trwają negocjacje. Trzeba z tym skończyć. Człowiek wstał i kilka razy podskoczył, jakby miał wystartować i odlecieć.

— Nie przetłumaczę tego — oznajmił.

— Ja przetłumaczę — oświadczył Liściojad.

— Nie! — krzyknął Ender głośniej, niż kiedykolwiek. Wszyscy natychmiast ucichli.

Echo krzyku zdawało się unosić wśród drzew.

— Liściojadzie — powiedział już spokojniej. — Nie życzę sobie innego tłumacza niż Człowiek.

— Kim jesteś, by mi zakazywać rozmowy z żonami? Ja jestem prosiaczkiem, a ty niczym.

— Człowieku — poprosił Ender. — Przekaż Krzykaczce, że jeśli Liściojad przetłumaczy słowa, które ludzie wypowiedzieli do siebie, to będzie szpiegiem. A jeśli ona pozwoli nas szpiegować, pójdziemy do domu i nic od nas nie dostaniecie. Zabiorę królową kopca na inną planetę i tam ją ożywię. Zrozumiałeś?

Zrozumiał, oczywiście. Ender widział też, że jest zadowolony. Liściojad chciał uzurpować sobie rolę Człowieka, by go zdyskredytować — razem z Enderem. Gdy Człowiek zakończył tłumaczenie, Krzykaczka zaśpiewała do Liściojada, który zmieszany wycofał się do lasu, by stamtąd obserwować wydarzenia. Człowiek jednak nie był bezwolną marionetką. Nie okazał nawet śladu wdzięczności.

— Obiecałeś, że nie będziecie nas zmieniać — przypomniał, patrząc Enderowi prosto w oczy.

— Powiedziałem, że nie będziemy próbować większych zmian, niż to konieczne.

— A czemu to konieczne? To sprawa między nami a innymi prosiaczkami.

— Ostrożnie — szepnęła Ouanda. — Jest bardzo zdenerwowany. Zanim zdoła przekonać Krzykaczkę, Ender musiał najpierw wytłumaczyć wszystko Człowiekowi.

— Wśród prosiaczków jesteście naszymi najlepszymi przyjaciółmi. Ufamy wam i kochamy. Nie zrobimy nic, co mogłoby wam zaszkodzić, czy dać innym prosiaczkom jakąś przewagę. Ale nie przybyliśmy wyłącznie do was. Reprezentujemy całą ludzkość i jesteśmy tu, by nauczyć jak najwięcej wszystkie prosiaczki. Niezależnie od plemienia.

— Nie reprezentujecie całej ludzkości. Macie przecież toczyć wojnę z innymi ludźmi. Jak możesz twierdzić, że nasze wojny są złe, a wasze dobre? Z całą pewnością Pizarro, mimo swoich braków, nie miał z Atahualpą takich problemów.

— Staramy się nie toczyć wojny z innymi ludźmi. A jeśli już wybuchnie, nie będzie to nasza wojna, a jej celem nie będzie nasze zwycięstwo. To będzie wasza wojna, o wasze prawo do podróży wśród gwiazd — Ender wyciągnął przed siebie otwartą dłoń. — Odrzuciliśmy nasze człowieczeństwo, by stać się wśród was ramenami — zacisnął dłoń w pięść. — Człowiek, prosiaczek i królowa kopca na Lusitanii będą jednym. Wszyscy ludzie. Wszystkie robale. Wszystkie prosiaczki. Człowiek siedział nieruchomo, przetrawiając słowa Endera.

— Mówco — powiedział w końcu. — To bardzo trudne. Póki nie przyszli ludzie, inne prosiaczki... miały być zabijane i pędzić trzecie życie w niewoli, w zdobytym przez nas lesie. Nasz las był kiedyś polem bitwy i najstarsze drzewa to wojownicy, którzy padli w boju. Najstarsi ojcowie to bohaterowie wojenni, a z tchórzy zbudowaliśmy domy. Całe życie szykujemy się, by zwyciężać w bitwach z wrogami,

by nasze żony zasadziły matczyne drzewo w nowym lesie, byśmy się stali potężni i wielcy. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nauczyliśmy się używać strzał do zabijania z daleka. Garnków i skór cabry do noszenia wody przez pustynię. Amarantu i korzeni merdony, by było nas wielu i silnych, by zabierać pożywienie daleko od macios naszego rodzinnego lasu. Czuliśmy radość, gdyż oznaczało to, że zwyciężymy w każdej wojnie. Nieślibyśmy nasze żony, małe matki, naszych bohaterów do wszystkich zakątków wielkiego świata, a pewnego dnia dalej, do gwiazd. To nasze marzenie, Mówco, a ty chcesz teraz, byśmy go utracili, niby powiew wiatru pod niebem. To była wspaniała przemowa. Nikt z ludzi nie próbował sugerować odpowiedzi. Człowiek niemal ich przekonał.

— To dobre marzenie — stwierdził Ender. — To marzenie każdego żyjącego stworzenia. Pragnienie, będące korzeniem samego życia: rosnąć, aż cała przestrzeń, jaką możesz ogarnąć, stanie się częścią ciebie, znajdzie się pod twoim panowaniem. To pragnienie wielkości. Są jednak dwie drogi, by je spełnić. Pierwsza, to zabijać wszystko, co nie jest tobą, wchłaniać lub niszczyć, aż nie pozostanie nic, co mogłoby ci się sprzeciwić. To zła droga. Mówisz wtedy wszechświatu: tylko ja będę wielki; by uczynić mi miejsce, reszta musi oddać nawet to, co już zdobyła; stać się niczym. Pojmujesz chyba, Człowieku, że gdyby ludzie poszli tą drogą, działali w ten sposób, zabiliby wszystkie prosiaczki na Lusitaniu i uczynili ją swoim domem. Co by pozostało z waszego marzenia, gdybyśmy byli źli? Człowiek z całych sił starał się zrozumieć.

— Widzę, że ofiarowaliście nam wspaniałe dary, gdy mogliście odebrać nawet tę odrobinę, którą posiadaliśmy. Ale czemu nam je daliście, jeśli nie możemy z nich skorzystać i stać się wielkimi?

— Chcemy, byście rozkwitali, byście latali wśród gwiazd. Tu, na Lusitaniu, chcemy, byście byli silni i potężni, z setkami i tysiącami braci i żon. Nauczymy was uprawiać wiele rodzajów roślin i hodować wiele zwierząt. Ela i Novinha, te oto dwie kobiety, będą pracowały każdego dnia swego życia, by stworzyć nowe rośliny, które mogą żyć na Lusitaniu. Cokolwiek otrzymają dobrego, dadzą wam. Możecie rosnąć. Ale czemu choć jeden prosiaczek z innego lasu musi umrzeć, żebyście otrzymali te dary? I co wam zaszkodzi, jeśli im także je ofiarujemy?

— Jeśli będą tak silni jak my, to co zyskamy? Czego właściwie oczekuję od tego brata, pomyślał Ender. Jego lud zawsze porównywał się do innych plemion. Ich las nie ma pięćdziesięciu czy pięciuset hektarów — jest większy albo mniejszy od lasu plemienia na zachodzie czy południu. To, czego muszę dokonać, jest pracą na całe pokolenie: muszę go nauczyć nowego spojrzenia na własny naród.

— Czy Korzeniak jest wielki? — zapytał.

— Według mnie tak — odparł Człowiek. — To mój ojciec. Jego drzewo nie jest może najstarsze i najgrubsze, ale żaden ojciec za naszej pamięci nie miał tylu dzieci tak szybko po zasadzeniu.

— Zatem, w pewien sposób, wszystkie te dzieci pozostają jego częścią. Im więcej ich spłodzi, tym staje się większy — Człowiek wolno kiwnął głową. — A im więcej w życiu osiągniesz, tym wspanialszym czynisz swego ojca. Prawda?

— Jeśli dzieci dobrze sobie radzą, to tak, to wielki honor dla ojcowskiego drzewa.

— Czy musisz zniszczyć pozostałe wielkie drzewa, by twój ojciec był największy?

— To co innego. Inne wielkie drzewa są ojcami plemienia. A małe drzewa nadal są braćmi. Ender widział wyraźnie, że Człowiek traci pewność siebie. Odrzucał idee Endera, gdyż były niezwykle, nie dlatego, że są błędne czy niezrozumiałe. Zaczynał pojmować.

— Spójrz na żony. Nie mają dzieci. Nigdy nie będą wielkie tak, jak wielki jest twój ojciec.

— Mówco, sam wiesz, że one są największe z nas. Całe plemię jest im posłuszne. Kiedy rządzą dobrze, plemię rozkwita. Kiedy plemię jest liczne, żony także są potężne.

— Mimo że nikt z was nie jest ich dzieckiem?

— Przecież to niemożliwe — zdziwił się Człowiek.

— A jednak przyczyniacie się do ich wielkości. Nie są waszymi matkami ani ojcami, ale rosną w siłę, gdy wy rośniecie.

— Jesteśmy jednym plemieniem...

— Ale dlaczego jesteście jednym plemieniem? Macie innych ojców, inne matki.

— Ponieważ jesteśmy jednym plemieniem! Żyjemy tutaj, w lesie, i...

— Gdyby zjawił się inny prosiaczek z innego plemienia i prosił, byście pozwolili mu zostać tu i być bratem...

— Nigdy nie uczynilibyśmy go ojcowskim drzewem!

— Ale próbowaliście uczynić ojcowskimi drzewami Pipa i Liba. Człowiek dyszał ciężko.

— Rozumiem — powiedział. — Byli częścią plemienia. Przybyli z nieba, ale uznaliśmy ich za braci i próbowaliśmy uczynić ojcami. Plemię jest tym, w co wierzymy, że jest plemieniem. Jeśli powiemy, że to cały Mały Lud żyjący w lesie i wszystkie drzewa, to właśnie staje się plemieniem. Nawet jeśli najstarsze drzewa są zabitymi w boju wojownikami dwóch innych plemion. Jesteśmy jednym plemieniem, bo mówimy, że jesteśmy jednym plemieniem.

Ender podziwiał umysł tego małego ramena. Jak niewielu ludzi potrafi pochwycić ideę i rozszerzyć ją poza wąskie granice plemienia, rodziny, narodu. Człowiek przysiadł za Enderem i oparł się o niego plecami. Mówca czuł ciężar młodego prosiaczka, czuł jego oddech na szyi. Potem ich policzki zetknęły się i obaj patrzeli w tym samym kierunku.

— Widzisz to, co ja widzę — powiedział Ender.

— Wy, ludzie, rośniecie, czyniąc nas częścią siebie. Ludzie, prosiaczki i robale

razem. Wtedy będziemy jednym plemieniem i nasza wielkość będzie waszą, a wasza naszą — Człowiek drżał, porażony wspaniałością idei. — Powiedziałeś, że na wszystkie plemiona powinniśmy patrzeć w ten sam sposób. Jak na jedno plemię, nasze wspólne. Wtedy rośniemy, pomagając im rosnąć.

— Możecie posyłać nauczycieli — zaproponował Ender. — Braci. Pójdą do innych plemion, zaczną trzecie życie w innych lasach, będą mieli dzieci.

— To niezwykła i trudna dla żon prośba — stwierdził Człowiek. — Może nawet niemożliwa. Ich umysły pracują inaczej niż umysły braci. Brat potrafi myśleć o wielu różnych rzeczach. Żona myśli tylko o jednej: co jest dobre dla plemienia. A więc, przede wszystkim: co jest dobre dla dzieci i małych matek.

— Czy zdołasz im to wytłumaczyć?

— Lepiej, niż ty. Ale boję się, że nie. Że zawiodę.

— Myślę, że nie zawiedziesz.

— Przyszedłeś dziś do nas, by zawrzeć przymierze między nami, prosiaczkami tego plemienia, a ludźmi żyjącymi na tej planecie. Ludzie poza łuskania nie będą dbali o to przymierze, tak jak i prosiaczki poza tym lasem.

— Z nimi także pragniemy zawrzeć takie samo przymierze.

— A w tym przymierzu wy, ludzie, obiecujecie nauczyć nas wszystkiego.

— Tak szybko, jak tylko potraficie zrozumieć.

— Każde zadane pytanie.

— Jeśli znamy odpowiedź.

— Kiedy! Jeśli! To nie są słowa przymierza! Odpowiedz wprost, Mówco Umarłych — Człowiek wstał, oderwał się od Endera, stanął przed nim i pochylił się lekko, patrząc na niego z góry. — Obiecuj, że nauczycie nas wszystkiego co wiecie!

— Obiecujemy.

— Czy obiecasz także przywrócić do życia królową kopca, by mogła nam pomóc?

— Ożywię królową kopca. Będziecie musieli zawrzeć z nią nowe przymierze. Ona nie przestrzega ludzkich praw.

— Obiecujesz ożywić królową kopca, czy zechce nam pomagać, czy nie?

— Obiecuję.

— Obiecujecie przestrzegać naszych praw, gdy wejdziecie do naszego lasu? I zgadzacie się, by równiny, których potrzebujemy, także podlegały naszym prawom?

— Tak.

— I wypowiecie wojnę wszystkim ludziom ze wszystkich światów, by nas chronić i pozwolić, byśmy także latali do gwiazd?

— Już to zrobiliśmy.

Człowiek odprężył się, cofnął o krok, przykucnął w swej poprzedniej pozycji. Zaczął kreślić palcem po ziemi.

— A teraz, czego wy od nas chcecie? Będziemy przestrzegać ludzkich praw w

waszym mieście i na prerii, której potrzebujecie.

— Tak.

— I nie chcecie, żebyśmy toczyli wojny?

— Zgadza się — potwierdził Ender.

— Czy to wszystko?

— Jeszcze jedno.

— To, czego żądasz, już jest niemożliwe — odparł Człowiek. — Równie dobrze możesz prosić o więcej.

— Trzecie życie — zapytał Ender. — Kiedy się zaczyna? Wtedy, gdy zabijacie prosiaczka, a on wyrasta w drzewo. Tak?

— Pierwsze życie trwa wewnątrz pnia, gdzie nie widzimy światła, gdzie ślepo pożeramy ciało matki i sok matczyne drzewa. Drugie życie spędzamy w cieniu lasu, w półświatle, gdzie biegamy, chodzimy, wspinamy się, widzimy i śpiewamy, rozmawiamy i tworzymy z pomocą rąk. Trzecie życie jest wtedy, gdy sięgamy do słońca i pijemy jego promienie, nareszcie w pełnym blasku, nigdy się nie poruszając, chyba że od wiatru; myślimy tylko, i w określone dni, gdy bracia bębnią o pień, przemawiamy do nich. Tak, to trzecie życie.

— Ludzie nie mają trzeciego życia. Człowiek patrzył na niego zdziwiony.

— Kiedy umieramy, nawet jeśli nas zasadzicie, nic nie wyrasta. Nie ma żadnego drzewa. Nigdy nie pijemy ze słońca. Kiedy umieramy, jesteśmy martwi.

— A ta druga książka, którą nam dałaś — Człowiek zwrócił się do Ouandy. — Cały czas chodziło o życie po śmierci i ponowne narodziny.

— Nie jako drzewo — wyjaśnił Ender. — Ani cokolwiek, co możecie dotknąć lub zobaczyć. Albo rozmawiać i otrzymywać rady.

— Nie wierzę ci — oświadczył Człowiek. — Gdyby tak było, to czemu Pipo i Libo kazali się zasadzić? Novinha przyklękła obok Endera. Dotykała go... nie, opierała się o niego, by lepiej słyszeć.

— Jak kazali się zasadzić?

— Ofiarowali wielki dar, zasłużyli na uhonorowanie. Ludzie i prosiaczki, wspólnie. Pipo i Mandachuva. Libo i Liściojad. Mandachwa i Liściojad mieli nadzieję, że przejdą do trzeciego życia, ale oba razy Pipo i Libo nie chcieli. Uparli się, by zatrzymać ten dar dla siebie. Po co by to robili, gdyby ludzie nie mieli trzeciego życia? Wtedy rozległ się głos Novinhy, chrapliwy i pełen napięcia:

— Co powinni zrobić, by oddać trzecie życie Mandachowie i Liściojadowi?

— Zasadzić ich, naturalnie — wyjaśnił Człowiek. — Tak samo, jak dzisiaj.

— Tak samo jak co dzisiaj? — spytał Ender.

— Ty i ja — odparł Człowiek. — Człowiek i Mówca Umarłych. Jeśli zawrzemy przymierze, a ludzie i żony porozumieją się, będzie to wielki, wspaniały dzień. I albo ty ofiarujesz mi trzecie życie, albo ja tobie.

— Własnoręcznie?

— Oczywiście. Jeśli nie dasz mi trzeciego życia, ja muszę dać je tobie. Ender przypomniał sobie obraz, oglądany zaledwie dwa tygodnie temu — poćwiartowany, wypatroszony Pipa, leżące wokół, ułożone starannie organy. Zasadzony.

— Człowieku — powiedział. — Najgorszą zbrodnią, jaką może popełnić istota ludzka, jest morderstwo. A najgorszym sposobem morderstwa jest rozcinanie żywego człowieka i męczenie go tak, by umarł. Prosiaczek zastanawiał się przez chwilę.

— Mówco — odezwał się wreszcie. — Mój umysł pojmuje to na dwa sposoby. Jeśli ludzie nie mają trzeciego życia, zasadzenie jest zabójstwem, na zawsze. Według nas, Pipa i Libo zatrzymali dla siebie ten zaszczyt, pozostawiając Mandachuvę i Liściojada, których znasz, by umarli bez nagrody za swe dokonania. Według nas wy, ludzie, wyszliście zza ogrodzenia i wyrwaliście ich z ziemi, zanim wypuścili korzenie. Według nas to wy popełniliście mord, zabierając Pipa i Liba. Teraz pojmuję wszystko inaczej. Pipa i Libo nie chcieli ofiarować Mandachowie i Liściojadowi trzeciego życia, gdyż dla nich było to morderstwo. Zgodzili się na własną śmierć, żeby nie zabijać nikogo z nas.

— Tak — potwierdziła Novinha.

— Ale w takim razie, kiedy znaleźliście ich na zboczu, dlaczego ludzie nie przyszli do lasu i nie zabili nas wszystkich? Dlaczego nie rozpaliliście wielkiego ognia, który pochłonąłby wszystkich naszych ojców i samo maczyne drzewo? Z lasu rozległ się krzyk Liściojada — straszne wycie, pełne nieznośnego bólu.

— Gdybyście ścięli nasze drzewo — mówił Człowiek — gdybyście zamordowali choćby jedno, przyszlibyśmy nocą i zabili was wszystkich. Choćby nawet kilku z was uszło z życiem, nasi posłańcy przekazaliby wieść innym plemionom. Żaden z ludzi nie opuściłby żywy tej ziemi. Dlaczego nas nie zabiliście za mord na Pipie i Libie? Za Człowiekiem pojawił się nagle Mandachuwa. Dyszał ciężko. Runął na ziemię, wyciągając dłonie do Endera.

— Rozciąłem go tymi rękami — zawołał. — Chciałem go uhonorować, a na zawsze zabiłem jego drzewo!

— Nie — odparł Ender. Ujął dłonie prosiaczka. — Obaj sądziliście, że ratujecie sobie życie. On cię uraził, a ty... zraniłeś go, tak, zabiłeś, ale obaj wierzyliście, że czynicie dobro. To wystarczy, przynajmniej na razie. Poznaliśmy prawdę, wy także. Wiemy, że nie chcieliście ich zamordować. A wy wiecie, że kiedy rozcinacie nożem ludzką istotę, ona umiera na zawsze. To ostatni warunek przymierza, Człowieku. Nigdy nie prowadźcie ludzi do trzeciego życia, gdyż nie wiemy, jak tam trafić.

— Kiedy powtórzę to żonom — stwierdził Człowiek — usłyszycie płacz tak straszny, że będzie jak trzask walonych przez burzę drzew. Odwrócił się, stanął przed Krzykaczką i zaczął mówić.

— Teraz odejdźcie — powiedział po chwili.

— Jeszcze nie zawarliśmy przymierza.

— Muszę przemówić do wszystkich żon. Nie zgodzą się na to, póki stoicie tutaj, w cieniu matczynego drzewa, i nikt nie chroni naszych dzieci. Strzała wyprowadzi was z lasu. Czekaj na mnie na wzgórzu, gdzie Korzeniak trzyma straż przy bramie. Prześpij się, jeżeli zdołasz. Przedstawię nasze przymierze żonom i spróbuję je przekonać, że musimy traktować inne plemiona tak, jak wy nas potraktowaliście. Człowiek wyciągnął rękę i impulsywnie dotknął brzucha Endera.

— Ogłaszam teraz własne przymierze — oznajmił. — Zawsze cię będę szanował, ale nigdy nie zabiję.

Ender przycisnął dłoń do żołądka Człowieka. Wypukłości na skórze prosiaczka zdawały się gorące.

— Ja także będę cię zawsze szanował.

— A jeśli zawrzemy przymierze między twoim i moim plemieniem, czy oddasz mi honor trzeciego życia? Czy sprawisz, że wzniosę się i będę pił światło?

— Czy można zrobić to szybko? Nie tak wolno i strasznie, jak...

— Abym został jednym z milczących drzew? Nigdy nie był ojcem? Istniejącym bez honoru, by żywić swym sokiem brudne macios i dawać braciom drewno, gdy zaśpiewają?

— Czy nie mógłby tego zrobić ktoś inny? — spytał Ender. — Jeden z braci, kto zna drogi waszego życia i śmierci?

— Nie rozumiesz — odparł Człowiek. — Tylko tak plemię przekona się, że powiedziano prawdę. Albo ty zabierzesz mnie do trzeciego życia, albo ja muszę zabrać ciebie, albo nie będzie przymierza. Nie zabiję cię, Mówco, a obaj chcemy układu.

— Uczynię to — rzekł Ender. Człowiek skinął głową, cofnął dłoń i wrócił do Krzykaczki.

— Ó Deus — szepnęła Ouanda. — Jak zdołasz to zrobić?

Ender nie znalazł odpowiedzi. Szedł milcząc za Strzałą, prowadzącym ich między drzewami. Novinha dała mu swoją latarkę i Strzała bawił się nią jak dziecko: zwiększał i zmniejszał krążek światła, zataczał pętle nad krzakami. Ender nie widział jeszcze tak rozbawionego i zadowolonego prosiaczka.

Z tyłu jednak dobiegał ich śpiew żon, ich straszna, kakofoniczna pieśń. Człowiek wyjawiał im prawdę o Pipie i Libie: że umarli ostatecznie, wśród bólu, by nie uczynić Mandachwie i Liściojadowi tego, co uważali za morderstwo. Ludzie milczeli, póki nie oddalili się na tyle, by lament żon ścisł i usłyszeli głos własnych kroków.

— To msza za duszę mego ojca — odezwała się cicho Ouanda.

— I mego — dodała Novinha. Wiedzieli, że mówi o Pipie, nie o zmarłym dawno Venerado Gusto.

Ender nie brał udziału w rozmowie. Nie znał Pipa i Liba, nie dzielił z kobietami wspomnienia rozpacz. Mógł myśleć jedynie o drzewach. Wszystkie były kiedyś żywymi prosiaczkami, wszystkie. Prosiaczki mogły im śpiewać, przemawiać do nich,

czasem nawet rozumieć ich język. Ender tego nie potrafił. Dla niego drzewa nie były ludźmi, nie mogły być ludźmi. Jeśli zagłębi ostrze w ciało Człowieka, dla prosiaczków nie będzie to morderstwem, lecz we własnych oczach zniszczy jedyną część życia Człowieka, jaką mógł zrozumieć. Jako prosiaczek, Człowiek był prawdziwym ramenem, bratem. Jako drzewo będzie czymś trochę tylko lepszym od nagrobka. To tylko Ender pojmował, w to tylko potrafił naprawdę uwierzyć. Jeszcze raz, myślał. Muszę zabić, choć dałem słowo, że już nigdy tego nie zrobię. Poczł na ramieniu dłoń Novinhy. Wsparła się na nim.

— Pomóż mi — poprosiła. — W ciemności jestem jak ślepa.

— Ja dobrze widzę — przypomniał uprzejmie Olhado.

— Zamknij się, durniu — szepnęła gniewnie Ela. — Mama chce iść razem z nim. Novinha i Ender słyszeli ją dobrze i oboje zaśmiali się bezgłośnie. Novinha przysunęła się bliżej.

— Wierzę, że będziesz miał odwagę, by zrobić to, co musisz — szepnęła cicho, by tylko on usłyszał.

— Zimny i bezlitosny? — zapytał. Głos zabrzmiał ironicznie, lecz słowa smakowały gorzko i prawdziwie.

— Współczujący — sprostowała. — Potrafisz przypalić ranę rozgrzanym żelazem, gdy nie ma innego sposobu.

Ona czuła gorące żelazo, wypalające najgłębsze rany; miała prawo to mówić. Uwierzył jej i przygotował swe serce do krwawego dzieła, jakie musiał wykonać. Ender nie sądził, że zdoła usnąć wiedząc, co go czeka. Teraz jednak przebudził się, wciąż słysząc cichy głos Novinhy. Pojął, że jest na dworze, że leży na capim z głową na kolanach kobiety. Było ciemno.

— Nadchodzą — szepnęła Novinha. Ender usiadł. Kiedyś, gdy był dzieckiem, natychmiast odzyskiwał pełną przytomność umysłu. Wtedy jednak był wyszkolonym żołnierzem. Dzisiaj potrzebował kilku chwil, by zorientować się w sytuacji: Ouanda i Ela, obie rozbudzone i czujne; śpiący Olhado, przeciągający się Quim. Parę metrów od niego wznosiło się w górę wysokie drzewo trzeciego życia Korzeniaka. A niedaleko, za ogrodzeniem, w niewielkiej dolince, stały na stokach wzgórz pierwsze domki Milagre; zaś na najwyższych, najbliższych szczytach — katedra i klasztor.

Z drugiej strony las i wychodzący spomiędzy drzew Człowiek, Mandachuva, Liściojad, Strzała, Kubek, Kalendarz, Robak, Tancerz i kilku innych, których imion Ouanda nie znała.

— Nigdy ich nie widziałam — wyjaśniła. — Muszą przybywać z innych braterskich domów. Czy mamy przymierze? pytał bezgłośnie Ender. Tylko to mnie interesuje. Czy Człowiek przekonał żony do nowego sposobu pojmowania świata?

Człowiek niósł jakiś przedmiot. Owinięty w liście. Prosiaczki w milczeniu złożyły go przed Enderem, a Człowiek odwinął ostrożnie. Był to wydruk komputerowy.

— Królowa Kopca i Hegemon — szepnęła Ouanda. — Kopia, którą przyniósł im

Miro.

— Przymierze — oznajmił Człowiek.

Wtedy dopiero zauważyli, że papier leżał tekstem w dół, niezadrukowaną stroną do góry. W świetle latarki dostrzegli słabe, ręcznie pisane litery, duże i niezbyt równe. Ouanda była zdumiona.

— Nie nauczyliśmy ich, jak robić atrament — powiedziała. — Nie nauczyliśmy ich pisać.

— Kalendarz nauczył się stawiać litery — wyjaśnił Człowiek. — Pisał patyczkiem po ziemi. A Robak zrobił atrament z łajna cabry i suszonych macios. Tak zawieracie układy, prawda?

— Tak — przyznał Ender.

— Gdybyśmy nie zapisali go na papierze, zapamiętalibyśmy inaczej.

— To prawda. Słusznie uczyniliście, spisując nasze porozumienie.

— Wprowadziliśmy pewne zmiany. Żony chciały tych zmian, a ja uznałem, że się zgodzisz — Człowiek wskazał fragment tekstu. — Ludzie mogą zawrzeć to przymierze z innymi prosiaczkami, ale nie mogą zawierać innego przymierza. Nie wolno wam uczyć innych prosiaczków tego, czego nas nie nauczycie. Zgadzasz się na to?

— Oczywiście.

— To było najprostsze. A teraz, co się stanie, jeśli nie będzie zgody co do praw? Jeśli nie będzie zgody, gdzie kończą się wasze równiny i ziemie, a zaczynają nasze? Krzykaczka powiedziała: niech królowa kopca rozsądza spory między ludźmi a Małym Ludem. Niech ludzie sądzą między Małym Ludem i królową kopca. I niech Mały Lud będzie sędzią między królową kopca a ludźmi.

Ender zastanawiał się, czy będzie to proste. Nikt z ludzi nie pamiętał tak dobrze strachu, jaki budziły robale trzy tysiące lat temu. Ich owadzie ciała nawiedzały koszmary dzieciństwa ludzkości. Czy mieszkańcy Milagre potrafią przyjąć ich osąd? To trudne. Ale nie bardziej niż to, czego zażądaliśmy od prosiaczków.

— Tak — orzekł Ender. — Na to także się zgadzamy. To słuszne rozwiązanie.

— Kolejna zmiana — Człowiek spojrział na Endera i uśmiechnął się. Wyglądało to przerażająco, gdyż twarze prosiaczków nie były przystosowane do ludzkich min. — Dlatego straciliśmy tyle czasu. Na wszystkie te zmiany. Ender odpowiedział uśmiechem.

— Jeśli plemię prosiaczków nie podpisze porozumienia z ludźmi, i to plemię zaatakuje inne, które zawarło przymierze, wtedy możemy przystąpić do wojny z nimi.

— Co rozumiesz przez atak? — spytał Ender. Jeśli za atak uznają zwykłą zniewagę, ten punkt umowy zniweczy zakaz wojen.

— Atak — odparł Człowiek. — Rozpoczyna się, gdy oni wkraczają na naszą ziemię i zabijają braci lub żony. Nie jest atakiem, gdy gotują się do wojny lub

proponują umowę o przystąpieniu do wojny. Jest atakiem, gdy zaczynają walkę bez umowy. A ponieważ nigdy się nie zgodzimy na wojnę, może się ona rozpocząć wyłącznie od ataku innego plemienia. Wiedziałem, że o to zapytasz. Wskazał odpowiedni fragment. Istotnie, układ precyzyjnie określał, co jest atakiem.

— Mogę się na to zgodzić — uznał Ender. Wprawdzie wybuch wojny pozostanie realną możliwością jeszcze przez wiele pokoleń, może przez całe wieki, gdyż wiele lat upłynie, nim ludzie zawrą przymierze z każdym plemieniem tego świata. Wierzył jednak, że zalety pokojowej egzogamii staną się jasne o wiele wcześniej i niewielu prosiaczków zechce być wojownikami.

— I ostatnia zmiana — oświadczył Człowiek. — Żony chciały cię ukarać za uczynienie przymierza tak trudnym do przyjęcia. Wierzę jednak, że nie uznasz tego za karę. Ponieważ nie wolno nam zabierać was do trzeciego życia, po zawarciu przymierza zakazuje się ludziom zabierać do trzeciego życia braci.

Przez chwilę Ender miał nadzieję, że uzyskał ulaskawienie; nie musi dokonywać czynu, którego odmówili Libo i Pipo.

— Po zawarciu przymierza — wyjaśnił Człowiek. — Będziesz pierwszym i ostatnim z ludzi, którzy ofiarują ten dar. — Chciałbym...

— Wiem, czego pragniesz, przyjacielu Mówco. Dla ciebie jest to morderstwem. Lecz dla mnie... kiedy brat otrzymuje prawo przejścia do trzeciego życia jako ojciec, wybiera swego największego rywala lub najlepszego przyjaciela, by otworzyli mu drogę. Ciebie, Mówco. Czekałem na ciebie od dnia, gdy nauczyłem się storku i przeczytałem Królową Kopca i Hegemonia. Wiele razy powtarzałem swemu ojcu, Korzeniakowi: ze wszystkich ludzi on jeden potrafi nas zrozumieć. Potem Korzeniak powiedział, że przybył twój kosmolot, że to właśnie ty i że na pokładzie jest królowa kopca. Wiedziałem, że zjawieś się, by otworzyć mi przejście, jeśli tylko na to zasłużę.

— Zasłużyłeś, Człowieku — oświadczył Ender.

— Popatrz — powiedział. — Widzisz? Podpisaliśmy przymierze ludzkim sposobem. Na samym dole ostatniej strony wypisano pracowicie dwa słowa.

— Człowiek — odczytał Ender. Drugiego nie rozpoznał.

— To prawdziwe imię Krzykaczki — wyjaśnił Człowiek. — Patrząca w Gwiazdy. Nie ma wprawy w pisaniu... Żony nieczęsto używają narzędzi, ponieważ to bracia wykonują zwykle takie prace. Dlatego kazała ci powiedzieć, jak naprawdę ma na imię. I jeszcze, że otrzymała je, gdyż spoglądała w niebo. Mówi, że wtedy jeszcze o tym nie wiedziała, ale wypatrywała twojego przybycia.

Tylu ludzi, tyle nadziei, które mam spełnić, pomyślał Ender. W końcu jednak wszystko zależy od nich. Od Novinhy, Mira i Eli, którzy mnie wezwali. Od Człowieka i Patrzącej w Gwiazdy. I od tych, którzy lękali się mego przybycia. Robak przyniósł naczynie z atramentem, Kalendarz podał pióro. Była to wąska drewniana drzazga, rozcięta na końcu, z wąskim kanalikiem, gdzie po zanurzeniu pozostawało trochę

cieczy. Ender musiał maczać je pięciokrotnie, zanim napisał swoje imię.

— Pięc — obwieścił Strzała. Ender przypomniał sobie, że piątka ma dla prosiaczków znaczenie magiczne. Zwykły przypadek, ale jeśli chciały go uznać za dobry omen — tym lepiej.

— Zaniosę to przymierze do naszego Zarządcy i biskupa.

— Ze wszystkich dokumentów, jakie ludzkość przechowuje w skarbcu swojej historii... — zaczęła Ouanda. Nie musiała kończyć zdania. Wszyscy zrozumieli bez słów. Człowiek, Liściojad i Mandachuwa starannie owinęli karty w liście i wręczyli je nie Enderowi, ale Ouandzie. Z przerażającą pewnością Ender wiedział, co to oznacza. Wciąż jeszcze czekała go praca, przy której musi mieć wolne obie ręce.

— Przymierze zostało zawarte na sposób ludzi — oznajmił Człowiek. — Teraz musicie je potwierdzić także dla Małego Ludu.

— Czy podpis nie wystarczy? — spytał Ender.

— Od dzisiaj podpis wystarczy — odparł Człowiek. — Ale tylko dlatego, że ręka, która podpisała je w imieniu ludzi, zawrze je także naszym sposobem.

— Uczynię to — zapewnił Ender. — Tak, jak obiecałem. Człowiek wyciągnął rękę i przesunął dłonią od szyi do brzucha Endera.

— Słowo brata nie tkwi tylko w jego ustach — oświadczył. — Słowo brata jest jego życiem. Pozwólcie mi raz jeszcze porozmawiać z moim ojcem, zanim stanę obok niego — dodał, zwracając się do przybyłych wraz z nim prosiaczków.

Dwóch obcych braci wystąpiło naprzód, trzymając w dłoniach krótkie pałki. Wraz z Człowiekiem podeszli do drzewa Korzeniaka, zaczęli bębnić w pień i śpiewać w Języku Ojców. Niemal natychmiast pojawiła się szczelina. Drzewo wciąż było stosunkowo młode, niewiele grubsze od tułowia Człowieka; wślizgnięcie się do wnętrza wymagało wysiłku. Zmieścił się jednak i pień zamknął się za nim. Bębnienie zmieniło rytm, lecz nie ucichło nawet na chwilę.

— Słyszę zmianę rezonansu wewnątrz drzewa — szepnęła Jane. — Ono kształtuje dźwięk i zmienia bębnienie w język.

Pozostałe prosiaczki zajęły się oczyszczeniem terenu pod nowe drzewo. Ender dostrzegł, że miało być zasadzone tak, by patrzący od bramy widział po lewej ręce Korzeniaka, a po prawej Człowieka. Wyrwanie capim z korzeniami było dla prosiaczków trudnym zadaniem; Quim zaczął im pomagać, później Olhado, a potem Ouanda z Elą.

Novinha wzięła przymierze od Ouandy i podeszła z nim do Endera. Spojrzała na niego spokojnie.

— Podpisałeś: Ender Wiggin — powiedziała. — Ender.

Imię zabrzmiało nieprzyjemnie nawet w jego własnych uszach. Zbyt często słyszał je jako obelgę.

— Jestem starszy, niż wyglądam — wyjaśnił. — Tak mnie nazywano w czasach, gdy rozsadziłem w nicość ojczystą planetę robali. Może ten podpis na pierwszym

układzie, zawartym między ludźmi i ramenami, odmieni znaczenie tego imienia.

— Ender — szepnęła. Wyciągnęła ręce, przyciskając mu do piersi pakunek z układem. Był ciężki, gdyż zawierał całą Królową Kopca i Hegemona, na stronach których spisano tekst przymierza. — Nigdy nie spowiadałam się kapłanom, gdyż wiedziałam, że mój grzech wywoła ich pogardę. Gdy jednak obwieściłeś dziś o tym grzechu, potrafiłam to znieść wiedząc, że ty mną nie gardzisz. Nie-wiedziałam jednak, dlaczego. Aż do teraz.

— Nie pogardzam ludźmi za ich grzechy. Nie znalazłem jeszcze takiego, o którym nie powiedziałbym w duchu: dokonywałem gorszych czynów.

— Przez wszystkie lata niosłeś ciężar win ludzkości.

— Nie ma w tym nic mistycznego. Uważam to za coś w rodzaju znamienia Kaina. Nie masz wielu przyjaciół, ale też nikt nie zrobi ci krzywdy.

Teren został oczyszczony. Mandachuwa zawołał coś w Mowie Drzew do bębniących ciągle prosiaczków. Zmienili rytm i znowu otworzył się pień drzewa Korzeniaka. Człowiek wyłonił się z wnętrza jak dziecko przychodzące na świat. Potem stanął na środku nagiej ziemi. Liściojad i Mandachuwa podali mu dwa noże. Biorąc je, Człowiek przemówił — po portugalsku, by rozumieli go ludzie i słowa nabrały przez to większej wagi.

— Powiedziałem Krzykaczce, że utraciliście prawo przejścia do trzeciego życia w rezultacie wielkiego nieporozumienia z Pipem i Libem. Obiecała, że nim minie kolejna dłoń dłoni dni, obaj będziecie rośli w górę, do światła.

Liściojad i Mandachuwa wypuścili noże, pogładzili Człowieka po brzuchu i cofnęli się na skraj oczyszczonego gruntu.

Człowiek podał noże Enderowi. Oba były drewniane. Ender nie potrafił sobie wyobrazić narzędzia, które mogłoby tak wypolerować drewno, by stało się wąskie i ostre, a przy tym tak mocne. Powstały w gotowej formie z serca żywego drzewa, by pomóc bratu w przejściu do trzeciego życia.

Wiedzieć, że Człowiek nie umrze naprawdę było czymś całkiem innym, niż uwierzyć. Ender nie wziął noży. Sięgnął poza ostrza i chwycił Człowieka za przedramiona.

— Dla ciebie to nie jest śmierć. Lecz dla mnie... Ledwie wczoraj zobaczyłem cię po raz pierwszy, a dziś uznaję w tobie brata, jakby Korzeniak był również moim ojcem. Mimo to, gdy wszędzie słońce, nie będę mógł już z tobą rozmawiać. Dla mnie to śmierć, Człowieku, jakkolwiek ty sam to odbierasz.

— Przyjdź i siądź w moim cieniu — odparł Człowiek. — Patrz na promienie słońca przebijające się przez moje liście. Oprzyj plecy o mój pień. I jeszcze coś: dodaj nową opowieść do Królowej Kopca i Hegemona. Nazwij ją Życiem Człowieka. Powiedz ludziom, jak zostałem poczęty na korze drzewa mego ojca i jak narodziłem się w ciemności, pożerając ciało matki. Powiedz, jak pozostawiłem za sobą mrok i wyszedłem na półświatło drugiego życia. Jak żony uczyły mnie języka, a potem

poznawałem cuda, których uczyli Libo, Miro i Ouanda. Powiedz, jak w ostatnim dniu drugiego życia przybył z nieba mój prawdziwy brat i razem zawarliśmy to przymierze, by ludzie i prosiaczki byli jednym plemieniem; nie plemieniem ludzi czy plemieniem prosiaczków, ale plemieniem ramenów. A potem mój przyjaciel otworzył mi drogę do trzeciego życia, do pełnego światła, bym rósł w niebo i przed śmiercią dał życie dziesięciu tysiącom dzieci.

— Opowiem twoją historię — przyrzekł Ender.

— Wtedy naprawdę będę żył wiecznie. Ender wziął noże. Człowiek położył się na nagiej ziemi.

— Olhado — zawołała Novinha. — Quim. Wracajcie do bramy. Ela, ty też.

— Chcę to zobaczyć, mamó — oświadczyła Ela. — Jestem ksenobiologiem.

— Zapominasz o moich oczach — dodał Olhado. — Rejestruję wszystko. Wszędzie możemy pokazać ludziom, że podpisano układ. I możemy pokazać prosiaczkom, że Mówca dopełnił przymierza ich sposobem.

— Ja też nie pójdę — stwierdził Quim. — Nawet Błogosławiona Dziewica stała u stóp krzyża.

— Możecie zostać — zgodziła się Novinha. Sama została także. Włożono capim w usta Człowieka, lecz on nie przeżuwał jej zbyt mocno.

— Jeszcze — poprosił Ender. — Żebyś nic nie poczuł.

— Dlaczego? — zaprotestował Mandachuva. — To ostatnie chwile jego drugiego życia. Dobrze jest czuć ból ciała, by go wspominać, gdy będziesz żył po raz trzeci, poza zasięgiem bólu. Mandachuva i Liściojad pouczyli Endera, gdzie wykonać cięcie. Trzeba to robić prędko, powiedzieli, sięgając do wnętrza parującego ciała by wskazać organy, które należy ułożyć tu czy tam. Dłonie Endera były szybkie i pewne, umysł spokojny; lecz choć nie znalazł wolnej chwili, by oderwać wzrok od operacji, wiedział, że ponad krwawym dziełem obserwują go oczy Człowieka. Obserwują go, pełne miłości i wdzięczności, pełne cierpienia i śmierci. To się stało pod jego palcami, tak prędko, że przez kilka minut mogli się przyglądać, jak rośnie. Kilka większych organów skurczyło się nagle wypuszczając korzenie, nitki sięgnęły z różnych miejsc wewnątrz ciała. Oczy Człowieka rozszerzyły się w ostatecznym cierpieniu, a z jego kręgosłupa wystrzelił w górę pęd... dwa liście, cztery liście...

Znieruchomiał. Ciało było martwe; ostatni spazm energii stworzył drzewo, zakorzenione w zwłokach Człowieka. Ender widział wyrastające witki i korzonki. Wspomnienia i dusza Człowieka przeniosły się w komórki pędu. Dzieło zostało dokonane. Rozpoczęło się trzecie życie. Gdy słońce wszędzie o świcie, już niedługo, liście po raz pierwszy posmakują światła. Prosiaczki cieszyły się i tańczyły. Liściojad i Mandachuva odebrali Enderowi noże, by wbić je w ziemię po obu stronach głowy Człowieka. Ender nie dzielił z nimi radości. Zalany był krwią, cuchnął śmiercią ciała, które zabił. Na czworakach odczołgał się w górę do miejsca, skąd nie musiał na nie patrzeć. Novinha poszła za nim. A za nią reszta, wszyscy zmęczeni i

wyczerpani pracą i przeżyciami minionego dnia. Nic nie mówili, niczego nie robili; padli w gęstą capim, każdy wspierając się na kimś innym. We śnie szukali odpoczynku, gdy prosiaczki tańczyły coraz wyżej i dalej, aż wreszcie zniknęły w lesie.

Bosquinha i biskup Peregrino stanęli przed bramą zanim jeszcze wzeszło słońce, by zobaczyć, jak wraca Mówca. Czekali pełne dziesięć minut, nim dostrzegli jakiś ruch na skraju lasu. Zaspany chłopiec opróżnił pęcherz pod krzakiem.

— Olhado! — krzyknęła burmistrz.

Chłopiec obejrzał się, pomachał, po czym szybko zapiął spodnie i zaczął budzić innych, śpiących w wysokiej trawie. Bosquinha i biskup otworzyli wrota i ruszyli w ich kierunku.

— To głupie — stwierdziła burmistrz. — Ale dopiero teraz nasz bunt wydaje się rzeczywisty. Kiedy pierwszy raz w życiu wyszłam poza ogrodzenie.

— Czemu spędzili noc na dworze? — zastanawiał się głośno Peregrino. — Brama była otwarta, mogli przecież wrócić do domu.

Bosquinha przyjrzała się szybko oczekującej ich grupie. Ouanda i Ela, ramię w ramię, jak siostry. Olhado i Quim. Novinha. A tam... tak, to Mówca. Siedział na ziemi, a stojąca za nim Novinha opierała mu ręce na ramionach. Czekali w milczeniu. Wreszcie Ender podniósł głowę.

— Zawarliśmy układ — powiedział. — Dobry układ. Novinha podniosła owinięty w liście pakunek.

— Spisali go — wyjaśniła. — Dla was, do podpisu. Bosquinha odebrała zawiniątko.

— Wszystkie dane zostały odtworzone jeszcze przed północą — oznajmiła. — Nie tylko te przesłane jako wiadomości do ciebie. Kimkolwiek jest twój przyjaciel, Mówco, potrafi wiele.

— Przyjaciółka — sprostował Mówca. — Ma na imię Jane.

Biskup i Bosquinha dostrzegli teraz, co leży na oczyszczonej ziemi poniżej miejsca, gdzie spał Mówca. Zrozumieli, co oznaczają ciemne plamy na jego dłoniach i ramionach, kropki na twarzy.

— Wolałabym nie mieć układu — oświadczyła burmistrz — niż dostać ten, dla którego musiałeś zabić.

— Wstrzymaj się z sądem — przerwał jej biskup. — Wierzę, że w zdarzeniach tej nocy zawarte jest więcej, niż możemy zobaczyć.

— Bardzo mądrze, ojciec Peregrino — rzekł cichym głosem Mówca.

— Mogę wszystko wyjaśnić — zaproponowała Ouanda. — Ela i ja rozumiemy to tak dobrze, jak Mówca.

— To było jak sakrament — dodał Olhado. Bosquinha spojrzała zdumiona na Novinhę.

— Pozwoliłaś mu patrzeć? Olhado postukał się w powieki.

— Wszystkie prosiaczki zobaczą to kiedyś przez moje oczy.

— To nie była śmierć — stwierdził Quim. — To zmartwychwstanie. Biskup zbliżył się do umęczonego ciała i dotknął młodego drzewka, wyrastającego z klatki piersiowej.

— Ma na imię Człowiek — poinformował Mówca.

— Ty także — odparł cicho biskup. Odwrócił się i ogarnął wzrokiem członków swej niewielkiej trzody, którzy posunęli ludzkość o krok dalej, niż dotarła kiedykolwiek. Czy jestem pasterzem, spytał sam siebie. Czy najbardziej zagubioną i bezradną z owiec?

— Chodźcie wszyscy. Chodźcie ze mną do katedry. Wkrótce dzwony zadzwonią na mszę. Dzieci stanęły razem. Novinha także porzuciła swe miejsce za plecami Mówcy. Zaraz jednak zatrzymała się i obejrzała na niego z niemą prośbą w oczach.

— Już niedługo — odpowiedział. — Jeszcze chwilę. Ona także podążyła za biskupem, przez bramę i w górę, do katedry.

Msza się dopiero zaczęła, gdy Peregrino dostrzegł wchodzącego do kościoła Mówcę. Stanął u wejścia, szukając wzrokiem Novinhy. Po chwili zajął miejsce obok niej. Tam, gdzie siadywał Marcao przy rzadkich okazjach, gdy cała rodzina przychodziła razem.

Obowiązki oderwały jego uwagę, a gdy po kilku minutach spojrzał znowu, zobaczył Grega siedzącego obok Mówcy. Peregrino myślał o warunkach układu, który wyjaśniły mu dziewczęta. O znaczeniu śmierci prosiaczka zwanego Człowiekiem, a przed nim śmierci Pipa i Liba. Wszystkie rzeczy nabrały sensu, wszystkie połączyły się razem. Młody chłopiec, Miro, sparaliżowany w łóżku i opiekująca się nim jego siostra, Ouanda. Novinha, tak długo zagubiona, teraz odnaleziona. Ogrodzenie i jego cień, siejący mrok w duszach wszystkich, którzy żyli w jego granicach, teraz nieruchomy, nieszkodliwy, niewidzialny i nierzeczywisty.

To było jak cud opłatka zmienionego w ciało Boże w jego ręku. Jak niespodziewanie odnajdujemy ciało Boże w nas samych, gdy sądziliśmy już, że z prochu tylko powstajemy.

ROZDZIAŁ 18

KRÓLOWA KOPCA

Ewolucja nie dała jego matce dróg rodnych i piersi. Tak więc mała istota, która pewnego dnia miała otrzymać imię Człowieka, nie miała innego sposobu na wyjście z macicy niż poprzez użycie własnych zębów. On i jego rodzeństwo pożerali ciało matki. Człowiek był najsilniejszy i najbardziej żywotny, więc jadł najwięcej i stał się jeszcze silniejszy. Żył w absolutnej ciemności. Gdy zniknęła matka, do jedzenia pozostała tylko słodka ciecz płynąca po ścianach jego świata. Nie wiedział wtedy, że pionowa powierzchnia jest wewnętrzną stroną pustego pnia wielkiego drzewa, a ciecz, którą się żywił, jest „tego drzewa sokiem. Nie wiedział też, że ciepłe stworzenia, o wiele od niego większe, to starsze prosiaczki, gotowe niemal, by

opuścić mrok drzewa; ani że mniejsze istoty to młodszy współplemieńcy, później od niego narodzeni.

Dbał wtedy tylko o to, by jeść, poruszać się i widzieć światło. Gdyż od czasu do czasu, wśród rytmów, których nie pojmował, nagły blask rozdzierał ciemność. Za każdym razem zaczynało się to od dźwięku, którego źródła nie dostrzegał. Drzewo drżało lekko i sok przestawał płynąć; drzewo poświęcało całą swą energię na zmianę kształtu pnia w jednym punkcie, na utworzenie szczeliny, przez którą wpadało do wnętrza światło. Widząc je, Człowiek podążał w jego stronę. Kiedy gasło, tracił poczucie kierunku i błąkał się w poszukiwaniu odżywczego płynu.

Aż pewnego dnia, gdy prawie wszystkie stworzenia były mniejsze od niego, a wszystkie większe zniknęły, nadeszło światło. Był wtedy tak silny i szybki, że dotarł do szczeliny, nim się zamknęła. Wygiął swe ciało wokół krzywizny pnia i po raz pierwszy poczuł miękkim brzuchem szorstką korę. Nie zauważył niemal tego nowego bólu, gdyż oszołomił go blask. Był wszędzie, nie tylko w jednym miejscu. I nie szary, a jaskrawy, zielony i żółty. To oszołomienie trwało wiele sekund. A potem znów poczuł głód. Tutaj, na zewnątrz matczynego drzewa, sok płynął jedynie przez pęknięcia w korze, gdzie trudno było dotrzeć. W dodatku stworzenia nie były już małe i nie mógł ich odsunąć na bok; wszystkie były większe od niego i odpychały go od miejsc karmienia. To było nowe doświadczenie, nowy świat, nowe życie. Bał się.

Później, gdy poznał mowę, pamiętał podróż z ciemności ku światłu i nazywał ją przejściem z pierwszego do drugiego życia, z życia w mroku do życia półświatłonego.

Mówca Umarłych, Życie Człowieka, 1:1-5

Miro postanowił opuścić Lusitanię. Wziąć statek Mówcy i jednak polecieć na Trondheim. Może podczas procesu zdoła przekonać Sto Światów, by nie wyruszały na wojnę z Łuskania. W najgorszym razie zostanie męczennikiem, poruszy ludzkie serca, będzie pamiętany jako symbol. Cokolwiek się zdarzy, będzie lepsze, niż życie tutaj. Przez pierwsze dni po sforsowaniu ogrodzenia jego stan szybko się poprawiał. Odzyskał częściową zdolność ruchu i czucie w kończynach. Potrafił chodzić powłócząc nogami, jak starzec. Potrafił operować rękami i dłońmi. Nie przeżywał już poniżenia, gdy matka musiała go myć. Potem jednak postęp zwolnił i zatrzymał się. — To wszystko — powiedział mu Navio. — Osiągnęliśmy poziom trwałych uszkodzeń. Miałeś szczęście, Miro. Możesz chodzić, mówić, dysponujesz sprawnym mózgiem. Jesteś ograniczony nie bardziej, niż powiedzmy, stuletni mężczyzna w doskonałym zdrowiu.

Wolałbym ci obiecać, że twój organizm wróci do stanu, w jakim był zanim wspiąłeś się na ogrodzenie, że będziesz znowu silny i sprawny jak dwudziestolatek. Ale naprawdę się cieszę, że nie muszę ci tłumaczyć, że już do końca życia będziesz przykuty do łóżka, w pieluchach i z cewnikiem, zdolny co najwyżej do słuchania

cichej muzyki i myśli o tym, co się stało z twoim ciałem.

Jestem wdzięczny, myślał Miro. Kiedy moje palce zamykają się w bezużyteczną bryłę na końcu ramienia, kiedy słyszę własny głos, bełkotliwy i niezrozumiały, niezdolny do poprawnej modulacji, tak się cieszę, że przypominam stuletniego mężczyznę i mogę oczekiwać jeszcze osiemdziesięciu lat życia stulatka.

Gdy tylko stało się jasne, że nie wymaga stałej opieki, rodzina porzuciła go i zajęła się swoimi sprawami. Zbyt wiele ciekawych rzeczy działo się ostatnio, by siedzieć w domu z okaleczonym synem, bratem, przyjacielem. Rozumiał to doskonale. Nie chciał, żeby z nim zostawali. Chciał iść z nimi. Czekala niedokończona praca. Zniknęły wreszcie wszelkie bariery, ogrodzenia i zakazy; mógł pytać prosiaczki o wszystko, co męczyło go od dawna. Z początku próbował prowadzić badania poprzez Ouandę. Przychodziła do niego codziennie rano i wieczorem, by wprowadzać swoje wyniki z terminala we frontowym pokoju domu Ribeirów. Czytał jej raporty, robił uwagi, słuchał opowieści. Ona zaś bardzo poważnie notowała pytania, które chciałby zadać prosiaczkom. Po kilku dniach jednak zauważył, że dostarcza mu wprawdzie odpowiedzi, lecz bez żadnych uzupełnień, bez wyjaśniania znaczeń. Całkowicie poświęciła się własnym studiom. Dlatego przestał zadawać pytania. Kłamał, że o wiele bardziej interesują go jej wyniki, że jej programy badawcze są ważniejsze. Prawda polegała na tym, że nienawidził spotkań z Ouandą. Dla niego odkrycie, że są rodzeństwem, było bolesne i straszne; wiedział jednak, że gdyby od niego tylko zależała decyzja, odrzuciłby tabu kazirodztwa, poślubił ją i, jeśli trzeba, zamieszkał w lesie, wśród prosiaczków. Lecz Ouandą była wierząca, była wyznawcą. Nie potrafiłaby naruszyć jedynego uniwersalnego prawa ludzi. Płakała, gdy dowiedziała się, że Miro jest jej bratem, ale od razu zaczęła się od niego odsuwać, zapominać dotknięcia, pocałunki, szept, pieszczoty, śmiechy...

Lepiej, by on także je zapomniał. Nie potrafił jednak. Przy każdym spotkaniu cierpiał widząc, jak bardzo jest obojętna, uprzejma i grzeczna. Był jej bratem, był kaleką, będzie więc dla niego dobra. Ale miłość odeszła.

Bezlitośnie porównywał Ouandę do swojej matki, która kochała swojego wybrańca nie zważając na dzielące ich bariery. Ale kochanek matki był w pełni mężczyzną, nie taką bezużyteczną kłodą.

Tak więc Miro siedział w domu i studiował raporty cudzych prac. Torturą było wiedzieć, co robią inni i nie brać w tym udziału; lepsze to jednak, niż nic nie robić, oglądać na terminalu nudne wideo czy słuchać muzyki. Potrafił pisać, powoli mierzając dłonią tak, by jego najsztwniejszy, wskazujący palec trafiał dokładnie w jeden klawisz. Procedura nie była dostatecznie szybka, by wprowadzić jakiegokolwiek znaczące dane, czy choćby pisać notatki. Mógł jednak wywołać ogólnodostępne pliki innych badaczy i sprawdzić, czym się zajmują. W ten sposób zachowywał kontakt z kluczowymi wynikami, jakie otrzymano od chwili otwarcia bramy.

Ouandą pracowała nad kompletnym słownikiem Mowy Mężczyzn i Żon, wraz z

fonologicznym systemem zapisu, by prosiaczki mogły notować własne słowa. Quim jej pomagał, lecz Miro wiedział, że ma w tym własny cel: zamierzał zostać misjonarzem wśród innych plemion, nieść im Słowo Boże, zanim poznają Królową Kopca i Hegemona. Planował też tłumaczenie przynajmniej fragmentów Pisma, by mówić do prosiaczków w ich własnej mowie. Studia nad językiem i kulturą prosiaczków były cenne, bardzo ważne dla wiedzy o historii i przygotowania kontaktów z innymi plemionami. Miro wiedział jednak, że równie dobrze mogli je prowadzić naukowcy Dom Cristao, którzy wędrowali w swych habitach, zadawali prosiaczkom pytania i udzielali rzeczowych, pełnych odpowiedzi. Zdaniem Mira, Ouandą z własnej woli schodziła na boczny tor.

Prawdziwą pracę z prosiaczkami wykonywał, według Mira, Ender i kilku głównych techników z wydziału służb miejskich Bosquinhy. Kładli rurociąg z rzeki do polany matczynego drzewa, by doprowadzić tam wodę. Zakładali elektryczność i uczyli braci korzystania z terminali komputerowych. Wykładali im także podstawy prymitywnego rolnictwa; próbowali oswoić cabry i nauczyć je ciągnąć pług. Pewne zamieszanie powodowało równoczesne wprowadzanie techniki na tak różnych poziomach. Ender omówił to z Mirem. Wyjaśnił, że chce, by prosiaczki zobaczyły szybkie, gwałtowne i natychmiastowe wyniki zawartego traktatu: bieżącą wodę, holograficzny terminal pozwalający czytać wszystko, co zawiera biblioteka. Wszystko to jednak pozostało magią, całkowicie zależną od dobrej woli ludzi. Jednocześnie Ender starał się, by społeczność prosiaczków była samowystarczalna i twórcza. Szok elektryczności stworzy mity, powtarzane we wszystkich plemionach świata, jednak przez wiele jeszcze lat pozostanie tylko bajką. Drewniany pług, kosa, brona, i nasiona amarantu dokonywały realnych zmian, a gdzie one nastąpią, populacja prosiaczków może wzrosnąć nawet dziesięciokrotnie. Dla takich przemian wystarczy garść ziarna w sakwie ze skóry cabry i wiedza, jak wykonać pracę.

To było dzieło, o którym marzył Miro. Ale do czego mogły się przydać jego niezgrabne ręce i chwiejny kok? Co mógł robić — siedzieć przy kołowrotku i prząść wełnę cabra? Nie chodził nawet tak dobrze, by zostać nauczycielem.

Ela tworzyła nowe odmiany ziemskich roślin, a nawet niewielkich zwierząt i owadów, nowych gatunków, odpornych czy wręcz neutralizujących Descoladę. Mama wspomagała ją radą, ale niczym więcej, gdyż pracowała nad najważniejszym i tajnym projektem. I znowu to właśnie Ender zjawił się u Mira, by powiedzieć mu o tym, o czym wiedziała tylko jego rodzina i Ouanda: królowa kopca żyje i zostanie rozbudzona, gdy tylko Novinha znajdzie sposób, by uodpornić na Descoladę ją samą i wszystkie robale, które urodzi. Gdy tylko tego dokona, królowa wróci do życia.

W tym przedsięwzięciu Miro także nie weźmie udziału. Po raz pierwszy w historii ludzie i dwie obce rasy żyły razem jako ranieni na tej samej planecie, a on został z tego wyłączony. Był człowiekiem w mniejszym stopniu niż prosiaczki. Nie potrafił mówić ani operować rękami nawet w połowie tak dobrze, jak one. Nie był już

zwierzęciem używającym narzędzi i mowy. Stał się varelse. Trzymali go tylko jako domowe zwierzątko. Chciał odejść. A jeszcze lepiej zniknąć, uwolnić się nawet od samego siebie. Ale jeszcze nie teraz. Pojawiła się nowa zagadka, o której tylko on wiedział i tylko on mógł rozwiązać: jego terminal zachowywał się bardzo dziwnie.

Zauważył to w pierwszym tygodniu po ustąpieniu paraliżu. Sprawdzał jakieś dane Ouandy i nagle zdał sobie sprawę, że nie robiąc nic szczególnego uzyskał dostęp do jej osobistych plików. Były chronione kilkoma warstwami zabezpieczeń, a on nie miał pojęcia o hasłach, a mimo to zwykły, rutynowy skan odsłonił ukryte informacje. Dotyczyły hipotetycznej ewolucji prosiaczków i prawdopodobnych pre-Descoladowych wzorców społecznych i behawioralnych. Jeszcze dwa tygodnie temu rozmawiałyby o tym i kłóciła się z Mirem. Teraz umieściła w chronionych zbiorach i nie poruszała tego tematu. Miro nie zdradził jej, że widział pliki. Sterował jednak rozmową tak, by ją wysondować. Gdy okazał zainteresowanie, Ouanda swobodnie opowiadała mu o swoich teoriach. Zdawało się, że wróciły dawne czasy. Tyle że słysząc własny, bełkocący głos, Miro wolał zachować opinie dla siebie. Słuchał tylko, pomijając milczeniem kwestie, które dawniej wzbudziłyby jego sprzeciw. Dzięki jej poufny danym wiedział, czym zajmuje się naprawdę. Ale jak do nich dotarł?

Podobne przypadki zdarzały się ciągle, ze zbiorami Eli, mamy, Dom Cristao. Gdy prosiaczki zaczęły się bawić nowym terminalem, Miro mógł je obserwować w trybie echa, z którego terminal jeszcze nigdy nie korzystał. Mógł śledzić wszystkie ich komputerowe przekazy, proponować pewne rozwiązania, dokonywać niewielkich zmian. Szczególną przyjemność odczuwał zgadując, czego prosiaczki naprawdę chcą i pomagając im dyskretnie. W jaki sposób uzyskał tak nietypowy, pełny dostęp do możliwości maszyny? Terminal także się do niego dostosowywał. Zamiast długich sekwencji kodu, Miro wystukiwał tylko kilka pierwszych znaków i komputer wykonywał jego polecenia. W końcu nie musiał nawet włączać się do sieci. Dotykał klawiatury i terminal wyświetlał listę wszystkich procedur, z jakich zwykle korzystał. Potem przesuwając je, a Miro wciskał dowolny klawisz i terminal uruchamiał żadaną funkcję, pomijając dziesiątki czynności wstępnych i oszczędzając męczących minut wystukiwania jednego znaku po drugim. Z początku Miro uznał, że Olhado napisał dla niego specjalny program. A może ktoś z biura burmistrza. Ale Olhado spojrzał zdziwiony na wyczyny terminala i oświadczył: Bacna, kapitalne. A kiedy Miro wysłał wiadomość do Bosquinhy, nigdy jej nie otrzymała. Odwiedził go za to Mówca Umarłych.

— Widzę, że twój terminal stał się pomocny — stwierdził.

Miro nie odpowiedział. Usiłował odgadnąć, czemu — w odpowiedzi na jego notkę — burmistrz wysłała Mówcę.

— Burmistrz nie dostała twojej wiadomości — wyjaśnił Ender. — Ja ją dostałem. Lepiej, żebyś nikomu więcej nie wspominał, co robi twój terminal.

— Czemu? — spytał Miro. Było to jedyne słowo, które potrafił wymówić w miarę

wyraźnie.

— Bo to nie nowy program ci pomaga. To osoba.

Miro zaśmiał się. Program, który mu pomagał, był szybszy niż człowiek. Był szybszy nawet niż większość programów, z którymi dotąd pracował, bardzo pomysłowy i obdarzony intuicją. Szybszy niż człowiek, ale mądrzejszy niż program.

— To moja stara przyjaciółka. Tak sądzę. W każdym razie to ona powiedziała mi o twojej wiadomości i prosiła, żebym ci przekazał jej prośbę o dyskrecję. Widzisz, ona jest trochę wstydliva. Nie ma wielu przyjaciół.

— Ilu?

— W tej chwili dokładnie dwóch. Przez ostatnie kilka tysięcy lat, dokładnie jednego.

— Nie człowiek — odgadł Miro.

— Ramen — potwierdził Ender. — Bardziej ludzka niż większość ludzi. Od bardzo dawna kochaliśmy się wzajemnie, pomagaliśmy sobie, zależeliśmy od siebie. Ale w ostatnich tygodniach, odkąd tu przyleciałem, oddaliśmy się. Ja... zaangażowałem się w życie ludzi wokół mnie. Twojej rodziny.

— Mamy.

— Tak. Twojej matki, twoich braci i siostr. W pracę z prosiaczkami, pracę dla królowej kopca. Kiedyś rozmawialiśmy ze sobą bez przerwy. Teraz nie mam czasu. Czasem raniliśmy swoje uczucia. Jest bardzo samotna, przypuszczam więc, że znalazła sobie nowego towarzysza.

— Nao quero. Nie potrzebuję.

— Owszem, potrzebujesz. Ona już ci pomogła. Teraz, kiedy wiesz, że istnieje, przekonasz się, że... jest dobrym przyjacielem. Nie znajdziesz lepszego. Bardziej lojalnego. I wiernego.

— Jak piesek?

— Nie bądź durniem — zirytował się Ender. — Poznaje cię właśnie z czwartą obcą rasą. Podobno jesteś ksenologiem? Ona cię zna, Miro. Twoje problemy zdrowotne nie mają dla niej znaczenia. W ogóle nie ma ciała. Istnieje wśród Biotycznych drgnień przekazów ansibli Stu Światów. To istota najinteligentniejsza spośród żyjących. Jesteś drugim człowiekiem, któremu postanowiła zdradzić swe istnienie.

— Jak? Jak powstała? Jak mnie poznała i dokonała wyboru?

— Sam jej zapytaj — Ender dotknął klejnotu w uchu. — Tylko jedna rada: kiedy ci zaufa, zawsze miej ją przy sobie. Niczego przed nią nie ukrywaj. Miała kiedyś ukochanego, który ją wyłączył. Na godzinę tylko, ale nic już nie było między nimi takie jak przedtem. Stali się... przyjaciółmi. Dobrymi, lojalnymi przyjaciółmi, na zawsze, póki on nie umrze. Ale przez całe życie będzie żałował jednego bezmyślnego aktu nielojalności.

Oczy Endera załśniły i Miro pojął, że ta istota żyjąca w komputerze nie jest

fantomem. Stała się częścią życia tego człowieka, który, jak ojciec synowi, przekazywał teraz Miro prawo poznania jego przyjaciółki.

Ender wyszedł bez słowa, a Miro spojrział na terminal. Było tam holo kobiety. Niewysoka, siedziała na stołku, oparta o holograficzną ścianę. Nie była piękna. Ale nie brzydka. Jej twarz zdradzała charakter. Oczy były skupione, niewinne, smutne; usta delikatne, tuż przed uśmiechem, tuż przed szlochem. Suknia przypominała welon, niematerialny, ale nie prowokujący; odsłaniał czystą niewinność, dziewczęce ciało o małych piersiach, dłonie splecione na kolanach, stopy rozsunęte po dziecinnemu z palcami do wewnątrz. Mogła siedzieć w ten sposób na huśtawce z placu zabaw. Albo na łóżku kochanka.

— Bom dia — odezwał się cichym głosem Miro.

— Cześć — odpowiedziała. — Prosiłam go, żeby nas sobie przedstawił.

Była chłodna i spokojna, ale Miro czuł się zawstydzony. Od tak dawna jedyną kobietą w jego życiu była Ouanda — jeśli nie liczyć żeńskiej części rodziny. Nie wierzył w swój talent towarzyski. Równocześnie doskonale pojmował, że rozmawia z hologramem. Bardzo przekonywającą, ale jednak tylko przestrzenną projekcją laserową. Podniosła rękę i położyła na swojej piersi.

— Nic nie czuję — oznajmiła. — Nie mam nerwów. Miro łyży stanęły w oczach. Z żalu nad sobą, naturalnie. Już do końca życia nie będzie miał kobiety bardziej materialnej niż ta. Gdyby którejś dotknął, jego pieczyoty byłyby niezgrabnym obmacywaniem. Czasem, kiedy nie uważał, zaczynał się ślinić i nawet tego nie czuł. Cóż za kochanek!

— Mam za to oczy — powiedziała. — I uszy. Widzę wszystko na każdym ze Stu Światów. Obserwuję niebo tysiącami teleskopów. Codziennie słucham trylionów rozmów — zachichotała.

— Jestem największą plotkarką we wszechświecie.

Potem, niespodziewanie, wstała, urosła, zbliżyła się tak, że widział ją tylko od pasa w górę, jakby podeszła do obiektywu niewidocznej kamery. Jej oczy płonęły, gdy wpatrywała się prosto w niego.

— A ty jesteś tylko chłopaczkiem z parafii, który widział w życiu jedno miasteczko i jeden las.

— Nie miałem wielu możliwości wyjazdu.

— Pomyślimy o tym. No, dobrze. Co chcesz dzisiaj robić?

— Jak ci na imię? — zapytał.

— Nie musisz znać mojego imienia — odparła.

— Jak mam cię wołać?

— Będę tu, kiedy zechcesz. Dotknęła swego ucha.

— Kiedy tak ranie polubisz, że wszędzie ze sobą zabierzesz, wtedy ci powiem, jak mam na imię. Pchnięty nagłym impulsem, powiedział jej to, czego nie zdradził jeszcze nikomu.

— Chcę opuścić tę planetę. Możesz mnie zabrać z Lusitanii? Natychmiast przybrała kokieteryjną, kpiącą pozę.

— Przecież dopiero się poznaliśmy. Doprawdy, panie Ribeira, nie należę do tych dziewcząt.

— Może kiedy się lepiej poznamy — odparł ze śmiechem Miro. Dokonała subtelного, cudownie płynnego przejścia i kobieta na ekranie stała się smukłą kotką, wyciągniętą zmysłowo na gałęzi. Zamruczała głośno, wysunęła łapę, przyczesła sierść.

— Mogę złamać ci kark jednym ciosem — szepnęła. Głos był uwodzicielski, lecz szpony groziły śmiercią. — Kiedy spotkam cię samego, mogę ci przegryźć gardło jednym pocałunkiem.

Zaśmiał się. Potem zdał sobie sprawę, że podczas rozmowy całkiem zapomniał, jak niewyraźnie mówi. Rozumiała każde słowo. Ani razu nie powiedziała: Co? Mógłbyś powtórzyć? Nie użyła żadnego z tych uprzejmych, choć doprowadzających do pasji zwrotów. Pojmowała go bez trudu.

— Chcę zrozumieć wszystko — oświadczył Miro. — Chcę wiedzieć wszystko, a potem zestawić razem i zbadać, co się tam kryje.

— Znakomity projekt — przyznała. — Będzie dobrze wyglądał w twoim resume.

Ender przekonał się, że Olhado był lepszym kierowcą od niego. Miał większą głębię ostrości, a kiedy podłączył oko bezpośrednio do pokładowego komputera, nawigacja przestała sprawiać kłopoty. Ender skupił całą uwagę na obserwacji okolicy.

Od pierwszych lotów badawczych sceneria była wyjątkowo monotonna. Nieskończona preria, ogromne stada cabry, z rzadka daleki las — nigdy się nie zbliżali, by nie zwracać uwagi żyjących tam prosiaczków. Zresztą, szukali domu dla królowej kopca, a ten nie powinien się znaleźć zbyt blisko któregoś z plemion.

Dziś wyruszyli na zachód, za Las Korzeniaka. Lecieli wzdłuż niewielkiej rzeczki, aż do jej ujścia. Tam wylądowali na piasku, o który łagodnie uderzały fale. Ender spróbował wody. Słona. Morze.

Na polecenie Olhada pokładowy komputer wyświetlił mapę tego regionu Lusitanii i zaznaczył ich pozycję, Las Korzeniaka oraz pobliskie osiedla prosiaczków. To było dobre miejsce, i gdzieś w głębi umysłu Ender wyczuwał aprobatę królowej kopca. Blisko morza, dużo wody, słońce.

Prześliznęli się nad falami, przelecieli kilkaset metrów w górę rzeki do miejsca, gdzie prawy brzeg wznosił się tworząc niewysokie urwisko.

— Znajdziesz miejsce do lądowania? — spytał Ender.

Olhado znalazł, pięćdziesiąt metrów od szczytu wzgórza. Pieszko wrócili do rzeki, gdzie trzcina ustępowała miejsca gramie. Wszystkie rzeki na Lusitanii wyglądały podobnie. Gdy tylko Ela uzyskała dostęp do danych Novinhy oraz zgodę na podjęcie tematu, bez trudu udokumentowała wzorce genetyczne. Trzciny reprodukowały się wspólnie z muchopijkami. Grama kopulowała z węzami wodnymi. Wreszcie,

nieskończone przestrzenie capim, pocierającej pełnymi pyłkami kwiatami o podbrzusza cabra, by zapłodnić kolejną generację produkujących nawóz zwierząt. Wplecione w korzenie i łodygi capim wiły się tropeęs, długie pnącza o tych samych genach co xingadora, ptak używający żywych roślin na swe gniazda. Te same układy par obowiązywały także w lesie: robaki macios wykluwały się z nasion powoju merdony i rodziły jej nasiona. Puladory, niewielkie owady, łączyły się z krzewami o lśniących liściach. A ponad wszystkim prosiaczki i drzewa, na szczytach swoich królestw zwierząt i roślin, splatały się w jedno długie życie.

Tak wyglądała lista, pełna listy, lądowych zwierząt i roślin planety. Pod wodą było ich więcej, o wiele więcej. Lecz Descolada uczyniła łuskanie monotonna.

Jednak nawet monotonia posiadała swe piękno. Geografia była zmienna, jak na każdej innej planecie — rzeki, wzgórza, góry, pustynie, oceany, wyspy. Dywan capim i łaty lasów tworzyły tło dla symfonii form geologicznych. Oko stawało się wyczulone na falowania, skalne odkrywki, urwiska, doliny, a przede wszystkim na iskrzenie płynącej w słońcu wody. Lusitania, podobnie jak Trondheim, była jednym z nielicznych światów, gdzie zamiast pełnej gamy możliwości dominował jeden tylko motyw. Na Trondheimie powodem tego było położenie planety na samej granicy zdatności do zasiedlenia. Życie lądowe ledwie trwało w ostrym klimacie. Za to klimat i gleba Lusitanii prosiły o pług oracza, kilof górnik, kielnię murarza. Przynieście nam życie, wołały.

Ender nie zdawał sobie sprawy, że kocha to miejsce właśnie dlatego, że jest zniszczone i nagie jak jego życie, ogołoczone i zniekształcone w dzieciństwie przez wydarzenia równie straszne, jak Descolada dla tego świata. A jednak planeta kwitła; znalazła, kilka wątków dostatecznie silnych, by przetrwać i rosnąć. Z wyzwania Descolady powstały trzy życia Małego Ludu. Ze Szkoły Bojowej i długich lat odosobnienia powstał Ender Wiggin. Pasował tutaj, jakby sam projektował ten świat. Chłopiec, idący z nim przez gramię, wydawał się jego prawdziwym synem — jakby go znał od niemowlęcia. Wiem, jak to jest, gdy metalowa bariera odgradza cię od świata, Olhado. Ale tutaj i teraz zburzyłem tę barierę; ciało dotyka ziemi, pije wodę, daje pocieszenie i bierze miłość.

Gliniasty brzeg rzeki wznosił się tarasami, może dziesięć metrów od wody do szczytu. Gleba była dostatecznie wilgotna, by łatwo dawała się kopać i nie traciła kształtu. Królowa kopca należała do ryjących — Ender zapragnął kopać i kopał. Grunt ustępował bez oporu, a strop małej groty nie zapadał się.

⟨Tak. Tutaj⟩

I tak zostało postanowione.

— To tutaj — oznajmił głośno Ender. Olhado uśmiechnął się. Naprawdę jednak Ender mówił do Jane i jej odpowiedź usłyszał.

— Novinha uważa, że znaleźli. Wszystkie próby wypadły ujemnie; w obecności nowego Coladora Descolada w klonowanych komórkach robali pozostaje nieaktywna.

Ela sądzi, że stokrotki, nad którymi teraz pracuje, dadzą się zaadaptować do naturalnej produkcji Coladora. Jeśli to się uda, wystarczy posadzić tu i tam parę nasion, a robale zdołają zahamować rozwój Descolady ssąc kwiaty. Mówiła ożywionym tonem, ale rzeczowo, bez śladu radości.

— Świetnie — odparł Ender. Poczł ukłucie zazdrości — Jane z pewnością bardziej swobodnie rozmawiała z Mirem, kpiała z niego i drażniła, jak kiedyś Endera. Bez trudu jednak stłumił to uczucie. Objął ramieniem Olhada, przyciągnął go do siebie, po czym razem poszli w stronę oczekującego śmigacza. Olhado zaznaczył na mapie pozycję i przesłał dane do pamięci. Śmiał się i żartował po drodze do domu, a Ender śmiał się wraz z nim. Chłopiec nie był Jane. Ale był Olhadem, potrzebował Endera, a Ender go kochał. Miliony lat ewolucji zdecydowały, że tego właśnie potrzebuje najbardziej. Tęsknota za nimi przeżerała go przez wszystkie lata spędzone z Valentine, pędziła z planety na planetę: za tym chłopcem z metalowymi oczami; za jego inteligentnym i nieznośnym bratem, Gregiem; przenikliwą i rozumiejącą Quarą, jej niewinnością; absolutnym opanowaniem, ascetyzmem i wiarą Quima; za Elą niezawodną jak skała, a przecież wiedzącą, kiedy ruszyć do akcji; i Miro...

Miro. Dla niego nie ma pocieszenia, przynajmniej nie na tej planecie, nie w tym czasie. Utracił pracę swego życia, ciało, nadzieję na przyszłość; nic, co mógłbym powiedzieć lub zrobić, nie stworzy dla niego ważnego zajęcia. Żyje wśród bólu: jego ukochana stała się siostrą, nie może już żyć między prosiaczkami, właśnie teraz, gdy szukają u ludzi wiedzy i przyjaźni.

— Miro powinien... — zaczął Ender.

— Miro powinien opuścić łuskanie — dokończył Olhado.

— Mhm.

— Masz przecież statek. Pamiętam, czytałem kiedyś o tym, czy może oglądałem wideo. O bohaterze Wojen z Robalami, Mazerze Rackhamie. Raz ocalił Ziemię przed zagładą, ale wiedzieli, że umrze na długo przed następną bitwą. Więc wysłali go w przestrzeń z prędkością relatywistyczną. Zwyczajnie, wysłali go tam i z powrotem. Na Ziemi upłynęło sto lat, ale dla niego tylko dwa.

— Sądzisz, że Miro potrzebuje czegoś tak drastycznego?

— Zbliża się bitwa. Czeka ją ważne decyzje. Miro jest najmądrzejszą osobą na Lusitanii. I najlepszą. Nie wścieka się. Nawet podczas najgorszych awantur z ojcem. Z Marcao. Przepraszam, że wciąż nazywam go ojcem.

— Nie masz za co przeproszać. Był nim przecież.

— Miro się zastanawiał, a potem decydował co jest najlepsze. I zawsze miał rację. Mama poległa na nim. Będziemy go potrzebować, gdy Gwiazdny Kongres wyśle na nas flotę. On przestudiuje całą informację, wszystko, czego się dowiemy pod jego nieobecność, wyciągnie wnioski i powie, co robić. Ender nie mógł się powstrzymać. Wybuchnął śmiechem.

— Uważasz, że to głupi pomysł — zmartwił się Olhado.

— Lepiej to wszystko rozumiesz, niż ktokolwiek inny. Muszę się zastanowić, ale całkiem możliwe, że masz rację. Przez chwilę jechali w milczeniu.

— Tak tylko mówiłem — oświadczył Olhado. — To o Miro. Wymyśliłem to, kiedy przypomniałem sobie tę starą historię. Zresztą, pewnie nawet nie jest prawdziwa.

— Jest prawdziwa.

— Skąd możesz wiedzieć?

— Znałem Mazera Rackhama. Olhado gwizdnął z podziwem.

— Jesteś stary. Starszy, niż wszystkie drzewa.

— Jestem starszy, niż wszystkie ludzkie kolonie. Niestety, nie stałem się od tego mądrzejszy.

— Czy naprawdę jesteś' Enderem? Tym Enderem?

— Dlatego mam takie hasło.

— To zabawne. Zanim tu dotarłeś, biskup chciał nas przekonać, że jesteś Szatanem. W naszej rodzinie tylko Quim traktował to poważnie. Ale gdyby biskup powiedział, że jesteś Enderem, ukamieniowalibyśmy cię na pracą zaraz po lądowaniu.

— Czemu teraz tego nie zrobicie?

— Teraz cię znamy. Na tym polega cała różnica. Nawet Quim przestał cię nienawidzić. Kiedy pozna się kogoś naprawdę, nie można go nienawidzić.

— A może nikogo nie można naprawdę poznać, póki nie przestanie się go nienawidzić?

— Czy to paradoks błędnego koła? Dom Cristao twierdzi, że większość prawd daje się wyrazić jedynie poprzez błędne koło.

— Nie sądzę, by miało to związek z prawdą. To po prostu kwestia przyczyny i skutku. Nigdy nie zdołamy ich rozróżnić. Nauka nie uznaje żadnych przyczyn prócz najpierwszej — jeśli przewrócisz klocek domina, sąsiedni upadnie także. Jeśli idzie o istoty ludzkie, to jedyną przyczyną, która ma znaczenie, jest przyczyna ostateczna — cel. Co dana osoba chce osiągnąć. Kiedy zrozumiesz, czego ludzie naprawdę pragną, nie możesz ich już nienawidzić. Możesz się ich bać, ale nie nienawidzić, ponieważ zawsze znajdziesz te same pragnienia we własnym sercu.

— Mamie się nie podoba, że jesteś Enderem.

— Wiem.

— Ale i tak cię kocha.

— Wiem.

— A Quim... to śmieszne, ale kiedy poznał prawdę o tobie, bardziej cię polubił.

— Dlatego, że jest krzyżowcem — wyjaśnił Ender. — A ja zyskałem moją fatalną reputację wygrywając krucjatę.

— No i ja — uzupełnił Olhado.

— Tak. ty także.

— Zabiłeś więcej istot, niż ktokolwiek w naszej historii.

— Bądź zawsze najlepszy, cokolwiek byś robił. Tak mawiała moja matka.

— Ale kiedy Mówiłeś o ojcu, było mi go żal. Dzięki tobie ludzie zaczęli się kochać i wybaczać sobie. Jak mogłeś w Ksenocydzie zabić te miliony istot?

— Myślałem, że to gra. Nie wiedziałem, że wszystko dzieje się naprawdę. Ale to żadne usprawiedliwienie, Olhado. Gdybym wiedział, że to prawdziwa bitwa, postąpiłbym tak samo. Myśleliśmy, że chcą nas zniszczyć. Myliliśmy się, ale wtedy nie mogliśmy o tym wiedzieć — Ender pokręcił głową. — Tyle, że ja wiedziałem. Znałem swojego wroga. Tak właśnie ją pokonałem — królową kopca. Poznałem ją tak dobrze, że pokochałem, a może pokochałem ją tak bardzo, że ją znałem. Nie chciałem dłużej z nią walczyć. Chciałem rzucić wszystko i wracać do domu. Dlatego rozsadziłem jej planetę.

— A dzisiaj znaleźliśmy miejsce, gdzie wróci do życia — Olhado był śmiertelnie poważny. — Jesteś pewien, że nie zechce wyrównać rachunków? Że nie spróbuje zniszczyć ludzkości, od ciebie poczynając?

— Tak, pewien — odparł Ender — jak to tylko możliwe.

— Nie absolutnie pewien — stwierdził Olhado.

— Wystarczająco, by ją ożywić. Czyli tak, jak jestem pewien czegokolwiek. Kiedy wierzymy w coś tak mocno, że działamy, jakby to była prawda, wtedy nazywamy to wiedzą. Faktami. Ręczymy za to życiem.

— To chyba robisz. Ręczysz życiem za to, że jest taka, za jaką ją uważasz.

— Ryzykuję jeszcze bardziej. Ręczę także twoim życiem, życiem wszystkich ludzi. I nawet nie pytam nikogo o zdanie.

— Wiesz, to zabawne — zauważył Olhado. — Gdybym spytał kogoś, czy można powierzyć Enderowi decyzję, która może wpłynąć na przyszłość ludzkiej rasy, odpowiedziałby: nie, oczywiście, że nie. Gdybym jednak zapytał, czy można ją powierzyć Mówcy Umarłych, powiedziałby: tak, przynajmniej większości z nich. I nawet by nie pomyślał, że to jedna i ta sama osoba.

— Tak — zgodził się Ender. — To zabawne.

Żaden z nich się nie roześmiał. Potem, po długiej chwili, Olhado przemówił znowu. Jego myśli krążyły wciąż wokół najważniejszej kwestii.

— Nie chcę, żeby Miro odlatywał na trzydzieści lat.

— Powiedzmy: dwadzieścia.

— Za dwadzieścia lat będę miał trzydzieści dwa. A on wróci w tym samym wieku, co teraz. Dwadzieścia. O dwanaście młodszy ode mnie. Jeśli spotkam dziewczynę, która zechce wyjść za chłopaka z lustrzanymi oczami, mogę być nawet żonaty i mieć dzieci. Nie pozna mnie. Przestanę być jego młodszym bratem — Olhado przełknął ślinę. — To tak, jakby umarł.

— Nie — sprzeciwił się Ender. — To tak, jakby przeszedł do trzeciego życia.

— To też rodzaj śmierci.

— I rodzaj narodzin. Warto czasem umrzeć, jeśli rodzisz się na nowo.

Następnego dnia odezwała się Valentine. Enderowi drżały palce, gdy wystukiwał na terminalu instrukcje. Nie była to zwykła wiadomość. To była rozmowa, pełny kontakt. Potwornie kosztowny, ale nie na tym polegał problem. Komunikacja ansiblem ze Stu Światami była formalnie odcięta. Jane przepuściła wezwanie, a to oznaczało, że sprawa jest poważna. Ender natychmiast pomyślał, że Valentine coś zagraża, że Gwiezdny Kongres odkrył udział Endera w buncie i wyśledził ich powiązania.

Postarzała się. Hologram ukazał twarz ogorzałą wiatrem po wielu dniach, spędzonych na wyspach, polach lodowych i łądziach Trondheimu. Lecz uśmiech pozostał taki sam i taki sam blask migotał w jej oczach. Ender nie mógł mówić, oszołomiony zmianami, jakich dokonały lata; ona także milczała zdumiona faktem, że się nie zmienił. Był jak wizja odległej przeszłości.

— Och, Ender — westchnęła w końcu. — Czy ja też byłam kiedyś taka młoda?

— A czy ja zestarzeję się tak pięknie?

Roześmiała się. I rozplakała. Ender nie; jak mógłby? Tęsknił za nią przez kilka miesięcy, ona za nim — dwadzieścia dwa lata.

— Słyszałaś pewnie — powiedział — o naszych nieporozumieniach z Kongresem.

— Pewnie tkwisz w samym centrum zatargu.

— Sytuacja była już nabrzmiała, gdy tu trafiłem — odparł. — Ale cieszę się, że jestem.

Zamierzam zostać.

Kiwnęła głową i otarła oczy.

— Tak myślałam. Ale chciałam się upewnić. Nie mam ochoty spędzić kilkudziesięciu lat w podróży tylko po to, żeby na miejscu stwierdzić, że odleciałeś.

— Na miejscu?

— Ta wasza rewolucja jest zbyt ekscytująca. Po dwudziestu latach wychowywania dzieci, nauczania studentów, kochania męża i życia w zgodzie z sobą, myślałam, że nigdy już nie wskrzeszę Demostenesa. Ale nadeszła wiadomość o nielegalnym kontakcie z prosiaczkami, a zaraz potem, że Lusitania się zbuntowała. Ludzie zaczęli nagle powtarzać jakieś idiotyzmy i zrozumiałam, że powraca stara nienawiść. Pamiętasz filmy o robalach? Jakie były przerażające i straszne? Nagle wszędzie pojawiły się obrazy zwłok ksenologów, nie pamiętam ich nazwisk; gdziekolwiek spojrzysz, krwawe zdjęcia. Podgrzewały wojenną gorączkę. A potem historie o Descoladzie; o tym, że gdyby ktokolwiek poleciał z Lusitanii na inną planetę, zniszczyłby wszystko... najgorsza zaraza, jaką można sobie wyobrazić.

— To prawda — stwierdził Ender. — Ale pracujemy nad tym. Szukamy sposobu, by nie zarażać Descoladą innych planet.

— Prawda czy nie, Ender, to wszystko prowadzi do wojny. A nikt tu nie pamięta wojny, oprócz mnie. Dlatego ożywiłam Demostenesa. Przypadkiem trafiłam na pewne

wiadomości i raporty. Ich flota niesie Małego Doktora. Jeśli zechcą, mogą rozwalić Lusitanię na kawałki. Tak, jak... — Jak ja wtedy. Poetyczna sprawiedliwość, nie sądzisz? Że skończę w ten sam sposób? Kto mieczem wojuje...

— Przestań sobie żartować, Ender! Jestem poważną matroną w Średnim wieku i straciłam cierpliwość dla głupich dowcipów. Przynajmniej na razie. Napisałam kilka nieprzyjemnych prawd o tym, co robi Gwiezdny Kongres, i opublikowałam jako Demostenes. Szukają mnie teraz. Nazywają to zdradą.

— Więc przylecisz tutaj?

— Nie tylko ja. Kochany Jakt przekazuje flotę swoim braciom i siostram. Kupiliśmy już kosmolot. Istnieje chyba jakiś ruch oporu, który udziela nam pomocy. Jakaś Jane namieszała w komputerach, żeby zatrzeć nasze ślady.

— Znam Jane.

— Widzę, że macie tu organizację! Byłam zaszokowana, kiedy dostałam wiadomość, że mogę z tobą porozmawiać. Podobno wysadziliście ansibla.

— Mamy potężnych przyjaciół.

— Ender, startujemy z Jaktem jeszcze dzisiaj. Zabieramy troje dzieci.

— Twoje pierwsze...

— Tak, Syfte. To przez nią byłam taka gruba, kiedy odlatywałeś. Ma już dwadzieścia dwa lata. Piękna dziewczyna. I jeszcze naszą przyjaciółkę, wychowawczynię dzieci. Ma na imię Plikt.

— Miałem kiedyś taką studentkę — mruknął Ender, wspominając rozmowy sprzed zaledwie kilku miesięcy.

— No wiesz, to było dwadzieścia dwa lata temu. Leci z nami kilku najlepszych ludzi Jakta i ich rodziny. Coś w rodzaju arki. Nie musisz się spieszyć. Masz dwadzieścia dwa lata na przygotowania. Nawet dłużej; raczej koło trzydziestu. Pokonamy tę odległość w kilku skokach, z czego pierwsze w innym kierunku. Nikt nie powinien wiedzieć, że ruszamy na Lusitanię.

Przylatuje. Za trzydzieści lat. Będę starszy, niż ona teraz. Przylatuje. Będę miał własną rodzinę. Dzieci Novinhy i moje, jeśli się urodzą. Dorosłe, jak jej dzieci. Wtedy właśnie, wspominając Novinhę, przypomniał sobie o Miro, o tym, co mówił Olhado tego dnia, gdy znaleźli miejsce na gniazdo królowej kopca.

— Czy będzie wam strasznie przeszkadzać — zapytał — jeśli wyślę kogoś na spotkanie w drodze?

— Nam na spotkanie? W przestrzeni? Nie, nikogo nie wysyłaj, Ender. To zbyt wielka ofiara...

lecieć tak daleko, gdy komputery doprowadzą nas bez problemów...

— Nie robię tego dla was, choć chciałbym, żebyś go poznała. To jeden z ksenologów. Miał wypadek i doznał ciężkich urazów. Jakieś uszkodzenia mózgu; coś w rodzaju udaru. Jest... jest najinteligentniejszą osobą na Lusitanii. Tak twierdzi ktoś, kogo opinii mogę zaufać. Stracił wszelki kontakt z życiem tutaj. Będziemy go

potrzebować. Później, kiedy doleczysz. To dobry człowiek, Val. Może was wiele nauczyć w ciągu ostatniego tygodnia podróży.

— Czy twoja przyjaciółka może dostarczyć danych kursu do takiego spotkania? Jesteśmy nawigatorami, ale tylko na morzu.

— Przed startem Jane wprowadzi korekcję danych nawigacyjnych do waszego komputera pokładowego.

— Ender... dla ciebie minie trzydzieści lat, a dla mnie... zobaczę cię za kilka tygodni — rozpląkała się.

— Może polecę ci na spotkanie razem z Mirem.

— Nie! — zawołała. — Kiedy dotrzemy, chcę, żebyś był możliwie stary i zrzędny. Nie wytrzymałabym z takim trzydziestoletnim bachorem, jakiego widzę na terminalu.

— Mam trzydzieści pięć.

— Tylko czekaj, kiedy tam dolecę! — zażądała.

— Będę czekał — obiecał. — A Miro... ten chłopak, którego wam posyłam. Uważaj go za mojego syna. Ze smutkiem kiwnęła głową.

— Nadeszły niebezpieczne czasy, Ender. Żałuję, że nie ma z nami Petera.

— Ja nie. Gdyby to on dowodził naszą małą rebelią, skończyłby jako Hegemon wszystkich Stu Światów. My chcemy tylko, żeby zostawili nas w spokoju.

— Jedno bez drugiego może się okazać niemożliwe — stwierdziła Val. — Ale o tym podyskutujemy później. Do zobaczenia, drogi bracie.

Nie odpowiedział. Po prostu patrzył na nią i patrzył, aż uśmiechnęła się z przymusem i przerwała połączenie. Ender nie musiał prosić Mira, by poleciał. Jane opowiedziała mu już o wszystkim.

— Twoja siostra jest Demostenesem? — spytał Miro. Ender przyzwyczał się już do jego bełkotliwej wymowy. A może zaczynał mówić wyraźniej? W każdym razie łatwiej było go zrozumieć.

— Jesteśmy utalentowaną rodziną — powiedział. — Mam nadzieję, że ją polubisz.

— Mam nadzieję, że ona mnie polubi — Miro uśmiechał się, ale wyglądał na przestraszonego.

— Prosiłem ją, żeby uważała cię za mojego syna.

— Wiem — Miro kiwnął głową. I dodał, niemal wyzywająco: — Pokazała mi waszą rozmowę. Ender złodowaciał.

— Powinam cię zapytać — szepnęła mu do ucha Jane. — Ale wiesz przecież, że byś się zgodził. Ale nie naruszenie tajemnicy rozmowy zaszokowało Endera, lecz fakt, że Jane stała się tak bliska Miro. Lepiej, żebyś się przyzwyczał, mruknął do siebie. To jemu poświęca teraz swoją uwagę.

— Będziemy za tobą tęsknić — powiedział na głos.

— Ci, którzy będą tęsknić, już zatęsknili — odparł Miro. — Ponieważ już teraz uważają mnie za zmarłego.

— Potrzebujemy cię żywego.

— Kiedy wrócę, wciąż będę dwudziestolatkiem. Z urazem mózgu.

— Wciąż będziesz Mirem, inteligentnym, wiernym i kochanym. Ty zacząłeś tę rebelię, Miro. Bariera runęła dla ciebie. Nie dla jakichś wyższych celów, ale dla ciebie. Nie zostawiaj nas. Miro uśmiechnął się, a Ender nie wiedział, czy skrzywienie warg jest efektem paraliżu, czy też faktu, że był to gorzki, zjadliwy uśmiech.

— Powiedz mi coś — poprosił Miro.

— Jeśli ja ci nie powiem, ona to zrobi.

— To nietrudne. Chciałbym wiedzieć, dlaczego zginęli Pipo i Libo. Za co prosiaczki chciały ich uhonorować.

Ender rozumiał to lepiej, niż sam Miro; wiedział, czemu chłopca dręczy to pytanie. Usłyszał, że jest synem Liba na kilka godzin przed tym, jak przekroczył ogrodzenie i utracił swoją przyszłość. Pipo, Libo i Miro; ojciec, syn i wnuk; trzech ksenologów, którzy poświęcili swą przyszłość dla prosiaczków. Miał nadzieję, że pojąwszy powody śmierci swych przodków, zrozumie sens własnej ofiary.

Problem w tym, że prawda mogła go przekonać o bezsensie wszystkich trzech ofiar. Dlatego Ender odpowiedział pytaniem.

— Czyżbyś nie wiedział, dlaczego? Miro odpowiadał wolno i starannie, by Ender zrozumiał od razu.

— Wiem; prosiaczki uważały, że czynią im zaszczyt. Wiem też, że Mandachuva i Liściojad mogli zginąć zamiast nich. W przypadku Liba znam nawet bezpośredni powód. To nastąpiło, kiedy zebrali pierwszy plon amarantu i było mnóstwo jedzenia. Za to chciały go wynagrodzić. Ale dlaczego nie wcześniej? Czemu nie wtedy, kiedy ich nauczyliśmy przygotowywać korzenie merdony? Kiedy uczyliśmy ich garncarstwa i łucznictwa?

— Czy chcesz znać prawdę? — spytał Ender. Z tonu głosu Miro wywnioskował, że prawda nie będzie miła.

— Tak.

— Naprawdę ani Pipo, ani Libo nie zasłużyli na ten honor. To nie amarant wynagrodziły żony. Chodziło o to, że Liściojad je przekonał, by pozwoliły na poczęcie i narodziny nowej generacji prosiaczków. Nie miały żywności, by je wykarmić, kiedy opuszczą matczyne drzewo.

Rzykował straszliwie. Gdyby się mylił, wszystkie te młode prosiaczki zginęłyby z głodu. Libo przyniósł plon, ale można powiedzieć, że to Liściojad doprowadził populację do takiego punktu, że potrzebowała ziarna. Miro pokiwał głową.

— A Pipo?

— Pipo opowiedział o swoim odkryciu. O tym, że zabójcza dla ludzi Descolada jest częścią ich fizjologii. Że ich ciała potrafią dokonać adaptacji, do której nasze nie są zdolne. Mandachuva wyjaśnił żonom, co z tego wynika: ludzie nie są boscy i wszechmocni. W pewien sposób są nawet słabsi od Małego Ludu. To, co daje nam

się, nie jest wrodzone: ani nasz wzrost, ani mózg, ani język. Wynika z czysto przypadkowego faktu, że wyprzedzamy ich o kilka tysięcy lat. Jeśli zdobędą naszą wiedzę, utracimy panowanie. I właśnie odkrycie Mandachuvy, że prosiaczki są potencjalnie równe ludziom, nagrodziły żony. Nie informację, której udzielił Pipó i która do odkrycia doprowadziła.

— Więc obaj...

— Prosiaczki nie chciały zabijać ani Pipa, ani Liba. W obu przypadkach kluczowe osiągnięcie należało do prosiaczka. Pipó i Libo zginęli wyłącznie z jednego powodu: nie potrafili wznieść noża i zabić przyjaciela.

Miro musiał dostrzec cierpienie na twarzy Endera, gdyż jego słowa były odpowiedzią na ten ból.

— Ty potrafisz zabić.

— To dar, z którym się urodziłem.

— Zabiłeś Człowieka, bo wiedziałeś, że dzięki temu rozpocznie nowe, lepsze życie.

— Tak.

— I mnie — dodał Miro.

— Tak — powtórzył Ender. — Wysłanie cię w przestrzeń jest bardzo podobne do zabójstwa.

— Ale czy rozpocznę nowe, lepsze życie?

— Nie wiem. Na razie radzisz sobie lepiej od drzewa.

— Przynajmniej mam pewną przewagę nad starym Człowiekiem — zaśmiał się Miro. — Mogę chodzić. I nie trzeba mnie stukać kijem, żebym przemówił — znowu sponiewniał. — Naturalnie, on może teraz mieć tysiąc dzieci.

— Nie licz na celibat do końca życia — pocieszył go Ender. — Możesz się rozczarować.

— Mam nadzieję.

— Mówco — odezwał się po chwili milczenia.

— Nazywaj mnie Enderem.

— Powiedz mi, Enderze, czy w takim razie Pipó i Libo zginęli bez powodu? Ender zrozumiał prawdziwe pytanie: czy ja także cierpię to wszystko bez powodu?

— Są gorsze powody by zginąć, niż ten, że nie potrafisz zabić.

— A co powiesz o kimś, kto nie potrafi zabić, nie potrafi umrzeć i nie potrafi żyć?

— Nie oszukuj się. Pewnego dnia dokonasz wszystkich trzech rzeczy. Żegnany płaczem Miro odleciał następnego ranka. Przez całe tygodnie Novinha unikała własnego domu, gdyż nieobecność syna sprawiała jej ból. Wprawdzie całym sercem zgadzała się z Enderem, że Miro powinien lecieć, ale i tak nie mogła znieść straty dziecka. Ender zastanawiał się, czy jego rodzice cierpieli tak samo, gdy go zabrano. Podejrzewał, że nie. I nie liczyli na jego powrót. On sam już teraz kochał dzieci innego mężczyzny bardziej, niż jego rodzice własnego syna. Bardzo dobrze. Zemści

się srodze za to, że go zaniedbywali. Po trzech tysiącach lat pokaże im, jak powinien się zachowywać ojciec. Biskup Peregrino udzielił im ślubu w swoim gabinecie. Novinha wyliczyła, że jest dostatecznie młoda, by urodzić jeszcze szóstkę dzieci, jeśli się pospieszą. Z ochotą wzięli się do dzieła.

Przed ślubem zdarzyły się dwa dni, godne zapamiętania. Latem Ela, Ouanda i Novinha przedstawiły mu wyniki swych badań i spekulacji: tak pełny, jak to tylko możliwe, obraz cyklu życiowego i struktury społecznej prosiaczków, mężczyzn i kobiet, a także prawdopodobną rekonstrukcję systemu życia z okresu, zanim Descolada na zawsze przywiązała ich do drzew. Przedtem las był dla nich tylko mieszkaniem. Ender zrozumiał wtedy, kim były prosiaczki, a zwłaszcza kim był Człowiek, zanim rozpoczął życie w świetle. Nim napisał Życie Człowieka, na tydzień zamieszkał wśród prosiaczków. Mandachuwa i Liściojad uważnie czytali tekst i dyskutowali z Enderem, a on przerabiał i rewidował. Wreszcie dzieło było gotowe. Tego dnia zaprosił wszystkich, którzy pracowali z prosiaczkami: całą rodzinę Ribeirów, Ouandę z siostrami, wielu robotników, którzy dostarczyli prosiaczkom cudów techniki, uczonych mnichów Dzieci Umysłu, biskupa Peregrino i burmistrz Bosquinę. Przeczytał im książkę. Nie była długa — niecała godzina lektury. Zebrali się na wzgórzu, w pobliżu rosnącego coraz wyżej, niemal trzymetrowego pędu drzewa Człowieka. Korzeniak osłaniał ich przed blaskiem słońca.

— Mówco — powiedział biskup. — Przekonałeś mnie niemal, bym stał się humanistą. Inni, mniej elokwentni, nie znaleźli słów, wtedy ani nigdy. Jednak od tego dnia wiedzieli, kim są prosiaczki. Tak samo, jak czytelnicy Królowej Kopca rozumieli robale, a czytelnicy Hegemona pojmovali ludzkość w jej nieskończonym pościgu za wielkością — poprzez pustkowia izolacji i podejrzeń.

— Po to cię wezwałam — powiedziała Novinha. — Marzyłam kiedyś o stworzeniu takiej książki. Ale to ty musiałeś ją napisać.

— Odegrałem w tej opowieści większą rolę, niż chciałem dla siebie przeznaczyć — odparł Ender. — Ale spełniłaś swe marzenie, Ivanova. Twoja praca doprowadziła do tej książki. A ty sama i twoje dzieci uczyniliście mnie pełnym człowiekiem. Dopiero wtedy mogłem ją napisać. Podpisał ją tak, jak poprzednie: Mówca Umarłych.

Jane wzięła książkę i poprzez lata świetlne przeniosła ansiblem do Stu Światów. Wraz z nią zaniósła tekst Przymierza i rejestrację Olhada składania podpisów i przejścia Człowieka do pełnego światła. Umieściła je tu i tam, w dziesięciu miejscach na każdej z planet, u ludzi, którzy mogli je przeczytać i zrozumieć. Kopie wysyłano z komputera do komputera; zanim Gwiezdny Kongres się zorientował, książka rozeszła się zbyt szeroko, by można ją było ukryć.

Zamiast tego spróbowali zdyskredytować wszystko jako fałszerstwo. Fotografie były prymitywną symulacją. Analiza tekstu wykazała, że autorem książki nie mógł być człowiek, który napisał dwie poprzednie. Zapis dostępu do ansibla ujawnił, że

informacja nie może pochodzić z Lusitanii, gdzie nie ma ansibla. Część ludzi uwierzyła. Większość się nie przejęła. Wielu, którzy przeczytali Życie Człowieka, mimo to nie potrafiło uznać w prosiaczkach ramenów.

Niektórzy to potrafili, przeczytali pochodzące sprzed kilku miesięcy oskarżenia Demostenesa i zaczęli nazywać flotę lecącą już ku Lusitanii „Drugim Ksenocydem”. Było to bardzo brzydkie określenie. Na Stu Światach nie wystarczyłoby więzień, by pomieścić wszystkich, którzy go używali. Gwiazdny Kongres sądził, że wojna zacznie się, gdy za czterdzieści lat ich statki osiągną Lusitanię. Tymczasem wojna zaczęła się już, teraz. I miała być gwałtowna. Wielu ludzi uwierzyło w słowa Mówcy Umarłych; wielu było gotowych uznać w prosiaczkach ramenów, a tych, którzy dążyli do ich śmierci, uważać za morderców. Wtedy, pewnego jesienno-go dnia, Ender wyjął starannie zawinięty kokon. On, Novinha, Olhado, Quim i Ela przemknęli nad kilometrami capim, aż dotarli do wzgórza niedaleko rzeki. Posadzone niedawno stokrotki kwitły jak oszalałe; zima będzie tutaj łagodna, a królowa kopca bezpieczna od Descolady.

Ender delikatnie przeniósł królową kopca na brzeg, do komory, którą przygotowali z Olhadem. W pobliżu ułożyli świeżo zabitą cabrę.

Potem Olhado zawiózł ich z powrotem. Ender szlochał, czując potężną, niemożliwą do opanowania ekstazę, jaką przesyłała do jego umysłu królowa kopca; zbyt wielką czuła radość, by ludzkie serce mogło ją wytrzymać. Novinha obejmowała go, Quim modlił się cicho, a Ela nuciła skoczną piosenkę, dawno temu śpiewaną na wzgórzach Minas Gerais, wśród caipiras i mineiros dawnej Brazylii. To był dobry dzień i dobre miejsce. O takim Ender nie mógł nawet marzyć w sterylnych korytarzach Szkoły Bojowej, kiedy był mały i walczył o życie.

— Mogę już chyba umrzeć — oznajmił. — Praca mojego życia dobiegła końca.

— Moja także — powiedziała Novinha. — Ale oznacza to chyba, że powinniśmy zacząć żyć.

Za nimi, w chłodnym, wilgotnym powietrzu płytkiej jaskini obok rzeki, silne kleszcze rozerwały kokon i na zewnątrz wysliznęło się słabe, szkieletowe ciało. Skrzydła rozsunięły się stopniowo i wyschły na słońcu. Z trudem dotarła do wody, by wchłonąć w wysuszony tułów energię i wilgoć. Ugryzła kawałek mięsa cabry. Jajeczka w ciele krzyczały, by je uwolnić. Złożyła pierwszy tuzin w martwym zwierzęciu. Potem zjadła najbliższe stokrotki, próbując wczuwać się w zmiany, zachodzące w organizmie, nareszcie wracającym do życia. Światło słońca na grzbiecie, wiatr w skrzydłach, chłodna woda pod stopami, rozgrzane jajeczka dojrzewające w mięsie cabry: to życie, na które tak długo czekała. Do dzisiaj nie była pewna, czy zamiast ostatnią, będzie kiedyś pierwszą ze swego plemienia.